

Jean Stone

Miłość, która odeszła

Rozdział pierwszy

W odniesieniu do dwóch zarzutów morderstwa pierwszego stopnia uznajemy oskarżoną za niewinną.

Meg Cooper zacisnęła dłonie na blacie stolika obrony i zamknęła oczy, upajając się wielką chwilą. Krew zagrała jej w żyłach, podniecenie przyspieszyło rytm serca. Zwycięstwo. Jeszcze jedno.

Holly Davidson, dwudziestojednoletnia córka martwego już króla armatorów, zarzuciła na szyję Meg ramiona błyskające srebrem i złotem cekinów. W sali 33 Wydziału Spraw Karnych Najwyższego Sądu Stanowego w Nowym Jorku wybuchła owacja.

- Wygrałyśmy! - wykrzyknęła Holly ponad ogólną wrzawą. - Ja pierdolę, wygrałyśmy!

Nie, miała ochotę skarcić ją Meg. Wcale nie wygrałyśmy. To ja wygrałam. To ja cię broniłam i dzięki mnie jesteś teraz wolna.

- Ława przysięgłych spełniła swój obowiązek, w imieniu stanu wyrażam jej podziękowanie - oznajmił sędzia.

- Szampan w Neon City! - zapiszczała Holly do ciżby przyjaciół, którzy przeciskali się do stolika obrony. W ogólnym chaosie Holly spojrzała spod mocno uczernionych rzęs na Meg i przez moment obie patrzyły sobie w oczy. - Przyjdiesz, prawda?

Meg wsunęła do teczki notatnik z żółtymi kartkami i zatrzasnęła klapę.

- Obawiam się, że nic z tego - odparła. Zrobiła swoje i miała nadzieję, że już nigdy w życiu nie będzie musiała oglądać Holly Davidson.

Wzięła teczkę i zaczęła przepychać się przez tłum, robiąc uniki przed błyskającymi fleszami, telewizyjnymi kamerami, mikrofonami wpychanymi jej pod sam nos. Kierowała się ku wyjściu. Na korytarzu stała gotowa do ataku następna gromada dziennikarzy.

- Gratulacje, pani mecenas! - rozległy się okrzyki.
- Jak się pani czuje po kolejnej wygranej sprawie?
- Czy ma pani nadzieję na objęcie urzędu sędziego?

Meg zapięła żakiet wyszczuplającego kompletu od Armani i odsunęła za ucho sterczący kosmyk miedzianych włosów. Podniecenie zwycięstwem już słabło, jak zawsze w konfrontacji z brutalną rzeczywistością.

- Nie mam nic do powiedzenia - oświadczyła.
- Panno Cooper, bardzo prosimy...

Przecząco kręciła głową i szybko przedarła się przez szpaler rozgorączkowanych wysłanników krajowych środków przekazu. Tak marnie im płacą, a tyle mają zapału, pomyślała. Tyle zapału i tyle władzy.

Znalazła się na progu; za nią wił się ogon dziennikarzy. Nowi ludzie tłoczyli się na schodach. Gapie. Fani. Pikiety za i przeciw. Wszyscy stłoczeni razem w pozbawionym jakiegokolwiek znaczenia poprocesowym przedstawieniu, do którego nie mogła przywyknąć.

Energicznym krokiem zeszała ze schodów, ignorując pytania. Wiedziała, że następnego dnia prasa ukarze ją za niedostępność stosownymi nagłówkami, ale nie dbała o to. Meg Cooper od dawna nie pozwalała, by dziennikarze jej coś narzucali.

Firmowa limuzyna czekała przy krawężniku, w szeregu krążowników szos z barwionymi szybami, ale Meg pokazała kierowcy, że nie skorzysta z jego usług. Miała ochotę na spacer. Za plecami usłyszała okrzyk:

- O, jest Holly!

Tłum zafalował w stronę zwycięskiej Holly Davidson, która miała dość pieniędzy i sławy, by wszystko uchodziło jej na sucho, nawet morderstwo.

Meg ruszyła szybko Piątą Aleją w stronę swego eleganc-

kiego domu w dzielnicy Upper East Side. Zwyciężyła. Wygrała. Uwolniła morderczynię od kary.

- Zdrowi na umyśle przysięgli nie skazą dwudziestoletniej dziewczyny, jeśli obrona wykaże, że ojciec wykorzystywał ją seksualnie - uznał Avery Larson, najstarszy ze współników w kancelarii. - Nie w dzisiejszych czasach.

- Ona nie jest „dziewczyną”, - sprzeciwiła się Meg. - Jest cwana, podstępna córeczka, która najpierw sfinansowała z pieniędzy ojca swoją karierę, a potem zabiła i jego, i matkę.

- Ona utrzymuje, że matka wiedziała o zapędach ojca.

- Może wiedziała, jeśli naprawdę kiedykolwiek były jakieś zapędy. Ale czy to wystarcza do usprawiedliwienia morderstwa?

- Pani mecenas...

- Daj spokój, Avery, ta dziewczyna zabiła swoich rodziców!

- Bracia Mendenez też - odparł Avery i zmarszczył brwi.

- Niepokoi cię klientka, czy boisz się, że przegrasz?

Meg stała nieruchomo jak głaz. Toczyli z Averym pojedynek na spojrzenia.

- Nie przegram - oznajmiła.

Wspólnik odchylił się do tyłu i położył nogi na biurku.

- No, to naprzód, pani mecenas, trzeba zapędzić rząd do roboty.

Meg nie znosiła, kiedy Avery nazywał prokuraturę „rządem”, jakby stanowiła wszechogarniającą groźbę dla społeczeństwa, dla sprawiedliwości.

- Jeśli rząd się nie spisze - ciągnął - to przecież nie twoja wina, tylko niekompetencji rządu. Poza tym nie muszę ci chyba przypominać, że Holly Davidson jest wartościowym klientem.

Meg wiedziała, że klient wartościowy to znaczy bogaty. Teraz, po uniewinnieniu, dziewczyna miała odziedziczyć ponad dwa miliardy dolarów.

A „rząd” istotnie jeszcze raz się nie spisał, bo Meg okazała się sprytniejsza, lepsza. I jeszcze dlatego, że jak niczego na świecie pożądała wielkich chwil, uniesień zwycięzcy.

Sprawa zamknięta, sprawa z głowy. Meg odchyliła głowę do tyłu i wystawiła twarz na promienie wiosennego słońca, mrużąc cynamonowe oczy, dobrze wyćwiczone, by patrzeć

prosto na przysięgłych, gdy zapewniała: „Mój klient mówi prawdę”. W tym roku kończyła trzydzieści dziewięć lat. Była u szczytu szaleńczej kariery. Nikt by się nie domyślił, że kiedyś zamierzała poświęcić się obronie praw kobiet. Ale z czasem świat się zmienia, a wartości tracą wyraźny kształt. Klientów ściągają do firmy rozgłos i szpan. Wspólnikom śmiały się oczy do wielkich zaliczek na poczet przyszłych usług. Meg stała się więc wybawicielką najbogatszych, królową sądowego blichtru, bohaterką nagłówków ulubioną przez kolorowe szmatławce, których przez wiele lat starała się za wszelką cenę unikać. Teraz, po wygraniu sprawy Holly Davidson, miała w swym zasięgu wszystko. No, prawie wszystko.

Upłynęły trzy tygodnie od jej rozstania z Rogerem Barrettem.

- Nie kocham cię - oświadczyła. - Nie mogę dalej z tobą sypiać. - Byli razem przez cztery krótkie miesiące. Meg wiedziała, że Roger ją kocha, ale nie potrafiła odwzajemnić tego uczucia. Nie umiała wykrzesać z siebie miłości do nikogo. A udawać nie mogła.

Przystanęła. W jej domu ziało pustką, jeśli nie liczyć Raggedy Mana, trzyletniego perskiego kota. W domu nikt nie obchodziło, że jest błyskotliwa, wspaniała i właśnie wygrała sprawę roku. Nie czekał tam na nią nikt oprócz Raggedy Mana.

Spojrawszy na chodnik, wahała się przez ułamek sekundy, potem skręciła i ruszyła Pięćdziesiątą Czwartą Wschodnią w stronę Park Avenue, przy której mieściła się kancelaria Larson, Bascomb, Smith, Rheinhold, Paxton and Cooper. Szła ku następnemu wyzwaniu, wabiona złudą wielkich chwil.

Gabinet Meg nie różnił się szczególnie od gabinetów innych wziętych nowojorskich adwokatów broniących w sprawach karnych: mahoń i skóra, mosiądz i książki. Ale na komodzie, tam gdzie jej współnicy stawiali w ślicznych złotych ramkach zdjęcia uśmiechniętych współmałżonków, dzieci i wnucząt, Meg miała pękate doniczki z obskubanymi filodendronami. Spoglądając zza ciężkich zielonych kotar na aleję ciągnącą się siedem pięter niżej, znajdowała się dość blisko, by widzieć nieskończony sznur żółtych taksówek i potok anonimowych twarzy, lecz jednocześnie

dość daleko, by czuła się chroniona przed ulicznym zgwałceniem i brudem tłumy.

Stała przy oknie i patrzyła w dół. Holly Davidson mogła teraz swobodnie przechadzać się po Park Avenue, Piątej Alei lub każdej innej ulicy na świecie. Holly Davidson, która posługując się nożem mieszkającej w ich rezydencji kucharki po cichutku w nocy, podcięła gardło ojcu miliarderowi i brylującej w wielkim świecie matce. Meg wiedziała, że seksualne wykorzystywanie staje się coraz częstszą linią obrony w procesach o morderstwo. Czuła z tego powodu niesmak, gdyż było to wyjątkowo nieuczciwe wobec kobiet, które naprawdę ucierpiały. Za kilka lat taka obrona będzie do niczego, pomyślała. Sędziom i przysięgłym spowszednieje ta argumentacja. I wtedy niewinni ludzie będą trafiać do więzień, co jest jeszcze gorsze, niż kiedy winni unikają kary. To jest właśnie system amerykański. A oni, adwokaci, chcąc pokonać rząd, będą musieli wynajdywać nowe taktyki, nowe sposoby oświetlenia sprawy.

Odsunęła się od okna, usiadła przy biurku i próbowała skupić się na pracy. Chociaż prawie zawsze wygrywała procesy, w których stawała, potem często była przybita. Tłumaczyła sobie, że to dołek po pobycie na wyżynach. Nagły spadek.

Oparła łokcie o blat i zaczęła przypatrywać się swoim paznokciom. Były idealnie spiłowane i lśniące. Czyste, ale nie lakierowane. Bez osobowości, bez namiętności. Neutralne. Takie same jak jej życie, bardzo niepodobne do publicznego obrazu lansowanego przez dziennikarzy.

Zacisnęła dłonie w pięści. Miała tylko jedną radę na depresję. Potrzebowała następnej sprawy. Takiej, w którą można wgryźć się na całego, żeby zapomnieć o wszystkim innym. Potrzebowała sprawy jak najszybciej. Od zaraz.

Usiadła prosto i nacisnęła guzik interkomu.

- Janine, czy Avery jest u siebie?

- Nie. Ale właśnie wszedł Danny Gordon. Chce się z tobą zobaczyć.

Danny Gordon był jednym z detektywów opłacanych przez kancelarię. Często wspomagał Meg w jej najtrudniejszych sprawach, jak choćby w sprawie Holly Davidson. Był o kilka lat starszy od Meg, nieco ekstrawagancki z wyglądu i nieco zarozumiały. Jednak wyróżniał się spośród kolegów błyskotliwością i wielkim oddaniem pracy. Meg wiedziała,

że Danny jest bardzo delikatny i łatwo go urazić. Przed trzema laty raz omal nie poszli ze sobą do łóżka, ale Meg umiała przewidzieć, co by z tego wynikło. Zagłuszałaby nim samotność, póki nie zakochałby się w niej jak szalony. Wtedy puściłaby go kantem. Zamiast więc zostać kochankiem, Danny objął rolę, jakiej dotąd nikt przy Meg nie odgrywał: przyjaciela.

- Daj go tutaj.

Wpadł do środka jak pocisk.

- Brawo, pani mecenas! Dzięki pani raz jeszcze sprawiedliwości stało się zadość, serdeczne gratulacje!

- Stul pysk, Danny.

Chociaż Danny znał system i sam był jego częścią, ilekroć winny uchodził przed karą, zawsze przybierał pozę zniesmaczonego cynika.

Opuścił swe niepokażne, lecz muskularne ciało na obite skórą krzesło i odgarnął z czoła niesforny kosmyk ciemnoblonde włosów. W piwnych oczach migotały mu ogniki. Zawsze tak było, bo nawet gdy Danny'ego ogarniał stan poprocesowego zniesmaczenia, kryjąca się w jego wnętrzu siła pozostawała nietknięta. Po prostu nie brał tego do siebie. Meg widziała w nim przedstawiciela rzadkiego gatunku szczęśliwych, zadowolonych z siebie istot ludzkich, człowieka, który pokłada w sobie tyle wiary, że nikt, nie wyłączając Avery'ego, nigdy nie zakwestionował nawet jego codziennego obszarpanego stroju, złożonego ze spłowiałych dżinsów i drelichowej koszuli.

- Szybko cię wyniosło z sądu.

Meg nie odpowiedziała.

- Wygrałaś sprawę, miła. Jutro rano powinien być taaaki nagłówek w „Post”: „Cooper wyciąga Holly z za krat”. - Gestem pokazał wielkość czcionki.

Wzruszyła ramionami.

- Takie jest prawo.

- Jasne. - Danny pochylił się do przodu. - Może teraz będzie cię stać na nową roślinę - powiedział, wyciągając dłoń w stronę podwiedłego filodendronu.

Meg spojrzała kątem oka za siebie.

- Nie wszyscy mają twoje talenty, Danny.

- Do orchidei nie potrzeba talentu, dziecinko. Potrzeba miłości. Troski.

Meg widziała urządzony na dachu bajeczny ogród orchi-

dei, rosnących pod szkłem obok mieszkania Danny'ego. W stałych odstępach czasu rozlegał się tam cichy syk zraszaczy, plujących wodą na kwiaty. Podejrzewała, że Danny darzy orchidee czymś więcej niż tylko miłością. Stanowiły jego obsesję. Lawendowe. Białe. Różowe. Żółte. Kiedyś powiedział, że hoduje je dla ich erotyzmu, miękkich, giętych płatków i zmysłowo kobiecych fałd oraz krągłości. Po tych słowach Meg poczuła się naga. Całkiem odkryta.

Ponownie odwróciła się do Danny'ego.

- Wiem - powiedziała. - A ja zabijam moje rośliny.

- Nie zabijasz ich, Meg. One giną śmiercią samobójczą.

- Bardzo śmieszne. Chyba nie przyszedłeś tutaj rozmawiać o niedostatkach moich ogrodniczych umiejętności.

Położył łokcie na biurku i oparł podbródek na dłoniach. Spojrzał jej w oczy. Meg poruszyła się na krzesle.

- Avery będzie wkurzony, że wypięłaś się na dziennikarzy - powiedział.

- Przecież wie, że po ogłoszeniu wyroku lubię być sama.

Avery nieraz wyrażał głębokie niezadowolenie z powodu awersji Meg do rozgłosu.

- To nie był taki sobie wyrok, Meg.

- Wnoszę więc, że nie jestem taką sobie panią mecenas.

Uśmiechnął się szelmowsko, znacząco.

- Nie wspomnę już nawet o tym, że nie zaszczyciłaś swoją obecnością obchodów zwycięstwa, zorganizowanych przez klientkę. Prawdopodobnie zauważą to wszystkie możliwe brukowe magazyny i telewizyjne programy dla hien.

Meg uświadomiła sobie, że i ona się uśmiecha.

- I to zapewne znaczy, że zachowuję się jak idiotka, tak?

- Nie, jeśli zamiast tego pójdziesz ze mną na obiad.

Zmarszczyła czoło.

- Wczesny obiad - ciągnął Danny. - Nic więcej. Chyba że już się z kimś umówiłaś.

Pokręciła głową. Dotąd nie powiedziała Danny'emu, że zerwała z Rogerem Barrettem. Głupio jej było, że zrobiła to „raz jeszcze”.

- No, to umowa stoi. Świątujemy we własnym gronie. Ta sprawa mnie wkurza, ale i tak zrobiłaś mi frajdę. Cieszę się, że wygrałaś.

- Naprawdę?

- Naprawdę. A teraz pozwól, że utopię smutki i wzniosę toast za twoje zwycięstwo wielką miską spaghetti.

Gdy kierownik sali prowadził ich do stolika w głębi, Danny szepnął za jej plecami:

- Nie znoszę, kiedy jesteś ode mnie wyższa. Ranisz moją męską dumę.

Niewątpliwie pił do obcasów Meg, dodających kilka centymetrów do metra sześćdziesięciu ośmiu. Danny miał niewiele ponad metr siedemdziesiąt. W butach. Meg uśmiechnęła się. Nigdy nie wiedziała, jak reagować na jego bezpośredniość. Była jednak pewna, że towarzystwo Danny'ego znakomicie jej zrobi tego wieczoru. Pomoże uporać się z samotnością, która zawsze dręczyła ją po upadku z wysoka.

Usiedli. Danny wygładził serwetę.

- Biało-czerwona kratka - powiedział. - Moja ulubiona. Meg roześmiała się.

- Jesteś kochany, Danny.

- Juhu! Czyżby Królowa Śniegu obdarzyła mnie komplementem?

Meg drgnęła. Królową Śniegu ochrzciła ją prasa po tym, jak z powodzeniem wybroniła finansistę z Wall Street, oskarżonego o zgwałcenie córki dyplomaty z Bliskiego Wschodu. Szesnastolatka z wielkimi ciemnymi oczami szlochała na sali sądowej, budząc ogólne współczucie. Ale Meg dowodziła, że ukochaną córeczkę tatusia trudno byłoby nazwać niewinną. I przekonała przysięgłych, ponieważ „rząd” znowu nie zrobił tego, co do niego należy. Od tej pory w prasie nazywano ją Królową Śniegu. Dziennikarze nawet nie wiedzieli, jak trafne było to określenie.

Meg spuściła oczy.

- Nie nazywaj mnie w ten sposób, proszę.

- Przepraszam - powiedział cicho Danny. - Straszny ze mnie dupek.

- Owszem, straszny - potwierdziła z wymuszonym uśmiechem.

Zamówili butelkę chianti i przez kilka chwil siedzieli w milczeniu. Meg zapatrzona w płomień świecy próbowała się odprężyć.

- I co teraz bierzesz na warsztat? - spytał Danny.

- Nie wiem. - Pokręciła głową. - Nie spodziewaliśmy się, że ten proces pójdzie tak szybko.

- Wspólnicy są rozczarowani, że honoraria będą niższe, niż oczekiwali?

Przykryła ręką jego dłoń.

- Nie mówmy o tym, dobrze?

- Przepraszam, Meg. Ale czasem diabli mnie biorą, kiedy widzę, jak bronisz winnych.

Cofnęła dłoń i upiła łyk wina. Nie wiadomo czemu, poczuła pieczenie w gardle.

- Bronię też wielu niewinnych - powiedziała. - Takich jak Donald Haggerty. - Mówiła o sprawie, w której zrzędliviego staruszka oskarżono o zamordowanie synowej, która jakoby polowała na rodzinną fortunę. Meg wykazała, że morderstwa dokonał w istocie syn Haggerty'ego, który wszystkim wydawał się najbardziej wiarygodnym świadkiem oskarżenia. Ława przysięgłych potwierdziła jej opinię.

- Nie obraż się, dziecko - powiedział Danny - ale bronisz każdego, kto jest gotów zapłacić mocno wygórowane honorarium ustalone przez firmę.

Mocno ścisnęła nóżkę kieliszka. Naturalnie, Danny miał rację. Ale jeśli ona nie podejmowałaby się tych spraw, robiłyby to kto inny. Kto inny zbierałby owoce. Przetrawiła ten problem wiele lat wcześniej i wtedy podjęła decyzję.

- Donald Haggerty był niewinny - powiedziała bez przekonania.

- A do tego bogaty. Nie mówiąc już o tym, że jego sprawa trafiła na pierwsze strony gazet.

Meg pociągnęła następny łyk wina. Nie pozwól się urazić, pomyślała. Robiłaś to, co do ciebie należy. Odstawiła kieliszek i zapatrzyła się w lśniący czerwony płyn. Znała Danny'ego dostatecznie, by wiedzieć, że jej nie potępia. Po prostu oswajał się z dzisiejszym wyrokiem, musiał się wyładować. I zmniejszał własne poczucie winy, bo przecież sam zbierał dowody, które podczas procesu pomogły Meg uchronić Holly od kary.

- Spójrz prawdzie w oczy, Meg - ciągnął Danny. - Czy uczciwie sądzisz, że zapadłby dzisiaj wyrok uniewinniający, gdyby Holly nie była taka... - Zdawał się z wysiłkiem szukać właściwego słowa.

- Taka znana? - spytała Meg.

- Taka bogata.

- Taka efekciarska?

- Taka efektowna.

Meg uniosła brwi.

- I co z tego, że taka?

Danny zwinął w trąbkę brzeg serwety.

- Nic. Masz rację. Porozmawiajmy o czym innym. Na przykład o seksie.

- Zły przykład - odparła ze śmiechem. - Lepiej porozmawiajmy o czymś miłym.

Danny gwizdnął pod nosem.

- To brzmi tak, jakbyś potrzebowała nowego mężczyzny.

- Właśnie jednego się pozbyłam. Nic mi po następnym.

- Koniec Królika Rogera?

- Barretta. Rogera Barretta.

Danny z powrotem usiadł prosto. Czuła na sobie jego baczną wzrok.

- Nie kapuję, Meg. Masz same zalety. Robisz karierę, jesteś błyskotliwa i niezaprzeczalnie piękna. - Pochylił się do przodu, uśmiechnął i zniżył głos. - Wiesz, jaka jesteś piękna, prawda? Z tymi gęstymi kasztanowymi włosami, zmysłowym uśmiechem Carli Simon i długimi nogami... - Cicho jęknął, zamknął oczy i położył sobie dłoń na sercu. - Niewiarygodnie długimi nogami...

- Przestań, Danny. - Meg znów zareagowała śmiechem.

Wyprostował się.

- Przecież to prawda, do diabła, świetnie o tym wiesz. Dlatego nie kapuję. Czemu nie przełamiesz oporów i wreszcie się nie zakochasz? I nie pozwolisz komuś, żeby kochał ciebie?

Rozejrzała się po sali zatopionej w półmroku, popatrzyła na odprężonych gości, uśmiechnięte parki żyjące w swoich intymnych światach. Jak mogła odpowiedzieć, skoro sama nie potrafiła uporać się z tym pytaniem przez tyle lat? Znów zatrzymała spojrzenie na Danny'm.

- Próbowałam - stwierdziła. - Wydawało mi się, że Roger jest inny. Myślałam, że tym razem wszystko się ułoży. - Meg wiązała nadzieję z każdym kolejnym mężczyzną. Ale żaden z nich nie zdołał przeniknąć przez oprzęd kokonu, którym Meg ciasno otoczyła siebie i swoje uczucia po rozstaniu ze Stevenem Rileyem. Nikt poznany w ostatnich piętnastu latach nie dorastał mu do pięt. Steven był pierwszym mężczyzną, którego pokochała, i jedynym. Teraz kochała tylko swą pracę i karierę. Przełknęła łyżę cisnące się jej do oczu. - Bardzo się różnimy, Danny. Ty uwielbiasz mieć kogoś przy sobie. W łóżku. Właśnie kogoś. Kogokolwiek. A mnie bardziej odpowiada samotność.

- Może po prostu nie spotkałaś właściwego faceta.
- Może się zdziwisz, ale kobiety zajmują się w życiu nie tylko mężczyznami.

- Więc tego tylko chcesz? Sławy? Pieniędzy?
- Chciałam ciężko pracować. Nienawidzę sławy. Świetnie o tym wiesz.

- Jasne. Nienawidzisz zdjęć i nagłówek. Ale pieniądze? Tego właśnie chcesz. A praca w kancelarii Larson and Bascomb ci to zapewnia.

Nie odpowiedziała.

- Nie kiwaj, dziecinko. Ten dom z elegancką fasadą jest twoim wyśnionym pałacem.

Wyobraziła sobie Raggedy Mana, leżącego w oknie z widokiem na Wschodnią Osiemdziesiątą Drugą i czekającego na jej powrót. Wierny, kochający Raggedy Man. Czy zauważyłby różnicę między bogactwem i biedą? Czy miałoby to dla niego znaczenie? Obraz kota szybko znikł jej sprzed oczu. Jego miejsce zajęła wizja małego, obskurnego pokoiku, w którym wyrosła. Zamrugała i usiadła prosto na krześle.

- Życie z pieniędzmi jest łatwiejsze, Danny.

Uniósł kieliszek.

- No, to za pieniądze. Pieprz romanse.

Ochrząknęła i przepiła do Danny'ego.

- Za pieniądze - powtórzyła, w duchu zastanawiając się, kogo właściwie usiłuje przekonać.

Właśnie wtedy przy ich stoliku pojawił się jakiś człowiek.

- Czy pani Cooper? - spytał.

Meg podniosła wzrok na młodego mężczyznę z gęstą grzywą ciemnych włosów i Pentaxem zawieszonym na szyi.

- Jamie Holbrook z „New York Globe”. Czy może pani skomentować dzisiejszy wyrok?

Meg spojrzała na Danny'ego. Wzruszył ramionami. Pokręciła głową.

- Niech pan sobie idzie - powiedziała. - Dajcie mi spokój.

Było po ósmej, kiedy Meg weszła do domu. Odrzuciła propozycję Danny'ego, który chciał ją odwiedzić. Czowała się trochę za bardzo niepewnie, za łatwo było ją trafić we wrażliwe miejsce. Obawiała się, że gdyby Danny zaczął wpraszać się do środka, nie potrafiłaby powiedzieć „nie”. I lękała się tego, co mogłoby stać się później.

Przycisnęła wyłącznik, zalewając ostrym światłem marmuru przy wejściu. Przedpokój wydawał się teraz mniej pusty i wyludniony. Raggedy Man nie wyszedł jej powitać, nigdy tego nie robił. Meg podejrzewała, że w ten sposób mówi: „Zostawiłaś mnie na cały dzień samego, to teraz szukaj”. Znalazła kota w gabinecie, wyciągniętego na sterście książek wyrastającej z podłogi. Rzuciła teczkę na biurko i pochyliła się, żeby go popieścić.

Był taki czas, że Meg uwielbiała mieszkać samotnie. Zaraz po przeprowadzce do Nowego Jorku najłatwiej odzyskiwała spokój, kiedy zwinęła się u siebie w kłębek, chłonąc ciszę i bezruch. Godzinami przesiadywała nie czytając, prawie nie myśląc, po prostu upajając się samotnością. Dalekie odgłosy zawodzących syren, klaksonów, ulicznego gwaru tworzyły niewyraźne tło, sugerujące, że gdzieś tam na dworze jest życie. Ale nie we wnętrzu, nie w jej świecie, gdzie wreszcie osiągnęła spokój, całkowitą niezależność i absolutną wolność. Wolność od skandalu i wstydu.

Ale po kilku latach jej odczucia się zmieniły. Przyglądając się ludziom dookoła, znajomym, współpracownikom, nawet obcym trzymającym się za rękę podczas spaceru, Meg zaczęła się zastanawiać, co z nią jest nie tak... Dlaczego nie może się powtórnie zakochać, tym razem we właściwym człowieku... Dlaczego nie może znaleźć sobie męża, człowieka, z którym miałyby dzieci i dzieliła życie. Przyglądała się, rozmyślała, a to, co kiedyś było cudowną samotnością, stało się chronicznym bólem osamotnienia. Z perspektywy widziała, że jej nieczęste, a do tego chybione próby romanśów prawdopodobnie jeszcze pogorszyły sprawę.

Wstała i zsunęła z ramion żakiet. Właśnie wtedy zadzwonił dzwonek u drzwi. Meg westchnęła. Zastanawiała się, czy to Danny przyjechał za nią do domu.

Nie był to jednak Danny, lecz Avery.

- No, tak - powiedział. - Jesteś tutaj.

Skinęła głową. Siwowłosey, dobrze zbudowany mężczyzna wyminął ją i ruszył korytarzem.

- Wejdz - powiedziała, zamknęła drzwi i podążyła za nim do gabinetu.

Zdjął kaszmirowy płaszcz i usiadł, niemal zasłaniając sofę swą prawie dwumetrową sylwetką. Mimo ponad sześćdziesięciu lat Avery wciąż roztaczał wokół siebie aurę władczości zarówno na sali sądowej, jak i poza nią.

Avery pogłodził się po skrupulatnie wygolonym policzku. Meg podejrzewała, że ogolił się specjalnie na przyjęcie wydane przez Holly Davidson. Na zdjęciach w prasie człowiek zawsze prezentuje się lepiej bez popołudniowego zarostu. Poczowała ściskanie w żołądku.

- Avery - powiedziała, starając się, żeby wypadło to jak najłagodniej. - Na pewno rozumiesz, że zupełnie nie pasuję do tego miejsca. Do takich kurortów jeżdżą snobistyczne, rozpaskudzone wydry.

Uniósł się z sofy i podszedł do okna.

Meg zabębniła palcami po krawędzi biurka. W pokoju panowała martwa cisza, przejmująca lękiem, krępująca. Była to skuteczna sztuczka, mistrzowskie zagranie adwokata. Meg przyjrzała się plecóm Avery'ego. Westchnęła.

- Nie pasuję, Avery - powtórzyła.

- Będziesz pasować jak złoto - zachichotał ojcowskim śmieszkiem, który zawsze sprawiał, że Meg czuła się nie na swoim miejscu i dziwnie infantylnie. - Bądź co bądź, jesteś kobietą. A kobieta ma robić to, co robią kobiety.

- Posłuchaj, Avery - wycedziła Meg przez zęby. - Jestem dobra w tym, co robię, i mam dzięki temu trochę pieniędzy, ale te kobiety są z pierwszej ligi. Od urodzenia pławią się w forsie, a jeśli nie, to są cholernie pewne, że znajdą męża, który im to w stu procentach zapewni.

- Właśnie.

- Co masz na myśli? - Avery wyraźnie zamierzał nie odpuścić w sprawie tych wakacji. Poczowała, jak z wolna sztywnieje jej kark.

- Nie zaszkodzi, jeśli poobracasz się w odpowiednich kręgach, Meg. Wyrobiłaś sobie dzisiaj wielkie nazwisko. Przyszedł czas, żebyś skorzystała z tego kapitału. To leży i w twoim interesie, i w interesie firmy.

- Jestem kobietą pracującą, a nie miłośniczką kurortów. Nie chcę niczego oprócz następnej sprawy. Im szybciej, tym lepiej.

Odwrócił się od okna i popatrzył na nią.

- Uznajmy więc, że będziesz pracować. Nazwij to rozwijaniem i utrzymywaniem kontaktów. Jeśli nauczysz się przestawać z odpowiednimi ludźmi, firma tylko na tym skorzysta.

Meg spuściła oczy; wbiła wzrok w biurko, w stos papierów przyniesionych do domu z kancelarii. Jej światem była praca. Nie wakacje, nie utrzymywanie kontaktów. Sama

dokonała tego wyboru. „Więc tego tylko chcesz? Sławy? Pieniądzy?” - pytał ją Danny. Oderwała wzrok od biurka, od obrazów ze swojego życia.

- Przemyśl tę propozycję - poprosił Avery. - Pozytywną decyzją ucieszyłabyś i współników, i mnie.

Wspólników... Miała wrażenie, że bez względu na to, co robi, zawsze oczekują od niej więcej. A ponieważ była kobietą, jedynym adwokatem płci żeńskiej w kancelarii, nieustannie musiała rozpychać się łokciami, sprawdzać się, dowodzić, że warto ją zatrudniać. Ale Avery był szefem. I Meg wiedziała, że wreszcie jej wybaczy, nawet jeśli przez kilka dni będzie na nią zły. Znała swoje rzemiosło, a Avery to doceniał. Jeśli odmówi wyjazdu, partnerzy postawią jej w myślach czarną krechę przy nazwisku, ale w końcu jakoś się z tym pogodzą. Znowu spojrzała na Avery'ego.

- Przemyślałam. Odpowiedź brzmi „nie”. Co z moją następną sprawą?

- Nie ma nic takiego, czego któryś ze współników nie mógłby przez kilka tygodni poprowadzić.

- Avery...

- Może jednak spodobałoby ci się w Golden Key. No i może dobrze by ci zrobił krótki wyjazd.

Avery nie ustępował. Meg zastanawiała się, czy też by się tak upierał, gdyby poszła na to zasrane przyjęcie. Albo porozmawiała z pismakami.

- Wiesz, Meg, w życiu są też inne ważne sprawy oprócz pobytu na sali sądowej i czytania wokandy.

- Wątpię.

Zabrał z sofy płaszcz. Był bardzo poważny.

- Jesteś cholerną indywidualistką, Meg. Na sali sądowej taka cecha się przydaje, ale w ostatecznym rozrachunku może zaszkodzić twojej karierze. Gdybyś więcej obracała się w towarzystwie, łatwiej byś sobie radziła z różnymi subtelnościami naszej profesji.

Meg wstała.

- Posłuchaj, Avery. Wygrywam sprawy, które od ciebie dostaję. Zrób mi tę uprzejmość i nie wtrącaj się do mojego życia prywatnego.

- Jako adwokat specjalizujący się w prawie karnym nie masz prywatnego życia. Ale masz obowiązki towarzyskie. I firma oczekuje od ciebie, że będziesz je spełniać zarówno w sądzie, jak i gdzie indziej.

Takiego ciosu Meg się nie spodziewała. Zawsze sądziła, że jeśli poświęci życie ciężkiej pracy, to nic nie odbierze jej sukcesu. Teraz Avery stawiał ją w trudnym, bardzo niewygodnym położeniu. Jej zdecydowanie słabło.

- Zwołam na jutro konferencję prasową. Rozumiem, że dziennikarze chcą usłyszeć kilka słów komentarza do roku.

- Meg - powiedział stanowczo. - *Nie* zmieniaj tematu. Gdybyś wybrała się do Golden Spa, potraktowałbym to jak osobistą przysługę.

Nagle rozjaśniło jej się w głowie.

- To wszystko twoja robota, przyznaj się.

Włożył płaszcz i poprawił jedwabny szalik.

- Holly pytała mnie, czy może coś dla ciebie zrobić. Porozmawialiśmy sobie.

- Pomysł wyszedł od ciebie.

- Ona naprawdę chce cię uhonorować, Meg. Jest ci szczerze wdzięczna.

- A dla firmy jest warta tysiące dolarów.

Skinął głową.

- Wiele tysięcy.

„Bronisz każdego, kto jest gotów zapłacić mocno wygórowane honorarium ustalone przez firmę”. Znów przypomniały jej się słowa Danny'ego. Przebiegł ją dreszcz. Avery podszedł do drzwi.

- Przemyślę sprawę - powiedziała chłodno.

- Nie myśl za długo. O ile wiem, wiosna na wzgórzach Berkshire jest wyjątkowo urokliwa.

Meg siedziała przez godzinę w gabinecie, rozważając jeden, najistotniejszy problem: dlaczego Avery próbuje ją w to wrobić. Dlaczego nie chce jej takiej, jaka jest. Dlaczego nie cieszy go po prostu, że ma młodszego współnika, który zna się na robocie. Ale nie. Avery zawsze myśli o kancelarii. O tym, jak przedstawiają się sprawy z punktu widzenia kancelarii. Jak wygląda kancelaria w oczach świata. Nazwał ją cholerną indywidualistką. Może i słusznie. Ale przecież nie powinno jej *to* poważnie zaszkodzić w karierze.

Danny powiedział jej kiedyś, że Avery doszedł do swojego stanowiska przepotwornym dupolizaniem. Wiedziała, że ma rację, chociaż nigdy by tego głośno nie przyznała. Poza

wszystkim, znała wartość lojalności. A teraz Avery wystawił jej lojalność na próbę.

Wyjęła prospekt z kosza. Wraz z nią wróciła jej przed oczy zapiska na rażąco różowym papierze. „Przyjaciele mojej matki uwielbiają to miejsce”. Meg zaczęła się zastanawiać, jaka była matka Holly. Czy naprawdę wiedziała o ojcu wykorzystującym córkę? Czy naprawdę nic z tym nie zrobiła? Meg kartkowała stroniczki pełne zdjęć uśmiechniętych kobiet. Bez względu na to, jak dziwną osobą była pani Davidson, jedno nie ulegało wątpliwości: w niczym nie przypominała matki Meg, Gladys Cooper. A zabity ojciec Holly w niczym nie przypominał ojca Meg.

Postawiła prospekt na biurku i zamknęła oczy. Wyobraziła sobie Gladys Cooper ubraną w poplamiony szlafrok, z włosami nawiniętymi na różowe wałki. Z pewnością nigdy jeszcze nie było córki i matki, które różniłyby się tak bardzo: Meg - cicha i wrażliwa, Gladys - pyskata i prymitywna.

- Jesteś dokładnie taka sama, jak twój cholerny ojczulek - ryknęłaby Gladys znad kolejnej filiżanki kawy, zapalając kolejnego papierosa.

Meg jednak nie miała okazji tego sprawdzić. Nigdy nie znała ojca, kierowcy ciężarówki wożącej kontenery, który był stałym klientem knajpki w Bridgeport, w stanie Connecticut, gdzie Gladys podawała mu jajka na szynce i najwyraźniej świadczyła również inne usługi, gdy przejeżdżał przez miasteczko w czwartkowe wieczory. Meg nie znała nawet jego imienia. Gladys zawsze mówiła o nim „twój cholerny ojczulek”.

- Twój cholerny ojczulek był żonaty - powiedziała jej któregoś wieczoru, gdy Meg miała siedem czy osiem lat i wreszcie odważyła się spytać o tatę. - Zostawiłby żonę i ożenił się ze mną, ale zaszłam, więc prysnął jak królik. - Potem Gladys przymrużyła oczy, spojrzała na córkę i powiedziała: - Gdyby nie ty, byłabym szczęśliwa.

Później tego samego wieczoru Meg zbudził niepokojący, żaloszny odgłos, przenikający przez ściankę jej sypialni. Nigdy przedtem czegoś takiego nie słyszała, po chwili uświadomiła sobie jednak, co to jest. To jej matka cicho szlochała. Meg wsunęła się z głową pod kołdrę i przysięgała sobie nigdy więcej nie pytać o swojego cholernego ojczulka.

Potarła dłonią kark, usiłując odgonić coraz wyraźniejsze wspomnienia. Najmłodsze lata przeżyła z etykietką „dziecka bez ojca” w czasach, gdy zdarzało się to rzadko, nawet w Bridgeport. Była zbyt bojaźliwa, by nawiązać jakieś przyjaźnie, dzieci mogły przecież odkryć jej sekret, dowiedzieć się, że wyłącznie przez nią jej matka nie wyszła za męża i nie jest szczęśliwa. Miała tylko jedną drogę ucieczki. Znalazła ją w książkach. Każdego wieczoru Meg chowała się w swym obskurnym pokoiku i czytała, czytała, czytała, póki nie zamilkły drażniące dzwonki, gwizdy i radosne okrzyki płynące z telewizyjnej gry, którą bawiła się matka. Przystawała dopiero wtedy, gdy nabrała pewności, że matka śpi i tego dnia już nie będzie więcej mowy o jej „cholernym ojczulku” ani śmiertelnego milczenia, co pod pewnymi względami było nawet gorsze.

W szkole średniej Meg zaczęła pracować w bibliotece. Tam odkryła świat widziany przez pryzmat ziarnistych fotografii w magazynie „Life”. Uświadomiła sobie, że jej życie nie może ograniczyć się do Bridgeport w stanie Connecticut. Do obskurnego pokoiku i zatęchłego domu, gdzie zawsze było coś do naprawienia.

Z pomocą rozumiejącego jej trudności szkolnego pedagoga dostała się do college’u. Została prymuską, po czym przyjęto ją do college’u w Wellesley, przyznając jej pełne stypendium. W cztery lata później skończyła college z wyróżnieniem. Pewnego wieczoru była w samoobsługowej pralni, szykując się do pakowania przed wyjazdem na wydział prawa w Harvardzie. *Nie zwróciła* uwagi na syreny przejeżdżających samochodów. Kiedy wirówka skończyła pracę, wolno poskładała ubrania, wsadziła je do wiklinowego koszyka i ruszyła do domu pięć przecznic dalej. Zanim doszła, mały drewniany dom zamienił się w pogorzelnisko. Gladys Cooper nigdy się nie dowiedziała, że upuściła papierosa na poduszki sofy.

Moją matkę i matkę Holly Davidson łączy tylko to, że obie nie żyją, pomyślała Meg. Znów wzięła do ręki prospekt. „Golden Key Spa... Dla kobiety myślącej”. Czy *tym* właśnie się stała? Rozejrzała się po bogatym wyposażeniu gabinetu: książki oprawne w skórę, adamaszkowe kotary. Problemem były pieniądze. Dotąd sądziła, że pieniądze mogą dać jej azyl przed cierpieniem.

Wciąż jeszcze siedziała przy biurku, gdy kwadrans po

jedenastej zadzwonił telefon. Spojrzała na automatyczną sekretarkę i pozwoliła jej wykonać pracę. Nie miała ochoty z nikim rozmawiać.

- Meg? Mówi Roger - usłyszała. Zasłoniła twarz dłońmi. - Chcę pogratulować ci dzisiejszego wyroku. - Wyciągnęła rękę i wyłączyła podsłuch. Po nagraniu wiadomości przewinęła taśmę bez sprawdzania tekstu.

Następnego rana Meg ubrała się w beżowy lniany komplet. Doszła do Park Avenue i skręciła w prawo, w stronę kancelarii. Głucha na poranne odgłosy ulicy i śpieszącego tłumu, rozmyślała o Golden Key. To nie było uczciwe. Niezależnie od tego, że nie chciała być papierową laleczką Avery'ego od kontaktów towarzyskich, zwyczajnie nie wiedziała, co robić na wakacjach. Nigdy nie miała wakacji i nie pragnęła mieć. Zostałoby jej zbyt dużo czasu na myślenie o zbyt wielu sprawach, o których od wielu lat usiłowała zapomnieć. Postanowiła powiedzieć Avery'emu, że zdecydowanie nie jedzie do Golden Key. Nie mógł jej za to wywalić. Przecież była współnikiem.

Na rogu Sześćdziesiątej Trzeciej zawadziła o stoisko z gazetami. Chwyciła się ramy, żeby nie upaść. Krępy człowieczek z brązowymi zębami wyciągnął do niej pomocną dłoń właśnie w chwili, gdy stos gazet poleciał na chodnik. Meg spojrzała na papierowy śmietnik. Z pierwszej strony gazety bił w oczy tytuł wydrukowany tłustymi wołami: *Królowa Śniegu broni skrzywdzonej niewinności*.

Jeszcze jeden wredny nagłówek, jeszcze jedna prasowa napaść. Poniżej zamieszczono zdjęcie. Meg schodziła ze schodów budynku sądu, ścigana przez tłum, który był na procesie Holly Davidson. A między nagłówek i zdjęcie z poprzedniego dnia wciśnięto małą, nieostrą fotografię z czasu studiów w college'u. Meg miała to zdjęcie wygrawerowane gdzieś w pamięci, od wielu lat raz po raz ożywało w jej snach. To był dla niej początek... i koniec. Zdjęcie przedstawiało ją... razem z nim.

Rozdział drugi

Zdawało się, że powietrze w sypialni zatęchło. Alissa Page przewróciła się na plecy, usiłując dociec, czy zbudził ją smród, czy jękliwe chrapanie męża. Domyśliła się, że Robert jest w domu od niedawna. Szkoda, że nie starczyło mu przyzwoitości, by wziąć prysznic przed położeniem się do łóżka.

Zapatrzona w ciemny sufit nasłuchiwała rytmicznego, charczącego oddechu. Postanowiła oznajmić mężowi następnego dnia, że przyszedł czas na oddzielne sypialnie. Musiało się dla niej znaleźć miejsce godziwego nocnego wypoczynku w tym dwudziestoczeropokojowym dworze. Nic nie przemawiało za tym, że powinni nadal sypiać razem. Seksu nie uprawiali od lat, przynajmniej nie ze sobą. O tej sprawie nigdy jednak nie rozmawiali, bądź co bądź byli jedną z najlepszych rodzin w elicie społecznej Atlanty i okolic. Bogactwo dziedziczone od wielu pokoleń, świetne nazwisko, ogłada.

Robert parsknął i przewrócił się na bok. Alissa westchnęła zastanawiając się, co pomyśleliby pacjenci o dyrektorze cieszącego się światową renomą Ośrodka Badań nad Chorobami Zakaźnymi, błyskotliwym lekarzu naukowcu, doktorze Robercie Hamiltonie Page'u, gdyby mogli go teraz zobaczyć, usłyszeć albo powąchać.

Kątem oka spojrzała na zegar od Cartiera, stojący na nocnej szafce. Trzecia trzydzieści. Nie było sensu męczyć się w łóżku, skoro musiała zaplanować przyjęcie na tysiąc dwieście osób. Niezgrabnie wstała, okryła swą drobną, przesadnie wychudzoną sylwetkę długim jedwabnym szlafrokami, wsunęła stopy w białe aksamitne klapki i na palcach wyszła z pokoju.

Szła po grubym dywanie na galerii w stronę szerokiego ślimaka schodów i po policzkach płynęły jej łzy. Tysięczny raz zastanawiała się, kim jest kochanka Roberta. Czy to ktoś nowy? Może ponętna młoda asystentka? Czy też ktoś niezmienny od lat? Jakaś mężatka? Alissa próbowała sobie wmówić, że to nie ma znaczenia. Byli z Robertem małżeństwem od dwudziestu lat i dotąd jej nie opuścił. Nie opuściłby ani jej, ani dziewczynek. Tego była pewna. Absolutnie pewna.

Wolno zeszła na dół, nie rozumiejąc, dlaczego wciąż bierze sobie do serca niewierność Roberta. Na początku, oczywiście, przejęła się bardzo. Ogarnął ją przykry lęk, jakiego nigdy przedtem nie znała. Dziewczynki były małe, Michele miała dopiero dziesięć lat, Natalie osiem. Alissa znalazła w kieszeni koszuli Roberta rachunek z hotelu Hyatt w Atlancie. Wystawiono go 7 listopada, w weekend, kiedy Robert powinien być na konferencji w Dallas. W każdym razie zgodnie z tym, co mówił. Miesiącami Alissa roztrząsała, jaki błąd popełniła. Stanowiła przecież wzór żony i matki. Jej jedyną zbrodnią było to, że nie miała już dwudziestu lat, w każdym razie do takiego wniosku doszła.

Właśnie wtedy zaczęła dwa razy w roku jeździć do Golden Key Spa na wypoczynek. Ktoś ją musiał porozpieszczać. Zrobiło jej się kilka drobnych zmarszczek na twarzy i szyi, przyjęła więc dewizę: „Używaj życia, póki czas”. Urządziła w dawnej sypialni garderobę na setki kreacji i stosowne dodatki, które zaczęła kupować, i poświęciła energię na stanie się pierwszą damą Atlanty. Obecnie Alissa Page miała czterdzieści dwa lata i organizowała u siebie przyjęcia, na które gorąco pragnęli być zaproszeni wszyscy, którzy cokolwiek znaczyli. Mimo to Robert nie przestał prowadzić podwójnego życia. Alissa była jednak za bardzo zajęta, by zwrócić na to uwagę. No, prawie za bardzo. A Robert przynajmniej zachowywał dyskrecję.

U podnóża schodów otarła twarz, zadowolona że jest noc i nikt nie zobaczy jej łez. Przeszła przez obszerne foyer o ścianach wyłożonych marmurem do wysokich dwuskrzydłowych drzwi biblioteki. Zdażyła obrócić ciężką mosiężną klamkę, kiedy zauważyła na podłodze sączące się światło.

- Matka!

Po ostrym krzyku szesnastoletniej Natalie rozległo się raptowne skrzypienie skórzanego obicia sofy i gorączkowy szelest doprowadzanych do porządku ubrań. Po chwili oczy Alissy przyzwyczały się do światła. Młody człowiek, którego nie rozpoznała, stał teraz przy sofie. Miał potargane ciemne włosy, zaczerwienione policzki, a w dłoni trzymał spodnie, którymi zasłaniał sobie krocz. Alissa westchnęła.

- Koniec randki, Natalie - powiedziała. - Idź do łóżka. - I dodała: - Sama.

Młody człowiek pośpiesznie przemknął obok Alissy.

- Spotkamy się jutro - zawołała za nim Natalie. Ale jedyną odpowiedzią był stanowczy trzask zamka drzwi wyjściowych. Natalie naciągnęła kaszmirowy sweter na jędrne, młode piersi. Alissa zauważyła, że córka wciąż ma nabrzmiałe, wyczekujące sutki. Więcej szczęścia następnym razem.

- Mamo - powiedziała Natalie. - Wybrałaś sobie najmniej odpowiednią porę na myszkowanie po domu.

- Nie myszkowałam, Natalie. - Podeszła do barku i naleła sobie brandy do koniakówki. - Poza tym uważam, że powinnaś zachowywać się dyskretniej i nie sprowadzać chłopaków do domu.

- Gadasz, jakbym była jakąś dziwką.

Alissa wzruszyła ramionami i jednym haustem przełknęła brandy. Alkohol zapiekł ją w przełyku.

- Ciesz się, że to ja weszłam do biblioteki, a nie ojciec.

Natalie milczała. Zapięła spódnicę i poprawiła grzywę kasztanowych włosów, gęstych, zdrowych, zupełnie niepodobnych do rachitycznych blond kosmyków matki, i bardzo przypominających włosy Roberta.

- Nawiasem mówiąc, kto to był? - spytała Alissa.

- John. John Wentworth.

Nazwisko wprawiło Alissę w przykre osłupienie, Wentworth. Oczywiście. Jego ojciec miał żądzę w oczach, a matka takie surowe usta.

- Wentworth? - spytała z udaną obojętnością. - Tak jak Grant i Betty Wentworthowie?

- Jasne. Myślałam, że ucieszysz się słysząc, że spotykam się z kimś, kto jeździ Porsche.

Alissa wyczuła sarkazm w słowach Natalie, ale mimo buntowniczej natury córka zdawała się pielęgnować w sobie przynajmniej jedną pozytywną cechę.

- No, dobrze. Jeśli zamierzasz dłużej z nim chodzić, to lepiej pomyśl dwa razy, zanim tak łatwo zgodzisz się na seks.

- Och, mamó. Daj spokój. Nie jesteśmy już dziewczycami. Za twoich czasów było inaczej. - Z tymi słowami Natalie wyminęła ją energicznym krokiem i opuściła bibliotekę.

Alissa nalała sobie drugiego drinka.

- Nie - powiedziała do pustego pokoju. - Nie jesteście, to pewne. - Tym razem sączyła brandy, zastanawiając się, co powinna zrobić. Postawić Natalie szlaban na wychodzenie z domu? Pod jakim zarzutem? Utrzymywania stosunków pozamażeńskich w miejscu zamieszkania? Może należało powiedzieć Robertowi? Niech on się tym zajmie. Potem przypomniała sobie, jakiego szału dostał w zeszłym roku odkrywszy, że zaprowadziła Michele do ginekologa, żeby zapisał jej pigułki. Robert zauważył rachunek od lekarza. Nie wiedział tylko, że przedtem Alissa była z Michele na usunięciu ciąży. Pigułka stanowiła najmniejszy problem, ale akurat o tym dowiedział się Robert. I nawet tego nie był w stanie spokojnie znieść.

Alissa pociągnęła następny duży łyk i zlustrowała spojrzeniem półki pełne oprawnych w skórę medycznych książek, przemieszanych z klasyką. Zastanawiała się, jak zareagowałby Robert, gdyby wiedział, że po przygodzie z Michele jego żona postanowiła się upewnić, że również druga córka bierze pigułki antykoncepcyjne. W tych czasach nie ma mowy o przesadnej ostrożności. Co do jednego Natalie miała słuszność: dziewczyny nie są już dziewczycami. Alissa uświadomiła sobie, że dzisiejsze podlotki zdają się prosto z kołyski trafiać do atłasowej pościeli. Albo na skórzane sofy. Modliła się tylko, żeby ktoś zdążył wynaleźć szczepionkę przeciwko AIDS, zanim choroba trafi do ich domu. Może tym kimś będzie Robert? Boże! Gdyby tak się stało, jakie przyjęcie mogłaby zaplanować!

Obróciła klucz, który zawsze tkwił w dziurce szuflady

biurka i sięgnęła w głąb, za pistolet Smith & Wesson kaliber 38, który Robert trzymał „dla samoobrony”. Miała tam srebrną papierośnicę. Robert już dawno przestał ją skłaniać do zerwania z nałogiem. W zamian za to zgodziła się nigdy nie palić publicznie ani w jego obecności. Wyciągnęła długiego, cienkiego papierosa i biorąc zapalniczkę zauważyła na blacie nowy numer „Town & Country”, ten sam, który widziała już po południu. Jej dłoń zatrzymała się w pół gestu, potem nagle zaczęła drżeć, bo Alissa znowu poczuła ukłucie rzeczywistości. Wolno otworzyła magazyn i wolno zaczęła przewracać strony. Minęła efektowne ogłoszenia i kolorowe zdjęcia. Dotarła do szukanego miejsca, działu „Przyjęcia”. Pokazywano tam wyłącznie najwykwintniejsze panie z towarzystwa na najważniejszych imprezach dobroczynnych w kraju. Były zawsze ubrane w najpiękniejsze suknie i przystrojone olśniewającymi klejnotami. Alissa dobrze знаła ten dział, bo sama dość często zaszczycą go swoją fotografią. Tylko w ubiegłym roku pięć razy.

Teraz jednak śmiała się do niej wcale nie jej własną twarzą. Czarno-biała migawka z balu w Peach Valley przedstawiała Michele Page, promieniejącą osiemnastoletnią uśmiechem, z elegancją eksponującą swą młodość i piękno. Starsza córka zajęła jej miejsce.

Wpatrując się w zdjęcie, Alissa uniosła dłoń do gardła i pogłaskała się po gładkiej, sprężystej skórze. Za nic nie pozwoliłaby sobie, by jej wygląd skazyły drobne fałdy skórne zwisające z podbródka, które często szpeciły starsze i mniej znające się na rzeczy kobiety. Przesunęła palce wyżej i przebiegła nimi wokół kącików oczu. Ani śladu kurzej stopki, pajęczynki tworzącej się z biegiem lat. A jednak... jednak...

Oto kłopot z córkami: człowiek ma wrażenie, że szybciej się starzeje, pomyślała Alissa. Patrzysz na nie i za łatwo przypominasz sobie, że minęło chyba ze sto lat, odkąd uchodziło ci płazem wychodzenie bez różu na policzkach. Zazdrościsz im, że potrafią z absolutną pewnością siebie nie nosić stanika lub, co gorsza, chodzić w czymś bez rękawów. A potem zaczynają sprowadzać do domu chłopaków, którzy - trzeba się z tym pogodzić - wolą być z nimi, niż z tobą. Bo nawet jeśli masz nie wiadomo jak płaski brzuch i piękną rzeźbę ud, to każdy zdrowy na umyśle

mężczyzna musi sądzić, że kobieta po czterdziestce to wysuszona, zwiotczała kupa ciała z wiszącymi fałdami i nie ma na to rady.

Alissa zapaliła papierosa i głęboko zaciągnęła się dymem. Wtedy uświadomiła sobie, że może właśnie przez to zdjęcie, a nie przez zapach czy odgłosy Roberta, zbudziła się w środku tej cholernej nocy.

Sala bankietowa w restauracji Chez Luis miała wystrój w wymaganych odcieniach morskiej piany i leśnej zieleni. Kilka okrągłych stolików nakryto stosownie lnem i koronką, po czym ustawiono na nich dla ozdoby kryształowe wazoniki z wodnymi liliami. Świec nie było, nigdy nie używano ich za dnia, w każdym razie na pewno nie wtedy, gdy przygotowaniami zajmował się ktoś, kto wie, co robi.

Alissa sprawdziła godzinę na zegarku. Miała nadzieję, że spotkanie szybko się skończy. Był przecież wtorek i czekało ją wkrótce następne, dużo ważniejsze. Tego dnia potrzebowała go bardziej niż kiedykolwiek.

Podeszła do szczytowego stolika i usiadła przy kępie paproci w donicach, żeby przejrzeć notatki. Miała na sobie jedwabny komplet w bladym odcieniu koloru morskiego, dopasowany do wystroju wnętrza. Zaakcentowała to jeszcze zharmonizowanymi ze strojem jedwabnymi pantofelkami i idealnie dobranymi łożkami opali, które skromnie zwisały jej z uszu i otaczały szyję. A co najlepsze w tym wszystkim, żadna z zaproszonych pań nie miała się domyślić, że pod jedwabny komplet Alissa włożyła jedynie kusą koronkową kombinację i nic więcej.

Wiedziała, że podczas wzorowego lunchu wszystko musi być zaplanowane, od atmosfery sali po strój gospodyni, nawet jeśli celem jest tylko przygotowanie innej imprezy. I wiedziała też, że nikt w Atlancie nie potrafiłby dopilnować tego lepiej niż ona. Miała nadzieję, że czterdzieści trzy członkinie Federacji Kobiet Atlanty stawią się w komplecie. Przydzielili im zadania i wrześnieowy bal na rzecz bezdomnych wejdzie w fazę organizacji.

Przeglądając fiszki zapisane różnymi uwagami, Alissa uśmiechała się. Bawiło ją, że wymyśliła przyjęcie na rzecz bezdomnych. Zupełnie jakby ktoś z kręgu osób luźno związanych z organizacją imprezy mogło to dotyczyć. Naj-

bliżej bezdomności znaleźli się dwaj spośród „najdroższych” przyjaciół organizatorek, gdy dla pokrycia długów po skandalu oszczędnościowo-pożyczkowym musieli sprzedać rancza, na których hodowali konie, i rezydencje w Palm Springs. Robert polecił wtedy Alissie skreślić dwa nazwiska z listy gości odwiedzających ich dom. Nie wyglądałoby dobrze w oczach policji kryminalnej, gdyby nadal bratali się z tymi aferzystami.

Naturalnie Alissa nie była całkiem pozbawiona współczucia. Ani świadomości. Podczas jednego ze swych „wypadów”, tydzień wcześniej dostrzegła grupę społecznie zaangażowanych artystów, sprzedających swe prace turystom z kamerami w zatęchłych sklepikach Undergroundu. Choć z uśmiechem powiedziała malarzowi, żeby zatrzymał swój obrazek dla siebie, to dała mu pięćdziesięciodolarowy banknot. Bądź co bądź, gdyby nie ciotka Heima i wuj Jack ona również mogłaby być pozbawiona środków do życia, bezdomna, samotna.

Alissa zamrugała. To nie do pomyślenia. Szybko uprządkowała fiszki. Chciała mieć już ten lunch za sobą.

Na salę weszło kilka roześmianych, zajętych rozmową kobiet.

- A czytałyście o Louise Cotton? - dobiegł do niej czyjś wysoki głos.

- O mój Boże! Wyobraźcie sobie... w końcu rozwodzi się z mężem.

- I jego milionami.

- Raczej miliardami.

- Alisso - zawołała jedna z kobiet. - Słyszałaś?

Alissa odłożyła notatki.

- Owszem, to ci wydarzenie. Sama czasem myślę, czy czegoś takiego nie zrobić.

Wszystkie zgodnie zachichotały, bo wszystkie wiedziały, że rozwód Alissy z Robertem jest niemożliwy. Bez niego Alissa nie miałaby niczego i byłaby nikim. Każda z nich byłaby nikim bez swego męża.

Alissa uśmiechnęła się, usiadła i poczuła zmysłową przyjemność, gdy koronka majtek otarła jej się o krocze. Znów spojrzała na zegarek. Piętnaście po drugiej. Jeszcze kilka godzin czekania.

Do szczytowego stolika podeszła Sue Ellen Jamison, pochodząca od Jamisonów z Rockford. Miała sześćdziesiąt

kilka lat i wspierała krąg towarzyski kobiet Atlanty na długo przed tym, zanim stał się modny. Jej krępa sylwetka zawsze wyglądała nieskazitelnie, siwe włosy zawsze były starannie ufryzowane.

- Kochanie - powiedziała do Alissy. - Cóż za przepiękne zdjęcie twojej Michele jest w „Przyjęciach”. - Żadna z obecnych kobiet nie używała tytułu „Town & Country”. Wszak w magazynie był tylko jeden dział godny uwagi, który wystarczał paniom za całość.

Alissa mocniej ścisnęła fiszki.

- Owszem - odparła bez wahania. - Jesteśmy z niej bardzo dumni.

- Masz takie urocze córeczki. Wspaniale je prowadzisz. Naprawdę wspaniale.

Oj, wspaniale, miała ochotę powiedzieć Alissa. Trzeba było widzieć moją szesnastolatkę kilka godzin temu, jak pieprzy się na sofie w bibliotece. Zamiast tego jednak odwzajemniła uśmiech i powiedziała:

- Dziękuję, Sue Ellen. Taki komplement z twoich ust wiele znaczy.

Sue Ellen wybuchnęła śmiechem.

- Dorasta następne pokolenie. Ani się obejrzymy i będę miała status babci.

- Raczej królowej matki, Sue Ellen - powiedziała Alissa z przekonaniem. - I nie zapominaj - dodała, chcąc zmienić temat - że liczę na ciebie. Wierzę, że zapewnisz naszym gościom na balu bajeczną rozrywkę.

Sue Ellen skinęła głową.

- Gdy tylko ustalimy temat, zrobię wszystko, co w mojej mocy.

Alissa uśmiechnęła się wiedząc, że Sue Ellen umiera z ciekawości, kto będzie przewodził komitetowi programowemu. Miała to być główna postać imprezy, następna w hierarchii władzy po Alissie. Wszyscy spodziewali się, że Alissa powierzy tę funkcję Fran Charles, zawięzanej artystce, której mąż zajmował stołki w niemal wszystkich ważnych zarządach w mieście. Dzięki jego powiązaniom w przeszłości udało się minimalnym kosztem przekształcić wiele imprez w ekstrawagancje.

Sala była już pełna, kobiety zajęły miejsca. Alissa nie wątpiła, że przyjdą punktualnie. Zawsze tak było. Prowadziły aktywne życie i miały zapchane rozkłady dnia. Wie-

działy, że chcąc coś doprowadzić do końca, trzeba być człowiekiem zorganizowanym.

Nad sorbetem, między sałatką z cykorii i łososiem, Alissa zdecydowała, kogo mianuje przewodniczącą komitetu programowego. Wiedziała, że będzie z tą kobietą blisko współpracować. Postanowiła więc wybrać kogoś, kogo musi lepiej poznać. O zrobieniu czegoś takiego myślała już od kilku miesięcy. Po ostatniej nocy wydawało jej się to wprost konieczne.

Odłożyła łyżkę i wstała.

- W tym roku - oznajmiła autorytatywnym tonem przypowinowanym słodyczą - w obliczu zbliżających się igrzysk olimpijskich nasze miasto tworzy swój nowy obraz. Porywający obraz świeżości i energii. Postanowiłam podchwycić ten wątek i powołać na przewodniczącą komitetu osobę, która może wnieść nowe idee i postawić przed nami wszystkimi nowe wyzwania. - Panie zaczęły się rozglądać od stolika do stolika. Fran Charles splotła dłonie na podłoku.

- Na przewodniczącą komitetu programowego naszego balu na rzecz bezdomnych wybieram Betty Danforth Wentworth. - Jakoś oparła się pokusie, by dodać: „...której syny różnie moją córkę”.

Betty, której żadne zabiegi kosmetyczne nie pomogłyby w ukryciu chronicznego grymasu niezadowolenia i nieustannie ponurego wyrazu oczu, wstała i ochoczo przyjęła nominację. Alissa zwróciła uwagę na jej beżowy komplet. Grant Wentworth zawiadywał prowadzoną od pięciu pokoleń firmą żony, handlującą orzeszkami ziemnymi i bawełną. Alissa zastanawiała się, czy Betty świadomie ubiera się w beż i biel dla promocji rodzinnych towarów.

Na sali zapadła cisza, potem rozległy się grzecznościowe oklaski. Alissa wiedziała, że za plecami będzie mocno krytykowana, ale żadna z członkiń Federacji Kobiet Atlanty nie zakwestionuje tego wyboru. Nawet pełna wdzięku, utalentowana i teraz zapewne maksymalnie zjeżona Fran Charles. Alissa uśmiechnęła się, podniecona nagłym wpływem poczucia władzy. Spojrzała jeszcze raz na zegarek, usiłując odgadnąć, czy na drugim krańcu miasta, na trzydziestym pierwszym piętrze wieżowca Danforth Peanut and Cotton Properties, Grant Wentworth robi dokładnie to samo.

Alissa otworzyła drzwi kluczem, który Grant dał jej w początkach romansu. Wiedziała, że prawdopodobnie nie jest pierwszą kobietą, obejmującą ten apartament na wtorkowe popołudnia, ale przez ostatnie cztery miesiące zaczęła nazywać go w myślach „ich” miejscem... portem, w którym chronili się przed życiem.

Rzuciła torebkę na stojącą przy wejściu kanapkę z kości słoniowej i zawołała:

- Grant? Jestem.

Powitała ją cisza. Spóźnił się. Znowu. Odgoniła myśl, że co tydzień Grant zjawia się później, szybko minęła barek, salon i weszła do łazienki. Odkręciła krany głębokiej, olbrzymiej wanny z wirówką, wzięła kryształowy flakon i obficie dołąła do wody płynu do kąpieli. Potem poszła przebrać się w garderobie.

Grant nie był pierwszy. Po odkryciu zdrady Roberta jeszcze przez trzy lata Alissa była przykładną żoną. Wierną. Głupią. Pięć lat temu odkryła nagle, jak łatwo jest nawiązać romans, jak wolna, pożądana i samodzielna wtedy się czuje. Zaczęła od maształarza w klubie. Uświadamiała sobie teraz, że to był banał, zdarzenie rodem z kiepskich romanseł. Ale seks udawał im się wspaniale. Był pełen żądy, śmiały, podniecający. Z tym spoconym, muskularnym chłopakiem stajennym Alissa przeżyła pierwszy orgazm od wielu lat. Nabrała apetytu na więcej.

Zsunęła z siebie koronkową kombinację, żałując, że nie ma Granta, żeby zrobił to za nią. Zaliczyła chyba z pół tuzina romansowych epizodów, zanim pozwoliła sobie na pójście do łóżka z kimś z jej własnego kręgu. Wymagało to pewnej brawury i miało smak owocu zakazanego. Alissa kończyła każdy romans, gdy sprawy zaczynały się komplikować, a komplikacje pojawiały się, diabli wiedzą czemu, zawsze. Ale póki było dobrze, to było bardzo, bardzo dobrze. No, i schadzki pomagały zapomnieć jej o bólu, jaki sprawiało odrzucenie przez męża.

Poczucie odrzucenia było Alissie rozpaczliwie dobrze znane. Kiedy miała sześć lat, jej rodzice zginęli w katastrofie samolotowej. Jej braci bliźniaków wysłano do ciotecznych dziadków w Londynie. Ale starzy ludzie nie chcieli wychowywać małej dziewczynki, więc Alisę nie bez oporów wzięł brat jej ojca z żoną, bezdzietna para w średnim wieku, która rozpaskudzała ją prezentami, ale nigdy nie

nauczyła się jej kochać. Wkrótce dziewczynka zaczęła stawić znak równości między kucami, jachtami, zakupami i przyjęciami a poczuciem stabilizacji, bezpieczeństwa. W następnych latach do listy rzeczy wartych robienia i rzeczy wartych posiadania dodała jeszcze przygody seksualne. Nie były to trofea, lecz akcesoria konieczne do życia.

Zdażyła wrócić do kąpieli i zanurzyć się w ciepłej pianie, kiedy usłyszała trzask drzwi. Dobrze, pomyślała, przynajmniej nie za późno. Mieli mnóstwo czasu, bo w domu Alissa musiała być o szóstej. Powinna wtedy spotkać się z Robertem, a wieczorem czekało ją otwarcie galerii.

- Alisso?

Zawołał ją po imieniu. Boże, uwielbiała dźwięk jego głosu. Był taki mocny, autorytatywny.

- Kąpię się - odpowiedziała. - Chodź do mnie. - Nasunęła sobie na piersi górę piany, zostawiając odkryte tylko ciemne kółka sutek. Myśl o Grancie, który schylił się i będzie je całował, sprawiła, że brodawki stwardniały jej niemal boleśnie.

Grant pojawił się na progu. Jego barczystą, smukłą sylwetkę okrywał jasnoszary, szyty na miarę garnitur. Miękkie siwe włosy i zauważalna opalenizna stanowiły tło dla jasnoniebieskich oczu. Tych oczu pełnych żądy.

- Wyłaź z wanny - powiedział. - Musimy porozmawiać.

W jego głosie była nuta nerwowości, której Alissa nigdy przedtem nie słyszała. Zignorowała go i polizała sobie czubek palca. Potem powoli dotknęła brodawki piersi.

- Możemy porozmawiać tutaj - odparła. - Zdejmij ubranie.

Zapiął marynarkę na wszystkie guziki.

- Będziemy rozmawiać w salonie. Wytrzymaj się. Tam na ciebie poczekam. - Obrócił się i ruszył do drzwi.

- Grant?

Przystanął.

- Co?

Częściowo wysunęła się z wody i oparła łokcie o brzegi wanny.

- Czekałam cały dzień, żeby cię possać.

Stał nieruchomo, odwrócony do niej plecami.

- Proszę - odezwała się znowu. - Wiesz, jak uwielbiam cię ssać. - Cokolwiek zajmowało myśli Granta, Alissa była zdecydowana nie dać się wykiwać i odebrać swoją porcję wtorkowego rżnięcia.

Nadal stał w tym samym miejscu, zobaczyła jednak, że przeczesuje dłonią włosy. Usłyszała jego westchnienie.

- Alisso, seks nie jest odpowiedzią na wszystko.

Bez słowa dmuchnęła na bąbelki piany. Grant pozostał na progu. Cicho powtórzyła:

- Proszę.

Oparł dłonie na biodrach, przez chwilę się wahał, po czym wyszedł z łazienki.

- Powiedziałem, że będziemy rozmawiać w salonie.

Alissa czuła żar palący jej policzki. Nie miał prawa traktować jej w ten sposób. Żadnego prawa robić z niej kurwy. Czyżby nie wiedział, jakie szczęście mu się przytrafiło, że ją ma? Ciekawe, kiedy ostatnio ta jego żona z gębą oziębłej baby dała mu się wydmuchać. Łzy zapiekły ją pod powiekami. Niech go szlag trafi. Niech go szlag. Co on sobie, u diabła, wyobraża?

Wylazła z wanny, stanęła na marmurowych schodkach i sztywnym krokiem weszła naga do salonu. Resztki piany błyszczały jej na piersiach, nogach, owłosieniu łonowym.

Grant stał przy barku, przygotowując sobie drinka ze szkockiej. Obrzucił ją spojrzeniem.

- Ubierz się. A potem wynoś się stąd.

Alissa oparła ręce na biodrach. Woda zaczęła ściekać, tworząc smętną kałużę u jej stóp, na eleganckim aubussońskim dywanie.

- Grant - powiedziała stanowczym tonem. - Co jest grane? - Zaskoczyło ją, że zdobyła się na tyle opanowania. Ton jej głosu nie zdradzał ani głośnego bicia serca, ani tego, że żołądek podchodzi jej do gardła.

Wypił łyk szkockiej i przytrzymał szklaneczkę przy piersi.

- Wychodząc zostaw klucz, proszę.

Alissa wyciągnęła rękę, wyrwała mu szklaneczkę i cisnęła nią o ścianę. Okruchy kryształu rozsypały się na wszystkie strony.

Grant popatrzył na nią złym wzrokiem.

- Nie spodziewałem się po tobie takich teatralnych zachowań.

Myśli przemykały jej przez głowę jak błyskawice. Słowa same pchały jej się do ust; w ogóle nie zdawała sobie sprawy z ich treści.

- Co jest grane, u diabła? Przyszłam tak, jak przychodzę

od czterech miesięcy. Po to sarnę, co ty, nie zapominaj o tym. No, więc co jest, u diabła? Żądam natychmiastowej odpowiedzi. I nie wyjdę, dopóki jej nie dostanę.

Spokojnie nalał sobie drugiego drinka.

- Jeśli trochę pomyślisz, to na pewno znajdziesz odpowiedź, Alisso.

Zimny dreszcz przebiegł jej po ciele. Zapragnęła coś na siebie włożyć... szlafrok frotte kupiony u Neimana, który wisiał w garderobie, aksamitną bonżurkę Granta prosto od Diora, chciała włożyć cokolwiek, byle coś mieć na sobie. Bała się jednak spuścić Granta z oczu, żeby nie wyszedł podczas jej nieobecności.

- Nie wiem, o czym mówisz - oświadczyła.

Pociągnął długi łyk, odchylając głowę w chwili, gdy alkohol przepływał mu przez gardło. Alissa niemal czuła, jak szkocka pali go w przełyku.

- Postąpiłaś wyjątkowo niestosownie, wybierając moją żonę na przewodniczącą tego twojego komitetu.

Alissa roześmiała się.

- O to ci chodzi? Nie żartuj, Grant, nie wiesz, o czym mówisz.

- Nie? Z mojego punktu widzenia chciałaś się do niej zbliżyć. Może po to, żeby ją podrażnić? W pewnej chwili powiedziec o nas?

- Nie bądź śmieszny.

Znowu upił łyk.

- To ty jesteś śmieszna. Niczego nie potrzebuję mniej niż skandalu. Jesteś kobietą pełną goryczy, Alisso. Mściwą. Musisz jednak wiedzieć, że nie zamierzam odchodzić od żony tylko dlatego, że twój mąż jest, nazwijmy to, znużony.

Alissa oparła się pokusie wyrwania mu z dłoni następnej szklaneczki.

- Mam dla ciebie nowinę, ty sukinsynu. Nie chcę, żebyś odchodził od żony. Niech Bóg broni, żebyś abdykował z tronu władcy panującego nad jej rodzinną fortuną. Aż trudno mi uwierzyć, że tak szlampowo się zachowujesz, więc powiem ci tylko jedno. Nie chcę, żebyś od niej odchodził, ale stanowczo żądam, abys wytłumaczył synowi, żeby przestał pieprzyć moją córkę. Bo inaczej oskarżę go o zgwałcenie nieletniej. - Miała nadzieję, że Grant nie pozna się na kłamstwie. Może nie domyśli się, że nigdy nie

naraziłaby córki lub rodziny na splamienie skandalem. Zresztą i tak w Georgii szesnastolatki wyrażające zgodę na seks nie uważa się za nieletnią.

Grant zmartwiał, zatrzymał dłoń ze szklaneczką w pół drogi do ust.

- Co proszę?

- Słyszałaś, co powiedziałam. Wytłumacz swojemu przyszczatemu synalkowi, żeby przestał pieprzyć moją córkę.

Grant zamrugał. Żądza w jasnoniebieskich oczach nieco osłabła.

- Nie miałem pojęcia...

- Nie wątpię. Prawdopodobnie opowiedziałeś mu, jakie gorące są kobiety z rodziny Page'ów. Sądzę, że go zachęcał.

Odstawił drinka i spojrział na Alisnę.

- Porozmawiam z Johnem - obiecał. - A teraz proszę, ubieraj się i znikaj.

Alissa wpadła do garderoby. Łzy cisnęły jej się do oczu. Nie mogła uwierzyć, że Grant mówi serio. Nie mogła uwierzyć, że wszystko skończone. To miał być bardzo szczególny romans, trwały, dający jej spokojny azyl, którego tak potrzebowała.

Gdy nakładała swój jedwabny komplet, przyszła jej do głowy bardzo przykra myśl: co teraz, u diabła, zrobić z wtorkowymi popołudniami?

Stała w garderobie, machinalnie przebierając w sukniach na przyjęcia. Bez przekonania próbowała wybrać coś do włożenia na wieczorne otwarcie galerii. Nie miała nastroju do wyjścia, wiedziała jednak, że musi. Nie po to, by pokazać uśmiechniętą twarz opiekunki artystów i nie po to, by zobaczono ją wśród ludzi we właściwym miejscu i czasie. Nie, tego wieczoru musiała po prostu czymś zająć umysł, żeby odwieść go od wspomnień z ostatnich dwudziestu czterech godzin: Robert cuchnący seksem, zdjęcie Michele w „Town & Country”, przygoda Natalie na sofie w bibliotece... no, i w końcu Grant Wentworth.

Nawet wieczór w towarzystwie Roberta mógł jej pomóc. Potem chyba należało pomyśleć o wybraniu się na kilka tygodni do Golden Key. Czas na wakacje. Na odmłodzenie.

Zwróciła uwagę na krótką czarną sukienkę. Zdjęła ją z wieszaka i, rozpostarłszy przed oczami, poddała inspe-

kcji. Bez pleców, nie, uznała. Za seksowna. Ściągnęła suknię z sąsiedniego wieszaka. Czerwoną, krótką, z głębokim dekoltem. Odwiesiła obie na drążek i zapatrzyła się w rząd kreacji. Czyżby w taki sposób ubierała się ostatnio? Jak dziwka?

Przesuwała się wzdłuż drążków. Przystawała. Oglądała. Odrzucała. Wtedy zauważyła sukienkę w kolorze czekoladowym. *Nie* była przesadnie krótka ani przesadnie długa, miała długie rękawy i wysoki kołnierzyk. Znakomita kreacja dla osoby czującej, że jest stara, przygnębiona, nikomu niepotrzebna. Znakomita na ten wieczór. Alissa kupiła ją po zerwaniu z przedostatnim kochankiem. W tydzień później zaczęła się spotykać z Grantem, nie miała więc okazji włożyć tej nowości.

- Mamo, jesteś? - rozległ się głos Michele.

Alissa pociągnęła za zamek błyskawiczny torby chroniącej suknię.

- Tutaj, w głębi.

Michele ze zwykłą dla siebie lekkością wyłoniła się zza wieszaka. Była lustrzanym odbiciem młodej Alissy zarówno zewnątrz, jak i pod względem osobowości, mimo że akurat miała na sobie wytarte džinsy i obszerną bawełnianą koszulkę, a blond włosy swobodnie zebrała w koński ogon. Alissa wiedziała jednak, że godzina spędzona przy toalecie, tym meblu schlebającym kobiecej próżności, zamieni jej córkę w królową piękności.

- Czy mogę coś sobie stąd wziąć na dzisiejszy wieczór? - spytała.

- Dokąd idziesz?

Michele zaczęła grzebać wśród wieszaków, kwitując kolejne suknie zmarszczeniem czoła.

- Na otwarcie galerii.

Alissa poczuła pulsowanie w skroni.

- Nie wiedziałam, że się tam wybierasz.

Michele spojrzała na sukienkę trzymaną przez matkę.

- Wkładasz to? Boże, mamo, ekstra!

Alissa obronnym gestem przycisnęła suknię do ciała.

- Kiedy postanowiłaś iść?

Michele wzruszyła ramionami.

- Wczoraj wieczorem. David mnie namówił. - David Johnston był jej chłopakiem w tym miesiącu. - Czy ty i tata idziecie z kimś jeszcze?

Alissa pokręciła głową, próbując sobie wyobrazić, jak długo będzie musiała się przyzwyczajać do myśli, że córka uczestniczy w tych samych wydarzeniach towarzyskich co ona. Jej córka! Olśniewająca. Młoda. Zupełnie nie taka jak matka. Już nie. Alisnę zamroczyło z zazdrości.

- Hej, mam, mogę to pożyczyć?

Alissa spojrzała na białą obcisłą sukienkę w rękach Michele. Kupiła ją przed rokiem, kiedy jechali z Robertem na Puchar Ameryki. Przyjęcia na jachtach były wręcz bajeczne, a jej zdjęcie ukazało się dosłownie wszędzie. Boże, pomyślała, czyżby to było zaledwie w zeszłym roku?

- Pewnie - odparła w końcu. - Jeśli chcesz mieć następne zdjęcie, tym razem w „Playboyu”.

- Mam...

- Po prostu wydaje mi się, że jest dla ciebie trochę za dorosła.

- Ależ mam, ja mam osiemnaście lat. Jest dla mnie doskonała.

A dla mnie nie, miała ochotę wykrzyzczyć Alissa. Dla mnie już nigdy nie będzie. Podeszła do stojaka z obuwem i zaczęła szperać wśród opakowań. Wiedziała, że gdzieś tam musi mieć parę aksamitnych pantofli w kolorze czekoladowym. Rozrzuciła pudła na podłodze. Te pantofle mają złote klamki. Zerwała następne wieczko. Białe skórzane. Odepchnęła pudło na bok. Włożyła złote kolczyki z topazami i do tego stosowną broszkę. Chwyciła inne pudło. Czarne sandały na wysokim obcasie. Odrzuciła pudło za siebie. Nałożyła sobie brązowy cień na powieki, co podkreślił bursztynowy odcień oczu. Bursztyn. Złoto. Barwa bogactwa. Barwa władzy.

- Mam, co ty robisz, na miłość boską?

Alissa upuściła pudło.

- Nie mogę znaleźć pantofli. Brałaś je?

- Nie. Wiesz przecież, że masz mniejsze stopy niż ja.

- Tak, oczywiście. Wobec tego muszą być gdzieś tutaj.

- Pomogę ci. - Michele przykucnęła obok i zaczęła przeglądać zawartość pudeł.

- Nie potrzebuję twojej pomocy.

Michele znieruchomiała.

- No, wiesz.

- Idź się ubrać. Zrób się na bóstwo. Będziesz wyglądać wystrzałowo.

- Co się stało, mamó? - spytała Michele, siadając na podłodze.

Alissa ściągnęła jeszcze jedno pudło ze stojaka, zerknęła do środka i odrzuciła.

- Co się stało? Nic się nie stało. Po prostu nie mogę znaleźć tych przeklętych pantofli.

- Jeśli naprawdę nie chcesz, żebym włożyła tę sukienkę, to nie włożę.

- A noś sobie tę cholerną sukienkę. Nic mnie to nie obchodzi. Może teraz zostawisz mnie samą?

Michele wstała.

- Jasne. Pójdę się ubrać.

- Doskonale. Idź.

Alissa słyszała, jak kroki Michele cichną. Osunęła się na podłogę, ukryła twarz w dłoniach i zaczęła szlochać. To było takie nieuczciwe. Wszystko było nieuczciwe. Rozejrzała się dookoła po bałaganie, jaki urządziła. Sterty przedmiotów. Rzeczy posiadanych. Przypomniało jej się dzieciństwo, zabawa w garderobie ciotki Helmy. Pokazywała Polly i LuAnn, przyjaciółkom z prywatnej szkoły, jedynym, jakie miała, wszystkie suknie i futra ciotki. Razem chichotały wyciągając z pudeł i przymierzając kapelusze, niezliczone jak w kolekcji Jackie Kennedy, i dopasowane do nich kolorystycznie długie rękawiczki. A kiedy dziewczynki bawiły się tak samo w innych domach, Alissa wiedziała, że po cichu jej zazdroszcza, bo matka żadnej z nich nie miała takiej wielkiej i zabawnej garderoby jak ciotka Heima. Jakoś zdawało się to rekompensować jej fakt, że przyjaciółki miały matki, a ona nie. Jakoś czuła się dzięki temu kochana.

Oczywiście wyłącznie do dnia, w którym Polly i LuAnn zdecydowały, że wyrosły z zabawy w przebieranki, a poza tym już Alissy nie lubią. Wysłała je wtedy do diabła, powiedziała im, że są paskudnymi dziewczuchami i nie muszą zadzierać nosa tylko dlatego, że mają matki i ojców. Solidnie je zwymyślała i nawet doprowadziła do płaczu. Sama jednak nie płakała. Zalała się łzami dopiero wtedy, gdy wyszły, a ona wróciła do garderoby ciotki Helmy i zamknęła za sobą drzwi. Włożyła jeden z kapeluszy, naciągnęła długie rękawiczki, usiadła pośrodku podłogi i łkała, łkała, łkała, aż wydało jej się, że nie ma już czym i nie będzie miała do końca życia.

Ciotka Heima była jednak zadowolona z tego, że Polly i LuAnn sobie poszły. Powiedziała, że nie są dość dobre dla Alissy, że ich rodzice są po prostu nikim. Wuj Jack kazał jej wtedy nie zwracać uwagi na ciotkę, która jest rozgoryczona, bo życie nie ułożyło jej się tak szczęśliwie, jak sobie życzyła. Alissa nie chciała denerwować wujostwa, dlatego całkiem zrezygnowała z przyjaciółek. Skoro więc teraz Grant Wentworth mówi to samo o niej, to owszem, są poważne powody, dla których Alissa może czuć się rozgoryczona.

Podniosła z ziemi brzoskwiniowy pantofel na wysokim obcasie i cisnęła nim w suknie na wieszaku, Dlaczego właściwie miłość jest taką wielką sprawą? Nikt nigdy naprawdę jej nie kochał, a mimo to udawało jej się w życiu całkiem nieźle.

Wtedy przypomniała sobie Jaya Stockwella. Jay ją kochał. To było dawno temu, w innym życiu. Przesunęła dłonią po otaczających ją butach. Miejsce złości w jej sercu zajął smutek.

Jeszcze Robert. On też kiedyś ją kochał. Nie? No, nie w ten sam sposób co Jay. Nie namiętnie. Nie bez reszty. Ale kochał ją delikatnie i tolerancyjnie. Romans między nimi opierał się na zażyłości, na podobieństwie wychowania i uznawanych wartości. Robert kochał ją po partnersku, jak mężczyzna, z którym kobieta po prostu dobrze się czuje.

Kiedy to się zmieniło? I dlaczego? Alissa potarła miękkie zamsz granatowego pantofla na płaskim obcasie. Czy dla niej i Roberta jest już za późno?

Nie czuła do Roberta nienawiści. Nie było w nim czego nienawidzić. Nadał zachowywał się wobec niej uprzejmie, okazywał cierpliwość i wrażliwość. Tyle że zwyczajnie ją oszukiwał. Czy była w stanie to naprawić, teraz, gdy sprawy zaszły tak daleko?

Podniosła się z podłogi i przyjrzała obuwiu, które zostało jeszcze na stojaku. Może jednak nie jest za późno? Dziewczynki wkrótce wyprowadzą się z domu, może przyszedł czas, by poznać męża od nowa, postarać się ratować małżeństwo. Starsza córka stała się pełnoletnia, ale to nie oznacza samo przez się, że dla Alissy życie się skończyło. Wciąż jeszcze jest młoda, no, dosyć młoda, i wciąż jeszcze może dowieść Robertowi i światu, że bije na głowę wszyst-

kie jego kochanki, te młode gładkoskóre piękności wchodzące do towarzystwa.

Postanowiła, że spróbuje odbić Roberta. Zacznie jeszcze tego wieczoru.

Spojrzała na zegarek. Kwadrans po czwartej. Ubierze się i zanieśe Robertowi frak do laboratorium. O tej porze jego współpracownicy są już w domu. Będzie mogła uwieść go na miejscu. Potem Robertowi zostanie jeszcze mnóstwo czasu na wzięcie prysznic i przebranie się, żeby zdążyli na otwarcie galerii.

Alissa poczuła, jak spływa na nią uspokojenie. Pójdzie do Roberta, zrobi mu niespodziankę. Znowu rzuci czar na ich małżeństwo. Przeżyli razem zbyt wiele lat i zbyt wiele lat mieli przed sobą, by spędzić je tak jak teraz albo całkiem je przekreślić. Zapragnęła znowu być kobietą, z którą Robert się ożenił. Podniosła czarne sandały na wysokim obcasie i wróciła do szafy po krótką czarną sukienkę. Musi pamiętać, żeby polecić Dolores sprzątnięcie tego całego śmietnika jeszcze dziś wieczorem.

Ośrodek Badań nad Chorobami Zakaźnymi znajdował się niedaleko ich posiadłości. Ufundowany ze środków prywatnych przez sponsorów, którzy weszli w spółkę, nie hamowany finansowaniem z państwowego budżetu, szczycił się najnowocześniejszym wyposażeniem na świecie. Robert zgromadził w ośrodku zespół błyskotliwych lekarzy i pracowników obsługi z całego świata. Teraz ich prace koncentrowały się przede wszystkim wokół poszukiwań lekarstwa na AIDS. Początkowo Alissę niepokoiło ryzyko, na jakie Robert naraża siebie, a także ją, pracując z pacjentami chorymi na AIDS; ale mąż zapewnił, że nie jest to choroba bardziej zaraźliwa dla lekarza niż, dajmy na to, żółtaczką.

- W gruncie rzeczy - powiedział - gdybyś przeżyła przełotną przygodę z nosicielem wirusa, miałabyś większą szansę zająć w ciążę, niż zarazić się AIDS.

Nie uwierzyła mu.

- Czemu robiono by wokół tej sprawy tyle szum, gdyby to była prawda? - spytała.

Robert odparł, że szum jest nieunikniony. AIDS to choroba, której można zapobiegać, i trzeba to ludziom uświadomić.

Tak rozmawiali wiele lat temu. Zjechawszy z autostrady na Peachtree Road, Alissa uświadomiła sobie, że zawsze wierzyła Robertowi. Wiedziała, że nigdy nie skrzywdzi swojej rodziny, nie wystawi ich na ryzyko zarażenia się AIDS lub inną zakaźną chorobą, którą studiuje w laboratorium.

Robert w zasadzie nie musiał pracować. Fundusze powiernicze, którym przekazali do obrotu swoje majątki, dostarczały ich rodzinie wystarczająco dużo pieniędzy, by mogli utrzymywać styl życia, do jakiego oboje przywykli od dzieciństwa. Ale Robert uwielbiał pracować. Był lekarzem, uzdrowicielem. Poza tym był też najinteligentniejszym i najbardziej pewnym siebie mężczyzną, jakiego znała. Może częściowo właśnie dlatego jego niewierność nadal tak bardzo ją bolała. Czuła się tak, jakby mówił jej przez to, że jest nie dość ładna albo nie dość atrakcyjna, albo wreszcie nie dość młoda, by dać pełną satysfakcję mężczyźnie. A szczególnie jemu.

Wjechała Jaguarem na parking. Natychmiast dostrzegła XJS Roberta i stwierdziła, że choć minęła już piąta, wciąż jeszcze stoi tu kilka innych samochodów. No tak, choroby nie uznają zegarka.

Gdy zaparkowała, uświadomiła sobie, jak bardzo jest zadowolona ze swego pomysłu. Pomyślała o fraku na tylnym siedzeniu. Wszyscy mężczyźni wyglądali jej zdaniem dobrze w uroczystym stroju. Ale Robert wyglądał wyjątkowo dobrze. Miał czterdzieści sześć lat, wciąż jednak był szalenie przystojny. Z pewnością był najprzystojniejszym mężczyzną w ich kręgu. Miał szpakowate włosy i ciemne oczy, którymi przenikał do głębi każdego rozmówcę, demonstrując, jak ważne dla niego jest to, co słyszy. Mimo tak znakomitej prezencji Robert nie był ani trochę zarozumiały ani egoistyczny. W niczym nie przypominał Granta Wentwortha. Alisę nawiedziło niemiłe wspomnienie. Zaczęła się zastanawiać, co u diabła widziała kiedykolwiek w tamtym sukinsynu.

Potrząsnęła głową, chcąc odpędzić myśli o Grancie, zgasła silnik i wysiadła. Wzięła z tylnego siedzenia torbę na ubranie i uważając na kilkucentymetrowe obcasy sandałków, ruszyła w stronę zapasowego wyjścia. Miała nadzieję, że uda jej się minąć strażnika tak, by nie zaalarmował Roberta. Nie przychodziła tutaj często, więc dyżurny raczej

nie miał szans jej poznać. Bardzo chciała sprawić mężowi niespodziankę. Ten wieczór miał oznaczać powrót do wspa-
niałych dni we dwoje.

Strażnik siedział w małej ceglanej budowli podobnej do
rogatki, tuż za drzwiami wejściowymi. Był młodszy, niż
spodziewała się Alissa. Na kieszeni starannie odprasowa-
nej koszuli miał plakietkę z napisem: T. Dickson.

- Czy mogę pani w czymś pomóc? - spytał z uprzejmym,
lecz urzędowym uśmiechem.

- Tak, panie Dickson - powiedziała Alissa. - Przyszłam
do doktora Page'a.

- Czy jest pani umówiona?

- Umówiona? Nie. Doktor Page jest moim mężem. -
Odważymnia uśmiech. - Chyba nie potrzebuję się z nim
umawiać.

- Muszę do niego zadzwonić.

- Niech pan poczeka. - Alissa uniosła dłoń. - Proszę nie
dzwonić. Chcę mu zrobić niespodziankę.

- Nie mogę tak zwyczajnie pani wpuścić. Nie znam pani.

- Wiem. Ale tak bym chciała zrobić mu niespodziankę.
Bardzo proszę.

Wzruszył ramionami.

- Przykro mi, ale obowiązują mnie przepisy. Wie pani,
jak to jest w pracy.

Alissa zmarszczyła czoło.

- Wiem i nie chciałabym pana narażać na jej utratę.
A może wystarczy pokazać jakiś dokument?

Potarł twarz w miejscu, gdzie roślaby mu broda, gdyby
nie był tak starannie ogolony.

Spojrzała jeszcze raz na jego plakietkę z nazwiskiem.

- Czy pan jest żonaty, panie Dickson?

- Tak, proszę pani. Od sześciu lat. Mam dwójkę dzieci.

- To dobrze. Doktor Page i ja też mamy dwójkę dzieci.
Dziewczynki. Już nastolatki. - Przekopała wieczorową to-
rebkę i wyłowiła z niej prawo jazdy. Podała ją przez okien-
ko. - Widzi pan? - spytała. - To ja, Alissa Page. - Poszperała
w torebce jeszcze trochę i wydobyła srebrny klucz. - A to
pan widzi? Klucz do jego gabinetu. - Była zadowolona, że
wzięła zapasowy klucz z biurka Roberta.

Strażnik dokładnie obejrzał prawo jazdy, potem klucz.

- Czy żona chciała kiedyś sprawić panu niespodziankę?
- spytała Alissa.

Przez twarz przemknął mu nieznaczny uśmiech.

- No, wie pani...

- Wobec tego rozumie pan, o czym mówię. Proszę. To jest bardzo szczególny wieczór.

Skinął głową i wykonał gest ku torbie na ubranie.

- Musi mi pani pokazać, co jest w środku.

- Oczywiście. - Odpięła torbę i wyciągnęła frak. - Tak jak powiedziałam, mamy bardzo szczególny wieczór. Nasza rocznica - skłamała. Podczas gdy strażnik się namyślał, wcisnęła z powrotem do torebki klucz i prawo jazdy. - Niech się pan nie martwi doktorem Page'em - dodała. - Powiem mu, że posłużyłam się groźbą.

- Gdzie się podziały potulne kobiety z Południa?

- Są czystym wymysłem Jankesów.

Uśmiechnął się. Alissa włożyła frak z powrotem do torby.

- Rozumiem, że teraz mnie pan wpuści.

- Jasne. Niech pani idzie. Wie pani gdzie to jest?

- Tak. Na trzecim piętrze.

Nacisnął przycisk domofonu i Alissa weszła do środka.

- Miłego wieczoru - zawołał za nią strażnik.

Ruszyła długim korytarzem, usiłując sobie przypomnieć, gdzie są windy. Wiele czasu minęło, odkąd ostatnio była w tym miejscu. Zbyt wiele. Stanowczo powinna bardziej interesować się pracą Roberta. Może właśnie tu były korzenie jej niepowodzenia?

Znalazła windę i wcisnęła guzik trzeciego piętra. Serce zabiło jej mocniej; uświadomiła sobie, że jest podniecona. Z pewnością spodoba się to Robertowi. Jego też ten pomysł powinien podniecić. Dawno już się nie kochali. Wierzyła, że mąż zareaguje ochoczo i pożądliwie. Boże, pomyślała, mam nadzieję, że i ja zdołam wykrzesać z siebie tyle samo.

Winda stanęła, drzwi się otworzyły. Alissa wzięła głęboki oddech i wyszła na korytarz. Dokładnie naprzeciwko niej znajdowała się tabliczka: Dr Robert Hamilton Page, dyrektor ośrodka. Poniżej strzałka wskazywała w lewo.

Alissa ruszyła korytarzem, zadowolona z miękkiego dywanu na podłodze. Przy tym jednym Robert się upierał - atmosfera musiała być ciepła. Uważał, że jeśli leczy się ludzi z chorób zakaźnych, to zastraszanie jaskrawym światłem i sterylnymi podłogami z płytek jest wyjątkowo nieodpowiednie. Przyszło jej do głowy, że wykazał w tym głęboką wrażliwość.

Dotarła do drzwi poczekalni. Obok, jakieś dwa metry dalej znajdowały się następne drzwi, oznaczone napisem „Wejście prywatne”. Prowadziły bezpośrednio do gabinetu Roberta. Na pewno pasował do nich klucz, który miała w torebce.

Cicho podeszła i wsunęła klucz do zamka. Obróciwszy klamkę, pchnęła drzwi. Najpierw zobaczyła wspaniałe akwarium, ciągnące się na całej długości ściany. Jaskrawopomarańczowe, niebieskie i płomienne ryby ospale pływały w tym luksusie. Potem skierowała wzrok w dół. Na podłodze przed akwarium ujrzała mężczyznę. Leżał na brzuchu, nagi. Pod nim leżała druga osoba. Mężczyzna poruszał biodrami do góry i w dół. Nawet od tyłu Alissa poznała Roberta. W chwili gdy wydała przenikliwy krzyk, Robert jęknął w uniesieniu. Upuściła torbę z ubraniami. Robert zerwał się i raptownie stanął przodem do niej. Członek sterczał mu w górę. Postać spod spodu przetoczyła się na brzuch i spojrzała na Alissę. Był to mężczyzna, którego Alissa nigdy przedtem nie widziała.

Rozdział trzeci

Krew była wszędzie. Zoe Hartmann stała w drzwiach gabinetu i zastanawiała się, jak kiedykolwiek uda się jej doczyścić ścianę. Nie mogła poprosić o to Marisol, gdyż ta miała słaby żołądek. Zresztą krew należała do męża Zoe, więc wydawało się jedynie słuszne, że to ona powinna ją zetrzeć.

Przymrużyła oczy i dostrzegła coś jeszcze. Na ścianie w bryzgach krwi poprzyklejały się strzępki czegoś żółtawobrazowego. Było to ziarniste, sklejone, prawie jak piasek. Niektóre kawałki powoli spływały na dół. Zoe wiedziała skądś, że to resztki mózgu Williama. Oparła się o framugę drzwi zdziwiona, że od razu się zorientowała. Zawsze wydawało jej się, że mózg jest szary, nie żółtawobrazowy. „Popracuj szarymi komórkami!” - słyszała głos swej nauczycielki z trzeciej klasy, jak ona się nazywała? A, panna Lindstrom. Właśnie tak, Lindstrom. W każdym razie panna Lindstrom zawsze mówiła: „Popracuj szarymi komórkami!”, czyli: „Popracuj mózgiem!” Ciekawe, czy panna Lindstrom dowiedziała się kiedykolwiek, że mózg jest żółtawobrazowy, a nie szary.

Przeniosła wzrok ze ściany na podłogę, tam gdzie leżał William. Nie było po nim widać spokoju ani miłości. Wyglądał zupełnie inaczej niż wtedy, gdy przytulał się do

niej we śnie ostatniej nocy. Boże. Czy to naprawdę było zaledwie ostatniej nocy?

Usta miał otwarte. Widocznie tam wycelował z pistoletu. Na pewno otworzył usta, wsunął lufę i pociągnął za spust. Szokująca była myśl, że kula przeszła mu przez głowę, zanim upadł na podłogę. To wyjaśniałoby, dlaczego wysoko na ścianie jest wszędzie krew i strzępki materii.

Wymóżyć się. Myśl o tym słowie przeszła ją dreszczem. Wiedziała już dokładnie, co to znaczy. William Hartmann, znany hollywoodzki agent wielu gwiazd, mąż Zoe, największej kasowej sensacji lat siedemdziesiątych, po prostu się wymóżył.

Smród był paskudny. Cuchnęło jakby... gównem. Zoe spojrzała w kierunku krocza Williama, na ciemną plamę znaczącą jego spodnie. Wymóżył się, a przedtem zesrał ze strachu.

Zauważyła pistolet. Co to za broń? Jakieś damskie małeństwo z torebki? Nie miała pojęcia. A może kaliber 38, tego rodzaju, jakiego używano w *Dniu sądu*. A może coś z tych armat, które uczyniły supergwiazdorem Clinta Eastwooda? Nie, uznała Zoe. Pistolet nie wyglądał dostatecznie groźnie. Całkiem zwyczajnie leżał na podłodze, przy prawej ręce Williama, emanując niebieskoczarnym blaskiem i chłodem. Takim samym chłodem, jaki był teraz w oczach Zoe.

Miała wrażenie, że należy wezwać policję. Ale zaraz... Czy nie powinno być jakiegoś listu? Kiedy ktoś się zabija, zawsze zostawia list. Omiotła wzrokiem cały pokój, od blatu biurka w kształcie litery U, przez komputery, sofę, fotele, stolik do napojów, ciężkie drewniane szafy biblioteczne. Nie zauważyła żadnej kartki.

Spojrzała jeszcze raz na Williama, myśląc, że może list znajduje się w drugiej ręce. Ale dłoń była po drugiej stronie ciała, zasłonięta. Zoe zdecydowanie nie miała ochoty obchodzić zwłok i szukać, bo nagle poczuła zmęczenie. Poza tym w każdej chwili Marisol mogła przyprowadzić ze szkoły Scotta. Zoe musiała więc wyjść z tego pokoju i powitać go w domu. Gdyby tylko umiała wymusić na swych nogach choć jeden krok.

Stojąc przy grobie i słuchając rabina, Zoe czuła się jak postać z *Alicji w krainie czarów*. Było coś surrealistycznego

w nienaturalnie wielkich rozmiarach grupy zebranej wokół małej mosiężnej urny, ustawionej na ziemi, przy niepozornym dołku, nad którym usypano mikry wzgórek, przykryty teraz skąpym kawałkiem brezentu. Nie było wielkiej, ozdobnej mahoniowej trumny ani grobu normalnej wielkości, jaki z pewnością byłby, gdyby mieszkała w domu, w Minnesocie, krainie opływającej w dostatek, gdzie tradycja jest czymś niezmiennym, nawet jeśli należy się do mniejszości, jeśli jest się Żydem. Ale nie mieszkali w Minnesocie, Zoe nie była tam od ponad dwudziestu lat, więc naprawdę nie miała prawa myśleć o tym miejscu jak o domu. Poza tym czuła się głupio, ubrana na czarno w piękny, słoneczny dzień w Kalifornii.

Pan jest moim pasterzem...

Usłyszała te słowa i poczuła na dłoni uścisk palców Scotta. Popatrzyła na syna przez mgłę woalki. Miał dopiero czternaście lat, ale już ją przerósł. Wyraźnie zarysowane kości policzkowe, blond włosy i niebieskie oczy sprawiały, że był niezaprzeczalnie przystojny, mimo że w niczym nie przypominał matki. Zoe miała bowiem czarne oczy i śniadą, egzotyczną karnację, twarz, która uczyniła z niej supergwiazdę i gwarantowała jej przyszłość. Tak było kiedyś. Dawno. Przez chwilę rozmyślała, co stanie się teraz ze Scottem, skoro William nie żyje. Co stanie się ze Scottem i z nią?

Na niwach zielonych pasie mnie...

Zoe usłyszała obok cichy szloch swej najbliższej przyjaciółki, prawie drugiej matki, Marisol Perez. Marisol była z nią od samego początku, od czasu mieszkania w bloku w Los Angeles, przez okres gwiazdorstwa, małżeństwo, narodziny Scotta i wszystkie późniejsze lata. Zoe widziała, jak włosy Marisol siwieją, talia i biodra stopniowo grubieją, śniadobrązowa skóra staje się poznaczona skazami i wyschnięta, a ona sama chodzi coraz bardziej przygarbiona, bo reumatyzm powoli zamienia ją w kalekę. I przez cały ten czas Zoe polegała na sile swej przyjaciółki, czerpała z jej odwagi. Wiedziała, że teraz znowu będzie potrzebować Marisol.

Nie rozglądała się, ale miała klaustrofobiczne odczucie obecności setek żałobników, słyszała pokasływania, szepty. Czy ci wszyscy ludzie naprawdę przyszli oddać ostatnią posługę Williamowi Hartmannowi, czy też chcieli ukrad-

kiem rzucić okiem na Zoe? Zamiast boleć nad odejściem zmarłego, dokładnie przyjrzeć się kobiecie, która jeszcze żyje. Zoe miała teraz czterdzieści lat. Czyżby przyszli sprawdzić, jak się postarzała, ile tłuszczu jej przybyło, ile straciła z wizerunku gwiazdy? Poprawiła woalkę, by fałdy materiału dokładnie zasłoniły lewą stronę jej twarzy. Ci ludzie nie musieli wszystkiego wiedzieć.

Choćbym nawet szedł ciemną doliną...

Wiedziała, że nabożeństwo dobiega końca. Zastanawiała się, czy już jest bezpiecznie, czy może spokojnie pomyśleć o Williamie. Przyjrzała się niewielkiej mosiężnej urnie. Nie wydawało się możliwe, by mógł zmieścić się w środku pięćdziesięciojednoletni mężczyzna, mający za życia metr osiemdziesiąt wzrostu. Z prochu powstałeś i w proch się obrócisz. Zoe poczuła lekkie ściskanie w gardle. Szybko zamrugała. Nie, jeszcze nie powinna myśleć o Williamie. Nie tutaj. Skupiła się na twarzy rabina. Odrobinę zsunęły mu się okulary. Zoe miała ochotę sięgnąć nad dołkiem w ziemi i przesunąć je z powrotem bliżej nasady nosa.

Dobroć i laska towarzyszyć mi będą przez wszystkie dni życia mego...

Przez wszystkie dni życia mego. Zoe mocno trzymała dłoń Scotta.

I zamieszkałam w domu Pana przez długie dni.

Stłoczeni ludzie, nawet dziennikarze, mieli przynajmniej dość przyzwoitości, by nie pchać się w ich stronę, gdy Zoe, Scott i Marisol ramię w ramię poszli wolno w stronę długiej, czarnej limuzyny. Zoe miała spuszczoną głowę, wzrok wbity w ziemię, usiłowała nie zwracać uwagi na ciągłe trzaski i *szmery* aparatów fotograficznych. We troje wsiedli do samochodu, kierowca cicho zamknął za nimi drzwi. Zoe opadła na tylne siedzenie i zapatrzyła się przed siebie, w barwioną szybę, uniemożliwiająca zjrzenie od zewnątrz. Zastanawiała się, kiedy zacznie płakać. Czy w ogóle zacznie.

Tuż przy głowie Zoe rozległo się lekkie pukanie w szybę. Spojrzała na Marisol. Przyjaciółka nie odezwała się ani słowem. Znowu ktoś zapukał. Zoe wzięła głęboki oddech i szybko dotknęła przycisku. Opuściła szybę na jakieś pięć centymetrów, nim rozpoznała Phila Clifforda, radcę prawnego Williama.

- Czy jakoś to znosisz, Zoe? - spytał cicho.

Skinęła głową, ale zostawiła szybę w poprzedniej pozycji. Mężczyzna nerwowo skubnął siwy wąsik.

- Czy moglibyśmy się potem spotkać?

Zoe spojrzała na zbliżenie ust. Zauważyła, że dolne zęby Phila Clifforda zbrązowiały od nikotyny. Nigdy tak naprawdę nie lubiła tego człowieka. Nie ufała mu.

- Po co? - spytała.

- Musimy to i owo załatwić. Chodzi o ostatnią wolę Williama i różne prawnicze historie.

- Nie.

Phil Clifford uniósł siwe brwi.

- Nie dzisiaj - poprawiła się Zoe. - Jutro, jeśli musimy.

- Jutro wystarczy. Czy mam przyjechać do Cedar Bluff?

- O drugiej. - Zoe ponownie dotknęła przycisku i zasnęła szybę, nim Phil Clifford zdążył cokolwiek odpowiedzieć.

Limuzyna ruszyła. Zoe podejrzewała, że jadą w żółtym tempie, bo przeszkadza im tłum i korek samochodowy. Ale zupełnie nie była ciekawa tego widoku.

- Nie lubisz go, prawda mamo?

- Nie, kochanie. Nie bardzo.

- Czy myślisz, że będzie nam robił kłopoty?

- Kłopoty? Nie. Nie sądzę, żeby mógł.

- No, z ostatnią wolą taty i w ogóle. To chyba jest dosyć skomplikowane. - Jak na czternastolatka Scott miał stanowczo za dużo zmartwień.

- Nie ma powodu, żeby było skomplikowane, Scott.

Miała wrażenie, że przez chwilę rozważa jej słowa. Po chwili powiedział:

- Myślałem, że jak umiera ktoś bardzo bogaty, to zawsze wszystko się pieprzy.

Zoe uśmiechnęła się.

- Niekoniecznie. Jestem pewna, że twój ojciec wszystkiego dopilnował.

Samochód skręcił za róg i nabrał szybkości. Dzięki Bogu, pomyślała Zoe, pewnie wreszcie wyjechaliśmy z cementarza.

- Mamo?

- Co takiego?

- Czy sprzedasz Cedar Bluff? - Obszerna, wielopoziomowa rezydencja z drewna i szkła, leżąca pośród wzgórz, z widokiem na kanion, była dotąd jedynym domem Scotta.

Chłopiec nigdy nie mieszkał w blokach. Nie znał smaku biedy.

Zoe popatrzyła na Marisol. W oczach przyjaciółki dojrzała ciepło i wsparcie. Poklepała Scotta po dłoni.

- Nie martwmy się o to teraz, zgoda? - Ale w myślach Zoe wyrzucała sobie, że nigdy przedtem nie interesowała się finansami Williama. I teraz nie miała zielonego pojęcia, ile jest pieniędzy, do jakiego stopnia są utopione w inwestycjach i na ile starczą. Zaciśnęła dłonie na czarnej torebce i zamknęła oczy. Miała ochotę wyłącznie wziąć gorącą kąpiel, wypić filiżankę herbaty i może, ale tylko może, solidnie się wypłakać.

- Mamo?

Poczuła, że sztywnieją jej ramiona. Bardzo chciała, żeby Scott się zamknął.

- Co takiego, kochanie?

- Nad czymś się zastanawiałem.

- Nad czym?

- Oj, to chyba jest głupie.

- Powiedz mi.

- To nic ważnego. To znaczy, nie chcę, żebyś się tym martwiła. Po prostu jestem ciekaw, to wszystko.

Podniosła woalkę i przetarła oczy.

- Co chcesz wiedzieć, Scott? - Miała nadzieję, że nie okazała zniecierpliwienia.

- Czy to możliwe... No, to znaczy, czy jest taka możliwość, że...

Jej syn nie miał zwyczaju się jąkać.

- O co chodzi, Scott?

- No, tak się zastanawiałem. Czy samobójstwo jest dziedziczne?

Zoe myślała, że dostanie ataku serca. Spojrzała na Marisol. Przyjaciółka wytrzeszczyła ciemne oczy w kompletnym osłupieniu.

- Co za potworne pytanie - zdołała powiedzieć Zoe.

- Bo widzisz, tata był mężczyzną i ja jestem mężczyzną... no, już prawie... i po prostu zastanawiałem się, czy jest taka możliwość, że kiedy będę starszy... bo przecież wiele cech się dziedziczy. Niektórzy mówią, że alkoholicy są alkoholikami po rodzicach. I narkomani. No, i takie różne. Zastanawiałem się, czy jeśli tata popełnił samobójstwo, to jest możliwość...

Nie dokończył. Zoe popatrzyła na Marisol z nadzieją, że przyjaciółka się włączy, znajdzie jakieś słowa, których ona nie znajdowała. Marisol miała talent do łagodzenia trudnych sytuacji. Robiła to na zawołanie, z takim spokojem, jakby formowała mokra glinę na swym garncarskim kole.

- Scottie - powiedziała Marisol, przygryzając wargę. - Chyba nie musisz się teraz tym martwić. Twój ojciec miał kłopoty, o których nie wiedzieliśmy. Ale ty jesteś innym człowiekiem, inaczej odczuwasz i inaczej reagujesz. Poza tym - dodała, znacząco mrugając na pocieszenie - połowa ciebie jest z tego samego materiału co twoja matka.

Zoe obróciła twarz do szyby, jakby naprawdę obserwowała piękny wiosenny pejzaż Kalifornii. Zamiast tego jednak czuła ból i ściskanie w żołądku, uświadamiała sobie bowiem, że kiedyś, może już wkrótce, będzie musiała powiedzieć synowi prawdę.

Popołudnie było mgliste. Takie szare dni często zdarzają się w wielkich miastach, ale tu, pośród wzgórz, były rzadkością. Zoe stała na tarasie efektownego cedrowego domu i spoglądała w dolinę. Roztarła ramiona, zastanawiając się, czemu przenika ją chłód. Wiatru nie było, a w gruncie rzeczy zdawało jej się, że nie ma również powietrza.

Gdy tylko policja zabrała ciało, Marisol próbowała ją namówić do opuszczenia domu na pewien czas. Przekonywała, żeby Zoe zamieszkała na pewien czas w hotelu, zrobiła cokolwiek, byle nie tkwić na miejscu. Jej zdaniem siedzenie w domu, w którym William strzelił sobie w łeb, to bezsens. Marisol była przyjaciółką Zoe, najlepszą przyjaciółką. Ale mimo to, co przez lata razem przeszły, nie mogła wiedzieć, jak wielką wdzięcznością i miłością, bo tak, był to pewien rodzaj miłości, Zoe darzyła Williama.

Gdyby jeszcze żyli rodzice, Zoe mogłaby pojechać do nich. Ale ojciec zmarł dziesięć lat temu, a matka przed dwoma laty. Zoe nie miała gdzie się podziać. Nie miało to jednak większego znaczenia, bo i tak chyba nie mogła opuścić Cedar Bluff. William zbudował dla niej ten dom po przyjeździe na świat Scotta. Tu zdrowiała i przechodziła rehabilitację po wylewie, którego doznała na sali porodowej i który spowodował u niej wieloletni częściowy paraliż. W Cedar Bluff odgradziła się od dziennikarzy, od fanów, od

świata, ukrywając w sekrecie to, co się stało. Dzięki gorliwym zachętom Williama, wierności i cierpliwości Marisol i ciężkiej pracy zespołu zaufanych terapeutów Zoe ponownie nauczyła się chodzić i mówić. W Cedar Bluff odkryła, co jest naprawdę ważne w życiu. Nie, nie mogła stąd wyjechać. Ani teraz, ani nigdy. Dotknęła lewej strony twarzy. Kącik ust wciąż miała lekko opuszczony. Skaza, o której istnieniu jej fani nie wiedzieli i mieli się nigdy nie dowiedzieć. Niech pamiętają taką Zoe, jaką była kiedyś. Niech pamiętają piękną, czarującą, doskonałą kobietę.

Usłyszała dzwonek u drzwi. Była w domu sama. Przekonała Marisol, żeby wzięła Scotta i pojechała na jeden dzień do letniego domu na wybrzeżu. Nie chciała, żeby syn był obecny podczas wizyty Phila Clifforda.

Idąc na bosaka po drewnianej podłodze, usłyszała kolejny dzwonek. Poczowała, że irytuje ją natręctwo tego człowieka, a nawet sama myśl o nim. Przeszła przez salon do przedsionka, gdzie przystanęła i poprawiła przód czarnej sukni z szerokimi rękawami. Nie przyzwyczajona do przyjmowania gości, nie bardzo wiedziała, co ma na siebie włożyć. Wybrała ten ubiór, gdyż był dostatecznie luźny, by ukryć większość niepożądanych kilogramów, które przybyły jej od czasu, gdy czarowała z ekranu, a ponadto kolorem pasował do sytuacji.

Otworzyła dwuskrzydłowe drzwi. Stał przed nią Phil Clifford, sto pięćdziesiąt osiem centymetrów wzrostu, ubrany w koszulkę polo i dżinsy. Trzymał aktówkę DeVecchi, której uchwyt miał więcej klasy od całego Phila Clifforda. Zoe uznała, że teczkę musiał dostać od kogoś w prezencie.

- Witaj, Phil - powiedziała. - Wejdz, proszę.

- Jak ci leci, Zo? - spytał, korzystając z zaproszenia. Zoe nie znosiła, gdy ktokolwiek tak do niej mówił. Brzmiało to dziecinnie, niemal lekceważąco. William nigdy nie zdrabniał jej imienia w ten sposób.

- Chyba usiądziemy w salonie - powiedziała. Phil Clifford posłusznie ruszył za nią. - Ludzie... - zacięła się - ...ludzie nie skończyli jeszcze porządków w gabinecie. - Słowa zawisły w próżni bez odpowiedzi. Zoe czuła zażenowanie prawnika, widziała, jak stara się coś powiedzieć i nic mu z tego nie wychodzi. Dobrze, pomyślała. Mam nadzieję, że jest mu głupio jak diabli. Bo nie ma prawa ładować się z butami w mój smutek.

Wprowadziła go do dużego, przestronnego pokoju. Ściany pokryto w nim kolorowymi plakatami promocyjnymi z lat gwiazdorstwa Zoe. Nalegał na to William. Chronologię nietrudno było odtworzyć. Plakaty z wczesnego okresu miały bijący w oczy tytuł i zdjęcie przedstawiające Zoe z jednym bądź dwoma partnerami. Na późniejszych imię Zoe drukowano w poprzek, wielkimi czcionkami, a zdjęcie przedstawiało już tylko ją. Tytuł filmu wypisywano małymi literami, chował się zwykle gdzieś na dole. Pod wieloma względami William uczynił z Cedar Bluff świątynię sukcesu Zoe. Jednego brakowało - Zoe nie pozwoliła mu zbudować sali kinowej. Po wylewie nie chciała widzieć, jak chodzi, mówi, w ogóle nie chciała widzieć siebie.

Usiadłszy na krześle z alpakową narzutą, Zoe uznała, że musi odnowić ten pokój tak, by raz na zawsze pozbyć się śladów przeszłości, która nigdy nie wróci. Phil podszedł do identycznie okrytej sofy i odrzucił na bok włóczkową poduszkę, omal nie przewracając przy tym okrągłej ciemno-purpurowej misy, ulubionego naczynia Zoe spośród tych, które powstały na kole Marisol. Bez słowa przeprosin usiadł. Zoe nie zaproponowała mu drinka.

Otworzył teczkę i wyciągnął jakieś papiery.

- Wciąż trudno mi uwierzyć - powiedział kręcąc głową. - To niewiarygodne, że William... - Odwrócił oczy i spuścił głowę. Zoe nie umiała powiedzieć, czy jest szczerze poruszony, czy tylko gra na efekt. Życie w Hollywood budziło w ludziach aktorskie skłonności.

- Nie zostawił żadnego listu? - spytał Phil trąc wąsik.

- Nie.

- To zaskakujące - stwierdził.

- Owszem. Policja też była tego zdania.

Wzruszył ramionami.

- Pewnie czasem tak bywa.

- Pewnie tak.

Zapadło milczenie. Phil znowu skinął głową. Zoe doszła do wniosku, że jest zdenerwowany. Naprawdę zdenerwowany. Zwykle raził głośnym, gadatliwym zachowaniem, tym razem jednak sprawiał wrażenie, jakby zapomniał języka w gębie. Chociaż nigdy nie starli się bezpośrednio, zapewne wiedział, że Zoe za nim nie przepada. Ograniczała się do tolerowania obecności Phila w niezbędnych wypadkach i nie wykluczała, że Phil odwzajemnia jej uczucia. Ale

mimo wszystko przez wiele lat przyjaźnił się z Williamem. Może więc rzeczywiście cierpi po stracie przyjaciela, pomyślała. Może on także się smuci.

- Chce pan się czegoś napić? - spytała cicho. - Może mrożonej herbaty? Lemoniady? Niestety, alkoholu w domu nie ma.

Przecząco potrząsnął głową.

- *Nie* będę nic pił, ale dziękuję. - Odchrząknął i zaczął szperać w papierach na kolanie, jakby właśnie w tej chwili przypomniał sobie, po co przyszedł. - Przykro mi, że niepokoję panią tak szybko - odezwał się znowu.

Zoe nie zareagowała.

- Jest jednak kilka spraw, którymi trzeba natychmiast się zająć. - Spojrzał w papiery, unikając wzrokowego kontaktu z Zoe. - Nie wiem, na ile jest pani znana sytuacja finansowa Williama.

Splotła dłonie na podołku.

- Nie najlepiej - powiedziała, nie chcąc sprawić wrażenia, że mąż celowo wyłączał ją z tych spraw. - William zawsze uważał, że mam dość kłopotów na głowie bez martwienia się o finanse.

- Rozumiem. - Phil odłożył jakiś dokument. Zoe spostrzegła, że na czole zaczyna mu się perlić pot. Zacisnął usta. - Czyli pani nie wie.

- Czego nie wiem?

Westchnął i znowu potarł wąsik.

- W latach osiemdziesiątych William dużo zainwestował w nieruchomości.

Phil znowu odchrząknął, potem zaczerpnął dużą porcję powietrza. Zoe nabrała przekonania, że wcale jej się nie spodoba to, co ma od niego usłyszeć. Zastanawiała się, czy nie będzie musiała zerwać się z krzesła, chwycić go za chuderlawe ramiona i wytrząsnąć z niego tych słów.

- Miał udziały w kilku przedsięwzięciach obejmujących budowę eleganckich bloków, wie pani, kapitał szczególniego ryzyka i takie tam - powiedział w końcu Phil.

Zoe skrzyżowała nogi. O niczym takim nie wiedziała, chociaż przypuszczała, że męża interesują również inne branże oprócz filmu, bo od czasu jej największych sukcesów nie miał w agencji żadnych klientów gwarantujących duże pieniądze. Owszem, zajmował się paroma gwiazdami, ale żadna z nich nie była pierwszej wielkości, nie mogła

przynieść mu takich dochodów, by mógł zapewnić dostatnie życie rodzinie, a jej w dodatku stałą opiekę lekarską. Nie patronował żadnej karierze, z której piętnastoprocentowe dochody wystarczyłyby na utrzymanie Cedar Bluff.

Phil zamilkł. Zoe zamrugała i ponownie zaczęła mierzyć go wzrokiem.

- Chyba jednak napiję się lemoniady - powiedział.

A więc czekało ją wyciąganie informacji siłą. Prawdopodobnie tego właśnie chciał Phil, małej konfrontacji, żeby odzyskać panowanie nad sobą. Zoe nie zamierzała sprawić mu tej satysfakcji. Wstała.

- Proszę bardzo - powiedziała spokojnym głosem. - Za minutę będzie gotowa.

Zeszła na dół do kuchni, ostrożnie, lecz pewnie. Lubiła chodzić na bosaka, po części dlatego, że wtedy czuła z całą pewnością, jak jej lewa noga dotyka podłogi. Jej lewa noga, ta, która przez kilka lat była prawie martwa, nie do użytku.

Wzięła dwie szklaneczki z kredensu i otworzyła drzwiczki lodówki właśnie w chwili, gdy zjawił się obok niej Phil.

- Mniejsza o to - powiedział. - Nie chcę żadnej lemoniady.

Zamknęła drzwi lodówki.

- Zoe - powiedział. - Ma pani kłopoty.

Spojrzała na niego nieufnie.

- Kłopoty?

- William poniósł poważne straty w obrocie nieruchomości.

Stała sztywno wyprostowana i żałowała, że w tej chwili nie siedzi. Złe przeczucie, które nawiedziło ją wcześniej, nie było wytworem wyobraźni. Wisiało teraz między nią i Philem jak czarna burzowa chmura, przeszkoda nie do przebycia. Zoe lękała się, że wcale nie chce stanąć po drugiej stronie tej chmury.

- Jak poważne? - spytała.

- Bardzo - oznajmił Phil trąc wąsik. - Stracił wszystko.

Zoe sądziła, że się przesłyszała.

- Wszystko? To niemożliwe.

- Możliwe. Właśnie tak jest.

Chmura drgnęła i otoczyła ją czapą, skryła w sobie.

- Nie - powiedziała Zoe.

- Tak - potwierdził Phil Clifford.

Oparła się o lodówkę i przycisnęła ramiona do swej

otyłej talii. Nie zwracała uwagi na wystający brzuch; było jej wszystko jedno, czy Phil go zauważy.

- Myli się pan - powiedziała. - Jest jeszcze Cedar Bluff. William nie stracił wszystkiego.

- Obawiam się, że jednak wszystko.

- Nie.

Phil zrobił krok do przodu i położył rękę na ramieniu Zoe.

- William obciążył Cedar Bluff hipoteką dla pokrycia strat w różnych interesach. Ma pani do tego domu wyłącznie nic nie dający tytuł własności. Na pewno podpisywała pani dokumenty o refinansowaniu.

Zoe usiłowała wydobyć cokolwiek z pamięci. No tak, były jakieś dokumenty. Raz. Dwa razy. Może trzy? Nie potrafiła sobie przypomnieć. Nie była też w stanie przypomnieć sobie, czy William uprzedził ją, co podpisuje. Zdawało jej się, że słowo „refinansowanie” nigdy nie padło, ale przecież zawsze bez zastrzeżeń ufała Williamowi i zapewne nie zwracała na to zbytnej uwagi.

Phil zabrał rękę z jej ramienia i cofnął się o krok.

- Krótko mówiąc, pozostała ostatnia rata płatności, w wysokości pół miliona dolarów. Trzeba ją uiścić w ciągu dwóch miesięcy. William nie miał na to pieniędzy.

Zoe spojrzała Philowi w oczy. Były małe, zasmucone i mówiły, że on nie kłamie.

- Chyba muszę usiąść - powiedziała.

Jakoś udało jej się dotrzeć do końca dnia. Na obiad zjadła meksykańskie placki kukurydziane, naturalnie zamówione w restauracji, gdyż w domu nie gotowała, nigdy się tego nie nauczyła. Grała swą codzienną rolę, jakby dzień był zupełnie zwyczajny i nic złego się nie stało.

Było po jedenastej. Scott poszedł już do łóżka. Zoe siedziała z Marisol w pokoju wypoczynkowym, popijając herbatę. Właśnie powtórzyła przyjaciółce wszystko, co powiedział jej Phil. Patrzyła, jak Marisol oswaja się z nowinami, i zdawało jej się, że to tylko sen. Miała nadzieję, że wkrótce się obudzi, a wtedy koszmar przemienie. Rozejrzawszy się po pokoju z wystrojem w barwie morskiej, łososiowej i beżowej zrozumiała jednak, że nie śni. Obraz był zbyt wyraźny, kontury zbyt ostre.

- Na pewno dlatego się zabił - powiedziała nagle Marisol.

Trafiła dokładnie w nurt myśli przyjaciółki. Zoe nie była o tym stuprocentowo przekonana, nie miała jednak dość siły, by się sprzeciwić.

- Jest ubezpieczenie - powiedziała. - Oboje mieliśmy półmilionowe polisy. Wystarczy akurat na spłatę raty, ale potem nie zostaje nic.

Marisol poruszyła łyżeczką w pękatym kubku.

- Chyba będę musiała sprzedać dom - ciągnęła Zoe. Ale nawet w tych machinalnie wypowiedzianych słowach usłyszała niedowierzanie. - Po spłaceniu pozostałych długów powinno zostać dość pieniędzy na kupno czegoś innego do mieszkania, mniejszego niż to. Dla nas trojga. - Marisol była członkiem rodziny od niepamiętnych czasów i Zoe chciała ją zapewnić, że to się nie zmieni. Może zresztą chciała dodać pewności samej sobie.

- I co kupisz? - spytała Marisol. - Znowu mieszkanie w bloku?

Zoe mocno ścisnęła uchwyt kubka. Marisol położyła dłoń na jej dłoni.

- Posłuchaj. Ja mogę do bloku wrócić. Ten dom dla kogoś takiego jak ja zawsze był czystą bajką. Ale ty? Nie, Zoe. Ty nie możesz wrócić. Twoje miejsce jest tutaj. Twoje i Scotta.

Zoe poczuła napływające łzy. Tak długo czekała na płacz, teraz łzy płynęły jej strumieniem po policzkach. Miała przed sobą dni łez. Może miesiące. Może lata.

- Nie mam wyboru - szlochała.

- Zawsze masz wybór. Popatrz na siebie. Jesteś piękna. Jesteś gwiazdą.

Policzki Zoe zapałały gniewem. Głośno odsunęła krzesło na terakotowej podłodze i wstała.

- Nie bądź głupia, Marisol. Myślałam, że chociaż na tobie mogę polegać.

- Możesz.

- Kiedy mówisz w taki sposób? Popatrz na mnie! - Zażądała ręce. - Jestem stara. Jestem do wyrzucenia. A te świrowate usta ciągle mi się wykrzywiają, jakby były z gumy.

- Nieprawda.

- Prawda. Dobrze to widzę, kiedy patrzę w lustro. I jeszcze to, że kości policzkowe zarosły mi setkami warstw komórek tłuszczowych.

- Za bardzo wpatrujesz się w lustro. Nie widzisz tej Zoe co ja.

- Boże, Marisol - zachnęła się, ignorując słowa przyjaciółki. - Nie chodzi tylko o mój wygląd. Nie pracowałam od piętnastu lat. Jestem przebrzmiałą wielkością. Szczyt mam dawno za sobą. - Pchnęła kubek po blacie. Zatrzymał się na krawędzi stołu. Herbata chlusnęła na podłogę. - Niech cię diabli wezmą! - wrzasnęła.

Marisol spokojnie wstała, wzięła serwetkę i zaczęła wycierać kałuże.

- Siadaj - nakazała.

Zoe usiadła. Marisol wróciła na swoje miejsce.

- Posłuchaj. Wielu ludzi wciąż myśli o tobie jako o gwiazdzie. Ale ja znam cię lepiej. Dla mnie jesteś przyjaciółką. - Zoe znów przełknęła cisnące się łzy. - Zaczęłaś od zera. Nikt nie wie tego lepiej ode mnie. I nigdy o mnie nie zapomniłaś. Nawet w chorobie. Dałaś mi pracę. Powiedziałaś mi, że zawsze będę częścią twojego życia. To prawda, że się tobą opiekowałam. Ale daleko lepiej ty opiekowałaś się mną. Ty mnie uratowałaś.

Zoe przypomniała sobie nocne burdy, przerażające odgłosy bicia w mieszkaniu obok. Pamiętała krzyki przenikające ścianę, płacz, pamiętała twarz, ramiona i nogi Marisol z utrzymującymi się przez wiele dni sińcami. Marisol nie mogła mieć dzieci, co bardzo ją smuciło, lecz jednocześnie ogromnie cieszyło. Dzięki temu łatwiej przyszło jej odejść od mężczyzny, z którym była, gdy Zoe przekonała ją w końcu, że to jedyne sensowne wyjście.

- Chcesz sprzedać Cedar Bluff? - spytała Marisol. - Nie sądzę, żebyś musiała. Może kiedyś, w przyszłości. Ale jeszcze nie teraz. Jeszcze na to za wcześnie.

Zoe ukryła twarz w dłoniach.

- Przecież to ty nie chciałaś, żebym tu wróciła po śmierci Williama.

- Tak, ale myślałam o kilku dniach. Może o tygodniu. Tu jest twoje miejsce, Zoe. Cedar Bluff jest częścią ciebie. Przynajmniej w tej chwili. - Marisol odkryła twarz Zoe. - Powiem ci, co masz zrobić. Wrócisz do pracy. Powiedziałaś, że pieniędzy z ubezpieczenia wystarczy na spłatę tej ostatniej raty. Ale ty musisz wrócić do pracy. I wtedy, jeśli kiedyś zdecydujesz się sprzedać ten dom, będzie to twój wybór, a nie konieczność.

- Marisol, nie mogę...

Nie opowiadaj głupot. Zrobisz tak, jak ci mówię.

Zoe przypomniła sobie te słowa. Kurując się po wylewie, słyszała je w ustach przyjaciółki dosyć często. Czasem wtedy, gdy bała się ćwiczyć chodzenie. Czasem wtedy, gdy przez wiele dni nie próbowała się odezwać. „Nie opowiadaj głupot”. Marisol zrećcznie posługiwała się słowami. I to skutkowało. Wtedy.

Teraz jest inaczej, Marisol. Nie wystarczy podtrzymać mnie na duchu w głębokiej depresji. Tu są długi. Rachunki. Wielkie. Ja po prostu nie wiem, jak sobie z tym poradzić.

Marisol oparła się o stół i ujęła twarz przyjaciółki w dłonie. Spojrzała jej prosto w oczy i powiedziała:

- Owszem, wiesz. Masz ikrę, złotko. I masz Scottiego. I mnie. A ja ci pomogę.

Marisol wstała i zaczęła przechadzać się wielkimi krokami po pokoju.

- Posłuchaj, od czego zaczniemy. Najpierw zrobisz z sobą porządek. Jeśli będziesz wyglądać jak gwiazda, to znowu poczujesz się gwiazdą.

Zoe westchnęła.

- Wyślemy cię do jednego z tych miejsc, gdzie odchudzają.

- I w dziesięć minut po moim przyjeździe wszystkie szmatławce w tym kraju będą o tym pisały.

Marisol okrzyknęła stół.

- Wobec tego znajdziemy miejsce, gdzie jest naprawdę dyskretnie. Gdzieś daleko.

- Doceniam twoje wysiłki, Marisol. Naprawdę. Ale musisz być realistką. Przede wszystkim nie mogę jechać do żadnego kurortu. To jest kosztowne, a ja nie mam pieniędzy.

- Masz.

- No, tak. Kilkadziesiąt tysięcy na swoim rachunku bankowym. Ale będę potrzebować tych pieniędzy. Nie mogę ich tracić na gubienie kilku kilogramów nadwagi. - Wstała i podeszła do okna. - W rzeczywistości muszę zacząć od sprzedaży tego domu. Przeprowadzić się. Przyzwyczać się do nowego życia. Bez marzeń.

- Ja mam pieniądze.

Zoe odwróciła się i spojrzała w twarz przyjaciółki.

- Co takiego?
- Powiedziałam, że mam pieniądze. Mnóstwo pieniędzy. Przez te lata płaciłaś mi bardzo dużo. Zaoszczędziłam.

Zoe pokręciła głową.

- Nie. To, co masz, jest twoje. Opiekowałam się mną i Scottem. Nigdy nie pozwoliłaś mi wziąć gospodyni. Chroniłaś mnie przed obcymi, przed prasą, przed wścibskimi oczami ludzi, którzy bardzo chcieli się przekonać, jak nisko upadłam. Nie, Marisol. To, co masz, jest twoje. Zapracowane.

- Nie. Chcę, żebyś wzięła te pieniądze.

Zoe wykonała odmowny gest.

- Nie ma mowy. Nie zgodzę się, żebyś wydawała na mnie swoje pieniądze.

- A co ty robiłaś przez te wszystkie lata? Wydawałaś swoje pieniądze na mnie. Teraz moja kolej. Poza tym jesteście ze Scottem moją rodziną. Wiecie to dobrze.

- Marisol...

- Posłuchaj, co zrobimy. Znajdziemy dla ciebie odpowiednie miejsce. Jakiś kurort. Zapłacę za twój pobyt. A potem zobaczymy, co dalej.

- Marisol, kocham cię bardziej, niż kochałabym siostrę, gdybym ją miała, i matkę, gdyby jeszcze żyła. Ale prawda jest taka, że nie mogę już być aktorką.

- To twój pierwszy błąd.

- Co?

- Nie nazywaj się więcej aktorką. Jesteś teraz aktorem. Mężczyźni wygrali tę rundę.

Zoe roześmiała się. Przyjemnie było się roześmiać.

- I od jutra zaczynasz. Jutro pójdziesz do tego agenta, z którym zwykle pracował William. Jak on się nazywa?

- Tim? Tim Danahy.

- Właśnie. O niego mi chodzi. Pójdziesz do niego i powiesz, że chcesz znowu grać. Nie masz nic do stracenia.

- Marisol - powiedziała cicho Zoe, wracając do stołu. - Jednego nie wzięłaś pod uwagę. Nie sądzę, żebym jeszcze chciała kiedykolwiek być aktorką.

Marisol pokręciła głową.

- Sądzisz, sądzisz.

- Skąd ta pewność?

- Bo nie masz wyjścia, złotko.

Włożyła krotką blond perukę, okulary przeciwsłoneczne w wielkiej oprawie, czarne legginsy i obszerną czarnobiałą bluzkę. Nie wiedziała, czy maskuje w ten sposób twarz, czy nadwagę. Zresztą skoro nikt jej nie oczekiwał, to prawdopodobnie nikt jej nie pozna. Tyle czasu minęło. Tak wiele lat.

Wzięła głęboki oddech i przekroczyła próg drzwi z napisem „Timothy Danahy. Agencja aktorska”, wspominając czas, kiedy na tabliczce był napis: „Hartmann i Danahy”. To było przed rozstaniem Williama z Timem, niedługo przed tym, jak William zrobił z niej gwiazdę.

W małej poczekalni wszystko wyglądało w zaskakująco znajomy sposób. Ten sam wystrój w ziemistym odcieniu, to samo tandetne umeblowanie, te same kiepskie obrazy olejne, kupione na jakimś bezimiennym ulicznym bazarze. Zoe podejrzewała, że Tim Danahy ledwo ciągnie. Podeszła do sekretarki w średnim wieku, która przyjrzała jej się nieufnie znad krawędzi okularów.

Słucham.

Czy Tim jest u siebie? - spytała Zoe. Nie zatelefonowała wcześniej. Na wszelki wypadek nie chciała się umawiać, bo mogła w ostatniej chwili zmienić zdanie.

Czy pan Danahy czeka na panią?

Zoe zsunęła za ucho blond loczek. Zastanawiała się, czy nie wylazły na wierzch jej czarne włosy. Już tak dawno nie przebierała się, żeby wyjść z domu. Już od tak dawna nigdzie nie wychodziła.

- Nie.

Kobieta przygryzła ołówek.

- Musi się pani umówić - stwierdziła oschle.

Zoe znowu wzięła głęboki oddech.

- Jeśli pan Danahy jest u siebie, to sędzę, że mnie przyjmie. - Kobieta uniosła brwi. - Proszę mnie zapowiedzieć.

- Jak się pani nazywa?

- Niech pani powie, że przyszła przyjaciółka z dawnych lat - odrzekła. - Niech pani powie, że jest tutaj Zoe.

Kobieta parsknęła śmiechem.

- Jasne. A ja jestem Cindy Crawford.

Zoe zdjęła okulary przeciwsłoneczne i rozejrzała się dookoła. Drzwi za nią były zamknięte, więcej ludzi w pomieszczeniu nie było. Ściągnęła perukę i potrząsnęła głową, rozpuszczając długie czarne włosy.

Kobieta głośno wypuściła powietrze.

- Mój Boże. To naprawdę pani.

Zoe uśmiechnęła się.

- Owszem.

Sekretarka zwyczajnie się na nią gapiła.

- Nie mogę uwierzyć... - Urwała. - Ojej. Wyrazy współczucia z powodu pani męża.

- Dziękuję. Czy teraz pani sądzi, że Tim jest wolny?

Kobieta zerwała się z krzesła.

- Ależ tak. Proszę za mną. - Przeszła przez poczekalnię i otworzyła drzwi do przyległego pomieszczenia. - Tim... - zaczęła.

- Wiem - dobiegł ze środka niski głos dobrze znany Zoe.

- Wprowadź ją.

Zoe weszła, a kobieta dyskretnie się oddaliła, prawdopodobnie prosto do telefonu, żeby opowiedzieć przyjaciółkom, kto odwiedził agencję. Tim Danahy siedział plecami do Zoe.

- Wiedziałaś, że przyszłam? - spytała.

Obrócił się razem z krzesłem i spojrzał wprost na nią. Wskazał małą skrzynkę na biurku.

- Obserwuję wszystkie wydarzenia na froncie.

Zoe uśmiechnęła się. Ten sam stary Tim. Stary zwariowany Tim.

Wstał i obszedł biurko. Wyciągnął ramiona i zamknął ją w uścisku. Sprawilo jej to dużą przyjemność. Dodało otuchy.

- Jak się masz, Zoe?

- Dobrze, Tim. Słowo.

Cofnął się i wskazał jej krzesło.

- Siadaj. Byłem tam, wiesz. Na pogrzebie Williama.

- Nie wiedziałam. - Usiadłszy na krześle obitym wytartą skórą, Zoe spostrzegła, że jedno się zmieniło: nie wisi już w powietrzu i nie zatruwa w całym pokoju atmosfery agresywny smród markowych cygar Tima. W ciągu ostatnich piętnastu lat Tim wyraźnie rzucił palenie. Zastanawiała się, czy zaszły w nim również inne zmiany.

Wrócił na krzesło za biurkiem, kręcąc głową.

- Wciąż nie mogę uwierzyć, że William nie żyje.

- Wiem.

Postawił łokcie na biurku, podparł twarz dłońmi.

- A teraz ty jesteś tutaj.

Zoe niespokojnie drgnęła.

- Jestem tutaj.

Chyba nie muszę zgadywać, po co.

Zoe spuściła wzrok.

To, że dla Williama nastały ciężkie czasy, nie było tajemnicą, Zoe.

-Dla mnie było - powiedziała cicho.

-A teraz chcesz, żebym ci pomógł.

Uniosła głowę.

- Chcę znowu grać., Potrzebuję tego. - Boże, dlaczego czuła się tak, jakby żebrała? Przecież nie musiała przekonywać go o swojej wartości. Przecież to Tim Danahy ją zauważył, a nie William. Wtedy nazywała się Zoe Naddlemeyer. Małe miasto, małe zarobki, Zoe Naddlemeyer. To Tim wpadł na pomysł, żeby zrezygnowała z nazwiska. To Tim, a nie William, stworzył Zoe.

Roześmiał się, nie bez życzliwości.

- Zoe, najmilsza, gdybyś poprosiła mnie o pieniądze, byłoby łatwiej. A wierz mi, że sam ich za wiele nie mam ostatnimi czasy.

Zoe siedziała w milczeniu.

- Naturalnie - ciągnął - miałbym więcej pieniędzy, mnóstwo pieniędzy, gdyby William nie wykradł cię spod moich skrzydeł.

Tim zdobył się na rzucenie palenia, ale Zoe widziała, że wciąż jest na nią wściekły. Nie miała do niego pretensji.

- Tim...

Machnął ręką.

- Przepraszam. To nie było czyste zagranie. Ale on naprawdę cię wykradł. Nie tylko pod jednym względem. Kochałem cię, przecież wiesz.

Zoe wiedziała. Ale wtedy zdawało jej się, że wszyscy są w niej zakochani. W jej twarzy, ciele, umiejętności czarowania kamery.

- William mnie okłamał. Powiedział mi, że porwał cię jakiś chłopak z twoich rodzinnych stron.

Przed oczami pojawiło jej się żywe wyobrażenie Erica Matthews'a. Chłopak z rodzinnych stron. Chłopak, który na zawsze zmienił bieg jej życia.

- Wcale nie skłamał.

- Nie? Potem William powiedział mi, że zrywamy spółkę, a potem dowiedziałem się, że chłopaka na tapecie już nie ma, a ty i William jesteście małżeństwem.

- To nie poszło tak szybko.

- No, nie. Najpierw William rozstał się ze mną. Potem zostałam gwiazdą.

Potem Eric mnie zostawił, pomyślała Zoe, czując ściskanie w sercu, od którego nigdy się nie uwolniła, nawet wtedy gdy już zagoiły się jej rany. Uczuciowe, nie fizyczne. Dotknęła bezwładnego mięśnia w kącie ust.

- A potem William się z tobą ożenił - ciągnął Tim.

- Dobrze to pamiętasz.

- Powiedziałem ci, że byłem w tobie zakochany. Kiedy człowiek kogoś kocha, pamięta ból tak samo jak rozkosz.

Zoe westchnęła. Nigdy nie była z Timem Danahym nawet na obiedzie, a co dopiero mówić o „rozkoszy”. Splotła dłonie na podołku.

- Tim, to jest zamierzchnia historia.

- Masz rację. - Nie przeprosił i nie wydawał się zakłopotany.

- Potrzebuję roli - powiedziała szybko Zoe. - Po to tylko przyszłam. Muszę wrócić do pracy.

- Więc czemu przychodzisz tutaj? Rozejrzyj się dobrze, Zoe. Nie wiedzie mi się najlepiej.

- Przychodzę tutaj, bo ci ufam, Tim.

- Aha, czynnik zaufania.

- I potrzebuję cię. Potrzebuję twojej pomocy.

Tim wstał i podszedł do ściany zastawionej szafami bibliotecznymi, które były pełne nie książek, lecz wideokaset.

- Ile lat masz w tej chwili, Zoe?

Przełknęła ślinę.

- Czterdzieści.

- Czterdziestolatka próbuje zaczynać od nowa w świecie dwudziestolatek.

- Miałam nadzieję, że to się zmieniło.

Wzruszył ramionami.

- Do pewnego stopnia. Streep. Glenn Close. Boże, nawet MacLaine. Dowiodły, że nie trzeba mieć dwudziestu lat, żeby być gwiazdą. - Pokręcił głową i znowu popatrzył jej w oczy. - Ale wszystkie stoczyły twardą walkę, Zoe. Czy jesteś pewna, że temu podołasz?

Nie była pewna ani trochę.

- Tak - powiedziała.

- Znalezienie odpowiedniej roli dla ciebie może zająć trochę czasu.

- Nie mam czasu, Tim.

Wrócił do biurka i zaczął przekopywać szufladę. Wyciągnął gruby maszynopis.

-To jest coś, co napisał jeden z moich scenarzystów.

-Czyżbyś miał maszynopis w biurku zupełnie przypadkiem?

Tim uśmiechnął się.

-Powiedzmy, że brałem pod uwagę możliwość twojej wizyty.

Zoe nie była pewna, czy Tim nie zachowuje się protekcyjnie, uznała jednak, że w obecnej sytuacji nie powinna odgrywać primadonny.

-Scenariusz jest przyzwoity - podjął Tim. - Rozmawiałem z Calem Bakerem na temat produkcji.

-Z Calem Bakerem?

-To reżyser, Zoe. Pierwsza klasa. Boże, ty naprawdę wypadłaś z obiegu.

Wzięła maszynopis. *Silne więzy* głosiła strona tytułowa.

-Będzie z tego krótki serial - powiedział Tim. - Dla telewizji.

Zoe odepchnęła maszynopis.

- Nie robię nic dla telewizji, Tim. Jestem aktorką.

Tim poprawił się na krześle.

- Więc nie spodziewaj się, że dostaniesz jakąkolwiek robotę.

Spojrzała na niego. Sądząc po jego minie, to nie był żart. Ponownie wzięła maszynopis do ręki.

- Do roli Jan Wexler jest potrzebna trzydziestopięcioletka. Dasz sobie radę?

- Ile mam czasu?

- Miesiąc. Sześć tygodni.

Gapiła się na scenariusz. Była wdzięczna Timowi, że nie wspomniał ani słowem o jej tuszy. Ani o bardzo wymownym defekcie wargi, pozostałości wylewu, nawet jeśli go zauważył. Zoe pomyślała o propozycji Marisol.

- Tak - powiedziała. - Jasne.

- Będziesz musiała przejść próbę.

- Co? Zdjęcia próbne?

- Aha.

- Boże, Tim, nie chcesz mi ułatwić życia, co?

Spojrzał jej w oczy z tym samym skupieniem, które było w nich dawno temu. Z tym samym skupieniem i tą samą troską.

- Dużo czasu minęło, Zoe. Kamera może teraz widzieć cię zupełnie inaczej.

Raz jeszcze dotknęła kącika ust. Czyżby jednak zauważył?

- Weź scenariusz, Zoe. Przystuduj. Zobaczymy, co z tego wyjdzie.

Wstała i wcisnęła maszynopis do pojemnej torby.

- Wiedziałam, że mogę na ciebie liczyć, Tim.

On również wstał i wziął się pod boki.

- Zatelefonuj do mnie, kiedy będziesz gotowa. Aha, Zoe...

Przystanąła w drodze do drzwi i odwróciła się.

- Czy odpowiesz mi na jedno pytanie?

Na chwilę wstrzymała oddech.

- Twój syn. Jak on ma na imię?

- Scott.

- Tak, Scott. On nie jest w rzeczywistości synem Willia-
ma, prawda?

Zacisnęła palce na pasku torby.

- Będę z tobą w kontakcie, Tim - powiedziała i wyszła.

W drodze powrotnej do Cedar Bluff Zoe zatrzymała samochód przy supermarkecie. Upewniwszy się, że ma na miejscu blond perukę i okulary przeciwsłoneczne, weszła do sklepu i skierowała się do półek ze zdrową żywnością. Postanowiła od następnego dnia przejść na dietę. Był na to najwyższy czas.

Rozdział czwarty

Meg zamknęła oczy i głęboko wciągnęła powietrze. Aż trudno jej było uwierzyć, że choć tyle chodzi po mieście, to siedząc po turecku na małej macie, mięśnie ud ma napięte i obolałe.

- Znakomicie, moje panie, wdech... powoli... - Salę wypełnił świst zasysanego powietrza. - I wydech... - Zaszumiało. Jednocześnie przez unoszące się dookoła niewidzialne cirusy francuskich perfum przebiła się nieświeża mieszanka zapachów kobiecego ciała.

Było to śmieszne. Meg otworzyła oczy i rozejrzała się po sali ćwiczeń Golden Key, wyłożonej orzechową boazerią. W jednym końcu pomieszczenia stał milczący, przykryty koronkową narzutą fortepian, w drugim znajdowało się małe skupisko wiktoriańskich krzesel z aksamitną tapicerką. Pośrodku, na ręcznie tkanym dywanie, siedziały w nierównych odstępach dwa tuziny pań w trykotach, z rozmaitej grubości warstwą tkanki tłuszczowej i mniejszymi bądź większymi śladami pracy chirurga plastycznego. Pograżone w transie, uczestniczyły w popołudniowym seminarium, zatytułowanym „Stres i jaźń”. Avery Larson oczekiwał, że właśnie z takimi kobietami Meg będzie utrzymywać stosunki, wymieniać ploteczki. A któregoś dnia ściągnie je do firmy w charakterze klientek.

- Znajdźcie ośrodek swego ciała. A teraz powoli: wdech... wydech.

Znowu zamknęła oczy; nie wiedziała, jak można zajmować się szukaniem „ośrodka swego ciała”. Przez prawie trzydzieści dziewięć lat życia nigdy nie zetknęła się z takim problemem. Może była to technika przydatna podczas porodu, a może coś genetycznego? Z pewnością niczego podobnego nie uczyła się na studiach w Harvard Law School. Zimny dreszcz przebiegł po kręgosłupie Meg, którego ośrodek pozostawał nieznanym.

Królowa Śniegu broni skrzywdzonej niewinności. Jakby mało było tego nagłówka, jeszcze w dodatku opublikowali zdjęcie sprzed szesnastu lat, Meg z „profesorem”. Siedzieli pod drzewem na Harvard Square. I trzymali się za ręce.

Próbowała wziąć głęboki oddech, ale powietrze zatrzymało się gdzieś między wspomnieniami dnia wczorajszego i rzeczywistością dzisiejszego. W artykule porównywano wątpliwą moralność Meg, wybitnej, lecz niedostępnej prawniczki, obrońcy w sprawach karnych, i jej klientów cieszących się złą sławą. Ale najbardziej zdenerwował ją widok tego starego zdjęcia. Choć w czasie, kiedy je zrobiono, odmieniło ono radykalnie bieg życia Meg, skandal, jaki wywołało, był stosunkowo niewielki. Zważywszy na okres, oboje mieli szczęście. Było to jeszcze w epoce przed Garym Hartem i Donną Rice, zdjęcie ukazało się w uniwersyteckiej gazecie jako jedno z wielu w reportażu na temat „studentów szalejących za kadrami”. Na szczęście nawet dziennikarz szmatławego magazynu z lat dziewięćdziesiątych najwyraźniej nie wykrył, że mężczyzna trzymający Meg za rękę był żonaty. I że później został senatorem Stanów Zjednoczonych. Mimo to Avery dostał szału.

- To nie jest ten rodzaj rozgłosu, jakiego chcemy dla kancelarii - krzyczał, jego siwe brwi podskakiwały, a twarz z sekundy na sekundę stawała się bardziej purpurowa.

Meg skapitulowała. Pod wpływem pragnienia, które odżyło w niej z wielką siłą, by wynieść się z miasta, i niezbyt szczerego życzenia, by dogodzić Avery'emu, szybko dokonała rezerwacji i schroniła się w Golden Key. Nie miało sensu stawiać na konfrontację z brukowcem. W ten sposób tylko podsycałaby zainteresowanie swą osobą, ryzykowałaby, że prawda wyjdzie na jaw, a nie zyskałaby niczego. Tak samo, jak niczego nie zyskiwała przez to idiotyczne ćwiczenie,

które właśnie robiła. Wyprostowała ramiona i zaczęła się zastanawiać, kiedy jej życie tak się skomplikowało. I dlaczego.

Ponownie otworzyła oczy. Obok niej ćwiczyła oddechy Mada istota o ptasiej urodzie. Diamenty na jej kościstych palcach były większe, niż dwukaratowe kolczyki, które Meg kupiła sobie na ostatnie urodziny. Po drugiej stronie siedziała przysadzista różowitka kobieta, której ciało wpadało w drgania przy każdej komendzie „wdech” lub „wydech”. Również ona miała na sobie mnóstwo biżuterii, której magiczne błyski dziwnie nie pasowały do trzeszczącego w szwach trykotu. Meg założyłaby się, że żadna z nich nie kupiła sama swoich błyskotek, a w każdym razie nie zrobiła tego za swoje pieniądze. Kobiety tego rodzaju finansowali mężowie, dogadzający im książeczką czekową z nieograniczonym kontem, wieloma domami w wielu miejscach na ziemi, szoferami, służącymi, przepastnymi garderobami i pobytami w luksusowych kurortach. Te kobiety nie musiały zastanawiać się nad swoją przeszłością ani martwić o przyszłość. Najwyraźniej nie miały nic innego do roboty, jak tylko siedzieć i oddychać. No, może jeszcze niepokoić się, że potencjalni spadkobiercy zarzną je we śnie.

Meg ogarnął gniew. Nikt nie miał prawa prześlizgiwać się przez życie, nie wnosząc do niego swojego wkładu, nie dając z siebie nic bardziej twórczego niż nieustanne podróże, zakupy, ewentualnie przygotowywanie lunchu. Potarła miejsce poniżej gardła, próbując usunąć napięcie. Zateęskniła do uspokajającego stanu upojenia pracą, który zastąpiłby tę żalną farsę rzeczywistości. I wtedy kątem oka dostrzegła gwałtowny ruch. Zerknęła na środek sali. Stała tam tryskająca zdrowiem instruktorka i wytykała ją karzącym palcem. Meg uśmiechnęła się. Wzruszyła ramionami, potem w milczeniu wstała, zabrała z podłogi swoją matę i wyszła.

Alissa weszła do swego apartamentu. Zauważyła, że ośrodek przypomina kropka w kropkę California Golden Key: wszystko jak należy brzoskwiniowe i leśnozielone, zestawione z lekkością i elegancją. Cisnęła torebkę na miękkim tapicerowanym fotelu w salonie i przeszła do sypialni. Jej walizki postawiono przy ścianie, którą niemal w całości

tworzyły lustrzane drzwi do garderoby, mające mosiężne okucia. Alissa westchnęła. W Beverly Hills rozpakowano by jej rzeczy i rozłożono na półki. Z drugiej jednak strony było to ostatnie miejsce, w którym chciałyby się teraz znaleźć. Znała tam za dużo ludzi. Wzgórza Berkshire dawały więcej bezpieczeństwa, wszak potrzebowała poczucia anonimowości. A oprócz anonimowości także odrobiny ciszy i spokoju.

Wróciła do salonu, po drodze rozpinając jedwabną bluzkę. Usiłowała nie myśleć o Robercie, Grancie Wentworcie i swych pięknych, młodych córkach.

Ze stolika przy fotelu wzięła pakiet z informacjami, usiadła i zaczęła kartkować. Nic nowego. Wykaz codziennych zajęć, od aerobiku począwszy przez pracę nad ciałem po seminaria na temat sprawności. Boże, zobaczyła, że jest nawet dyskusja o menopauzie. Uśmiechnęła się krzywo. Może powinna na to iść. Może częściowo stąd biorą się jej kłopoty. Doskwiera jej nadprodukcja czy też niedostatek hormonów, cała ta awantura hormonalna po czterdziestce.

Spojrzała na dalsze strony prospektu. Typowe usługi: odnowa biologiczna, masaż, wodolecznictwo, solanki. Osobną broszurę stanowił jadłospis na każdy dzień, z wyszczególnieniem kaloryczności pokarmów i zawartości tłuszczu we wszystkim, od wafli robionych z mąki z pełnego przemiału po medaliony z dzikiej kaczki. Alissa wiedziała z własnego doświadczenia, że nazwy potraw są o wiele bardziej egzotyczne niż ich smak. Ale jedzenie jej nie interesowało. I co w tym dziwnego? Nie było dla niej nic bardziej odrażającego niż tłuszcz na ciele. Wszystko jedno gdzie. Był to dowód braku dyscypliny, który prawie zawsze zdradzał, że ktoś nie panuje nad sobą.

Panowanie nad sobą.

Odrzuciła pakiet. Nie było w nim nic, co miałoby jakiegokolwiek znaczenie. Wszystko było gównem. Nagle bowiem Alissa poczuła, że przestaje panować nad swym życiem. Kilka razy stuknęła stopą w podłogę, nerwowo splótła dłonie, po czym zaczęła przewracać zawartość torebki w poszukiwaniu papierosa. Znalazła, zapaliła i zaciągnęła się głęboko. Musiał być jakiś sposób, żeby odzyskać kontrolę nad życiem. Musiało być coś, dla czego warto żyć.

Ciągle wracała myślami do dobroczyнного balu na rzecz bezdomnych. Gdyby jakoś udało się jej urządzić wielkie

widowisko, galę nad galami... Boże, wtedy pokazałaby im wszystkim. Grantowi Wentworthowi i jego flejtuchowatej żonie Betty. Sue Ellen Jamison. Wszystkim. Pośpiesznie wciągnęła do płuc jeszcze trochę dymu, zgasiła papierosa na alabastrowej miseczce na cukierki i zaczęła spacerować po pokoju.

Potrzebowała tylko pomysłu. Dobrego pomysłu.

Podeszła do francuskiego okna, rozsunęła na boki jedwabne zasłony i wyjrzała na taras należący do apartamentu. Potem odwróciła się i ruszyła w stronę łazienki, zdejmując po drodze biżuterię. Zaczęło jej się kotłować w głowie. Zajrzała do oszklonej kabiny prysznicowej i odkręciła kran. Myśl z rozmachem, nakazała sobie. Myśl z wielkim rozmachem. Zrzuciła z siebie ubranie, zostawiając całą stertę na podłodze. Sprawdziła wodę. Była ciepła.

Atlanta nie jest Nowym Jorkiem. Ani Waszyngtonem. Ale może nadszedł czas, by pokazać całemu krajowi, nie, całemu światu, że Atlanta jest nowym miastem światowego znaczenia. Miejscem istniejącym nie tylko dla wygody pasażerów szukających przesiadki w porcie lotniczym. I co z tego, jeśli nie będzie to prawdą? Alissa miała swój rozum. Wiedziała, że jeśli wystarczającej liczbie ludzi wystarczy się nakłamać, to prędzej czy później zaczną wierzyć w kłamstwa. Do diabła z olimpiadą. To Alissa Page sprawi, że Atlanta zaistnieje na mapie świata.

Błyskawicznie przejrzała zawartość wiklinowego koszyczka na podłużnej półeczce z kosmetykami, pełnej pudrów i żeli. Otworzyła buteleczkę żelu do mycia ciała, sporządzonego wyłącznie z naturalnych składników. Była zadowolona, że opakowania kosmetyków są tu szklane, nie ma żadnych plastikowych śmieci z firmowymi etykietkami sieci hotelowej.

Odstawiła buteleczkę i spojrzała w lustro. Mogła zacząć od Teda Turnera. I Jane. Mogła spróbować zyskać dla balu przynajmniej ich nazwiska, jeśli nie rzeczywiste poparcie. Turner był wszak księciem Atlanty. Niektórzy nawet nazwali go kiedyś zbawcą. No, i Jane. Nie podlegało dyskusji, że jej związki z Hollywoodem uatrakcyjnią widowisko.

Zaczęła wcierać odżywkę w ciało. Związki z Hollywood stanowiłyby lepszy magnes niż wzmianki w dziale „Przyjęcia” w „Town & Country”. Temat podchwycą kolorowe magazyny goniące za sensacjami. Robin Leach w swoim

show. Może jeszcze ktoś więcej. W wyobraźni widziała już te balowe suknie, migające światła i siebie na zdjęciach.

Właśnie miała wejść pod prysznic, kiedy zadzwonił telefon. Przystanęła i rozejrzała się wokoło. Dostrzegła aparat telefoniczny na marmurowej podstawie w kolorze brzoskwinowym, przy wannie wpuszczonej w podłogę. Dzwonek odezwał się ponownie.

O, pomyślała radośnie. Może to Ted i Jane. Szybko odebrała telefon. Ale to nie byli Turnerowie. Dzwonił Robert.

- Dziewczynki powiedziały mi, gdzie mogę cię znaleźć - odezwał się.

- Przypomnij mi, żebym im podziękowała - odparła.

- Alisso, musimy porozmawiać.

Trzymając słuchawkę przy uchu, powoli wtarła w skórę następną porcję żelu. Jakie prawo miał Robert, żeby do niej telefonować w tej chwili? Przerywać jej najcudowniejsze marzenie, jakie miała od długiego czasu? Po drugiej stronie drutu usłyszała jego westchnienie.

- Wrócisz? - *spytał*.

- Do Atlanty? Czy do ciebie?

- I tu, i tu.

- Naprawdę nie sędzę, żebyś potrzebował mnie z powrotem w domu, Robercie. - Poczowała lekki ucisk w gardle. - Przecież okazało się, że nie jestem w twoim typie.

- Alisso... proszę cię. Pozwól mi wyjaśnić.

Nie odezwała się.

- To jest dla mnie bardzo trudne - ciągnął.

A dla mnie nie? - pomyślała.

- *Żyję z tym już od bardzo dawna.*

Rozejrzała się po łazience, po jasnobrzoskwinowym wyposażeniu, złożonych kranach. Jej spojrzenie padło na bidet i znowu poczuła zadowolenie, przypomniała sobie bowiem, że wreszcie kazała zainstalować go w swojej łazience. W tak zwanym domu.

- Alisso, potrzebuję cię.

- Wątpię - zdołała wydusić. - Mam czterdzieści dwa lata, Robercie. Mała jest szansa, że wyrosnie mi członek między nogami.

Tym razem zamilkł Robert, ale Alissa niemal widziała, jak skręca się, stojąc przy aparacie.

- Robercie, muszę iść. Umówiłam się na obiad - skłamała i odłożyła słuchawkę.

Wróciła do kabiny, weszła pod prysznic i zamknęła za sobą szklane drzwi. Potem oparła się o ścianę. Ciepła woda spływała po jej ciele, słone łzy ściekały po policzkach, wsiąkały w pory, przesączały się w głąb skóry, dotykały wszystkich zagubionych, samotnych, dziewczęcych miejsc pod powierzchnią, w duszy. Wspaniała wizja sukni balowych, migoczących świateł i prasowego rozgłosu znikła, zastąpiło ją wyobrażenie Roberta uprawiającego seks z tamtym mężczyzną na podłodze w gabinecie.

Przesunęła dłońmi po swym nagim ciele i pomyślała o tych wszystkich razach, dawno temu, gdy Robert dotykał jej tu i tam. Co czuł, dotykając jej tymi wrażliwymi, uzdrawiającymi rękami? Pewnie robił to całkiem beznamiętnie. Więcej było w tym sympatii niż pożądania. Ale czy nie miało to dla niego żadnego znaczenia? Czy jej ciało budziło w nim odrazę? Czy kochanie się z nią było tylko grą, udawaniem?

Teraz te same ręce dotykały mężczyzny; głaskały naprężone mięśnie klatki piersiowej, pocierały miękkie, owłosione miejsce pod brzuchem, ujmowały i przesuwwały rytmicznym ruchem różową skórę na nabrzmiałym członku.

Zastanawiała się, czy w czasach, gdy jeszcze się kochali, Robert uprawiał seks także z mężczyznami. Oderwała dłoń od ciała i ukryła w nich twarz. Zaczęła szlochać. Dlaczego jej to zrobił? Dlaczego mu nie wystarczała? Dlaczego, do diabła, zapragnął mężczyzny?

Płakała nad utratą więzi, której, teraz już to wiedziała, nigdy nie było, nad bolesną pustką w sercu, nad palącą świadomością, że oddałaby chętnie swoje przyjęcia, fotki w czasopiśmie, miejsce w *Kto jest kim?* i pozycję w towarzystwie za poczucie, że jest kochana. Znowu ujęła swe piersi i zaczęła je delikatnie masować, pieścić, póki brodawki sutek nie stwardniały jej od dotyku, a między nogi nie wpłynęła fala ciepła. Pierwszy raz od dawien dawna uprzytomniła sobie, że tęskni za dotykiem mężczyzny, który kiedyś naprawdę ją kochał. Za dotykiem Jaya Stockwella.

Zoe czuła się samotna bez Scotta i Marisol. I bez Williama. Odsunęła na bok tackę ze zwiędłymi warzywami. Kiedy przyniesiono je w porze lunchu, były soczyście zielone i kruche. Ale od tej pory minęło wiele godzin. Przez pierwsze dwa dni Zoe prawie nic nie jadła, a mimo to czuła się

otyła, pełna. Może dlatego, że nie zaczęła jeszcze ćwiczyć, bo wciąż miała obawy przed wyjściem z apartamentu. Wyjście z apartamentu oznaczało stanięcie twarzą w twarz ze światem. Oznaczało też, że ktoś może ją rozpoznać.

Wstała od stołu i przeszła do wypoczynkowej części pokoju. Na stoliku leżał scenariusz, który dostała od Tima. Leżał tam, na razie nie tknięty. Wyjechała z Los Angeles pełna wielkich nadziei, z nową energią. Ale od przyjazdu do ośrodka czuła się, jakby ściał ją mróz. Umysł jej zamarł, nie był w stanie skupić się na przyszłości, niczym się zainteresować. Nie umiał docenić znaczenia, jakie mogła mieć każda mijająca minuta, godzina, każdy dzień. Mniej-sza o jutro.

Podeszła do szklanych drzwi prowadzących na taras i potoczyła wzrokiem po zachwycających terenach Golden Key, po kwitnących, bijących w oczy barwami azaliach, dzikim dereniu, drzewkach wiśni. W oddali widziała imponujący, wzniesiony w okresie wojny secesyjnej główny budynek ośrodka z majestatycznym portykiem u wejścia i obszernym podkowiastym podjazdem. Czytała w prospektach reklamowych, że w budynku tym mieszczą się: jadalnia, biblioteka, sala ćwiczeń, sale seminaryjne. Zastanowiło ją, czy kiedyś znajdzie odwagę, by się tam wybrać.

Niedaleko głównego budynku mieściły się dawne stajnie, które według informacji w prospekcie przerobiono na „klub wspaniałej sprawności”. Podejrzewała, że właśnie tam powinna się teraz znajdować; wykonywać skłony, rozciągać ciało, pływać, biegać... robić wszystko, żeby tylko pozbyć się dziewięciu kilogramów nadwagi. Nie dzisiaj, pomyślała. Może jutro.

Cofnęła się w głąb pokoju i ciężko opadła na miękką, tapicerowaną kanapkę. Przełożyła nogi przez poręcz, przy okazji rąbek włóczkowej sukienki podsunął jej się do połowy uda. Zoe spojrzała na swoje nogi. Niegdyś kształtne łydki i wąskie kostki wydawały się teraz nabrzmięte, opuchnięte, tu i ówdzie znaczyła je siateczka tworzących się żyłaków.

Czubkiem palca Zoe przeciągnęła po wąskich fioletowych liniach. Zastanowiło ją, czy William kiedykolwiek zwrócił na nie uwagę. Zamknęła oczy. Do diabła z nim, pomyślała. Niech idzie do diabła za to, że nas zostawił. Po trzykroć do diabła.

W chwilę później usłyszała czyjeś zawrozczenie, cichy, żalozny dźwięk. Wkrótce zorientowała się, że dobiega on z jej wnętrza. Z brzucha. Z obciążonego dziewięciokilową nadwagą brzucha. I z serca.

Oparła plecy o drugą poręcz kanapki i położyła dłoń na brzuchu. Skórę miała nadmiernie napiętą, zupełnie jakby jej ból parł od środka, usiłując się stamtąd wyrwać. Nagle z oczu pociekły jej łzy. Wcisnęła pięść między zęby, by stłumić dźwięk, złagodzić mękę. Mimo że przez lata wiele przeszła, wiedziała, że za nic nie postąpiłaby tak jak William. Nawet teraz nie brała pod uwagę myśli, że mogłaby się zabić. Nigdy nie zrobiłaby czegoś takiego swemu synowi. Nie naraziłaby go na takie cierpienie. Williamowi nie przyszło to do głowy. Może pomyślałby o tym, gdyby Scott był naprawdę jego synem.

Trochę się uspokoiła. Przecież Scott był synem Williama. No, w sensie biologicznym nie. Ale o tym wiedzieli tylko ona, William i Marisol. Tak przynajmniej zdawało się Zoe. Teraz okazało się, że również Tim Danahy nigdy nie był tego pewien.

Ale to William wychowywał Scotta. To on trzymał za ręce malucha, który uczył się chodzić chwiejnymi kroczkami, podczas gdy Zoe wciąż jeszcze była przykuta do łóżka, odcięta od świata, wciąż obezwładniona skutkami wylewu. To William kupił mu pierwszą rękawicę baseballową, pierwszy rower. To William wychowywał go jak własne dziecko. I William pomógł Zoe w cierpieniu, gdy w ciąży zostawiono ją samą sobie. William ją uwielbiał. William ją chronił, uratował przed skandalem. A teraz ją zostawił. Zupełnie samą.

Prawdopodobnie zabił się z jej powodu. Prawdopodobnie wiedział, że nigdy nie kochała go tak, jak kobieta powinna kochać mężczyznę. Kupował jej rzeczy i trwonił na nią pieniądze z nadzieją, że dzięki temu Zoe go pokocha. A kiedy wszystko stracił, bał się, że straci i ją.

Jak mogłam sprawić, żeby się tak czuł? Co bym dała za to, żeby móc wszystko zmienić? Mój Boże, ten człowiek nigdy by mnie nie skrzywdził. A teraz nie żyje. Przeze mnie.

Ból promieniujący z żołądka objął jej kręgosłup. Zoe wsunęła dłoń do ust i przygryzła. William odszedł. A ona została sama i o wszystkie kłopoty, które są przed nią, może mieć pretensje wyłącznie do siebie. A do sprostania tym

kłopotom nie jest przygotowana ani uczuciowo, ani fizycznie.

„Nie opowiadaj głupot”. Niespodziewanie przyszły jej do głowy słowa Marisol.

Oczy miała już suche. Gapiła się w sufit i zaczęła rozmyślać o przyjaciółce. Ile lojalności okazała jej Marisol przez te wszystkie lata. Ile wdzięczności dla niej czuła, choć przecież to ona, Zoe powinna być wdzięczna. Przede wszystkim za przyjaźń. A teraz także za dar, za pieniądze. Wiedziała jednak, że nie same pieniądze są najważniejsze. Marisol w nią wierzyła. Może nadszedł czas, żebym i ja w siebie uwierzyła, pomyślała Zoe.

Marisol ani przez chwilę nie winiła jej za śmierć Williama, bez względu na to, jak było naprawdę, Zoe nie mogła sobie pozwolić na zaplątanie się w poczucie winy. Grała w zbyt wielu filmach, gdzie poczucie winy było potężną siłą niszcząca, nie mogła dopuścić do tego, żeby zniszczyło jej własne życie. Nic na nim nie zyskiwała, a mogła wszystko stracić, wszystko, co jeszcze, być może, nie zostało stracone.

Zdjęła nogi z poręczy kanapki i usiadła. Nadszedł czas, by stawić czoło światu. Postanowiła wziąć prysznic, a potem iść do jadalni i zjeść obiad jak normalna ludzka istota. A potem zacząć wreszcie studiować ten cholerny scenariusz. To mogła być jej jedyna szansa na zachowanie Cedar Bluff, wiedziała więc, że musi spróbować. Dla Scotta. Dla Marisol. Dla siebie; to najważniejsze: dla siebie. Ale najpierw trzeba zjeść obiad. Wstała i ruszyła do łazienki, zastanawiając się po drodze, jaką ma szansę dostać na deser ulubione kruche ciasteczka.

U wejścia do jadalni powitał Meg szczupły, jasnowłosy mężczyzna z lśniąca od opalenizny skórą i muskularnymi pośladkami, podkreślonymi przez obcisłe spodnie.

- Dobry wieczór, pani Cooper. Czy miło spędziła pani dzień?

Mimo niezaprzeczalnego seksapilu, który sączył się ze wszystkich pedantycznie oczyszczonych porów skórnych kierownika sali, Meg podejrzewała, że podobnie jak większość personelu ma on przykazane patrzeć na szanowne pensjonariuszki, lecz ich nie dotykać, flirtować, ale nie rżnąć. W odpowiedzi tylko się uśmiechnęła, zażenowana, że nawet ona, uczciwa i światowa kobieta, miała chwilę

słabości, w której zateęskniła, by poczuć jego nagie, muskułarne ciało obok siebie w łóżku.

- Mam dla pani przyjemny stolik na dzisiejszy wieczór - powiedział i wskazał gestem, by ruszyła za nim. - Przy oknie.

Przez cały czas unikała wzrokiem jego zadka i spoglądała na dywan barwy kości słoniowej. On tymczasem poprowadził ją do stolika, przy którym siedziała korpulentna kobieta w luźnej żółtej sukience z szerokimi rękawami i dopasowanym do niej jedwabnym turbanie na głowie. Nieznajoma wpatrywała się w świeże kalie stojące na środku stolika. Kierownik sali odsunął krzesło dla Meg.

- Smacznego - powiedział i odszedł.

Meg wzięła lnianą serwetkę ze swego talerza i z namaszczeniem rozłożyła ją na kolanach.

- Sądziś, że to import z Kalifornii? - spytała kobieta w żółtym stroju.

- Proszę?

Kobieta skinęła głową w stronę wejścia.

- Richard. Kierownik sali. Spełnienie marzeń wszystkich kobiet.

- Och - odrzekła Meg - nie zauważyłam.

Nieznajoma spojrzała na nią i uśmiechnęła się.

- Jestem pewna, że szefowie ośrodka będą rozczarowani. Richard stanowi zapewne ważny składnik atmosfery tego miejsca.

Miała najciemniejsze oczy, jakie Meg kiedykolwiek widziała. Ale mimo to żarzyły się ciepłem, były zdecydowanie przyjazne. Coś Meg przypominały, ale nie mogła sobie uświadomić, co i kogo. Z pewnością nie widziała tej kobiety na żadnym seminarium. Zapamiętałyby takie oczy.

- Przynajmniej nie ma osiemnastu lat - powiedziała Meg.

- Pewnie, że nie - potwierdziła kobieta i uniosła rękę, która zwróciła uwagę Meg brakiem pierścionków i bransoletek. - To też w ramach stwarzania atmosfery. Szefowie nie chcą, by pensjonariuszki marzyły o mężczyźnie, który mógłby być ich synem. Albo wnukiem.

Meg uśmiechnęła się, ale postanowiła nie podtrzymywać rozmowy. Znała życie - kobieta mogła być dziennikarką, która przekupiła Richarda, by usadził je razem. Może dlatego sprawiała wrażenie takiej otwartej.

- Dziś wieczorem kuchnia serwuje strzępiele z wody - powiedziała nieznajoma i roześmiała się widząc zgrozę na twarzy Meg. - Zareagowałam zupełnie tak samo. - Wyciągnęła do niej pozbawioną ozdób dłoń. - Mam na imię Zoe.

Meg uścisnęła jej rękę.

- A ja Meg. Często tu przyjeżdżasz?

- Jedno jest pewne - stwierdziła Zoe. - Nie przyjeżdżam tutaj dla strzępiela. Paskudna ryba.

Kelner postawił przed nimi prawie przezroczyste głębokie talerze ze złotym brzeżkiem. Były wypełnione bladym płynem, na którym unosiły się kawałeczki suszonych liści bazylii.

- Rosołek z bakłażanów - powiedziała Zoe. - Wcinaj.

Meg uniosła srebrną łyżkę i spróbowała zupy. Ktoś najwyraźniej zapomniał o soli.

- Prawdę mówiąc, jestem tutaj pierwszy raz - mówiła dalej Zoe. Pochyliła się nad stołem i zniżyła głos. - Powiedz mi coś - szepnęła. - Czy te kobiety mają na sobie całą tę biżuterię nawet kiedy się poca?

Meg nie potrafiła powstrzymać się od śmiechu.

- Słucha się ciebie tak, jakbyś nie czuła się tutaj na miejscu - powiedziała, zastanawiając się, czy ta kobieta z lśniąco czarnymi oczami ma pojęcie, że i ona, Meg, nie należy do tego świata.

Zoe uśmiechnęła się i uniosła szklaneczkę wody mineralnej.

- Wierz mi, że się nie czuję - przyznała.

Właśnie wtedy zjawiła się przy nich drobna blondynka w naszyjniku z diamentowych markiz.

- Dziękuję, Richard, tu będzie mi dobrze - powiedziała słodko z południowym akcentem. Jej ton sprawił na Meg wrażenie wyjątkowo nieszczerego. Blondynka szybko usiadła między Zoe i Meg. - Alissa Page - przedstawiła się. - Z Atlanty. - Rozpostarła serwetkę na kolanach, położyła łokcie na stole i oparła podbródek o kolekcję biżuterii na palcach. - Co wam tu dali na obiad?

Meg zerknęła ukradkiem na Zoe i spostrzegła, że cieniutkie linie wokół jej oczu stają się głębsze, a bruzdki biorące w okrągły nawias jej usta wyostrzają się.

Nadszedł kelner, niosąc drugie danie dla Meg i Zoe. Meg przyjrzała się postawionej przed nią bezbarwnej porcyjce strzępiela. Obok leżały trzy laseczki szparagów. Danie uzu-

pełniała różyczka z rzodkiewki podana w kółku z czerwonej kapusty pekińskiej, przybranej cienkim plasterkiem pomarańczy. Meg dałaby wszystko za przyzwoitą mrożonkę. Mogłoby być na przykład lasagne.

- Niestety, jestem wśród obcych. - Alissa Page zatoczyła ręką okrag, symbolizujący salę, która zaczęła się zapełniać. - W Beverly Hills zawsze prawie wszystkich znam.

Zoe gwałtownie odsunęła krzesło.

- Przepraszam, muszę zadzwonić.

Alissa wyciągnęła rękę i położyła dłoń na przedramieniu Zoe.

- Już wiem - powiedziała. - Pani jest Zoe. Aktorka.

Zoe stanęła nieruchomo. Meg upuściła serwetkę na podłogę. Spojrzała na towarzyszkę. Zoe? Aktorka?

- Mój Boże - powiedziała cicho Alissa. - Myślałam, że pani nie żyje.

Zoe z powrotem usiadła na krześle.

- Nic by się specjalnie nie stało, gdybym umarła. - Obrzuciła Meg niepewnym spojrzeniem.

Naturalnie, że to ta aktorka, pomyślała Meg. Dlatego zdawało mi się, że skądś znam te oczy. Meg miała ochotę schować się pod stołem. Zoe, aktorka. Nie żadna dziennikarka szmatławca w pogoni za Meg Cooper, tylko Zoe, aktorka. Jedna z najbardziej znanych kobiet świata.

- Nigdy nie sądziłam, że mogę spotkać Zoe akurat w Massachusetts - powiedziała Alissa.

- Jestem na wakacjach. I próbuję zachować incognito, obawiam się, że bez powodzenia.

Alissa przyłożyła dłoń do ust.

- No tak, dopiero co pogrzebała pani męża.

Meg zatkało ze zdziwienia. Patrzyła, jak ciemne oczy zasnuwają się łzami, ciemne oczy Zoe, niegdyś aktorki, a obecnie najwyraźniej wdowy. Zastanawiała się, kto to jest ta Alissa Page i skąd tyle wie.

- William odszedł kilka tygodni temu - odrzekła Zoe.

- Serdeczne wyrazy współczucia - powiedziała Alissa. Jej głos zabrzmiał teraz prawie szczerze. - Widziałam wspomnienie pośmiertne o pani mężu. Była tam oczywiście również wzmianka o pani, ale tyle czasu minęło...

- ...Od mojego ostatniego filmu - Zoe dokończyła myśl Alissy.

- Tak. No, tak - powiedziała Alissa i znów błysnęła

diamentami. - Proszę się mną nie przejmować. Nikomu nie powiem, kim pani jest.

Meg próbowała coś wyczytać z oczu Alissy, traktując ją jak klientkę, ale były nieprzeniknione. Wróciła więc spojrzeniem do Zoe.

- Ja również współczuję - szepnęła niewyraźnie Meg i dodała: - Nie wiedziałam... - Nie miała pojęcia, co jeszcze powiedzieć. Czuła się, delikatnie mówiąc, głupio.

- Pracowałam z pani mężem - ciągnęła Alissa.

Zoe uniosła brwi.

- Pracowała pani z Williamem?

- William wielkodusznie pomagał załatwić udział wielu swoich klientów w imprezach dobroczynnych, które wspieram.

- William był bardzo wielkoduszny - przyznała Zoe. Odwróciła się do Meg. - Przepraszam, że ci nie powiedziałam. Chyba myślałam, że wiesz, kim jestem.

Meg podniosła widelec i przesunęła na talerzu kilka płatków ryby.

- Powinnam była wiedzieć - stwierdziła. - Widziałam wszystkie twoje filmy. Niesłuchanie podobają mi się twoje role.

Zoe odwzajemniła uśmiech. Poklepała Meg po dłoni.

- Musisz mieć dobrą pamięć.

Zjawił się kelner z zupą dla Alissy.

- Nie jestem dzisiaj zbyt głodna - zaprotestowała dama z Atlanty.

Zoe pochyliła się do niej.

- Proszę, weź zupę. I pałeczki chlebowe, jeśli ich nie będziesz jadła - powiedziała, wskazując na Meg. - Moja przyjaciółka na pewno zje. Mam wrażenie, że jest ciężko wyłodzona.

Alissa odwróciła się z powrotem do kelnera.

- Nie życzę sobie żadnych pałeczek chlebowych. Przytnieś wasze sławne drożdżowe bułeczki koperkowe. Trzy. Z masłem.

Meg spostrzegła, że słodycz znikła z głosu Alissy, a jej miejsce zajął stanowczy ton osoby wydającej polecenia.

- Dobrze, proszę pani - powiedział kelner i odszedł.

- Wiem, gdzie się ciągnie za wszystkie sznurki w tych ośrodkach - powiedziała z szerokim uśmiechem Alissa. - Kto był w jednym, ten był we wszystkich. - Zwróciła się do

Zoe: - Nigdy nie zapomnę, jak twój mąż załatwił Dawn Michaels, żeby zaśpiewała na naszym Peachtree Festival. W tamtym roku zdobyła właśnie trzy nagrody Grammy. I grała główną rolę w... ojej, jak się ten film nazywał? *Wielkie dni*? Coś takiego banalnego.

- Owszem, *Wielkie dni*.

- Och, nie chce się wierzyć, że to był taki kasowy przebój. W każdym razie Dawn była nieprzytomnie na czasie, więc impreza fenomenalnie się udała. No tak, założę się, że myślisz o powrocie przed kamery. - Zoe nie była przygotowana na tak bezceremonialne zagadnięcie.

- To prawda - potwierdziła. - Tylko najpierw muszę zrzucić parę kilogramów i dojść do formy. Jeśli mi się uda.

Alissa wpatrywała się w Zoe, znowu nieprzenikniona.

- Oczywiście, że ci się uda. Na pewno. Postaramy się o to. - Zwróciła się do Meg: - Prawda... ojej - zachnęła się, z lekkim grymasem na twarzy. - Nie usłyszałam, jak się nazywałeś.

Meg zawahała się. Nie chciała rzucać się w oczy. Nie chciała wokół siebie szczególnej atmosfery. Ale kogo będzie obchodzić jej osoba, skoro siedzi przy jednym stoliku z Zoe?

- Jestem Meg - odrzekła. - Meg Cooper.

- Aha, więc posłuchaj Meg, mamy robotę. Musimy doprowadzić wielką Zoe z powrotem do formy. - Potrząsnęła nadgarstkiem w złotych okowach. - Zaczniemy od aerobiku. O siódmej rano. Znam takie ośrodki dostatecznie dobrze, żeby wiedzieć, co ma sens, a co nie. - Badawczo przyjrzała się Meg. - Wygląda na to, że ty również.

Meg ponownie się roześmiała.

- Nie bardzo. Jestem tu pierwszy raz.

Alissa przycisnęła palce do skroni.

- Ojej - jęknęła. - Amatorcki. Jestem otoczona przez amatorki. No dobrze, jakoś damy sobie radę. - Podepchnęła wyżej złote bransolety. - Skoro nie jeździsz po ośrodkach, Meg, to jak u diabła to robisz, że tak świetnie wyglądasz?

- Dużo spaceruję. Mieszkam w Nowym Jorku.

- Wielkie nieba - zakrzyknęła Alissa. - Musisz mieć płaskostopie. Nie obraż się, po prostu czuję się lepiej, kiedy pomyślę, że masz jakąś skazę.

Uśmiechnięta Meg pokręciła głową. Zoe parsknęła śmiechem.

- Co robisz w Nowym Jorku, Meg?
- Jestem adwokatem.
- Radcą prawnym? - dopytywała się Zoe.
- Bez wątpienia w jakiejś firmie - włączyła się Alissa.
- Nie - odparła Meg. - Niestety, jestem z najgorszego gatunku. Bronię w sprawach kryminalnych.
- Jaki tam najgorszy gatunek! - zaprotestowała Alissa. - Powiedziałabym, że najgorsza jest ta banda, która maskuje dyktanctwo. Hej, chwileczkę. To o tobie bez przerwy piszą na pierwszych stronach.
- Meg wpatrywała się w kalie pośrodku stolika.
- Ty broniłaś tej... Holly Davidson.
- Meg przełknęła powietrze.
- Obawiam się, że tak.
- Wygląda na to, że nie jestem jedyną znakomitością w tej grupce - powiedziała Zoe, kładąc rękę na ramieniu Meg. - To dobrze. Wierz mi lub nie, ale nie znoszę skupiać na sobie uwagi.
- Ja też nie - powiedziała cicho Meg.

Alissa nie wierzyła swojemu szczęściu. Wróciła do apartamentu, strzepnęła z nóg pantofle i zapaliła papierosa. Potem opadła na kanapkę i zaczęła się śmiać. Nie mogła uwierzyć, że wylądowała przy jednym stoliku z Zoe i z rozchwytywaną prawniczką. Ze wszystkich ludzi, których mogłaby wykorzystać w tej właśnie chwili, jej dwie współtowarzyszki od stolika pasowały do jej potrzeb najbardziej. A była pewna, że wykorzysta te znajomości. Alissa Page wiedziała bowiem, jak chwytać nadarzącą się okazję. Strząsnęła popiół z papierosa do alabastrowej miseczki na cukierki. Od siódmej rano następnego dnia zamierzała wziąć się do przygotowania balu stulecia. Co najważniejsze, nie musiała się martwić o ściągnięcie Teda i Jane Turnerów, bo właściwe kontakty w szokująco nieprawdopodobny sposób znalazły się w jej zasięgu, nawiasem mówiąc, zasłużenie.

Rozdział piąty

Meg była tu już półtora tygodnia i dobrze się bawiła, pierwszy raz od niepamiętnych czasów. Stała akurat przed garderobą w majtkach i staniku, przekopując się przez dresy. Jednocześnie nuciła pod nosem zapomnianą piosenkę Carole King, wybijając rytm stopą. Znalazła wreszcie to, czego szukała - perłową szmizjerkę, którą miała na sobie w samolocie. Odsunęła ją na wyciągnięcie ramienia: przypominała jej pozostałe stroje, była konserwatywna, przeobraźliwie nieciekawa i sprawiała wrażenie, jakby miała z przodu krzykliwy napis „prawnik z Park Avenue”. Ale wieczorem Meg nie zamierzała wkładać żadnych ubiorów treningowych. Trochę wcześniej, podczas śniadania, Alissa oznajmiła, że nastał dla nich czas zasłużonej ucieczki. Postanowiła porwać Zoe i Meg na obiad w mieście, z pełną dawką kalorii i butelką wina. Meg odwiesiła więc sukienkę na uchwyt prysznicza z nadzieją, że do wieczora odwiszą się zagniecenia. Obiecała sobie, że bez względu na to, dokąd pójda, zamówi cheesburgera, sałatkę z kapusty i dużą porcję frytek. Była wściekle głodna.

Ściągnęła gumkę z końskiego ogona, usiadła przed toaletką i zaczęła szcزتkować włosy. W pewnej chwili ręka jej znieruchomiła i Meg uśmiechnęła się do lustra przypominając sobie słowa Alissy z poprzedniego wieczoru.

- Powinnaś rozpuścić włosy, mała. Jesteś drętwa jak stara panna, która nigdy z nikim nie poszła do łóżka.

Chociaż o dziewictwie Meg zapomniała już dawno, to pomyślała, że w istocie rzeczy jest chyba „starą panną”. Ma ponad trzydziestkę, nawet gorzej, dobiega czterdziestki, jest samotna, bez perspektyw na upał czy nawet ocieplenie w swym otoczeniu. Może właśnie tego wieczoru spotka srebrnowłosego, arcyprzystojnego księcia, który uniesie ją w ramionach, by nie tykała ziemi swymi wcale nie płaskimi stopami, po czym oboje będą żyli długo i szczęśliwie. A może nie spotka. W każdym razie należało skończyć z końskim ogonem. Dalej szcztokowała więc gęstą masę miedzianorudych włosów i zastanawiała się, dlaczego tak ochoczo podchwytuje wszystkie sugestie Alissy.

Ponieważ Alissa Page sprawia, że się śmieję, pomyślała. A od lat nikt oprócz Danny'ego Gordona nie doprowadza mnie do śmiechu.

Poprzedniego wieczoru przed obiadem Alissa nakryła Meg na czytaniu „Law Practice Management”, periodyku Stowarzyszenia Prawników. Podparła się pod boki i jęknęła:

- Jesteś beznadziejna, Meg. Przecież masz wakacje.

Meg szybko zamknęła czasopismo, zakłopotana, że złapała ją na gorącym uczynku.

- Chciałam przeczytać tylko jeden artykuł...

- Artykuł, srartykuł - przedrzeźniała Alissa, wydzierając czasopismo z dłoni Meg. - Koniec z tym. „Tylko jeden artykuł. To się nie powtórzy, słowo” - zaskomlała. - Zachowujesz się jak pacjentka na odtrutce.

Meg zachichotała.

- Jestem prawnikiem, Alisso. Nie ćpunem.

- Bez różnicy. Czyś jest władna czy bezwładna - władza pozostaje władzą. Zawsze jest paskudna.

Tak, pomyślała Meg, zaplatając włosy w warkocz spadający na plecy. Alissa Page z całą swą bezceremonialną, zgryźliwą szczerością bawi mnie. Co zaś do Zoe... no, Zoe jest wspaniała. Ciepła, urocza, zabawna. Meg z Alissą były zdecydowane pomóc Zoe w odzyskaniu wyglądu gwiazdy, lecz z kolei Zoe trzymała z Alissą, kiedy trzeba było pomóc Meg i pokazać, że życie składa się z czegoś więcej niż tylko prawo, sądy i kariera.

- Nie myśl sobie, że kariera może ci zastąpić to, co

naprawdę ważne w życiu - powiedziała któregoś popołudnia Zoe, gdy były na basenie. - Bo inaczej któregoś dnia zbudzisz się z myślą, że życie wcale nie spełnia twoich oczekiwań.

Meg nie pojmowała, skąd Zoe może to wiedzieć. Przecież porzuciła karierę wiele lat temu. Pewnie chciała poświęcić się rodzinie, przypuszczała Meg. A jednak ostrzeżenie Zoe wydawało się szczere, tak jak i sama Zoe.

Meg spojrzała na zegarek. Westchnęła i podeszła do szafy po następne ciuszki. Nadszedł czas na spotkanie z Zoe w salonie pedikiuru, jeszcze jeden punkt włączony do programu z inicjatywy Alissy. Wciągając szorty, Meg przypomniawszy sobie, że wkrótce wróci do miasta. Pomyślała, że będzie jej brakować Zoe i Alissy. I Golden Key. Ale bez względu na to, czy miała jeszcze kiedyś spotkać te kobiety, musiała podziękować Avery'emu za to, że zmusił ją do przyjazdu. A jeśli tego wieczoru spotka swego księcia z bajki, może i on podziękuje za nią Avery'emu.

Zoe leżała na plecach na kozetce, cierpliwie poddając się kojącej mocy pary z ziołowego okładu, która wsiąkała jej we wszystkie pory. Od dziewięciu dni nacierano ją olejkami, szorowano, masowano i kremowano. Rozpieszczano. Co więcej, zaczęła tracić na wadze. Alissa załatwiła dla ich trójki prywatne zajęcia z aerobiku.

- Pieniądze, wpływy i jaja załatwiają wszystko - stwierdziła, filuternie mrugając. - Ale co ja wam będę mówić, same wiecie.

Zoe wiedziała. I wiedziała, że nie ma już pieniędzy, więc jej wpływy też zapewne są niewielkie. A co do jaj, to nigdy ich nie miała. Podejrzewała zresztą, że Meg, mimo chłodu i opanowania, okazywanych na zewnątrz, także cierpi na niedostatek cech znaczonych przez to ogniwo łączące, symbol męskości, daną przez płęć parę klejnotów, które, jak się zdawało, często umożliwiają postawienie na swoim.

Poruszyła się nieznacznie pod pachnącym miętą okładem. Uświadomiła sobie, że w Golden Key czuje się tak dobrze dlatego, że Alissa ma jaja i starcza ich na trzy osoby. Skan Anula43, przerobienie pona.

Jadały razem we trzy w apartamencie Alissy. Wieczorami Alissa czuwała, by Zoe poszła do siebie siedzieć nad scenariuszem. Zoe nie dopytywała się, dlaczego Alissa tak

dookoła nich skacze. Nie chciała wybiegać myślą w przeszłość, ku zdjęciom próbnym, bankierom i ostatnim ratom płatności. Na razie Alissa stanowiła dar niebios - Zoe potrzebowała kogoś, kto mówiłby jej, co ma robić. Zdaje się, że Meg również.

Kosmetyczka okręciła następne płótno nasączone ziołami wokół ud Zoe, które nie były już takie obrzmiałe jak przedtem. W przerwach między kieratem ćwiczeń a uzupełnianiem zapasów płynu w organizmie litrami wody mineralnej Zoe czuła, jak jej ciało nabiera sprawności, delikatnie i jędrnieje. Z każdym dniem miała też więcej pewności siebie.

- Zoe, jesteś tam pod spodem? - Głos należał do Meg.

- Tak mi się zdaje - wymamrotała.

- Ile czasu ci to jeszcze zajmie? Za dziesięć minut mamy iść na pedikiur. Alissa nas umówiła.

Zoe uśmiechnęła się. Szaleńcze starania Alissy, by odratować jej ciało i duszę, nie zostawiały wiele czasu na wątpienie.

Alissa weszła do łazienki w swoim apartamencie, łyknęła fiorinal i natarła sobie skronie, w których czuła łupiący ból, przez cały czas zastanawiając się, czemu, u diabła, ma wyrzuty sumienia. Nie wyglądało na to, by Zoe lub Meg domyślały się, że jedynym powodem, dla którego chciała wyciągnąć je dziś wieczorem z ośrodka, było scementowanie przyjaźni i popchnięcie do przodu planu największego, najwspanialszego balu świata. I co z tego, że śmiały się z jej żartów i robiły bez gadania wszystko, co im proponowała? I co z tego, że były... miłe? No, co z tego? Przecież nie była im nic winna.

A jednak... było coś takiego w wyrazie wdzięczności, jaki zauważyła w oczach Zoe rano, podczas śniadania, że miała ochotę rzygnąć. To było takie cholernie... prawdziwe. Zupełnie niepodobne do „dziękuję, kochanie”, jakimi obdarzały ją kobiety pokroju Betty Wentworth i Sue Ellen Jamison. Niepodobne do sytuacji, z jakimi była obeznana i umiała sobie radzić.

- Nigdy nie będziesz wiedziała, ile dla mnie zrobiłaś. - Tyle tylko powiedziała Zoe. Ale to wystarczyło. Bo te olbrzymie, ciemne, cielejące oczy dopowiedziały resztę.

Przeszła do salonu i wyciągnęła się na kanapce, zakry-

wając dłońmi ciężkie czoło, zasłaniając oczy przed światłem. W wyobraźni zobaczyła Polly i LuAnn. One ją wykorzystały, posłużyły się nią, żeby obejrzeć stroje ciotki Helmy. Ludzie zawsze posługiwali się innymi ludźmi, czyż nie? Zawsze tak robili i będą robić.

Robert wykorzystywał ją latami. Uroczą gospodyni, czarująca żona. Doskonały parawan.

Teraz Alissa wykorzystywała Zoe i Meg. I co to ma za znaczenie? Czy nie zasługiwała na odrobinę szczęścia? Na małą, subtelną zemstę?

Wzięła głęboki oddech, usiadła i zapaliła papierosa. To nie ma znaczenia. Wieczorem pojedzie z Zoe i Meg do miasta. Pośmieją się trochę. Zdobędzie ich zaufanie i przyjaźń, a jesienią dopnie swego ostatecznego celu: urządzi bal stulecia, doprowadzi do wydarzenia nad wydarzeniami. Zaciągnęła się tytoniowym dymem i modliła się, żeby ból głowy ustąpił.

Krzesła w salonie pedikiuru zaprojektowano tak, by jednocześnie zapewniały masaż łydźwi, a u ich podnóża umieszczono małe baseniki z pianistą substancją do leczniczej kąpieli stóp - mówiąc słowami Alissy - „od spodu pięty, po czubek małego palca u nogi”. Ale palce Meg zaledwie miały okazję poczuć mrowienie, kiedy do pomieszczenia wbiegła dziewczyna, w której Meg rozpoznała recepcjonistkę ośrodka.

- Czy jest tu pani Cooper? - spytała. - Ktoś do pani telefonuje. Powiedział, że to pilne.

Meg zdretniała. „Powiedział”, więc to na pewno Avery.

- Kazał powtórzyć, że dzwoni Danny z Nowego Jorku.

Danny? Spojrzała w mydliny pod stopami. Po co Danny miałby dzwonić? Poczowała falę gorąca na karku. Skoro dzwoni, to musi jej do czegoś potrzebować. Do czegoś ważnego.

- Czy życzy sobie pani bezprzewodowy telefon? - spytała dziewczyna.

Meg szybko rozejrzała się po pomieszczeniu pełnym kobiet. Za dużo świadków, za dużo uszu.

- Nie - powiedziała, wysuwając stopy z baseniku. - Proszę przełączyć do mojego apartamentu.

- Czy wszystko w porządku? - spytała Zoe z krzesła obok. Meg wzruszyła ramionami.

- Zobaczymy - odpowiedziała z pewnością, której wcale nie miała.

Znalazłszy się za drzwiami salonu, Meg popędziła do zachodniego skrzydła. Skoro dzwonił Danny, to prawdopodobnie stało się coś złego. Musiała wpłynąć jakaś sprawa, o której jego zdaniem Meg powinna wiedzieć. Gruba sprawa. I w dodatku taka, że Avery z tym zwleka, bo inaczej zadzwoniłby osobiście. Zresztą za dwa dni miała być z powrotem w Nowym Jorku.

Wsunęła kartę magnetyczną w drzwi i wpadła do pokoju, świadoma swej paniki. Choćby Zoe i Alissa nie wiadomo jak ją przekonywały, że to nie ma sensu, kariera była dla niej najważniejsza. Określała ją, dawała jej cel w życiu.

Telefon dzwonił. Meg podbiegła do stolika i chwyciła za słuchawkę.

- Danny?
- Meg, dobrze, że cię złapałem.
- Co się stało? - Dyszała bez tchu.
- Złe nowiny.
- Co się stało, na miłość boską?
- Avery.
- Co on takiego zrobił?

Nastąpiła pauza.

- Weź głęboki oddech, dziecko.

Usłuchała.

- Zrobione - powiedziała i odetchnęła głęboko jeszcze raz. - Co takiego zrobił Avery?

- Umarł - powiedział Danny.

Trzymała słuchawkę przy uchu i gapiła się w podłogę. Zastygła w kompletnym bezruchu. Musiała się przestyszczyć.

- Słucham? Powtórz, proszę.

Danny odchrząknął.

- Avery nie żyje. Atak serca. Dzisiaj rano.

Opadła na kanapkę.

- Cholera.

Zapadła chwila ciszy, po czym Danny powiedział:

- Wiedziałem, że będziesz chciała natychmiast dostać wiadomość.

Wyobraziła sobie szefa, starszego wspólnika w firmie, spoglądającego na nią z ojcowskim wyrazem twarzy znad krawędzi wąskich okularków.

- Tak, to prawda. Dzięki. Gdzie to się stało?

- W domu.

- Cholera. - Avery mieszkał sam, tak samo jak ona. Jego żona umarła wiele lat temu. Od tej pory poświęcił cały swój czas i energię kancelarii, dniami pracując, a wieczorami utrzymując towarzyskie kontakty z klientami. Był na oczach wszystkich, lecz mimo to żył samotnie. - Kto go znalazł?

- Gospodyni.

Mogło być gorzej. Gdyby upadł w czasie przyjęcia z kotajłem w dłoni i grupką wrażliwych ludzi dookoła, odszedłby upokorzony. W obliczu śmierci straciłby swą maskę. Okazałby się ludzki.

- Kiedy wracasz? - spytał Danny.

- Pojutrze.

- Wróc jutro wieczorem, dobra? Pogrzeb ma być pojutrze rano. W katedrze.

Meg milczała. Trudno jej było uwierzyć w to, co się stało. Trudno jej było uwierzyć, że już nigdy Avery nie będzie jej pouczał ani chwalił, ani nigdy jej nie opieprzył tak jak ostatnio. Nigdy więcej nie podzieli się z nią swoim doświadczeniem i mądrością.

- Samochód podjedzie o wpół do dziesiątej. Pod twój dom.

Samochód. Boże. Wspólnicy. Avery służył jako łącznik między Meg i resztą, tymi, którzy nie mogli znieść kobiety, którzy toczyli walkę z Averym, gdy uczynił ją współnikiem w dostojnej kancelarii swoich chłopaków z Park Avenue.

- Nie, Danny - powiedziała. - Nie chcę jechać firmowym samochodem. Chcę jechać z tobą.

- Z pracownikiem najemnym, dziecino? Powinnaś jechać ze współnikami.

Miał rację i dobrze o tym wiedziała. Potarła kark.

- Będzie huczny pogrzeb.

- O, tak. Wielkie wydarzenie. Dla najbogatszych i najbardziej wpływowych.

- Którzy przyjdą w komplecie - powiedziała Meg.

- By nie wspomnieć polityków, od urzędu prokuratora okręgowego po Biały Dom. Będzie się od nich roiło.

Meg westchnęła.

- Avery powiedział mi kiedyś, że marzy o sędzie najwyższym.

- Miał szanse. Gdyby republikanie zostali u władzy.

Rozmawiali jeszcze kilka minut. Odłożywszy słuchawkę, Meg przeszła się po apartamencie. Avery. Nie żyje. Przystanąła koło okna i wyjrzała na dwór. Ręce zaczęły jej drżeć. Poczowała ból w nogach. Avery. Nie żyje.

I wtedy wróciło jej na myśl coś, co powiedział Danny, i ogarnęło ją otępiające poczucie głębokiego niesmaku. Politycy - powiedział. „Będzie się od nich roiło”.

Siedziały nad drugą butelką wina. Meg przyłączyła się do Zoe i Alissy z dużymi oporami, miała ochotę jak najszybciej znaleźć się w domu, pograć w żałobie po Averym, nauczycielu-doradcy-ojcu, którego bezpowrotnie straciła.

- W tym stanie nie nadajesz się do podróży - orzekła Alissa, gdy Meg ze łzami w oczach powtórzyła im wiadomość. - Jesteś stanowczo za bardzo poruszona. Musisz spędzić wieczór z przyjaciółkami.

I Meg została.

Rozejrzała się po sali restauracyjnej, ciemnej, utrzymanej w stylu pubu, umeblowanej masywnymi sosnowymi stołami, na których przy każdym miejscu leżała czerwona papierowa serwetka. Siedziało tam tylko kilku stałych klientów. Księcia między nimi nie było. Obok Zoe i Alissa toczyły rozmowę. Meg dziwnie pocieszała ich obecność, jakby samym dźwiękiem głosów łagodziły jej smutek. Zastanawiała się, dlaczego nigdy dotąd nie miała prawdziwych przyjaciółek. I jak to możliwe, że weszła w taką zażyłość z tymi kobietami. Przecież znała je zaledwie kilka dni.

Pojutrze każda odjedzie w swoją stronę: Meg z powrotem do Nowego Jorku, Alissa do Atlanty, Zoe do Los Angeles. Ale w głębi serca Meg miała nadzieję, że pozostaną w kontakcie. W ciągu ostatnich tygodni uświadomiła sobie bowiem, że w jej życiu brak nie tylko kochanka, lecz również przyjaciółek.

Lekko oszołomiona wypitym winem Meg zdołała sobie wmówić, że może pogrzeb Avery'ego nie będzie taki straszny. Może senator Riley nie przyjdzie. Właśnie upiła następny łyk wina, gdy przy ich stoliku zjawił się kelner.

- Co dla pań? Czy już panie coś sobie wybrały?

Wszystkie oczy zwróciły się na Meg. W ciągu ostatnich

kilku godzin jej apetyt diabli wzięli. Ale Zoe i Alissa tak bardzo starały się jej pomóc, że lekceważenie ich wysiłków wydawało się nielojalnością.

- Ja już wybrałam - powiedziała, prostując się na krześle. - Zjem wielkiego, soczystego cheesburgera. - I przestanę myśleć o Averym, obiecała sobie. Przestanę snuć domysły, co się stanie na pogrzebie. Będę tu i teraz, spędzę kilka miłych chwil z przyjaciółkami. Avery na pewno chciałby, żeby tak było.

- Frytki?

- Jasne. Czemu nie?

Zoe uśmiechnęła się.

- Dla mnie to samo - powiedziała Alissa. Meg nie była skłonna uwierzyć, że Alissa jest w stanie tyle zjeść - musi zobaczyć to na własne oczy.

- A dla mnie nie - powiedziała Zoe. - Ja poproszę małe. Prazone, bez masła. I sałatkę bez majonezu.

- Grzeczna dziewczynka - powiedziała Alissa.

Meg zauważyła, że słowa nieco jej się płaczą. Nigdy nie przypuszczała, że kobieta w rodzaju Alissy może wypić za dużo, żeby poczuć się swobodniej.

Zoe znów się uśmiechnęła.

- Muszę być atrakcyjna dla mojego mężczyzny z planu.

Alissa głośno odstawiła kieliszek.

- Nie rób tego dla żadnego mężczyzny, słonko. Musisz być atrakcyjna dla siebie. Dla nikogo więcej. Bo nikt więcej się nie liczy. Poza tym nie ma gorszego oparcia dla kobiety niż mężczyzna.

Meg wiedziała, że Alissa ma rację, zaskoczył ją jednak ton wrogości w jej głosie.

- Czasem zastanawiam się - powiedziała Zoe, obwodząc palcem krawędź kieliszka - czy William nie byłby szczęśliwszy, gdybym zwracała więcej uwagi na swój wygląd.

- No i co wtedy? - spytała Alissa. - Może by się nie zabił?

Meg była zaszokowana.

- Alisso, nie wypadło to najładniej.

- Masz rację. Przepraszam, Zoe. Ale musicie zrozumieć, że nigdy nie zdołacie pojąć tego, co lęgnie się w głowie mężczyzny.

- Słabo powiedziane - stwierdziła Zoe, nie sprawiając wrażenia dotkniętej obcesową uwagą Alissy. Meg zastanawiała się, skąd Zoe czerpie siłę.

- Mężczyźni - ciągnęła Alissa - to w rzeczywistości męty, zresztą wiecie.

- Może po części same jesteśmy winne - powiedziała cicho Meg. Zastanawiała się, czy żona Avery'ego, gdy jeszcze żyła, uważała go za męta. Zastanawiała się też, czy mętem jest Steven Riley. Nigdy nie dała sobie szansy, żeby to sprawdzić.

- Oszalałaś? - spytała Alissa. - Poza tym, co ty wiesz o mężczyznach? Nawet nie jesteś mężatką. - Przełknęła trochę wina. - Chociaż założę się, że masz chłopaka. Może jakiegoś równie zmyślnego adwokata? A może tego prywatnego detektywa, jak mu na imię?

- Danny. Ale on jest tylko kumplem. Dobrym kumplem. W tej chwili nie ma akurat w moim życiu nikogo szczególnego.

Alissa odstawiła kieliszek.

- Widzicie? Jeśli ktoś tak ładny, mądry i bystry jak ty nie ma chłopaka, to najlepszy dowód, że wszyscy są mętami. Zostaję przy swoim.

Meg wiedziała, że słowa Alissy można potraktować jak komplement, nagle poczuła jednak, jak ożywają w niej dawne uczucia, jak znów staje się dzieckiem bez ojca, innym, gorszym.

- Miałam dużo chłopaków i mężczyzn - wybąkała.

- A trwałe związki? - naciskała Alissa. - Prawdziwe związki.

W wyobraźni Meg zobaczyła jego twarz, jego oczy, jego usta. Poczuła jego dotyk.

- Jeden - powiedziała cicho. - Dawno temu.

Alissa rozparła się na krześle.

- No tak, ja też chyba mogę mówić o jednym. Nie z moim mężem, to pewne jak dwa i dwa jest cztery. Wcześniej. - Dopięła wina i nalała sobie następny kieliszek. - Boże, ależ wtedy było mi dobrze.

Meg z ulgą powitała odejście rozmowy od jej spraw.

- Jak to było?

- Nazywał się Jay. Jay Stockwell. Nasi rodzice mieli letnie domy obok siebie.

- Dziecięca miłość? - spytała Zoe i dodała rozmarzonym tonem. - Myślę, że taka jest najlepsza. Wszyscy, którzy ją przeżywają, są tacy niewinni.

Alissa pokręciła głową.

- To nie było niewinne. To była miłość. Prawdziwa.

Zamilkły. Meg myślała o Stevenie Rileyu i ich romansie. To dopiero była prawdziwa miłość. Ale zdarzyła się lata temu. Prawie całe życie.

Nadszedł kelner i postawił ich obiady na czerwonych serwetkach. Meg spojrzała na cheesburgera. Znowu poczuła, że nie ma apetytu.

Po odejściu kelnera odezwała się Zoe:

- A co to właściwie jest ta prawdziwa miłość? Skąd wiecie? William wspaniale się opiekował mną i Scottem. Ale nie mogę uczciwie powiedzieć, że go kochałam. Nie tak, jak kiedyś chłopaka z moich rodzinnych stron.

- O - powiedziała Alissa. - Chłopak z rodzinnych stron. Tak jak mój Jay. Kłopot polegał na tym, że on nie chciał zostać w rodzinnych stronach. Miał ważne sprawy, musiał zbawić świat.

- Dokąd pojechał?

Meg była zadowolona, że Zoe zachęca Alissę do zwierzeń. Jej smutne rozmyślania o Averym przechodziły w poczucie osamotnienia i przygnębienia, związane ze Stevenem. Miała wrażenie, że coraz ciasniej otaczają ją niewidzialne ściany. Musiała znaleźć drogę ucieczki. Z niejasnego powodu pomyślała o kocie, którego mieli ze Stevenem, gdy byli razem, pręgowanym burasie imieniem Sokrates. Długo po odejściu Stevena nie wpuszczała Sokratesa do sypialni. Nie mogła znieść jego mruczenia. Ten dźwięk za bardzo przypominał jej ciche pochrapywanie Stevena, kiedy spokojnie leżał obok niej, drzemiąc po chwilach miłostnego uniesienia.

- Jay najpierw pojechał do San Francisco - odezwała się Alissa i Meg gwałtownie wróciła do rzeczywistości. - Był początek lat siedemdziesiątych. Odroczone mu pobór. Uniknął Wietnamu.

- Czy był chory? - spytała Zoe.

- Nie - odrzekła Alissa. - Był bogaty. Bogaci chłopcy nie musieli iść na wojnę. Rodzina Jaya posiadała, i nadal posiada, wielki aparat środków przekazu. Stacje telewizyjne i radiowe w całym kraju. Jay uwielbiał pracę w radiu, ale nie znosił interesów. Był urodzonym dziennikarzem. - Odepchnęła na bok talerz z nie tkniętym cheesburgerem i frytkami. - Pojechał do San Francisco, bo wypiął się na rodziców.

- I nigdy więcej go nie zobaczyłaś? - spytała Zoe.

Alissa roześmiała się.

- Nigdy go nie zobaczyłam? Słonko - powiedziała, pociągając następny łyk wina. - Ja z nim pojechałam.

- Pojechałaś z nim? - Nawet Meg to zaskoczyło. Nie mogła sobie wyobrazić Alissy jadącej dokądś za kimkolwiek.

- Miałam osiemnaście lat. Miłość wydawała mi się ważniejsza od funduszy powierniczych czy pokazywania się w towarzystwie.

- Więc co się stało? - spytała Zoe.

Alissa wzruszyła ramionami.

- Stwierdziłam, że popełniłam omyłkę.

Znowu zamilkły. Meg współczuła Alissie. Coś w oczach tej agresywnej drobnej blondynki wyrażało teraz żal. Jakby żal za minionym życiem, za miłością, której się wyrzekła. Meg znała to uczucie aż za dobrze.

- Ależ on był przystojny - powiedziała Alissa. - Nadal jest.

- Jest? - spytała Zoe. - Chcesz powiedzieć, że nadal go widzisz?

Alissa pokręciła głową.

- Zostawiłam go na rogu Haight i Ashbury. Wtedy wydawało mi się, że tak musi być. Jay pracował dla jednej z liberalnych gazetek Undergroundu. A ja wróciłam do Atlanty, wyszłam za mąż za Roberta, urodziłam dzieci. Któregoś dnia włączyłam telewizor i zobaczyłam Jaya. Przesyłał korespondencję z Kairu.

- Więc wrócił do telewizji - stwierdziła Zoe.

- Pełną parą. Wyspecjalizował się w doniesieniach o krzywdzonych ludziach na wszystkich krańcach świata. Przez te lata widziałam go na tle widoków z Libanu, Etiopii, Iraku. Przekazywał informacje z wydarzeń w Pekinie, na placu Tienanmen, czy jak mu tam.

- Ojej - powiedziała Zoe. - Jay Stockwell. Jasne. Ja też go widziałam. W tych jego korespondencjach jest bardzo dużo wrażliwości.

Alissa wzruszyła ramionami.

- Nigdy nie zwracałam szczególnej uwagi na *to*, co gada. Byłam za bardzo zajęta patrzeniem na niego. Rozmyślałam.

Zoe bez przekonania zaatakowała małże, potem odłożyła widelec.

- Czy zastanawiałaś się, co by było gdybyście zostali razem?

- Pewnie. A ty nie? Nie rozmyślałaś, jak byłoby z twoim chłopakiem z rodzinnych stron?

- Masz na myśli tego mężczyznę, który mógł być zostać moim mężem? - spytała Zoe.

- Albo powinien był zostać - poprawiła ją Alissa.

Powinien był zostać, pomyślała Meg. Czy ja powinnam była? Czy byłabym w stanie?

- Jasne, że rozmyślałam. Ciągłe to robię.

- A ty, Meg? Co z twoim jedynym? Nie zastanawiasz się nigdy, jak potoczyłoby się wtedy twoje życie? Pod jakimi względami byłoby lepsze?

Meg milczała, żałując, że nie może odpowiedzieć: „Moje życie wcale nie byłoby lepsze. Byłoby gorsze. A poza tym wystarczy mi takie jak teraz”. Wyglądało jednak na to, że nie może z siebie wydobyć ani słowa. Nie potrafiła skłamać.

Przy stole zapadło milczenie. Meg spojrzała na Zoe, która przyglądała się Alissie. Meg odwróciła się do Alissy akurat w odpowiedniej chwili, by spostrzec, jak ukradkiem ociera z policzka samotną łzę. Alissa poczuła na sobie wzrok Meg i odchrząknęła. Potem uniosła kieliszek, przepijając do przyjaciółek.

- Myślę, że powinnyśmy ich odnaleźć - powiedziała. - Myślę, że powinnyśmy odnaleźć mężczyzn, których kiedyś kochałyśmy, i pokazać im, co stracili.

Meg żałowała, że nie wzięła z sobą czegoś na sen. Leżała na plecach, gapiąc się w ciemny sufit, opętana jednym: myślami o Stevenie Rileyu. Miała trochę wyrzutów sumienia, bo powinna była wspominać Avery'ego, jakoś celebrować żałobę, choćby bez większego angażowania uczuć. Ale mogła myśleć tylko o przeszłości.

Przewróciła się na bok i próbowała odgonić wspomnienia. Wyrzucić z głowy ten pierwszy dzień, gdy go spotkała, pierwsze zajęcia z prawa karnego. Steven był charyzmatycznym, wpływowym adwokatem z Nowego Jorku, który przyjechał do Harvardu na semestr gościnnych wykładów.

Pierwszą wspólną kawę wypili w kawiarni po drugiej stronie placu. Namiętnie rozmawiali o prawie, Steven ge-

stykulował. Wtedy pierwszy raz jej dotknął, leciutko w rękę. To był taki gest podkreślający słowa. Ale jego dłoń pozostała na jej dłoni odrobinę za długo. Spojrzeli sobie w oczy.

Ułożyła się na brzuchu, napuszyła poduszkę i znowu niemal czuła jego dotyk, tym razem na plecach, w niewielkim zagłębieniu u podstawy kręgosłupa. Czuła tam jego wargi, składające delikatny pocałunek.

Nie przeszkadzało jej, że Steven jest żonaty. To, że miał trójkę małych dzieci, nawet pomogło. Na długo bowiem, zanim Meg wyjechała z domu do college'u, na długo przed śmiercią matki w ich małym, śmierdzącym papierosami domu, wiedziała, że nigdy nie wyjdzie za mąż. Małżeństwo było dla innych, nie dla niej. Ona nie zasługiwała na niczyją miłość.

„Gdyby nie ty...” - wciąż słyszała płacz matki, widziała ją, jak siedzi w poplamionym szlafroku przy metalowym kuchennym stole, mimo że jest południe, popija kawę i zanoszą się kaszlem typowym dla palaczy. „Gdyby nie ty, twój cholerny ojczulek nigdy by nie odszedł. Gdyby nie ty, rozwiódłby się z żoną i ożenił ze mną. A teraz już nigdy do mnie nie wróci. I to jest twoja wina”.

Meg przewróciła się na drugi bok. Steven ją kochał. A co gorsza, ona kochała Stevena. Przez trzynaście tygodni trzymali się za ręce, dotykali, patrzyli sobie w oczy, kochali się. Przez trzynaście tygodni Meg Cooper była szczęśliwa. Trzynaście tygodni. Semestr, który dla niej miał trwać całe życie. I przerwać inne życie.

Steven kupił dla nich obojga jednakowe dresy: szkarłatno-szare. Meg prała je, gdy w weekendy jeździł do domu, i godzinami przytulała się do jego bluzy, cieplej i miękziej po wyjęciu z suszarki. Kupił jej bukiet jaskrawych papierowych kwiatów.

- Nigdy nie umrą - powiedział. - Jak nasza miłość.

Nauczył ją, jak robić gęstą zupę z małży, jak grać w tryktraka, jak się kochać. A potem to zdjęcie. „Studenci szaleją za kadra”. I nagle ryzyko stało się zbyt duże, stawka zbyt wysoka. Meg wiedziała, co musi zrobić. Przyszedł wieczór ostatniego egzaminu. Spotkali się w kawiarni.

- Nie mogę wrócić do Nowego Jorku - powiedział Steven. - Chcę zostać z tobą w Bostonie. Chcę rozwieść się z żoną. Chcę się z tobą ożenić.

Meg wpatrywała się w jego oczy.

- Nie - odparła. Sprawy nie miały zajść aż tak daleko. Nie mogła mu pozwolić na odejście od żony, od dzieci. Nie mogła pozwolić, żeby naraził swą polityczną karierę, nad którą tak długo pracował. Nie mogła wziąć na siebie takiej winy.

Wstała z łóżka i przeszła do salonu. Skuliła się na kanapie, podciągając kolana pod brodę. Zewsząd cisnęła się samotność. Meg zastanawiała się, czy Alissa też siedzi bezsennie w swoim apartamencie i myśli o Jayu Stockwellu. Zastanawiała się, czy Zoe myśli o chłopaku z rodzinnych stron.

Spojrzała na zegar. Za piętnaście druga. Wstała, poszła do łazienki i poszukała aspiryny. Szybko połknęła tabletkę i wróciła do łóżka. Cała ta bzdura do niczego nie prowadziła. Meg otuliła się kołdrą i mocno zacisnęła powieki, zmuszając się do myślenia o czymś innym. Jak miewa się Raggedy Man pod opieką sąsiadki? O której wyjechać z Golden Key? Co włożyć na pogrzeb Avery'ego? Mimo wszystko chciała przecież wyglądać jak najlepiej. Nie dlatego, że mógł tam być Steven. To nie miało z tym nic wspólnego.

„Powinnyśmy pokazać im, co stracili”. Słowa Alissy dźwięczały jej w uszach, były nieproszonym, upiornym gościem w jej głowie. Wreszcie Meg usnęła.

I oto on. Stoi na podwyższeniu. Czerwone, białe i niebieskie balony kołyszą mu się nad głową. Wielkie balony, rozmiaru plażowych piłek. Ryczy muzyka. Trąbki. Saksofony. Meg nie widzi muzyków, ale słyszy tłum, który krzyczy, wiwatuje. Steven macha do ludzi obiema rękami. Uśmiecha się szeroko. Nigdy nie widziała u niego tak szerokiego uśmiechu. Zęby ma prostsze i bielsze niż we wspomnieniach. Musiał zrobić sobie licówkę, pomyślała. Przez te piętnaście lat musiał zrobić sobie licówkę.

Opuszcza ramiona i podchodzi do mikrofonu. „Ja, senator Steven Riley, przyjmuję nominację na kandydata do urzędu prezydenta Stanów Zjednoczonych”. Jego słowa odbijają się echem. Okrzyki i wiwaty potężnieją. Steven wysuwa lewe ramię i u jego boku pojawia się Meg, ubrana w cynobrową suknię, szytą na miarę. Steven otacza ją ramieniem w talii, pochyla się, całuje. Długim, powolnym, zmysłowym pocałunkiem, żeby cały świat zobaczył.

Przerywa pocałunek i znowu macha do tłumu. Ryk staje się ogłuszający. Meg widzi obraz ich obojga na olbrzymim ekranie wideo. Wyglądają razem wspaniale, idealnie. Przyszły prezydent i przyszła żona prezydenta. I wtedy Meg widzi na ekranie, jak Steven wyciąga drugie ramię. U jego drugiego boku zjawia się obecna żona. Ubrana w cynobrową suknię, szytą na miarę. Dokładnie taką samą jak Meg. Steven otacza żonę ramieniem w talii, pochyla się, całuje. Długim, powolnym, zmysłowym pocałunkiem, żeby cały świat zobaczył.

Znowu otacza Meg drugim ramieniem. Meg uśmiecha się i wpatruje w ekran wideo. Wszyscy troje stoją teraz dumnie, ramię w ramię.

- Gdzie są twoje dzieci? - pyta Meg.

- Nie przyszły - odpowiada.

- Dlaczego nie?

Jego żona pochyla się w stronę Meg.

- Wiesz dlaczego. - Uśmiecha się. - Nie przyszły, bo to wszystko twoja wina.

Meg przytakuje i znowu spogląda w tłum bez twarzy. Oczywiście, myśli, wiedziałam.

Od telewizyjnych świateł robi się gorąco. Meg zaczyna się pocić. Ociera wilgotne czoło. Serce wali jej jak młot.

Zbudziła się z ręką na czole. Było wilgotne. Serce łomotało jej jak oszalałe. Usiadła na łóżku i ukryła twarz w dłoniach. Minęły lata od czasu, gdy ostatni raz śniła o Stevenie. Minęły lata od czasu, gdy pozwalała sobie choćby o nim pomyśleć. Lata. A może mniej?

O której odlatujesz? - spytała Zoe, leżąc następnego rana obok Meg niedaleko basenu. Nikogo oprócz nich na pływalni nie było. Rankami odbywały się seminaria, spotkania grupowe i inne zajęcia dla pań, które nie miały prywatnego guru imieniem Alissa.

- Chcę zdażyć na samolot o wpół do piątej - odrzekła Meg.

Zoe poprawiła sobie wilgotne herbaciane torebki na powiekach. Zastanawiała się, co podkuśliło ją poprzedniego wieczoru do wypicia takiej ilości wina. To, co zaczęło się jako wieczór pocieszenia dla Meg, przekształciło się w noc obsesyjnych myśli o Ericu, jakich Zoe nie miała od wielu lat. Ze też Alissa musiała wspomnieć o swoim uczuciu

sprzed lat, o dawno skończonej miłości. Zoe poczuła pulsujący ból w głowie. Że też wypła tyle wina.

- Cieszę się, że nie muszę dzisiaj lecieć - powiedziała cicho. - Nie pamiętam, kiedy ostatnio miałam takiego potwornego kaca.

- Jestem pewna, że gdybyś poprosiła personel, dałby ci jakiś absolutnie niezawodny środek na kaca. Coś bardziej w stylu lat dziewięćdziesiątych niż herbaciane torebki.

Zoe parsknęła śmiechem.

- Jestem staromodna. Zawsze ci to mówię. Przydałaby mi się raczej odrobina soku pomidorowego i surowe jajko, ale Bóg jeden wie, czy oni w ogóle mają tu jajka. To przecież cholesterol. - Zoe załamała ręce, opierając je o zmniejszający się brzuch. Starła się wchłonać jak najwięcej z kojącej atmosfery otoczenia. Dookoła rozlegały się dyskretne dźwięki muzyki Debussy'ego, na które nakładało się wrażenie ciepła i hipnotyczne mruczenie filtru do wody.

- Alissa była wczoraj wieczorem w dobrej formie - powiedziała Meg.

- Mhm. Zdaje mi się, że nie jest zbyt szczęśliwa w małżeństwie.

- Ale dziwne to, co powiedziała o tamtym człowieku. O Jayu Stockwellu. Trudno ją sobie wyobrazić z kimś takim.

- Tylko dlatego, że teraz jest taka, jaka jest? Mnie się zdaje, że to był jedyny facet, którego ona kiedykolwiek kochała. Może bała się z nim zostać. - Jeszcze wypowiadając te słowa Zoe zastanawiała się, czy mówi o Alissie, czy o sobie samej. Czy bała się swej miłości do Erica? Przecież to on ją zostawił. Ale czy starała się go odnaleźć? Raz zatelefonowała, to wszystko. Czyżby tak bardzo wciągnęło ją gwiazdorstwo, że bała się powrotu Erica, bo mogłaby wtedy stracić wszystko, co spłynęło na nią cudownym zrządzeniem losu? Zoe mocniej zacisnęła powieki. Nie znosiła myśli, że jest pozbawiona charakteru i samolubna. Cóż jeśli tak, to drogo za to zapłaciła. Drogo płaciła za swój błąd przez wszystkie następne lata.

- A skoro mowa o naszym dyrektorze programowym, to gdzie jest teraz Alissa? - spytała Meg.

- Pewnie odsypia. Ja też powinnam.

- To był jej pomysł, żeby przyjść na basen na uroczyste pożegnanie, póki jeszcze was nie opuściłam i nie odleciałam do wielkiego miasta. Zdaje się, że mówiła coś takiego.

- Ale to było po którymś tam kieliszku wina, Meg. Pewnie zapomniała.

- Nie zapomniałam - zabrzmiał głos Alissy.

Zoe zsunęła sobie z powiek herbaciane torebki. Alissa stała nad nimi w obszernej bawełnianej koszulce, której beżowy kolor podkreślał jej żółtawy odcień skóry tego ranka.

- Dzień dobry - powiedziała Zoe. - Nie wyglądasz na gotową do pływania.

Alissa usiadła na krawędzi jej leżaka.

- Nie zabawię tutaj długo.

- Czemu nie? - spytała.

- Najgorsze w picciu bez umiaru nie jest wcale samopoczucie następnego dnia, tylko przypominanie sobie głupot, które się wygadywało.

Zoe wiedziała, o czym myśli Alissa. Jej też było głupio, że poprzedniego dnia wspomniała Erica. Chłopaka z rodzinnych stron. Czy wymieniła jego imię? Czy dała do zrozumienia, że jej życie z Williamem było dalekie od doskonałości?

- Nie wygłupiaj się, Alisso. Wszystkie mamy wspomnienia, których nie chcemy wymazać z pamięci. Osobiście uważam, że to dobrze. Czasem tylko dzięki tym wspomnieniom możemy normalnie funkcjonować. - Zoe z zaskoczeniem usłyszała, co sama mówi. To dziwne, ale potrafiła przed sobą przyznać, że myśl o Ericu i tym, jak go kochała, wiele razy stawiała ją na nogi, gdy w minionych latach nadchodziły trudne chwile. Mimo urazy i złości, jakie odczuwała, to właśnie wspomnienie Erica wielokrotnie podtrzymywało ją na duchu. Szczególnie gdy spoglądała na Scotta, żywą kopię Erica z lat, gdy był młody i razem z nią marzył o wspólnej przyszłości.

- Mówienie o przeszłości jest stratą czasu.

- Niekoniecznie - sprzeciwiła się Zoe. - Może być oczyszczające.

Alissa pogrzebała w torebce, wyciągnęła pilniczek i zaczęła opilać paznokcie.

- No, to dlaczego nam nie opowiesz? - spytała.

- O czym?

- O chłopaku z rodzinnych stron.

Zoe milczała. Przycisnęła palce do skroni i z powrotem ułożyła się na leżaku.

- Może ona nie chce - odezwała się Meg odpoczywająca na sąsiednim leżaku.

Alissa wrzuciła pilniczek z powrotem do torebki.

- Więc rozumiecie, co mam na myśli? Mówienie o przeszłości jest żenujące. Upokarzające.

Czy upokarzające? - pomyślała Zoe. Czy tak musi się kończyć miłość? Eric ją zostawił. William się zastrzelił. Upokarzające? Nie, bardziej niszczące.

- Nazywał się Eric Matthews - powiedziała. - Dorastaliśmy razem w miasteczku w północnej Minnesocie. Był nordykiem, jak większość ludzi stamtąd. Ja jestem Żydówką. W dzieciństwie zawsze było mi nieswojo wśród samych jasnowłosych. Przy Ericu czułam się zupełnie inaczej.

Alissa obnażyła przed nimi duszę poprzedniego wieczoru. Zwierzyła im swoje sekrety. Poza tym Zoe wiedziała, że gdyby nie Alissa, prawdopodobnie dalej siedziałyby w swoim apartamencie w zachodnim skrzydle, czekając, aż miną dni pobytu w ośrodku. Drżałyby tam z lęku, że nigdy więcej nie stawi czoła światu, że będzie musiała wrócić do Los Angeles, sprzedać Cedar Bluff, a potem przekonać się, że wiara w powrót przed kamery była śmieszna. I przeżyłyby resztę życia tłusta, zapomniana, w końcu również załamana. Mogła więc teraz opowiedzieć przyjaciółkom o Ericu. Nie wszystko, ale chociaż część. Alissie chyba się to od niej należało. Głęboko zaczerpnęła tchu i podjęła:

- Eric zachęcił mnie do pierwszych prób aktorskich. Ale granie było dla mnie łatwe. Wiecie, bycie Żydem w Minnesocie to coś więcej niż tylko zwracanie uwagi ciemnymi włosami. Nigdy nie czułam się tam na swoim miejscu. Zawsze miałam wrażenie, że inne dzieci patrzą na mnie jak na obcą. Jakby się mnie bały. W każdym razie - usiadła i opłótła ramionami zgięte kolana - pewnie dlatego granie przychodziło mi jak coś naturalnego. Robiłam to przez całe życie.

Kiedy skończyłam szkołę średnią, Eric przekonał mnie, żebym spróbowała szczęścia w Hollywood. On też chciał grać. I był przystojny. Boże. Miał pięknie rzeźbione kości policzkowe, zabójczo niebieskie oczy i wysoką, barczystą, nordycką sylwetkę. Spędziliśmy razem kilka lat w Los

Angeles, żywiąc się makaronem i serem. - Urwała, potem się zaśmiała. - Eric gotował. Już wtedy byłam zepsuta. W każdym razie tam spotkałam moją przyjaciółkę, Marisol. Mieszkała za ścianą. Chyba mówiłam *wam* o Marisol. - Wspomnienie tego imienia uświadomiło Zoe, jak bardzo jej brak przyjaciółki.

- No, a potem zostałam odkryta. Nie przez Williama, lecz przez jego współnika, Tima Danahy'ego. Sprawy potoczyły się szybko. Zanim się zorientowałam, trafiłam w światło reflektorów. Podpisałam trzyletni kontrakt, podczas gdy Eric wciąż musiał dopraszać się o ogony. Opiekę nade mną przejął William. Zaczęłam z nim odwiedzać przyjęcia, pokazywać się wśród ludzi. William uważał, że byłoby nierozsądne chodzenie tam z Ericem. Powiedział, że będę miała lepszy wizerunek publiczny, jeśli wydam się z nikim nie związana.

- To bez wątpienia nie zachwyciło Erica - wtrąciła Alissa.

Zoe pokręciła głową.

- Byłam zbyt zajęta, żeby zwrócić na to uwagę. Urzeczywistniały się moje najbardziej szalone marzenia. W każdym razie któregoś wieczoru wróciłam do domu, a po Ericu nie było śladu.

- No, no. Słodka tragedia.

Zoe zapatrzyła się w spokojną wodę basenu. To było wszystko, co miała ochotę powiedzieć. Więcej mówić nie musiała.

- Dokąd odszedł?

Zoe wzruszyła ramionami.

- Nie mam pojęcia.

- Nigdy nie próbowałaś go odnaleźć?

Zoe oparła plecy o leżak. Poczwała gulę tworzącą się w gardle, uświadomiła sobie bowiem, że omal nie wygadała całej prawdy.

- Chyba wydawało mi się, że już nie jestem mu potrzebna.

- W każdym razie nie ty wybrałaś - dodała Alissa.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Ja sama zdecydowałam, że odchodzę od Jaya. Odtąd muszę żyć z odpowiedzialnością za ten wybór. Byłoby mi łatwiej, gdyby to on mnie zostawił. Albo gdyby nie żył. - Alissa wstała, unikając wzroku Zoe. - Idę do sauny.

Nie mają zielonego pojęcia, jak człowiekowi może być ciężko. Meg, ze swoją fantastyczną prezencją, darem natury, na który nigdy nie musiała pracować. I bystrością umysłu. Boże. Wygląd, rozum i niezależność jednocześnie. Meg nigdy nie musiała czuć się zależna od mężczyzny. Nigdy nie musiała martwić się starzeniem, tym, że staje się mniej pociągająca.

I Zoe. Hollywoodzka gwiazda pełną gębą, która nigdy nie musiała czynić najmniejszych starań, żeby jej zdjęcia publikowano w magazynach. Po prostu była na nich obecna. Wszędzie. I będzie znowu. Naród amerykański tak kocha powrót idoli.

Nie mają zielonego pojęcia.

Ściągnawszy przez głowę bawełnianą koszulkę, Alissa owinęła się grubym ręcznikiem frotte. Otworzyła ciężkie drzwi sauny i weszła do środka. Zapiekły ją oczy. Nie była pewna, czy to od wina, gorąca, czy od nieproszonych łez.

Wspięła się na ławę i wyciągnęła na niej. Wiedziała, że zmarnowała swoją szansę. Nie ściągnie Zoe, nie będzie żadnego wielkiego balu. Wyglupiła się na ich oczach. Boże. Nie mogła uwierzyć w to, że płakała. Za bardzo starała się zachowywać jak równa dziewczyna i zawiodły ją mechanizmy obronne. Ale żeby płakać? Przed nimi? Przed kimkolwiek?

Ukryła twarz w dłoniach. Może i dobrze. Może nie powinna nawet zawracać sobie głowy powrotem do domu. Przecież całe jej życie nie jest niczym więcej niż farsą. Od dnia, gdy porzuciła Jaya Stockwella.

Usłyszała otwierane drzwi.

- Alisso? - zabrzmiał z progu głos Zoe. - Alisso, nie możesz nas opuścić.

Zawtórowała jej Meg:

- Odlatuję dopiero po południu. Musisz mi powiedzieć, co mam do tej pory robić.

- Zresztą - ciągnęła Zoe - okropnie chce mi się czekolady. Musisz mi pomóc, wybić mi to z głowy.

- Zajmij się czymś, Zoe - powiedziała Alissa, nie odrywając dłoni od twarzy. - Jesteś dużą dziewczynką. Przejdź się, wypal papierosa.

Usłyszała zbliżające się kroki, po chwili odgłos ucichł. Uznała, że Meg i Zoe usiadły na ławie naprzeciwko.

- Nie mogę palić - powiedziała Zoe. - Zaraz po urodzeniu Scotta miałam wylew.

Jedynym dźwiękiem słyszalnym w saunie był syk pary unoszącej się nad węglami.

Alissa usiadła wyprostowana. Zoe i Meg stały spoglądając z naprzeciwka, owinięte ręcznikami tak samo jak ona. Trzy kobiety, tak różne, w zasadzie bez szans na przyjaźń. Ale tutaj, w saunie, różnice wcale nie wydawały się duże.

Zoe powoli podeszła do cedrowej ławy i usiadła.

- To jest tajemnica, pilnie strzeżona od prawie piętnastu lat.

Tajemnice. Przez głowę Alissy przebiegła myśl o Robercie.

Meg zajęła miejsce na ławie i skrzyżowała nogi.

- Dla wielu ludzi - powiedziała - tajemnice stanowią rację bytu.

Węgłe syczały, kobiety trwały w milczeniu. W końcu Zoe potrząsnęła głową.

- Niektórych tajemnic warto dotrzymać. Ale robić tajemnicę z wylewu? To był czysty egoizm. Dziś coraz więcej kobiet, sławnych kobiet, które mają o wiele więcej do stracenia niż ja, publicznie ujawnia różne potworności o raku, seksualnym wykorzystywaniu w dzieciństwie i różnych innych zagrożeniach, które udało im się pokonać. - Parsknęła cichym śmiechem. - Ale ja? Nie potrafiłam powiedzieć nawet tego, że miałam wylew. Nie bałam się o karierę. Bałam się, że ludzie mnie wyśmieją, kiedy zobaczą moją słabość. Wtedy nigdzie nie będę mogła się pokazać. I skończę czując się tak samo nie na miejscu, jak żydowskie dziecko dorastające w północnej Minnesocie.

Alissa przełknęła ślinę. Nagle pomyślała o swoich przyjaciółkach z dzieciństwa, puszących się przed lustrem, ustrojonych w bajeczne futra ciotki Helmy.

- Nikt nie lubi przyznawać się do słabości - powiedziała. - Szczególnie przed sobą samym. - Ale słysząc te słowa, Alissa nie mogła uwierzyć, że dobiegają z jej ust. Znalazła ujście jakaś zapomniana łza z poprzedniego wieczoru, miesiąca, roku. Alissa pozwoiliła jej spłynąć po policzku.

- Mój egoizm zranił mnóstwo ludzi - ciągnęła Zoe. -

Wymusiłam na Williamie, żeby ukrył informację o wylewie przed dziennikarzami. Powiedział im, że wyjechałam w odosobnione miejsce wychowywać dziecko. Ale nikt nie wiedział, że mam sparaliżowaną całą lewą stronę ciała. Nie mogłam chodzić. Nie mogłam mówić. Po kilku latach dziennikarze w końcu przestali na mnie polować. - Uniosła wzrok ku ciemnemu cedrowemu sufitowi. - To musiało być okropnie trudne dla Williama. Nie tylko moja choroba, lecz i egoizm. Dla Marisol też było to trudne. A najbardziej dla mojego dziecka.

Alissa nie wierzyła własnym uszom. Czyżby Zoe mówiła to, by ją pocieszyć, przekonać, że wszyscy mają swoje problemy? Że nikt nie jest doskonały ani nie ma idealnego życia? Historia nie wydawała się zmyślona, a jednak... Alissa przyjrzała się Zoe. Skóra na jej twarzy była nieskazitelna - miała ciemną, lśniąca powierzchnię, którą Bóg widocznie zarezerwował dla żydowskich księżniczek tego świata. Trudno było uwierzyć, że z wydatnych, pełnych warg Zoe nie wyszło przez dwa lata ani jedno słowo. Alissa odchrząknęła.

- Na moje oko wyglądasz zdrowo.

- Bo jest zdrowa - powiedziała Meg. - Wygląda po prostu dobrze.

Zoe pokręciła głową.

- Bo teraz jest dobrze. Właściwie już od dziesięciu lat jest dobrze. William zatrudnił najlepszych, najbardziej renomowanych terapeutów. Marisol mnie pielęgnowała. Ale przez pierwsze dwa lata nie chciałam nawet próbować. Czułam się szczęśliwsza w ukryciu przed światem. Pewnie było mi wygodnie użalać się nad sobą.

- Wiem, jak to jest, kiedy ukrywasz się przed światem - powiedziała Meg, unosząc głowę i jednocześnie odwracając twarz. Alissa zrozumiała, że gest ten miał zepchnąć głębiej ból, odzywający się gdzieś w środku. - Najpierw - ciągnęła Meg starannie kontrolowanym tonem - robi się to, bo to wydaje się bezpieczniejsze.

- Potem - włączyła się Zoe - robi się to z przyzwyczajenia, którego się nie umie porzucić.

Alissa zamknęła oczy, pozwalając, by owionęło ją kojące ciepło.

- Albo robi się to, co ja - włączyła się. - Podejmuje się wyzwanie i pokazuje światu, kto tu rządzi. - Oparła bolącą

głowę o ścianę, świadoma, że raz przynajmniej nie czuje się jak ktoś, kto rządzi. Czowała się pokonana i stłamszona. I nagle niezbitnie przekonana, że jest samotna, tak samo jak Meg i Zoe. Po chwili powiedziała cicho. - Za nic nie powinnam była od niego odchodzić. Z Jayem spędziłam najszcześniejsze dni.

Zapadło milczenie. Meg odchrząknęła.

- Wy macie przynajmniej dzieci. Rodziny. Przyjaciół.

Alissa otworzyła oczy.

- Więc i ty masz to samo odczucie... że nie powinnaś była opuszczać mężczyzny, którego kiedyś kochałaś.

- Jedyne go mężczyzny, którego kochałam.

- I ja też - przyznała Zoe. - Nie powinnam była dopuścić do tego, żeby Eric odszedł.

Alissa mocniej zaciągnęła ręcznik wokół torsu.

- Co my tu wygadujemy, miłe panie? Czyżbyśmy były siostrami w żalu?

- Za późno - powiedziała Meg. - Musimy dalej robić to, co robiłyśmy przez te wszystkie lata. Musimy popychać życie do przodu.

Alissa prychnęła.

- Popychać życie? Ja nie żyję! Moje życie podpira się stojącym kutasem. Mam wrażenie, że z waszymi jest podobnie. Może powinnyśmy jednak coś z tym zrobić.

- Na przykład? - zainteresowała się Zoe.

- Tak jak mówiłam wczoraj wieczorem. Znajdźmy ich.

- Co takiego?! - wykrzyknęła Meg. - Po co? Żeby pokazać im, co stracili?

- Może - odpowiedziała cicho Alissa. - Albo żeby sprawdzić, czy żar jeszcze choć trochę się tli.

- Oszalałaś - powiedziała Zoe. - Tu w środku i bez tego jest upał. Idę sobie. - Wstała i ruszyła do drzwi.

Alissa wyciągnęła rękę i powstrzymała ją, chwytając za ramię.

- Przemyśl to. Powiedzmy, że rozjedziemy się do domów. Każda wróci do swojego życia. Ale mamy wspólny sekret. Nikomu więcej o nim nie powiemy. Poszukamy naszych mężczyzn i przyjrzymy się, jak mogłyśmy żyć. Wtedy będziemy mogły zamknąć ten rozdział raz na zawsze.

- Zdaje się, że o czymś zapomniałaś - powiedziała Zoe. - Masz męża.

MIŁOŚĆ, KTÓRA ODESZŁA

- Wiercie mi - powiedziała Alissa - że jemu jest wszystko jedno.

- A mój miły z dawnych lat został mężem kogo innego. Nie jest już zainteresowany spotykaniem się ze mną - powiedziała Meg i również wstała.

- Przecież tego nie wiesz.

Trzy kobiety z uwagą spojrzały po sobie.

- Nigdy nie będziemy wiedzieć, jeśli nie spróbujemy - powiedziała Alissa. - Co mamy do stracenia?

Rozdział szósty

Zajmowali pierwszą ławkę, bo wspólnicy byli dla Avery'ego czymś w rodzaju rodziny. Meg wiedziała, że setki oczu świdrują jej kark. Dałaby wszystko, by wiedzieć, czy jedna ich para należy do senatora Stevena Riley'a. Rozejrzała się na obie strony i zauważyła, że wszyscy mają spuszczone głowy. Szybko się pochyliła.

W ogromie przestrzeni kamienną katedrą monotony głos księdza przerywały jedynie przypadkowe kasznięcia, szuranie stóp o posadzkę, ciche, szczerze brzmiące odgłosy wycierania nosa. Meg wiedziała, że większość ludzi przyszła jedynie po to, by ich zobaczono, no, ale mimo wszystko byli obecni. Przez chwilę zastanawiała się, ilu ludzi przyszłoby, gdyby to był jej pogrzeb. Na pewno wspólnicy. No, może... ale teraz, po śmierci Avery'ego, nawet to było wątpliwe. Przyszedłby Danny Gordon. Janine, sekretarka z kancelarii. Może kilka osób spośród urzędników.

Zerknęła po wciąż pochylonych głowach. Dla niej uzbierałyby się najwyżej dwie ławki żałobników. Ponownie zamknęła oczy. No, jeszcze może sąsiadka, która zajęła się Raggedy Manem podczas jej nieobecności. Zawsze jedna osoba więcej. Ciekawe, czy sąsiadka zatrzymałaby kota na zawsze.

Cicho zadzwoniły dzwony i Meg zorientowała się, że

dookoła zapanowało poruszenie. Uniosła głowę. Książd kropił czymś trumnę przybraną orchideami. Orchidee, pomyślała Meg. Na pewno od Danny'ego.

Dlaczego nie mogła zakochać się w Dannym? Dlaczego nie mogła zakochać się w nikim? Czyżby przez Stevena nie była już do tego zdolna? Czyżby obrabował ją z serca i duszy do tego stopnia, że nic nie zostało? Cóż szczególnego było w Stevenie Rileyu? Powiedziała Danny'emu, że bardziej odpowiada jej samotność, ale czy tak było?

Znów odezwały się dzwony. Meg zdrętwiała. Za chwilę będzie musiała stanąć twarzą w twarz z ludźmi, rozmawiać z nimi, być dla nich miła. Za chwilę dowie się, czy przyszedł Steven.

Między piersiami wyczuła strużkę potu. Niech szlag trafi Alisę Page, pomyślała. Niech szlag trafi Zoe Hartmann. Gdyby nie one, nie siedziałyby teraz, rozmyślając o Stevenie. Powinna przecież z żalem wspominać Avery'ego. Mimo wszystkich różnic, które ich dzieliły, coś jednak dla niej zrobił: dał jej szansę. Załamała rękę. Te głupie kobiety obudziły w niej uczucia, które lepiej było zostawić w spokoju. Nagle na jej wargach zamajaczył nikły uśmiech. O, zdaje się, że znalazła jeszcze dwie osoby do dopisania na listę uczestników jej pogrzebu.

Wspólnicy unieśli się z ławki. Meg szybko wstała i wygładziła szarobrązową spódnicę. Strój był niezupełnie żałobny. Wiedziała jednak, że ten elegancki odcień zwraca uwagę na plamki barwy toffi w jej oczach. Czemu nie miała wyglądać najlepiej jak może na wypadek, gdyby spotkała Stevena Riley'a?

Kiedy rzędem wychodzili z ławki, Meg usiłowała skupić myśli na Averym. Żrugałby ją za to, że nie włożyła czerni. Albo przynajmniej czegoś granatowego. Przepraszam, szefie, powiedziała bezgłośnie, przyglądając się przetaczanej obok trumnie. No, tak, kobieta powinna robić to, co do niej należy.

Wzięła głęboki oddech i ruszyła za współnikami rozszerzającą się nawą. Przechodzili powoli. Po obu stronach stali ludzie z uroczystymi minami. Meg nie musiała na nich patrzeć. Dobrze wiedziała, że wzrok kierują na nią. To ta, która broniła Holly Davidson, słyszała ich szepty. To ta, która ją wyciągnęła. Zastanawiała się, czy Steven wie o tym procesie. Czy wie o wszystkich winnych ludziach, których

broniła, gdyż pieniądze stały się dla niej siłą napędową. Zastanawiała się, czy będzie umiała wyczuć, która para oczu należy do niego. Znowu przypomniała sobie Alisę, jej powątpiewanie, czy Steven jest szczęśliwy.

Meg wpatrywała się w plecy jednego ze współników, ubranego w ciemnogrnatowy garnitur. Czy byłoby coś złego w tym, gdyby znowu kochali się ze Stevenem? Granatowy garnitur nadal sztywno przesuwiał się przed nią do przodu. Nie była pewna, kto jest nim okryty. Z tej pozycji wszyscy współnicy wyglądali jednakowo.

W końcu uderzyło ją w oczy słoneczne światło. Wyszli na stopnie katedry. Meg chłonęła świeże powietrze, cieszyła się zgiełkiem Piątej Alei, grą pośpiesznych kroków, niecierpliwością samochodów. Zignorowała cisnących się dziennikarzy, czując jednocześnie lekkie rozczarowanie. Nie wyczuła wzroku Stevena. Na pewno nie przyjechał.

George Bascomb, zastępca Avery'ego w kancelarii, pochylił się do Meg.

- Uśmiechnij się do kamer - powiedział z sarkazmem. - Jestem pewien, że są tu tylko dla ciebie.

Meg zignorowała przytyk i ruszyła w stronę firmowej limuzyny. Właśnie schyliła się do drzwi, kiedy usłyszała dziennikarza wołającego:

- Senatorze Riley, czy zechce pan skomentować cięcia w budżecie obrony?

Meg potknęła się; wsiadła. Zatrzasnęła za sobą drzwi, zanim kierowca zdążył wykonać jakikolwiek gest. Patrzyła prosto przed siebie. Nie spojrzy. Nie obróci głowy. Ale kiedy samochód odjechał od krawężnika, nie była w stanie się powstrzymać. Coś, czy to magnetyzm, chemia, ciekawość, czy zwykła głupota sprawiło, że Meg odrobinę odchyliła głowę. Nie zdołała jednak wypatrzeć senatora Stevena Riley'a w tłumie ludzi na schodach.

Na cmentarz nie pojechał. Meg, ukryta za tarczą ciemnych okularów przeciwsłonecznych, przyjrzała się wszystkim mężczyznom w ciemnych garniturach, którzy mieli ponad metr osiemdziesiąt wzrostu. Stevena wśród nich nie było. Po nabożeństwie przy grobie Meg wymówiła się z konwencjonalnego lunchu w „Le Cirque”. Avery nie byłby tym zaskoczony.

W domu natychmiast po otwarciu drzwi wyczuła, że coś

jest nie tak. Weszła do środka i rozejrzała się po sieni. Olbrzymi wazon firmy Steuben, pełen delikatnych jedwabistych lilii, stał na swoim miejscu na stole. Obok leżała równa kupka korespondencji, dokładnie tam, gdzie Meg zostawiła ją poprzedniego wieczoru, po powrocie z Golden Key. A jednak coś było nie tak.

- Najwyższy czas na powrót - dobiegł głos z salonu.

Meg uśmiechnęła się.

- Spytałabym cię, jak się tu dostałeś, ale pewnie byś mnie okłamał. - Weszła do salonu. Na białej sofie siedział Danny. Wciąż jeszcze miał na sobie strój z pogrzebu: bladoniebieską koszulę, czerwony krawat, sportową kurtkę w kolorze granatowym i dżinsy. Na twarzy igrał mu uśmiech samozadowolenia.

- Nie okłamałbym cię - stwierdził. - Powiedziałbym, że to tajemnica zawodowa.

- A ja powiedziałabym, że to włamanie i zawłaszczenie - skontrowała, opadając na sofę obok niego i strąsając z nóg pantofle. - Ale cieszę się, że jesteś.

- Nie zostaję tutaj.

- Nie?

- Ty też nie. - Rozluźnił krawat, zdjął go i rozpiął górny guzik koszuli. - Włóż jakieś obuwie do chodzenia. Zabieram cię do zoo.

Przy wejściu do Central Parku kupili sobie precle, Danny z musztardą, Meg bez soli. Ruszyli w głąb, mijając ludzi i gołębie. Danny odłamał kawałek precla i rzucił go na ziemię. Zleciały się ptaki i wszczęły wojnę. Zwycięzca zabrał wszystko.

- Życie jest walką, Meg - powiedział Danny. - Avery wziął z niego to, co chciał.

Meg wcisnęła dłonie do kieszeni i w milczeniu szła obok niego wijącą się ścieżką. Nagle uświadomiła sobie obecność odgłosów i zapachów zoo. Podeszła do obszernego wybiegu fok i zajrzała do środka. Zwierzęta w idealnym spokoju wygrzewały się na skałach. Oparła się o barierkę.

- Avery umarł samotnie - powiedziała.

Danny skinął głową.

- To mnie przeraża, Danny. Umieranie w samotności. - Danny odgarnął włosy z czoła. Meg parsknęła krótkim śmiechem. - Kłopot polega na tym, że chcąc uniknąć

umierania w samotności, trzeba z kimś mieszkać. Nie wiem, co z tego przeraża mnie bardziej. - Zapatrzyła się na foki, na ich bezruch. Zastanawiała się, czy śpią. A może są martwe?

Danny wziął ją pod ramię i poprowadził w stronę mostku.

- Są ciekawsze tematy do rozmyślań niż umieranie - powiedział. - Powinnaś zająć się życiem. Mnóstwo przeżyć jeszcze przed tobą, dobrze o tym wiesz.

Przystanęła i wytrzeszczyła na niego oczy.

- O czym ty mówisz?

- Wciąż pracujesz, Meg. I koniec, kropka. No, jasne... - dodał z lekceważącym machnięciem ręką - ...od czasu do czasu znajdujesz sobie przyjaciela. Ale robisz to z czystego poczucia obowiązku i przyzwyczajenia.

Spojrzała na wodę, leniwie zastygła pod mostkiem. Była jeszcze zbyt wczesna pora roku na małych chłopców z żagłówkami, zbyt wczesna na kochanków wylegających się na *trawiastym spadzistym* brzegu.

- Martwię się o ciebie, Meg - ciągnął Danny. - Praca pracą, ale po śmierci Avery'ego wszystko się zmieni. - Meg wzruszyła ramionami. - Czy nie ma czegoś, co cię pasjonuje? Co ruszałoby cię bardziej niż wszystko inne na świecie?

- Uwielbiam prawo - powiedziała cicho. - Chociaż dręczy mnie dwulicowość naszych klientów. I patetyczne przemowy. Boże. - Aż nią wstrząsnęło.

- Teraz, kiedy wspólnicy dojdą do władzy, będzie ciężiej.

- Nie przepadają za mną. Tolerowali mnie tylko dlatego, że Avery we mnie wierzył.

- Tu się mylisz. Avery miał wielkie nazwisko. A ty jesteś numer dwa w tej kancelarii.

- O czym ty mówisz?

- O tobie, Meg. O reputacji, którą sobie wyrobiłaś. O *twoim* tajemniczym sposobie, który sprawia, że jesteś najbardziej widoczną częścią tej firmy. Nie lekceważ rozumu wspólników. Mogą być o ciebie zazdrośni, ale cię potrzebują. Moim zdaniem będziesz teraz w stanie ciągnąć za sznurki. Wybierać sobie sprawy. Zajmować się tylko tymi, które ci odpowiadają. Oni cię potrzebują, Meg - powtórzył. - Jesteś teraz ich magnesem.

Drżenie zaczęło się od kolan. Szybko objęło jej uda, piersi, ramiona. Meg wbiła zęby w dolną wargę tak mocno,

że bała się, czy jej nie skaleczyła. I wtedy popłynęły jej łzy. Danny podszedł bliżej i ją przytulił. Szlochała mu rozpaczliwie w ramię, między kosmyki jego rozwichrzonych włosów. Pogłaskał ją po plecach i pogładził po włosach. Potem lekko pocałował w głowę.

- Nie chcę być niczym magnesem - szlochała. - Chcę po prostu robić swoje. Chcę mieć święty spokój.

Przytulił ją mocniej.

- Nie sędzę, dziecko - powiedział cicho. - Stanowczo nie sędzę, żebyś tego właśnie chciała.

Odchyliła głowę do tyłu i spojrzała mu w oczy. Niespodziewanie ich wargi się zetknęły. Przyłgnęła do niego, przyjęła pocałunek. Czuły dotyk łagodził jej łzy, od miłego smaku robiło jej się ciepło na sercu. Ale gdy nieco odzyskała równowagę zmysłów, przypomniała sobie, że to Danny. Jej przyjaciel. Oderwała się od niego i z powrotem stanęła twarzą do barierki mostku, wpatrując się w staw.

Podszedł do niej od tyłu i położył jej rękę na ramieniu.

- Jezu, Meg, przepraszam. Nie miałem takiego zamiaru. Meg uśmiechnęła się i otarła z twarzy ostatnie łzy.

- W porządku, Danny. To było całkiem przyjemne.

- Chyba poczułem się tak samo wystraszony jak ty, samotny.

- Czy myślisz, że zawsze będziemy samotni, Danny? Ty i ja?

Pogłaskał ją po ramieniu.

- Mam czterdzieści trzy lata, Meg. Ale jeszcze nie porzuciłem marzeń, że gdzieś na świecie jest przeznaczona dla mnie kobieta. Póki marzę, nie boję się samotności. Ale ty też musisz marzyć, Meg. Musisz.

- Czasem bywa to trudne.

Uścisnął ją lekko.

- Wielu ludzi pewnie się zastanawia, dlaczego nigdy nie zeszliliśmy się razem.

- Tak. Ale oni nie wiedzą, że mamy coś o wiele lepszego i trwalszego.

- Jesteśmy przyjaciółmi.

Oparła głowę o jego policzek.

- Najlepszymi przyjaciółmi, jacy mogą być.

Pocałował jej włosy.

- Kocham cię, mój przyjacielu - powiedział.

A Meg wiedziała, że tak właśnie myśli, że kocha ją tak, jak tylko przyjaciel może kochać przyjaciela, bezgranicznie i bezwarunkowo.

Wspólnicy zwołali zebranie na następne przedpołudnie. Meg stała przy biurku sekretarki i przeglądała pocztę. Musiała współpracować już tylko z Bascombem, Smithem i Paxtonem. Ostatni ze wspólników, Josh Rheinhold, umierał powoli na raka płuc w swoim letnim domu na krańcach Long Island. Z zawodowej uprzejmości pozostawiono jego nazwisko na szyldzie i w staromodnym szarym nagłówku firmowej papeterii. Meg zastanawiała się, ile czasu potrwa, nim wspólnicy wykreślą nazwisko Avery'ego. Przypuszczała, że się z tym wstrzymają. Bez względu na to, za jaki magnes uważał ją Danny, nazwisko i reputacja Avery'ego nadal powinny ściągać wielkie pieniądze. Z Averym czy bez niego, wszystko jedno.

Janine oddzieliła kondolencje od reszty przesyłek.

- Wszyscy powinni przeczytać - powiedziała.

Meg wzięła stertę i szybko ją przejrzała. Jedna przesyłka zwróciła jej uwagę. Zatrzymała dłoń i spojrzała na kopertę. Adres zwrotny brzmiał: Senat Stanów Zjednoczonych. To może być od każdego, pomyślała. W pogrzebie brało udział kilku senatorów. Każdy z nich mógł przysłać kondolencje. Zawahała się. Ale mogły przyjść właśnie od niego. Gdyby otworzyła kopertę, zobaczyłaby jego podpis. Rozejrzała się chcąc sprawdzić, czy nikt jej nie obserwuje. Janine stała przy ekspresie do kawy. Meg wytrząsnęła bilet z koperty. Był typowy, biały z tłoczonymi złotymi literami. „Wyrazy najgłębszego współczucia przesyła senator Howard Levine z pracownikami biura”. Wsunęła bilet z powrotem do koperty i zaczęła dalej przeglądać stertę. Znalazła następną kopertę z pieczęcią Senatu Stanów Zjednoczonych. Wyciągnęła bilet. Był identyczny jak poprzedni, tyle że tym razem nazwisko było inne. „Wyrazy najgłębszego współczucia przesyła senator Steven Riley z pracownikami biura”. Pod tekstem był jego podpis: Steven K. Riley. Meg zaintrygowano, co oznacza litera K. Czy to możliwe, że nigdy nie poznała jego drugiego imienia?

- Jesteś gotowa, Meg? - Głos ją zaskoczył. Podniosła głowę i zobaczyła Lloyda Paxtona w drzwiach sali konferencyjnej. - Mamy dużo do omówienia.

Szybko wepchnęła kartę kondolencyjną od Stevena do swojej poczty.

- Już idę - powiedziała. Wzięła listy, teczkę i ruszyła na zebranie.

Zajmowali miejsca przy wydłużonym, owalnym stole, z wyjątkiem George'a Bascomba siadali tam gdzie zwykle. George usiadł u szczytu stołu. Na miejscu Avery'ego. Meg poczuła niesmak. Mogli zostawić na pewien czas nazwisko na drzwiach, pomyślała, ale w kancelarii nie ma na kim robić wrażenia. Avery Larson jest już tylko historią.

- W porządku, zaczynamy. - odezwał się stanowczo George Bascomb. Meg drgnęła na krześle. Nie czuła się pewnie. Nigdy nie pracowała z George'em nad żadną sprawą, prawie go nie знаła. W odróżnieniu od Avery'ego był niski. Był też młodszy, mógł dobiegać pięćdziesiątki. Zaokrąglił się już i zaczynał łysieć. Ponadto miał dwudziestopięciometrowy jacht na Wyspach Bahama, a także żonę ze starej, dobrej rodziny.

George Bascomb zaczął przegląd spraw w toku. Spór o podatki. Oszustwo ubezpieczeniowe. Sprzeniewierzenie. Wspólnicy kolejno referowali najświeższe dane, wyraźnie jednak pieczę nad wszystkim sprawował George. Meg siedziała cicho i rysowała zawijasy w notatniku z żółtymi kartkami.

- Arnold Banks - powiedział w końcu George. - Morderstwo pierwszego stopnia.

Meg wyprostowała się. Chodziło o sześćdziesięcioletniego kustosza muzealnego, oskarżonego o uduszenie matki staruszki po latach seksualnego wykorzystywania. Z pięciu osób służby, mieszkających i zatrudnionych w okazałym domu przy Park Avenue, od trzech pokoleń należącym do rodziny Banksów, dwie twierdziły, że Banks jest winny, dwie temu zaprzeczały. Jedna siedziała cicho. Plotki głosiły, że Dominic Dunne dostał już szczerą zaliczkę na reportaż od „Vanity Fair”, a jeden ze świadków podpisał tłusty kontrakt na wyłączność z telewizyjnym przeglądem aktualności. Sprawa miała czysto sensacyjny wymiar. Opatrzyło się wykorzystywanie małżonków i nieletnich, Amerykę kuszono więc teraz smakiem znęcania się nad staruszkami. Meg nie chciała mieć w tym swojego udziału.

George przełożył kilka papierów. Spojrzał znad krawędzi okularów.

- Jak wiecie, była to sprawa Avery'ego.

Nikt się nie odezwał. George odłożył papiery.

- Nasza kancelaria prowadzi sprawy Banksów od wielu lat. Arnold Banks chciałby, żeby sprawą zajął się ktoś ze starszych wspólników.

Meg poczuła odprężenie. Nie musiała się martwić, że George będzie na nią naciskał, żeby broniła Banksa. Najwyraźniej Banks był „swoim chłopcem”, a swoi chłopcy muszą trzymać sztamę i nic do tego młodej dynamicznej kobiecie.

- Osobiście - ciągnął George - jestem jednak innego zdania. - Skierował swe małe oczka na Meg. - To sprawa dla ciebie.

Upuściła długopis.

- Co takiego?

- Będziesz bronić Arnolda Banksa.

Rozejrzała się po milczącej sali, potem wróciła spojrzeniem do George'a.

- Nie chcę tej sprawy.

Jeden ze wspólników poruszył się na krześle. Inny kaszlnął.

- To nie jest kwestia chęci, pani mecenas. To jest kwestia dobra firmy. Z jakiegoś powodu dziennikarze bardzo panią lubią. Jeśli odpowiednio zagramy, będzie większa sensacja niż z okazji sprawy Holly Davidson. Im większy rozgłos, tym lepiej dla kancelarii.

Jeśli odpowiednio zagramy. Meg wessała policzki i utkwiała wzrok w nieczytelnych zawijasach, zdobiących żółtą kartkę jej notatnika. Jesteś ich magnelem, powiedział Danny. Boże, pomyślała Meg, prawo w praktyce stało się zwykłą grą, a ja łamię je akurat w takim samym stopniu jak każdy z nich.

- A jeśli odmówię? - spytała.

George rąbnął pięścią w stół. Wzdrygnęła się i natychmiast poczuła do siebie niechęć, że okazała strach.

- To pani sprawa i kropka. Zmiana władzy nie jest okresem do odgrywania primadonny. Trzeba myśleć o firmie. Niech pani to zrobi dla uczczenia pamięci Avery'ego. On nie wymagałby od pani ani trochę mniej.

Podniosła długopis i narysowała na kartce rząd równych trójkątów. Im większe wyzwanie, pomyślała, tym większy hałas. Ale czy warto z tego powodu ustępować George'owi

Bascombowi? Połączyła trójkąty. Mogła teraz wstać i wyjść. Wyjść z kancelarii, odejść z firmy. Bez trudu znalazłaby inną pracę. Zamazała wolne pola, likwidując trójkąty. Wiedziała jednak, że gdzie indziej wcale nie będzie lepiej. Inna firma też będzie od niej oczekiwać podtrzymywania wizerunku, jaki dla siebie stworzyła. Meg przedziurkowała kartkę czubkiem długopisu.

- Proces ma się zacząć za kilka tygodni, więc lepiej niech pani od razu zabierze się do pracy - ciągnął George.
- Każę przenieść akta Avery'ego do pani pokoju.

- Avery przynajmniej wysłuchałby moich argumentów - powiedziała.

George pochylił głowę i uporządkował papiery. Wstał.

- Avery nie żyje, Meg. Teraz ja tu rządzę. - Wziął aktówkę i wyszedł z sali.

Akta sprawy „Stan Nowy Jork przeciwko Arnoldowi Banksowi” leżały pośrodku biurka Meg. Odepchnęła je na bok i usiadła, Cisnąwszy teczkę na podłogę, a pocztę na miejsce po aktach.

Westchnęła i sięgnęła po kupkę korespondencji. Spomiędzy przesyłek wysłizgnęła się tłoczona karta kondolencyjna z biura Stevensa. Meg podniosła ją i przebiegła palcem po podpisie: Steven K. Riley. Nie poprzedził imienia i nazwiska tytułem „senator” ani żadnym innym, którego miał prawo użyć. Mogło to znaczyć, że się nie zmienił. Ze nadal był nie zepsutym, wrażliwym człowiekiem, który uczył ją prawa i miłości.

Otworzyła górną szufladę i włożyła tam kartę kondolencyjną. Zapatrzyła się w białą powierzchnię. Czy istotnie miałyby odwagę znowu stanąć z nim twarzą w twarz? Znaleźć się dostatecznie blisko niego, by poczuć magnetyczną siłę i ciepło?

- Nie mogę znieść myśli, że nigdy więcej mnie nie dotkniesz. - Tak powiedział jej Steven podczas ostatniego spotkania. Wtedy, gdy go okłamała i powiedziała mu, że przestał dla niej cokolwiek znaczyć. Wtedy, gdy się popłakała.

Z rozmyślań wyrwał ją brzęczyk telefonu na biurku.

- Co tam, Janine? - burknęła.

- Pan Bascomb prosił, żeby ci powiedzieć, że o trzeciej po południu przyjdzie pan Banks. Podobno masz być na tym spotkaniu. Będziesz?

Meg cicho zamknęła szufladę. Bez względu na to, co sądziła o George'u Bascombe, był jednak starszym współpracownikiem.

- Tak, Janine - odparła. - O trzeciej mogę być.

Odepchnęła od siebie myśli o Stevenie K. Rileyu i przенiosła na kanapkę akta sprawy „Stan Nowy Jork przeciwko Arnoldowi Banksowi”. Czas wrócić do pracy. Podjąć wyzwanie. Zsunęła pantofle na wysokim obcasie, usiadła w kącie kanapki i wyciągnęła nogi tak, że jej stopy znalazły się przy drugiej poręczy. Potem zaczęła czytać stronicę pełną zamierzonego bełkotu i nudziarstw. Po niecałej godzinie czytania Meg uznała, że Arnold Banks istotnie jest winny. Nie było co do tego najmniejszych wątpliwości.

Nie poszła na lunch. Krótco po pierwszej znów odezwał się brzęczyk jej telefonu. Miała nadzieję, że Banks odwołał wizytę. Albo George zmienił zdanie.

- Słucham, Janine - wykrzyknęła z kanapki.

- Dzwoni do ciebie kobieta. Nazywa się Alissa Page.

Najpierw pomyślała, że coś złego stało się Zoe. Poderwała się, podbiegła do biurka, chwyciła za słuchawkę i wcisnęła czerwone migające światełko.

- Alissa? - odezwała się pytającym tonem. - Czy wszystko w porządku?

Śmiech w odpowiedzi był wyjątkowo charakterystyczny. Meg poczuła dziwną ulgę.

- W porządku. Chciałyśmy po prostu dowiedzieć się, czy dojechałaś bez kłopotów do domu. Jak poszło wczoraj?

Meg opadła na krzesło przy biurku.

- Potwornie.

- Myślałyśmy o tobie. - Alissa i Zoe myślały o niej? Czy ktokolwiek kiedykolwiek przedtem o niej myślał? - Co z dziennikarzami? - ciągnęła Alissa. - Czy rzucili się na ciebie z fleszami?

- Nie dałam im okazji.

- Och, Meg - roześmiała się Alissa. - A ja zawsze tak bardzo muszę się starać, żeby zwrócić na siebie uwagę dziennikarzy! Posłuchaj, dzwonię, bo chcę prosić cię o przysługę. Chodzi o tego faceta, który dzwonił, żeby powiedzieć ci o śmierci szefa. Wspominałaś, zdaje się, że to prywatny detektyw.

- Danny? Tak. Ma umowę z naszą kancelarią.

- A czy pracuje na własny rachunek?

- Co chcesz przez to powiedzieć? - Meg nie była pewna, czy jest zadowolona z tego, co słyszy. Alissa jako przyjaciółka z oddali to jedno, ale Alissa wmieszana w jej codzienne życie to coś zgoła innego.

- No, bo widzisz, muszę zatrudnić kogoś do poszukiwania Jaya. Sama nie wiedziałabym, od czego zacząć.

Meg szarpnęła słuchawką tak, że sznur napiął się do końca.

- Przecież ostatnio widziałas jego korespondencję. Cemu nie spróbujesz iść tym tropem?

- Nie mam cierpliwości. Poza tym nie mogę ryzykować, że ktokolwiek odkryje to, co robię. Jestem mężatką, chyba pamiętasz. Dlatego wymyśliłam coś innego. Przed powrotem do Atlanty wpadnę do Nowego Jorku. Jest bezpośredni samolot. Spotkałybyśmy się jutro na kolacji w rosyjskiej herbaciarni. Naprawdę chcę najać twojego prywatnego detektywa do znalezienia Jaya. Przynajmniej będę wiedziała, że mogę mu zaufać, skoro jest twoim przyjacielem. A poza tym, jeśli jest profesjonalistą, to zachowuje dyskrecję.

Meg skinęła głową.

- Tak, tak. Danny zachowuje dyskrecję.

- Wspaniale. Wobec tego do jutra. W herbaciarni rosyjskiej o wpół do dziewiątej.

Meg odłożyła słuchawkę rozmyślając, na co właśnie się zgodziła. Znowu otworzyła szufladę i spojrzała na kartę kondolencyjną. Steven K. Riley. Czy naprawdę miała tyle odwagi?

Rozdział siódmy

Alissa usadowiła się na wąskim siedzeniu w niskiej kabinie z dwoma rzędami pojedynczych foteli, rozdzielonych przejściem. Podziękowała stewardesie za orzeszki z miodem i chłodzony napój. Potem skróciła i zapięła pas, gratulując sobie w myślach, że obdarzyła specjalnym napiwkami personel Golden Key, by po jej wyjeździe nadal pamiętał o szczególnych potrzebach Zoe. Obiecała sobie telefonicznie sprawdzić, czy Zoe podporządkowuje się ustalonemu przez nią rygorowi ćwiczeń i czy zachowuje dietę. Jak dotąd Alissa była zadowolona z postępów Zoe. Modliła się, by nowej przyjaciółce starczyło sił na imponujący powrót do świata filmu. Była to dla niej sprawa najwyższej wagi.

Gdyby Zoe dostała tę rolę w telewizji, pierwszy odcinek serialu wyświetlono by niecałe dwa tygodnie przed bale. Fani Zoe wyszliby z ukrycia. Prasa szalałaby, a Zoe szybko stałaby się aktualnością dnia, najbardziej rozrywaną postacią od czasu, gdy przestano pisać na pierwszych stronach o księżnej Dianie. Wtedy Alissa mogłaby poprosić o kilka drobnych uprzejmości. No, bo po co są w końcu przyjaciółki?

Samolot wytoczył się na pas startowy. Alissa zamknęła oczy i uśmiechnęła się. Tymczasem umocni przyjaźń z wielką Meg Cooper, swą drugą towarzyską zdobyczą. Jestem świetna, pomyślała Alissa.

Samolot zwiększył obroty silników i Alissa przygotowała się do startu. Przed sobą widziała w przejściu dwie trzymające się ręce. Spłoszeni pasażerowie. Jedna dłoń należała do młodego mężczyzny, siedzącego po przeciwnej stronie o jeden rząd przed Alissą. Druga była delikatna i przyozdobiona diamentykiem w złotej oprawie na serdecznym palcu. Zakochani, pomyślała Alissa. Prawdopodobnie pierwszy raz z dala od domu.

Samolot zatrzęsł się i zagrzecotał. Wepchnięta w fotel siłą bezwładności, Alissa dostrzegła, że dłonie zakochanych splatają się jeszcze mocniej. Znowu zacisnęła powieki i próbowała sobie przypomnieć, kiedy ostatnio ktoś trzymał ją za rękę. Czy kiedykolwiek zdarzyło się to Robertowi? Albo któremuś z jej kochanków? Trzymanie się za ręce tworzy bardzo intymną więź, bardziej intymną niż pocałunki, niż seks.

Jay Stockwell trzymał ją za rękę. Poczwała przyплыw zakłopotania, a tymczasem samolot wyrównywał lot w swoim korytarzu. Pierwszy raz trzymali się za ręce na meczu polo. Miała czternaście lat, Jay szesnaście. Poszli do stajni obejrzeć nowego konia, własność ojca Jaya. Alissa musiała stanąć na wiązce siana, żeby zajrzeć do boksu. Jay wziął ją za rękę i pomógł jej utrzymać równowagę. Ale zaciskał dłoń dłużej, niż było to potrzebne.

Pierwszy raz kochali się, gdy miała piętnaście lat. Alissa pomyślała, że zaszokowałyby tym swoje córki. Wykorzystali z Jayem tylne siedzenie limuzyny jego ojca, w dniu gdy kierowca miał wolny dzień. W garażu Stockwellów mogli się ukryć przed niepożądanymi oczami. Byli niewinni i niezręczni, ale i tak przeżyli cudowne chwile. A potem Jay trzymał ją za rękę. Gdzie podziewał się teraz?

- Będę pomagał ratować ludzi na całym świecie - powiedział jej, gdy ostatni raz rozmawiali w San Francisco. - Będę pracował dla pokoju.

- A nie chcesz wyrobić sobie nazwiska? - Alissa pamiętała długą, wystrzępioną na dole bluzkę, którą miała wtedy na sobie, i koraliki na szyi. Jay sam zrobił te koraliki, a ona przysięgła nigdy w życiu ich nie zdejmować. I co z tego wyszło?

Mieszkanie w San Francisco mieli obskurne. W swoim czasie jednak wydawało im się wspaniałe. Jaskrawe plakaty zakrywały ścianę tam, gdzie odpadł tynk. W kuchni mieli

wielki zlew z żółtej porcelany, do którego wkładali stary cynowy durszlak, żeby odcedzić spaghetti. Mięsa nie jedli. Mieli dużo przyjaciół, choć Alissa nie pamiętała ich imion. Pili dużo wina, palili dużo haszu, a od czasu do czasu Alissa widziała, że Jay bierze kwas. Sama bała się LSD i nigdy nie spróbowała. Nie chciała zgłębiać ciemnych zakamarków swojej psychiki. Nie chciała sięgać umysłem poza tu i teraz. Nie chciała stracić panowania nad sobą.

Za dnia Jay pisywał wiersze i czytał jej to, co napisał, gdy zrywała kwiaty w parku. Nocami spali na cienkim, wytartym materacu, wtuleni w siebie. Aliszę często budziło delikatne napieranie spragnionego członka. W tym czasie bardziej niż wszystko inne uwielbiała czuć przez sen twardość i pragnienie Jaya.

Patrząc z perspektywy, Alissa stwierdziła, że w San Francisco spędziła najbardziej pamiętny okres życia. Szkoda, że trwał zaledwie dwa miesiące. Zaledwie dwóch miesięcy potrzebowała do stwierdzenia, że dla Jaya nie jest to zabawa. Ani przejściowe stadium. O ratowaniu świata i pracy dla pokoju mówił całkiem poważnie. Alissie zawsze wydawało się to harówką i koszmarną stratą czasu.

- Jeśli wyrobisz sobie nazwisko, będziesz łatwiej mógł pomóc ludziom - próbowała przekonywać go ostatniego dnia.

- Myślisz, że mógłbym to robić, gdybym wrócił do domu i wszedł do interesu mojego ojca?

Spojrzała na niego. Miał dłuższe włosy niż w dniu, kiedy wyjeżdżali z domów. Ubranie zaczynało mu się przecierać. Oboje wydzielali niemiły zapach. Przyszło jej do głowy, że matka Jaya zareagowałaby na ich widok odrazą.

Tak samo jak członkinie Federacji Kobiet Atlanty, gdyby wiedziały, że kiedykolwiek żyłam w taki sposób, pomyślała Alissa. Spojrzała przez okrągły iluminator na białe kłębiaste chmury ciągnące się niżej. Czemu w ogóle rozważała odnalezienie Jaya? Bo nigdy nie przestałam go kochać, uświadomiła sobie nagle. Pomyślała o wszystkich nocach, o wszystkich latach, kiedy ukradkiem przełączała telewizor z kanału na kanał, z rozpaczliwą nadzieją, że uda jej się zobaczyć go na jakiejś migawce, usłyszeć jego słowa, głos. Słowa, które kiedyś układały się w wiersze dla niej. Głos, który kiedyś jej czytał. Wtedy i tylko wtedy Alissa czuła się kimś niezwykłym. Kochanym.

Gdyby z nim została, jej los potoczyłby się inaczej. Jej świat nie ograniczyłby się do Atlanty. Miałaby w życiu pełno emocji, kultury i wyzwania. Ale nigdy nie zdobyła się *na taką odwagę*. Czy teraz jej *nabrała*?

Za pięć dziewiąta Alissa weszła do rosyjskiej herbaciarni. Omiotła spojrzeniem długą, wąską salę, zwracając uwagę na gości zajmujących miejsca przy małych, kameralnych stolikach. Niedaleko dostrzegła Meg i stwierdziła, że pierwszy raz widzi ją w kostiumie. Machając dłonią, ruszyła do stolika. Po drodze rozmyślała, czemu tak piękna kobieta uparcie chce wyglądać jak przeciętny adwokat. Wystarczyłoby trochę więcej barw, trochę biżuterii i co innego niż „gustowne ubranie”; w czymś ciekawszym niż obcisły wełniany żakiet i plisowana spódnica Meg z pewnością zdobyłaby więcej uznania.

- Przepraszam za małe spóźnienie - powiedziała Alissa wślizgując się na obitą skórą ławę. - Przejazd dokądkolwiek w tym molochu zawsze zajmuje więcej czasu, niż się planuje.

- Gdzie się zatrzymałaś?

- W „Plazie”. Uwielbiam widok Piątej Alei. To czysty Manhattan. Naturalnie zdecydowanie wolałabym „Helmshleya”, ale lokalizacja przyprawia mnie o klaustrofobię. - Gestem przywołała kelnera i zamówiła wino. Potem przekopała torebkę, nim znalazła papierosa i złotą zapalniczkę od Cartiera.

Meg znacząco uniosła brwi. Alissa rozejrzała się dookoła.

- Wiem. Palenie wzbronione.

- Niestety.

- Boże, jak mnie to wkurza. - Wcisnęła z powrotem do torebki papierosa i zapalniczkę, po czym oparła łokcie na stoliku. - Im bardziej popadam w nałóg, tym mniej jest miejsc, gdzie mogę zapalić. Założę się, że gdybym była jednym z twoich sławnych klientów, pędem przybiegłby tutaj kelner z popielniczką albo i z dwiema.

- Nie wszyscy moi klienci są sławni.

- Stają się, gdy tylko wezmą ich na warsztat dziennikarze z magazynów. Nad czym teraz pracujesz? Kazirodztwo? Morderstwo? Chcę usłyszeć wszystkie pieprzne szczegóły.

- Przepraszam, ale to tajemnica zawodowa.

- Och, daj spokój. W ogóle nie umiesz być zabawna. A już myślałam, że znalazłam przyjaciółkę, z którą mogę rozmawiać o czymś więcej niż tylko o balach dobroczynnych i sponsorach. - No, poszło. Padły słowa „bal dobroczynny” i „sponsorzy”. Ziarno zasiane.

- Opowiedz mi coś o tym - poprosiła Meg. - Brzmi to znacznie lepiej od tego, czym się zajmuję.

Alissa lekceważąco machnęła dłonią.

- To nic takiego. Naprawdę. Po prostu każdej jesieni organizuję wielką imprezę dobroczynną. W tym roku na rzecz bezdomnych. - Westchnęła. - Bezdomność staje się poważnym problemem. Nawet w Atlancie. - Postarała się przybrać minę wyrażającą współczucie i zatroskanie. - Jeszcze nie rozpracowałam szczegółów, ale chcę, żeby było to nadzwyczajne wydarzenie. Głośne na cały świat.

- No, jeśli ktokolwiek jest do tego zdolny, to właśnie ty.

Alissa uśmiechnęła się. Nie było potrzeby dalej rozwodzić się nad balem. Swoje zrobiła.

- A skoro mowa o pamiętnych wydarzeniach, to czy zapytałaś swojego przyjaciela, czy mi pomoże?

- Danny? Tak. Chętnie się z tobą jutro spotka, ale mam ci powiedzieć z góry, że poszukiwanie zaginionych kochanków nie jest jego specjalnością.

- Pieniądze są pieniędzmi - powiedziała Alissa wzruszając ramionami. - Jestem pewna, że honorarium go zadowoli. Powiedz mu, żeby przyszedł do mojego apartamentu o dziesiątej. Mieszkam na pierwszym piętrze, z widokiem na Piątą Aleję.

Meg zapisała informację w notesiku.

Nadszedł kelner i postawił przed Alissą kieliszek wina.

- Czy Danny pomoże ci znaleźć twojego faceta? - spytała Alissa po odejściu kelnera.

Meg roześmiała się.

- Nie sędzę, żeby to był dobry pomysł.

- Czemu nie?

- Powiedzmy po prostu, że muszę zrobić to sama.

- Ej, pamiętaj, że to tylko zabawa. Mamy sprawdzić, jak mogło się potoczyć nasze życie. Chyba nie tchórzysz? Co z tego, że on jest żonaty? Mnie to nie rusza.

Meg przesunęła palcem po krawędzi kieliszka.

- Obawiam się, że jest jeszcze inne utrudnienie.

- Na miłość boską, Meg, jakie? Nie może być aż tak źle.

- Powiedzmy, że on jest osobą publiczną, i tyle.

Alissa głośno wciągnęła powietrze. Aż trudno jej było uwierzyć w swoje szczęście.

- No tak - mruknęła. - Sprawa się gmatwa.

Wyczuwając, że Meg nie ujawni w tej chwili niczego więcej, otworzyła kartę i zaczęła przeglądać listę dań, zastanawiając się jednocześnie, kim może być ukochany Meg i jak przyjaciółka zamierza do niego dotrzeć. Trudno było jej znieść, że nie wie czegoś, co byłoby wyborną plotką. Bądź co bądź, nigdy nie wiadomo, kiedy coś takiego może się przydać.

Meg nie ostrzegła jej, że Danny Gordon wygląda, jakby właśnie wyszedł z łóżka, w którym leżał z kobietą. Alissa stała w drzwiach apartamentu w hotelu „Plaza” i żałowała, że nie włożyła czegoś bardziej seksownego niż lniane spodnie w morskim kolorze i żakiet. Dobrze chociaż, że miała na sobie jedwabną bluzkę w kolorze kości słoniowej.

- Chyba wygodniej byłoby mi rozmawiać w środku niż tutaj, na korytarzu - powiedział Danny z nieco szelmowskim uśmiechem, przy którym błyszczały mu wszystkie zęby, a oczy sypały iskrami.

Alissa nie mogła sobie przypomnieć, kiedy ostatnio widziała u mężczyzny takie długie i gęste rzęsy. Cofnęła się do środka.

- Oczywiście, przepraszam. Niech pan wejdzie. - Może dlatego Meg nie chciała, żeby Danny jej pomógł. Może sypia z tym facetem? Jeśli nie, to jest głupia.

Danny przeszedł przez pokój i zajął miejsce przy oknie. Alissa zapatrzyła się w jego muskularne pośladki, opięte obcisłymi dżinsami.

- Ładnie ma pani tutaj.

Alissa roześmiała się.

- Dziękuję. - Przygładziła blond loczki. Dałaby wszystko za możliwość wsunięcia palców w jego proste czarne włosy.

- Bardzo mi się tu podoba. - Podeszła do okna i wyrzała.

- Stąd miasto ma prawie cywilizowany wygląd. - Położyła rękę na biodrze, odsuwając poję żakietu. Miała nadzieję, że Danny zauważy niewielką koronkową miseczkę jej stanika, widoczną pod przezroczystą bluzką. Ciekawe, czy stwardniały jej sutki.

Boże, pomyślała. Co ja wyrabiam? Czyżby Grant Went-

worth niczego mnie nie nauczył? Odchrząknęła, złączyła na powrót poły żakietu i usiadła na krześle przed Dannym.

- Nie wiem, ile Meg panu powiedziała.

Danny wzruszył ramionami. Usiłowała nie zwracać uwagi na mięśnie rysujące się pod koszulką polo ani nie wyobrażać sobie, jak wyglądają nie okryte.

- Tylko tyle, że chce pani mnie zatrudnić do znalezienia jakiegoś człowieka. Meg powtórzyła, mam nadzieję, że zazwyczaj zarabiam na życie w inny sposób.

Alissa skrzyżowała nogi.

- Tak. I powiedziała, jaki pan jest w tym dobry.

- Owszem, jestem. W sprawach kryminalnych.

- Myślę, że nawet w sprawach kryminalnych musiał pan raz czy dwa ustalać czyjeś miejsce pobytu.

Danny spojrzał jej w oczy. Boże, czemu on ma takie oczy?

- Raz czy dwa razy - powiedział.

Alissa znowu wstała, podeszła do kominka. Oparła się o gzyms i ponownie zwróciła twarzą ku Danny'emu.

- Potrzebuję kogoś, komu mogę zaufać, Danny. - Wsunęła rękę do kieszeni, raz jeszcze eksponując piersi między połami żakietu. - Mogę nazywać pana Danny? - W normalnych okolicznościach Alissa nie trudziłaby się pytaniem. Ale w normalnych okolicznościach nie czułaby się tak zakłopotana. Była pewna, że gdyby była mężczyzną, od dawna miałaby erekcję.

Roześmiał się.

- Może mnie pani nazywać, jak się pani podoba.

Wyprostowała się i splotła ręce na piersi.

- Potrzebuję daleko posuniętej dyskrecji. Dlatego chciałabym, żeby właśnie pan się tym zajął, Danny. Meg panu ufa. A ja ufam Meg. - I potrzebuję jej po swej stronie, przypomniała sobie. Potrzebuję jej do zorganizowania najwspanialszego balu w tym roku.

- Brzmi to tak, jakby miała już pani wszystko rozpracowane.

- Płacę podwójne honorarium, bez względu na to, jakiego pan zażąda.

Cicho gwizdnął.

- Co za wspaniała propozycja.

Być może nie jedyna, zanim z tobą skończę, Danny, pomyślała.

- O to chodziło, żeby była wspaniała.

Danny uniósł stopę i oparł ją o kolano drugiej nogi. Spostrzegła, że nosi buty z cholewami. Solidne, skórzane, wysokiej jakości. Znoszone. Męskie. Poczowała mrowienie między udami. Dżinsy, wysokie buty, sportowe ubranie. Mężczyzna niezależny.

- Szukanie zaginionych ludzi zawsze wydawało mi się czymś w rodzaju szpiegowania mężów i żon. Krótko mówiąc, poziom goniącego za zyskiem prawnika, który podpuszcza ofiary wypadków do składania skarg.

- Rozumiem. Pan jest ponad to, Danny, więc to panu nie leży - powiedziała i dodała w myśli: żeby ci chociaż coś stało.

Danny roześmiał się.

- Powiedzmy zwyczajnie, że to nie moja specjalność.

- Zapewniam, Danny, że to nie ma nic wspólnego ze szpiegowaniem. Znałam tego człowieka wiele lat temu i muszę go odnaleźć.

- I nie chce pani, żeby ktokolwiek o tym wiedział.

- Właśnie.

- Proszę się nie gniewać, ale wydaje mi się to dość niegodziwie.

- Myślałabym raczej, że wykonując pracę tego rodzaju, jest pan przyzwyczajony do takich życzeń.

Danny zmrużył oczy.

- Niech pani posłucha. Dawno już wyrosłem z wieku, kiedy lubiłem oglądać się za siebie.

- Niech pan zostawi to zmartwienie mnie.

- Muszę wiedzieć, w co się pakuję, zanim na cokolwiek wyrażę zgodę. Lubię życie. Szczególnie własne. I nie palę się do tego, żeby zazdrosny mąż albo zaniedbywana żona mieli do mnie pretensje. Nawet za podwójne honorarium.

A więc same pieniądze nie wystarczą na przynętę, pomyślała Alissa. Może on ceni sobie dumę albo kryształową reputację. Ale jeśli tak, to wybrał niewłaściwy zawód. Wróciła do okna i spojrzała z góry na ulicę. Limuzyny stały rzędem przed hotelem, portierzy współzawodniczyli o łaski gości, tragarze dźwigali torby. Jeśli dla Danny'ego Gordona ważna była szczerłość, to Alissa wiedziała, jak sobie z nim poradzić. Była w tym przecież profesjonalistką, a przynajmniej umiała stwarzać pozory profesjonalizmu. Skoro Danny tego potrzebuje, to przyłoży mu szczerością prosto między te oczy amanta.

- Proszę posłuchać, panie Gordon. Nie jest to dla mnie łatwe. Nigdy nie robiłam przedtem niczego takiego. Ale muszę chronić moją reputację. Mój mąż jest szanowanym lekarzem. Kieruje pracą jednej z najbardziej prestiżowych instytucji medycznych na świecie. Nie mogę ryzykować i powierzać takiej sprawy komuś, komu nie ufam bez zastrzeżeń. Pana poleciła mi Meg. Chcę odszukać tego człowieka od bardzo dawna. Będę jednak z panem absolutnie szczerą. Jeśli nie zgodzi się pan pomóc, to nie pójdę do nikogo innego. Po prostu nie będzie mnie stać na podjęcie takiego ryzyka.

Danny wstał.

- Kłopot polega na tym - rzekł - że nawet gdybym chciał pani pomóc, to mam teraz na głowie dużą sprawę dla kancelarii Meg.

- Czekałam tak długo, mogę jeszcze trochę poczekać.

Danny wzruszył ramionami.

- Ja z tego żyję. Po tej sprawie pewnie będzie następna. Irytacja Alissy sięgnęła szczytów. Co ten facet sobie, u diabła, wyobraża?

- Więc niech pan załatwi moją po drodze. Naprawdę nie sądzę, żeby takiemu specjalście zajęło to wiele czasu.

Danny uśmiechnął się.

- Może pozwoli mi pani ocenić samemu? Kiedy ostatni raz wiedziała pani, gdzie znajduje się ta osoba? Proszę podać mi jakieś szczegóły.

Uniosła dłoń do góry.

- Nie tak szybko. Najpierw musi pan przyjąć zlecenie.

- Za podwójne honorarium?

Alissa skinęła głową.

- Plus luksusowe wydatki?

- Twarde pan stawia warunki. Ale podejrzewam, że pieniądze nie są dla pana najważniejsze.

Uśmiechnął się jeszcze raz.

- Plus luksusowe wydatki?

- No tak, tak. W porządku.

- Umowa stoi. Ale tylko dlatego, że jest pani przyjaciółką Meg.

A więc tak. Chodziło o Meg. Zapięta po szyję pani mecenas trzyma tego przystojniaka w garści, gra na jego uczuciach.

- No, to do roboty - powiedziała Alissa. - Czeka na mnie

rodzina w Atlancie, więc nie mogę spędzić reszty życia w Nowym Jorku.

Tego samego dnia wieczorem, już w Atlancie, Alissa siedziała z podkurczonymi nogami na obitej skórą sofie w bibliotece i rozmyślała, czy będzie jeszcze potrzebować balów dobroczynnych, jeśli Jay znów stanie się częścią jej życia. Byłoby miło mieć jedno i drugie. Wtedy problem pozbycia się Roberta znajdzie naturalne rozwiązanie. Ona zajmie się własnym życiem, a on odejdzie w cień. Nie będzie upokorzenia ze strony ludzi, którzy odkryją, że Robert jest pedałem, bo to ona z nim zerwie, to ona będzie chciała się połączyć ze swoją jedyną prawdziwą miłością. I kto mógłby powiedzieć o tym złe słowo?

Usłyszała trzask drzwi, potem kroki w holu. Kroki Roberta. Zrobiło jej się niedobrze.

- O - powiedział. - Jesteś w domu. - Przystanął przed drzwiami do biblioteki. Twarz miał bladą, minę potulną.

- Ostatnim razem, kiedy sprawdzałam, jeszcze tu mieszkalam.

Zawahał się na progu, jakby nie był pewny, czy będzie mile widziany u jej boku.

- Jak było w ośrodku?

Energicznie opuściła nogi na podłogę i usiadła wyprostowana.

- Robercie, musimy porozmawiać.

- Wiem.

Nie ruszył się z miejsca. Alissa westchnęła.

- Więc, na miłość boską, wejdź, to porozmawiamy. Nie zamierzam krzyżeć na ciebie przez cały pokój.

- Chcesz porozmawiać teraz?

- A jaka jest alternatywa? Za miesiąc? Za rok?

Wolno wszedł do biblioteki. Nie był wysoki ani potężny, ale miał zwartą, umięśnioną sylwetkę, a ciemne włosy i jeszcze ciemniejsze oczy nadawały mu wygląd człowieka pracującego pod gołym niebem, ostro kontrastujący z białym laboratoryjnym fartuchem. On jest całkiem przystojny, uprzytomniła sobie Alissa. Nawet nie wygląda na pedala. Robert odstawił teczkę, usiadł na krześle za biurkiem, jakby próbował trzymać się repertuaru profesjonalnych zachowań, ukryć swe uczucia pod maską lekarza.

- To trudne - powiedział.

Stwierdzenie nie wywołało żadnego odzewu.

- Chcesz rozwodu? - zapytał.

- Nie - odparła. Jeszcze nie, miała ochotę dodać. Nie chcę, dopóki się nie przekonam, że mogę skończyć z tym małżeństwem w taki sposób, jaki mi odpowiada, bez jęzówków kłapiących o biednej Alissie.

- To dobrze - powiedział. - Bo nie chcę, żeby sprawa nabrała rozgłosu.

Wpatrywała się w niego. No, spychała go do defensywy.

- Co chcesz przez to, u diabła, powiedzieć?

- Że bardzo mi przykro, jeśli to cię rani, Alisso. Ale cierpię z tego powodu od lat. Szczerzę mówiąc, niczego nie pragnąłbym bardziej, niż wyjść z ukrycia. - Ton jego głosu uległ zmianie, z obronnego zmienił się w smutny. - Bardzo chciałbym wreszcie odzyskać wolność.

Alissa usiłowała odpędzić od siebie budzące się w niej współczucie.

- Wolność ode mnie?

- Nie. Wolność bycia sobą.

Przygładziła włosy i dotknęła palcem wskazującym kąćka ust.

- Musiałbyś porzucić medycynę. Wielu ludzi nie chciałoby chodzić do lekarza, który jest zdeklarowanym homoseksualistą.

- Mam pacjentów chorych na AIDS, Alisso. Oni nadal by przychodzili.

- Myślałam, że pracujesz nad wynalezieniem leku. Czy może odpowiednio przedłużysz badania, żeby utrzymać się w interesie?

- Alisso, to jest nie na miejscu. Znasz mnie dostatecznie dobrze.

- Nagle odkryłam, że nie znam cię wcale.

W pokoju zapadło milczenie. Alissa żałowała, że brakuje jej ikry, by wstać, wyjść i mieć to za sobą. Ale odejście od Roberta oznaczałoby odejście od swojego życia i wszystkiego, co się na nie składa. A na to nie mogła się jeszcze zdobyć. Najpierw chciała odnaleźć Jaya.

- Musimy myśleć o dziewczętach - powiedział.

- Sądysz, że nie biorę tego pod uwagę? - Prawdę mówiąc, nie wzięła. Czy odkrycie, że ich ojciec jest pedałem, wyrządziłoby im nieodwracalną krzywdę? Z Michele tak by było. Zbuntowałyby się i uciekła szukać azylu w Nowym

Jorku, Los Angeles albo innym miejscu z dala od Atlanty. Ale z Natalie? Prawdopodobnie nie. Znając młodszą córkę, Alissa wyobraziła sobie, że Natalie zapewne uznałaby to za powód do podwyższenia swojego statusu wśród równolatków. Mogłaby wystąpić w programach telewizyjnych znanych prezenterów. Wyrobiłaby sobie markę i bardzo by jej się to podobało.

- Kocham je, Alisso. I kocham ciebie.

Wyjęła z kieszeni papierosa. Zapaliwszy go, z irytacją wydmuchnęła smugę dymu. Robert niespokojnie drgnął.

- Wyjaśnij mi, proszę, dlaczego tak trudno mi w to uwierzyć - zażądała.

Nie odpowiedział.

- A przy okazji wyjaśnij mi również, dlaczego wolisz pchać kutasa w jakąś brudną męską dupę niż w ciało żony, którą podobno kochasz.

Nadal milczał.

Alissa przyjrzała się czerwonemu punktowi na końcu papierosa. Nigdy nie traciła czasu na roztrząsanie miłosnych obyczajów homoseksualistów, po prostu nigdy nie miało to dla niej znaczenia. Nigdy nic takiego nie wtargnęło do jej świata. Nie to, żeby nie znała żadnych gejów. Byli wśród nich artyści, fryzjerzy. Ale lekarzy nie było. I nie było żonatych mężczyzn.

- Czego chcesz, Robercie?

- Chcę, żebyśmy byli rodziną, żebyśmy pozostali razem.

- I żebyś dalej mógł urządzać sobie skoki w bok.

- Ty też możesz.

- No, pewnie. Tylko, mój drogi, to nie to samo. Choć prawdę mówiąc, moglibyśmy oprzeć wzajemne stosunki na nowych zasadach. Porównywalibyśmy kochanków. Na przykład, który ma dłuższego fiuta.

W ciszy, która zapadła, Alissa słyszała bicie swojego serca.

- Chyba na to zasługuję - powiedział w końcu Robert.

- Zasługujesz na więcej. Zasługujesz na to, żeby ci obciąć jaja. - Alissa paliła papierosa, żałując, że nie może w okamgnieniu przenieść się o rok do przodu. O dwa lata. Wtedy wiedziałyby już, jak rozegrała tę sytuację, jak wszystko się rozwiązało. Czy będzie w jakimś ciepłym, bezpiecznym gniazdku z Jayem? Czy wciąż będzie kimś, na czyje przyjęcia wypada chodzić? Czy też będzie dalej tutaj,

zniewolona bezpłciowym małżeństwem? - Nie potrzebuję cię, przecież wiesz. Mam mnóstwo forsy z mojego funduszu powierniczego i spokojnie starczy mi na życie. Dodaj do tego gigantyczne alimenty, które musiałbyś płacić, a okazałoby się, że byłabym lepiej ustawiona niż teraz.

Robert rozparł się na krześle.

- Tylko pomyśl. Każdy miesiąc wolny od planowania przyjęć mogłabyś spędzać w jakimś kurorcie. - Zamierzony sarkazm wypadł blado, bo Robertowi załamał się głos. Zabrzmiał w nim lęk.

- Mogłabym. A nie? - stwierdziła chłodno Alissa, choć w środku wszystko jej się przewracało. To, że mogłaby nie mieć nic do roboty, nie mieć domu, którego fundamentem jest tradycyjna rodzina z dziećmi, nie mieściło jej się w głowie. Dziewczynki nie będą jej już długo potrzebować, więc co pocnie bez Roberta? Dokąd pójdzie? Co będzie robić rano po wstaniu z łóżka? Jaki byłby w tym sens? Jeszcze jeden powód, by znaleźć Jaya.

- Czy możemy na pewien czas odłożyć tę sprawę? - spytał Robert.

- Po co? Żebyś mógł się zmienić?

- Nie mogę się zmienić, Alisso. Powiedziałem ci. Od lat chcę, żebyś się tego dowiedziała. Próbowałem się zmienić. Nie potrafię. Ale to nie znaczy, że nie możemy prowadzić razem pełnego, udanego życia. Kocham cię, przecież wiesz. Tyłko może nie jest to ten rodzaj miłości, jakiego pragniesz.

- Nie bardzo już wiem, czym właściwie jest miłość.

- Co zamierzasz?

Zgasiła papierosa.

- Chyba musisz poczekać, to zobaczysz.

Pokłóciliście się z tatą? - Michele weszła do garderoby, gdzie Alissa siedziała nieruchomo, zapatrzona w ścianę pełną luster.

Alissa poprawiła kokardę przy jedwabnym szlafroku. Prędzej czy później jedna z dziewczynek musiała zapytać, pomyślała.

- A co to za pytanie?

Michele energicznie usiadła na podłużnym blacie.

- Mamo, nie mów do mnie jak do małego dziecka.

- Takie wielkie słowa w ustach blondynki.

- Mamo...

- Przepraszam, kochanie. Po prostu nie dojrzałam jeszcze do rozmowy na ten temat, to wszystko.

- Zawsze mówiłaś mi, że najlepiej porozmawiać. Wyciągnąć wszystko na wierzch.

- To sprawdza się tylko w stosunku do córek.

- No owszem, tata zachowuje się dziwnie, nie ma dwóch zdań. Przez cały ten czas, kiedy cię nie było, codziennie wracał do domu bardzo wcześnie i po prostu siadywał w bibliotece, bez żadnego zajęcia. Kiedy David odwoził mnie wieczorami do domu, tata wciąż jeszcze tam siedział.

Alissa dostrzegła okazję do zmiany tematu.

- Wciąż spotykasz się z Davidem? Czy to nie rekord?

Michele zsunęła się z blatu i wzięła w palce miękki pędzelek. Pomieszała nim w otwartym słoiczku płynnego podkładu i nałożyła go sobie na twarz.

- Poprosił mnie o rękę - powiedziała.

Alissa parsknęła śmiechem.

- Masz osiemnaście lat. Dopiero wchodzisz w życie. Cemu, u diabła, chcesz od razu wychodzić za mąż?

Zanim Michele zdążyła odpowiedzieć, zadzwonił telefon. Była to prywatna linia Alissy, zarezerwowana dla najbliższych przyjaciół i kochanków. Ale przyjaciół miała nielicznych, a żaden z kochanków nie powinien za nią w tej chwili szczególnie tęsknić. Odczekała chwilę, nim sięgnęła nad białym toaletki po słuchawkę.

- Alissa? Tu Zoe.

Alissa wstrzymała oddech. Uśmiechnęła się szeroko.

- Zoe, kochanie, jak się czujesz?

- Spóźniłam się na zajęcia z wodolecznictwa, więc mogę porozmawiać. Ale podejdź do telewizora i włącz.

- Po co? Oj, poczekaj. - Przyłożyła słuchawkę do piersi i spojrzała na Michele. - Prywatna rozmowa - powiedziała.

- Znikaj, dobra?

- Czy to ma coś wspólnego z tobą i tatą?

Alissa spojrzała na nią groźnie.

- Zjeżdżaj! - powiedziała i wskazała drzwi.

Michele parsknęła z niezadowoleniem i lekkim, kokieteryjnym krokiem opuściła pokój.

- Przepraszam, Zoe - powiedziała Alissa do słuchawki.

- Miałam tu córkę pod nosem. No, to co z tym telewizorem?

- Włącz Global News Network. Pośpiesz się. Zobaczysz Jaya.

- Jaya? - Puls jej gwałtownie skoczył.
- Pośpiesz się, Alisso.

Alissa cisnęła słuchawkę i wbiegła do sypialni. Drżącymi palcami zaczęła manipulować pilotem. W głowie miała mętlik. Nie mogła przypomnieć sobie, jaki numer ma kanał Global News.

- Cholera! - krzyknęła. - Cholera! - Zaczęła na ślepo przełączać kanały. Za dużo kanałów, tych cholernych kanałów. A on tam jest. Mignął jej przez moment, ale za późno oderwała palec. Musiała powoli cofnąć się do właściwego kanału. Wstrzymała oddech.

Zobaczyła twarz Jaya. Postarzał się. Był opalony. Stał przed grupą improwizowanych namiotów, mówiąc coś o doraźnej pomocy żywnościowej. Alissa nie zwracała uwagi na słowa. Chłoneła tylko jego głos, głęboki, mocny głos, głębszy niż zachował się w jej pamięci, wciąż jeszcze noszący ślady kursów przygotowujących do college'u, lecz pobrzmiewający także tym cholernym zatroskaniem liberała.

Wolno wypuściła z płuc powietrze i przyjrzała się mężczyźnie na ekranie. Wydawał się łagodniejszy niż kiedyś. Nie miało to nic wspólnego z jego ciałem ani z twarzą. Ale było w Jayu coś odmiennego, jakby lata starły, wygładziły jego młodzieńczy temperament i porywczosć.

Żałowała, że nie jest pewna swoich uczuć. Może gdyby kamera zrobiła zbliżenie, pokazała oczy...

- Dla Global News mówił Jay Stockwell.

Nagle pojawił się prezenter stacji i Jay znikł. Alissa gapiła się w telewizor. To był on we własnej osobie. Naprawdę on. He czasu minęło, odkąd gorączkowo przełączała kanały z nadzieją, że ujrzy go przez chwilę i usłyszy jego głos? Był tutaj. I już go nie ma. Znowu.

Usiadła na łóżku, uświadamiając sobie mimo otępienia, że nie widziała go dostatecznie długo, by przekonać się, czy Jay jeszcze ją obchodzi. Ale obraz zapadł jej w pamięć, głos odzywał się w myślach: Dla Global News mówił Jay Stockwell.

Spojrzała na ekran, na poruszające się wargi prezentera. Przed chwilą widziała Jaya. Nadawał korespondencję dla Global News.

W oddali rozległ się cichy głos z wiszącej słuchawki.

- Alisso? Alisso, jesteś tam?

Rozdział ósmy

Zoe spakowała walizki z satysfakcją, w której radość mieszała się z goryczą. To prawda, że wszystkie stroje, które przywiozła z sobą do Golden Key sześć tygodni i dziesięć kilogramów temu, były na nią za duże, lecz prawdą było również, że nie miała pieniędzy na kupno nowych.

Zapięła ostatnią walizkę i spojrzała na zegarek. Zostało jej jeszcze pół godziny do chwili, gdy kierowca miał ją odwieźć na lotnisko. A potem będzie długi lot powrotny do Los Angeles, do domu, w którym czekało na nią nie wiadomo co.

Usiadła na krawędzi łóżka i założyła ręce na piersi. Wiedziała, że jest przygotowana do próbnych zdjęć. Pod koniec każdego wyczerpującego dnia studiowała scenariusz, aż poznała go od podszewki, po prostu przeistoczyła się w Jan Wexler, energiczną samotną matkę, walczącą o ochronę sąsiedztwa swego domu przed gangami. Pracowała ciężko, ale czy jest dobra w tej roli, nie wiedziała. Nie wiedziała też, czy nie przyjdzie jej jednak sprzedać Cedar Bluff. Jednego za to była pewna: musiała znaleźć Erica.

Wyciągnęła się na plecach, ciesząc się znów widocznym zarysem kości biodrowych. Mało ją obchodziło, czy nie pogniecie przy tym bawełnianego kombinezonu, który kupiła tego rana w butik Golden Key. Rzucając hasło odna-

lezienia mężczyzn z przeszłości, Alissa, jak powiedziałyby Scott, dała jej kopa. Zoe latami pragnęła to zrobić, ale ze względu na Williama nigdy nie spróbowała.

- Jesteś najpiękniejszą i najbardziej utalentowaną dziewczyną na świecie - powiedział jej Eric po ostatnim pokazie przedstawienia przygotowanego przez ich klasę w szkole średniej. Było to *West Side Story*. Zoe grała Marię, Eric Tony'ego. Wieczory w połowie maja były w Minnesocie chłodne, ale zdołał narwać dla niej stokrotek w jakimś ogrodzie. - Chcę być z tobą zawsze - powiedział. Tego wieczoru postanowili jechać do Hollywood.

Eric miał trochę oszczędności z pracy w sklepie ojca, poza tym połączyli pieniądze, które dostali z okazji matury. W sumie wystarczyło na autobus oraz zastaw gwarancyjny i dwumiesięczny czynsz za wynajęcie obskurnego mieszkania w obskurnym budynku. Im jednak zdawało się, że mieszkają w pałacu, bo byli razem, kochali się i spełniali swe marzenia.

Co im nie wyszło?

Zoe usiadła na łóżku. Wiedziała, co musi zrobić. Kiedy sięgała po słuchawkę, mocno biło jej serce. Poprosiła wyjście do miasta, a potem informację stanu Minnesota.

- Biuro numerów. Proszę podać nazwę miasta.

Zoe milczała, obawiając się, że telefonistka pozna jej głos, że sprawa wyjdzie na jaw.

- W jakim mieście ma być ten numer?

Zoe wzięła głęboki oddech.

- W Hibbing. Należy do Rolanda Matthews'a. - Była szansa, że rodzice Erica nadal mieszkają w tym samym mieście. Była też szansa, że jeszcze żyją, przynajmniej tak sądziła.

Włączył się głos, mający coś z robota, i plunął w słuchawkę potrzebnym numerem. Zoe była tak oszołomiona, że nie zapisała. Rodzice Erica nadal mieszkali w Hibbing. I wciąż żyli. Odłożywszy słuchawkę, zapatrzyła się w aparat.

Czyżby pomieszało jej się w głowie? Co teraz zamierzała zrobić? Zatelefonować do jego rodziców i powiedzieć: „Cześć. Państwo prawdopodobnie mnie nie pamiętają, ale to ja uciekałam z państwa synem ponad dwadzieścia lat temu...” Co za absurd! Przede wszystkim, rodzice Erica dobrze by wiedzieli, z kim mają do czynienia. Z Zoe.

A wszyscy ludzie na świecie mający ponad dwadzieścia pięć lat wiedzą, kim jest Zoe. Czy to znaczyło, że musi na zawsze pozostać w ukryciu?

Odepchnęła na bok walizkę i wstała z łóżka. Przeszła do salonu, gdzie opadła na kanapkę. Na stoliku miała tam drugi aparat telefoniczny. Obok leżały notesik i pióro. Podniosła słuchawkę, znowu poprosiła wyjście i informację stanu Minnesota. Tym razem zapisała numer.

Szybko wcisnęła guzik i jeszcze raz poprosiła wyjście. Potem wybrała bezpośredni numer.

- Halo?

Nie poznała tego głosu. Należał do starego człowieka. Do kobiety. Zoe poczuła, że serce wyrwa jej się z piersi.

- Dzień dobry - powiedziała wąłym głosem, który brzmiał, jakby należał do kogoś innego. - Chcę skontaktować się z Ericem Matthewsem. Czy jeszcze tutaj mieszka?

Nastąpiła pauza, a potem stary głos spytał:

- Kto dzwoni?

Zoe zadrżała ręką.

- Kiedyś... kiedyś z nim pracowałam - wybąkała.

- Eric tutaj nie mieszka, ale mogę przekazać mu wiadomość. Kto dzwoni?

Zoe spojrzała na notesik ze złoconymi brzegami kartek i znakiem firmowym Golden Key na okładce. Odłożyła słuchawkę.

Wyrwała kartkę z numerem telefonu i wściekłym gestem zmięła ją w kulkę. Co ona najlepszego wyrabia? Nie dość ma kłopotów? Zsunęła się z kanapki, podeszła do kosza na śmieci i upuściła kulkę. Głupia jestem, pomyślała. Cholerne głupia.

Wpatrując się w zmięty papier na dnie kosza, Zoe wiedziała jednak w głębi serca, że nie zrezygnuje. Mieli być razem. Na zawsze. Prędzej czy później znajdzie Erica. Prędzej czy później spojrzy mu w oczy.

Zadzwonił telefon. Zoe podskoczyła. Znowu mocniej zabiło jej serce. Czyżby to on? Wpatrywała się w aparat. Zadzwonił znowu. Może matka Erica poznała jej głos. Może sprawdzono, skąd była rozmowa. Pokręciła głową. Nie bądź oślicą, pomyślała.

Rozległ się kolejny dzwonek. Przeszła przez pokój i odebrała telefon.

- Pani Hartmann? - spytał głos. - Kierowca czeka.

Zoe odłożyła słuchawkę i wygładziła kombinezon. Czas wracać do rzeczywistości, dziewczyno. Czas wracać do swojego życia.

Mimo tłoku w hali przylotów natychmiast zobaczyła Marisol. Przyjaciółka na jej widok otworzyła usta ze zdumienia.

- Mój Boże, ledwie cię poznałam - wykrzyknęła, porywając ją w swe matczyne ramiona. - Bajecznie wyglądasz. Znowu jesteś gwiazdą.

Zoe parsknęła śmiechem.

- Postanowiłam spakować perukę i okulary przeciwsłoneczne, więc zabierz mnie stąd jak najszybciej, nim ktoś zdąży mnie poznać.

Ruszyły ramię w ramię przez halę.

- Scott jest na mnie wściekły jak cholera, bo nie pozwoliłam mu opuścić lekcji, żeby mógł przyjechać na lotnisko - powiedziała Marisol.

- Jak tam moje maleństwo?

- Uparty jak zawsze. Ma to po matce.

- Bardziej po babce.

Marisol uściskała Zoe.

- Mniejsza o to, wystarczy jeśli powiem, że bardzo do ciebie tęsknił.

- Ja też bardzo chcę go zobaczyć. Nigdy przedtem nie zostawiłam go na tak długo.

- Złotko, w ogóle nigdy go nie zostawiasz. I to wyszło na dobre wam obojgu.

- Dzięki - powiedziała Zoe ze śmiechem, mieszając się z tłumem podróżnych śpieszących po bagaż.

Właśnie wtedy podeszła do niej kobieta w średnim wieku, ubrana w szorty koloru khaki i koszulę z wieloma kieszeniami.

- Pani jest Zoe, prawda? - spytała.

Zoe była zaskoczona.

- No, tak.

- Nie mogę uwierzyć. Colleen! - krzyknęła przez całą salę. - Chodź tu, migiem! - Zwróciła się ponownie do Zoe.

- Czy mogę prosić o autograf? - Podsunęła jej kopertę od biletu lotniczego. - Gdziekolwiek.

Zoe wzięła kopertę. Kobieta szybko wyciągnęła długopis.

- Proszę napisać „Marcie”. O Boże, nie mogę uwierzyć. Colleen!

Zoe szybko napisała „Marcie z najlepszymi życzeniami - Zoe” i dodała datę. Uśmiechnęła się.

- Dziękuję, bardzo dziękuję - popiskiwała tamta. - Jakie to wspaniałe! Jaka szkoda, że moja przyjaciółka gdzieś się rozpląnęła.

- Powodzenia, Marto - powiedziała Zoe i oszołomiona odwróciła się do Marisol.

- Zoe? - Po drugiej stronie stał nastoletni chłopak, niewiele starszy od Scotta. Miał rude włosy, mocny trądzik i szeroki, przyjacielski uśmiech na twarzy. Z szyi zwisał mu aparat fotograficzny. - To pani jest Zoe, prawda? Oj, będę miał co opowiadać chłopakom w domu! Jeezu. I tacie! - Wyciągnął do niej aparat fotograficzny. Czy mogę pani zrobić zdjęcie?

- Jasne - pozwoliła, zastanawiając się jak ten dzieciak, który był w najlepszym razie niemowlakiem, gdy kręciła swój ostatni film, może być jej fanem. - Proszę bardzo.

Wtrąciła się Marisol:

- Może zrobić zdjęcie wam obojgu?

- Ojej. Poważnie?

Marisol skinęła głową i sięgnęła po aparat. Chłopak szybko zdjął go z szyi i podał, potem stanął obok Zoe. Zwróciła uwagę, że zachowuje dystans. Przynurzyła się bliżej i otoczyła go ramieniem. Drżał.

- Ptaszek leci - powiedziała Marisol.

Chłopiec uśmiechnął się. Marisol spuściła migawkę. Chłopak znowu spojrział na Zoe.

- Jeezu. Wierzyć mi się nie chce. Dziękuję, Zoe. Bardzo dziękuję.

Odebrał aparat od Marisol i wycofał się, wciąż wpatrując się w Zoe, jakby to spotkanie było najbardziej niewiarygodnym wydarzeniem w jego życiu.

Biedny chłopak, pomyślała Zoe. Nie ma pojęcia, że zrobił dla mnie dużo więcej niż ja dla niego.

Marisol uśmiechała się. Zatopiła rękę w torebce i wyciągnęła pęk kluczy.

- Znikaj stąd, zanim otoczy nas tłum. Samochód jest na parkingu C, w zielonej części. Ja tu poczekam, odbiorę bagaż i znajdę tragarza.

Zoe wzięła kluczyki. Była podniecona i pełna oczekiwań.

Od piętnastu lat nie czuła się w ten sposób. Od piętnastu lat nie czuła się gwiazdą.

- Nieprawdopodobne, że ludzie mnie poznali.

- Złotko, jeśli talent wraca ci tak samo szybko, jak wygląd, to nie masz czym się martwić.

- No, zdaje się, że niedługo będzie okazja sprawdzić.

- Szybciej, niż myślisz - powiedziała Marisol z szerokim uśmiechem.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Nic specjalnego. Rozmawiałam dziś rano z Timem Danahym. Zdjęcia próbne masz pojutrze.

Zoe raptownie przystanęła.

- Co takiego?

- Słyszałaś. A teraz wynocha stąd i do samochodu! Na wszelki wypadek pamiętaj, że kierowcę musiałaś zwolnić.

- No tak, to jedyny sposób, żeby sprowadzić mnie z powrotem na ziemię - powiedziała Zoe, ale wychodząc na zewnątrz czuła się lekko i radośnie. Ktoś ją poznał. Dwie osoby! Pojutrze idzie na zdjęcia próbne, a za chwilę zobaczy Scotta. Wstąpiła na płytę otwierającą drzwi, przesunęła się między szklanymi taflami i wkroczyła w plamę słońca na dworze.

Przeszła przez parking, usiłując zapanować nad sobą, by podniecenie nie przekształciło się w lęk. Pojutrze pozna prawdę. Dowie się, czy jest w stanie wrócić do pracy. Przekona się, czy umie przekonująco zagrać Jan Wexler, pozując na twardą sztukę mimo tremy i poczucia osamotnienia w sercu. Bez wątpienia miała w sobie dość zawikłanych uczuć, z których mogła czerpać. Pojutrze będzie wiedziała, czy to wszystko dzieje się naprawdę. Czy znowu zostanie gwiazdą.

Od pojutrzejszego dnia dzieliła ją wieczność.

Przesunęła wzrokiem po morzu zaparkowanych samochodów, po czym ruszyła w kierunku znaku „Parking C, Zielony”. Wiedziała, że Marisol jest tak samo jak ona podekscytowana przyszłością. I prawdopodobnie tak samo pełna niepokoju. Bo bez względu na to, co Marisol mówi, ma do stracenia tyle samo co Zoe. Zainwestowała w nią swoje oszczędności i wiarę. Bez Zoe przyszłość Marisol rysowałaby się ponuro. Marisol była za stara, by wrócić do pracy na wsi, za bardzo zniszczona przez reumatyzm, by

sprzątać ludziom domy. Musiałyby znów zamieszkać w marnych blokach, z nadzieją, że utrzyma się z wyrobu ceramiki.

Tak, Marisol miała do stracenia tyle samo. I dlatego Zoe postanowiła na razie nie mówić jej o swym planie odnalezienia Erica. Nie chciała zgasić bardzo im obu potrzebnego optymizmu Marisol.

Wieczorem tego samego dnia Zoe siedziała ze Scottem w gabinecie. Podczas jej nieobecności Marisol kazała całkowicie zmienić wystrój pokoju. Odmalowano go, tym razem na jasnozielono, położono miękki kremowobrazowy dywan, szafy biblioteczne przemalowano na ciemny mahoń. Było nowe biurko z krzesłem, zamiast dawnych, używanych przez Williama, a sofa i fotele miały radosne pasia-sto-kwiatne obicia. Zoe nie wątpiła, że pieniądze na odnawianie pochodziły z kurczących się oszczędności Marisol.

Ze współczucia dla przyjaciółki Zoe była zdecydowana korzystać z tego pokoju i cieszyć się jego nowością. Postanowiła nie patrzeć na ścianę tam, gdzie niedawno były krew i mózg Williama.

Przejrzała pocztę z ostatnich sześciu tygodni. Ogłoszenia, katalogi, rachunki, mnóstwo rachunków. Scott siedział na podłodze, otoczony stertami starych zdjęć i wycinków prasowych z ery gwiazdorstwa Zoe.

- Nie zaglądałeś do tych pudeł od lat - powiedziała Zoe.

- Wiem. Ale pomyślałem, że muszę się przyzwyczaić do matki gwiazdy. Poza tym lubię cały ten towar, chociaż jest taki kijowy.

Zoe uniosła brwi.

- Kijowy? Czego cię uczą w tej szkole?

Scott roześmiał się.

- Przepraszam, chciałem powiedzieć „kinowy”.

Zoe przewróciła oczami.

- Kapujesz, mamó.

Zoe uśmiechnęła się i otworzyła następną kopertę. Proponowano jej trzydziestopięcioprocentowe zmniejszenie wydatków na zamiejscowe połączenia telefoniczne z miejscem, do którego najczęściej dzwoni. Przez chwilę zastanawiała się, czy będzie to linia Los Angeles-Hibbings.

- Ej, mamó. Tu dostałaś Oscara. - Scott trzymał w dłoni pożółkły gazetowy artykuł. Była tam fotografia roześmianej

Zoe, stojącej obok Williama. Wysoko nad głową unosiła złotą statuetkę.

- Napisali: „Zoe otrzymała nagrodę dla najlepszej aktorki za rolę w filmie *Muldoon*. Witano ją owacją na stojąco”.

Zoe wiedziała jednak i to, czego podpis nie obejmował. Zdjęcie zrobiono w czasie, gdy była w drugim miesiącu ciąży, samotna, przerażona ponad wszelką miarę i całkowicie nieświadoma tego, że jej kłopoty jeszcze nawet się zaczęły.

Skinęła głową i wróciła do wertowania poczty. Następna koperta była z firmy ubezpieczeniowej. Serce jej drgnęło. W tej firmie ubezpieczała ich William. Czyżby czek? Tak szybko? Czyżby przysyłali czek na pół miliona dolarów zwykłą pocztą? Rozdarła kopertę i wyciągnęła papiery ze środka.

Kartek było kilka. Prawdopodobnie potrzebują więcej informacji, pomyślała. To jasne, nikt nie wyśle czeku na taką sumę bez dodatkowych informacji. Otworzyła list przewodni.

„Droga Pani Hartmann - zaczynał się drukowany formularz. - W odpowiedzi na Pani roszczenia w związku z polisą numer BAS73239908-4927 prosimy zwrócić uwagę, że nie jesteśmy w stanie dokonać wypłaty w związku z poniższym”. Następową listą przyczyn, przed każdą znajdowało się okienko. Szybko przewędrowała wzrokiem do miejsca zaznaczonego czerwonym markerem. „Roszczenie odrzucone”. Zamrugała powiekami. Na pewno jakaś omyłka. Obok znajdował się odsyłacz - „Zobacz: Część...” Ktoś wpisał czerwonym markerem 14-D. W nawiasie dodano: „Szczegóły na odwrocie”. Drżącą ręką Zoe odwróciła kartkę.

- Ej, mamó - powiedział Scott. Zoe wstrzymała oddech.
- Co to za gość stoi między tobą i tatą?

- Nie teraz, Scott - powiedziała. - Przeglądam pocztę.

Scott mruknął coś, co zabrzmiało jak „Dobra, przepraszam”, a tymczasem Zoe przebiegała wzrokiem literki na odwrocie. Zobaczyła część 14 i punkty A, B, C, D. Zmrużyła oczy, mając nadzieję, że źle czyta. Ale czcionki, choć drobne, układały się w całkiem jasną informację: „Przyczyna śmierci - samobójstwo; wyłączone z polisy”.

Zoe gapiła się na kartkę. To nieprawda. To nie może być prawdą. Rozłożyła pozostałe papiery, załączone do listu.

Musiło być jeszcze jakieś inne wyjaśnienie. Ale znalazła tylko formularz na przedłużenie polisy. Bez wątpienia wyłączającej samobójstwo.

Jeszcze raz przeczytała list. Nie było mowy o omyłce. Roszczenie odrzucono. W pokoju zrobiło się duszno. Zoe nie mogła złapać tchu. Nie dostanie pół miliona dolarów. A to znaczy, że nie będzie mogła zapłacić ostatniej raty należności, która obciąża Cedar Bluff.

Spała niecałą godzinę. Z samego rana usiadła na łóżku w swej przepięknej białej sypialni, której dwie ściany składały się z okien powiększających pokój o widok wspaniałych sekwoi i zapierających dech w piersiach klifów. Korzystając z odosobnienia, zatelefonowała do Tima Dana-hy'ego. Musiała się przekonać, czy jest jakaś nadzieja, że uda jej się związać koniec z końcem.

- Twoja przyjaciółka zapowiedziała mi, że wracasz - odezwał się Tim. - No, to powiedz, czy jesteś piękna?

Przebiegł ją dreszcz wstydu. Zoe wytłumaczyła sobie jednak, że pytania Tima wcale nie musiał wywołać jej nieatrakcyjny wygląd sześć tygodni temu. Piękno było po prostu obowiązkowym hollywoodzkim opakowaniem. A bez efektownego opakowania zawartość miała niewielkie znaczenie. Mimo to przesunęło jej się w myślach smakowite wyobrażenie ciasteczek Twinkie.

- Ważę mniej, jeśli to masz na myśli.

Tim się roześmiał.

- Grzeczna dziewczynka. Rozumiem, że jesteś całkiem gotowa na jutro.

Na jutro. No, tak. W zatroskaniu o finanse Zoe prawie zapomniała, że najpierw musi zdobyć rolę, żeby martwić się, czy wystarczy jej z tego pieniędzy na zatrzymanie Cedar Bluff.

- Tak. Ale mam pytania. Którą scenę będę robić?

Tim jej powiedział. Zoe była zadowolona. Ta scena szczególnie jej odpowiadała.

- I jeszcze jedno. - Zamknęła oczy, żeby zmniejszyć zakłopotanie. - Czy wiesz, ile mogę dostać?

- Masz na myśli honorarium?

Otworzyła oczy. Boże, dlaczego o tym tak trudno rozmawiać?

- Tak.

- Będę się starał, żeby było dwieście tysięcy. Dwieście pięćdziesiąt to góra.

Dwieście tysięcy dolarów. Na ostatnim filmie, piętnaście lat temu, zarobiła pięć razy więcej.

- To wszystko? - spytała potulnie.

Tim roześmiał się.

- To jest telewizja, Zoe. No, i twój powrót na ekrany. Rozumiesz chyba, że musi minąć trochę czasu, nim znowu wejdiesz do pierwszej ligi finansowej.

Zoe przełknęła cisnące się łzy. Uświadomiła sobie nagle, że płacz nie zaczyna się od oczu, lecz od serca.

Tim powiedział jej, gdzie i o której ma się zgłosić następnego dnia.

- Będę tam - powiedział i jakby w ostatniej chwili pomyślawszy, że potrzeba jej słów otuchy, dodał: - Na pewno świetnie ci pójdzie.

Po odłożeniu słuchawki Zoe zapatrzyła się w spokojny, majestatyczny krajobraz za oknem. Cedar Bluff było jej domem. Było jej miejscem. Ten hipnotyzujący widok miała przed oczami godzinami, dniami, miesiącami, latami, gdy dochodziła do zdrowia, ukrywając się przed światem. Dokładnie obejrzała każde drzewo, każdą gałąź. Nauczyła się każdej skały, każdej wyszczerbionej krawędzi. A teraz wszystko to mogło nagle zniknąć.

Jeśli Tim zdoła wycisnąć tylko dwieście, zobaczy z tego sto siedemdziesiąt. Po odliczeniu prowizji agenta, ale przed naliczeniem podatków. Nawet w zaokrągleniu nie zbliżało się to do sumy potrzebnej na spłatę raty. Na uratowanie Cedar Bluff i jej życia.

Położyła się na łóżku i zapatrzyła w sufit. Chciała przekonać bank do zmiany warunków spłaty. Dałaby na początek sto tysięcy dolarów zamiast pięciuset. Może zgodzą się na to, jest jakaś szansa, choć niewielka. Wtedy wystarczyłoby, że dostanie rolę. I że zdoła pociągnąć nieco dłużej.

Do kiedy? - pomyślała, przewracając się na bok i naciągając na siebie grubą, zniszczoną kołdrę. Aż przejdzie następne zdjęcia próbne? Wybłaga następną rolę?

Przyciągnęła poduszkę i wtuliła w nią głowę. Czy to się uda? I czy naprawdę warto było się starać? „Nie opowiadaj głupot”. Znowu usłyszała głos Marisol.

Usiadła wyprostowana. Jedno było pewne. Jeśli chce, żeby cokolwiek się udało, musi spróbować. Poszła do

garderoby i wyciągnęła czarną jedwabną suknię, która mimo piętnastoletniej historii była na szczęście modna. Nałożyła suknię przez głowę. Pasowała. Zoe zsunęła ją z ciała, poszła wziąć prysznic, potem szybko zrobiła sobie makijaż i fryzurę, żeby wyglądać jak prawdziwa gwiazda. W niecałą godzinę po rozmowie z Timem Danahym wjeżdżała na parking banku First Pacific Savings and Loan.

Wewnątrz banku było tak cicho, jak w bibliotece. Zoe stanęła przy ladzie i rozejrzała się. Dostrzegła stanowisko obsługi klientów.

Idąc w tamtą stronę, czuła na sobie dyskretnie spojrzenia klientów i kasjerów. To nie byli turyści, oni należeli do tego świata. Dla nich gwiazda ekranu wchodząca do banku nie była niczym szczególnym. Po prostu jeszcze jedną gwiazdą, nie ma o czym mówić. Czemu więc tak się gapią?

„Myślałam, że pani nie żyje”, powiedziała Alissa. Może dlatego wszyscy tak się teraz gapią. Wydaje im się, że widzą ducha, pomyślała Zoe.

Młody człowiek siedzący za stolikiem podniósł głowę i z prawie niezauważalną reakcją na niespodziankę zapytał:

- Czym mogę służyć?

Zoe usiadła na krześle naprzeciwko.

- Chciałabym z kimś porozmawiać o moim zastawie hipotecznym.

- Chętnie pomogę.

W niczym mi nie pomoże, pomyślała. Wygląda tak młodo, jakby jeszcze nie nadawał się na kasjera w supermarkecie, a co dopiero mówić o kompetencjach do zajmowania się finansami Cedar Bluff.

- To skomplikowana sprawa - powiedziała, uśmiechając się serdecznie. Nie chciała urazić młodego człowieka. - Chyba powinnam porozmawiać z kierownikiem.

Postukał palcem w tabliczkę stojącą na stoliku.

- John Burns, zastępca wiceprezesa działu pożyczek - powiedział z dumą.

Uśmiech znikł z twarzy Zoe. Była w kłopotcie.

- Muszę porozmawiać o zmianie zasad spłaty.

Poprosił ją o nazwisko, zupełnie jakby go nie znał, i o adres zamieszkania. Potem powiedział, że za chwilę wróci.

Chwila trwała kwadrans. Po pierwszych pięciu minutach

Zoe miała ochotę wstać i krzyżeć. Nigdy nie sądziła, że ma w sobie załączki autorytarnej osobowości „pan-nie-wie-kim-ja-jestem”. Takie zachowania były zarezerwowane dla wszystkich Aliss Page. W tej chwili Zoe bardzo żałowała, że nie ma tej umiejętności, nie ma dość ikry, pewności siebie czy czego tam trzeba. Szybko przypomniała sobie jednak, że przyszła prosić o przysługę, i to dużą. Musiała się pogodzić z tym, że bank trzyma ją w garści, ponieważ tymczasem to ona jest petentką. Zebraczką.

W końcu urzędnik wrócił z teczką, usiadł za stolikiem i wprowadził jakieś dane do komputera. Potem odchylił się i ze zmarszczonym czołem spojrział na ekran.

- Ma pani termin spłaty za dwa tygodnie - oznajmił, jakby była to dla niej nowina.

- Wiem. Dlatego tutaj jestem - powiedziała.

Wykonał półobrót na krześle, tak że zwrócił się do niej przodem.

- Czy będzie pani w stanie uregulować spłatę?

Zoe odchrząknęła.

- Ostatnio zmarł mój mąż. Jest kłopot z polisą na życie.

- Rozumiem - powiedział, znowu marszcząc gładkie, młodzieńcze czoło. - Oczywiście rozumiemy, że zdarzają się trudne sytuacje, i próbujemy iść na rękę naszym klientom. Kiedy, pani zdaniem, uregulowanie spłaty będzie możliwe?

Prawdopodobnie nigdy, miała ochotę powiedzieć.

- Pomyślałam, że moglibyśmy przenegocjować tę płatność. Gdybym mogła dostarczyć w terminie, powiedzmy, sto tysięcy dolarów, pozostałoby do spłacenia tylko czterysta.

- Musielibyśmy całkowicie zmienić zasady spłacania - powiedział.

- Co to oznacza?

- Sytuacja byłaby taka, jakby występowała pani o nową pożyczkę pod zastaw hipoteczny. Musielibyśmy przebrnąć przez tę samą papierkową robotę co poprzednio.

- A co z zabezpieczeniem hipotecznym?

Otworzył teczkę.

- Nieruchomość wyceniono na dwa miliony sześćset tysięcy. To było jednak parę lat temu. Obecnie prawdopodobnie jest warta mniej.

- Pięćset tysięcy, które mam wpłacić za dwa tygodnie, to ostatnia rata, prawda?

- Tak.

- Skoro hipotekę wyceniono na ponad dwa miliony, to chyba nie powinnam mieć kłopotów z uzyskaniem zmiany zasad spłaty. - Sama była pod wrażeniem pewności siebie, jaka brzmiała w jej głosie.

- Zawsze tak jest, że to zależy - powiedział.

- Od czego?

- Od pani obecnych dochodów.

Jej pewność siebie prysnęła jak bańka mydlana. Rozpadła się na nic nie znaczące kawałki, obróciła w nicość.

- Nie mam dochodów - powiedziała cicho. I dodała: - W obecnej chwili.

- Żadnych?

Zoe wpatrywała się w teczkę otwartą przed urzędnikiem.

- Nie rozumiem - powiedziała. - Mam ponad dwa miliony dolarów w nieruchomości. Jeśli zapłacę wam sto tysięcy, sporządzimy nową umowę na pozostałe czterysta tysięcy, a gdybym potem nie była w stanie spłacić reszty, to bank przejmie nieruchomość wartą sześciokrotnie więcej od mojego długu.

John Burns uśmiechnął się.

- Pani Hartmann, bank nie chce przejąć pani nieruchomości. Chce, żeby pani ją dalej posiadała. I żeby pani była w stanie ją spłacić. - Skrzyżował ręce na dokumentach. - Z pewnością musi być coś, co może pani przedstawić jako zabezpieczenie. Akcje? Obligacje?

Zoe czuła się coraz bardziej upokorzona. Pokręciła głową.

- Skąd więc pani zamierza wziąć sto tysięcy?

- Jestem aktorką, panie Burns. Mam dostać rolę. Sto tysięcy będzie pochodzić z mojego honorarium.

John Burns uśmiechnął się, jakby już słyszał tę historię.

- Czy ma pani podpisany kontrakt?

- Nie.

Po ojcowsku przechylił się przez stół. Zoe miała ochotę trzasnąć go w tę brzoskwiową buźkę.

- Zostały pani jeszcze dwa tygodnie do terminu. Najlepiej poczekać i przekonać się, co będzie z kontraktem. Przecież potem może pani przyjść do mnie jeszcze raz.

Między oczami poczuła bolesne dżgnięcie.

- Co za różnica? Nawet jeśli będę w stanie spłacić sto tysięcy, to przed chwilą powiedział mi pan mniej więcej

tylę, że nie mam szans na nową umowę, bo nie mam dochodów.

- Jeśli pani będzie w stanie zapewnić sto tysięcy, to moglibyśmy spojrzeć na sprawę inaczej. Ale chyba się nie mylę, że w tej chwili nie może pani nam dać takiego zapewnienia.

Zoe nie mogła zaprzeczyć.

Urzędnik wyciągnął z biurka jakieś papiery i podał jej do ręki.

- Tymczasem może pani to przejrzeć, na wypadek gdybyśmy mieli dojść do jakiegoś porozumienia. To są dokumenty potrzebne do wystąpienia o zmianę zasad spłaty.

Zoe wzięła papiery i wstała.

- Żałuję, że to nie może być łatwiejsze, Zoe - powiedział, wyraźnie czując, że skoro jego jest na wierzchu, to ma prawo zwrócić się do niej po imieniu. - Ale zasady są zasadami. A bankowość ma ostatnio bardzo sztywne reguły zarządzania. Jestem pewien, że pani rozumie.

Zoe skinęła głową i zaczęła zbierać się do wyjścia.

- Z przyjemnością będziemy dalej prowadzić pani sprawy - zawołał za nią John Burns, zastępca wiceprezesa działu pożyczek.

W drodze do domu Zoe zatrzymała się przy supermarkecie, kupiła trzy paczki ciasteczek Twinkies i dwie Ring Dings. Wsiadłszy do samochodu, rozerwała celofan i pochłonęła cały cukier i tłuszcz, i wszystkie puste kalorie. Rozkoszując się smakiem w ustach, postanowiła nie mówić o wizycie w banku Scottowi ani Marisol. Do ostatniej chwili nie powie im, że tracą Cedar Bluff. Miała dwa tygodnie. Mogła modlić się o rolę w *Silnych więzach*. Mogła modlić się o cud. Zlizwała z palców resztki słodczy i odjechała w stronę kanionu.

Następnego rana Zoe stała w kulisach w studio. Zrobiono jej fryzurę, makijaż, ubrano w spodnie od dresu i reklamową koszulkę nowojorskiego uniwersytetu. Idealny strój dla mamusi działaczki lat dziewięćdziesiątych.

Miała tremę. Marisol chciała z nią przyjść. „Posłuchaj, złotko, możesz potrzebować wsparcia moralnego”, powiedziała poprzedniego wieczoru, ale Zoe chciała wówczas być podczas zdjęć sama. Chciała przekonać się, jak daleko zaszła, udowodnić sobie, że jest silna. Teraz jednak żałowała, że nie ma z nią Marisol.

- Zoe, kochanie. - Z boku podszedł do niej Tim Danahy.
- Wyglądasz absolutnie pierwsza klasa. Wiedziałem, że jesteś do przodu.

- Wygląd to wygląd, Tim. A liczy się to, co potrafię pokazać tutaj. - Wskazała miejsce na podwyższeniu. Palec, o dziwo, jej nie drżał.

- I tam - dodał Tim, wykonując gest w stronę wielkich kamer, stojących wokół sceny i spoglądających na pusty plan, przykryty olbrzymią płachtą szarego papieru.

- Nie ma tła? - spytała Zoe. - Ani rekwizytów?

Tim wzruszył ramionami.

- Na to wygląda.

Zoe nie potrzebowała pytać, dlaczego. Producenta nie obchodziła jej gra w gotowej scenografii. Wiedział, że Zoe to umie. Nie wiedział tylko, jak wypadnie w oku kamery. Próbne zdjęcia miały bez wątpienia skupić się wokół jednego: jej twarzy. W milczeniu dziękowała Alissie Page za wymuszone nacierania solą i okłady błotne, za splukiwanie litrami wody mineralnej, póki nadmiar cieczy nie wyciągnął z niej otyłości, a jej kości policzkowe zaczęły z powrotem rysować się wyraziście pod ciemnoniebieskimi oczami. Miała nadzieję, że obżarstwo w drodze z banku nie zniweczyło ciężkiej pracy Alissy.

- Danahy?

Zoe i Tim odwrócili się. Podszedł do nich wysoki, szczupły mężczyzna z siwym wąsikiem i brązowymi piegami na czubku łysiejacej głowy.

- Witaj, Cal. Miło znów cię widzieć. - Tim wyciągnął rękę ku dłoni Cala, szerokiej, z długimi palcami.

- Czyli to pani musi być Zoe - powiedział mężczyzna, podając jej dłoń uwolnioną z uścisku Tima. - Cal Baker.

- Reżyser - usłyszała swój głos Zoe.

Uśmiechnął się. Zęby miał duże i wąskie, podobnie jak palce. Zielone oczy wyglądały łagodnie. Ale Zoe wiedziała, że najwięksi reżyserzy rzadko przychodzą na próbne zdjęcia, jeśli w ogóle się to zdarza. Zjawienie się Cala Bakera mogło oznaczać tylko jedno: zamierzali ją potraktować ostro, nie dopuszczać najmniejszego ryzyka. Zoe zastanawiała się, czy widać jej treść.

- Zaczynamy? - spytał Cal.

Próbowała nadążyć za jego długim krokiem, kiedy Tim położył jej rękę na ramieniu.

- Słuchaj, kruszynko. Ja znikam. Nie jestem dobry w takiej konkurencji. Za bardzo się denerwuję.

Zoe przystanąła.

- Zostawiasz mnie?

- Wrócę. Obiecuję ci to.

Spoglądała jego śladem. Czuła się jak dziecko opuszczone przez rodziców w pierwszym dniu szkoły.

Nagle nie wiadomo skąd pojawili się ludzie. Światła zalały studio. Głosy wykrzykiwały różne pytania, szczerliwie wydawały polecenia. Zoe zaczerpnęła powietrza głęboko do płuc, zatrzymała oddech, a potem powoli wypuściła powietrze. W ośrodku nazywano to oddychaniem relaksacyjnym. Zastanawiała się, ile razy będzie musiała powtórzyć ćwiczenie do skutku.

- W porządku, Zoe - dobiegł ją głos Cala Bakera. - Wejź na plan, spróbujemy oświetlenie.

Zoe wystąpiła naprzód, usiłując nie myśleć o tych wszystkich latach, gdy nie miała kontaktu z kamerami. Dojrzała znak dla siebie i cierpliwie stanęła, a tymczasem omiatały ją światła i cienie. Przypomniała sobie, że jej pierwsze zdjęcia próbne wyglądały podobnie.

Tyle że obok był Eric. Wyszli wcześniej z domu na śniadanie, ale zamówili tylko kawę i sok, chcąc zaoszczędzić pieniądze i urządzić świętowanie po zdjęciach. Poprzedniego dnia Eric dostał czek na trzysta osiemdziesiąt siedem dolarów i dwadzieścia trzy centy za reklamę ostrzy do golenia, więc miał zamiar wziąć ją do Brown Derby na lunch, jeśli ich wpuszczą.

Studio wyglądało dość podobnie. Plan był bez żadnej scenografii. Panowało absurdalne zamieszanie. Wtedy też się denerwowała, ale nie miała prawdziwej tremy, bo nie miała nic do stracenia. A kiedy spojrzała w kulisy, stał tam Eric, uśmiechał się i mocno ścisnął w dłoni króliczą łapkę, którą przywiózł z domu z Minnesoty. Modlił się w duchu, żeby dostała tę rolę nawet chyba bardziej niż ona. Tak to z nimi było. Zoe pragnęła dobra tylko dla niego, a on dla niej. Odczuwali wzajemnie swoje radości i smutki, jakby byli jednym ciałem, jedną duszą.

Teraz, gdy Zoe spojrzała w kulisy, nie było tam nikogo.

- Próba mikrofonu - rozległ się głos gdzieś spod pułapu. Odchrząknęła.

- Sprawdzenie - powiedziała. - Sprawdzenie poziomu

dźwięku. - Miała nadzieję, że nie zabrzmiało to głupio; nie wiedziała, co jeszcze mogłaby powiedzieć. Nie umiała sobie przypomnieć, jak to się zwykle robi.

Nikt nie powiedział ani słowa więcej. Zoe stała i czekała. I czekała.

Próbowała przypomnieć sobie tekst sceny. Zaczynała się od tego, że Jan Wexler stoi sama w zabałaganionej kuchni, spogląda przez okno na aleję biegnącą w dole i zastanawia się, dlaczego tylko nieliczna garstka sąsiadów przyszła na jej mityng. Miała powiedzieć zaledwie kilka linijek, ale musiało to zabrzmieć przekonująco.

Zoe zamknęła oczy i postanowiła jeszcze raz przebiec w myślach scenariusz. Nazywała się Jan Wexler. Stała przy oknie. Spoglądała na domy w sąsiedztwie. Rozmarzona, zadumana, smutna. I wystraszona.

Raptownie otworzyła oczy. Nie mogła sobie przypomnieć pierwszych słów.

Spojrzała na kamerę. Czerwone światełko jeszcze się nie paliło. Omiotła spojrzeniem studio. Nikt na nią nie zwracał uwagi.

Pomocy! - miała ochotę krzyknąć. - Niech ktoś mi pomoże! Jak się zaczyna mój tekst?

Spojrzała w kulisy. Nadal nikogo tam nie było. Ogarnęła ją panika. Pomyślała o Scotcie. O Cedar Bluff. O tym protekcyjnym młodzieńcu, Johnie Burnsie z First Pacific Savings and Loan.

- W porządku, Zoe. Jedziemy. - Głos należał do Cala Bakera. - Zaczynaj, gdy tylko będziesz gotowa.

Wzięła głęboki oddech, zatrzymała go i powoli wypuściła powietrze. Jaki jest początek tekstu? Początek tego cholernego tekstu?

Pomyślała o uśmiechu Erica. Pomyślała o tym, jak ścisnął króliczą łapkę. I wtedy stała się na powrót młodą Zoe, kobietą pełną zapału, pewną siebie, nie mającą nic do stracenia.

Spojrzała na kamerę.

- Gotowa - powiedziała i zaczęła swój tekst. - Nie chcą się mieszać. To ich cholerna okolica, ich cholerne rodziny, a oni nie chcą się mieszać. - Poderwała dłonie zaciśnięte w pięści i potrząsnęła nimi. Policzki płonęły jej coraz mocniej. - Dobrze, zamykajcie oczy! To się skończy samo! Oho, już! Prędkiej zatłuką któreś z waszych dzieci. Albo i dwoje.

- Słowa strzelały jej z ust. Unosiła się wtedy, gdy należało się unieść. Traciła pewność siebie wtedy, gdy należało ją stracić. Wreszcie wybuchnęła tak prawdziwym szlochom, że aż poruszyła siebie samą. Zoe przemieniła się duchowo w Jan Wexler, tak jak należało. Przestała się martwić, jak wygląda przed kamerą, weszła w rolę. Była teraz Jan Wexler.

- Brawo! - dobiegł ją aplauz z kulis, gdy skończyła scenę. To był Tim Danahy. Natychmiast wkroczył na plan.

Zoe zamrugała, przenosząc się z powrotem do rzeczywistego świata. Tak samo robiła zawsze, gdy miała absorbującą scenę, gdy stawała się kimś innym, kto istniał nie tylko w wyobraźni pisarza, lecz i w jej myślach.

- Byłaś wspaniała - powiedział Tim, mocno ją ściskając. - Po prostu wspaniała.

- Dziękuję, Zoe - zawołał Cal Baker. - Będziemy w kontakcie z Timem.

Tim otoczył ją ramieniem i sprowadził z planu.

- Fantastycznie, Zoe. Fantastycznie.

- Myślałam, że sobie idziesz - powiedziała. - Zdawało mi się, że nie jesteś dobry w tej konkurencji.

Tim parsknął śmiechem.

- Powiedziałem tak tylko po to, żebyś nie wiedziała, że patrzę. Nie chciałem cię denerwować. I nie denerwowałeś się, prawda?

Zoe powstrzymała szeroki uśmiech.

- Nie, to było łatwe.

- To dlatego, że jesteś gwiazdą. A teraz jesteś moją gwiazdą.

Przemykali się przez labirynt kabli i elementów scenografii, zgromadzonych za kulisami.

- Naprawdę byłam dobra? - spytała Zoe, ale wiedziała, że tak. Lepiej niż dobra. Była znakomita.

- Myślę, że to strzał w dziesiątkę. O ile kamera potwierdzi.

Zoe usiłowała nie dopuścić do siebie podniecenia, które nachodziło ją falami. Może jednak tak ma być. Może naprawdę jest jej dane znowu zostać gwiazdą. Może uda jej się zatrzymać Cedar Bluff. Może uda jej się wszystko, czego chce. Znowu.

- Kiedy się dowiemy? - spytała z nadzieją, że Tim odpowie: „Dziś po południu”. Nie wydawało jej się, by mogła

spokojnie doczekać następnego dnia. Miała wrażenie, że nie zaśnie.

- Niedługo - powiedział, prowadząc ją do garderoby.

- Ile?

- Dziesięć dni. Może dwa tygodnie.

Zoe przystanąła. Dziesięć dni? Dwa tygodnie? Czy nikt nie wie, że zostały jej właśnie tylko dwa tygodnie?

- Czemu tak długo? - zdołała spytać.

Tim wzruszył ramionami.

- Któż to wie? Może sprawdzają inne aktorki? Ale nie masz się co martwić, byłaś świetna. Wierz mi.

Zoe poczuła, że robi jej się niedobrze.

- Idź teraz do tej garderoby, zdejmij z twarzy szminkę i przebierz się. Potem zapraszam cię na lunch do miejscowej knajpki.

Knajpka przy studio? No, nie była to restauracja Derby Brown, ale też Tim Danahy nie był Ericem. A Zoe być może nie była jeszcze Zoe.

Rozdział dziewiąty

Był to najbardziej kłopotliwy przypadek, nad jakim Meg pracowała w swej dwunastoletniej karierze. Arnold Banks, wcale nie nudny, neurotyczny człowieczek, jakby można się spodziewać, miał metr osiemdziesiąt pięć wzrostu, przystojny wygląd, charyzmatyczną osobowość i duży zapas arogancji. Do Meg zwracał się „moja dziewczyno”, a mówiąc dotykał jej ramienia, przedramienia lub dłoni. Meg zastanawiała się, czy kiedykolwiek słyszał termin „molestowanie seksualne”.

Siedziała w kancelarii, w swoim gabinecie, roztrząsając dowody. Mężczyzna niewątpliwie popełnił zarzucany mu czyn. Według zeznań kobiety do towarzystwa, służącej u jego matki, oraz osobistego sekretarza, pracującego u Banksów od trzydziestu lat, „przez ostatnie dwa lata życia starszej pani nie miał prawa jej odwiedzać nikt oprócz Arnolda”. Kobietę do towarzystwa zwolniono, udało jej się jednak dwukrotnie wślizgnąć do pani Banks. „W jej pokoju śmierdziało odchodami, a pani Banks miała na twarzy sińce”, brzmiało zeznanie.

Co do jednego personel Banksów Był zgodny. W ostatnich latach życia pani Banks stawała się coraz bardziej opryskliwa i miała coraz więcej wymagań. Meg zaczęła się zastanawiać, czy jej własna matka przeżyłaby pięćdziesiąte urodzi-

ny, gdyby tak samo jej się pogarszało. Czy Gladys Cooper mogłaby doprowadzić do tego, że Meg by ją udusiła? Tej techniki nauczył Meg Avery. Postaw się na miejscu klienta. W ten sposób łatwiej się pogodzić z prowadzeniem obrony winnego człowieka.

Do gabinetu Meg weszła Janine:

- Mało poczty dzisiaj - powiedziała, kładąc na biurku niewysoką kupkę. - Szybko się to zmieni po rozpoczęciu procesu.

Wyglądało na to, że świat wreszcie zapomniał o Holly Davidson. Ale Janine miała rację. Fiasko w procesie Arnolda Banksa znowu ściągnie firmę w światło reflektorów. I Meg przy okazji.

- Dziękuję, Janine - powiedziała Meg za wychodzącą sekretarką.

Wzięła do ręki przesyłki, szukając pretekstu, by oderwać myśli od sprawy. Wśród lichych, zwyczajnych kopert była jedna mała, elegancka, adresowana osobiście do niej, opatrzona informacją; prywatne, poufne. Ostemplowano ją w Los Angeles. Meg zmarszczyła czoło, lecz po chwili się uśmiechnęła. Zoe. Rozerwała kopertę i zaczęła czytać list:

Kochana Meg,

Aż trudno uwierzyć, że minął już z górą miesiąc, odkąd byliśmy razem w Golden Key...

Dalej w liście Zoe opisywała swoje sukcesy w gubieniu kilogramów, naprzemiennie fale łakomstwa i odrazy do cukru i tłuszczów oraz zdjęcia próbne. Tak! - chciała wykrzyknąć Meg. Wiedziała, że sobie poradzisz. Ale gdy odwróciła kartkę, jej podniecenie przygasło.

Muszę poczekać przynajmniej dziesięć dni, może nawet dwa tygodnie, nim dowiem się, czy dostałam rolę - pisała dalej Zoe. - Postanowiłam nie siedzieć na miejscu, żeby nie oszaleć, lecz wziąć się do poszukiwań Erica. Chyba pojedę do Minnesoty, zdaje się, że najlepiej zacząć właśnie tam.

Czy ty zrobiłaś jakieś postępy?...

Meg odłożyła list i poprawiła się na krześle. Zoe miała rację. Minął z górą miesiąc. Na co czekać? - pomyślała. Przecież obecna sprawa nie pochłania jej każdej wolnej

chwili. Może nadszedł odpowiedni czas. Skoro Zoe znalazła odwagę, to czemu i ona nie miałyby znaleźć? Bardzo chciała zobaczyć Stevena, przekonać się, czy wciąż darzy go uczuciem.

Otworzyła szufladę biurka. Karta kondolencyjna leżała na miejscu w całej okazałości. Z jego nazwiskiem i podpisem.

Czyżby się bała? A jeśli tak, to czy bała się, że wciąż go kocha, czy też że go nie kocha? Czy byłoby gorzej, gdyby przekonała się, że uczucia, w których istnienie wierzyła, w rzeczywistości dawno odeszły, że nic już nie wyjaśnia, dlaczego nie kocha nikogo innego.

Rozległo się pukanie do drzwi. Szybko zamknęła szufladę.

- Proszę.

Wszedł Danny.

- Chcesz indyka? - spytał.

- Słucham?

- Zapraszam cię na lunch. Masz czas? - Wyciągnął papierową torbę, z której unosił się ostry zapach delikatesów Santo's. - Wziąłem dla siebie pastrami. Mnóstwo azotanów i azotynów. Sandwicz z indykiem miał być dla twojego szefa, ale on się na mnie wypiął.

- Spędzacie ostatnio dużo czasu razem - powiedziała Meg.

- Duża sprawa. - Przewrócił oczami, wchodząc głębiej do gabinetu. - Oszustwo w obrocie akcjami. No, więc jesz ze mną ten lunch czy nie?

- Jasne. Siadaj. - Dotknęła szuflady, żeby się upewnić, że jest dobrze zamknięta. - Jak ci idzie sprawa?

- Idzie. Ale szkoda, że nie pracuję z tobą nad Banksem.

- Zagłębił dłoń w torbie i wyciągnął dwa zawiniątka w woskowanym papierze. Sprawdził zawartość, pchnął indyka po blacie biurka w stronę Meg, po czym usiadł na krześle naprzeciwko.

- Chcesz herbaty? - spytała Meg.

- Wolałbym piwo.

- Niestety - powiedziała, podchodząc do kuchenki mikrofalowej. - Właśnie się skończyło. - Żałowała, że nie może porozmawiać z Dannym o Stevenie. Spytałaby go o radę, o punkt widzenia mężczyzny. Był przecież jej przyjacielem, więc powinna móc mu się zwierzyć.

Wstawiła do kuchenki dwa kubki wody. Może nie była w stanie mu powiedzieć, bo obawiała się, że ją zniechęci?

- A co z Banksem? - spytał.

Meg wybuchnęła śmiechem.

- O, Boże. Czuję się, jakbym wszędzie go miała pełno. Nie potrafi otworzyć ust, żeby jednocześnie nie dotknąć mojego ramienia. - Dlaczego tak łatwo było jej opowiadać Danny'emu o ludziach, którzy nic dla niej nie znaczyli?

- Może przydałaby ci się packa na muchy?

- Albo skropię się gazem łzawiącym, zamiast perfumami. - Wsłuchiwała się w szum kuchenki mikrofalowej. Może po prostu powiedzieć Danny'emu, że postanowiła zrobić to samo, co Alissa, odszukać mężczyznę, którego dawno temu kochała. Danny'ego powinno ucieszyć, że kiedyś była w stanie kogoś kochać. Chyba nie musiałyby mu mówić, kogo. Nie wdawałaby się w szczegóły.

Zanurzyła torebki z herbatą w gorącej wodzie i wróciła do biurka.

- Dowiedziałeś się czegoś dla mojej przyjaciółki? - Usiadła, starając się okazać, że jest jej to obojętne.

Danny wgrzył się w sandwicza i pokręcił głową.

- Niewiele - wymamrotał z pełnymi ustami. - Nie miałem czasu.

- O'...

- A tak w ogóle, to co z nią? Jest lekko stuknięta?

Meg przełknęła kawałek sandwicza.

- Raczej nie.

- Przechodzi trudny okres w życiu albo coś takiego?

- Nie sądzę.

Danny rozmyślał, wolno przeżuując, potem potrząsnął głową.

- To mnie zabija, słowo. Takie damulki z towarzystwa, które w najlepszym razie są przesadnie wynoszonymi pod niebiosa paniami domu. Nie mają żadnego produktywnego zajęcia. Nudzą się. I dlatego szukają najdziwaczniejszych sposobów na znalezienie podniety w życiu.

Meg popijała herbatę zastanawiając się, jak to jest, że ona i Danny często bardzo podobnie myślą. Teraz jednak czuła się do pewnego stopnia zobowiązana wystąpić w obronie Alissy, może dlatego, że częścią swego ja rozumiała przyjaciółkę.

- Nie znamy prawdziwych motywów Alissy - powiedziała cicho. - Nie sądzę, żebyśmy mieli prawo ją osądzać.

Danny parsknął śmiechem.

- Niezależnie od motywacji, wydaje mi się dość głupie, że ona próbuje odszukać kogoś z przeszłości. Co było, a nie jest, nie pisze się w rejestr. Kogo to obchodzi?

Meg znowu ugryzła sandwicza. Indyk wydał jej się nagle paskudnie suchy. Co było, a nie jest, nie pisze się w rejestr. Kogo to obchodzi? Mnie obchodzi, Danny. Ja też chcę odnaleźć jedyne go człowieka w moim życiu, którego umiałam pokochać. Może Alissa robi to samo. Meg odepchnęła od siebie jedzenie.

- Wiesz co - odezwał się Danny, przełykając herbatę. - Muszę jutro jechać do New Haven, sprawdzić coś w związku ze sprawą. Masz czas na przejazdkę?

- Nie mogę. Jutro mnie nie będzie. - Meg odpowiedziała odruchowo, zanim jeszcze uświadomiła sobie, że podjęła decyzję.

- Interesy? - spytał, filuternie mrugając.

Założyła ręce.

- Tak.

Danny spojrzął na zegarek, dopił herbatę, zmiął woskowany papier po przekąsce i wstał.

- Muszę lecieć. Dzięki za towarzystwo.

Meg skinęła głową.

- Dziękuję za lunch.

Cisnął papier do kosza na odpadki i dokończywszy gest efektownym zawijasem ramienia, pomachał jej na pożegnanie. Wyszedł.

Meg uśmiechnęła się. Może pojutrze będzie w stanie powiedzieć Danny'emu o Stevenie coś konstruktywnego. Może będzie mogła podzielić się dobrymi nowinami o człowieku, którego kiedyś kochała. Pojutrze, kiedy wróci z Waszyngtonu.

Meg wypatrzyła jego nazwisko na liście: biuro senatora Stevena K. Rileya mieściło się na drugim piętrze Russell Building. Wiedziała, że ryzykuje, idąc tam bez wcześniejszej telefonicznej zapowiedzi. Mógł być na jakimś posiedzeniu albo w ogóle za granicą. Obawiała się jednak, że jeśli nie złoży wizyty spontanicznie, to nie zrobi tego wcale.

Na szkle w drzwiach wypisano szablonem: „Proszę wejść”. Meg zacisnęła dłoń na wizytówce. Trzymała ją w powietrzu, gotowa pokazać każdemu, kogo musiała minąć w drodze do Stevena. Zapatrzyła się na bilet, wspomi-

nając oderwany róg kartki w linie, który kiedyś Steven wcisnął jej po zajęciach. „Spotkamy się w kawiarni? O wpół do piątej?” Były też inne liściki, ukradkiem podawane w ciągu trzynastu tygodni ich olśnienia. Meg trzymała je wiele lat, zachowała miłość na czarną godzinę, zamkniętą w pudełku po butach, bezpiecznie ukrytą tam, gdzie nie mogła zranić. Ale przeprowadzając się do nowego domu, wyrzuciła pudełko, nawet nie przecinając okalającej go taśmy, żeby nie rozdrapywać ran. Uświadomiła sobie teraz, że te rany nigdy się nie zblizniły.

Spojrzała jeszcze raz na szablonowy napis, wzięła głęboki oddech, obróciła mosiężną klamkę i pchnęła drzwi.

Biuro było zadziwiająco małe. Przy jednym biurku siedziała siwowłosa kobieta, przy drugim ciemnowłosa chłopak w studenckim wieku. Oboje podnieśli wzrok i spojrzeli na Meg.

- Dzień dobry - powiedziała nerwowo. Podała wizytówkę kobiecie, która wydawała się tu decydować. - Mecenas Cooper. Chciałabym wiedzieć, czy można spotkać się z panem senatorem.

Kobieta przypatrzyła się wizytówce. Młody człowiek wrócił do pracy.

- Czy jest pani umówiona? - spytała kobieta.

- Nie. Jestem w Waszyngtonie służbowo, akurat mam wolną chwilę. Są sprawy, o których chciałabym porozmawiać z panem senatorem Rileyem.

Kobieta znowu spojrzała na wizytówkę, potem na wielki okrągły zegar ścienny nad szafą z aktami.

- Senator musi być za dwadzieścia minut w sali posiedzeń na głosowaniu, ale dam mu pani bilet. Proszę usiąść.

Meg była za bardzo zdenerwowana, by wykonać jakikolwiek ruch. Próbowwała się uśmiechnąć, lecz strach usztywnił jej mięśnie twarzy. Steven był w biurze. Naprawdę był.

Kobieta wzięła od niej wizytówkę, wstała i podeszła do drzwi. Zapukała dwa razy, otworzyła je i znikła w środku. Steven naprawdę był. Tam za drzwiami.

Ręce zrobiły jej się zimne. Zaczęła wyłamywać sobie palce. Chciała uciec, ale nogi wrosły jej w podłogę. Miała taką gonitwę myśli, że na żadnej nie mogła się skupić.

Omiotła wzrokiem pokój. Młody człowiek spokojnie pracował. Podniósł głowę; skrzyżowała z nim spojrzenie. Znowu spróbowała się uśmiechnąć. Tym razem chyba jej się

udało. Mniej więcej. Nagle wyraźnie dotarła do niej myśl. Jedna, jedyna. Czyżbym oszalała?

Szybko przeniosła spojrzenie z powrotem na biurko kobiety. Zapatrzyła się w stertę papierów. Niestety, nie nauczyła się w Golden Key, jak znajdować ośrodek swego ciała. Żałowała, że tam pojechała, żałowała, że przyjechała tutaj i zastanawiała się, co u licha robić dalej.

Poszło jej za łatwo. Przecież Steven był *senatorem* Stanów Zjednoczonych. Jeździł po całym świecie. Miał spotkania, lunche, odpowiedzialność, zobowiązania. Nie mogła uwierzyć, że jest tutaj, w swoim biurze, akurat w chwili gdy przyszła do niego po piętnastu latach. Niewiarygodny przypadek. Albo przeznaczenie.

Przebiegła wzrokiem po schludnym, dobrze zorganizowanym sekretariacie, po rzędzie szaf na akta i portrecie prezydenta na ścianie. Zastanowiło ją, czy zdjęcie prezydenta jest obowiązkowym elementem wyposażenia senatorskiego biura, nawet jeśli senator nie pochodzi z tej samej partii. Była zadowolona, że u siebie w gabinecie nie musi eksponować portretu szefa. Od patrzenia dzień w dzień na wizerunek George'a Bascomba nabrałaby obrzydzenia do życia.

Boże, pomyślała. Co też mi przychodzi do głowy? Ten człowiek jest prezydentem Stanów Zjednoczonych, a ten budynek należy do senatu. Jestem w biurze senatora Stevensa Riley'a.

Drzwi do gabinetu senatora otworzyły się ponownie. Kobieta wyszła i dokładnie zamknęła je za sobą. Nie miała już w dłoni wizytówki Meg.

- Niech pani usiądzie - powtórzyła i wskazała drewniane krzesło pod ścianą. - Senator będzie za kilka minut.

Bogowie się wmieszali, oderwali jej nogi od podłogi i umożliwili dojście do krzesła. Meg usiadła. Właśnie trzyma swoją wizytówkę, myślała. Wie, że jestem w sekretariacie. Za późno na ucieczkę. A może nie?

Skrzyżowała nogi, usiłując zachowywać się w sposób profesjonalny. O czym myśli Steven akurat w tej chwili? Czy jest wstrząśnięty? Zły? Zadowolony? A może tylko rozbawiony? Kiedyś powiedział jej, że powinna być bardziej spontaniczna. Czy to uznałby za spontaniczność, mimo że potrzebowała na przyście piętnastu lat? Czy, co gorsza, w ogóle pamięta, że kiedykolwiek jej coś takiego powiedział?

Spojrzała na zegar. Za czternaście minut musiał być na sali posiedzeń.

Należało najpierw zadzwonić. Ale byłoby to zbyt ryzykowne. Meg wiedziała, że jeśli ma w ogóle porozmawiać ze Stevenem Rileyem, to musi go spotkać w publicznym miejscu, gdzie będzie mogła stanąć z nim twarzą w twarz. Gdzie oboje będą mogli wyczuć swą pierwszą reakcję. Wtedy dowie się, czy postępuje słusznie. Będzie wiedziała, czy jeszcze go kocha.

Gdyby pierwszy raz po tylu latach przyszło jej rozmawiać z nim sam na sam, to nie podołałaby temu emocjonalnie. Nie warto było sięgać po maskę sądowych zachowań i zawodowego dystansu. Zdecydowanie wolała spotkać się z nim publicznie, gdzie ktoś może podsłuchać, gdzie będzie musiała panować nad słowami i uczuciami.

Urzędniczka zmierzyła ją spojrzeniem. Meg uświadomiła sobie, że musiała się na nią gapić. Boże, pomyślała, za kogo mnie uważa ta kobieta? Czyżby nerwy zawodziły mnie na całego? Czy zachowywałabym się w ten sposób, gdyby naprawdę była to służbowa wizyta?

Zaczęła wpatrywać się w swoje stopy. Szkoda, że nie poświęciła chwili na wypastowanie szarobrązowych pantofli. Zamknęła oczy i całkiem niespodziewanie, mimo woli, poczuła lekki dotyk jego dłoni na piersiach. Delikatny, czuły, jakby jego palce jeszcze tam były, nie odsunęły się przez tyle lat. Ciekawe, czy dotyka piersi swej żony? I czy wyzwała to w niej takie pragnienie, jakie zawsze wyzwało w Meg?

Otworzyła oczy. Candace. Tak miała na imię jego żona. Meg nie była w stanie wymazać tego z pamięci. I jego synowie. Michael. Kevin. Sean. Znała imiona, jakby sama była matką tych chłopców.

Chłopcy już dorośli. Prawdopodobnie wszyscy skończyli college. Oszczędzono im blizn od wychowania w rozbitym domu. Przynajmniej pod tym względem zachowała się właściwie.

Spojrzała jeszcze raz na zegar. Dziewięć minut do wyjścia Stevena. Czy ma też drugie drzwi do gabinetu? Kiedyś widziała film, w którym senator unikał dziennikarzy, wyslizgując się zapasowymi drzwiami. Sama przecież wielokrotnie miała na to ochotę w kancelarii.

- Senator jest bardzo zajęтым człowiekiem.

Głos kobiety zaskoczył Meg. Usiłowała zdobyć się na jeszcze jeden uśmiech.

- Może lepiej przyjdę kiedy indziej.
- Najlepiej umówić się na spotkanie.
- No tak, oczywiście.

Kobieta mówiła uprzejmie, ale jej intencja była oczywista. Wypraszała Meg.

Meg wstała i podeszła do biurka.

- Musi pani pamiętać, że nawet w czasie umówionych spotkań - ciągnęła kobieta - senator często ma do załatwienia sprawy, które wynikają w ostatniej chwili.

Spławia mnie, pomyślała Meg. Zostałam spławiona. Steven prawdopodobnie pouczył ją, żeby potrzymać mnie kilka minut, a potem wyrzucić. Sam prawdopodobnie wyslizgnął się bocznymi drzwiami do sali posiedzeń. A może w ogóle nie ma żadnego głosowania? Może to typowa wymówka dla wszystkich nie zapowiadanych gości. Nie chcianych gości.

Zapadła w dziwne odrętwienie, zupełnie jakby kogoś straciła, jakby ktoś jej umarł. Nie było bólu, rany, urazy. Tylko drętwota. Machinalnie sięgnęła do torebki i wyciągnęła następną wizytówkę.

- Wracam z powrotem do Nowego Jorku - powiedziała. - Gdyby mogła pani dać mu po prostu moją wizytówkę...

- Jedną już dałam.

Meg zawahała się, po czym schowała bilet do torebki.

- Słusznie - powiedziała. - Dała mu pani.

Zatrzasnęła torebkę. Piętnaście lat to kupa czasu. Alissa podsunęła jej myśl, że Steven może nie być szczęśliwy. Alissa podsunęła myśl, a ona niemądrze chciała w to wierzyć. Ale przecież w obecnym życiu Stevena było tak wiele spraw, o których nie wiedziała. Niewiele wiedziała o nim samym.

Steven też nie wiedział o niej wielu rzeczy. Nie wiedział, jak bardzo go kochała, ani tego, że nigdy nie kochała go bardziej niż w dniu, gdy powiedziała mu, żeby odszedł. Nie wiedział, że nigdy nie pokochała nikogo innego. Nie wiedział o przerwanej ciąży.

Właśnie zaczęła zbierać się do wyjścia, gdy drzwi gabinetu otworzyły się.

- Meg?

Mimo iż Steven Riley dobiegał pięćdziesiątki, był o wiele bardziej przystojny niż za jej studenckich czasów. Nie musiała nawet widzieć go na własne oczy, żeby się o tym przekonać. Wiedziała to z częstych fotografii senatora w „Timesie”, „Newsweeku” i innych renomowanych czasopiśmie. Nie w brukowych magazynach, najwyraźniej bowiem senator Riley wiódł przykładne życie, do którego nie można było mieć zastrzeżeń. Nikt nigdy nie skojarzył go ze skandalicznym zdjęciem z Harvardu.

- Cześć, Steven - powiedziała. Zaskoczył ją dźwięk własnego głosu. Chwilę wcześniej nie była pewna, czy w ogóle zdoła się odezwać. Przyjrzała mu się bez pośpiechu. Ciemne włosy siewiały mu na skroniach. Miał wspaniały uśmiech i idealnie białe zęby. Musiał porobić sobie licówkę, pomyślała. Tak jak w moim śnie.

Uprzytomniła sobie, że Steven wyciąga do niej rękę. Zawahała się, po czym odpowiedziała na jego gest. Ich dłonie się zetknęły. Jego ciepło rozpląnęło się po całym ciele Meg wraz z olbrzymią falą przyjemności. To jest mężczyzna, którego nadal Kocham, pomyślała. Ten mężczyzna jest ośrodkiem mojego ciała.

Spojrzeni ma siebie. Miał intensywnie niebieskie oczy. Atramentowe, kobaltowe, barwy zimowego morza o zmierzchu. Było w nich szczęście, lecz również smutek.

- Senatorze, chyba nie chcę się pan spóźnić - rozległ się głos urzędniczeki.

Steven puścił jej dłoń i poprawił krawat.

- Już idę, Edith - powiedział, nie odrywając wzroku od Meg. - Obawiam się, że czas mnie nagli, ale może przedziesz się ze mną na Kapitol? Możemy porozmawiać po drodze.

Meg skinęła głową. Steven ruszył do drzwi.

- Senatorze, czy pan o czymś nie zapomniał?

Steven obrócił się. Kobieta wyciągnęła do niego dłoń z jakimiś dokumentami.

- Słusznie - powiedział i wziął od niej teczkę. - Nie wiem, kiedy wrócę. - Zwrócił się ponownie do Meg i wziął ją pod łokieć. - Chodźmy.

Zeszli po niezliczonych schodach do długiego, przestronnego holu, zanim którekolwiek się odezwało. W końcu Steven przerwał milczenie.

- Widziałem cię na pogrzebie Avery'ego.

Meg poczuła ściskanie w gardle.

- Dostaliśmy od ciebie kartę kondolencyjną.
- Szkoda go.
- Tak.
- Zostałby wybitnym politykiem.
- Tak.

Szli szybko. Stuk obcasów Meg odbijał się echem w korytarzu. Meg mocno trzymała torebkę, obawiając się, że wypuści uchwyt z dłoni. Ścisnęła swoje oparcie, jakby to torebka utrzymywała ją w pionie - jedyny realny przedmiot ratujący przed osunięciem się na podłogę. Nie mogła uwierzyć, że jest tam, gdzie jest. Nie mogła uwierzyć, że ma obok siebie Stevena.

- Świetnie wyglądasz, Meg.

- Ty też. - Zapatrzyła się w punkt przed sobą, bojąc się spojrzeć na niego ponownie, lękając się spojrzeć mu w oczy. Ale on nie spuszczał z niej wzroku, pewnego, uważnego, przesywającego.

Cicho odkaslnął. Meg niespokojnie drgnęła. Steven zawsze odkasływał w ten sposób przed rozpoczęciem zajęć, tuż przed pierwszym zdaniem, gdy był zdenerwowany. Odkaslnął tak, kiedy miał jej powiedzieć, że chce się rozwieść, żeby się z nią ożenić.

- Czy mam spytać, po co przysłaś?

Mocniej ścisnęła torebkę.

- Bez szczególnego powodu. Chyba chciałam cię zobaczyć.
- Dużo czasu minęło.
- Tak.

Poczuła się jak w transie. Jej ciało było nieważkie, zmysły otępiałe. Miała pustkę w głowie. A przecież w myślach tyle razy odgrywała tę scenę. Tyle razy układała w wyobraźni zręczny dialog, jakby było to pierwsze wystąpienie obrońcy w najważniejszym procesie jej życia. Jeśli jeszcze kiedyś spotkam Stevena, powiem... co? Ale teraz Meg zapomniała te słowa. Wiedziała tylko, że idąc u jego boku, czuje się bardzo dobrze i bezpiecznie.

- Wyrobiłaś sobie niezłą markę - powiedział.

- Ty też.

- Zdziwiłem się, że wybrałaś prawo karne. Myślałam, że najbardziej pasjonuje cię rodzinne. Prawa kobiet.

Meg przełknęła ślinę. Miał rację. Kiedy była młoda i idealistycznie nastawiona, chciała pomagać ludziom.

Chciała zrobić coś znaczącego. Po ich zerwaniu zmieniała poglądy. Bycie zbawcą nie dawało pieniędzy.

- Rozmyślałam się - powiedziała.

- Szkoda. Naprawdę cię to interesowało. Byłabyś świetna. Ale i tak robisz karierę.

Meg szła w milczeniu, zastanawiając się, czy Steven jest nią rozczarowany. Nigdy nie zamierzała służyć tylko tym, którzy mają grube książeczki czekowe. Czyżby wszystko spieprzyła? Zamiast zajmować się ludźmi, ich problemami i uczuciami, zwróciła się ku potentatom finansowym i sławom, od których po zakończeniu procesu łatwo odejść nie odwracając głowy. Poczowała ciężar na sercu. Sprzedała się. A on zwrócił na to uwagę. Ponieważ Steven nigdy by tego nie zrobił.

- Zwróciłem też uwagę, że nadal używasz nazwiska Cooper.

Meg odsunęła kosmyk włosów z twarzy i odważyła się spojrzeć na Stevena. Z jego oczu wyczytała, że nie jest to frazes i że Steven nie wypytuje ze zwykłej ciekawości. Znowu spojrzała w punkt przed sobą.

- Nigdy nie wyszłam za mąż - powiedziała.

Ludzie przenikali do korytarza i rozmawiając, śmiejąc się, szybko przechodzili. Meg i Steven weszli do windy. Inni zrobili to samo. Podczas powolnego zjazdu Meg skupiała wzrok na drzwiach kabiny. Steven stał obok, ale nie patrzyli na siebie i nie dotykali się. Nic nie mówili.

Drzwi się otworzyły. Ruszyła za Stevenem, minęli znak wskazujący drogę do tunelu. Steven zwolnił kroku, żeby przepuścić innych ludzi. Potem wziął głęboki oddech.

- Nigdy nie sądziłem, że jeszcze kiedyś cię zobaczę - powiedział cicho.

Meg skinęła głową.

- Dla mnie to też niespodzianka.

Przeszli kilka kroków.

- Zraniłaś mnie, chyba wiesz.

- Wiem. - Nie musiała dodawać, że i ona bardzo cierpiała. Nie mógł wiedzieć, jak bardzo.

- Nigdy się z ciebie nie wyleczyłem.

Nie odpowiedziała.

W tunelu panował tłok. Kilka elektrycznych wózków wiozło mężczyzn ubranych na szaro i kobiety w granatowych strojach, tymczasem Meg i Steven wraz z innymi pieszymi pokonywali tunel energicznym krokiem makle-

rów na Wall Street o godzinie dziewiątej piętnaście. Łydki zaczynały odmawiać Meg posłuszeństwa.

Dotarli na drugą stronę i tam tłum zaczął się rozpraszać. Przy drzwiach do następnej windy Steven odciągnął Meg na bok.

- Muszę iść - powiedział, raz jeszcze patrząc jej głęboko w oczy. - Czy długo będziesz w Waszyngtonie?

Meg miała *ochotę zarzucić mu ramiona* na szyję. Chciała poczuć, jak trzyma ją w objęciach, przytula i nigdy już nie puszcza.

- To zależy - powiedziała.

- Od czego?

- Chyba od tego, czy możemy pobyć razem.

Te kobaltowe oczy dokładnie przyjrzały się jej twarzy, oczom, nosowi, wargom.

- Miałem nadzieję, że to powiesz.

Sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki i wyciągnął bilet wizytowy.

- Masz tu nazwę małego zajazdu tuż za miastem. Bardzo dyskretne miejsce. - Uśmiechnął się, jakby chciał odebrać ostrość tym słowom, oswoić siebie i Meg z przyczyną, dla której musiał ich użyć. - Możemy tam porozmawiać. W saloniku. Czy tak będzie dobrze?

Meg wzięła bilet. Zerknęła na litery. Potem ponownie spojrzała na Stevena, mając więcej ciepła w sercu, szybszy puls, więcej radości życia i nadziei, niż zdarzyło jej się od bardzo dawna.

- O siódmej? - spytał Steven.

Rozległ się dzwonek. Meg instynktownie wiedziała, że czas na Stevena.

- Zgoda, o siódmej - powiedziała.

Jeszcze przez chwilę patrzyli sobie w oczy.

- Steven? - odezwała się. - Piszesz sobie przed nazwiskiem literę K. Od czego to?

Uśmiechnął się.

- Keneflck. Panieńskie nazwisko mojej matki.

Jasne, pomyślała Meg. Bogaci ludzie mają taki zwyczaj. Nie ludzie z Bridgeport. Steven wyciągnął dłoń i pogłaskał ją palcami po policzku, potem odwrócił się i znikł. Meg oparła się o ścianę, ściskając w dłoni bilet wizytowy. Prawie nie zwracała uwagi na przechodzących obok ludzi.

Kiedy stanęła sama u wylotu tunelu, spojrzała na kartę

jeszcze raz. „The Bridge of Flowers Inn”, napisał Steven. Co za urocza nazwa, pomyślała. Kwietny most, co za urocza nazwa dla miejsca, żeby znowu się tam zakochać.

Odrzuciła bilet. Było na nim jej nazwisko i adres. Wytrzeszczyła oczy. Dostała od Stevena z powrotem swój własny bilet wizytowy. Poczuła falę obrzydzenia. Naturalnie, musiał to zrobić. Nie chciał przecież, żeby żona znalazła go w kieszeni garnituru.

Była dopiero trzecia. Meg siedziała na betonowej ławce przed Pomnikiem Lincolna. Pospacerowała po Waszyngtonie, odwiedziła Smithsonian Institute, była pod ścianą pamięci z nazwiskami zabitych w Wietnamie. Nic nie mogło oderwać jej myśli od wieczornego spotkania ze Stevenem. I nic nie mogło jeszcze bardziej zwolnić ruchu wskazówek jej zegarka.

Niestety, nie wprowadziła się do hotelu. Nie mogła więc wziąć prysznicu i przebrać się. Beżowy komplet z lnu był daleki od jej wyobrażeń o stroju na romantyczny wieczór z mężczyzną, którego kiedyś kochała. Nadal kochała.

Głupia jesteś, pomyślała. Raz w życiu pozwól się ponieść uczuciom.

Podniosła torebkę. Miała w środku mnóstwo kart kredytowych. Mogła wynająć pokój, kupić sukienkę, zrobić się na bóstwo. Drgnęła niespokojnie, bo przypomniawszy sobie, że nie byłoby jej na to stać, gdyby została adwokatem ludzi w potrzebie, tak jak kiedyś zamierzała. Jakoś oddaliła jednak tę myśl i postarała się skupić na Stevenie. Postanowiła, że wróci do Nowego Jorku nazajutrz. Dzięki temu będzie mogła przedłużyć wieczór ze Stevenem do woli. Może aż do śniadania. Poczuła dreszczyk na plecach. Adrenalina uderzyła jej do żył.

Zanim dotarło do niej, co robi, zerwała się z ławki i ruszyła w stronę hotelu. Zeszła z krawężnika na jezdnię. Ryknęły klaksony. Nurkowała między samochodami, coraz bardziej przyspieszając kroku.

- Paniusiu, co ty robisz, do kurwy nędzy? - wrzasnął taksówkarz. Zareagowała nieprzyzwoitym gestem i dalej forsowała ulicę.

Czy jest w stanie coś takiego zrobić? Czy może zrobić coś nieobliczalnego, nieodpowiedzialnego, całkiem niepodobnego do Meg? Czy może? Tak. Czy może? Nie.

Dopadła drugiego krawężnika i stanęła na chodniku. Dlaczego nie?

Przed hotelem zawahała się. Nagle uświadomiła sobie, że nie ma bagażu. Uznają, że planuję schadzkę, pomyślała i roześmiała się, gdy pojęła, że o to właśnie jej chodzi. I nie tylko może to zrobić, lecz również zrobi.

Weszła do środka i stanęła przy kontuarze recepcji. Urzędnik uśmiechnął się, ale zdawał się zupełnie nie przejmować jej brakiem bagażu.

- Ma pani szczęście - powiedział. - Jest wolny pokój.

Wszystko idzie zbyt gładko, pomyślała Meg, wręczając mu kartę kredytową. Coś musi w końcu nie wypalić. Spojrzała na zegarek. Piętnaście po trzeciej. Nagle godzina siódma przestała jej się wydawać odległą o wieki. Minuty mijały jedna za drugą. Musiała się pośpieszyć. Wreszcie recepcjonista podał jej klucz.

Przed pójściem do pokoju postanowiła zrobić zakupy. Rozejrzała się po holu i szybko zauważyła butik, sprawiający wrażenie ekskluzywnego. W parę minut później stała w przebieralni, mając dookoła siebie mniej więcej tuzin rozrzuconych „potencjalnie doskonałych” sukni. Zdjęła z siebie kostium i zaczęła kolejno je przymierzać. Nie patrzyła na ceny, nie obchodziło jej to ani trochę. Odpowiednia suknia na pewno była warta wydatku.

Wybrała jedwab w szarobrązowym odcieniu. To było to. Sukienka sięgała jej kilka centymetrów nad kolana i miała zabójczy dekolt. W dodatku pasowała jej do pantofli. Po drodze do kasy Meg chwyciła jeszcze parę złotych kolczyków z perełkami i naszyjnik od kompletu, po czym rzuciła wszystko na ladę wraz z kartą kredytową. Trwało wiecznie, nim sprzedawczyni podliczyła rachunek za te sprawy.

Meg porwała torby i rzuciła się do sklepu z upominkami. Chwyciła pastę i szczoteczkę do zębów, płyn do mycia ust, dezodorant, maszynkę i kremem do golenia. Co prawda goliła nogi rano, ale musiały być jak najgładsze, na wypadek gdyby znalazła się blisko Stevena, gdyby chciał ją dotknąć, pieścić. Znowu poczuła dreszczyk.

Szła już do kasy, gdy jej uwagę przykuł rząd buteleczek w kolorze morskim. Shalimar. Coś dla Stevena. Kiedyś powiedział jej, że ten zapach przypawił go o wielodniową erekcję. Takie chutliwe, lubieżne uwagi były zupełnie nie

w jego stylu. Dobrze się wtedy pośmiali, ale Meg zaczęła używać tego zapachu. Towarzyszył jej aż do końca semestru. Aż do końca.

Wzięła wodę toaletową, puder i emulsję do ciała. Skoro miała zamiar to zrobić, należało zadbać o Klase. Tylko czemu czuła się jak elegancka dziwka w trakcie przygotowań do spotkania z drogim klientem?

Szybko złożyła podpis pod listą zakupów. Potem wyszła ze sklepu, znalazła windy i pojechała w przerażająco wolnym tempie na dwudzieste szóste piętro. Wykonawszy zonglerkę torbami, znów popatrzyła na zegarek. Dwanaście po czwartej. Miała jeszcze dwie godziny. I czterdzieści osiem minut.

Weszła do pokoju, zamknęła za sobą drzwi. Wnętrze było mroczne. Ciężkie draperie zasłaniały okno, a powietrze było obojętne, bezosobowe, wolne od jakiegokolwiek zapachu związanego z ludźmi, którzy mieszkali tu tylko chwilę, nie dość długo, by zostawić ślad obecności, ciepło. Meg stała, trzymając torebkę i torby z zakupami w obu dłoniach. Ogarniała ją cisza, a jej stopy znowu jakby wrosły w podłogę. Ścisnęła cienkie uchwyty toreb, zastanawiając się, co dalej, jak spędzić kolejne dwie godziny i czterdzieści osiem... spojrzała na zegarek, i czterdzieści sześć minut. Kiedyś Meg lubiła anonimowość hotelowych pokoi. Teraz żałowała, że nikogo tu nie ma.

Wreszcie zdołała się poruszyć. Odstawiła torby, zapaliła światło, wyjęła jedwabną sukienkę i przeprowadziła oględziny. Prasowanie nie było potrzebne. Powiesiła zakup w szafie, cofnęła się i stanęła zapatrzona, jakby włókna sukienki mogły przepowiedzieć przyszłość, zdradzić jej, co się stanie tego wieczoru.

Usiadła na łóżku. Materac był twardy.

Było jeszcze za wcześnie na rozpoczęcie przygotowań. Meg splotła dłonie na podołku. Pomyślała o włączeniu telewizora, ale nie chciała zaśmiecać myśli. Pragnęła skupić się na Stevenie. Porozmawiać o nim. Podzielić się z kimś podnieceniem, jakie ją ogarniało, niepokojem oczekiwania.

Musiał to być ktoś, komu mogła zaufać. Ale nie Danny.

Wyjęła z torebki notesik i szybko przekartkowała. Większość stron była biała, w końcu jednak Meg natknęła się na numer kobiety, do której mogła zatelefonować, swojej przyjaciółki Zoe.

W chwilę później Zoe podniosła słuchawkę.

- Meg? Boże, nie do wiary, że to ty. Jak się czujesz? Gdzie jesteś?

Meg roześmiała się.

- Nie uwierzyłybyś, gdybym ci powiedziała. Dostałam twój list. Bałam się, że wyjechałaś do Minnesoty.

Nastąpiła pauza, potem Zoe powiedziała:

- Jadę pojutrze. Potwornie się boję.

- Wiem, co masz na myśli. - Meg skrzyła w palcach kabel telefonu. - Ale sprawy mogą się ułożyć lepiej, niż się spodziewasz.

- To brzmi bardzo zachęcająco, zważywszy, że ty to mówisz.

- Może teraz inaczej śpiewam.

Zoe cicho syknęła.

- Czyżby było coś, o czym jeszcze nie powiedziałaś?

Meg uśmiechnęła się do aparatu telefonicznego. Chciała powiedzieć Zoe, naprawdę chciała. Choćby po to, by spróbować smaku jego imienia na wargach.

- Dalej, dziewczyno - zachęcała Zoe. - Wypluj to z siebie. Co się dzieje?

Meg zaczerpnęła dużą porcję powietrza.

- Znalazłam go.

- Co takiego?

- Znalazłam go, Zoe. Widziałam. Rozmawiałam z nim.

- Och, Meg...

Meg wstała i odeszła na tyle, na ile pozwolił jej sznur, potem wróciła na poprzednie miejsce. - Mam się z nim spotkać dziś wieczorem.

- O Boże. Jak ci poszło?

- Tak jak mówię. Mamy się spotkać dziś wieczorem.

Zapadło krótkie milczenie, potem Zoe powiedziała.

- No, no.

Meg roześmiała się i opadła na łóżko.

- Zgadza się. No, no.

- Czy on jest w Nowym Jorku?

Usiadła wyprostowana. Teraz był moment, żeby jej powiedzieć. Wystarczyło przyznać się do Waszyngtonu. Wtedy mogłaby powiedzieć. Mogłaby głośno wymówić jego imię. I wreszcie ktoś by się dowiedział.

- Meg?

Odchrząknęła.

- Nie jestem w Nowym Jorku - zaczęła. - Zrobiłam małą wycieczkę. - Wymów jego imię, do diabła. Co cię wstrzymuje?

- Ojej - powiedziała Zoe, ale nie spytała, gdzie Meg jest, nie chciała być Wścibska. Ta cecha od samego początku pozytywnie nastroiła Meg do Zoe, teraz jednak przydałaby jej się drobna pomoc, jakiś mały szturchaniec.

Och, dorośnijże wreszcie, na miłość boską. Właśnie otworzyła usta, do słów: „Jestem w Waszyngtonie”, gdy Zoe odezwała się ponownie.

- Rozumiem, Meg, że nie chcesz powiedzieć więcej. Szanuję to. Nie jesteś gotowa. Gdybyś była, nie wahałabyś się. Może będziesz po dzisiejszym wieczorze, ale tymczasem jeszcze nie jesteś. Powiesz mi później.

Meg zamknęła oczy.

- Może masz rację. Może jeśli spędzę z nim trochę czasu, jeśli sprawy posuną się naprzód... - Zawiesiła głos, jakby ją samą zaskoczyła konsekwencja tych słów. Jeśli sprawy posuną się naprzód. Zupełnie jakby planowała wspólną przyszłość ze Stevenem. Przyszłość po siódmej wieczorem.

- Sama wiesz - ciągnęła Zoe - że czasami lepiej czegoś nie powiedzieć.

- Pewnie tak. - Zastanawiała się, czy Zoe przeżyłaby szok, gdyby dowiedziała się, kim jest Steven. Prawdopodobnie nie. Przecież jeśli ktokolwiek wiedział, jak trudno mieć autentyczne życie w glorii sławy, to właśnie Zoe.

- W każdym razie będę o tobie myśleć dziś wieczorem - powiedziała Zoe. - O której się spotykacie?

- O siódmej - odrzekła Meg. - O czwartej według twojego czasu. - No, przynajmniej dała do zrozumienia, że jest na wschodnim wybrzeżu.

- Będę myśleć o tobie. A ty pomyśl o mnie, gdy będę w Minnesocie.

- Pojutrze. Będę pamiętać. Wiesz, w jednym Alissa miała rację.

- W czym?

- Znosi się na dobrą zabawę.

Ale gdy powiedziały sobie „do widzenia” i Meg weszła do wanny, zaczęła rozmyślać, jak długo ta zabawa będzie trwała i kiedy rzeczywistość z wielkim hukiem przyniesie otrzeźwienie.

Usiadłszy w saloniku Bridge of Flowers Inn, Meg rozejrzała się dookoła, zastanawiając się, czy inni goście również przyjechali tu na schadzkę. Miejsce było przytulne. Ściany wyłożono ciemną boazerią z dużych płyt, na których tu i ówdzie zawieszono pastelowe grafiki w ciemnoniebieskich ramkach, przypominających odcieniem mundury dawnej armii Stanów Zjednoczonych. W cynowych lichtarzach ciepłym, romantycznym światłem jarzyły się świece. Stoły i krzesła były bez wyjątku z ciemnego drewna, podłoga surowa i nierówna. Doskonały klimat do zakochania się... po raz wtóry.

Meg spojrzała na zegarek. Kwadrans po siódmej. Ze swojego miejsca widziała frontowe drzwi. Steven się spóźniał. Powoli sącząc wino z kieliszka, pochwyciła nozdrzami zapach Shalimar na przegubie dłoni. Może Steven nigdy się nie dowie, że pamiętała. Może zmienił plany.

Drzwi się otworzyły. W świetle wpadającym z zewnątrz zarysowała się ciemna sylwetka. To był Steven. Znała jego figurę, zarys ciała, wszystko. Na chwilę przystanął, jakby przyzwyczajając wzrok do ciemności. Potem ruszył w jej stronę. Meg zaczęła się pocić. W gardle miała wielką gulę.

- Dobry wieczór, Meg - powiedział, pochylając się nad nią i całując ją lekko w policzek. Dreszczyk po dotyku jego warg pozostał nawet wtedy, gdy Steven usiadł naprzeciwko.
- Przepraszam za spóźnienie. Utknąłem na posiedzeniu.

Zamówił wino. Postawił łokcie na stole i podparł głowę dłońmi.

- Świetnie wyglądasz - powiedział.

Meg parsknęła nerwowym śmiechem, przez co poczuła się jak uczennica. Studentka college'u. Zastanowiło ją, czy to prawda, że kiedy ludzie ponownie się schodzą, zachowują się tak, jak wtedy, gdy byli razem. Podobnie jest z dorosłymi, którzy zachowują się jak dzieci wobec swoich rodziców.

- Powiedziałaś to już dziś rano.

- A więc to musi być prawda.

Znowu upiła trochę wina.

- Wyglądasz inaczej niż na Harvard Square - powiedział.

- Ty też. Masz krótsze włosy.

- Ty też. - Roześmiał się. - I muszę stwierdzić, że w tej sukience bardziej ci do twarzy niż w džinsach i cieniowanej koszuli.

- Wtedy byłbyś innego zdania.

- Może nie.

Zapadła cisza. Meg napawała się poczuciem bezpieczeństwa, jakby czas nigdy nie minął, jakby znowu siedzieli w kawiarni, świadomi miłości, która ich łączy.

- Zastanawiam się, czy jest jeszcze ta nasza kawiarenka - powiedziała.

Steven uśmiechnął się.

- Pewnie nie. Jestem pewny, że nie przetrwała bez naszych spotkań.

Spuściła wzrok, przywołując wspomnienia, o których myślała, że są od dawna pogrzebane gdzieś bardzo głęboko.

- Boże, Meg, tyle czasu minęło.

Wróciła spojrzeniem do Stevena.

- Opowiedz mi o swoim życiu - poprosił.

- Nie jest nawet w drobnym ułamku tak pasjonujące jak twoje. - Ale o swoim mi nie nie opowiadaj, pragnęła dodać. Nie chcę słyszeć ani słowa o twojej żonie. Nie chcę słyszeć o twoich dzieciach. Chcę udawać, że oprócz nas nie ma nikogo na świecie. Przynajmniej w tej chwili.

Nadszedł kelner z drugim kieliszkiem. Steven usiadł wygodnie i przyglądał się Meg.

- Życie senatora wcale nie jest takie pasjonujące, jak mogłoby się wydawać - odezwał się po odejściu kelnera. - Nuży, wyczerpuje i w istocie jest dość kłopotliwe. Chcę posłuchać o twoim życiu. Wszystko o pasjonujących sprawach, do których się zabierasz. O prawdziwym świecie, którym nie mam kiedy się cieszyć.

Meg próbowała się uśmiechnąć. Cóż ona wiedziała o prawdziwym świecie? Jej życie obracało się nawet nie wokół tej drobnej części ludzkości, która ma pieniądze, nawet nie wokół drobnej części tej drobnej części, która napytała sobie kłopotów, lecz wokół drobnej części tych dwóch poprzednich, która pozwoliła złapać się za rękę. Siedząc ze Stevenem, czuła zażenowanie swoją karierą, jej powierzchownością. Ale mówienie o czymkolwiek mogło ją zająć. Zmusić do myślenia. Ułatwić jej odzyskanie panowania nad sobą. Zaczęła więc opowiadać o sprawie Holly Davidson. Mówiła, a on słuchał. Kiwał głową, uśmiechał się. Meg zastanawiała się tymczasem, dlaczego tak długo czekała. Dlaczego w ogóle kiedykolwiek pozwoliła mu odejść.

- Wprawdzie nigdy nie wyobrażałem sobie ciebie jako

prawniczej sławy... - powiedział Steven, gdy skończyła - ...ale muszę powiedzieć, że to do ciebie pasuje.

Pasuje do mnie? - Meg oderwała oczy od Stevena i wbiła je w posadzkę z szerokich desek. Nie, miała ochotę powiedzieć. Wcale do mnie nie pasuje. To jest zakłamane i puste, nienawidzę tego. Zaskoczeniem dla Meg było to, że uzewnętrznienie się tych uczuć w ogóle jej nie zaskoczyło.

Wypili po trzy kieliszki wina, a do tego podano im owoce na paterze, trochę koreczków serowych i jakieś krakersy. Meg była za bardzo zdenerwowana, by coś zjeść. Steven założył ręce i spojrzał jej prosto w oczy.

- Jeśli będę musiał czekać jeszcze chwilę, żeby cię dotknąć, to oszaleję - powiedział.

Na piętrze Bridge of Flowers Inn było kilka pokoi dla gości zostających na noc. Meg ruszyła za Stevenem po schodach, jakby robiła to od lat co wieczór.

Podobnie jak salonik, pokój przywodził na myśl pierwsze lata Stanów Zjednoczonych. Łoże stojące na czterech słupianych nogach było przykryte kołdrą. Ściany wytapetowano w drobny kwiatowy wzór. Na nocnych stolikach leżały koronkowe serwetki. Pokój sprawiał wrażenie staroświeckiego i ciasnego, ale nawet gdyby był większy i okazalszy, nie miałoby to w oczach Meg wpływu na doskonałość tego wieczoru. Była znowu ze Stevenem i tylko to się liczyło.

Kiedy drzwi za nimi się zamknęły, Steven pochycił ją w ramiona. Obejmowali się przez długą, starannie smakowaną chwilę. Potem Steven pocałował ją z czułością, jakiej Meg nie pamiętała. Z tęsknotą i miłością. Łzy stanęły jej w oczach.

- Mój Boże - powiedział. - Jak cudownie pachniesz. Zauważył.

Wziął ją za rękę i poprowadził przez pokoi. Usiadłszy na krawędzi łóżka, przyciągnął ją do siebie, objął w talii i przytulił policzek do policzka Meg, która ujęła jego głowę w dłonie i zanurzyła palce we włosach. Nie odzywali się.

Steven zaczął wolno głaskać ją po plecach. Przewędrował dłonią wzdłuż nóg. Potem, w drodze powrotnej, podarł jej nową jedwabną sukienkę. Przez cieniutkie majteczki poczuła ciepło jego dotyku.

- Kiedy mnie zostawiłaś - szepnął - myślałem, że umrę. Jęknęła cicho.

Delikatnie popchnął ją na łóżko. Meg przestała wężić swoje uczucia, wybuchnęła miłością, którą kryła w sobie od lat. Poddała się pieszczotom i sama pieściła. Zdawała sobie sprawę, że Steven zdejmuje marynarkę i rozpina koszulę. Zdawała sobie z tego sprawę, ale bardziej interesował ją dotyk jego ciała. Owłosienie na piersi miał obfitsze niż w jej wspomnieniach. Było miękkie, gęściejsze i przyprószone siwizną. Zagłębiła w nim palce.

Steven zsunął jej sukienkę przez głowę i lekko dotknął jej piersi, łagodnymi krzywiznami wysuwających się z bardotki. Sięgnął za plecy Meg i rozpiął haftkę stanika, po czym opuścił ramiączka. Położyła się nieruchomo, nie spuszczać wzroku ze Stevena, który wpatrywał się w nią tak samo, jak wiele razy dawno, dawno temu, tymi samymi kobaltowymi oczami, pełnymi tęsknoty, lśniącymi miłością.

Pochylił głowę i wolnym ruchem koniuszka języka okrążył sutkę. Meg zalało gorąco. Jęknęła. Zdjął jej rajstopy i położył długie, grube palce na brzuchu. Zaczął nimi prawie niedotykalnie przesuwac po skórze. Meg objęła go. Wyczuła sprężyste mięśnie jego pleców, smukłą, mocną jędrność nóg. Przyciągnęła go bliżej. Poczwała, jaki jest twardy.

Instynkt poprowadził jej rękę. Otoczyła palcami członek, zacisnęła je mocniej. W głowie szumiało jej od pulsującej krwi. Myślami była już tylko przy swym szalonym pragnieniu.

Wtedy poczuła w sobie jego palce. Wypchnęła biodra, by mógł łatwiej przekonać się, jaka jest wilgotna, ile jest w niej żaru. To były jego palce. Był w niej Steven. To był jego dotyk. Ten, za którym boleśnie tęskniła i który pragnęła znowu poczuć.

Uśmiechnął się do niej. Porwała ją ekstatyczna siła orgazmu. Wciąż trzymała Stevena za członek, wpatrywała mu się w oczy, a serce przepełniała jej radość.

Głaskał ją po twarzy, całował po włosach, póki nie ucichło jej ciche szlochanie, póki drzeniem ciała nie dała znaku, że pragnie więcej. I wtedy znalazł się w niej, jakby nie było wielu lat rozłąki. Otworzył usta i pochylił się nad nią. Rozchyliła wargi. Czubki ich języków zetknęły się raz, drugi, trzeci. Zaczęli wymieniać namiętne pocałunki. Takie jak te, o których Meg było bardzo trudno zapomnieć.

Poruszali się w gorączkowym rytmie, kołysali, prężyli, wołali się nawzajem. Nagle ciało Stevena przeszył skurcz. Meg ujrzała jego twarz wykrzywioną pożądaniem. Oczy

miął szeroko rozwarłe, kąciki ust wygięte ku górze z rozkoszy. Poczwała w sobie nowe rozpierające doznanie. Razem wydali głośny krzyk. I wreszcie Meg odnalazła spokój. Tu, w jego ramionach, w jego łóżku. Bezpieczna. Kochana. Z poczuciem spełnienia.

Opadł na nią, zaraz jednak przeniósł ciężar ciała na bok. Meg leżała nieruchomo. W środku czwała jego lepkość, miłość wsiąkającą we wciąż drżące ciało. Pogłaskała go po klatce piersiowej, usiłując powstrzymać nadchodzące łzy. Bo była to *ta sama lepkość, ta sama miłość, która kiedyś poczęła w niej życie, dziecko, które mogła być urodzić. Ich dziecko. Gdyby nie przerwała ciąży. Gdyby go nie zabiła. Odwróciła głowę, żeby nie widniał jej łez, nie domyślił się bólu.*

- Wiesz, nie jestem szczęśliwy z Candace - wyrzucił z siebie Steven, przerywając ciszę w pokoju i w jej sercu. - Nigdy nie byłem-

Meg słyszała te słowa, lecz starała się nie dopuścić do siebie ich znaczenia. Podciągnęła pod brodę białe muślinowe *prześcieradło. Rozejrzała się po pokoju, po cieniach wiszących w mroku. Wypatrzyła zarysy komódki, lustro, półkę na bagaż. Przez chwilę rozmyślała, czy jej nowa jedwabna sukienka leży zmiętoszona na podłodze.*

- Chcę, żebyśmy znowu byli razem - powiedział.

Razem? Jak mogłaby? Czy jeszcze kiedykolwiek byłaby w stanie spojrzeć w twarz kochanemu człowiekowi, nie powiedziawszy prawdy o ich dziecku? Odnajdując go, popełniła błąd. Wielki błąd. Zamknęła oczy.

- To niemożliwe.

- Czyżby? - Uniósł ciało na łokciu i dotknął jej policzków, ust, nosa. - Zbliża się dwudziesty pierwszy wiek, Meg. Rozwód już nie zrukuje mojej kariery.

Potrząsnęła głową.

- Nie mogę. - Znów się odwróciła.

Położył się z powrotem i westchnął.

- Po tylu latach nadal cię kocham - powiedział. - Nie uwierzę, że ty mnie nie kochasz.

Mrugała *powstrzymując łzy. Obróciła się na bok, twarzą do ściany. Podciągnęła kolana pod brodę i objęła je ramionami.*

- Po co wróciłaś, Meg? Jeśli mnie nie kochasz, to po co wróciłaś do mojego życia?

- Nie wiem - odrzekła i w tej chwili niemal w to wierzy-

ła. Czyżby perspektywa ponownego spotkania zmąciła jej jasność sądu? Czyżby naprawdę sądziła, że może zachowywać się tak, jakby nigdy nie przerwała ciąży, jakby nie miało to znaczenia? Pomyślała o pustce w swym domu, która trwała już tyle lat. Steven dawał jej szansę odzyskania tego, co kiedyś porzuciła. Ale czy nie zmieniłyby się jego uczucia, gdyby dowiedział się, co zrobiła z ich nie narodzonym dzieckiem?

- Pomyślisz o tym? - spytał.

Nadal milczała, leżąc w bezruchu, i gorzko żałowała, że kiedykolwiek poznała Alissę Page. Czemu dała się wmanewrować w tę przebieraną, czemu nie zostawiła w spokoju swego bólu? Niechby nadal spoczywał na swoim miejscu, głęboko w sercu.

Wyczuła, że Steven wstaje. Usłyszała szelest ubrania, szmer zamka błyskawicznego, trzask klamry od paska. Podeszedł do krawędzi łóżka od jej strony, pochylił się i pocałował ją w czoło.

- Nigdy nie przestanę cię kochać - powiedział.

Widziała jego cień odpływający ku drzwiom. Poruszył klamka, drzwi się otworzyły. Rozpacz chwyciła ją za gardło. Jeśli ją kocha, może będzie w stanie jej wybaczyć. A ona może zdoła znaleźć dość odwagi, by mu powiedzieć.

- Steven? - szepnęła.

Cień przystanął.

- Zadzwoń do mnie - powiedziała. - Chcę cię jeszcze zobaczyć.

Znieruchomiał na progu.

- Zadzwonię - obiecał. I już go nie było.

Meg leżała nieruchomo jeszcze chwilę. Potem przewróciła się na drugi bok, wyciągnęła rękę i przycisnęła drugą poduszkę do swojej. Wkrótce mocno spała, a zapach, dotyk i smak Stevena wciąż majaczyły na jej wargach.

Rozdział dziesiąty

Szampan Cristal podczas imprezy na rzecz bezdomnych wydawał się dość absurdalnym pomysłem. Ale kiedy Alissa podzieliła się swymi wątpliwościami z Betty Wentworth, ta uśmiechnęła się i powiedziała:

- A co innego byś chciała, moja droga? Podać naszym gościom tanie wino w butelkach owiniętych torbami z szarego papieru? - Rozległ się chichot pół tuzina pań, siedzących dookoła elegancko nakrytego stołu w pokoju jadalnym Sue Ellen Jamison.

- To jest kompletnie niestosowne - pieniała się Alissa. - Jeśli nadal mam przewodniczyć komitetowi przygotowującemu ten bal, to proponuję zrezygnować z tego pomysłu. Natychmiast.

Nikt nic nie powiedział. W końcu wstała Betty Wentworth. Godna matrony płaszczowa sukienka z beżowego diagonalu fałdowała jej się na otyłym tułowiu.

- Chyba nie muszę ci przypominać, Alisso, że postawiłaś mnie na czele komitetu programowego - powiedziała niezwykle autorytatywnie.

Zrobiłam to dlatego, że twój syn pieprzył moją córkę, miała ochotę odpowiedzieć. I dlatego, że chciałam potrząsnąć Grantem, tym twoim odrażającym mężem, przyznała w końcu przed sobą.

- Wybrałam dla imprezy hasło „Jeszcze jeden dzień w raju”, jak w piosence - ciągnęła Betty. - Jeśli uświadomimy ludziom, jakie mają szczęście, że są tą częścią społeczeństwa, która się liczy, to głębiej sięgną do kieszeni. Zbierzemy więcej pieniędzy.

- Wpędzając ich w zakłopotanie? - spytała Alissa.

- Nie będą się czuli zakłopotani, moja droga - nie pozwoliła się zbić z tropu Betty. - Będą się czuli w domu. No, i uświadomią sobie, jakie mają szczęście. - Obszedłszy stół dookoła, stanęła upozowana na matronę u jego szczytu, za Sue Ellen, pod jednym z trzech kryształowych żyrandoli, zwisających z sufitu. - Postanowiłyśmy nawet pożyczyć szampanki z bakaratowego szkła.

- Bakaratowe szkło? Na balu dla tysiąca dwustu osób?

Betty uśmiechała się. Sue Ellen uśmiechała się. Reszta pań przy stole też się uśmiechała.

- Na koszt firmy Danforth - powiedziała Sue Ellen.

Alissa wrzała. Znała się na organizowaniu przyjęć i była w tym dobra. I stanowczo wiedziała, gdzie należy postawić kreskę. Nie miało najmniejszego znaczenia, czy Betty Wentworth każe swemu dupkowatemu mężowi pokryć z pieniędzy firmy wszystkie należności do ostatniego centa. Szampan Crystal w bakaratowym szkłe byłby jawną kpina z bezdomnych.

- A ponieważ hasło „raj” przywołuje na myśl ogrody edenu - plotła dalej Betty - nasze torby z darami będą zawierać małe srebrne jabłuszka, każde z odgryzionym kęsem. Flakoniki perfum w eleganckich saszetkach strasznie już się opatrzyły.

Alissa nie odezwała się. Naturalnie torby z darami były dla wszystkich obecnych kobiet kulminacją wieczoru. Ale srebrne jabłuszka? Gazety na pewno zwrócą uwagę, że w jadłodajniach dla ubogich jest niewiele świeżych owoców, a tymczasem owoce bogatych są zrobione ze srebra.

- Czy ona nie jest błyskotliwa? - spytała Sue Ellen.

Alissa wstała.

- Nie - powiedziała, zbierając przed sobą notatki i fiszki. - Betty nie jest ani trochę błyskotliwa. Jest kompletną idiotką. I wy też jesteście idiotkami, jeśli ją popieracie w tym pomysle. - Wcisnęła papiery do torebki i opuściła pokój. Szybko przeszła przez olbrzymią sień z marmurami

prosto do dwuskrzydłowych drzwi domu Sue Ellen Jamison, wykonanych z tekowego drewna.

Wskoczyła do samochodu, przekręciła kluczyk w stacyjce i z rykiem silnika zatoczyła półkole na podjeździe. Dopiero ponad kilometr dalej zjechała na pobocze, zatrzymała wóz i zaczęła się trząść.

Wiedziała, że przez cały czas od powrotu z Golden Key jest rozdygotana. Telefon Zoe nic jej nie pomógł. Widok Jaya, a właściwie migawka z Jayem, dźwięk jego głosu poruszyły ją w sposób, jakiego nie oczekiwała. Ostatnie dni spędziła unikając Roberta. I telefonując. Zaczęła od Global News. Zajął jej ponad dwa tygodnie i około dwóch tuzinów rozmów, żeby się przekonać, że Jay nie pracuje dla Global News, że najęto go jako korespondenta do opracowania konkretnego tematu. Nikt nie sprawiał wrażenia, jakby wiedział, gdzie Jay pracuje. Molestowała telefonami Danny'ego Gordona: był poza domem, był zajęty, obiecywał oddzwonić.

Zapaliła papierosa i oparła głowę o samochodową szybę. Poszukiwanie Jaya przerodziło się w obsesję. Od powrotu Alissa opuszczała posiedzenia komitetu Federacji Kobiet Atlanty. Ale kiedy obudziła się tego rana, uświadomiła sobie, że wpakowała się w kłopot. Nocą śniła o Jayu, miała zmysłowy, erotyczny sen. Kochali się na piaszczystej pustyni, gdzieś bardzo daleko. Trzymała go za guziki kurtki w kolorze khaki, a on poruszał się nad nią, ostre słońce paliło mu głowę, a jej ziarenka piasku ostre jak igiełki wciskały się w mokre, nagie pośladki. Zbudziła się od własnego krzyku w orgazmie. Krzyczała, wyciągając ramiona i obejmując nimi powietrze. Łechtaczka pulsowała jej od dotyku, którego nie było ani teraz, ani przedtem i nigdy już nie miało być.

Musiała zrobić cokolwiek, żeby wyrzucić Jaya z myśli. Jediną jej ucieczką był bal na rzecz bezdomnych. Wzięta więc prysznic, nałożyła na siebie najlepszą jedwabną kreację, jaka pasowała na damski lunch, i przybrała minę gospodyni Atlanty. Miała nadzieję wspomnieć tego dnia, że być może ktoś bardzo sławny uświetni imprezę swą obecnością, chciała paniom trochę zaostrzyć apetyty. Zdawała sobie sprawę, że podczas jej nieobecności panie snują plany, ale nie miała pojęcia, jak nieprzytomnie spieprzą całe przedsięwzięcie. Alissa wydmuchnęła smugę dymu

i zabębniła palcami o kierownicę. Robiły z balu burdel na kółkach, o którym dziennikarze napiszą wyłącznie z ironią. I wtedy ona, Alissa Page, przewodnicząca komitetu organizacyjnego, stanie się pośmiewiskiem wszystkich rubryk towarzyskich.

Opuściła szybę i cisnęła niedopałek na ulicę. Pieprzyć te głupie baby, pomyślała, wrzucając bieg i włączając się do ruchu. Znowu zapiszczały opony, a żwir prysnął spod kół samochodu.

Wróciwszy do domu, Alissa udała się do biblioteki i podniosła słuchawkę telefonu. Wybrała numer. Rozległy się dwa dzwonki, po czym włączyła się automatyczna sekretarka:

- Cześć. Tu Danny Gordon. Wiesz, co możesz zrobić. - Włączył się brzęczyk. Zarozumiały sukinsyn, pomyślała Alissa i powiedziała:

- Danny, mówi Alissa Page. Nie mam od ciebie wiadomości. Znaczy to, jak rozumiem, że pilnie pracujesz nad moją sprawą, więc zadzwoń, do diabła. - Trzasnęła słuchawką o widełki.

Przeszła przez pokój i włączyła telewizor. Z obitej skórą sofy spojrzała na ekran. Kilkoro przeciętnych inteligentów siedziało rzędem na scenie, rozmawiając o kazirodztwie. Pojawił się Phil Donahue. Alissa wyłączyła pilotem dźwięk. Wpatrywała się w usta, które otwierały się i zamykały, otwierały i zamykały. Tracąc czas, tracąc czas.

Któregoś dnia pokaże się w tym programie jedna z moich córek, pomyślała. Pokaże się i będzie opowiadać o ojcu homoseksualście. Zamyśliła się nad tym, jak czułaby się w skórze Meg Cooper, z całkowitą niezależnością, nieograniczoną wolnością, bez takich kul u nogi jak mąż i córki i bez potrzeby nieustannego bycia do czyjejs dyspozycji. Jak wspaniałe musi być życie bez presji, że trzeba dokądś iść, gdzieś się pokazać i zawsze, zawsze robić dobre wrażenie.

Słowa ciotki Helmy, które niegdyś zapadły w umysł młodej dziewczynki, wróciły echem w jej myślach. „Ta sukienka jest paskudna. Twoja przyjaciółka jest nie dość dobra dla nas. Jeśli naprawdę chcesz, żebyśmy byli z ciebie dumni, to zrób coś z siebie”.

Zrobić coś z siebie? Czy udało jej się tego dokonać obsesyjną dbałością o wygląd, wyborem „odpowiedniego”

człowieka na męża, nieustannie zapełnionym kalendarzem wydarzeń towarzyskich? I dlaczego, u diabła, nadal bez przerwy stara się wpędzić ciotkę w dumę? Przecież ciotka od prawie dziesięciu lat nie żyje. A co byłoby z jej dumą, gdyby dowiedziała się, jak naprawdę wygląda życie Alissy?

Wyłączyła telewizor i zamknęła oczy. Miała czterdzieści dwa lata. Co miała wybrać, to już wybrała. Nawet fantazyjny pomysł ponownego spotkania z Jayem był prawdopodobnie tylko fantazją i niczym więcej. Tymczasem należało robić to, co już zaczęła, ciągnąć wszystko dalej. Raz jeszcze musiała pokazać, ile znaczy. Zdusić w sobie dumę i z powrotem wziąć się do pracy nad balem, spróbować sprzątnąć ten bałagan, którego narobili inni. Zatelefonuje do Zoe i przekona ją, żeby wzięła udział w imprezie. Wtedy świat dowie się, że Alissa Page nie jest takim sobie zwykłym pionkiem, jeszcze jedną bezimienną osobą.

Jej spojrzenie padło na egzemplarz „Town & Country”, leżący w mosiężnym pojemniku na magazynie. Był to numer z efektownym zdjęciem Michele. Alissa pomyślała o Betty Wentworth, o Sue Ellen Jamison, o złośliwych uśmiezkach, które wykwitną na ich pomarszczonych twarzach, kiedy przyjdzie jej wrócić na klęczkach.

Trzepnęła otwartą dłońią w sofę. Uśmiechnęła się na myśl, że ma czym uządlić.

- Nie tym razem - powiedziała głośno. - Alissa Page jeszcze nie jest skończona.

Podeszła do biurka i wyciągnęła mahoniowe pudełko z eleganckim papierem. Przysłowiowa piłka była teraz po ich stronie. I jeśli chciały wygrać, musiały grać. Ryzyko istniało, ale warto było spróbować. Być może warto. Usiadła, wzięła do ręki swojego Mont Bianca i napisała do Federacji Kobiet Atlanty list z decyzją o rezygnacji.

Następnego rana odezwał się telefon. Dzwonił Danny Gordon z tłumaczeniami.

- Gównu mnie obchodzi twój rozkład zajęć - krzyknęła Alissa. - Dałam ci solidne honorarium i spodziewałam się wyników w przyzwoitym czasie. - Rzygać jej się chciało, że tak pozwala sobą pomiatać.

- Tłumaczę pani, że sprawdzam w moich źródłach - stwierdził Danny z wyraźnym zniecierpliwieniem.

- A ja ci mówię, że jeśli chcesz poważnie się tym zająć,

to powinieneś ruszyć tyłek do Atlanty i zacząć tutaj. W Atlancie mieszkają niedobitki jego rodziny. Nie przyszło ci do głowy choć przez minutę, że rodzina może wiedzieć, gdzie on jest?

- Szczerze mówiąc, przyszło mi do głowy, że najlepiej byłoby zwrócić się do urzędu podatkowego.

- Powiedziałaś mi, że Jay jeździ po świecie. W Global News wyjaśniono mi, że współpracował jako korespondent. Kogo, u diabła, obchodzi, gdzie siedział w zeszłym roku. Ważne jest dzisiaj. - Czy to możliwe, że Danny był zbyt zajęty rżnięciem Meg, by zrobić choć pierwszy krok w poszukiwaniach?

- Czyżby pani mówiła mi, jak mam wykonywać swoją pracę?

- Mówię ci, żebyś lądował tu w Atlancie, i to szybko. Za te pieniądze mogłabym szukać sama. I już zdążyłabym go znaleźć.

- Nie wątpię, Alisso. Ale proszę pamiętać, że pani sama dokonała wyboru. Ja usiłowałem ostrzec, jak bardzo jestem zajęty.

- Masz ruszyć wreszcie swój tyłek, Danny. Czekam jutro. Chcę, żebyś wreszcie znalazł Jaya Stockwella. - Trzasnęła słuchawką o widełki, zanim zdążył odpowiedzieć. Potem sięgnęła do szuflady biurka po papierosa. Zarozumiały sukinsyn, pomyślała, drżącą ręką uruchamiając zapalniczkę.

- Masz kłopoty? - Alissa podniosła głowę. Na progu stał Robert.

- Nie takie, żeby mogły cię interesować. Poza tym nie lubię, kiedy mnie szpiegujesz.

- Trudno to nazwać szpiegowaniem, Alisso. Chociaż przyznaję, że nazwisko Stockwell zachęciło mnie, żeby przystanąć i posłuchać.

Zaciągnęła się papierosem i wydmuchnęła w stronę Roberta równą smugę dymu. Pokonał tę zaporę i usiadł na sofie.

- Po co szukasz Jaya? - spytał. - Czy sądzisz, że będzie ci się lepiej żyło z dawnym kochankiem? Czy może zapomniałaś, że on odciął się od jedynej rzeczy, która ma dla ciebie znaczenie na tym świecie: od pieniędzy?

- Jay Stockwell sam zapracował na swój sukces - powiedziała Alissa. - Nie potrzebował fortuny tatusia, żeby wyrobić sobie nazwisko.

JEAN STONE

Robert wzruszył ramionami.

- Nie zauważyłem dotąd, żebyś uważała coś takiego za niemoralne. Poza tym - ciągnął - nie nazwałbym jego korespondencji z Bagdadu sukcesem.

Alissa osłupiała. Nie przypuszczała, że Robert ma jeszcze świadomość istnienia Jaya.

- Rozumiem, że jesteś na bieżąco w światowych wydarzeniach - stwierdziła. - Masz się czym popisać. - Jeszcze raz głęboko zaciągnęła się dymem, ale tym razem wydmuchnęła go na bok.

- W co ty grasz, Alisso?

- Dlaczego myślisz, że w cokolwiek gram?

- No, a co robisz? Czyżbyś chciała odnowić znajomość z Jayem, a potem powiedzieć mi cześć?

Alissa wzdrygnęła się. Kłopot z człowiekiem, który jest twoim mężem od ponad dwudziestu lat, polega na tym, że dobrze cię zna. Za dobrze.

- Powiedziałam ci, Robercie, że nie jestem zainteresowana rozwodem.

Roześmiał się.

- O szukaniu sprawnego kutasa też z pewnością nie ma mowy. W tym celu nie musiałybyś tropić dawnego kochanka, prawda?

- Szczerze mówiąc, nie. Ale przecież *to* wiesz.

Usiadł na sofie. Skóra zaskrzypiała, przypominając Alisnie noc, kiedy przyłapała Natalie z synem Granta Wentwortha. Grant, pomyślała. Mężczyźni są takimi mętami. Dlaczego więc szuka Jaya? No, bo Jay nie jest mętym. Tylko czy na pewno?

- Nie myślisz chyba, że on jeszcze cię kocha? - Robert roześmiał się ponownie. - Nie, nie powiedziałem tego. Tyle samozadowolenia to nawet ty nie masz.

Alissa poczuła pieczenie w oczach.

- Dlaczego mi to robisz? - spytała. - Czy daje ci to jakąś perwersyjną przyjemność?

Robert położył łokcie na kolanach i schował twarz w dłoniach.

- Nie, Alisso, to w ogóle nie daje mi przyjemności. - Potarł czoło. - Dla mnie jest to raczej smutne.

Alissa nie odezwała się.

- Nie cieszysz mnie świadomością, że zawiodłem rodzinę.

- Zawiodłeś nas? Tak to nazywasz? Daj spokój, Robercie.

Słucha się ciebie, jakbyś właśnie stracił pracę, a my nie moglibyśmy przez to jechać do Disneylandu. Mam wrażenie, że sytuacja jest nieco bardziej poważna.

- Szkoda, że nie stało się inaczej - powiedział. - Wolałbym, żebyś nigdy się nie dowiedziała.

Alissa zgasiła papierosa.

- Jak długo, Robercie?

- Co „jak długo”?

- Jak długo jesteś pedałem?

Przez chwilę wydawał się zamyślony. Wpatrywał się w podłogę.

- Myślałem, że jestem biseksualny. To znaczy, nie wątpię, że dla ciebie nasze życie seksualne nigdy nie było pasjonujące, ale mnie całkiem zadowalało.

Całkiem zadowalało? Kiedy byli młodzi i podobno zakochani, jego to „całkiem zadowalało”? Co on, u diabła, ma na myśli? Przypomniała sobie swoje peniuary, które kazała szyć na zamówienie jako część wiana. Takie, które obcisnęły się na jej pięknym ciele i gwarantowały wywołanie erekcji. Ostentacyjne, naiwne oczekiwania narzeczonej, że będzie pożądana, wydawały się teraz dość zenujące.

- Mniej więcej dziesięć lat temu - ciągnął Robert - stwierdziłem, że wolę jednak mężczyzn. Może przedtem po prostu zaprzeczałem tej prawdzie przed sobą.

A może po prostu za mało cię podniecałam. Byłam za mało kobieca.

- Kiedy pierwszy raz byłeś z mężczyzną? - Alissa wyduśliła z siebie to pytanie zastanawiając się jednocześnie, skąd u niej bierze się potrzeba, żeby to wiedzieć.

Robert pokręcił głową.

- To nie był mężczyzna. To był chłopiec. Ja też byłem wtedy chłopcem. Pojechaliśmy na letni obóz. Miałem czternaście lat.

- O, Boże.

- Tak. O, Boże. - Odchrząknął, wstał i podszedł do szafy z książkami. Zaczął przesuwać kciukiem po grzbietach książek oprawnych w skórę. - Wiem, że czujesz się zdradzona, Alisso. Ale bardzo cię potrzebuję. Naprawdę mam nadzieję, że jesteśmy w stanie znaleźć jakieś rozwiązanie.

- Robię, co mogę - powiedziała.

- Poszukując kochanka z dawnych lat?

- Nie skamłaj, Robercie. Ktoś mógłby pomyśleć, że jesteś zazdrosny.

- Może jestem - powiedział. - Może w pewien sposób jestem.

Piętnaście minut po północy zabrzmiał dzwonek u drzwi. Alissa leżała w łóżku, szukając w najnowszej książce Robina Leacha inspiracji do czegoś wyjątkowo oryginalnego, wystrzałowego konceptu, który mogłaby włączyć do scenariusza balu, gdy tylko panie z Federacji Kobiet Atlanty otrzeźwieją i uprzytomnia sobie, jak bardzo jej potrzebują. Ale nawet delicje Robina nie mogłyby wywołać równie piorunującego wrażenia, jak obecność Zoe. Nawet gdyby jej powrót na ekrany nie okazał się tak wielkim sukcesem, jak zdawało się na początku, to jej publiczne pojawienie się w Atlancie po tylu latach dobrowolnego odosobnienia musiało ściągnąć uwagę całego świata. Jest coś mistycznego w życiu pustelników. Wiadomo, jak pomogło to Grecie Garbo.

Dzwonek zabrzmiał ponownie. Alissa odczekała, żeby sprawdzić, czy Dolores otworzy. Ale Dolores i Howard mieli mocny sen, istniała więc możliwość, że żadne z nich się nie zbudzi. Ciekawe, kto mógł przyjść o tej porze. I po co. Było nieco za późno na Betty Wentworth lub Sue Ellen Jamison z błaganiami o przebaczenie.

Po następnym natarczywym dzwonku zapadła cisza. Pewnie któraś z dziewczynek zgubiła klucz. Alissa zatrzasnęła książkę, wylazła z łóżka i naciągnęła szlafrok na koronkową koszulę nocną, której rąbek ledwie zakrywał jej obecnie bezpieczny i nie doceniony miękki wzgórek łonowy. Cicho wyszła ze swej pięknie urządzonej sypialni, wdzięczna niebiosom, że to Robert przeniósł się do innego pokoju. Alissa szczerze nie znosiła zaburzeń ustalonego porządku.

Szła po schodach na dół, kiedy dzwonek odezwał się znowu.

- Jezu Chryste - burknęła. - Już idę.

- Alisso? - Odwróciła głowę w stronę galerii, na której stał Robert, ubrany w jedną z tych koszmarnych jedwabnych piżam w kolorze lawendy, które specjalnie *zamawiał* tuzinami w tym idiotycznym sklepiku w Soho. Lawendowy jedwab. Teraz to do niej dotarło. Powinna była wcześniej dostrzec tę poszlakę, świadczącą o jego orientacji seksualnej. W dłoni trzymał maseczkę na oczy.

- Czy wszystko w porządku?
- Wracaj do łóżka, Robercie. Na pewno któraś z dziewczynek nie może się dostać. - Robert jednak się nie ruszył. Rycerz. Mąż doskonały.

Nie próbując przeniknąć wzrokiem matowej szyby w drzwiach, Alissa pociągnęła ku sobie drzwi. Nie stała przed nią żadna z dziewcząt. Był to Danny Gordon. Zachłysnęła się powietrzem.

- Co pan tu robi, u diabła? - spytała stanowczym tonem. Danny wzruszył ramionami.

- Zdaje się, że dostałem nakaz przyjazdu.

- Alisso? - odezwał się ponownie Robert z galerii.

Zbyła go skinieniem dłoni.

- W porządku, Robercie. Wracaj do łóżka. - Robert wahał się przez chwilę, po czym odszedł do swego pokoju z miną odrzuconego kochanka.

- Czy zamierza mnie pani trzymać na zewnątrz? - spytał Danny.

Alissa spojrzała na niego gniewnym wzrokiem.

- Skąd pan ma mój adres?

Danny wszedł za nią do sieni.

- Jestem prywatnym detektywem, proszę o tym pamiętać.

Trzasnęła go w twarz, gdyby nie wyglądał tak cholernie seksownie w tej zmiętej drelichowej koszuli i obcisłych dżinsach. Nosił też kowbojskie buty robione specjalnie na zamówienie. Zastanawiała się, czy ma choć jedną parę bardziej bezpiecznego obuwia.

- Proszę bardzo, niech pan wejdzie, Gordon - powiedziała zimno i gestem zaprosiła go do gabinetu.

Cisnął aktówkę na sofę i usiadł, splatając ramiona na piersi. Twarz zdobił mu szeroki, bezczelny uśmiech.

- Służę uprzejmie, niech pan się rozgości - powiedziała Alissa. - A potem chcę usłyszeć, co pan, u diabła, robi tu w środku nocy.

- Przecież powiedziałem: dostałem nakaz przyjazdu.

- Bardziej cywilizowana osoba odczekałaby do rana.

Znowu szelmowsko się uśmiechnął.

- Tak przypuszczam.

Alissa westchnęła i usiadła obok niego na sofie. Zdawała sobie sprawę z mrowienia, jakie odczuwała pod nocną koszulą. Szkoda, że ten facet jest poza moim zasięgiem, pomyślała. Szkoda, że napalił się na Meg. W każdym razie

z pewnością nie zamierzała go usatysfakcjonować okazaniem wściekłej żądz, jaką wyzwałała w niej jego bliskość. Nie zamierzała mu sprawić najmniejszej satysfakcji. Za nic nie mógł się domyślić, że zjawiając się bez zapowiedzi o tej porze, *zastał ją w stanie kompletnego uśpienia czujności.*

- No, już dobrze, faktem jest, że pan przyjechał, a był po temu najwyższy czas. Wobec tego zaczynamy.

Danny wyciągnął z aktówki notesik.

- Pani zdaniem powinienem iść do jego rodziny.

- Tak. Na posiedzeniach kilku zarządów spotykam ciotkę Jaya. Ona na pewno wie, gdzie on jest.

Danny uniósł brew.

- Nigdy nie przyszło pani do głowy, żeby ją zapytać?

- Stockwellom nie zadaje się takich pytań.

- Rozumiem. Co w tej sytuacji mi pani radzi?

- To pan jest detektywem. Pan ma się dowiedzieć.

- No, ale pani zdaje się całkiem dobrze wiedzieć, jak mam wykonywać moją robotę.

Alissa wstała i podeszła do barku.

- Napije się pan brandy, Gordon?

Wyciągnęła korek z eleganckiej karafki i nalała ciemnobursztynowego płynu do małego kieliszka, *zadowolona, że tak ciasno ściąga poły szlafroka i nadal panuje nad chęcią uwiedzenia tego faceta.*

- Co się stało z „Dannym”? - Stał teraz za nią tak blisko, że czuła na karku jego ciepły oddech. Nie słyszała, jak podchodził. Zamarła.

- Chce pan brandy, Danny? - wyszeptwała, czując, jak stworzona przez nią dla własnych potrzeb tarcza zaczyna się kruszyć. Wyraźnie wyczuwała smak wstępnej gry miłosnej.

- Nie, dziękuję - odpowiedział.

Obróciła się. Dużymi krokami oddalał się w stronę sof. Czyżby celowo drażnił jej zmysły? Oparła się o barek i zamieszała brandy w kieliszku. Nie mogła pozwolić, żeby wziął ją na takie gówniane numery.

- Jego rodzina ma biura w centrum - powiedziała. - Ale nie przejdzie pan przez recepcję. Szczególnie z takim wyglądem. - Skinęła głową w jego kierunku.

- Czy w Stockwell Media Group obowiązuje *formalny* ubiór?

- W Stockwell Media Group obowiązują zasady - odparła.

- I tak chyba powinienem zacząć od ciotki. Zdaje się, że z kobietami lepiej mi idzie.

Alissa upiła łyk brandy. Trunek palił ją w gardle.

- Niewątpliwie ma pan rację.

Przez chwilę mierzyli się wzrokiem. Nagle drzwi gabinetu otworzyły się.

- Mamo, jesteś... - Na progu stała Michele i spoglądała na Danny'ego. - Oj, przepraszam bardzo.

Alissa zmarszczyła czoło.

- To jest pan Gordon, Michele. Pracujemy razem nad pewną sprawą.

Michele nie wydawała się przekonana.

- Dobry wieczór panu. Dobranoc, mamu. - Zamknęła drzwi.

- Urocza dziewczyna - powiedział Danny.

- Moja starsza.

- Wykapana matka.

- Ma dopiero osiemnaście lat.

- Wygląda starzej.

- Niech pan sobie za wiele nie pozwala.

Danny uśmiechnął się.

- Ma pani wypaczony obraz mojej osoby, Alisso.

- Wątpię. Dobrze, więc przy czym byliśmy?

Założył nogę na nogę, część nogawki dżinsów wysunęła mu się z buta. Boże, pomyślała Alissa. Co takiego w tych butach doprowadza mnie do szaleństwa? Danny poruszył stopą. Skóra zaskrzypiała.

- Moim zdaniem ustaliliśmy, że muszę zacząć od ciotki.

Wypiła następny łyk brandy.

- Tak. Mogę panu dać jej adres.

- Nie ma potrzeby. Już go zdobyłem.

- O!

- Taką już mam pracę, nie wiem, czy pani sobie przypomina. - Znów błysnął szelmowskim uśmiechem i przecesał dłonią rozwichrzoną, cholernie twarzową fryzurę.

Alissa odstawiła kieliszek. Gdyby musiała wytrzymać tu jeszcze minutę, naga pod szlafrokiem, czując na ciele jedynie chłód atłasu i koronki, gdyby musiała wytrzymać tu jeszcze minutę, chłonąc zmysłami emanujący od niego testosteron, wdychając jego zapach, gdyby musiała wytrzymać tu jeszcze minutę, to odpieprzyłoby jej kompletnie. Znów upewniła się, czy pasek dobrze trzyma poły jej szlafroka.

- W każdym razie na pewno sobie przypominam - powiedziała w końcu - że najęłam pana do znalezienia Jaya Stockwella. Spodziewam się aktualnych informacji do jutrzejszego wieczora. A teraz dobranoc, panie Gordon. Czy mam pana odprowadzić do drzwi, czy trafi pan sam?

Spotkali się następnego wieczoru w barze, w czeluściach Undergroundu. Było to ciemne, gwarne miejsce, schowane na tyłach Kenny's Alley. Alissa często tam przychodziła, kiedy nie chciała, żeby zobaczył ją ktoś znajomy. Ludzie z jej środowiska omijali Underground. Za modne miejsce, za bardzo lubiane przez turystów, za wielu tam artystów z bożej łaski, sprzedających swe prace z wózków, ulicznych muzykantów, butików z mocno przesolonymi cenami, sklepów z antykami i gości, którzy żując nowoorleańskie nadziewane racuchy do kawy z mleczkiem zastanawiają się, dlaczego nie mają takiej kiczowato-podziwowej dzielnicy handlowej pod ulicami swojego rodzinnego miasta. Byli to zresztą ci sami ludzie, którzy kupowali towary dla wsparcia bezdomnych z Atlanty.

Kiedy Danny zatelefonował późnym popołudniem, żeby powiedzieć jej, że zdobył pewne informacje, Alissa szybko zaproponowała to właśnie miejsce. Nie chciała, żeby Robert ją szpiegował, nie chciała, żeby Danny'emu znowu wpadła w oko jej córka.

- No, to czego się pan dowiedział? - spytała, wślizgnąwszy się między wysoką ławę a stolik.

- Ciekawe miejsce pani wybrała - stwierdził Danny, ignorując pytanie i wykonując płynny gest w stronę ścian z sepiowymi grafikami. Przedstawiały one staroświeckie saloony i stajnie, które znajdowały się w tym miejscu pod koniec dziewiętnastego wieku, na długo, zanim zostały skazane na symboliczny byt pod ziemią.

- Nie wybrałam tego miejsca na spotkanie, żeby poszerzać pańskie horyzonty kulturalne - powiedziała Alissa. - Chcę po prostu usłyszeć, czego pan się dowiedział.

Bez pośpiechu napił się piwa z kufła, potem otarł kciuki ust.

- Niewiele. Ciotka nie miała z nim kontaktu od dwóch lat

- I ściągnął mnie pan tutaj, żeby mi to powiedzieć? To nazywa pan informacją?

Danny uniósł dłoń. Zauważyła, że ma na sobie tę samą koszulę, co poprzedniego wieczoru. Ciekawe, czy w niej spał. Nagle naszło ją wyobrażenie Danny'ego we śnie, nagiego. Odpędziła tę myśl.

- Bo mam informację - powiedział. - Dwa lata temu Jay Stockwell był w Szanghaju.

- W Chinach?

- Nigdy nie słyszałem o innym Szanghaju.

- Bardzo śmieszne. Jak pan się tego dowiedział?

Pokręcił głową.

- Przepraszam, nie mogę zdradzać tajemnic zawodowych.

- Trudno z panem wytrzymać, wie pan?

Uśmiechnął się. Poczula, że topnieje. Niech go diabli...

- A owszem - przyznał. - Mówiono mi to.

Żałowała, że włożyła czarny golf i džinsy. W zestawieniu z czarnymi pantoflami na wysokim obcasie dawało to zbyt seksowny efekt. Niepokoiło ją, że Danny może coś sobie niesłusznie wyobrazić. A może słusznie? Nawet jeśli Meg z nim sypia, to co z tego? Przecież nie są przyjaciółkami ze szkolnej ławy. Meg nic nigdy dla niej nie zrobiła. Z wyjątkiem przedstawienia jej Danny'ego.

Spojrzała spod przymrużonych powiek w jego niesamowite oczy. Bez Granta Wentwortha pod boki niebezpiecznie łatwo się podpałała. Potrzebowała solidnego kutasa. Podejrzewała, że Danny byłby do tego fantastyczny. W każdym razie na pewno przerastał marzenia.

- Co pan teraz zamierza? - spytała, zapalając papierosa.

- Wrócić do Nowego Jorku.

Poczula ssanie w żołądku.

- Dlaczego do Nowego Jorku, a nie do Szanghaju?

- Mówiłem pani, nie wiem już ile razy, że jestem człowiekiem zajęтым - roześmiał się Danny. - Mam obowiązki w Nowym Jorku.

Alissa oparła się o plecy ławy.

- A więc to tak? Tyle dostaję za moje pieniądze? Chryste. Powinam była najać prawdziwego detektywa.

Danny znowu przystawił kufel do warg.

- Najeła pani. Takiego, któremu można zaufać, chyba sobie pani przypomina? Może wypije pani kieliszek wina albo coś innego?

- Nie. Nie zamierzam tu siedzieć.

Upił łyk.

- Jak pani sobie życzy. Proszę pamiętać, że ostrzegałem. Poszukiwania mogą trochę potrwać.

Alissa poczuła wzbierające łyzy.

- Zupełnie nie mam czasu - powiedziała cicho.

Danny odstawił kufel i przyjrzał jej się uważnie.

- Po co ten pośpiech?

Nie mogła uwierzyć, że po policzku płynie jej łyza. Szybko strzepnęła ją dłonią, mając nadzieję, że Danny nic nie zauważył.

- Chcę go znaleźć, żeby popchnąć sprawy - powiedziała.

- Może pan nie uwierzy, ale mam co robić z życiem.

- Zauważyłem. Ten facet, co stał wczoraj wieczorem na górze, to, jak rozumiem, pani mąż.

- Tak. - Nie była w stanie powiedzieć nic więcej. Bała się następnej łyzy.

- Czy on wie, że pani szuka Jaya Stockwella?

- W zasadzie to nie pańska sprawa, ale mogę panu powiedzieć, że tak.

Danny skinął głową.

- O, to ciekawe.

Do jej serca wkradło się dziwaczne pragnienie, by bronić Roberta. Może zresztą chciała bronić siebie samej.

- Robert i ja żyjemy każde swoim życiem.

- Byłbym skłonny sądzić, że w pani kręgu towarzyskim patrzy się na to dość niechętnie. - Wiedziała, że chciał ją wykpić, ale nie umiała się obrazić. Wykluczał to jego szelmowski uśmiech. Uniemożliwiał manipulację. Alissa dałaby wszystko, żeby ujrzeć ten uśmiech w chwili, gdy dłonie Danny'ego będą pieścić jej ciało. Głęboko wciągnęła dym z papierosa i zaczęła bawić się serwetką.

- Może jednak wypiję kieliszek wina.

Danny przyzwał gestem kelnera.

- Wino - zażyczył sobie. - Chardonnay.

Kelner odszedł.

- Skąd pan wie, że na to mam ochotę?

- Nie wygląda mi pani na osobę pijącą chablis. Burgunda też nie. A w takim miejscu prawdopodobnie nie ma większego wyboru.

Znów spojrzała mu w oczy. przenikając głęboko za zasłonę gęstych rzęs.

- Nie musimy tutaj zostawać - powiedziała.

Klepnął ściankę kubka.

- Co pani miała na myśli?

Uśmiechnęła się.

- To zależy.

- Od czego? - spytał z uśmiechem.

Zgasiła papierosa.

- Od tego, gdzie się pan zatrzymał.

Danny dokończył piwo.

- Prawdę mówiąc, mam rezerwację do Nowego Jorku. Samolot odlatuje o jedenastej.

- Dziś wieczorem?

- Dziś wieczorem.

Alissa siłą woli zachowała niewzruszoną twarz.

- Rozumiem.

- Poza tym - dodał Danny - nigdy nie mieszam interesów z przyjemnością.

Twarc jej zapłonęła. Sukinsyn, pomyślała. Boże, co za sukinsyn.

- A cóż ja takiego pańskim zdaniem sugerowałam, Gordon?

Wzruszył ramionami.

- Nic szczególnego. Ale nie chciałem, żeby pani pomyślała, że mam zwyczaj wykorzystywać klientów.

- Czy to odnosi się również do Meg Cooper?

Obrócił w palcach pusty kufel. Trafiła w słaby punkt.

- Wie pan, Danny - podjęła Alissa. - Meg nie była ze mną całkiem szczerą. Już rozumiem dlaczego.

- O czym pani mówi?

- Myślę teraz, że jej dawną obsesją, zaginionym kochankiem wcale nie jest ktoś szeroko znany. Prawdopodobnie wyobraża sobie, że mężczyzną, który powinien być zostać jej mężem, jest pan.

Danny ściszył głos.

- Nie wiedziałem, że Meg też kogoś szuka.

- Na pewno pan wiedział. Głupi pan nie jest.

Danny trwał w milczeniu. Kelner przyniósł wino. Alissa spojrzała na kieliszek, wzięła torebkę i wstała.

- Niech pan zadzwoni do mnie, kiedy znajdzie pan Jaya Stockwella - powiedziała. - Nie wcześniej.

Rozdział jedenasty

Dlaczego nie powiesz mi, dokąd jedziesz? - W głosie Scotta zatroskanie mieszało się ze smętnym zawodem.

Zoe starała się na niego nie patrzeć. Zwinęła sportową bluzę i schowała ją do walizki. Był koniec maja, sądziła jednak, że w Minnesocie mogą jeszcze panować chłody.

- Powiedziałam ci - zaczęła, usiłując stłumić irytację. - To nie jest ważne. Będę za kilka dni.

- Dopiero wróciłeś do domu.

- To co innego. Byłam w uzdrowisku.

- Dlaczego co innego? Jak cię nie ma, to cię nie ma.

Pod sportową bluzę wcisnęła flanelową koszulę nocną.

- Lepiej do tego przywyknij. Jeśli mam znowu pracować, to będę musiała od czasu do czasu wyjeżdżać.

- Chcę jechać z tobą.

Zoe westchnęła i zapięła walizkę. Odwróciła się do Scotta, jeszcze nie pogodzona z faktem, że musi spoglądać w górę, bo syn jest teraz od niej pięć centymetrów wyższy. Ani z tym, że jasną karnacją skóry, jasnymi oczami i doroślejącymi rysami twarzy Scott co dzień bardziej przypominał Erica. Zastanawiało ją, czy któregoś dnia też złamie serce jakiejś dziewczynie, tak samo jak Eric złamał jej.

- Czy nie możesz mi po prostu zaufać? Ani się obejrzysz,

jak wrócę, obiecuję. Poza tym powinieneś się pouczyć do końcowych egzaminów.

Scott zmarszczył czoło.

- Główka pracuje. Nie muszę się uczyć. Proszę cię, mam. Chcę jechać z tobą.

Zoe ściągnęła walizkę z łóżka i postawiła ją na podłodze.

- Nie.

Zaczął chodzić po pokoju.

- Więc przynajmniej powiedz mi, dokąd jedziesz. Mam prawo wiedzieć.

Czternaście lat to trudny wiek. Za dużo, żeby traktować chłopca jak dziecko, za mało, żeby uważać go za dorosłego. Choć prawdopodobnie Scott był ze swoimi doświadczeniami bardziej dorosły, niż Zoe chciała przyznać. Przecież przez pierwsze dwa lata życia matka prawie się nim nie zajmowała, a teraz stracił człowieka, którego nazywał ojcem. Zoe zawiązała jedwabną apaszkę na szyi.

- Słusznie, Scott. Masz prawo wiedzieć, dokąd jadę. Ale jeszcze nie dojrzałam, żeby ci to powiedzieć.

Zaszurał nogami o podłogę i spuścił wzrok.

- Więc pozwól się odprowadzić na lotnisko.

- Nie. Marisol podwiezie mnie pod samo wejście.

Wykonał rozpaczliwy gest.

- Mamo! Po co ten klimat filmu płaszczka i szpady? Pozwól mi przynajmniej jechać na lotnisko!

Zoe uśmiechnęła się.

- Żebyś mógł wejść za mną do holu i zobaczyć, dokąd lecę? Naprawdę, Scott, przesadzasz. Nikt oprócz ciebie nie robi z tego filmu płaszczka i szpady. A teraz proszę cię - powiedziała, wskazując dużą walizkę stojącą na podłodze - wynieś to do samochodu. Ja wezmę podręczny bagaż. - Podręczna torba była bardzo ważna. Zoe miała w niej blond perukę i wielkie, okrągłe okulary przeciwsłoneczne.

Pochylił się i podniósł walizkę.

- Wiesz co, mam? Chyba będzie mi się podobało, że jesteś gwiazdą.

Zoe poczuła bolesny wyrzut sumienia. Dlaczego podsunęła Scottowi myśl, że ta nagła podróż ma coś wspólnego z jej karierą? Dlaczego po prostu nie powie mu wreszcie o Ericu? Jeszcze nie teraz, zrugwała się w myślach. Poczekaj, aż wrócisz do domu. Przecież Eric może potraktować cię jak powietrze. I Scott wcale nie będzie musiał niczego

wiedzieć o swoim prawdziwym ojcu. Wyciągnęła rękę i zmierzwiła chłopcu czuprynę.

- Na pewno. Znowu będzie nam się wspaniale żyło.

Scott ruszył do drzwi sypialni.

- Nie wiem, jak może być jeszcze kiedyś wspaniale bez taty.

Zoe przyglądała się odchodzącemu synowi i pierwszy raz pomyślała, że może lepiej zostawić wszystko po starremu. Zapomnieć o szukaniu Erica, nie niepokoić dodatkowo Scotta, Marisol... i siebie samej. Wszyscy i tak są niespokojni. Ale już nic nie jest takie samo, uświadomiła sobie. Nigdy nie będzie. William odszedł, a ty musisz sama zadbać o siebie. Czas pozbierać swoje życie do kupy, i to szybko.

Kiedy ostatnio miałyśmy przed sobą jakiś sekret? - spytała Marisol w pobliżu portu lotniczego.

- Proszę, nie zaczynaj i ty. Już przerobiłam to ze Scottem.

- Nie jestem twoim synem, tylko najlepszą przyjaciółką. Tą, której wszystko mówisz.

- Więc powinnaś znać mnie na tyle, żeby tym razem dać mi spokój. - W tej chwili bardzo chciała umieć manipulować ludźmi tak jak Alissa. Była pewna, że gdy przyjdzie czas znaleźć Jaya Stockwella, Alissa załatwi wszystko prędko i sprawnie, lepiej niż zrobiłby to ktokolwiek inny. To samo Meg. Szczęściara. Nie musi nikomu odpowiadać na pytania ani przed nikim zdawać sprawozdań z tego, co robi. Ciekawe, jak poszedł jej ten wieczór z lubym. Może nie dała potem znaku życia, bo nie chciała sprawić przykrości swą radością. Albo wprost przeciwnie, nie chciała zniechęcać do tego, co Zoe właśnie zamierzała zrobić.

- Czy to ma coś wspólnego z filmem? - spytała Marisol.

- Nie, nic poza tym, że dostaję kręćka siedząc na tyłku i czekając na odpowiedź, więc muszę dokądś wyjechać.

- Czy to ma coś wspólnego ze zbieraniem pieniędzy?

- Marisol, proszę cię...

- Powiedziałam ci, że jeszcze mi trochę zostało. Jeśli ma to coś wspólnego z pieniędzmi...

- To nie ma nic wspólnego z pieniędzmi.

- *Martwisz się o szkołę* Scotta, tak?

- Słucham?

- Martwisz się, że nie będzie cię stać na wystanie go

jesienią do prywatnej szkoły. Że będzie musiał chodzić do publicznej.

Zoe wyjrzała przez szybę samochodu.

- Owszem, przeszło mi to przez głowę.

Marisol podjechała do stanowiska z napisem „Odloty”. Zatrzymała samochód, jakoś wciskając go między furgon i limuzynę.

- Czyli o to chodzi.

- O co?

- Chcesz poszukać innej szkoły dla Scotta. Może tańszej. Chcesz odesłać go daleko od domu.

Zoe otworzyła drzwi.

- Marisol, proszę cię. Nie zamierzam nigdzie syna odsyłać.

- Nawet nie do tej szkoły na wschodzie, do której chodził William? Założę się, że wydebiłabyś od nich jakąś zniżkę.

Zoe wzięła podręczną torbę.

- Nie będę szukać żadnej szkoły dla Scotta. Wyjeżdżam na kilka dni. Kropka. Koniec rozmowy. - Postawiła nogę na chodniku.

- Zadzwonisz do mnie? - spytała Marisol.

- Oczywiście, że tak.

Zoe stanęła przy krawężniku czekając, aż ktoś pomoże jej przenieść bagaż. Pojawił się tragarz. Obejrzał jej bilet, załadował walizkę na wózek i odjechał. Zoe wsunęła głowę do samochodu.

- No, to lecę.

Marisol położyła jej dłoń na ramieniu. Zoe spojrzała na zniszczone brązowe palce z opuchniętymi knykciami i krótko obciętymi paznokciami, za którymi tkwiły szare resztki gliny. Ceramika, Zoe i Scott to było całe życie Marisol. Zaburzenie tej harmonii byłoby dla niej tragedią, a jednak Zoe musiała zaryzykować.

- Zoe, czy zniesiesz jeszcze jedno pytanie?

Zoe spojrzała w ciemne oczy przyjaciółki.

- Pod warunkiem, że nie ma nic wspólnego z celem mojego wyjazdu.

Marisol odwróciła głowę i popatrzyła w jakiś punkt przed samochodem.

- Czy chodzi o Erica Matthewsą?

Zoe poczuła uderzenie przenikliwego chłodu. Marisol za dobrze ją знаła. Ale przyjaciółka grała nieczysto. Zoe

musiała zrobić to sama, zasługiwała na odrobinę prywatności, na prawo do myślenia i postępowania po swojemu. Przez chwilę stała nieruchomo, potem wyprostowała się.

- Jutro do ciebie zadzwonię - powiedziała. - Opiekuj się Scottem. - Zatrzęsnęła drzwiami samochodu i odeszła w stronę hali odlotów ze złością, determinacją i sporym poczuciem winy.

Na lotnisku Zoe skierowała pierwsze kroki do damskiej toalety. Tam włożyła perukę i okulary. Nie była to odpowiednia chwila na otaczanie się wianuszkami fanów ani na udzielanie jakichkolwiek odpowiedzi. To był czas dla niej. Nie dla Scotta, nie dla Marisol. I na pewno nie dla jej fanów.

Przystanęła obok stoiska z prasą i kupiła ostatni numer „New Yorkera”, potem sprawdziła numer bramki dla odlatujących do Minneapolis. W przesiadkowym samolocie do Hibbing nie było miejsc. W Minneapolis Zoe musiała więc pomyśleć o wynajęciu samochodu, a potem wytrzymać nużące siedzenie za kierownicą. Ale miała nadzieję, że warto.

Weszła na pokład, zachowując incognito odnalazła swe miejsce i rozsiadła się, zakrywając twarz szeroką płachtą czasopisma. Utrzymywała tę pozycję przez trzy czwarte lotu, jeśli nie liczyć niezbyt gorliwej próby zjedzenia jałowego lunchu i krótkiego wypadu do toalety. Postanowiła nie myśleć o Ericu aż do lądowania w Minneapolis. Miała jeszcze przed sobą wiele godzin jazdy na północ, więc zdąży zaplanować, co zrobi i powie, jeśli odnajdzie jego rodziców lub *samego Erica*.

Ale gdy samolot zaczął kołować nad lotniskiem, myśli Zoe zabłądziły do Erica i nie mogły już się od niego oderwać. Odłożyła więc czasopismo i zaczęła oglądać przez iluminator chmurne niebo. Rozmyślała o tym, jak Eric ją kochał i jak ona go kochała. Cielęca miłość, może i tak, ale w swoim czasie wydawała się najprawdziwsza. Zresztą nie można powiedzieć, że byli razem nie dość długo i nie znali się dostatecznie. Siedem lat. Przez siedem lat prowadzili wspólny dom, żyli jak mąż i żona. Patrząc na to z perspektywy, Zoe wiedziała, że przez pierwsze dwa lata było im ze sobą najlepiej. Żadne z nich nie mogło wtedy znaleźć pracy, posiłki przyrządzali z resztek, które Eric przynosił

z restauracji, gdzie wycierał stoliki. Mogli polegać tylko na sobie i swojej miłości.

Potem Tim Danahy odkrył Zoe. Wraz z rozwojem jej kariery Eric schodził na dalszy plan. Tej nocy, gdy zaszła w ciążę, wrócił do domu pijany, co zdarzało mu się coraz częściej, w miarę jak nazwisko Zoe zyskiwało rozgłos. Pochwycona przez wir rosnącej sławy - zajęta, ożywiona i oszołomiona optymizmem - Zoe nie zauważyła dogasania miłości. Zdawało jej się, że wszystko, czym się zajmuje, robi dla nich obojga.

Rzeki i ulice, domy i gmachy zaczęły zwiększać swoje rozmiary, bo samolot obniżył lot i podchodził do lądowania. W chwili gdy Zoe poczuła wstrząs przy zetknięciu kół maszyny z ziemią, uświadomiła sobie nagle, dlaczego tak bardzo chce odnaleźć Erica i dlaczego tak jej się z tym śpieszy: nie mogła budować przyszłości, nie rozliczywszy się z przeszłością. Alissa Page obudziła w niej niepokój, który trwał w uśpieniu przez lata. Zoe wiedziała, że bez względu na Alisnę prędzej czy później próbowałyby znaleźć Erica. Jeśli nie dla miłości, to z zemsty. Bo tak samo jak zasługiwała na prawo do swoich prywatnych spraw nie znanych Marisol ani Scottowi, zasługiwała również na wyjaśnienie, dlaczego Eric od niej odszedł. Dlaczego pozwolił jej otrzeć się o śmierć.

Wałęsając się po terminalu w poszukiwaniu najtańszej agencji wynajmu samochodów, Zoe zrobiła w myślach szybki budżet. Nie całościowy, broń Boże, tego by nie zniosła, ale podliczyła gotówkę, którą miała w tej chwili przy sobie. Pozwoliła sobie na wzięcie zaledwie sześciuset dolarów na podróż, a dzięki ostatnim wojnom ekonomicznym między liniami lotniczymi udało jej się kupić najtańszy bilet na obie strony za zaledwie czterysta. Zostało więc dwieście na samochód, miejsce w hotelu i jedzenie. Sto dziewięćdziesiąt siedem, poprawiła się w myślach, gdyż dała już trzy dolary tragarzowi. Prawdę mówiąc, tak długo żyła w oderwaniu od rzeczywistego świata, że nie była nawet pewna, czy sto dziewięćdziesiąt siedem dolarów jej wystarczy. Przystanąła przy ladzie z szyldem „Wynajem samochodów po obniżonych cenach”. Ciekawe, czy jej fani uwierzyliby, że Zoe była zmuszona liczyć pojedyncze banknoty dolarowe.

W kilka minut później wdrapała się do najtańszego wozu, jaki była w stanie znaleźć: czteroosobowego grata z opuszczanymi ręcznie szybami i trzeszczącym radiem. Ale kosztowało ją to tylko sześćdziesiąt dziewięć dolarów za cztery dni, w tym ubezpieczenie. Horyzont wyraźnie się rozjaśniał.

Wyciągnęła mapę samochodową, którą dostała od urzędnika w agencji wynajmu, zapaliła Szczekliwy i żałośnie słaby silnik, pokonała jakoś labirynt najrozmaitszych ramp i popędzana lękiem w sercu ruszyła na północ do Hibbing, miejsca urodzenia sławnego piosenkarza Boba Dylana, który z piosenkarza w stylu pop stał się piosenkarzem folkowym, i sławy Hollywood, Zoe, która z gwiazdy stała się legendą. Ciekawiło ją, jak będzie się czuła w domu.

Okolica nie wyglądała znajomo. Na autostradzie numer 35 tylko niektóre nazwy budziły w niej mgliste wspomnienia. North Branch, Pine City, Sandstone. Z dwóch corocznych wypraw do Minneapolis, które jej rodzina urządzała, żeby kupić ubrania oraz buty i posmakować cywilizacji, pamiętała nie miasta, lecz znaki na drodze. Spojrzała na zegarek. Powinna była dotrzeć do Hibbing przed zapadnięciem zmroku. Skan Anula43, przerobienie pona.

Przystanąła w Cloquet, żeby zjeść sandwicza i wypić filiżankę kawy; potem skręciła do szosy numer 53, którą miała dojechać do Virginii. Przypomniała sobie parę dzinsów kupioną w Virginii w magazynie Woolwortha. Były jasnoniebieskie, szyte rdzawą nicią. Eric powiedział jej, że seksownie w nich wygląda, więc stały się jej ulubionym strojem. Zabrała je z sobą do Los Angeles i chodziła w nich jeszcze długo potem, choć dawno już miała pieniądze na nowe. Nosiła je dla Erica. Po ich rozstaniu wyniosła te dzinsy na śmietnik, razem z fotografią Erica ze szkoły średniej, programem z „West Side Story”, króliczą łapką. Rzuciła to wszystko w cholerę, tak samo jak on ją.

Virginia była pierwszym miastem, które wydała jej się znajome. Tam też zobaczyła pierwszy drogowskaz z napisem „Hibbing”. Strzałka wskazywała na zachód, ku szosie numer 169. Serce zabiło jej mocniej, gdy skręciła przy drogowskazie w lewo i pierwszy raz od dwudziestu lat ruszyła w rodzinne strony.

Wciąż rosły tam lasy. Kilometrami nie widziała nic oprócz olbrzymich drzew, wyższych, niż pamiętała, gęściej-

szych; tylko z rzadka pojawiał się jakiś dom. Uśmiechnęła się, widząc na poboczu pierwszy wskaźnik przeciwpożarowy. Informował, że zagrożenie jest przeciętne. Dobrze znała ten widok, poczuła się swojsko. Westchnęła i spróbowała rozluźnić ciało, zdrętwiałe na twardym, tanim siedzeniu.

Nagle pojawiła się stacja benzynowa. Znak rozpoznawczy obrzeży miasta. Zoe zauważyła jednak, że coś się zmieniło. Stacja wyglądała czyściej, była jakby nowsza. Znikł garaż na trzy samochody, a zamiast niego postawiono coś w rodzaju sklepu z mydłem i powidłēm. Na wszystkich pompach widniał napis „samoobsługa”.

Sprawdziwszy zapas benzyny, postanowiła zatankować. Zaparkowała przy pompie i wysiadła. Nikogo dookoła nie było. Weszła do sklepu. Samotna sprzedawczyni siedziała za ladą, oglądając telewizję.

- Dobry wieczór - powiedziała Zoe.

Dziewczyna podniosła wzrok, przesłała jej półuśmiech, po czym znów zajęła się oglądaniem programu. Uwagę Zoe zwróciło, że nie była to nordycka blondynka. Miała rude włosy i piegi. Integracja, pomyślała Zoe. W końcu integracja dociera na Środkowy Zachód. Ale stało się to za późno dla ciemnookiej Żydówki, która uciekła do Kalifornii, zanim padła ofiarą uprzedzeń.

Pokręciła się po wnętrzu i wybrała butelkę mrożonej herbaty oraz paczkę beztłuszczowych ciasteczek cynamonowych. Prawdopodobnie smakowały jak tektura, ale był to lepszy zakup niż Twinkies albo Ring-Dings, chociaż Zoe wolałaby ten gorszy. Podeszła do kasy i położyła towar na ladzie.

- Potrzebuję też trochę benzyny - powiedziała, kiedy sprzedawczyni podliczyła rachunek. - Jak mogę ją kupić?

- Przy której pompie pani stoi?

- Przy jakiej pompie?

Dziewczyna westchnęła i wyszła z za lady. Zerknęła przez okno.

- Numer trzy - powiedziała.

- Numer trzy? - Zoe nie rozumiała. Dla niej wszystkie pompy wyglądały jednakowo.

- Włączę tę pompę. Niech pani zdejmie korek wlotu paliwa i zatankuje. Ile benzyny pani potrzeba?

- Nie wiem. Chyba do pełna.

- Więc poproszę piętnaście dolarów z góry.

- Dlaczego?

- No, żeby mi pani nie zwała, nie? Ale szef dałby mi popalić!

Zoe wręczyła jej piętnaście dolarów.

- Proszę wrócić, jak pani zatankuje. Wyrównamy rachunek.

W jakiś sposób Zoe zdołała nabrać paliwa. Rozlała sobie trochę benzyny na ręce i trochę na błotnik. Zastanowiło ją, ile pieniędzy na tym straciła. Dziesięć centów? Może ćwierć dolara? Z powrotem zaczepiła końcówkę węża o pompę i powiedziała sobie, że jest śmieszna. Przez ćwierć dolara czy dziesiątkę nie trafi do slumsów. A może jednak?

Dziewczyna miała jej zwrócić dwa dolary i trzydzieści pięć centów. Kiedy wyjmowała pieniądze z kasy, Zoe dostrzegła okazję. Wzięła głęboki oddech i nastawiła się na obojętny ton, wyrażający zainteresowanie, lecz nie przesadne, pamiętała bowiem, że na północy Środkowego Zachodu ludzie pilnują swoich spraw przed obcymi.

- Może pani wie, czy Matthewsowie jeszcze tutaj mieszkają? - spytała, chociaż telefon z Golden Key już dał jej na to odpowiedź.

- Starzy? Jasne. Tata Matthews z żoną mieszkają na State Road. Od zawsze. Pani z okolicy?

- Nie - odparła Zoe odrobinę za szybko. - Mój ojciec często robił interesy z tatą Matthewsem. Czy on jeszcze prowadzi sklep?

Dziewczyna pokręciła głową.

- Nie. To stare dzieje. Wiara chodzi teraz tam, gdzie jest dużo sklepów w jednym miejscu. Albo wpada tutaj.

Dziewczyna miała zaskakująco mało zahamowań w udzielaniu informacji. Zoe uznała, że młode pokolenie wykształciło sobie własne zasady, nawet w Hibbing. Podeszła bliżej.

- Pamiętam, że Matthewsowie mieli syna. Czy też jeszcze tu mieszka

- Eric? Jasne. Ale nie w samym Hibbing. Ma taką knajpkę w Chisholm. Moja siostra jest u niego kelnerką.

Zoe starała się nie okazać podniecenia, nie zdradzić się zmienionym wyrazem twarzy. Eric był tutaj. Niedaleko. Jednak wrócił do Minnesoty. I wiedziała teraz, gdzie go znaleźć.

- O! - powiedziała, odgarniając blond kosmyk. - A czy jest w pobliżu jakiś nocleg?

- Może w Virginii. Przy autostradzie stoi motel. Tutaj nic nie ma.

- Rozumiem - powiedziała Zoe, zbierając resztę z lady i wrzucając ją do wypchanej torebki. - Dziękuję.

Przed sklepem zobaczyła zachodzące słońce. Mimo że czekała ją jazda do Virginii w poszukiwaniu miejsca do spania, czuła, że musi przedtem coś jeszcze zrobić. Wsiadła do samochodu i zamiast skierować się na wschód, wjechała do Hibbing. Matthewsowie jeszcze tu mieszkali. Na State Road. Zoe nie musiała pytać o adres. Miała stamtąd niecały kilometr do miejsca, w którym dorastała.

Powoli przejechała centrum miasta. Budynki, mimo iż były starsze i poszarzałe o zmierzchu, wydawały się takie same jak kiedyś. Inne były sklepy i firmy. Pozostał na miejscu fryzjer, nadal istniała biblioteka z brudem wżartym w okna od dwóch dziesiątków lat. Ale na miejscu sklepu, który prowadził ojciec Erica, w którym Eric pracował i zebrał pieniądze na ich wspólną ucieczkę, był teraz sklep z narzędziami. A kino, w którym kiedyś trzymali się za ręce i całowali po ciemku, zamieniło się w drogerię z przecenionymi towarami.

Zoe skrzyła w prawo i minęła budynek szkoły średniej. Próbowwała przywołać uczucie, jakie miała, gdy się tam uczyła. Nie mogła. To zbyt bolesne, pomyślała. Życie w Hibbing było zbyt bolesne dla ciemnowłosej żydowskiej dziewczyny, która nigdy nie pasowała do otoczenia. I wtedy przyszło jej do głowy, że może w pragnieniu odnalezienia Erica jest coś więcej, niż sądziła. Może musiała nie tylko przegnać ducha Erica, lecz również raz na zawsze pozbyć się bólu z tamtych lat.

Zwolniła niedaleko starego domu, miejsca, gdzie wychowywano Zoe Naddlemeyer. Spojrzała w lewo. Dom stał, chociaż bardzo przydałoby mu się malowanie i generalny remont. Zaciekawiała ją, czy ludzie, którzy kupili go od jej rodziców, jeszcze tam mieszkają. Przyjrzała się uważnie, przenikając wzrokiem gęstniejący półmrok. Dom wydał jej się mniejszy niż we wspomnieniach. A może urosły drzewa. W każdym razie coś się nie zgadzało. Coś mówiło jej, że jest tu obca. Tak samo jak kiedyś.

Pojechała dalej. I nagle znalazła się przed domem Erica.

Zobaczyła boczny ganek, który przerobiono na sypialnię dla chłopca. Zoe wiele razy wkradała się tam w nocy, a potem kochali się po cichutku aż do świtu. Na podwórzu stała stara furgonetka. Zoe przysięgłaby, że właśnie tą jeździł dwadzieścia lat temu ojciec Erica. Tyle że teraz karoseria zardzewiała i znikły tablice rejestracyjne.

Zatrzymała samochód. Zza koronkowych firanek w salonie sączyło się łagodne światło, rozjaśniające frontowy ganek. Wciąż jeszcze stała tam znajoma bujawka. Tam sączyli z Ericem lemoniadę i dotykali swych intymnych miejsc, kiedy nikt nie patrzył. Ale na podwórzu były też teraz inne przedmioty. Dziecięcy *rowerek*. I zestaw drążków oraz drabinek dla malucha.

Zoe przyjrzała się tej scenerii. Tata Matthews i jego żona z pewnością nie mieli małych dzieci. Spojrzała na skrzynkę pocztową, stojącą na poboczu. Nosiła napis „Matthews”. W głowie Zoe załęgło się dziwne niemiłe przecucie. Muszą mieć wnuki. Dzieci Erica.

Coś takiego porzuciłam, myślała dalej. Do takiego życia obróciłam się plecami w dniu, gdy razem uciekliśmy do Kalifornii. I pierwszy raz od wielu lat poczuła wdzięczność dla Erica za to, że dał jej wolność. Czuła wdzięczność, lecz jednocześnie i smutek, bo nigdy tak naprawdę nie miała rodzinnego domu ani korzeni.

Tkwiła w bezruchu jeszcze chwilę, potem wrzuciła bieg i zawróciła w stronę Virginii i noclegu. Jutro postanowi, co robić dalej. Jeśli będzie cokolwiek robić.

Prawie nie spała. Rano przeszła z brudnego motelu na drugą stronę ulicy, do cukierenki, gdzie kupiła ciepłą bułeczkę z kawą. Następną filiżankę wzięła sobie do pokoju.

Ściągając wieczko z plastikowego naczynia Zoe zastanawiała się, czy w ogóle pozna Erica. Piętnaście lat to dużo czasu. Gdyby nie odwiedziła przedtem Golden Key, Eric z pewnością by jej nie poznał. Może więc i on się zmienił. Może jest otyły, tak jak ona jeszcze niedawno. Może wyłysiał.

Może miał wylew i jest do połowy sparaliżowany... Ale ta część jej ja, która pragnęła, żeby było to prawdą, została ostro skarcona przez drugą część, która wcale tego nie chciała.

Czuła do niego żal. Nadal. Gdyby jej nie zostawił, prawdopodobnie nie miałaby wylewu w dniu, gdy Scott przyszedł na świat. Chociaż prawdę mówiąc, nigdy nie pytała lekarzy, czy to możliwe, bo lekarze nie zdawali sobie sprawy z tego, co naprawdę zaszło w jej życiu, nie mieli pojęcia, że Scott nie jest synem Williama. O tym wiedzieli tylko William i Marisol.

Tak, miała pretensje do Erica. To była jego wina. Niemożliwe, żeby to ona zawiniła.

Popijała dymiącą kawę. Czuła smak plastiku.

A teraz musiała go zobaczyć. Miała potrzebę pokazania mu, że przeżyła. Fizycznie. Emocjonalnie. Odstawiła naczynie z kawą na laminowaną szafkę nocną. Pragnęła się zemścić, ale jednocześnie pragnęła mu podziękować. Za cudowne lata, które miała potem z Williamem. Za dar życia poza Hibbing.

Najpierw jednak należało zadzwonić do Marisol. Zoe wybierała numer z nadzieją, że przyjaciółka nie jest na nią zła. Miała też nadzieję, że Marisol nie rozeźli się na wieść o miejscu jej pobytu, chociaż dręczyły ją w związku z tym poważne obawy. Ale przecież Marisol powiedziała prawdę: były wiernymi przyjaciółkami, ufały sobie. Zoe musiała podzielić się z Marisol tym, co robi. Nie z Meg Cooper, nie z Alissą Page, tylko właśnie z Marisol, która była przy niej wtedy, gdy nie było nikogo innego.

- Wiedziałam, że szykujesz jakąś potworną głupotę - krzyknęła Marisol do słuchawki. - On cię zostawił, złotko. Zapomniałaś o tym?

- Marisol, poczekaj. - Zoe usiłowała przerwać potok słów. - Musiałam tu przyjechać. Już wiem dlaczego. Wcale nie dlatego, że chcę się znowu z nim zejść. Muszę mu podziękować...

Przyjaciółka roześmiała się.

- Podziękować mu! Za co? Za to, że cię rzucił? Za to, że płakałaś przez niego nie pamiętam już ile dni i nocy, chociaż Bóg mi świadkiem, powinnam pamiętać, bo byłam przy tobie za każdym razem i nie waż się o tym zapomnieć.

- Marisol... - Zoe gapiła się na złamane plastikowe krzesło, stojące przed splewiałymi zasłonami ze sztucznego włókna. Zadrżała na myśl, że gdyby została w Hibbing, jej dom mógłby mieć takie wnętrze.

- A co ze Scottem? Czy pomyślałaś, co mu w ten sposób

robisz? On podziwiał Williama, przecież wiesz. Po co po tylu latach wyciągać to wszystko na wierzch? Tylko go zranisz, Zoe, zranisz go głęboko, a jemu nie trzeba już więcej. Może być wyższy od nas obu, ale w środku, tam, skąd biorą się wszystkie rany, dalej jest małym chłopcem.

Zoe pozwoliła przyjaciółce się wygadać, wreszcie jednak Marisol musiała zaczerpnąć tchu. Wtedy Zoe szybko wtrąciła:

- Posłuchaj, nie zamierzam nic mówić Scottowi. Kiedy się tu wybierałam, nie byłam pewna, co zrobię, teraz już wiem. Nie ma potrzeby mówić Scottowi. Teraz nie. W ogóle nie. Będzie tak, jak postanowiliśmy dawno temu. Ja, ty i William.

- Przynajmniej nie straciłaś rozumu do końca.

- Nie. Czuję, że od lat lepiej nad sobą nie panowałam.

- Więc po co w ogóle zawracasz sobie nim głowę? Zabierz swój jedyny tyłeczek do Minneapolis i wracaj do domu. Dzisiaj. Zbieraj się stamtąd, zanim znowu zmienisz zdanie.

- Myślisz, że mogę zmienić zdanie, kiedy go zobaczę?

- Złotko, raz już trzymał cię na muszce, może nabrać ochoty, żeby znowu tak było. Mężczyźni mają swoje sposoby. To się nazywa chemia, czy jak tam chcesz. Ale pamiętaj, że Eric traktował cię nie lepiej niż Luis mnie. Pewnie, że nie bił cię pięściami, ale rozkrwawiał ci serce. Posłuchaj mojej rady, nawet gdyby to miał być ostatni raz. Zabieraj się do domu. Natychmiast.

Zoe podniosła naczynie z kawą i zauważyła gęsty osad na dnie. Odstawiła kawę na nocną szafkę.

- Nie mogę, Marisol. Doszłam już tak daleko, że nie zamierzam nigdy więcej uciekać przed swoimi uczuciami.

- To nie ma nic wspólnego z uciekaniem przed uczuciami, złotko. Pamiętaj: co było, a nie jest, nie pisze się w rejestr. I tak powinno być.

- Nie. Muszę to zrobić. Przez te wszystkie lata chowałam się przed światem. Byłam przerażona. Myślałam, że przeraża mnie to, co powiedzą ludzie, kiedy zobaczą mnie po wylewie. Ale teraz wiem, że po prostu byłam przerażona, koniec, kropka. Miałam dość swoich ran. Odgrodzenie się od świata było dla mnie jedynym sposobem uniknięcia bólu życia.

Przed oczami pojawił jej się obraz. Siedziała sama w pokoju, rozdzierała opakowania chrupek ziemniacza-

nych i zębami odrywała celofan z ciasteczek Twinkies. Pchała do ust słone, tłuste kalorie z rytmiczną precyzją: cztery chrupki, jeden kęs ciasteczka Twinkie. I znowu, i znowu. Słone, słodkie. Nie miało wtedy znaczenia, że jej ciało pęcznieje od tłuszczu.

Zamknęła oczy.

- To jeszcze nie wszystko, Marisol. Myślę, że między innymi dlatego tak utylam. Tłuszcz dawał mi dodatkową warstwę ochronną. Bo wiedziałam, że jeśli stracę urodę, to nikogo nie będę obchodzić, nikt mnie nie będzie kochać, więc nikt mnie też więcej nie zrani.

Podniosła powieki. Z oczu popłynęły jej łzy.

- Skończyłam mój bieg, Marisol. Dokładnie w tym samym miejscu, w którym zaczęłam. Spojrzę Ericowi w twarz i przepędzę wszystkie duchy przeszłości raz na zawsze. Robię to dla siebie. Za wiele lat spędziłam, skrycie pragnąc go zabić. Teraz stanę z nim twarzą w twarz i mu podziękuję.

Marisol milczała przez chwilę, po czym powiedziała:

- Nie miałam pojęcia, złotko, że tak cierpiełaś.

Zoe otarła łzy i roześmiała się.

- A wiesz co? Ja też nie. To dla mnie wielkie zaskoczenie, jak bardzo polepszyło mi się samopoczucie, kiedy to sobie uświadomiłam.

- Będziesz się trzymać?

- Jasne. Może nawet spróbuję jutro wieczorem złapać wieczorny samolot do Los Angeles. Chyba nie zniosę drugiej nocy w tym zapchlonym hotelu. Co do jednego na pewno miałam rację: nie jestem tutaj u siebie. Nigdy nie byłam. U mnie musi być czysta pościel, dom nie może być rudera, a ludzie dookoła powinni mieć lepsze tematy do rozmowy niż pogoda i kto-co-komu.

- Zdaje się, że znowu słyszę głos mojej gwiazdy.

- Nie wiem, czy jeszcze kiedyś będę gwiazdą, Marisol. Ale jedno wiem na pewno: nigdy więcej nie będę sama pompować benzyny.

- Słucham?

- Mniejsza o to. Zadzwoń jeszcze później, wieczorem.

Wyglądało na to, że knajpka w Chisholm nie ma nazwy. Na dachu budowli przypominającej wagon kolejowy napis namalowany pomarańczową farbą neonową głosił:

„Lunch”. Była za piętnaście dwunasta. Na parkingu stało kilka samochodów osobowych i znacznie więcej furgonów. Popularne miejsce, pomyślała Zoe. Ośrodek tutejszego życia.

Zaparkowała samochód i w lusterku sprawdziła perukę, modląc się, żeby nikt jej nie poznał. Nikt oprócz Erica. A Eric też nie, dopóki nie będzie gotowa.

Wzięła głęboki oddech i wysiadła z samochodu. Zastanawiała się, dlaczego drżą jej kolana. Żałowała, że nie może strząsnąć pantofli i poczuć dotyku kamiennych płyt, gruntu pod nogami.

Po wylewie już dawno nie ma śladu, przypomniała sobie. Stopę masz zdrową, nogę masz zdrową, a defektu kącika ust nawet nie zauważy. A jednak mocno ścisnęła kutą balustradkę schodów i pokonywała betonowe stopnie z wyraźnym drżeniem. Serce łomotało jej przy tym, jakby chciało wyrwać się z piersi.

Wewnątrz panował duży ruch. Pachniało bułeczkami cynamonowymi i świeżym chlebem. Wzdłuż jednej ściany znajdowały się zaciszne miejsca, odgródzone wysokimi ławami. Po przeciwnej stronie ciągnął się lśniący kontuar z chromowanymi krawędziami, przy którym znajdowały się wysokie, miękkie stołki. Było sporo klientów, w większości mężczyzn. Prowadzili głośne rozmowy.

Za ladą urzędowała młoda dziewczyna, ubrana na różowo. Stała z założonymi rękami, oparta o ścianę. Uśmiechała się, nasłuchując żarcików gości, ruchem głowy w dół i w górę punktowała rytm piosenki country, nadawanej przez radio. Idąc do stołka przy barze, Zoe próbowała się domyślić, czy jest to siostra sprzedawczyni ze sklepu.

Dziewczyna podeszła do Zoe.

- Kawy? - zapytała. Była ładna i sympatyczna. Mimo to Zoe współczuła jej, dziewczyna była bowiem najprawdopodobniej skazana na życie w obskurnej miejscinie północnej Minnesoty.

- Tak, proszę.

Dziewczyna nalała płynu ze szklanego dzbanka i postawiła przed Zoe biały kubek.

- Coś do zjedzenia?

- Tak - potwierdziła Zoe. Nie była głodna, ale czuła się w obowiązku czegoś sobie zażyczyć. Bądź co bądź, to właśnie robi się w knajpce w porze lunchu, jeśli akurat nie

szpieguje się ludzi w poszukiwaniu dawnego kochanka. - Czy są sandwicze z indykiem?

Dziewczyna skinęła głową.

- Na białym pieczywie czy pełnoziarnistym?

- Na pełnoziarnistym, proszę.

Barmanka odwróciła się i złożyła zamówienie przez okienko w ścianie. Zoe rozejrzała się po pomieszczeniu. Zastanawiała się, czy za ścianą, w kuchni, jest Eric. Zastanawiała się, czy inni goście słyszą bicie jej serca.

Dziewczyna wróciła.

- Świeżutkie pieczywo z dziś rana - powiedziała z uśmiechem.

- Wspaniale - zgodziła się Zoe. Zwróciła uwagę, że barmanka nie spytała jej, co dokładnie ma być na sandwiczu. Ale przecież nie był to kurort, tu prawdopodobnie nie zachęcano klientów do wykazywania inicjatywy.

Z zaplecza wyszła druga kobieta ubrana na różowo. Była starsza od barmanki i miała blond włosy. Bez wątplenia stanowiła relikwyt nordyckiej grupy mieszkańców. Może nawet Zoe powinna ją znać. Przyjrzała się badawczo, uznała jednak, że kobieta jest od niej dużo młodsza. Mogła mieć około trzydziestu lat. Zoe zaczęła rozmyślać, jak to się dzieje, że chociaż stuknęła jej czterdziestka, wciąż myśli o sobie jak o kimś młodym.

Kobieta zrobiła coś przy kasie i znowu wyszła na zaplecze. Po drodze zawołała:

- Eric, koteczku, gdzie są kwity z rana?

Zoeomal nie upuściła kubka z kawą. Więc był tutaj, na zapleczu. Koteczek. Tą kobietą nazwała go koteczkiem. Czy to żona Erica? Poczwała wielką gulę w żołądku właśnie w chwili, gdy barmanka postawiła przed nią talerzyk z jedzeniem.

Zoe przypomniała sobie pierwszy raz, gdy Eric nazwał ją koteczkiem. Trzymali się za ręce, szli ścieżką obiegającą staw za domem jej rodziców. Eric schylił się, żeby zerwać dwa polne kwiaty. Były purpurowo-białe, w kształcie gwiazdek.

- Kiedy dostaniemy się do Hollywood, koteczku - powiedział - będziemy podobni do tych kwiatów, zostaniemy gwiazdami. - Kwiaty były śliczne, myśl Erica przepełniona nadzieją, a jednak wtedy najważniejsze dla niej było to, że Eric nazwał ją koteczkiem. Koteczek. Tak właśnie jej ojciec

nazywał jej matkę, a matka ojca. Tak nazywali się ludzie, którzy należeli do siebie. Wtedy pierwszy raz Zoe poczuła, że Eric kocha ją naprawdę, głęboko i na zawsze.

Spojrzała na gruby sandwicz z indyka na pełnoziarnistym pieczywie. Po bokach ociekał kremowym majonezem. Obok piętrzyła się górka chrupek ziemniaczanych, leżał też pokaźny kawałek pikla. Solidny posiłek w mieście drwali, gdzie słowo „nadzieja” nie znaczy, że wszystkie marzenia stają się rzeczywistością, a koteczkiem nie jest się do końca życia.

- Coś jeszcze? - spytała dziewczyna. - Mamy dzisiaj doskonałe ciasto. Placek kokosowy...

- Nie, nie. - Zoe przytknęła dłoń do brzucha. Miała wrażenie, jakby nagle zabrakło powietrza w tej knajpcie, zupełnie jak... jak tego wieczoru, gdy wróciła do domu i stwierdziła, że Eric odszedł. Zapatrzyła się w talerzyk. Przypomniała jej się szkolna kafejka, takie samo proste jedzenie na zwyczajnych talerzykach, dzień za dniem, rok za rokiem, bez zmian, bez końca, niczym życie w małym mieście. Duża przewidywalność zdarzeń. Dość. Spróbowała skupić uwagę na Los Angeles i nowym życiu, które ją czeka, z wszystkimi wzlotami i upadkami, z wszystkimi niewiadomymi. Pomyślała o Scotcie, jak rozwija się i dorasta. O szansach dla nich dwojga, o ryzyku, wyzwaniach, podniecającym oderwaniu się od codziennej młocki. I nagle Zoe pojęła: koniec udawania, że spotkanie Erica załatwi jej kłopoty albo naprawi życie. Marisol miała rację. Eric to zamknięty rozdział.

- Przepraszam - powiedziała do barmanki. - Trochę mi się śpieszy. Czy może pani zapakować tego sandwicza? Wezmę na wynos. - Nie miała zamiaru jeść tego ani teraz, ani potem. Chyba że chciałaby wkrótce odzyskać dodatkowe dziesięć kilogramów.

Dziewczyna uśmiechnęła się i wzięła spod lady aluminiowe opakowanie. Zdjęła sandwicz z talerzyka Zoe, włożyła go do pojemnika, zatrzasnęła wieczko i dołożyła rachunek.

- Proszę zapłacić przy kasie - powiedziała.

Zoe zaczęła przekopywać torebkę w poszukiwaniu drobnych. Położyła je przy talerzyku. Nie wiedziała, czy to ćwierćdolarówki, czy dziesiątki, czy piątki. Do diabła z marnotrawstwem. Wiedziała tylko, że już wcale nie chce

widzieć Erica, że musi stamtąd wyjść, zanim ktokolwiek ją pozna.

Wzięła sandwicza i zsunęła się ze stołka. Podeszła do kasy z nadzieją, że kobieta, ta kobieta Erica, szybko przyjdzie i weźmie od niej pieniądze.

Drzwi od zaplecza otworzyły się. Wyszedł z nich mężczyzna i skierował się w stronę kasy. Był wysoki. Zapomniała już, jak wysoki jest Eric. Naszło ją wspomnienie. Wkrótce po odejściu Erica była na przyjęciu. I tam otarł się o nią mężczyzna dorównujący Ericowi wzrostem. Na sekundę serce jej zamarło. Ogarnęło ją ciepłe, znajome uczucie związane z obecnością Erica. Zaraz jednak uświadomiła sobie, że to nie on. W miejsce ciepła pojawił się szarpający ból.

Tak, Eric był wysoki. Pozostał blondynem. Nie utył szczególnie ani nie wyłysiał. I nie wyglądał na ofiarę wylewu. W sztywnym białym fartuchu prezentował się znakomicie. Pełniej, bardziej dojrzałe, ale znakomicie.

- Eric. - Za późno. Jego imię wyrwało jej się, nim zdążyła ugryźć się w język, zdusić mimowolną chęć, odejść.

Podszedł bliżej. Zatrzymał się. Wytrzeszczył oczy.

- Boże - powiedział. - Co ty tu robisz?

Zoe parsknęła ostrym, nerwowym śmiechem.

- Poznałeś mnie.

Przeczesał dłonią włosy. Nie potrafiła odgadnąć, czy w geście zawodu, czy po prostu chciał przygłodzić fryzurę, żeby wyglądać jak najlepiej. Zawsze był przystojny i zawsze próżny. Zobaczyła cień uśmiechu, majaczący mu w kąciakach ust. Cieszy się, że mnie widzi, pomyślała szybko, ale równie szybko wąty uśmiech znikł. Eric zmarszczył czoło.

- Nie wierzę własnym oczom - powiedział tak cicho, że nie była pewna, czy się cieszy, czy po prostu zaskoczenie odbiera mu głos. Uśmiechnął się znowu. - Boże.

Łomotanie serca w piersi Zoe ustało. Miała wrażenie, że serce w ogóle przestało jej bić. Eric uśmiechnął się do niej. Tak samo jak wtedy, gdy zerwał te dwa polne kwiaty, jak wtedy, gdy stał w kulisach podczas jej pierwszych próbnych zdjęć. Za sprawą tego jednego uśmiechu lata przestały cokolwiek znaczyć.

Za barowego kontuaru dobiegł ich trzask tłukącego się talerza. Eric oderwał wzrok od Zoe, ale zaraz spojrzął na nią znowu. Zamrugała. Pamiętaj, po co tu jesteś, powiedzia-

ła sobie w duchu. Dobrze pamiętaj. Masz mu podziękować. Masz mu podziękować za to, że oszczędził ci życia w nijakim miasteczku, w knajpce pod szyldem „Lunch”.

- Pewnie nie uwierzyłbyś, gdybym powiedziała, że akurat byłam w sąsiedztwie - odezwała się w końcu.

- Nie. - Zauważyła, że jego uśmiech znowu znikł.

Położyła przy kasie rachunek i trzy dolary.

- Przyjechałam cię zobaczyć, Eric. Chciałam się dowiedzieć, jak ci leci.

Przeniósł ciężar ciała na jedną nogę, *potem* na drugą. Krępy mężczyzna w kraciastej flanelowej koszuli podszedł zza pleców Zoe.

- Trzymaj, Eric. Muszę wracać do roboty.

- W porządku, Jake - powiedział Eric i wziął od mężczyzny pięciodolarowy banknot. Popatrzył na rachunek i wybił coś na kasie. Zoe odsunęła się, żeby mógł podać mężczyźnie resztę. Spojrzał na nią znowu.

- Może powinniśmy pogadać na dworze. Powiem Marilyn, żeby mnie zastąpiła.

- Marilyn? - powtórzyła pytającym tonem Zoe, mimo że była pewna odpowiedzi, mimo że poczuła ukłucie zazdrości, którego nie potrafiła wyjaśnić.

- Moja żona - potwierdził Eric.

Następne kilka chwil miało zatarte kontury. Zanim Zoe odzyskała świadomość tego, co się dzieje, stała na tyłach knajpki, przy lśniącej nowością czterokołowym pojeździe. Na pewno Erica, pomyślała. Materialny wyraz dumy z sukcesu na miejscową, małomiasteczkową skalę.

- No, więc co tak naprawdę tu robisz? - spytał, opierając jedną rękę na biodrze, a drugą na samochodzie. Jaki to był ton głosu? Obronny?

- Powiedziałam ci. Przyjechałam cię zobaczyć.

Zabębnił palcem o zderzak, wbił wzrok w ziemię.

- Względem czego?

Nie wiedziała, co odpowiedzieć.

- Względem niczego szczególnego. Po prostu żeby cię zobaczyć.

- No, to mnie widzisz. - Spojrzał daleko w przestrzeń, a potem zerknął na Zoe. Zamrugał i znowu uciekł spojrzeniem.

Zoe wyciągnęła rękę i lekko dotknęła jego ramienia.

- Tyle lat minęło - powiedziała.
- Aha - przyznał z wzrokiem wbitym w ziemię. - Kilka-
set. - Mówił teraz ciszej, wolniej, już nie tym obronnym
tonem.

- Jesteś żonaty - powiedziała Zoe.
- Aha. - Uniósł brwi, nadal patrząc w jakieś nie określo-
ne miejsce. - A ty masz męża?

Pokręciła głową.

- Miałam. Mój mąż umarł.

- To był William, prawda? - spytał cicho Eric.

- Tak.

Nie zareagował. Następne pytanie było trudne, ale Zoe
chciała wiedzieć. Musiała wiedzieć.

- Masz dzieci?

- Aha. Troje.

Poczuła lekkie ściskanie w gardle.

- To dobrze.

Zaryzykował następne spojrzenie w jej stronę.

- A ty?

- Jedno. Chłopca.

- Jestem zaskoczony. Zawsze chciałem mieć dzieci. Ale
nigdy nie sądziłem, że ty też.

Skąd u niego takie przekonanie? Czyż nie rozmawiali
któregoś dnia o rodzinie? Czyż nie marzyli, że kupią wielki
dom nad morzem, z mnóstwem pokoi dla dzieci i dzieci
dzieci? Przecież rozmawiali. Była tego pewna. Pamiętała,
jak siedzieli na plaży, na cienkim kocu, którego używali do
przykrywania łóżka, i rozmawiali w przerwach między kę-
sami kanapek z kiełbasą i serem, całowali się w przerwach
między łykami taniego wina. Na pewno rozmawiali. Ale
oczywiście to było, zanim została gwiazdą. Zanim Eric
przestał ją kochać.

- Ile ma lat? - przerwał bieg jej myśli. - Ile lat ma twój
chłopak?

Zoe zawahała się.

- Czternaście - odpowiedziała niewyraźnie.

Eric nie powiedział ani słowa. Znowu przeniósł ciężar
ciała na drugą nogę.

Zoe usiłowała odzyskać jasność myślenia, wrócić do
rzeczywistości, do teraźniejszości.

- Twoja żona wygląda sympatycznie - powiedziała.

Skinął głową.

- A czy twoi rodzice dalej mieszkają w Hibbing?

Splótł ramiona na piersi.

- Po co tu jesteś? Czyżby jakiś dziennikarz pisał artykuł o przeszłości Zoe?

- Eric, proszę cię. Od lat nie gram. - Nie miała zamiaru wspominać przed nim swych ostatnich zdjęć próbnych. Nie miała zamiaru wspominać swojej pracy, tej szabli, która przecięła ich *miłość*. - *Nie mogłabym chyba* obchodzić dziennikarzy mniej niż w tej chwili. - Tym razem to ona wbiła wzrok w ziemię. - Dużo myślałam o tobie przez te lata.

Odwrócił się do niej plecami.

- Co ty tutaj robisz, Zoe? Po co przyjechałaś? Dla kpiny i własnej satysfakcji? No, więc popatrz sobie. - Wykonał gest w stronę lokalu. - Tym stał się Erie Matthews, kiedy okazało się, że Zoe Naddlemeyer jest dla niego za dobra.

- Myślę, że masz całkiem przyjemną knajpkę, Eric. - Popatrzyła na niego. Miał czerwoną twarz. Łzy wzbierały mu w oczach. - Przypomina mi inną knajpkę tu, w Hibbing. Tę, do której zawsze chodziliśmy... - Nie dokończyła. Nie było potrzeby przypominać mu Charliego, u którego razem jedli hamburgery z frytkami, popijając wiśniową colą... i razem marzyli. Dwoje dzieciaków, zdecydowanych odmienić zły los. - Nawiasem mówiąc, zdajesz się zapominać, że to ty mnie rzuciłeś.

- Tylko dlatego, że inaczej ty byś mnie rzuciła. Coraz bardziej do tego dojrzewałaś.

- Nic podobnego.

- Przypomnij sobie, Zoe. Nie był ci potrzebny facet pętający się za twoimi plecami. A ja nie widziałem siebie w roli męża Zoe. - Znowu odwrócił od niej twarz.

Skinęła głową. Dobrze jej się wydawało. To przez sławę, jaką zdobyła, Eric przestał ją kochać.

- Wcale by tak nie było - powiedziała, mimo iż zdawała sobie sprawę z fałszu brzmiącego w tych słowach.

- Już zaczynało tak być.

Oparła plecy o ścianę budynku.

- Dokąd pojechałeś, kiedy ode mnie odszedłeś? Nie tutaj, bo próbowałam cię znaleźć.

- Najpierw byłem trochę na Florydzie. Potem wróciłem. Kiedy już mogłem spojrzeć w oczy każdemu człowiekowi w Hibbing.

- Spojrzeć w oczy?

Podniósł z ziemi jakiś śmieć i zaczął mu się przyglądać. Było to złamane plastikowe wieczko od pojemnika do dań na wynos. Złamane plastikowe wieczko. Nie polny kwiat w kształcie gwiazdy.

- To było upokarzające, Zoe. Ty zostałam gwiazdą. A mnie nic nie wyszło.

Znowu poczuła, że serce jej pęka. On nigdy nie rozumiał. Robiła to wszystko dla nich. Myślała, że tego właśnie chce Eric. A jednak wbrew wszystkim ich wspólnym marzeniom, wbrew ich miłości, to właśnie tutaj, w tym miasteczku było miejsce Erica. Zoe nie czuła się tu u siebie ani wtedy, ani teraz. Może właśnie tego nie rozumiał.

- Kochałam cię, Ericu.

Złamał w dłoni plastikowe wieczko.

- Kochałaś sławę.

- Bałam się, Ericu.

- Bałaś się? Nie sądzę. Wydaje mi się, że upajałaś się każdą jej minutą. - Odwrócił się do drzwi. - *Więc chyba lepiej już pójść.*

Łzy pociekły jej po policzkach.

- Eric, nie odchodź ode mnie, proszę. Nie rób tego po raz drugi.

Wciąż odwrócony do niej plecami, Eric Matthews szepnął:

- Oszedłem tylko dlatego, że za bardzo cię kochałem. Dlaczego nie wrócisz do swoich milionerów i nie zostawisz w spokoju nas, biedaków, nad naszymi hamburgerami z piwem? Jestem pewien, że właśnie coś takiego teraz sobie myślisz.

- Zawsze miałeś fatalny zwyczaj mówienia mi, co myślę.

- Może dlatego, że w głębi duszy znałem cię lepiej niż ty siebie.

- Eric, proszę cię, spójrz na mnie.

Odwrócił się. Twarz miał popielatą. Nagle Zoe spostrzegła, że jego blond włosy są upstrzone siwymi pasmami, a niegdyś proste plecy odrobinę się przygarbiły. Ale to nadal był Eric, mężczyzna, którego kiedyś kochała, którego przez wszystkie te lata jednocześnie kochała i nienawidziła. To uczucie wydobyła teraz na wierzch z zakamarków serca. A w oczach Erica widziała odbicie tego, co dzieje się w jego sercu. Dwa światy cierpienia, dwa obce sobie światy.

- Czy jesteś taki zły, na jakiego wyglądasz? - spytała.
- Że cię zobaczyłem?
- Nie. Że żyjesz.
- Żyję całkiem niezgorzej, dziękuję. A w każdym razie dużo lepiej niż ty. Przynajmniej uczciwie.

Zoe nie była pewna, co miał na myśli, ale wiedziała, że ich spotkanie dobiegło końca. Spoglądała, jak Eric wchodzi tylnymi drzwiami do knajpki. Nie próbowała go zatrzymać. Chciała tylko wrócić do domu, do Scotta, Marisol, do Cedar Bluff, pozbyć się bólu i poczucia winy. W końcu bowiem odnalazła bezpieczeństwo w świadomości, że Eric Matthews i jej przeszłość są naprawdę zamkniętym rozdziałem.

Obeszła budynek i wsiadła do wynajętego gruchota. Odjeżdżając z parkingu w stronę Minneapolis, w stronę swojego życia i przyszłości z wszystkimi jej zagadkami, uprzytomniła sobie, że sandwich z indykiem i grubą warstwą majonezu nadal leży przy kasie. Tam, gdzie jest jego miejsce.

Rozdział dwunasty

Steven umówił się z Meg na przedłużony weekend na Bermudach. Cumował tam jacht należący do przyjaciela Stevena. Przyjaciel był dyskretny i miał dług wdzięczności. Meg przylatywała w czwartek wieczorem. Steven załatwił jej pokój w hotelu „Southampton Princess”. Sam zapowiedział się na piątek rano. Po spotkaniu mieli razem wsiąść na pokład jachtu i przez trzy dni, aż do niedzielnego wieczoru kochać się do woli. Meg postanowiła powiedzieć mu w tym czasie o przerwanej ciąży.

W poniedziałek rano zaczynał się wybór ławy przysięgłych w sprawie „Stan Nowy Jork przeciwko Arnoldowi Banksowi”. Podczas dwugodzinnego lotu na wyspę podniecenie Meg rozpraszały więc myśli o zbliżającym się procesie. Powinna była siedzieć w domu i przygotowywać swoje pierwsze wystąpienie, kończyć pracę nad linią obrony. Ale mogła myśleć tylko o Stevenie i czekających ją trzech dniach. Noc z niedzieli na poniedziałek wydawała jej się granicą rzeczywistości.

Limuzyna pokonała długi, stromy podjazd do hotelu „Southampton Princess”. Nawet w ciemności Meg widziała, że budynek jest różowy. Bermudzki róż, pomyślała. Delikatny, miły dla oka i romantyczny.

Podeszła do kontuaru recepcjonisty. Czekał na nią zarezerwowany apartament. Najlepszy.

Najlepszy apartament? Dla niej? Ożywiła ją iskra nadziei. Czy to możliwe, że jest w nim Steven? Że przyjechał wcześniej, żeby zrobić jej niespodziankę?

Portier hotelowy poprowadził ją szerokimi, kręconymi schodami do wind. Był to starszy mężczyzna z ciepłym, przyjaznym uśmiechem na ustach. Bermudy na zawsze zostaną mi w pamięci, pomyślała Meg, gdy winda unosiła ją do wrót raju.

W apartamencie zdumiał ją przepych. Wnętrze wyposażono w eleganckie mahoniowe meble oraz grube kremowe dywany. W kolorystyce dominowała biel i różne odcienie żółci. Pośrodku salonu, na dużym szklanym stoliku stał wielki bukiet świeżych białych kwiatów - lili, orchidei i ostróżek. Szybko chwyciła przypięty do nich bilet i przeczytała: *Miłości, tej najczystszej. Do jutra. Steven.*

Poczuła rozczarowanie. Nie było go tutaj. Potem jednak jeszcze raz spojrzała na bilet: *Miłości, tej najczystszej.* Uśmiechnęła się.

Dała napiwek portierowi i powiedziała mu dobranoc, gwałtownie pragnąc samotności, by móc przeżywać swoje szczęście. Podeszła do olbrzymiej szklanej ściany i zapatrzyła się w noc. Morze za hotelem było czarne, rozjaśniała je poświata księżycowego rogala, zdobiły korale złotych światełek, wspinających się po masztach śpiących statków. Jutro wieczorem będzie właśnie tam w oddali, ze Stevenem. Splotła ramiona na piersi i uśmiechnęła się. Choć nie przyjechał wcześniej, czuła jego obecność. A jutro wieczorem poczuje objęcia jego ramion.

Zmęczona całym dniem wyczekiwania, Meg postanowiła wziąć prysznic. Wysuszyła ciało, wypudrowała się, a potem nałożyła jedną ze swych nowych koronkowych koszul nocnych i wsunęła się w chłodną czystą pościel na olbrzymim łożu. Wyciągnawszy ramiona, usiłowała wyobrazić sobie dotyk Stevena. Jutro, pomyślała. Jutro będę go dotykać.

Zbudziło ją poranne słońce. Przeciągnęła się i poczuła rozkoszne ciepło w łóżku. Spojrzała na zegar. Wpół do siódmej. Steven miał przyjechać o dziesiątej.

Znowu wzięła prysznic, ułożyła sobie włosy, zrobiła makijaż, nałożyła na ciało warstwę samoopalacza, chcąc przywrócić mu brąz, jaki miało po naświetlaniu lampą w Gol-

den Key. Ubrała się w krótką bawełnianą sukienkę koloru mandarynkowego. Kiedy spojrzała w lustro, widziała, jak promienieje. To miłość, pomyślała. Tylko miłość ma taką moc.

Ale było dopiero dwadzieścia po ósmej. Podeszła do szklanej ściany w salonie i próbowała się zdecydować, co robić. U stóp trawiastego zbocza, za pasem bujnej zieleni i żółcących się krzewów chińskiej róży widziała wspaniałą plażę. Mogła wybrać się na spacer brzegiem oceanu.

A jeśli Steven przyleci wcześniejszym samolotem? Postanowiła zadzwonić do obsługi. Podniosła słuchawkę i zamówiła kawę z rogalikami. Odłożyła słuchawkę, ale zaraz coś ją tknęło i zadzwoniła ponownie.

- Proszę podać to samo dla dwóch osób - powiedziała. Na wszelki wypadek.

Czekając na realizację zamówienia, spakowała zawartość kosmetyczki, żeby móc wyruszyć na jacht natychmiast po przybyciu Stevena. Podeszła do okna i przyjrzała się, jak turyści na czerwonych motorowerkach chwiejnie zjeżdżają ze wzgórza. Niedaleko w bok kawalkada koni plaskała kopytami o piasek, niosąc na grzbietach sztywno siedzących jeźdźców w słomkowych kapeluszach. Wyspa budziła się ze snu. Turystyka, pomyślała Meg, jest taką radosną branżą. Niepodobną do polityki ani do prawa karnego.

Przyniesiono śniadanie. Meg wzięła je z sobą do okna i usiadła, wyglądając na dwór. Zastanawiała się, czy inni turyści są tak samo szczęśliwi jak ona. Nie, uznała, to niemożliwe. Nikt nie może być taki szczęśliwy.

Wypiła dwie filiżanki kawy, skubiąc zmoęła pół rogalika, przez cały czas myśląc o Stevenie. Wreszcie nadeszła godzina dziesiąta.

Przeniosła wzrok na podjazd. Może uda jej się zobaczyć podjeżdżającą limuzynę. Żałowała, że nie zanotowała sobie, ile czasu potrzeba na dojazd z lotniska do hotelu. Dwadzieścia minut? Pół godziny?

Nagle Meg uświadomiła sobie, że dobrze zna smak oczekiwania na Stevena. Kiedy dawno temu byli razem w Bostonie, oczekiwanie stało się nieodłączną częścią jej życia. Chociaż Steven był żonaty, jego żona została z dziećmi w Nowym Jorku, otoczona wspaniałościami domu bogatych i wpływowych rodziców. Steven wyjeżdżał z Bostonu w każdy piątek po południu i wracał w niedzielę wieczorem.

Przez wszystkie weekendy Meg wyczekiwała poniedziałku, siedząc w swym pokoiku zapchanym książkami. W dni powszednie wyczekiwała w kawiarni.

A teraz czekała w hotelowym pokoju. Zapomniała już, ile samotności zawiera się w oczekiwaniu.

Zoe. Będąc w Waszyngtonie, w innym hotelowym pokoju, Meg dla zabicia czasu zatelefonowała do Zoe. W Los Angeles godzina była wczesna, ale Meg przypomniała sobie, że w Golden Key Zoe miała zwyczaj wstawać. Podeszła więc do torebki i wyciągnęła notesik z numerami telefonów. Zastanawiała się, czy Zoe wróciła już z Minnesoty. Czy znalazła Erica. Zastanawiała się też, czy odważy się powiedzieć jej o Stevenie.

W odpowiedzi włączyła się automatyczna sekretarka. Zoe nie było w domu. Meg odłożyła słuchawkę. Nie miało sensu zostawiać wiadomości, wkrótce wyprowadzała się z tego pokoju.

Alissa. Mogła zatelefonować do Alissy. Ale czy miała ochotę? No, nie musiałyby wspominać, gdzie jest i co robi. Mogłyby zapytać, czy Alissa dowiedziała się od Danny'ego czegoś o Jayu. Mogłyby udawać, że jest w domu i telefonuje, żeby dać znak życia.

Nie mogła. Alissa spytałaby ją o postępy w poszukiwaniach, Meg wiedziała zaś, że gdy przychodzi do spraw osobistych, naprawdę ważnych, słaby z niej łgarz. Koloryzowanie prawdy na korzyść klienta było czymś zupełnie innym, ale w tej sprawie nie mogła kłamać. Poza tym Alissa mogła zbyt długo zatrzymać ją przy telefonie. Nie chciała rozmawiać w chwili nadejścia Stevena.

Dziesiąta piętnaście. Wróciła na miejsce przy oknie i nalała sobie następną filiżankę kawy. Widziała stamtąd kilka przycumowanych łodzi. Zastanawiała się, na której z nich znajdują się ze Stevenem. Tej długiej białej z wysokim masztem? Tej smukłej, z czarnymi pasami na wysokości luków i poniżej linii zanurzenia? Czy popłyną z załogą, czy może Steven będzie wszystko robił sam? Czy umie żeglować? Zadrżała na myśl, jak wiele nie wie o Stevenie, o tych szczegółach jego życia, których nie dzielili razem. Mocno jednak wątpiła, czy wśród jego umiejętności znajduje się sterowanie jachtem. Prawdopodobnie nigdy nie miał czasu się nauczyć. Tak, pomyślała, załoga jest, przypuszczalnie, wyjątkowo dyskretna. Mimo lat dziewięćdziesiątych, zdra-

da małżeńska wciąż pozostawała zdradą. A polityka polityką.

Około jedenastej Meg pożałowała, że ubrała się tak wcześniej. Czuła się coraz mniej świeżo, a przód sukienki zmiął się, gdy siedziała i wyczekiwała. Czyżby na przyjazd z lotniska potrzebna była aż godzina? Samolot musiał się spóźnić. Czekala.

W południe rozległ się dzwonek telefonu. Zerwała się z krzesła i chwyciła za słuchawkę.

- Pani Cooper? - spytał damski głos. - Mówi recepcja. Chcielibyśmy wiedzieć, o której godzinie zamierza się pani wyprowadzić.

- Wyprowadzić?

- Doba hotelowa kończy się w południe. Czy wyprowadza się pani w najbliższym czasie?

- W najbliższym czasie? No, tak. Oczekuję...

- To dobrze. Obsługa musi wiedzieć, kiedy można zacząć przygotowywać apartament na przyjęcie następnego gościa.

Meg odłożyła słuchawkę. Jasne. Steven zarezerwował ten apartament tylko na jedną noc. Dziś wieczorem mieli być na jachcie. Wkrótce będą na jachcie. Tymczasem mogła równie dobrze poczekać w holu.

Zebrała rzeczy i zadzwoniła po chłopca hotelowego. Wychodząc z pokoju, odwróciła się jednak i wyjęła białą orchideę z kwietnej kompozycji. Wsunęła ją sobie za ucho. Danny ucieszyłby się, że wybrała orchideę. Uśmiechnęła się. Danny ucieszyłby się nawet wtedy, gdyby dowiedział się tylko, gdzie Meg jest i co robi. Omiotła apartament ostatnim spojrzeniem, pełna żalu, że musi go opuścić. Byłoby cudownie spędzić tu jakiś czas ze Stevenem.

W holu usiadła z walizkami u stóp. Zadzwoniła do linii lotniczej. Samolot z Waszyngtonu o dziesiątej przyleciał o czasie. Tymczasem wylądowały jeszcze dwa następne. Ale Steven nie przyleciał i nie było od niego wiadomości.

Czuła się coraz bardziej samotna. Minuty stawały się godzinami.

O szóstej wieczorem Meg wyrzuciła wędzną orchideę z za ucha do kosza na śmieci i poprosiła chłopca hotelowego o sprowadzenie taksówki. Pozostało jej zmienić rezerwację na powrót z niedzieli na ten wieczór. Nie było sensu dłużej czekać.

Raggedy Man ucieszył się na jej widok. Raz przynajmniej nie zachował chłodnego dystansu. Zupełnie jakby wiedział, co zaszło. Prawie jakby go to obchodziło. Meg postawiła walizki w sieni, potem poszła do gabinetu. Czerwone światełko automatycznej sekretarki nie paliło się. Steven nie dzwonił. Nawet tego nie zrobił. Nakarmiła kota i poszła na górę. Potem posłała łóżko i wsunęła się w pościel, w ciepły kokon samotności, gdzie nikt nie mógł rozpraszać jej myśli i nie było dostępu dla sączącego się bólu.

Niestety, nie mogła zasnąć. Chciała, żeby już był następny dzień. Mogłaby zacząć czekanie od nowa - czekanie na telefon od Stevena, który na pewno odezwie się następnego dnia. Albo jeszcze następnego.

Nie odezwał się. W niedzielę po południu, przewróciwszy się na bok po raz tysięczny od piątkowego wieczoru, Meg pomyślała o zatelefonowaniu do Zoe. Może wróciła już z Minnesoty? A jeśli znalazła Erica, to ciekawe, jak im poszło?

Podciągnęła kołdrę pod brodę. Na myśl o szczęśliwym połączeniu Zoe i Erica wzbierała w niej gorączka. Ale przecież, przyszło jej do głowy, wcale nie musi tak być. Może Zoe też cierpi, leży skulona w łóżku i pragnie tylko umrzeć.

Spojrzała na zegar. Wpół do piątej. Uświadomiła sobie, że ma więcej szczęścia niż Zoe, bo w Los Angeles jest dopiero wpół do drugiej. W czekaniu na koniec dnia Meg miała więc przed sobą trzy godziny mniej. A jednak nie zatelefonowała, bo możliwość, że przyjaciółka jest szczęśliwa, narażała ją na ryzyko, na jakie nie było jej stać.

Przewróciła się na drugi bok i wbiła wzrok w telefon. Zastanawiała się, czy jeśli będzie mu się przyglądać dostatecznie długo i intensywnie, to aparat wreszcie zadzwoni. Jeśli nie będzie spuszczać z niego oczu, to może Steven wreszcie się odezwie.

A może zepsuł się telefon. Wysunęła ramię spod przykrycia i podniosła słuchawkę. Sygnał zabuczał głośno, jakby z niej kpił. Szybko odłożyła słuchawkę na wypadek, gdyby Steven w końcu próbował się z nią skontaktować. Nie chciała, żeby było wtedy zajęte.

Podciągnęła kołdrę jeszcze wyżej, aż nad głowę, i mocniej się nią otuliła. Leżała, starając się zdusić swój ból. Zamiast tego znowu zaczęła płakać. Nagle nabrała pewno-

ści, że Steven nie zadzwoni. Musiał się spłoszyć. Pójść po rozum do głowy. Koniec pieśni.

Odrzuciła z siebie kołdrę, zakryła oczy i zaczęła się w myślach rugać, że tak ją to zdziwiło. Steven wyraźnie nie zamierzał zadzwonić. Dlaczego miałby to zrobić? Przecież nie należała do kobiet, którym stosunki z mężczyznami układają się normalnie, szczęśliwie. Otarła łzy i dalej oczekiwała na nadejście snu.

Poniedziałkowy ranek okazał się jeszcze gorszy. Musiała wziąć prysznic. Musiała się ubrać. O dziewiątej rano musiała stanąć w sądzie i wcielić się w panią mecenas Meg Cooper. Musiała być gotowa do gnębienia potencjalnych przysięgłych, żeby wybrać tych, którzy wydadzą się najbardziej prawdopodobnymi kandydatami do uznania niewinności Arnolda Banksa. Musiała się zachowywać tak, jakby ją to cokolwiek obchodziło. Ale najpierw musiała wstać.

Jakoś jej się udało. Wypiła pół filiżanki herbaty i zjadła trzy łyżki płatków kukurydzianych. Wyciągnęła z szafy pierwszą z brzegu sukienkę. Biżuterią nie zwracała sobie głowy.

Przed wyjściem spojrzała w lustro. Pochyliła się w jego stronę, przerażona ciemnymi półkolami pod oczami i obrzękiem dookoła, zupełnie jakby w nocy jej skóra zwiększyła powierzchnię. Nie mogę płakać, pomyślała. Nie mogę teraz płakać, bo muszę wyjść z domu i udawać, że nic złego się nie stało. Muszę myśleć, muszę pracować, muszę pchać ten wózek. Nie mogę płakać.

Między oczami zalał jej się ból, przykry ucisk od tamowanych łez. Pośpiesznie odwróciła się i skierowała do drzwi, mijając walizki, które stały nieruchomo, gotowe i nie rozpakowane.

Przed domem uderzyło ją w twarz jaskrawe słoneczne światło. Przywołała taksówkę. Nie miała tego rana nastroju do spaceru. Nogi za nic nie zanosłyby jej aż do sądu.

podjechała więc, zapłaciła kierowcy, wysiadła z taksówki przecięła chodnik i jak zahipnotyzowana ruszyła w górę po schodach, popychana własnym bólem. W końcu stanęła w obszernym kolistym holu, gapiąc się na wokandę i przydział sal. Do przesłuchania kandydatów na przysięgłych w jej sprawie wyznaczono salę numer 8 na trzecim piętrze.

- Czołem, pani mecenas! - Znajomy głos wyrwał ją

z transu. Meg obróciła się dookoła. Od gwałtownego ruchu pociemniało jej przed oczami.

Danny wyciągnął ramię i podtrzymał ją.

- Ej, dobrze się czujesz?

Skinęła głową.

- W porządku. Cześć, Danny. - Poprawiła na ramieniu pasek torebki i odrzuciła włosy z twarzy, nieco zaskoczona, że nie zajęła się rano fryzurą. - Co tu robisz?

Danny wcale się uśmiechnął.

- Często tutaj kibluję, zapomniałaś?

- A, rzeczywiście.

- Dziś jest postępowanie przedprocesowe w sprawie spekulacji akcjami.

- A. Jak idzie sprawa?

Popatrzył na Meg.

- Co się z tobą, do cholery, dzieje?

- Nic. Spytałam: „Jak idzie sprawa?”

- Nie o to mi chodzi. Wyglądasz jak trup.

- Dziękuję. Wiem, że zawsze mogę na ciebie liczyć, kiedy chcę, żeby ktoś sprawił mi przyjemność.

Pochylił się do niej.

- Co się stało, Meg? Czy na pewno nic ci nie jest?

Cofnęła się.

- Czuję się świetnie. Naprawdę.

Uśmiechnął się.

- Napięcie przedmiesiączkowe?

Meg odwróciła się do niego plecami. Miała ochotę spytać go, kiedy dorośnie, ale uznała, że milczenie wywrze bardziej pożądaną skuteczną.

Położył jej dłoń na ramieniu.

- Ej, przepraszam. Żartowałem. To dlatego, że wyglądasz tak, jakbyś przebywała milion kilometrów stąd.

Milion kilometrów stąd? Wbiła wzrok w przeciwległą stronę holu. Jak daleko jest stąd na Bermudy? Siedemset kilometrów? Tysiąc? Całe życie?

- Wszystko w porządku, Danny. Tyle że od rana boli mnie głowa.

Otoczył ramieniem jej talię.

- No, to chodźmy, pani mecenas. Proszę pozwolić, że odprowadzę panią pod salę. Nawiasem mówiąc, jakże się ostatnio samopoczusza pani przyjaciel, Arnold Banks?

Uśmiechnęła się mimo bólu, mimo nasilającego się

buntu w żołądku. Dlaczego nie zakochała się w Danny'm? Dlaczego nie mogła była zakochać się w wolnym mężczyźnie?

- Dziś rano wybór ławy przysięgłych.

Danny gwizdnął.

- Jeśli trafiają się kandydaci ślepi i głusi, to ich wybieraj. Tylko tacy mogą uwierzyć w jego wersję.

Meg poczuła, że wszystko się w niej przewraca.

- Przepraszam - szybko powiedział Danny. - To nie było czyste zagranie.

Pokręciła głową.

- W porządku. No, więc chcesz mnie odprowadzić czy nie?

- Prowadź.

Przeszli przez marmury kolistego holu, do wind. Meg rada była z towarzystwa Danny'ego. Może jego gładzenie pomoże oderwać jej myśli od faktu, że czuje się, jakby rozjechała ją ciężarówka. Olbrzymia.

Wysiedli na trzecim piętrze. Kiedy szli korytarzem w stronę sali numer 8, Danny zaproponował wspólny lunch.

- Możemy uczcić twoje zwycięstwo - powiedział.

- Jeszcze go nie ma.

- Ale będzie. Znam cię. - Meg uśmiechnęła się ponownie. - Lepiej popatrz na to od innej strony. Kiedy skończy się ta sprawa, będziesz mogła swobodnie zająć się sprawą Riley'a. Bez wątplenia twoja firma ją dostanie.

Meg zatrzymała się.

- Jaką sprawą?

- Riley'a. O ile oczywiście trafi na wokandę, zanim ktoś weźmie szmal za zatuszowanie. Chociaż - ciągnął - sprawa będzie dosyć makabryczna, to dla mnie nie ulega wątpliwości. Brukowce powinny być zachwycone. Biorąc pod uwagę, że senator...

Meg chwyciła Danny'ego za ramię.

- O czym ty mówisz? Co z senatorem Riley'em?

Delikatnie strzepnęła jej dłoń z ramienia.

- Jezu, Meg, nie podniecaj się tak. Nie słyszałaś? Nie było cię w kraju przez cały weekend?

Meg poczuła silne łupanie w głowie.

- Po prostu mi powiedz, Danny. - Starła się sprząść wrażenie opanowanej. Nie wyszło.

Drzwi do sali numer 8 otworzyły się. Wyszedł przed nią urzędnik sądowy.

- O, jest pani mecenas - powiedział. - Sędzia czeka na panią.

Meg szybko odwróciła do niego głowę.

- Za sekundę będę. - Znow spozrzała na Danny'ego. - Powiedz mi, Danny, proszę.

Danny wzruszył ramionami.

- To się zdarzyło w czwartek czy piątek. Chyba w czwartek. W czwartek wieczorem.

- Mniejsza o to kiedy. Co się stało?

- Jego żona jechała gdzieś po nocy nowym błyszczącym XJS. Jakiś facet miał pecha, że nadjeżdżał z drugiej strony. Prawidłowo. Więc to musiała być jej wina. Czołowe zderzenie.

Serce zaczęło jej łomotać, w głowie nadal czuła pulsujący ból.

- Facet zginął na miejscu. - Strzelił palcami. - To tyle.

- Czy jej coś się stało?

- Żonie senatora? - Danny roześmiał się. - No, owszem. Samochód wyrzuciło na pobocze, rąbnęła w drzewo, a gałąź rozbiła jej przednią szybę. - Meg stwierdziła, że robi jej się ciemno przed oczami. - Powiniennem chyba powiedzieć, że się nadziała. Gałąź przeszła jej przez ramię. Przygwoździła ją do siedzenia na mur beton.

Meg oparła się o ścianę.

- Czy ona...? - Bała się zadać pytanie i bała się odpowiedzi.

- Nie żyje? Nie. Jeszcze nie. W każdym razie żyła, kiedy ostatnio o niej słyszałem. Prawdopodobnie przeniosłaby się jak nic na tamten świat, gdyby nie jedno „ale”, które uratowało już niejedno życie.

Meg patrzyła na Danny'ego z rosnącą irytacją.

- Była pijana jak bela.

Drzwi znowu się otworzyły.

- Pani mecenas. - Ton urzędnika był szorstki.

- Tak, tak, już idę.

- Wpadnę tutaj później i zobaczę, czy jesteś wolna w porze lunchu, dobra?

- Dobra, Danny - powiedziała i drętwo ruszyła na salę.

- Dobra.

Stała na miękkich nogach przy stoliku obrony, czując straszny ból w głowie. Całą jej uwagę pochłaniał obraz

białej orchidei, którą wetknęła sobie za ucho czekając na Stevena. A on w tym czasie siedział w szpitalnej izbie przyjęć ze świadomością, że jego żona przed chwilą zabiła człowieka i sama może w każdej chwili umrzeć.

Gdyby umarła, skończyłyby się nasze kłopoty, pomyślała. Kurczowo uchwyciła palcami krawędź stolika i mocno zacisnęła powieki. Boże, nie mogę w to uwierzyć, nawet nie mogę o tym myśleć. Co się ze mną dzieje?

Na miejscu dla świadków usadzono pierwszego kandydata na przysięgłego. Meg wlepiła w niego wzrok - mężczyzna, prawdopodobnie tuż po pięćdziesiątce. Nie miała pojęcia, o co go zapytać. Przyszło jej do głowy, żeby poprosić sędziego o odroczenie przesłuchania, ale trudno byłoby jej to uzasadnić, tym bardziej że przedtem stanowczo domagała się jak najwcześniejszego terminu.

Arnold Banks siedział po jej prawej stronie i wyglądał na zadowolonego z siebie. Meg żałowała, że nie poleciła mu wcześniej zmienić wyrazu twarzy. Ostatnie, co sędzia chce widzieć, to podsądny z taką miną, jakby już wygrał sprawę.

Wyobraziła sobie, jaki wyraz twarzy musiały mieć Candace Riley przyszpilona do siedzenia na mur beton, z gałęzią wchodzącą z jednej strony i wychodzącą z drugiej. Żołądek podszedł jej do gardła. Szybko przyłożyła dłoń do ust.

- Pani Cooper? Czekamy. - Sędzia był tego rana w kwaśnym humorze.

Przejrzała papiery w poszukiwaniu notatek. Jakichkolwiek notatek. Czegoś, czym mogła zyskać na czasie, nim zbierze myśli. W głowie jej się kotłowało. Cicho odkaslnęła i spojrzała na potencjalnego przysięgłego.

- Panie... - Pustka, wszystkie myśli uciekły.

Mężczyzna pochylił się do mikrofonu.

- Donaldson - powiedział. - Harry Donaldson.

Meg odkaslnęła znowu. Tak jak zawsze robił to Steven. Miała trudności z oddychaniem. Nagle zobaczyła przed oczami twarz Avery'ego. Gdyby patrzył na nią teraz z góry, ponuro marszczyłby czoło. Obok niej siedział klient. Zasługiwał na to, by starała się najlepiej jak umie. Wzięła głęboki oddech i szybko się odezwała.

- A tak. Pan Donaldson. Proszę mi powiedzieć, panie Donaldson... czy pana rodzice jeszcze żyją?

- Nie.

- Ojej - powiedziała Meg. Spojrzała w notatki, potem

znowu na świadka. - Przykro mi. Ile lat mieli rodzice, kiedy umarli?

- Mój ojciec zginął podczas drugiej wojny światowej. Nie znałem go. Matka umarła w zeszłym roku, niech odpoczywa w pokoju. Miała siedemdziesiąt osiem lat.

- Na co umarła pańska matka?

Donaldson wzruszył ramionami.

- Na niewydolność serca. Była w domu spokojnej starości, na północ od Nowego Jorku. Linda, to znaczy moja żona, i ja nie mogliśmy sobie pozwolić na wzięcie jej do siebie. Mamy tylko trzy sypialnie...

- Dziękuję, panie Donaldson - przerwała mu Meg. - Wysoki sędzie, obrona odrzuca tego kandydata. - Opadła na krzesło. Była kompletnie wyczerpana, jakby miała już za sobą cały proces, w dodatku przegrany.

Sędzia wezwał następną osobę z listy, a tymczasem Arnold Banks dźgnął Meg łokciem.

- Zbudź się, malutka - szepnął ochryłym głosem. - Mało nie skopałaś sprawy.

Meg odwróciła się od niego.

Następna była kobieta około czterdziestki. Dobrze ubrana, dobrze zakonserwowana. Meg gapiła się na nią, pytając w myślach, czy Candace Riley wygląda podobnie. Zamrugała.

- Słucham, pani Cooper - powiedział natarczywie sędzia.

Meg omiotła go spojrzeniem. Przez chwilę znowu nie pamiętała, po co tu jest, co ma robić. Wróciła spojrzeniem do kobiety, która oparła się o ściankę miejsca dla świadków.

Była pijana jak bela. Może Candace odkryła, dokąd Steven jedzie. Może dowiedziała się o nich. Może to wszystko była wina Meg.

- Proszę, pani Cooper - surowo przynaglił sędzia.

Arnold Banks głośno westchnął. Meg wstała. Machinalnie zaczęła zadawać pytania, zdając sobie, niestety, sprawę z tego, że właściwie nie słucha odpowiedzi. Zamiast tego usiłowała rozstrzygnąć w najgłębszych zakamarkach umysłu, czy współczucie, poczucie winy lub kariera polityczna może powstrzymać Stevensa przed rozwiedzeniem się z żoną, gdyby przyszło jej iść do więzienia. Oczywiście, jeśli Candace przeżyje.

Kandydaci na przysięgłych po kolei wchodzili na salę, odpowiadali na pytania, byli przyjmowani bądź odrzucani. Do południa udało się wybrać zaledwie dwie osoby. Sędzia zarządził przerwę na lunch. Kiedy Meg wstała, zbierając się do wyjścia, Arnold Banks chwycił ją za ramię.

- Lepiej bądź po południu bystrzejsza, dziecino - powiedział ostrzegawczo. - Zdaje się, że i dla ciebie, i dla mnie to jest sprawa życiowa, nie sądzisz?

Meg strząsnęła z siebie jego dłoń.

- Idź do diabła - powiedziała i opuściła salę nie wiedząc, kogo bardziej zaskoczyła tą odpowiedzią: Banksa czy siebie samą.

Danny czekał na nią w holu.

- Jak poszło, pani mecenas?

Meg zbyła pytanie skinieniem dłoni.

- Lepiej o tym nie mówmy, zgoda?

- Nie ma sprawy. Pod warunkiem, że wspólny lunch jest aktualny.

Odsunęła z twarzy zabłąkany kosmyk. Boże, naprawdę musiała przedstawiać się dziś żałośnie.

- Nie jestem głodna, Danny.

Pokręcił głową.

- Ten numer nie przejdzie. Zjesz ze mną lunch.

- Powinam iść do kancelarii. Nie byłam tam od czwartku. - Powinam zebrać odwagę i sprawdzić, czy dzwonił Steven, miała ochotę dodać. Teraz jednak jeszcze bardziej niż przedtem obawiała się, że nie dzwonił.

- To znaczy, że naprawdę nie było cię w kraju.

Popatrzyła na niego.

- Danny...

- Nie moja sprawa, tak? Ale zabieram cię na lunch. Rano miałem rację: wyglądasz jak trup.

Poszli do delikatesów Schneidera na Wschodniej Pięćdziesiątej Trzeciej, jednej z ulubionych przystani Danny'ego w środku miasta. Meg kupiła dla siebie bajgiełkę i galaretkę. Danny zażyczył sobie kanapkę z dodatkami.

Restauracja była zatłoczona i gwarna, znaleźli jednak mały stolik w głębi. Danny z apetytem wgrzył się w sandwicza.

- Powiedz, co się stało - zażądał.

Nie była w stanie. Nie mogła opowiedzieć mu o Bermudach, o Stevenie. Po prostu nie mogła. Odłamała połowę obwarzanka i podniosła do ust, po czym odłożyła nie tkniętą na talerzyk.

- Wolałabym o tym nie mówić.

- Daj spokój, Meg. Co złego mogło się stać? Przecież to tylko wybór ławy przysięgłych.

Uff. Danny myślał o sądzie. Wcale nie miał na myśli Stevena.

Znowu skubnęła obwarzanek.

- Miałam zły ranek - powiedziała. - Każdemu się zdarza. Nawet w okresie wielkich dni. - Zaczęła bawić się serwetką, ale poczuła na sobie świdrujący wzrok Danny'ego.

- Doświadczenie podpowiada mi, że dziś nie jest twój wielki dzień.

Skubnęła następny kęs obwarzanka.

- Nie mogłam się skupić. To wszystko.

Danny przeżuwał przez chwilę, potem pociągnął długi łyk mrożonej herbaty.

- Porozmawiaj ze mną, Meg.

- Nie mogę, Danny. - Była za bardzo skrupowana. Za bardzo wymęczona. I nie mogła wymazać z myśli obrazu Candace Riley przyszpilonej do siedzenia na mur beton.

- Ej - powiedział Danny tak niespodzianie, że aż podskoczyła. - Mam dobre wiadomości. W związku z twoją przyjaciółką Alissą. Znalazłem tego jej faceta. Mieszka w Los Angeles.

Silny ból szarpnął ją za serce i rozlał się po całym ciele. Sala zaczęła wirować. Głosy gości dudniły echem; od zapachu pastrami, czosnku i kapusty zrobiło jej się niedobrze. Zerwała się i rzuciła do frontowych drzwi, potrącając po drodze stoliki, krzesła, ludzi. Na ulicy przypadła do ceglanej ściany, słaniając się, drżąc i ledwo chwytając oddech poprzez szloch.

- Jezu, Meg. Co się stało? - To był Danny. Objął ją i przyciągnął do siebie. Łkała z głową wtuloną w jego pierś. Potem zarejestrowała, że Danny wsadza ją do taksówki. Podaje kierowcy jej domowy adres.

- Muszę wracać do sądu - sprzeciwiła się.

- Ja pójdę - powiedział Danny. - Powiem sędziemu, że zasłaabłaś. Ale proszę cię, Meg. Porozmawiaj ze mną.

Z tylnego siedzenia taksówki wpatrywała się w plastik

dzielący ich od kierowcy. Przegroda była podrapana i brudna. I zasunięta. Opowiedziała więc Danny'emu o pomysle z Golden Key, jaki postanowiły urzeczywistnić we trzy, z Alissą i Zoe. Potem opowiedziała mu o poszukiwaniach swego dawnego kochanka, o tym, jak go znalazła i spotkała się z nim po tylu latach. Cicho i spokojnie wyjaśniła mu, że to senator Steven Riley. Nie opowiedziała tylko o przerwanej ciąży.

- Jezu. - Tyle tylko zdołał wydusić z siebie Danny.

Więc opowiedziała mu o weekendzie. O Bermudach i o tym, że Steven nie przyjechał.

- Jezu - powtórzył Danny.

- Co ja wyrabiam, Danny?

- Jezu - powiedziała. - Obawiam się, dziecino, że tylko ty potrafisz odpowiedzieć na to pytanie.

Meg zakryła sobie oczy jego ramieniem. Była znużona, śmiertelnie znużona.

- Chcesz, żebym dowiedział się o stan jego żony? - spytał. - Mógłbym skontaktować się ze szpitalem...

- Nie - zaprotestowała. - Nie chcę wiedzieć. Muszę wierzyć, że prędzej czy później Steven się ze mną skontaktuje.

Danny nie odezwał się. Meg zamknęła oczy i zapadła w półsen niespokojnego, dręczonego bólem człowieka.

- Ty naprawdę go kochałaś, prawda?

Wyrwała się z sennego odrętwienia.

- Tak.

- Nadal go kochasz?

Nie odpowiedziała.

- To tłumaczyłoby wiele - powiedział Danny. - Na twój temat. Na przykład, dlaczego nie wytrzymałaś dłużej z żadnym mężczyzną.

Spojrzała na niego.

- Danny, proszę cię, obiecaj mi jedno.

- Jasne, dziecino. Co chcesz.

- Musisz mi obiecać, że nigdy nikomu o tym nie powiesz. Nikomu. Ani teraz, ani nigdy w przyszłości.

- Czy twoja przyjaciółka Alissa o tym wie?

- O Boże, Danny, nie. Obie wiedzą, że ktoś jest, ale nie wiedzą kto. Proszę cię, Danny, obiecaj mi.

Podniósł w górę dwa palce.

- Słowo skauta - oświadczył. - Ale jedno zrobię.

- Co?

- Zamierzam się dowiedzieć, do którego szpitala zabrali jego żonę, i sprawdzę, w jakim jest stanie, dla własnego spokoju. W ten sposób, gdybyś kiedyś chciała się tego dowiedzieć, będziesz mogła spytać mnie. Chyba że najpierw przeczytasz o tym w gazetach.

- Postaram się nie czytać gazet.

Taksówka przystanąła przed drzwiami domu Meg.

- Pojadę wygłosić mowę przed sędzią - powiedział Danny. - Później tu wrócę. Z obiadem.

- Dobry z ciebie kumpel, Danny - powiedziała, święcie przekonana o prawdziwości tych słów.

Danny drgnął widząc, jak Meg wysiada. Ona zaś, powoli wchodząc po schodach swego eleganckiego, pustego domu, zastanawiała się, dlaczego Danny nie znalazł jeszcze kobiety dla siebie. Takiej, która zasługiwałaby na jego życzliwość i była otwarta na jego miłość.

Rozdział trzynasty

Nie zamówiła kieliszka chardonnay, lecz całą butelkę. Alissa urządziła sobie eskapadę do tego samego barku w Undergroundzie, gdzie spotkała się z Dannym. Ale minął tydzień i przez cały ten czas nie miała od niego wiadomości. Nie odezwała się też Betty Wentworth ani Sue Ellen Jamison. Alissa trwała przy swoim. Kłopot polegał na tym, że jej współpracownicy również. Ciekawiło ją, kto pierwszy się podda.

Mogła przynajmniej myśleć o Jayu i karmić się mglistą nadzieją, że jednak jest po co żyć. Chyba że Danny Gordon będzie ją wodził za nos jeszcze trochę dłużej - w takim przypadku prawdopodobnie najpierw odwiozą ją do czubków.

Mniej więcej między trzecim i czwartym kieliszkiem wina Alissa zaczęła rozmowę z młodym facetem z sąsiedniego stołka. Mógł mieć może trzydziestkę. Był wysoki, długowłose, chudy w tyłku i miał porwane dżinsy. Nie rozumiała, jak ma na imię. Gdzieś między czwartym kieliszkiem a końcem butelki zgodziła się odwiedzić go na poddaszu. Wówczas wydawało jej się to dobrym pomysłem.

W pół godziny później leżała na zmiętej pościeli, a lepki wyciek z krocza uświadamiał jej, że mieli stosunek, chociaż sam akt przypominała sobie nader mętnie. Materac był

cienki, czuła więc, jak deski ramy łóżka wpijają jej się w plecy. W powietrzu unosił się odór stęchlizny. Może od ceglanych ścian, może od starych puszek z farbą, rozstawionych w kącie, może od brudnych prześcieradeł.

- Wina? - spytał.

- Jasne - odpowiedziała i wzięła od niego kieliszek z grubego szkła. Mężczyzna wyciągnął korek z taniej butelki i nalał trunku. Alissa przytknęła kieliszek do warg, ale natychmiast pożałowała. Wino było gorzko-kwaśne, tanie. Paliło ją w przełyku, żołądek się buntował. Odstawiła kieliszek na podłogę. Mężczyzna z powrotem wpełzł do łóżka i wyciągnął się obok niej.

Zapaliła papierosa i obiegła wzrokiem pokój. Nie pierwszy raz leżała w łóżku w pracowni malarskiej, ale poprzednio artyści byli prawdziwi, ich prace miały sześcicyfrowe wywieszki z ceną, i pokazywano je w najlepszych galeriach świata.

Ten facet malował łódki i zachody słońca i sprzedawał ten towar z wózka w Undergroundzie. Zastanawiała się, czy należy do grupy, która zbierała pieniądze na bezdomnych.

Pacykarz przewrócił się na bok i objął ją ramieniem w talii. Alissa splotła z nim dłonie. Miał mocne, pewne palce. Ale nawet w półmroku Alissa widziała farbę zaschniętą pod jego paznokciami.

- Niezła z ciebie kobieta, wiesz? - spytał.

- Mmm - odpowiedziała.

Wsunął jej rękę między nogi i tam zostawił. Potem zachrapał.

Alissa pomyślała, że czas się zbierać. Ale po co? Żeby wrócić do domu? Wydawało jej się przedtem, że potrzebuje zmiany. Czytała o kobietach dobiegających czterdziestki i nagle zrzucających z siebie skorupę, biorących odpowiedzialność za swe życie. Ale Alissa spędziła ostatnie dwadzieścia kilka lat właśnie na przyjmowaniu różnych odpowiedzialności. Czy tylko tyle jej zostało? Seks nie mający znaczenia i przygody trwające jedną noc? I imprezy charytatywne, przy organizowaniu których nie była nikomu potrzebna?

Horyzont był jeszcze ciemniejszy. Wbrew usilnym namowom Alissy Michele parła do zamążpójścia, połączonego z olbrzymim weseliskiem, godnym zamożnej panny z Południa. Alissa nie potrafiła jej wyjaśnić, że już nie ma mowy

o takim weselisku, że nie mogą dalej udawać z Robertem szczęśliwej pary, znakomitości Atlanty. Ani tego, że za każdym razem, gdy patrzy na Roberta, widzi tylko jego chudy biały zadek robiący pompki nad tamtym mężczyzną i w tamtym mężczyźnie. Nie, huczne weselisko nie wchodziło w grę.

A byłyoby to takie wspaniałe wydarzenie. Małe wodotryski na każdym stoliku, szampan - wzdrygnęła się na myśl, że zapewne Cristal - i stadko białych gołębi ulatujących w niebo nad młodą parą w chwili wejścia na przyjęcie. Byłoby bajecznie, z pewnością pokazano by to wesele w „Town & Country”. Mogło być wspaniałe wydarzenie, gdyby Robert wszystkiego nie spieprzył.

Alissa głęboko zaciągnęła się dymem. Miała ochotę na następny kieliszek wina, porządnego. Zamknawszy oczy, usiłowała pozbyć się lekkiego ściskania w gardle, odsunąć wzbierający płacz. Cała jej rodzina interesowała się tylko sobą. Michele. Robert. Natalie. Samoluby, samoluby, samoluby! Czy nic ich nie obchodzi jej uczucia, jej życie? Wiedziała, że odpowiedź jest przecząca. Nie obchodziła ich bardziej niż pań z Federacji Kobiet Atlanty.

Chrapanie u jej boku ustało. Ręka faceta zaczęła się poruszać. Nogi Alissy rozchyliły się, jakby nie miały związku z mózgiem, jakby nie zważały na jej myśli. Uniosła rękę i zakryła sobie oczy. Facet zaczął się poruszać nad nią, w niej. Wypchnęła biodra do góry, znowu gotowa do gry - tak samo jak przez całe życie, znowu gotowa spełnić czyjeś oczekiwania.

Wyłączyła się, żeby nie słyszeć posapywania tego faceta i nie czuć gorących tchnień na szyi. Myślała o Robercie. Robiła dokładnie to, czego od niej oczekiwał. Problemy, jakie z nim miała, rozwiązywała w typowy dla siebie sposób: ostro za kulisami, stanowczo i z uśmiechem pośród przyjaciół.

Wiedziała, że Michele spodziewa się po niej właśnie takiego zachowania: matka najpierw będzie stroić fochy z powodu wesela, a potem doprowadzi do najwspanialszego wydarzenia, jakie kiedykolwiek miało miejsce na wschód od Missisipi. Wiedziała, że panie z Federacji Kobiet Atlanty będą oczekiwać od niej wycofania rezygnacji, gdy tylko przejdą jej „humory”. Wiedziała też, że Natalie spodziewa się po matce znoszenia jej młodzieńczych wybryków.

Wszyscy czegoś od niej oczekiwali, ponieważ przyzwyczaili się, że Alissa spełnia ich oczekiwania. Wiele można było o niej mówić, ale na pewno nie to, że jest nieobliczalna. Oto szkoła wujostwa, to oni nauczyli ją grać. Ćwiczyli do życia powierzchownego i wyrzeczenia się wszelkich trawiących czas fantazji, takich jak uczucia, jak miłość.

Nawet po ucieczce z Jayem do San Francisco zrobiła to, czego od niej oczekiwano. Wróciła do domu.

Z mężczyzny leżącego na niej dobył się zwierzęcy skowyt. Opadł zwiotczały na jej klatkę piersiową. Jego mokre włosy przylepiły się Alissie do twarzy.

- Boże, jaka jesteś piękna - jęknął.

Alissa zaczęła płakać.

Po cichu przemieszczała się przez sień w stronę swojego pokoju, przepojona niesmakiem, że została wykorzystana, że pozwoliła się wykorzystać. Idąc trzymała się za brzuch, by jakoś złagodzić ból rozrywający jej wnętrze.

Otworzyła drzwi sypialni, która teraz należała tylko do niej, prawdopodobnie na zawsze. Wiedziała, że nigdy już nie wróci do barku w Undergroundzie. Miała nadzieję, że w ogóle nigdy już nie pójdzie sama do baru. Do żadnego.

Natalie siedziała pośrodku łóżka Alissy, pstrykając guzikami telewizyjnego pilota.

- Co tutaj robisz? - burknęła Alissa. - Wiesz, która jest godzina?

- Myślę, że pytanie powinno brzmieć, czy ty wiesz, która jest godzina - odparła Natalie, nie odrywając oczu od migającego ekranu. - Jest czwarta rano, mamo.

Alissa odrzuciła torebkę na brokatowy szeszlony i ściągnęła sweter przez głowę. Im szybciej pozbędzie się zatęchłego smrodu tego poddasza, tym lepiej.

- A co z tobą? Czyżbyś właśnie wróciła do domu?

- A co z tobą?

Alissa oparła się chęci wymierzenia córce policzka. Może innego wieczoru, pomyślała. Dziś jestem za bardzo zmęczona. Przeszła więc do garderoby, gdzie ściągnęła z siebie ubranie i owinęła się podomką. Gdy wróciła do sypialni, Natalie wciąż jeszcze tam była.

- Co tutaj robisz, Natalie? - westchnęła.

- Czekam na ciebie. Bałam się już, że będę siedzieć do czwartku.

Alissa podeszła do szeszlongu i podniosła sweter. Cisnęła go do garderoby.

- Masz fatalne maniery jak na szesnastolatkę, młoda damo. Czyżbyś jeszcze nie nauczyła się znaczenia wyrazu „szacunek”?

- Nie jestem tutaj po to, żeby rozmawiać o tym, że nie potrafimy się dogadać - odparła Natalie. - Chcę porozmawiać o tacie.

Alissa zdrętwiała. Najpierw o kłopoty rodziców dopytywała się Michele. Teraz Natalie. Bystrość wyraźnie im szkodziła. Może przyszedł czas powiedzieć im obu: „Wasz ojciec jest gejem. Woli mężczyzn ode mnie”. Coś w środku ostrzegało jednak Alissę, że Natalie prawdopodobnie oskarżyłaby ją o kłamstwo. Poza tym Alissa postanowiła, że jeśli dziewczynki mają się dowiedzieć, to koniecznie od Roberta. Niech nienawidzą jego, a nie jej. Natalie i tak ma już w sobie dosyć nienawiści do matki.

Alissa stała nadal pośrodku pokoju, wsparta pod boki. I wtedy nawiedziła ją przerażająca myśl: a może Natalie już sama się dowiedziała? Czy dlatego przyszła?

- No, to co z twoim ojcem?

- Jest w szpitalu - powiedziała Natalie.

- Więc? - Naprawdę nie miała ochoty słyszeć niczego na temat nocnych wycieczek Roberta. Nie chciała myśleć o tych wszystkich latach, kiedy mówił jej, że musi zająć się pacjentem w takim czy innym kryzysowym stanie. Nie chciała myśleć o tym, co naprawdę robił w te wszystkie noce. Chciała teraz wziąć prysznic, oczyścić swoje ciało - i umysł - z pozostałości nieudanej nocy.

- Miał zawał.

- Co takiego?

- Myślę, że tata miał zawał. - Chude wąskie ramiona Natalie uniosły się, a potem opadły w geście wyrażającym obojętność. - Rozumiem, że to cię nie obchodzi.

Alissa energicznie podeszła do łóżka i chwyciła córkę za ramię.

- Co ty gadasz? - Natalie nie oderwała wzroku od ekranu. Alissa potrząsnęła nią. - Co tu jest grane?

Natalie poczerwieniała na twarzy. Gniewnie rozsunęła palce Alissy i wyrwała jej ramię.

- Nie zwalaj na mnie - syknęła. - Nie przypierdalaj się, bo nic nie zrobiłam.

Alissa uderzyła ją w twarz.

- Nie używaj przy mnie takiego języka.

- Och, przepraszam. Tylko ty możesz mówić takie rzeczy, prawda? Tylko ty możesz opowiadać o pierdoleniu, bo dajesz się pierdolić wszystkim pełnowymiarowym kutasom w tym mieście.

Alissa cofnęła się, żeby przemoc chęć uduszenia córki. Chwyliła za pilota i wyłączyła telewizor.

- Gdzie jest twój ojciec?

Natalie zeszła z łóżka po drugiej stronie.

- Szpital Memorial.

- Czy jest w dobrym stanie?

- Skąd mam wiedzieć? Wyglądam na lekarza?

Córeczka swego tatusia, pomyślała Alissa. Nigdy mnie nie lubiła, nigdy. Zawsze była tylko córeczką tatusia, ulubienicą tatusia. Chwiejnym krokiem ruszyła do telefonu.

- Co ty robisz? - spytała Natalie.

- Chcę zadzwonić do szpitala. Zresztą guzik ci do tego.

Natalie uśmiechnęła się z pobłażaniem.

- Czy nie sądzisz, że wyglądałoby lepiej, gdybyś pokazała się tam osobiście? I tak nie najlepiej wyszło, że przez całą noc dzwoniłam po całym mieście, próbując cię znaleźć.

Alissa gwałtownie się odwróciła.

- Do kogo dzwoniłaś? Nie miałaś prawa...

- Och, wybac, że obchodzi mnie mój własny ojciec. I wybac, że posądziłam cię o podobne uczucia wobec niego. Dałam kurewską plamę.

Alissa pogroziła jej palcem.

- Oj, młoda damo, sama się prosisz, żeby ktoś ci urządził gwałtowne przebudzenie.

Natalie odrzuciła włosy do tyłu.

- Więc idziesz go zobaczyć czy nie?

- Oczywiście, że idę! - Alissa miała gonitwę myśli. Naturalnie to właśnie powinna zrobić. Iść go zobaczyć. Upewnić się, że wszystko z nim w porządku. Jednak nie mogła pozwolić, żeby Natalie poczuła się zwycięsko. Podniosła słuchawkę. - Ale najpierw zadzwonię. Chcę, żeby w szpitalu wiedzieli o mojej wizycie.

- Po co? Żeby mogli zaprosić orkiestrę dętą?

Spiorunowała córkę wzrokiem. Nagle Natalie wybuchnęła płaczem.

Alissa stanęła nieruchomo ze słuchawką w dłoni, nie

tknąwszy klawiszy. Chryste, pomyślała, tego tylko było mi trzeba. Natalie we łzach. Kiedy ostatnio widziała Natalie płaczącą? I jak sobie wtedy z tym poradziła? To Michele zachowywała się płaczkliwie, urządziła sceny. Natalie była na to za twarda, za bardzo opanowana. Alissie nasunął się przed oczy obraz młodszej córki spadającej z kuca. Wtedy płakała. Alissa próbowała się do niej zbliżyć, ale mała okazała się stanowcza. „Tata - szlochała. - Chcę do taty”. Alissa usiłowała sobie przypomnieć, jak to jest, kiedy chce się do tatusia. Albo do mamusi. Ale ona miała tylko wuja i ciotkę, których niewiele obchodziła.

Odłożyła słuchawkę na widełki i podeszła do Natalie. Zawahała się, nie bardzo wiedząc, co zrobić. Potem objęła ją, przekonana, że córka się wyrwie. Tymczasem Natalie zaczęła szlochać na jej piersi.

- Mamusiu - łkała. - Tak się boję.

Alissa pogłaskała masę ciemnych włosów, niepodobnych ani do jej własnych, ani do włosów Roberta.

- Wiem, wiem. A teraz powiedz, co się stało.

Natalie pociągnęła nosem i odsunęła głowę od piersi Alissy. Stały teraz twarzą w twarz, matka i zbuntowane dziecko. Ale dziecko nie wyglądało już na szesnaście lat. Mrugało wystraszonymi ciemnymi oczami, a policzki miało czerwone, upstrzone jaśniejszymi plamami. Wydawało się, że jest to w najlepszym razie dziesięciolatka.

- Był w bibliotece - zaczęła. - Ja byłam w sieni. Czekalam na Eda, bo miał po mnie wpaść.

- Na Eda? - spytała Alissa. - A co z Johnem Wentworthem? - Synem Granta. Synem Granta pierdolącym dzieci.

- To osioł - powiedziała Natalie.

Alissa skinęła głową.

- Usłyszałam hałas w bibliotece - ciągnęła Natalie. - Weszłam. Myślałam, że on... Myślałam, że on...

Alissa ponownie przyciągnęła córkę do siebie i poklepała ją po plecach.

- Wiem, wiem. - Czuła się nieznośnie z myślą, że krępuje ją przytulanie własnej córki. Było jej nieznośnie z tym, że są takie różne, straszliwie różne. - Co powiedzieli w szpitalu?

- Lekarz w sali nagłych przypadków powiedział, że muszę wykonać różne badania. Jakieś EKG i coś z krwią. Tylko tyle mi powiedzieli.

- Czy on był przytomny, kiedy odchodziłaś?
- Tak. Tak mi się zdaje.
- No, *to* dobry znak. - Alissa nie wiedziała, czy tak jest naprawdę. Wiedziała tylko, że musi powiedzieć coś, żeby córka wzięła się w garść.

- Mamo, chcę jechać z tobą do szpitala. Na wypadek, gdyby tata mnie potrzebował.

„Na wypadek, gdyby tata mnie potrzebował”. Te słowa zapiekły Alissę, wiedziała bowiem, że są szczerze. Robert znacznie prędzej potrzebowałby Natalie niż jej, Alissy. Potrzebowałby pocieszenia od kogoś, w którą miłość wierzy. Bezwarunkową miłość.

- Daj mi się ubrać - powiedziała do córki. - To mi zajmie minutkę.

Natalie wytarła nos, a tymczasem Alissa otworzyła szafę i wyciągnęła sportowy kostium od Diora.

- W szpitalu nie wiedzą, co będzie dalej, mamo. Lekarz powiedział, że nie wie, czy tata z tego wyjdzie. Nie rozumiem. Tata zawsze tak o siebie dbał.

Alissa skinęła głową i szybko się ubrała. Zawsze tak o siebie dbał, pomyślała. Zastanawiała się, czy to możliwe, że Robert wcale nie miał ataku serca. Czy może mieć AIDS?

- Gdzie jest Michele?

Natalie splótła ramiona na piersi.

- Śpi. Powiedziała, żeby ją zbudzić, gdyby coś się stało.
- Łzy znowu napłynęły jej do oczu. - Czy nie sądzisz, że ona też chciałaby jechać do szpitala?

Nie, powinna była odpowiedzieć. Od kilku lat Michele nie przepada za ojcem. Zupełnie jakby wyczuwała, co się dzieje, jakby wyczuwała jego niewierność.

- Decyzja należy do niej - powiedziała, wsuwając stopy w tenisówki. Położyła rękę na ramieniu Natalie. - Chodźmy.

Były w drzwiach, gdy Natalie nagle przystanęła.

- Och, mamo, omal nie zapomniałam.

- O czym?

- Był telefon na twoją prywatną linię. Myślałam, że to tata albo ktoś ze szpitala. Nie złość się, ale odebrałam.

Alissa postanowiła nie reagować irytacją.

- Kto dzwonił?

- Jakiś facet z Nowego Jorku, nazywa się Danny. Powiedział, że ma informację, której szukałaś.

Robert leżał na łóżku. Druty i przewody wiły się od jego ciała do rozmaitych aparatów z bzyczącymi monitorami. Płyn z kroplówki spływał mu plastikowym przewodem do ramienia. Przez szklaną szybę z holu Alissa widziała, że Robert ma zamknięte oczy.

- Wygląda, jakby był martwy, mamó - powiedziała Natalie.

- Nie jest

Pielęgniarka precyzyjnie się obok nich i weszła do sali. Sprawdziła kroplówkę, pomajstrowała przy jakichś przyrządach i dźwigniach. Kiedy wychodziła, Alissa ją zatrzymała.

- Gdzie jest lekarz, który się nim zajmuje? - spytała stanowczym tonem.

- Doktor Harrington wie, że pani przyszła - odpowiedziała pewnie pielęgniarka. - Jest w tej chwili u innego pacjenta. - Odeszła sprężystym krokiem.

Alissa rozpięła kurtkę. Chryste, ależ gorąco. Bardzo pragnęła, żeby ten poczciwy doktor Harrington, kimkolwiek jest, zjawił się jak najszybciej. Musiała dowiedzieć się o stan Roberta, a potem parę godzin pospać. Zastanawiała się, czy o ósmej nie będzie za wcześnie, żeby zatelefonować do Danny'ego. Ciekawiło ją, co ma jej do powiedzenia.

Czyby znalazł Jaya? To musi być to. Powiedział Natalie, że zdobył potrzebną informację. Wiedział przecież, że to była jedyna informacja potrzebna Alissie.

Zapatrzyła się w głąb szpitalnej sali, obserwując gwałtowne skoki zapisu na monitorze EKG. Towarzyszyło im rytmiczne pobzykiwanie. Robert miał czterdzieści sześć lat. Jay miał czterdzieści cztery. Robert leżał tu, w szpitalu, Bóg wie w jakim stanie. Kiedy ostatnio widziała Jaya, palił i ćpał. Robert nie, nigdy w życiu. A jednak to Robert leżał na szpitalnym łóżku. Nawiedziło ją złowrogie przecucie. Może Jay nie jest chory. Może nie żyje. Danny ma potrzebną jej informację, ale nie znaczy to, że taką, jaką chciała usłyszeć. Nie, krzyknęło coś w jej głowie. Jay nie może być martwy. Widziałaś go w telewizji kilka tygodni temu. Ale przecież kilka tygodni temu Robert był zdrowy i cały.

- Pani Page?

Mężczyzna nosił plakietkę z napisem „dr med. Julius Harrington”. Alissa nigdy o nim nie słyszała, ale wyglądała za młodo, żeby mieć jakiegokolwiek tytuły oprócz „dr med.”

- Dzień dobry, doktorze Harrington. W jakim stanie jest mój mąż?

- W tej chwili stan jest względnie ustabilizowany. Przez pewien czas musieliśmy prowadzić reanimację.

- Czy miał zawał?

- Nie stwierdziliśmy.

- Więc co się stało?

Lekarz poprawił stetoskop na szyi.

- Rano zrobimy angiogram. Będziemy szukać blokad w naczyniach wieńcowych.

Alissa znów spojrzała przez szybę do sali.

- Czy on jest przytomny?

- Śpi.

- To dobrze.

Natalie chwyciła ją za ramię.

- Wyjdzie z tego, prawda, mamó?

Alissa ponownie zwróciła się do lekarza.

- Tak, doktorze?

- Później będziemy wiedzieć więcej. Po angiogramie.

Alissa znowu skinęła głową.

- Pomogłaby nam pani, odpowiadając na kilka pytań, pani Page.

- Na przykład?

- Czy pani mąż był ostatnio w stresie?

Alissa przygryzła wargę. Stres. Ciekawe słowo.

- Nie zauważyłam - powiedziała. - Ale przecież pan wie, że mąż leczy głównie pacjentów chorych na AIDS. Nieczęsto rozmawia ze mną o swojej pracy. Ostatnio, prawdę mówiąc, w ogóle nieczęsto ze mną rozmawia.

- Jego stałym lekarzem jest Jacob Stern, czy tak?

Alissa poczuła niesmak. Stała tutaj, w środku nocy, z rozszlochaną córką po jednej stronie i żółtodziobym lekarzem, który prawdopodobnie spłoszył się jak cholera, kiedy podczas jego dyżuru przywieziono Roberta Hamiltona Page'a.

- Czy zatelefonowano do doktora Sterna? - spytała Alissa.

- Jest w Zurychu - odparł Harrington. - Na konferencji.

- Z pewnością ktoś go zastępuje.

- Ja.

Nie ukrywała zaskoczenia.

- Pan?

- Jestem najmłodszym współnikiem w grupie.

Alissa westchnęła i jeszcze raz spojrzała na Roberta. Przynajmniej nic poważnego, pomyślała. Przynajmniej nie miał ataku serca.

- Wobec tego ma pan dostęp do jego kartoteki.

- Rano sprowadzę specjalistę.

- Myślę, że to dobry pomysł - powiedziała Alissa i szybko dodała: - Oczywiście po konsultacji z doktorem Sternem.

- Tak, oczywiście.

Zastanawiała się, czy w medycznej kartotece Roberta są jakiegokolwiek ślady jego orientacji seksualnej. Spojrzała na męża. Wyglądał bezbrinnie i żałośnie. Trudno było uwierzyć, że kiedyś był młody, pełen wigoru. Albo że kiedyś go kochała, a przynajmniej tak jej się zdawało.

Robert wydobył się, pomyślała i poczuła zadowolenie. Bo co prawda bardzo pragnęła odmienić swoje życie, ale wcale nie kosztem śmierci Roberta. Ciekawe, czy on by w to uwierzył.

Otoczyła ramieniem córkę.

- Chodź, Nat. Nic więcej dziś w nocy nie możemy zrobić.

Natalie stała jak wrośnięta w ziemię.

- Nie idę do domu - powiedziała. - Zostaję tutaj.

- Nie bądź śmieszna. Ojciec wyzdrowieje.

Natalie pokręciła głową.

- Wszystko jedno. Zostaję tutaj. Pielęgniarka znajdzie mi łóżko. Ona lubi tatę. Powiedziała, że jest dobrym lekarzem. Jednym z najlepszych. Powiedziała mi to, kiedy byłam tu poprzednim razem.

Alissa chciała polecić córce, żeby przestała zachowywać się jak dzieciak i poszła do domu. Ale była zbyt zmęczona na kłótnie, zbyt zmęczona, by ją to obchodziło. Przyszła sprawdzić, w jakim stanie jest Robert. Spełniła obowiązek żony, zrobiła to, czego od niej oczekiwano. Teraz chciała wrócić do domu i położyć się do łóżka. Zresztą jeśli Natalie zostanie w szpitalu, jedna osoba mniej będzie węszyć w domu rano i podsłuchiwać rozmowę telefoniczną z Dannym.

Cześć, tu Danny Gordon. Wiesz, co możesz zrobić.

Aliszę kusiło, żeby z trzaskiem odłożyć słuchawkę.

- Jeśli tam jesteś, to zwlecz tę swoją leniwą dupę z łóżka - warknęła zamiast tego. - Mówi Alissa Page. Podnieś

słuchawkę, Danny. Płacę ci wystarczająco dużo. - Chwilę odczekała. Reakcji nie było. Wyobraziła sobie, jak Danny przeciera oczy, broniąc się przed wyrwaniem ze snu. Ciekawe, czy leży przy nim naga kobieta. Czy bolą go mięśnie po całej nocy zarwanej na dymaniu? Czy stoi mu członek, pulsujący, gotowy do następnego razu? Czy Danny obróci się na bok i wsunie go w nagą postać leżącą obok niego? I czy to jest Meg?

- Danny! - wrzasnęła. - Podnieś słuchawkę, ty sukinsynu! Reakcji nie było.

Tym razem trzasnęła słuchawką o widełki.

Ktoś zapukał do drzwi jej sypialni.

- Proszę.

Michele wyglądała, jakby wybierała się na herbatkę do Białego Domu.

- Czy nie jesteś odrobinę za elegancka jak na ósmą rano? - spytała Alissa.

- Tylko przymierzam. Dziś przed południem zamierzamy z Davidem wybrać sobie kryształ i porcelanę.

- Czy on nigdy nie pracuje?

- Mamo - jęknęła Michele, taksując swoje odbicie w wysokim, wolno stojącym lustrze. - Przecież wiesz, że pracuje w firmie inwestycyjnej swojego ojca.

- Nie wątpię, że to ciężka praca - mruknęła Alissa, kiwając głową.

Michele poprawiła jedwabną turkusową apaszkę na szyi.

- Podoba ci się bardziej z apaszką czy bez?

- Nic cię nie obchodzi, gdzie jest twój ojciec?

Michele zdjęła apaszkę i odrzuciła ją na łóżko Alissy.

- Jasne, że mnie obchodzi, mamo. Dlatego tu przyszłam.

- Przynęła się bliżej lustra i otaksowała swój makijaż. - Czuje się dobrze, prawda?

- Mówisz to, jakbyś z góry wiedziała. - Alissa przyglądała się, jak córka odrywa spiralę od brwi.

- Czy miał zawał? - spytała Michele, ani na chwilę nie odrywając wzroku od swego odbicia.

Co za lekceważenie, pomyślała Alissa. Ta dziewczyna nauczyła się dużo ode mnie. Alissa wiedziała, że podobnie do niej Michele opanowała sztukę utrzymywania się w roli osoby pełnej chłodu. Zastanawiało ją jednak, na ile Michele rzeczywiście wciela się w tę rolę.

- Nie miał zawału - powiedziała.

- To dobrze - uznała Michele, odeszła parę kroków od lustra i wygładziła sukienkę. - Nie zniósłby tego. Nie mógłby pogodzić się z ograniczeniami, z inwalidztwem.

Albo byciem na tamtym świecie, miała ochotę dodać Alissa, doszła jednak do wniosku, że jest świadkiem nie tyle chłodnego podejścia Michele, co jej zanurzenia w świecie fantazji, gdzie rodzice nigdy nie umierają, zanim dzieci nie są na to przygotowane. Wiedziała zaś na pewno, że w tej chwili nie czuje się na siłach uczyć córki kontaktu z rzeczywistością.

Michele stała z ręką wspartą na biodrze.

- Pomyślałam, że mogłabym wybrać się dzisiaj na lunch Federacji Kobiet Atlanty. Już czas, żebym została aktywnym członkiem, nie sądzisz?

Alissa podniosła i zaczęła składać apaszkę Michele.

- Będiesz tam, prawda, mamó?

Oczekiwania. Znowu to słowo. Najpierw ciotka Heima. Potem Betty Wentworth i Sue Ellen Jamison. Teraz córka.

- Nie - odparła Alissa. - Pójdę do szpitala.

Zadzwoił aparat, podłączony do jej prywatnej linii. Danny. Spojrzała na Michele.

- Czy mogę cię przeprosić?

- Chcesz, żebym wyszła?

- Tak. Szybko.

Michele wyrwała apaszkę z dłoni matki i opuściła pokój ze zwykłą u siebie skłonnością do aktorskich gestów. Alissa chwyciła za słuchawkę.

- Słucham - powiedziała.

- Alisso, mówi Danny Gordon.

Oddechnęła głęboko i próbowała udać obojętność.

- A, Danny. Rozumiem, że pan telefonował. Próbowałam się do pana dodzwonić parę minut temu.

- Nie ma mnie w domu - powiedział.

No jasne, pomyślała Alissa. Pewnie siedzi w mieszkaniu u jakiejś cizi. Pewnie nawet nie ma domu, nie potrzebuje. Automatyczną sekretarkę podłączył na lewo do jakiejś budki telefonicznej na tyłach baru przy Czterdziestej Dru-giej Ulicy.

- Jestem w Atlancie - powiedział.

Mocniej ścisnęła słuchawkę.

- Tutaj? W Atlancie?

Danny roześmiał się.

- Coś mi powiedziało, że gdy tylko pani usłyszy, że mam informację o Jayu, zaraz wyda pani polecenie, żebym przyjechał. No, więc wczoraj wieczorem wskoczyłem w samolot. Pomyślałem jednak, że tym razem zadzwonię przed przyjściem.

- Niech pan tutaj nie przychodzi - powiedziała pośpiesznie Alissa. Nie chciała, żeby Natalie po powrocie ze szpitala zastała Danny'ego Gordona w bibliotece. - Gdzie pan jest?

- W „Mariotcie”.

Ostatnim razem, gdy Alissa liczyła, wyszło jej, że w Atlancie jest pół tuzina hoteli sieci „Marriott”.

- W którym?

- W centrum. Nazywa się „The Marquis”.

Wspaniale. W tym samym miejscu miał się odbyć lunch Federacji Kobiet Atlanty. Pasowało.

- Tam się spotkamy - powiedziała, usiłując uporządkować gorączkowo pędzące myśli. - Ale nie teraz - dodała. - Na razie mam kilka kłopotów na głowie. Może o piątej? - Piąta powinna być bezpieczna. Do tego czasu panie z Federacji Kobiet Atlanty na pewno się rozejdą.

- W hotelowym saloniku?

Czy powinna tak ryzykować?

- Nie. W pańskim pokoju.

- W moim pokoju? - Jego głos był przesycony sarkazmem.

- Niech pan po prostu poda mi numer, Danny.

Podał.

- I niech pan mi powie jeszcze jedno. Znalazł go pan?

- Oczywiście. Przecież pani mówiłem, że jestem dobry w tym, co robię.

Odwiesiła słuchawkę i uśmiechnęła się.

Chciano mu zrobić bypass w trzech miejscach.

- Genetyka - powiedział Robert do Alissy, kiedy usiadła na jego łóżku. Natalie siedziała po drugiej stronie, trzymając ojca za rękę. - Pamiętaj, że mój ojciec zmarł w wieku pięćdziesięciu dwóch lat po rozległym zawale.

Alissa skinęła głową. Nie byli małżeństwem jeszcze roku, kiedy Robert Hamilton Page senior zmarł nagle na polu golfowym. Genetyka, pomyślała, zastanawiając się, czy ojciec Roberta również był gejem.

- Dobrze, że zawsze tak o sobie dbałem - podjął Robert.
- Inaczej też już mógłbym być po drugiej stronie.

- Masz dopiero czterdzieści sześć lat, Robertcie.

Usiłował przywołać uśmiech na nienaturalnie bladej twarzy.

- Jest inna epoka, kochanie. Życie zrobiło się o wiele cięższe.

Tylko dlatego, że sam się do tego przyłożyłeś, miała ochotę powiedzieć.

- Kiedy wraca doktor Stern? - spytała.

- Jutro. Z bypassem mają poczekać jeszcze dwa dni. Chcą, żeby Stern zajął się leczeniem, jeżeli po operacji pompa zacznie mi pracować.

- Kto będzie operował? - Miała poczucie, że musi zadać stosowne pytania. W ten sposób podtrzyma Roberta na duchu. Przecież nadal jest jego żoną. A świat wciąż jeszcze tak uważa. Postanowiła jednak, że kiedy Robert wyzdrowieje, jeśli wyzdrowieje, to sytuacja się zmieni. Bardzo się zmieni.

- Harley Kunze. Jacob ściąga go z Zurychu.

Alissa ponownie skinęła głową. Nie musiała pytać, czy Robert uważa Harleya Kunzego za najwybitniejszego chirurga. Nie pozwoliłby mu się do siebie zbliżyć, gdyby tak nie było. A może, pomyślała krzywiąc usta, gdyby Kunze nie wyglądał jak elegancka ciota, potencjalny kochanek.

- Jak długo będzie trwała rekonwalescencja? - spytała.

- Tydzień do dziesięciu dni w szpitalu. Potem miesiąc, może sześć tygodni rehabilitacji.

Wstała i spojrzała na córkę.

- Chodźmy, Natalie. Ojciec potrzebuje wypoczynku.

Córka sprawiała wrażenie zatroskanej.

- Czy możemy przyjść jeszcze raz wieczorem?

- Możesz, jeśli chcesz - powiedziała Alissa. - Ja mam spotkanie, którego nie mogę odwołać.

W drodze do domu Alissa podjęła decyzję. Nadał nie miała żadnej odpowiedzi na swą rezygnację od „dam” z Federacji Kobiet Atlanty. Ale mimo iż bardzo chciała z powrotem zająć się balem i odzyskać władzę, nie mogła się przyznać przed sobą, że popełniła błąd w ocenie reakcji tych pań, chociaż teraz i tak nie miało to znaczenia. Robert dostarczył jej pretekstu, jakiego potrzebowała, by zdobyć ich współczucie i wygrać grę.

W domu Alissa skierowała się niezwłocznie do aparatu w sypialni, podłączonego do jej prywatnej linii. Po niecałej minucie odezwał się znajomy głos.

- Witaj, Sue Ellen... - Alissa zacisnęła zęby i dodała: - Jak się czujesz, kochanie?

Drut pokrył się lodem.

- Alissa. Co za niespodzianka.

- Ej, ej, Sue Ellen - roześmiała się Alissa. - Na pewno wiedziałaś, że zadzwonię. Słyszałaś, co się przydarzyło Robertowi, prawda? - Naturalnie Sue Ellen odpowiedziała „nie” i wtedy Alissa z wielkim upodobaniem wtajemniczyła ją w szczegóły, jak to biedny Robert od dawna jest chory i jak biedna Alissa męczennica nie chciała o tym nikomu powiedzieć, tylko poświęciła własne sprawy, żeby być u jego boku.

- Dlatego złożyłam rezygnację, Sue Ellen. Jaki inny powód mogłabym mieć? Ale teraz Roberta zoperują, więc jestem pewna, że po dłuższej rekonwalescencji odzyska formę.

Zgodnie z przewidywaniami, Sue Ellen początkowo wahała się, a potem zaczęła wzdychać i cmokać, i wtrącać we wszystkich najodpowiedniejszych miejscach, jak bardzo jest jej przykro, że słyszy coś takiego.

- Robert odzyska formę - powtórzyła Alissa - ale lekarz powiedział, że ja mogę mieć kłopoty, jeżeli nie przestanę się zamartwiać mężem i nie wrócę do normalnego życia. Jeśli więc wybaczycie mi mój brak rozsądku, chciałabym znowu zająć się baletem. Prawdę mówiąc, mam mały pomysł, który zapewni imprezie oszałamiający sukces. - Od tej pory będzie trzymać je w niepewności. A gdy tylko nabierze pewności, że znowu nad wszystkim panuje, zatka im gęby wiadomością o udziale Zoe.

A skoro Danny znalazł Jaya, to może właśnie Jay Stockwell, a nie biedny, zbolący, wolno dochodzący do zdrowia Robert będzie jej towarzyszył na balu. Poczula dreszczyk emocji.

- Mamy jutro spotkanie - ustąpiła Sue Ellen. - Będzie nam bardzo miło, jeśli przyjdiesz.

Alissa uśmiechnęła się pod nosem. Do diabła z oczekiwaniami. Kiedy znowu zapanuje nad sytuacją, wszystkie oczekiwania będą diabła warte. Ponieważ Alissa Page zamierzała wziąć do ręki pałeczkę dyrygenta.

Dziesięć po piątej Alissa wjechała windą na piętro Danny'ego. Uśmiechała się. Była szczęśliwa. Odzyskała bal. A teraz... Danny wie, gdzie on jest. Żołądek podszedł jej do gardła, bo kabina zaczęła hamować. Teraz dzięki balowi będzie miała zajęcie, gdyby okazało się, że Jay nie chce jej widzieć.

Drzwi windy otworzyły się. Alissa wbiła wzrok w białą ścianę korytarza. Pokręciła głową. To nie do pomyślenia. Jay na pewno zechce ją zobaczyć. Ale jeśli jest żonaty? A do tego, co gorsza, szczęśliwy?

Wyszła na korytarz w chwili, gdy drzwi zaczęły już się zamykać. Ruszyła przed siebie, wypatrując pokoju Danny'ego. Zastanowiło ją, dlaczego nie odzywa się Meg. Ani Zoe. Czyżby zrezygnowały z planu? Czyżby wyłącznie ona miała dość odwagi, by doprowadzić sprawę do końca? Tylko czy teraz, kiedy szansa nadeszła, naprawdę znajdzie w sobie odwagę?

Ledwie zdążyła zapukać, a już Danny otworzył drzwi.

- Niech pękne, jeśli to nie moja ulubienica z Południa - powiedział usuwając się na bok, żeby mogła przejść.

Danny nie wziął pokoju, lecz apartament. Prawdopodobnie najdroższy w całym hotelu.

- Ładnie ma pan tutaj - powiedziała Alissa energicznie go wymijając.

- Uzgodniliśmy luksusowe wydatki, pamięta pani?

Puściła mimo uszu tę uwagę i przeszła przez pokój. Usiadłszy przy oknie, zauważyła butelkę wina chłodzącą się w wiaderku z lodem. Czyżby dla niej? Czy Danny Gordon starał się zrobić na niej wrażenie? Uwieść ją? Ochoczy dreszczyk zgasł w niej jednak natychmiast, gdy uświadomiła sobie, że koszt wina niechybnie będzie wpisany na jej rachunek.

Założyła nogę na nogę, tak, by dolna krawędź jej bawełnianej sukienki odsłoniła część ud. Danny miał na sobie wystrzępione dżinsowe szorty i bawełnianą koszulkę głoścącą: „Ratuj manaty”. Wysokie buty znikły, był boso. Wyglądał dobre dziesięć lat młodziej niż ostatnim razem. I nadal niesłychanie seksownie.

- Wina? - zaproponował.

- Czemu nie - zgodziła się Alissa, ale nie dodała: „Przeć się za nie płacę”. Przeszła tutaj wyłącznie w jednym celu: zdobyć informację o Jayu.

- Miałem wyjątkowo ekscytujący dzień - stwierdził Dan-

ny, odkorkowując butelkę. - Wpadłem do Undergroundu, odsiedziałem swoje, wróciłem tutaj, oglądałem telewizję. Oto pasjonujące życie prywatnego detektywa.

- Nie mogłam spotkać się z panem wcześniej. Coś mi wypadło.

- Myślałem, że teraz jest to absolutnie najważniejsze w pani życiu. Cóż więc pani robiła? Obmyślała przyjęcie?

Zjeżyła się.

- Nie przepada pan za mną, co, Danny?

Podał jej kieliszek wina, a potem usadowił się na krześle przodem do niej.

- Mam problem z niepracującymi kobietami, szczególnie bogatymi. Ale niech pani tego nie bierze do siebie.

- Aha, rozumiem. Czy bardziej by mnie pan lubił, gdybym była biedna?

- Zupełnie jakby pytała pani Meg Cooper, czy miałyby klientów, gdyby nie była ruda. Nie ma na to odpowiedzi. - Wykonał okrągły gest dłonią z kieliszkiem, wciągnął w nozdrza bukiet, po czym upił łyk.

- Czy to najbardziej pociąga pana w Meg? - spytała Alissa. - Że nie jest niepracującą kobietą?

Odstawił kieliszek.

- Meg i ja jesteśmy przyjaciółmi od wielu lat.

- Mhm - mruknęła Alissa. Czyli nie zamierzał potwierdzić, że są kochankami. Oto szlachetny mężczyzna, prawy obrońca kobiecej reputacji. Boże, czasem szczerze nie cierpiała mężczyzn. Wyciągnęła papierosa z torebki.

- Czy nie ma pan nic przeciwko temu, że zapalę?

- Guzik mnie obchodzi, nawet jeśli będzie pani wachać proszek. Ale ten pokój jest dla niepalących.

Pstryknęła zapalniczką.

- Więc niech pan każe obsłudze pozwać mnie do sądu. - Danny uśmiechnął się. - A teraz, co z tej pana aktówki ma związek ze mną? - Wskazała na niewielką skórzaną teczkę opartą o krzesło.

Kiedy podnosił aktówkę z ziemi, zaczepiła się o róg krzesła. Wyspało się z niej kilka kartonowych teczek. Jedna z nich miała na okładce wyraźny nagłówek: „Larson, Bascomb”. Pod nią znalazła się teczka zatytułowana „Alissa”. Danny chwycił tę właśnie i zaczął wciskać pozostałe z powrotem do aktówki. Alissa zdążyła jednak zauważyć jeszcze teczkę nazwaną „Meg”.

Czyżby Danny szukał również mężczyzny Meg? Na tę myśl puls jej przyspieszył. Umierała z ciekawości, któż to taki... Najwyraźniej nie sam Danny. Omyliła się. Ale wobec tego kto? Może jednak ktoś wpływowy? Meg powiedziała, że osoba publiczna. Ale kto, do diabła? I kogo pieprzy Danny, jeśli nie Meg?

Danny odłożył aktówkę na bok, na podłogę, i wyjął kilka żółto liniowanych kartek z teczki pod tytułem „Alissa”. Upiła duży łyk wina.

- Jay Stockwell - przeczytał Danny z kartki. - Wiek: czterdzieści cztery lata.

- To wiem.

- Wzrost: sto osiemdziesiąt centymetrów. Włosy ciemnoblonde. Oczy zielone.

Alissa postanowiła, że nie sprawi mu satysfakcji i nie okaże zniecierpliwienia.

- Dziennikarz telewizyjny - ciągnął Danny. - Pracuje w World Press International.

Tego Alissa nie wiedziała. Wyprostowała się na krześle.

- O, i jeszcze coś, co może panią zainteresować. Stanu wolnego. Nigdy się nie żenił.

Miała nadzieję, że ogarniające ją ożywienie nie uwidacznia się na twarzy.

- Ma dom w Los Angeles. Obecnie pracuje w Dżakarcie.

- To w Indonezji?

Podniósł wzrok.

- Jeszcze niedawno tak było.

Opadła na krzesło.

- I co ja mam, do cholery, zrobić? Lecieć do Dżakarty?

- Stamtąd leci do Singapuru. - Podał jej kartkę. - A tu można nawiązać z nim kontakt, kiedy wróci do Stanów. Ma być w końcu lipca.

Wzięła do ręki notatkę i wbiła w nią wzrok. Danny podał jej adres domowy i adres miejsca pracy.

- Do końca lipca jest jeszcze sześć tygodni.

Wzruszył ramionami.

- Ma pani trochę czasu na pielęgnowanie męża, żeby szybciej ozdrowiał.

Dokończyła kieliszek wina.

- Skąd, u diabła, wie pan o moim mężu?

Danny uśmiechnął się.

- Ano tak, jest pan dobry w tym, co pan robi.

- Jeszcze wina? - zaproponował.

- Może być. - Alkohol zaczynał szumieć jej w głowie, ale nic sobie z tego nie robiła. Jay będzie w Los Angeles pod koniec lipca. Doskonały moment, żeby odwiedzić Zoe i zasklepać jej udział w balu. Można złapać dwie sroki za ogon. Gdzieś w środku poczuła budzący się dreszczyk.

Zadzwonił telefon. Danny skończył dolewać jej wina i dopiero wtedy odebrał.

Pomyślała, że za szybko opróżnia swój kieliszek. Boże, dlaczego myśli o tym cholernym balu? Przecież Danny znalazł Jaya. Chryste, nie mogła w to uwierzyć. Jay nie miał żony. Danny powiedział, że nigdy się nie ożenił. Czy to możliwe, że wciąż ją kocha, że kochał ją przez te wszystkie lata, że żadna inna kobieta nie mogła dorównać jego młodzieńczej miłości? Upiła następny łyk. Zwolnij, nakazała sobie. To nic nie znaczy. To wcale nie znaczy, że on chce się z tobą spotkać. To znaczy tylko, że wiesz, gdzie jest. Znów wlepiła wzrok w adresy.

Danny odwiesił słuchawkę i spojrział na Alisnę.

- Przepraszam na chwilę. Muszę zatelefonować z sypialni. Prywatna sprawa.

- Po prywatnym detektywie nie spodziewałabym się niczego innego.

Wyszedł z pokoju, zamykając za sobą drzwi.

Alissa zatrzymała wzrok na aktówce, potem spojrzała na drzwi sypialni. Były szczelnie zamknięte. Czy rozmowa mogła mieć coś wspólnego z Meg? Alissa słyszała głos Danny'ego. Był jednak cichy, słów nie rozróżniała. Zsunęła się z krzesła i nie odrywając oczu od drzwi sypialni pochyliła się do aktówki. Wyciągnęła teczkę z napisem „Meg”, po czym odchyliła okładkę. W środku na kartce widniało kilka linijek tekstu, w sumie niewiele. Był numer telefonu. Poniżej przyklejono wycinek z gazety. Artykuł dotyczył żony senatora Stevena Rileya. Alissa coś już słyszała o tym wypadku.

Serce omal nie podskoczyło jej do gardła. Senator Steven Riley? Szybko zamknęła teczkę i wcisnąwszy ją z powrotem do aktówki wróciła na swoje krzesło. Czyżby to senator Steven Riley był dawną miłością Meg? Senator Steven Riley z Nowego Jorku? Według pogłosek najbardziej prawdopodobny typ swojej partii do kandydowania w wyborach prezydenckich? Pociągnęła długi łyk wina.

Wszystko pasowało. Niewątpliwie była to osoba publiczna. A Meg powiedziała, że ten człowiek jest żonaty.

A żona Riley'a jest alkoholiczką, przypomniała sobie Alissa. Każda choć trochę poinformowana osoba wiedziała i to.

Alissa usiłowała się odprężyć, czuła jednak, że ma ochotę szybko stąd wyjść. Wszelkie nadzieje na wydobycie od Danny'ego dalszych informacji bez wątpienia stanowiłyby stratę czasu. Tymczasem Alissa potrzebowała ruchu, potrzebowała chwili na myślenie. Nagle bowiem wiadomość, że miłością Meg może być robiący karierę senator, żonaty z alkoholiczką, podnieciła ją tak samo jak to, że Danny wreszcie odnalazł Jaya, a ona odzyskała dla siebie bal.

Wcisnęła do torebki kartkę z adresem Jaya, podeszła do drzwi sypialni. Zapukała i otworzyła. Danny siedział na łóżku. Podniósłszy wzrok, zakrył dłonią słuchawkę.

- Muszę iść - szepnęła Alissa.

- Czy jest pani pewna? - spytał. - Miałem nadzieję, że poudziela się pani towarzysko.

- Przepraszam - powiedziała. - Następnym razem, zgoda? - Zaczęła zamykać za sobą drzwi, ale na odchodnym jeszcze wsunęła głowę w szparę. - Aha, Danny: dziękuję.

Skinął głową. Alissa opuściła pokój i cały apartament zastanawiając się, dlaczego, u diabła, Danny miał nadzieję na jej towarzystwo. I czy naprawdę tak było.

Rozdział czternasty

W porządku, Zoe, jesteś do przodu. Masz rolę. - Tim Danahy rozparł się na krześle w swym gabinecie, splótł ręce na brzuchu i uśmiechnął się, jakby przez cały czas wiedział, że nie może być inaczej, Zoe musi dostać rolę Jan Wexler, supermatki lat pięćdziesiątych, samotnie wychowującej dziecko.

Natomiast Zoe nie mogła wydobyć z siebie głosu. Dała radę. Naprawdę dała radę!

- Nie rozumiem, dlaczego nie chciałeś powiedzieć mi tego przez telefon - powiedziała w końcu.

- Nie chciałem stracić uśmiechu na twojej twarzy. Uśmiech masz wciąż ten sam, wiesz? Piękny.

Zoe poruszyła się na krześle. Krępowała się, nie była przyzwyczajona do komplementów; zbyt wiele lat minęło od tamtej epoki. Lepiej zmień postawę, dziewczyno, powiedziała sobie w duchu. Dostałaś rolę i znowu będziesz gwiazdą!

Podniecenie wzburzyło jej krew w żyłach. Nie mogła doczekać się, kiedy powie o zwycięstwie Marisol. I Scottowi. Och, Boże, i wreszcie będzie mogła zadzwonić do tego żółtodziobego bankiera. Ma szansę dojść z nim do jakiegoś porozumienia. Może zdoła zatrzymać Cedar Bluff.

- Nie chcesz wiedzieć, za ile?

Za ile? Aha, pieniądze.

- No, właśnie, Tim. Za ile?

Uśmiechnął się znowu.

- Trzysta tysięcy dolarów.

Zoe omal nie podskoczyła na krześle.

- Trzysta? Wyciągnąłeś trzysta? Myślałam...

Tim pokręcił głową.

- Wiem, że powiedziałem ci mniej. Nie chciałem rozbu-
dzać twoich nadziei.

Zoe uśmiechnęła się.

- Ale trzysta tysięcy?

Tim parsknął śmiechem.

- Czyżbyś sądziła, że agent Zoe zgodzi się na mniej?

Wstała z krzesła i podeszła do okna. Gabinet Tima mie-
ścił się na parterze. Nie roztaczał się stąd wspaniały widok
Los Angeles spowitego smogiem, było widać tylko chodnik
i nieprzerwany sznur samochodów.

- Nie mogę uwierzyć - powiedziała cicho. - Naprawdę
dałam radę.

Tim obrócił się na krześle, tak że skrzypnęło.

- To my daliśmy radę, moja droga.

- Masz rację - przyznała. - To my. Dziękuję ci, Tim.

- Jest tylko jeden kłopot.

Serce Zoe zamarło. Kłopot. Jasne, musi być jakiś kłopot.

- Zdjęcia zaczynają się za dziesięć dni. W Nowym Jorku.

- Dziesięć dni?

Skinał głową.

- To jest telewizja, nie kino. Zobaczysz, że ramówka
pracy jest mordercza i nie będzie zbyt wielu okazji do
poprawiania czegokolwiek. Dlatego lepiej bądź dobra od
samego początku.

Zoe klasnęła w dłoń.

- Dobra to mało, będę fantastyczna. Zobaczysz, Tim. -
Czuła zupełnie nie znaną drętwotę, która ogarniała jej
mięśnie policzków, usztywniała uśmiech. No tak, uśmiech,
pomyślała. Ile to czasu minęło, odkąd ostatnio tyle się
uśmiechałam?

Nagle Tim znalazł się przy niej.

- Myślę, że powinniśmy uczcić to wydarzenie - powie-
dział, kładąc dłoń na jej ramieniu.

Zoe stężała.

- Zapraszam cię na obiad. Lokal wybierz sama, pod

warunkiem, że będzie drogi i do tego ewentualnie romantyczny.

Zoe odsunęła się od niego. Wygładziła włosy.

- Nie mogę, Tim - powiedziała wolno. - Nie dziś wieczorem.

Podszedł bliżej i znowu położył jej dłoń na ramieniu.

- Nie dziś wieczorem? Czy w ogóle nie?

Spojrzała mu w oczy. Nie miały błagalnego wyrazu, ale kryła się w nich nadzieja. Tim Danahy już raz umożliwił jej start, pierwszy wielki sukces. A teraz historia się powtarzała. I znów nie była to jego chwila. Tym razem jednak Zoe nie chciała go urazić. Postanowiła bardziej zwracać uwagę na uczucia innych ludzi, na ich potrzeby. Szczególnie Tima. Przecież tak wiele mu zawdzięczała.

Opuścił dłoń.

- Jasne, kruszynko. Rozumiem. Więc innym razem, zgoda?

Zoe wyciągnęła się na palcach i cmoknęła go w policzek.

- Zamiast randki - powiedziała i szybko dodała: - Czy możesz teraz zostawić mnie samą? Chciałam skorzystać z telefonu.

Uniósł brwi.

- Jasne. Na pewno chcesz zadzwonić do domu.

Bez słowa skinęła głową. Tim powlókł się do drzwi i zamknął je za sobą. Zoe popatrzyła, jak znika, potem podniosła słuchawkę i wybrała numer banku First Pacific. Miała rolę. Teraz musiała tylko zapewnić sobie zmianę zasad spłaty długu ciężącego na Cedar Bluff.

Czekając na połączenie z Johnem Burnsem, usiadła na skrzypiącym krześle obrotowym za biurkiem Tima. Na blacie leżał rozłożony ostatni numer „Variety”. Zaczęła go kartkować z myślą, że będzie musiała znów to czytać, wiedzieć, co piszczy w Hollywood. Musiała się pokazać, być agresywna. Raz jej się udało, mogło się udać i drugi. Z Erikiem czy bez niego.

Eric. Dłaczego, u diabła, o nim pomyślała.

- John Burns, słucham.

Szybko skierowała myśli na inny tor.

- Panie Burns, tu Zoe Hartmann. - Uśmiechnęła się słysząc, jak mówi mu z niezmaconą pewnością siebie, że dostała rolę. Prawie czuła na odległość jego arogancki uśmiech. Miała ochotę wyszczypać mu policzki i nazwać go

synkiem, a potem dać mu porządnego klapsa. - Będę w stanie dać panu sto tysięcy zamiast pięciuset - powiedziała. - Musimy więc porozmawiać o zmianie zasad spłaty reszty.

- Reszta wyniosłaby wtedy czterysta tysięcy - stwierdził John Burns i na chwilę zamilkł. - Mam pomysł - odezwał się ponownie. - Może zastanowi się pani nad zmianą zasad spłaty całych pięciuset tysięcy?

Arogancki ton jego głosu zmienił się na protekcyjny. Zoe nie rozumiała, w czym rzecz.

- W ten sposób będzie pani mogła zachować obecne honorarium. Powinno to ułatwić gospodarkę bieżącą gotówką. Utrzymanie Cedar Bluff na pewno jest kosztowne.

Utrzymanie. Boże, Zoe nawet nie wzięła tego pod uwagę. Kiedy nie miała nic więcej do roboty, razem z Marisol same radziły sobie ze wszystkim. Raz na tydzień przychodził tylko ogrodnik i człowiek do czyszczenia basenu. Teraz, kiedy Zoe wracała do pracy... Dlaczego jednak John Burns nagle zaczął jej okazywać taką serdeczność?

- No, owszem - przyznała z wahaniem. - Tak byłoby lepiej. - Wbiła wzrok w aparat telefoniczny, zastanawiając się, czy sekretarka Tima podsłuchuje. A może Tim.

- Dobrze. Wobec tego mam pomysł. Załatwię wstępną część papierkowej roboty. A czy pani będzie mogła wpaść do banku w piątek, powiedzmy o trzeciej?

- O trzeciej?

- Tak. Bo wie pani, tak przy okazji: mamy wtedy małe przyjęcie z okazji rozszerzenia działalności. Chyba nie będzie pani miała nic przeciwko temu, żeby wspomóc nasz bank i sfotografować się raz czy dwa z urzędnikami? Jako wierna klientka.

Zoe musiała się pilnować, żeby nie wybuchnąć głośnym śmiechem. Zastanawiała się, czy chcieliby mieć z nią zdjęcie, gdyby nie zdobyła roli Jan Wexler. I czy wtedy przejęliby Cedar Bluff. Hollywood, pomyślała. To się nigdy nie zmieni.

- Oczywiście - powiedziała. - Z największą przyjemnością. Do zobaczenia w piątek. - Odwiesiwszy słuchawkę, Zoe uświadomiła sobie, że nawet nie wspomniała o formularzach, które dał jej John Burns. Najwyraźniej nie były już potrzebne.

Przeszła do sekretariatu. Tim siedział na rogu biurka sekretarki. Rozmawiali ściszymi głosami.

- Załatwione - powiedziała Zoe. - Dziękuję.

Tim wstał i poprawił krawat.

- Umowy powinny być gotowe za kilka dni, Zoe. Mogę je dostarczyć do Cedar Bluff, jeśli sobie życzysz.

Zarzuciła torebkę na ramię, podejrzewając, że za pomocnym gestem Tima kryje się chęć bycia dla niej kimś więcej niż tylko agentem.

- Muszę znowu przyjechać do miasta w piątek - powiedziała. - Będzie łatwiej, jeśli wtedy do ciebie wpadnę. - Wszystko działało się niesłychanie szybko. Była tym podniecona, oszołomiona i wystraszona. Wiedziała, że bez trudu mogłaby włączyć Tima Danahy'ego do swego życia, żeby zajął się finansami, tak jak przedtem William. Ciekawe, czy Tim też skopałby sprawę. Prawdopodobnie nie. Kiedy jednak wyszła na parking i spojrzała na sypiący się biurowiec, który sypał się tak od chwili, gdy zobaczyła go pierwszy raz przed dwudziestoma laty, pomyślała, że może lepiej będzie po prostu zdobyć się na odwagę, sprężyć i samej zadbać o swoje sprawy.

Jazda do Cedar Bluff była dla Zoe najprzyjemniejszym powrotem do domu od dawna. Może nawet od lat. Zatrzymała się przy swojej ulubionej tajlandzkiej restauracji i kupiła na wynos ryż z kurczakiem i pierożki gotowane na parze. Był to specjalny obiadowy poczęstunek dla Scotta i Marisol, na uroczystą chwilę radości, gdy usłyszą nowinę, na wspamiętały początek wakacji Scotta. Miała nadzieję, że syn nie przeżyje wielkiego rozczarowania z powodu jej rychłego wyjazdu na zdjęcia do Nowego Jorku.

Prowadząc samochód po krętej drodze w kanionie, Zoe spoglądała w czyste czerwcowe niebo. Nawet pogoda jest dzisiaj wspaniała, pomyślała. Życie, mimo wszystko, może być piękne. I wtedy roześmiała się, pewna, że nawet gdyby padało, a smog okrył okolicę gęstą czapą, w niczym by to nie przeszkadzało. Ten dzień miał się okazać wspaniałym i nic nie mogło temu przeszkodzić. Nie musiała się martwić o Cedar Bluff ani o bank First Pacific, ani o Tima Danahy'ego. Bo znowu ożyła Zoe. I miała zamiar odnieść sukces.

Skręciwszy na długi podjazd, szybko zahamowała na widok nie znanego samochodu. Zatrzymała się po jego lewej stronie próbując odgadnąć, do kogo należy. Może do jakiegoś specjalisty wezwanego przez Marisol. A może do

rodziców kolegi Scotta, którzy wpadli podrzucić syna na popołudnie. Byłoby dobrze, gdyby Scott wyczuł, że teraz może zapraszać kolegów w odwiedziny. Na latach dobrowolnej izolacji matki stracił prawie tyle samo, co ona. Przedtem nie chciała, żeby Scott sprowadzał kolegów, którzy biegaliby po całym domu, nastawiali na cały regulator aparaturę stereo albo wytrzeszczali na nią gały. Teraz witała ożywienie z zadowoleniem. Wyłączyła silnik i chwyciła torby z obiadem. Miała nadzieję, że jedzenia starczy dla całego towarzystwa.

Przechodząc przez trawnik za domem, usłyszała wyraźne odgłosy piłki koszykowej, odbijanej o chodnik. Przypomniało jej to, jak wiele czasu minęło, odkąd William znajdował czas na grę w kosza ze Scottem. Za wiele pracował, stanowczo za wiele. Zoe rozumiała to teraz, kiedy sama usiłowała utrzymać wszystko w ryzach. Ale ich życie się zmieni. Wróci do normalności. Nareszcie.

Westchnęła i obeszyła róg domu, kierując się w stronę placu do koszykówki. Scott przymierzał się do rzutu z dystansu, gibki mężczyzna odwrócony plecami do Zoe blokował. W żołądku zaczął jej się lęgnąć niepokój. Scott rzucił piłkę. Mężczyzna ruszył biegiem w stronę kosza. Gdy się odwrócił, Zoe wyraźnie zobaczyła jego twarz.

Eric.

Upuściła torby z jedzeniem. Białe kartonowe pojemniki pękły i ryż wysypał się na ziemię.

Eric spojrzął na nią. Przestał biec.

Stała jak skamieniała.

- Hej, mamoo! - zawołał Scott, w pędzie wycierając pot z karku. - Mamy gościa! Twój stary przyjaciel...

- Wiem, kto to jest - powiedziała Zoe, nie odrywając wzroku od Erica. - Gdzie Marisol?

Scott wzruszył ramionami.

- Chyba robi zakupy. Oj, czy to jest obiad? A może powinienem powiedzieć „był”?

- Scott - powiedziała stanowczo - idź do domu.

- Słucham?

- Powiedziałam: idź do domu. Szybko.

- Jeeezu, mamoo... - Przeniósł wzrok z Zoe na Erica, potem z powrotem na Zoe. Potem pochylił się nad resztkami obiadu.

- Zostaw - nakazała Zoe. - Zajmę się tym później.

- Przecież mógłbym posprzątać...
- Scott, do domu.
- Jeeezu - mruknął jeszcze raz i posłusznie ruszył w stronę wejścia.
- Wciąż jeszcze trzymasz z Marisol? - spytał Eric, szurając nogami po ziemi. Nie patrzył na Zoe.

Zacisnęła dłonie w pięści. Ramiona miała opuszczone wzdłuż ciała.

- Co tutaj robisz, do cholery?
- Daj spokój, Zoe. Ja byłem dla ciebie miłszy, kiedy niespodziewanie wtargnęłaś w moje życie.

Wzięła głęboki oddech.

- Co tutaj robisz, do cholery?
- Podniósł piłkę, wykonał dwa kozły, po czym udał, że składa się do rzutu.
- Zwyczajnie, zatrzymałem się na chwilę, żeby pograć z synem w kosza.

Ból przeszył jej żołądek. Chwyciła się za brzuch, mocno przyciskając dłonie. Ból nie ustąpił.

Eric nadal wpatrywał się w kosz.

- Bo to jest mój syn, prawda, Zoe?
- Wlepiła w niego wzrok. Eric rzucił piłkę. Minęła tablicę o dobre trzydzieści centymetrów.
- Nie mogę uwierzyć, że nigdy mi nie powiedziałaś. Chryste. On wygląda kropka w kropkę jak ja. Jest do mnie bardziej podobny niż moje dzieciaki. No, ale przecież też jest mój, nie?

Chciała nabrać do płuc porcję chłodnego, czystego powietrza. Ale nagle wydało jej się okropnie gęste, duszne. Ból w żołądku nasilił się.

- Eric... - Tyle tylko przeszło jej przez gardło.
- Czy po to mnie odnalazłaś, Zoe? Chciałaś mi powiedzieć?

- Ja... nie...

Zaczął przechadzać się przed nią wielkimi krokami.

- Kto jeszcze o tym wie? Marisol? A co z twoim mężem? Wiedział?

Zoe straciła mowę.

Przystanął i znów gwałtownie zwrócił się w jej stronę.

- A Scott? Czy Scott wie?

Zaczęła drżeć.

- Nie - wyszeptała.

Przysunął twarz do jej twarzy.

- Kiedy zamierzasz mi powiedzieć? W przyszłym roku? Za dwa lata? Nigdy?

Łzy popłynęły jej po policzkach.

- Wynoś się z mojego domu - powiedziała, ale głos jej się załamał, słowa zabrzmiały nieprzekonująco.

Eric wykonał szeroki gest ramieniem.

- Ładny domek, nie? Przynajmniej wychowujesz moje dziecko z klasą. - Znowu przespacerował się kawałek, kręcąc przy tym głową. - Ja nie mógłbym mu tyle dać - mruknął. - Ale chyba musiałaś dobrze o tym wiedzieć.

Zoe nadal nie mogła się poruszyć, jakby w nogach miała ołów i jakby wsysały ją ruchome piaski.

Eric obrócił się nagle w jej stronę. Miał łzy w oczach. Łzy wściekłości. Łzy, które ranią.

- Dlaczego mi nie powiedziałaś, Zoe? Bałaś się o swoją pierdoloną karierę? Bałaś się skandalu? Zdaje się, że o jednym zapomniałaś. To mój chłopak. I chcę, żeby o tym wiedział. Chcę, żebyś mi powiedziała. - Znowu odwrócił się w inną stronę. Dłonie wcisnął do kieszeni dżinsów. - Powiedz mi, bo inaczej urządzę skandal, jakiego w życiu nie widziałas.

Scott wyszedł z domu.

- Nie musisz mi niczego mówić, mamo. Wszystko słyszałem.

Zoe zgięła się w pół i zwymiotowała ohydną zólcia na ziemię, na rozsypane orientalne danie.

Eric ani drgnął.

Podniosła wzrok. Scott wlepił w nią wytrzeszczone oczy. Potem odwrócił się i puścił biegiem po ścieżce między drzewami, prowadzącej w stronę klifu i basenu. Zawsze tam przesiadywał, kiedy chciał być sam. Tam było jego bezpieczne miejsce, jego azyl.

Wyprostowała się chwiejnie.

- Ty sukinsynu - wyszczała. - Ty pieprzony sukinsynu.

Próbowała pobiec za Scottem, ale Eric wyciągnął ramię i ją zatrzymał.

- Chciałaś, żebym wiedział. Może nie, Zoe?

- Puść mnie, ty sukinsynu.

Ścisnął jej ramię jeszcze mocniej.

- Chciałaś, żebym wiedział. Dlatego nie skłamałaś, kiedy spytałem o wiek. Mogłaś powiedzieć, że ma dziesięć lat.

Albo dwanaście. Ale czternaście? Dlaczego chciałaś, żebym wiedział? Po co? Po tylu łatach?

Zoe spojrzała w jego zamglone oczy. Miał rację. Chciała, żeby wiedział o Scotcie, żeby cierpiał, żeby czuł wyrzuty sumienia, urazę, ból. Czy naprawdę chciała po prostu zobaczyć swoją pierwszą miłość? A kiedy już go znalazła, to czy naprawdę chciała mu podziękować? Nie, teraz to wiedziała. Za nic. Chciała go znaleźć, bo tak naprawdę pragnęła się zemścić. Zobaczyć, jak Eric się wije, jak cierpi.

- Dlaczego chciałaś, żebym wiedział? - spytał znowu, tym razem ciszej, wyraźnie przejęty bólem.

- Bo cię nienawidzę, ty sukinsynu - rzuciła mu w twarz. - Tyle lat cierpiałam, i to twoja wina, twoja! Zostawiłeś mnie. Omal nie umarłam, rodząc twojego syna. Przez dwa lata nie mogłam go nawet potrzymać, mojego własnego maleństwa. Byłam za bardzo chora. Nie mogłam go trzymać ani karmić, ani kochać. A ty gdzie byłeś? Nigdzie. Zostawiłeś mnie, ty sukinsynu. Zostawiłeś mnie.

Uwolniła się i z płaczem pobiegła ścieżką między drzewami, ślizgając się i potykając. Opuszczała się w dół po grzebieniastych skałach, modląc się, żeby Scott jej nie znienawidził. Stała w końcu tuż za chłopcem i otoczyła go ramionami.

- Scottie - wyszeptwała. - O Boże, czy kiedyś mi wybaczysz?

Wyszarpnął się.

- Więc to prawda, mamó? Ten człowiek... ten człowiek... jest...

- Ten człowiek nie jest twoim ojcem - powiedziała. - Nigdy nie mógłby nim być. Twoim ojcem był William. - Wyciągnęła rękę, usiłując go dotknąć. Ale nie starczyło jej ręki, jakby nie miała do tego prawa. - To William cię wychowywał i opiekował się tobą, i grał z tobą w piłkę, a nie ten człowiek. William był twoim ojcem.

- Ale...?

- Genetyka nic nie znaczy. Liczy się miłość. William cię kochał.

- Mamó, ten człowiek, Eric, mówi, że nawet o mnie nie wiedział!

Zoe splotła dłonie na brzuchu i zaczęła się kiwać tam i z powrotem. Łzy nie przestawały jej płynąć.

- Nie - powiedziała cicho. - Nie wiedział.

Scott dał nurka do basenu.

Mój Boże, pomyślała Zoe, co ja najlepszego narobiłam? Bodajbym nigdy nie próbowała wrócić przed kamerę, bodajbym nigdy nie pojechała do tego przekłętego ośrodka.

Wiedziała jednak, że nie jest w tej chwili uczciwa. Nie było uczciwie winić Alisę i Meg za to, co sama zrobiła. Prędzej czy później i tak zaczęłaby szukać Erica. Stanowił nie zamknięty rozdział w jej życiu, zdecydowanie za bardzo jątrzący. Boleśnie przypominał o sobie dzień za dniem, każdym nowym śladem podobieństwa Scotta do Erica. Musiała położyć temu kres. Alissa i Meg jedynie dodały jej sił.

Przyglądając się synowi, którego sylwetka przesuwała się pod wodą, Zoe dumiała, czy jeszcze kiedyś będą się do siebie odnosić tak jak przedtem.

Następne dni niemiłosiernie się wlokły. Scott prawie nie odzywał się do Zoe, większość czasu spędzał samotnie na basenie. Za każdym razem, gdy Zoe próbowała się do niego zbliżyć, uciekał do swej jaskini cierpienia.

- Poczekaj, aż czas zrobi swoje - radziła Marisol. - Chłopak zacznie inaczej myśleć.

Zoe uległa i tylko karmiła się nadzieją, że zanim wróci ze zdjęć w Nowym Jorku, Scott jej wybaczy. Ale jakiś głos w głębi duszy ostrzegał ją, że może wcale tak nie być.

Siedziała teraz w swym hotelowym pokoju na Manhattanie, czekając na Meg Cooper. Zdjęcia trwały od trzech dni, tyle potrzebowała, by nabrać ochoty na telefon do Meg i wyrobić w sobie przekonanie, że jest w stanie znieść nowiny o szczęśliwym połączeniu przyjaciółki z jej pierwszym i, podobno, jedynym ukochanym.

Zapatrzyła się w nieco wyblakłą litografię paryskiej kafejki, wiszącą na przeciwległej, pustej poza tym ścianie w kolorze brunatnożółtym. Rozmyślała o przyszłości. Zdjęcia nie szły dobrze. To, co powinno uskrzydlać, odradzać jej pewność siebie, stało się żmudnym codziennym obowiązkiem. Zoe zdawała sobie sprawę z tego, że poddaje się swej udręce, między ujęciami miała bowiem za dużo czasu na myślenie o Scotcie i Ericu. Usiłowała tego nie okazywać. Starła się wcielić w rolę, zrobić z Jan Wexler kobietę budzącą współczucie i sympatię, poruszającą serca. Ale wytrzymywanie w skupieniu do końca każdej sceny przy-

sparzało jej niewysłowionych cierpień, toteż czuła przypływ ulgi za każdym razem, gdy Cal Baker wołał: „Kopiować!”

Służba hotelowa przyniosła butelkę wina i dwie sałatki. Duchota w mieście, a do tego zatroskanie zmniejszyły apetyt Zoe. Z tym nawet szczęśliwie się złożyło, wiedziała bowiem, że najmniej potrzeba jej teraz poddania się władzy ciasteczek Twinkies. Była w tak ponurym nastroju, że jedno ciasteczko łatwo mogło pociągnąć za sobą cały tuzin.

Spojrzała przez okno na szare budynki widoczne na tle pochmurnego nieba. Zastanawiała się, czy Meg istotnie przyjdzie z radosnymi nowinami i czy będzie wiedziała cokolwiek o skutkach poszukiwań Jaya Stockwella przez Alisę.

Rozległo się pukanie do drzwi. Zoe strąciła samotną łzę z kącika oka. Dopiero wtedy uświadomiła sobie, że płacze. Przycisnęła dłoń do skroni i zaczerpnęła głęboko powietrza. Potem wygładziła długi szlafrok, przeszła na bosaka po dywanie i otworzyła drzwi.

Meg była ubrana w prostą beżową sukienkę, która luźno spływała z jej nadmiernie wychudzonej sylwetki. Kasztanowe włosy miała zaczesane do tyłu, policzki blade i zapadnięte. Zoe ogarnęło zdumienie. Meg nie wyglądała na kobietę przeżywającą miłosne olśnienie. Coś było nie tak. Bardzo, bardzo nie tak. Szybko wykrzywiła usta w uśmiechu.

- Meg! - wykrzyknęła i uściskała przyjaciółkę. - Jak miło cię zobaczyć. - Obejmując ją, wyczuła sterczące żebra, ale nie odezwała się na ten temat ani słowem.

Meg cofnęła się o krok.

- Mój Boże, Zoe, niech na ciebie popatrzę. Wyglądasz absolutnie fantastycznie.

Zoe wybuchnęła śmiechem.

- To prawda. Jeszcze nie widziałas mojego „nowego ja”, prawda? No, dobrze, wejdź do środka. Zamówiłam sałatki na obiad. Nie uwierzysz, jak trudno jest utrzymać linię dla potrzeb tego cholernego filmu.

- A ty kochasz każdą minutę tego wszystkiego - powiedziała Meg, wchodząc za gospodynią do pokoju.

Zoe nic na to nie powiedziała. Usiadły na krzesłach przy oknie i przez pierwszy kieliszek wina rozmawiały o niczym. Wreszcie został im jeden temat do omówienia.

- No i jak - zaczęła powoli Zoe. - Czy masz ochotę opowiedzieć coś o szczęśliwym połączeniu?

Meg przesunęła palcem po krawędzi kieliszka.

- Przez jedną noc było cudownie - powiedziała. - Pewnie na tyle zasługiwałam. Może nawet na mniej.

Zoe ostrożnie odstawiła kieliszek. Najwyraźniej Meg była rozdarta bólem tak samo jak ona. I też gnieździł się w niej olbrzymi żal.

- Co się stało?

Meg pokręciła głową.

- Nic takiego. Chyba zmienił zdanie.

Zoe współczuła przyjaciółce z całego serca. Czy może być gorsze cierpienie niż nie odwzajemniona miłość? Nie odwzajemniona miłość. Grała tę rolę wiele razy, w wielu filmach. Pamiętała, jak to było, kiedy Eric „zmienił zdanie”. Takiego cierpienia nigdy się nie zapomina, nawet wtedy, gdy pokona się urazę, przetrwa gniew, i nawet wtedy, gdy człowiek nauczy się nienawiści. To cierpienie pozostaje z nim na zawsze, żarzy się pod powierzchnią i od czasu do czasu boleśnie się odzywa, nie pozwalając nad sobą zapanować.

- Czy sądzisz, że on wciąż cię kocha? - spytała cicho.

Meg zamknęła oczy, potem wolno podniosła powieki. Ale z jej spojrzenia bił chłód, pragnienie samoobrony.

- Tak mi się zdawało - powiedziała. - Ale chyba niesłusznie. Może lepiej było zostawić marzenia w spokoju. Może rzeczywistość nie dorasta do marzeń.

Zoe wiedziała, że marzenia Meg trwały równie długo jak jej własne, majaczyły gdzieś w podświadomości, czasem dając o sobie znać, czasem blaknąć, lecz nigdy nie nikać całkowicie. Położyła rękę na dłoni przyjaciółki.

- Och, Meg, tak mi przykro.

- Mnie też - szepnęła Meg. Przez chwilę wpatrywała się w dłoń Zoe, potem podniosła głowę i powiedziała: - A co u ciebie? Opowiedz o Minnesocie.

Zoe wzięła do ręki widelec i dźgnęła ósemkę pomidora w taki sposób, w jaki miałyby ochotę dźgnąć Erica, w jaki Eric dźgnął ją prosto w serce.

- Obawiam się, że moje zejście się z pierwszym też było omyłką. I będę za nią płacić do końca życia.

- Och, Zoe.

Zoe odłożyła widelec i zapatrzyła się w sałatkę. Nagle opadła ją rzeczywistość ostatnich kilku tygodni. Wreszcie

stało się: lata sekretów, lata kłamstw skończyły się wybuchem, jakby ktoś podłożył w kanionie ładunek dynamitu. Po tym wybuchu zostały tylko ostre, poszarpane krawędzie prawdy.

- Eric domyślił się, że jest ojcem mojego syna. - Zoe spojrzała na Meg, na wpół oczekując u niej wstrząsu, szukając w oczach oceny. Ale w łagodnych oczach Meg dostrzegła tylko smutek.

I wtedy Zoe opowiedziała od samego początku historię, którą już opowiadała Meg i Alissie w Golden Key, dzieje jej młodości z Erikiem, wspólnej ucieczki do Hollywood, małżeństwa, wylewu i życia w odcięciu od reszty świata. Tym razem jednak powiedziała też Meg, że zaszła w ciążę i że Eric jest ojcem Scotta. Potem opowiedziała o odwiedzinach u Erica i o jego niespodziewanej wizycie w Los Angeles, i o buncie Scotta.

- A teraz wracam na plan. I w ten sposób połowa życia zaczyna mi się normalizować, a połowa kompletnie się rozsypuje.

Przez chwilę siedziały w milczeniu. Zoe była zaskoczona, że nie płacze. Czuła tylko odrętwienie. Znieczulenie na wszystko. Martwość.

- Myślę, że obie dostajemy ważną lekcję - powiedziała Meg. - Przeszłości lepiej nie rozgrzebywać.

Zoe wolno skinęła głową.

Później tego wieczoru Zoe przyznała przed sobą, leżąc w łóżku, że po odwiedzinach Meg poczuła się lepiej. Niestety ciągnie do nieszczęścia, pomyślała żałośnie, ale nie przychodziło jej do głowy nic bardziej odkrywczego. Wielka różnica polegała na tym, że Meg mogła zerwać odnowiony związek i czekać, aż czas powoli zaleczy jej rany. Ale Zoe cierpiała od rany będącej jak wrzód, który z wierzchu goi się i okrywa naskórkiem, w głębi jednak nadal istnieje, jątrzy się, puchnie. Nieustannie przypominało jej się, że Scott poznał prawdę o swym ojcu i że stało się to w niewłaściwy sposób. Wiedziała, że kiedy ciśnienie w jej wnętrzu nadmiernie wzrośnie, wrzód raptownie pęknie, zatruwając wszystko i wszystkich dookoła. Tylko dlatego że nie potrafiła zadowolić się tym, co ma.

Kiedy zadzwonił telefon, Zoe potrzebowała dłuższej chwili, by rozpoznać dziwny elektroniczny dźwięk. Prze-

wróciła się na bok, wyciągnęła rękę i włączyła lampkę przy łóżku. Chwytnąc za słuchawkę, spojrzała na zegar. Było dwadzieścia po dwunastej.

Dzwoniła Marisol.

- Boże, Marisol, nie wiesz, która tu jest godzina?

- Mamy kłopot, Zoe.

Usiadła wyprostowana na łóżku.

- Scott?

- Nic mu się nie stało, nie o to chodzi - powiedziała szybko przyjaciółka. - Ale widzisz, on uciekł.

Ból przeszył jej serce. Przyciągnęła kolana do piersi i próbowała wycisnąć go z siebie.

- Uciekł? O Boże, Marisol, powinnam była przewidzieć, że coś takiego się zdarzy. - Nie mogła zaczerpnąć tchu, jakby słowa Marisol przygniotły jej płuca i spuściły z nich powietrze. - Od jak dawna go nie ma? Czy dzwoniłaś do jego kolegów? Na pewno jest u...

- Nie ma go tam.

- Na pewno jest. Nie uciekłby samodzielnie.

- Kto mówi, że samodzielnie?

Zoe ogarnęło złowrogie przecucie. Zamknęła oczy. Ciemność zawirowała.

- Uciekł do Erica - powiedziała Marisol bezbarwnie.

Zoe krzyknęła i cisnęła aparatem przez pokój. Sznur wyrwał się z gniazdka, brzęczyk jęknął szyderczo, gdy aparat rąbnął o ścianę i z hukiem spadł na podłogę.

Krzyknęła jeszcze raz, potem zwała się na łóżko, szarpana głośnym, rozpaczliwym szlochem, zraniona jak zwierzę dźgnięte w serce. Zaczęła się trząść, drżały jej dłonie, ramiona, nogi.

- Nie - powiedziała głośno. - Nie. Nie. Nie. Nie. - Oczami wyobraźni zobaczyła twarz Scotta naznaczoną bólem, w chwili gdy poznał prawdę. Obok pojawiła się twarz cierpiącego Erica. - Nie - powiedziała jeszcze raz. - Nie.

Wygramoliła się z łóżka. Musiała oddzwonić do Marisol. Spojrzała, gdzie leży aparat, i z powrotem wsadziła wtyczkę do gniazdka. Wyciągnęła rękę, usiłując zapanować nad jej drżeniem, potem powoli, cyfra po cyfrze, wybrała numer.

- Co się stało? - Marisol odezwała się, zanim Zoe usłyszała pierwszy dzwonek w słuchawce. - Czy nic ci nie jest?

Zoe odpowiedziała szlochem i nie wyglądało na to, żeby była w stanie cokolwiek powiedzieć.

- O, Boże - ciągnęła Marisol. - Nawet nie zamierzałam do ciebie dzwonić.

Pulsujący ból rozrywał skronie Zoe. Nadal nie mogła wydobyć z siebie głosu. To niemożliwe. Coś takiego nie mogło się stać. Niewyraźnie słyszała oderwane od siebie słowa Marisol.

- Zostawił liścik...

Znów przyciągnęła kolana do piersi i mocniej oplotła je ramionami, starając się odzyskać panowanie nad sobą, skupić na tym, co mówi przyjaciółka.

- Nie chce, żebyś za nim jechała. Twierdzi, że nie wybierają się do Minnesoty.

- Gówno prawda. - Zoe usłyszała własny krzyk. - Znajdę go. On ma czternaście lat! Zabiorę go do domu.

- Zoe, to nie jest dobry pomysł.

- Nie mów *mi*, że to niedobry pomysł! Scott jest moim synem, na miłość boską. Temu sukinsynowi nic do niego.

- Ten „sukinsyn” jest jego ojcem.

- Nie bądź oślicą, Marisol.

- Uspokój się. Zanim dokądkolwiek pojedziesz, chcę, żebyś usiadła i wzięła parę głębokich oddechów. Potem przeczytam ci liścik.

- Marisol...

- Rób, co mówię. Szybko.

Zoe osunęła się na krawędź łóżka.

- Dobra, siedzę. Możesz czytać.

- Weź te głębokie oddechy.

Zamknęła oczy i próbowała głęboko zaczerpnąć tchu. Powietrze wibrowało wokół bolesnego jądra. Spróbowała ponownie, powoli. Drżenie stopniowo ustawało. Otworzyła oczy.

- Czytaj.

Marisol zrobiła krótką pauzę.

- Dobra - powiedziała w końcu. - On pisze: *Chcę poznać mojego prawdziwego ojca. Myślę, że mam do tego prawo.*

Zoe poczuła, że drżenie wraca.

- *Nie martw się o mnie. Ojciec mówi, że możemy być razem tak długo, jak mi się podoba,*

Zoe przełykała łzy, a tymczasem Marisol czytała dalej:

- *Nie próbuj za mną jechać, mamo.*

Zoe nie mogła znieść ani trochę więcej.

- Nie jechać za nim? Czy on oszalał? Oczywiście, że za

nim pojedę. I zawiadomię policję. To jest porwanie, Marisol. Ten sukinsyn przetrzymuje mojego syna, a ja dopilnuję, żeby za to zapłacił. - Słowa wypadły jej z ust i rozsypały się niczym drobniutkie czcionki na drewnianej podłodze. - Scott nie pojechał tam dobrowolnie, możesz być tego pewna. Eric prawdopodobnie zmusił go do napisania tego listu. Scott nigdy nie zrobiłby czegoś takiego, nigdy...

- To on napisał ten list, Zoe. A Erica nawet tu nie było. W koszu na papiery znalazłam kopertę zaadresowaną do Scottiego. Miała stempel z Minnesoty. Eric musiał przysłać mu bilet.

Zacisnęła zęby.

- Dokąd?

- Nie wiem. A tu jest jeszcze coś - powiedziała cicho Marisol.

Zoe miała ochotę się roześmiać cichym, nie skrępowanym śmiechem, który oczyściłby jej wnętrze z poczucia winy i strachu.

- Scottie pisze również, że jeśli będziesz próbowała go znaleźć, to zadzwoni do gazety, przedstawi się i powie, kim jest naprawdę jego ojciec.

Przestało jej być do śmiechu. Teraz pragnęła umrzeć. Wyciągnawszy rękę, zgasła lampę.

- Nie dbam o jego groźby. Muszę znaleźć mojego syna. - Znów objęła kolana i zaczęła się kołysać tam i z powrotem.

- Zapominasz o jednym, Zoe - powiedziała cicho Marisol. - Eric nie jest bandytą. Wściekł się jak diabli. Ale Scottie jest także jego synem. Możesz mnie znieawidzić za te słowa, ale skoro wszystko wyszło na jaw, to może Scottie ma rację. Może należy mu się okazja, żeby mógł poznać ojca.

Zoe ścisnęła ramiona.

- Chuj z nim - powiedziała, i to było wszystko.

Kopiować!

Zoe spojrzała złym wzrokiem na Cala Barkera i zbiegła z zaimprovizowanego planu w portowych basenach West Side. Wiedziała, że spieprzyła robotę. Chyba dziesiąty raz tego przedpołudnia zapomniała tekstu. Przecięła molo i szybko pomaszerowała do przyczepy, służącej jej za garderobę. Rzuciła się na sofę. Jak miała być supermatką lat dziewięćdziesiątych, skoro nawet nie wiedziała, gdzie jest

w tej chwili jej własny syn. Ani czy w ogóle jeszcze go zobaczy. Ale przedstawienie musi trwać... Ech, pomyślała Zoe. Może to już za długo. Może jestem po prostu za stara, żeby koncentrować się na tekście, podczas gdy decyduje się przyszłość mojego syna.

Ciężkie drzwi przyczepy otworzyły się. Do środka wszedł Cal Baker.

- Co jest z tobą, Zoe?

Odwróciła się od niego, żeby nie zauważył łez.

- Nic, Cal. Po prostu mam kiepskie przedpołudnie.

Usłyszała szuranie jego ciężkich butów na różowym dywanie. Usiadł zwrócony twarzą do niej. Miał na sobie dżinsy i niebieską bawełnianą koszulkę z napisem „Dłatego, że ja tu jestem szefem”. Kiedy spojrział na nią groźnie, zlały się ze sobą wszystkie białawe linie zmarszczek na jego opalonym czole.

- Zesłaś z planu - powiedział. - Z mojego planu nikt nie schodzi.

Wstała z sofy i podeszła do lustra. W oczach miała ślady niedospania i nocy pełnych łez. Były przekrwione, z napuchniętymi powiekami, a pod spodem malowały się ciemne półkola. Przesunęła po nich palcami, potem przewędrowała do kącika ust. Lewa część jej wargi obwisała, jak zawsze gdy Zoe była zmęczona, zawsze od czasu wylewu, którego dostała przez Erica.

Odwróciła się z powrotem do reżysera.

- Mam kłopoty osobiste. Potrzebuję paru minut, żeby się pozbierać.

- Nie mamy czasu. Każda minuta kosztuje.

Skinęła głową.

- Wiem o tym, Cal. Proszę cię. Robię, co mogę.

Wstał i ruszył do drzwi.

- Obsadzając cię, podjąłem ryzyko. Jeśli naprawdę chcesz znowu robić tę swoją karierę, to lepiej o tym pamiętaj. - Położył dłoń na klamce i otworzył drzwi. - Nie spraw mi zawodu, Zoe - powiedział jeszcze i znikł.

Zoe przycisnęła dłoń do brzucha. Gapiła się na zamknięte drzwi, dla niej zamknięte być może już do końca życia. Może popełniłam błąd, pomyślała. Nadał nie wiedziała nawet, czy jeszcze potrafi grać, nie wiedziała, czy to lubi. Przez kilka ostatnich dni po prostu odwaliała normę.

Przez uchylone żaluzje spojrzała na plan. Kręcili scenę

na nabrzeżu, w której Jan Wexler sama jedna staje twarzą w twarz z gangiem, próbującym wciągnąć jej syna.

Jej syna.

Scott...

Spojrzała na resztę aktorów, na kamerzystów, statystów tłoczących się na molo i czekających na nią, aż wyłoni się gotowa do następnego ujęcia. I wtedy przez głowę przebiegła jej bolesna myśl: czy jakakolwiek praca, kariera jest warta utraty syna?

Odwrociła się od okna i podeszła do telefonu. Po niecałej minucie miała połączenie z Meg.

- Potrzebuję twojej pomocy - jęknęła błagalnie. - Muszę skończyć z tym filmem. Muszę rozwiązać umowę.

Uzgodnili, że Zoe każe agentowi przesłać faksem kopię umowy do Meg, która przyjdzie na plan, gdy tylko przejrzy dokument.

- Tymczasem - ostrzegła ją Meg - rób to, co masz robić.

Zoe odłożyła słuchawkę i przygryzła paznokieć. Potem wzięła głęboki oddech, poprawiła makijaż i wróciła do światła, kamer i akcji w świecie, który wiele lat temu wydawał jej się taki pociągający.

Dalszy ciąg przedpołudnia włókł się bez końca. Słońce, prażące nad rzeką Hudson, zmiękczało nawierzchnię mola. Kilka razy Zoe ogarnął lęk, że zemdleje. Nerwy miała stargane. Na wszystkich twarzach było widać napięcie. Malec grający najmłodszą latorośl Jan Wexler zaczął wymiotować, drugie w kolejności starszeństwa dziecko zaczęło stroić fochy. Zoe zapomniała tekstu jeszcze cztery razy.

Podczas przerwy na lunch poszła spacerem na koniec mola, z mokrym ręcznikiem ułożonym na karku. Myślała o Cedar Bluff. Zastanawiała się, jak czułby się Scott, gdyby musiała sprzedać ten dom. Rozmyślała, gdzie jest w tej właśnie chwili, tej minucie; w jakim mieście i stanie. I czy kiedykolwiek wróci do domu.

- Zoe? - Głos należał do Meg.

- Meg. Dzięki Bogu, że jesteś.

Meg otarła czoło. Wyglądała na jeszcze bardziej wymęczoną i strapioną niż poprzedniego wieczoru.

- Jak możesz znosić taki upał? - spytała.

Zoe wzruszyła ramionami.

- Życie aktora. No, to powiedz mi, na czym stoję.

Meg wyciągnęła kilka papierów z teczki.

- Nie do ruszenia. Jeśli zerwiesz umowę, to nie tylko stracisz honorarium, ale narazisz się na roszczenia w wysokości większej niż honorarium.

Powietrze stało się jeszcze gorętsze i bardziej duszne.

- Czy to jest zgodne z prawem?

- Prawdopodobnie twoi pracodawcy wyobrażają sobie, że im więcej ci płacą, tym trudniej cię zastąpić. Jest też klauzula zastrzegająca, że im dłużej trwała produkcja przed zerwaniem umowy, tym więcej producent może od ciebie zażądać.

Zoe oparła się o balustradę i spojrzała na rzekę Hudson, za którą rysowały się kontury New Jersey. I kto powiedział, że życie w bloku, w mieście opanowanym przez gang jest gorsze niż w domu za dwa miliony dolarów w ekskluzywnej miejscowości? Czy to nie ludzie sami stawiają się w większości przymusowych sytuacji? Zamrugła, chroniąc oczy przed słońcem, upałem, mgiełką smogu.

- I co ja mam zrobić, Meg? Nie stać mnie na spłacenie długu hipotecznego. Jak mogę ryzykować sprawę sądową?

- Nie możesz. Zresztą dopiero co zaczęłaś od nowa, Zoe. Jeśli wykręcisz tu numer, to postawisz pod znakiem zapytania swoją przyszłość.

Zoe przyglądała się, jak statek spacerowy Circle Line przesuwa się szybko po szarej wodzie, zostawiając za sobą pianę. Pomyślała o turystach na pokładzie. Czy też mają tak skomplikowane życie jak ona?

- O Boże! - wykrzyknęła. - Nie zniósę tego. Nie zniósę ani odrobiny więcej. - Łzy popłynęły jej po policzkach, znacząc makijaż smugami smutku.

Meg otoczyła ją ramieniem.

- O co chodzi, Zoe? Co się stało?

- To przez Scotta - szlochała Zoe. - Mój syn uciekł z domu. - Otarła oczy i spojrzała w niebo. - Zabrał się z Erikiem. Uciekł ze swoim ojcem.

- Och, Zoe.

- Muszę sprowadzić go z powrotem, Meg.

- Oczywiście. Oczywiście, że tak. - Meg zaczęła nerwową przechadzkę. - Czy sądzisz, że są w Minnesocie?

- A kto to wie?

- Możemy się dowiedzieć.

- Jak? Zatelefonować do domu Erica i poprosić Scotta

do telefonu? - Zoe znowu zamknęła oczy. To było takie beznadziejne, czuła się całkiem bezradna.

- Nie. Pamiętasz, jak wspominałam o moim przyjacielu Danny'm? Prywatnym detektywie.

Zoe parsknęła śmiechem.

- Powinam najpierw przygotować się finansowo na sprawę sądową, a dopiero potem wynajmować prywatnego detektywa.

- Powiedziałam, że Danny jest przyjacielem. To będzie przysługa.

- Związana z wydatkami.

- Ja się tym zajmę.

Zoe obrzuciła ją powątpiewającym spojrzeniem.

- Możesz mi zwrócić, kiedy znowu zostaniesz gwiazdą - powiedziała Meg.

Do oczu Zoe napłynęły łzy.

- Jeśli...

- Niech będzie: jeśli.

- Ale nawet jeśli Danny znajdzie Scotta, to chłopiec go nie posłucha.

- Danny jest zawodowcem. Wie, jak sobie radzić w takiej sytuacji.

- Scott załamie się nerwowo.

- Ufasz mi, Zoe?

Zoe raz jeszcze spojrzała na rzekę, na łodzie sunące po spokojnej, kojącej wodzie.

- Nigdy nie opowiedziałabym ci wszystkiego, gdybym ci nie ufała.

- To dobrze. Bo ja ufam Danny'emu. I wiem, że on dla mnie zrobi wszystko, i dla mojej przyjaciółki też.

- A nikt się nie dowie?

Meg pokręciła głową.

- Dyskrecja jest szyldem Danny'ego.

Dyskretnie czy nie, Zoe obawiała się, że przyjaciel Meg nigdy nie odnajdzie Scotta. Obawiała się też, że drugi raz zmarnowała przez Erica Matthews'a szansę na nowe wspólne życie.

Rozdział piętnasty

Później tego samego popołudnia Meg siedziała w sali widzeń miejskiego więzienia i słuchała wyjaśnień udzielanych skamlącym tonem przez swą nową klientkę, kobietę oskarżoną o współudział w morderstwie. Mieszkającego razem z nią przyjaciela, Austriaka, który miał więcej tytułów niż pieniędzy, oskarżono o morderstwo pierwszego stopnia, popełnione na zasobnym współniku. Prokurator utrzymywał, że oskarżony powiedział konkubinie o zbrodni. George Bascomb bronił Austriaka; z wielką niechęcią złożył obronę kobiety w ręce Meg po tym, jak Arnold Banks w dniu wypadku Candace Riley wpadł niczym burza do kancelarii, żądając innego adwokata.

- Przysięgam, że on mi nic nie powiedział. - Przesadnie elegancka kobieta zacisnęła buzię w ciup. - Zrobiłyby to na pewno, gdyby go zabił, ale on tego nie zrobił. Oboje jesteśmy niewinni.

- My się musimy martwić tylko o panią - powiedziała oschle Meg. Chociaż George utrzymywał, że oskarżenie ma niewiele dowodów przeciwko Austriakowi, wiedziała, że jeśli jego klient przegra sprawę, z jej klientką stanie się to samo. Jeśli dla kobiety była w ogóle jakakolwiek nadzieja, Meg musiała starać się o utrzymanie rozdziału tych dwóch przypadków.

- Czy nie może mnie pani stąd wydostać? - jęklonie błagała kobieta.

- Posiedzenie w sprawie kaucji jest wyznaczone na jutro, na dziesiątą rano.

- Czy chce pani powiedzieć, że mam tutaj spędzić noc?
- Spojrzała tak, jakby ta okrutna niesprawiedliwość spotkała ją z winy Meg.

- Tego się obawiam. - Meg starała się zachować profesjonalny dystans, ale czuła coraz silniejsze znużenie. Była znużona ludźmi, którzy są pewni, że sprawy zawsze muszą układać się po ich myśli. Ludźmi zepsutymi luksusem, uprzywilejowanym traktowaniem, nieustannym obskakiwaniem, takimi jak Holly Davidson czy Arnold Banks. Wszyscy oni byli nieautentyczni i puści. Meg nie mogła znieść tego, że poświęca dla nich swoje życie. Zapatrzyła się w popielatą ścianę. - Rozumiem, że złożenie kaucji nie będzie stanowić problemu.

Kobieta pokręciła głową. Musiała być dziana, jak domyślała się Meg, bo inaczej ani jej, ani przyjaciela nie byłoby stać na usługi kancelarii Larson, Bascomb, Smith, Rheinland, Paxton and Cooper.

- Będę tu za piętnaście dziewiąta - powiedziała Meg.

Kiedy wstawiała, metalowe krzesło zazgrzytało o płytki podłogowe. Spojrzała kobiecie w oczy, szukając w nich śladów szczerości. Ta zamrugała i odwróciła głowę. Meg uświadomiła sobie nagle, że potrzebowała dopiero ponownego spotkania ze Stevenem, by uczciwie nazwać to, co robi ze swoim życiem: od lat pomaga ludziom, których nawet nie zna, a w dodatku nie lubi. Wiedziała, że ta kobieta nie będzie się różnić od reszty.

Idąc do wyjścia, pomyślała o Zoe. Nie licząc Danny'ego, była to pierwsza osoba, z którą połączyła ją prawdziwa przyjaźń. I to Zoe, a nie ta skamląca, rozpieszczona baba potrzebowała teraz jej pomocy. Może była w stanie zrobić coś więcej, niż tylko podsunąć sprawę Danny'emu. Może była w stanie zacząć od początku, zbudować sobie nowe życie, zająć się wreszcie tym, czego naprawdę chce. A chciała być komuś potrzebna, komuś, kto jest dla niej ważny. Miała nadzieję, że w końcu uda jej się zrobić coś naprawdę znaczącego.

Spojrzała na zegarek. Było piętnaście po drugiej. Miała jeszcze szansę złapać Danny'ego na lunchu w delikatesach Schneidera.

Na ulicy zatrzymała taksówkę, żeby dostać się na drugi koniec miasta. Spoglądała przez brudną szybę na bezimiennych ludzi, śpieszących ulicami. Pierwszy raz od lat czuła, że znalazła jakiś cel nie związany ze spektaklem na sali sądowej i wysokością honorarium. Pomagając Zoe, miała szansę odżyć, a także oderwać myśli od Stevena i faktu, że do niej nie zadzwonił. Któregoś ranka zebrała się na odwagę, by przeczytać gazetę. Stan Candace poprawił się z krytycznego na zadowolający. Postawiono jej liczne zarzuty: prowadzenie pojazdu pod wpływem alkoholu, niebezpieczną jazdę i spowodowanie wypadku drogowego ze skutkiem śmiertelnym. Nikt w pracy nie wspominał jednak, by chciała powierzyć reprezentowanie swoich interesów firmie Larson & Bascomb. Meg podejrzywała więc, że skoro sprawa nie wpłynęła do ich kancelarii, to Steven musiał uznać taki wybór za niestosowny. Boże, pomyślała, przesuwając wzrok po stoisku ulicznego przekupnia, który rozłożył na chodniku koc z towarami. George Bascomb byłby ciężko wkurzony, gdyby wiedział, że to przeze mnie nie dostaliśmy tej sprawy.

Zoe, przypomniała sobie. Muszę myśleć o Zoe. Spróbowała zaszukadkować ją w taki sposób, jak robiła to z każdym potencjalnym klientem, raczej w kategoriach cech i uwarunkowań niż jako osobę, człowieka pełnego uczuć, przyjaciela. Zoe. Niedawno owdowiała, zmagająca się z życiem matka czternastoletniego chłopca, która próbuje podjąć przerwana karierę. A syn? Scott. Chłopiec, który właśnie dowiedział się, że człowiek, którego uważał za ojca, wcale nim nie był.

W chwili gdy taksówka szybko przecięła Piątą Aleję, Meg pomyślała o dziecku, którego nie urodziła. O dziecku Stevena. Czy byłby to chłopak? Gdyby nie przerwała ciąży, miałby teraz nieco więcej lat niż Scott. Zoe przynajmniej nie stchórzyła. Urodziła dziecko, mimo że jego ojciec odszedł. Skąd wzięła tyle siły? Czyżby Zoe kochała Erica bardziej niż ona Stevena? Meg nigdy nie sądziła, że jest to możliwe. A jednak Zoe donosiła ciążę, urodziła syna, wychowała go. Dlaczego ona, Meg, nie była zdolna do tego samego? Dlaczego nie potrafiła dokonać takiego wyboru?

Taksówka z piskiem opon zatrzymała się przed delikatami Schneidera. Meg dostrzegła Danny'ego, wyłaniające-

go się ze środka. Wepchnęła kierowcy w dłoń dziesięciodolarowy banknot i wyskoczyła z samochodu, nie czekając na resztę.

- Danny!

Odwrócił się.

- O, pani mecenas! - powiedział, energicznie zawracając na jej spotkanie. - Na bezpłatny lunch trochę się pani spóźniła. - Przystanął obok, uważnie jej się przyglądając. - Chociaż ponad wszelką wątpliwość przydałoby się pani małe dożywianie.

- Potrzebuję twojej pomocy.

- Chryste, Meg, czy ty nigdy nie zwalniasz tempa? Chciałbym cię spotkać któregoś dnia i usłyszeć, jak mówisz „mam to gdzieś”.

- Muszę z tobą porozmawiać, Danny. Natychmiast.

- O, z miejsca do rzeczy. - Wziął ją pod łokieć. - Wobec tego przejdź się ze mną. Mam spotkanie z twoim szefem.

Meg ruszyła szybkim krokiem u boku Danny'ego. Przyjemnie było mu towarzyszyć. Czuła lekki, opiekuńczy dotyk jego ramienia, prowadzącego ją przez falujący tłum, który sprawiał wrażenie, jakby miał pozostać w śródmiejskich ulicach już na zawsze. Spojrzała na zegarek.

- Nie mam za wiele czasu - powiedziała.

- Wobec tego przejdziemy się szybko - odrzekł Danny, przyspieszając kroku.

Meg wpatrywała się przed siebie, wszelkimi sposobami unikając spojrzeń mijanych przechodniów.

- Mam przyjaciółkę... - zaczęła wolno.

Danny nagle przystanął. Z tyłu wpadli na niego dwaj mężczyźni, mruknęli coś nieprzychylnie i zaraz ruszyli dalej. Danny pokręcił głową.

- Błagam, tylko nie przyjaciółka.

Meg parsknęła śmiechem.

- Z tą nie jest tak jak z Alissą.

- Z Alissą też jest coś nie tak.

- Nie to miałam na myśli. Ta przyjaciółka nie może ci zapłacić.

Wcisnął dłonie do kieszeni dzinsów i uśmiechnął się.

- Coś mi mówi, że pożałuję tego spaceru.

- Nie sądzę - zaprzeczyła Meg. Przystanęli, bo drogę zagroziło im czerwone światło przy przejściu przez Madison Avenue. - Jeszcze nie wiesz, o kogo chodzi.

- No, o kogoś z nazwiskiem. Jakiś przeżytek z menażerii Larson & Bascomb?

Meg pokręciła głową.

- Pamiętasz ten dzień, kiedy byłeś u mnie, a ja powiedziałam ci o planie, jaki powzięłyśmy z Alissą? Była tam jeszcze trzecia kobieta.

- Aha, zdaje się, że o tym wspominałaś.

- Chciałabym, żebyś pomógł tej trzeciej, Danny.

- Nie jestem specjalistą od znajdowania dawnych kochanków, Meg. W tej materii jedna sprawa wystarczy mi w zupełności.

Żółta taksówka z piskiem skręciła za róg. Zapaliło się zielone światło. Meg i Danny zeszli z krawężnika na jezdnię.

- To nie jej dawny kochanek zaginął - wyjaśniła Meg, przekrzykując uliczny zgiełk. - Chodzi o jej czternastoletniego syna.

Danny uniósł brwi.

- Dlaczego przychodzisz z tym do mnie? Dlaczego twoja przyjaciółka nie zgłosi się *do* Unsolved Mysteries?

- Nie może. Jest zbyt znana. - W milczeniu przeszli na drugą stronę ulicy.

- Dobra - powiedział Danny, gdy dotarli do przeciwnego krawężnika. - Poddaję się. Kto to jest ta tajemnicza przyjaciółka i ile ich chowasz jeszcze w swojej szafie?

Meg odrzuciła głowę do tyłu, starając się nie okazać, że Danny trafił w czuły punkt, przypomniał jej bowiem o Stevenie. Steven. Przegoń tę myśl. Dość z tym. Nie ma go. Koniec, kropka.

- To już ostatnia - powiedziała. - Słowo daję. Myślę zresztą, że ci się spodoba. Jest całkiem niepodobna do Alissy...

- Bogu niech będą dzięki.

- Nazywa się Zoe.

- Zoe jak?

Meg uśmiechnęła się.

- Zoe i już.

Danny znowu przystanął, więc Meg również się zatrzymała. Jakaś kobieta zawadziła torebką Meg i burknęła coś w języku, który zabrzmiał jak jidysz. Danny przewrócił oczami.

- Jasny gwint, Meg. Chyba nie chcesz powiedzieć, że to ta Zoe?

Meg uśmiechnęła się i znowu ruszyła.

- Jasny gwint - powtórzył Danny, zrównując się z Meg. - Wspomniałaś jej imię już wtedy, gdy o tym rozmawialiśmy. Ale nie miałem pojęcia, że chodzi o tę Zoe.

- Ona jest zwykłym człowiekiem, Danny. Bardzo sympatycznym człowiekiem. - Na Park Avenue Meg opowiedziała mu o Ericu i Scotcie. I o tym, że Scott uciekł do ojca. - Chcę, żebyś ich wytropił - powiedziała.

Danny skinął głową.

- Daj mi trochę czasu. Ta sprawa spekulacji jest prawie zamknięta.

- Dobrze. Dla mnie też będzie lepiej odrobinę później.

- Dla ciebie?

- Tak - powiedziała Meg. - Jadę z tobą.

- A co z pracą?

Meg uśmiechnęła się i spojrzała na wejście do budynku kancelarii Larson & Bascomb.

- Mam to gdzieś - powiedziała.

Następnego ranka Meg przekonała sędziego, by obniżył kaucję za wypuszczenie jej klientki do pięćdziesięciu tysięcy. Nie miało to zasadniczego znaczenia, bo kobietę było stać na znacznie więcej, ale należało do gry w „Walcz z rządem”, w której chodziło o pokazanie, kto tu ma coś do gadania. Meg byłaby bardzo zadowolona, gdyby ta gra już się skończyła. Zwycięzca niech weźmie wszystko.

W drodze z sądu do kancelarii Meg wiedziała już, co musi zrobić. Musiała spotkać się ze współnikami. Wreszcie miała zamiar zrobić coś nie dla siebie. Chciała tego i potrzebowała. Zrobić coś dla przyjaciółki, bez względu na następstwa, jakie będzie to miało dla niej samej. Boże, jakie wspaniałe było uczucie, że ma się przyjaciółkę.

Wspólnicy siedzieli dookoła konferencyjnego stołu, zajęci przeglądem wszystkich spraw znajdujących się w kancelarii. Nie umknęło jej uwagi, że nie wstrzymali się z rozpoczęciem posiedzenia do jej powrotu.

Wzięła krzesło i odczekała, aż George zwróci uwagę na jej obecność.

- Jak poszło z kaucją, Meg? - spytał.

- W porządku. Obniżona do pięćdziesięciu tysięcy.

George zapisał coś w notatniku.

- Musimy ściśle współpracować w tej sprawie. Nasi klienci są niewinni. Oboje.

Normalnie Meg zaprotestowałaby przeciwko decyzji o połączeniu obrony tych dwojga. Dowodziłaby, że nie jest to korzystne dla jej klientki. Ale teraz sytuacja była inna.

- Nie będę pracować nad tą sprawą - oznajmiła.

Wszystkie głowy obróciły się ku niej.

George zdjął okulary.

- Słucham?

- Powiedziałam, że nie będę pracować nad tą sprawą. Potrzebny mi urlop.

George zaczął nerwowo bawić się okularami.

- To stoi w całkowitej sprzeczności z przyjętą procedurą. Jesteśmy przeładowani pracą.

Meg wyprostowała się na krześle.

- Wiem. Ale mam pilną sprawę osobistą. Potrzebuję na nią trochę czasu.

- Ile?

- Sześć miesięcy. - Powiedziała to bez mrugnięcia okiem. Uznała, że *podczas sześciomiesięcznego urlopu* zdąży zrobić więcej, niż tylko odnaleźć syna Zoe. Zastanowił się w tym czasie nad swym dotychczasowym życiem, dojdzie do ładu z uczuciami i spróbuje znaleźć sposób na zaczęcie wszystkiego od początku, tym razem właściwą drogą.

- Sześć miesięcy? Dlaczego nie rok? Albo nie dwa lata?

- Każde kolejne pytanie George wypływał z siebie coraz wyższym tonem.

- Dlaczego nie na stale? - padła pogardliwa uwaga z drugiej strony stołu.

Meg zignorowała przytyk.

George ponownie włożył okulary na swą okragłą, wykrzywioną gniewem twarz.

- Może zgodzilibyśmy się na sześć miesięcy, ale po zakończeniu tej sprawy.

- Nie o to mi chodziło.

- Sprawa wejdzie na wokandę w ciągu trzech, czterech miesięcy.

- Wiem. Ale jutro zamierzam wyjechać.

W sali zapadło głąbokie milczenie.

- Potrzebujemy cię w tej sprawie, musisz ją dokończyć.

Poruszyła się, skrzypnęło skórzane obicie tapicerowanego krzesła.

- Wiem. Wiem też, że dałeś mi tę sprawę tylko dlatego, że wszyscy oprócz mnie byli zajęci.

George westchnął.

- To niezupełnie tak.

Meg wstała.

- Nic tu nie jest tak samo, odkąd umarł Avery. Wiem, że nie zawsze mogliśmy się wszyscy dogadać, i że z Averym też miewałam różne zdania. Ale wykonuję swoją pracę, i to dobrze. W tej jednak chwili muszę prosić was o wyrozumiałość. A jeśli nie chcecie mi dać sześciu miesięcy urlopu, to muszę zażądać rozstania na stałe. Z uwzględnieniem mojego pięcioprocentowego udziału w zyskach.

Partnerzy gapili się na nią szeroko otwartymi oczami.

- Byłabym wdzięczna za udzielenie mi odpowiedzi do końca dnia - ciągnęła Meg. - Tymczasem będę u siebie w pokoju, bo muszę uporządkować biurko. - Wyszła z sali w euforycznym uniesieniu, oczyszczającym poczuciu wolności, jakiego nie zaznała od dnia, gdy wprowadziła się do samodzielnego mieszkania. Tym razem jednak Meg nie zamierzała pozwolić, by niezależność wciągnęła ją w wir, w świat, który kurczy się i kurczy, aż staje się tak mały i bezpieczny, że nikt nie może do niego wejść ani z niego uciec. Poszła do swego pokoju z wysoko uniesioną głową. Tym razem podejmie ryzyko. Będzie żyła naprawdę.

Pierwszą myślą Meg po znalezieniu się obok swego biurka było zarezerwowanie dwóch miejsc na lot do Minneapolis następnego rana. Planowanie powrotu nie miało sensu. Scotta i Erica mogło wcale tam nie być, a wtedy będzie musiała lecieć z Dannym z Minnesoty w zupełnie innym kierunku.

Przekopywała zawartość biurka, usuwając wszystko, co stanowiło jej własność osobistą, kiedy usłyszała pukanie do drzwi. Nie zabrało im to dużo czasu, pomyślała. Wspólnicy musieli się wykazać tego dnia wyjątkową sprawnością.

Zaczerpnęła tchu, dodając sobie pewności, że podjęła właściwą decyzję. Najpierw należało pomóc Zoe. Potem zamierzała podjąć kilka decyzji bardzo ważnych dla jej kariery i życia w ogóle.

- Proszę.

Drzwi się otworzyły. Meg spojrzała znad papierów, usiłując przyjąć nonszalancką pozę. Ale w drzwiach nie stał ani

George Bascomb, ani żaden ze współników. Stał tam Steven Riley.

Nie była pewna, czy usłyszała, jak zachłysnęła się powietrzem. W każdym razie wszedł i zamknął za sobą drzwi. Meg wytrzeszczyła na niego oczy.

- Jesteś zajęta - powiedział. - Powinienem być zatelefonować.

Steven stał przed nią. Steven. Żywy powód, dla którego w ciągu ostatnich tygodni pragnęła umrzeć.

Wolno podszedł do biurka, zupełnie jakby spodziewał się, że Meg w niego czymś rzuci. Nie miała jednak takiej możliwości. Całe jej ciało zdrętwiało, nie była w stanie nawet podnieść kartki papieru, a co dopiero czegoś solidniejszego, czegoś dość ciężkiego lub ostrego, by zranić go tak samo dotkliwie, jak on zranił ją.

- Meg, bardzo cię przepraszam.

Nadal nie była w stanie się odezwać.

Steven obszedł biurko i kucnął przy niej. Ujął jej dłonie i przytrzymał. Meg zdziwiła się, że nie drżą.

- Czy kiedykolwiek zdołasz mi wybaczyć? - spytał.

Spojrzała mu w oczy. Takie niebieskie. Kochające. Wahająca się między nienawiścią a miłością, tęsknotą a nieufnością, między pragnieniem a cierpieniem. Cierpienie. Odwróciła wzrok, skupiając go na krawacie Stevena. Był jasnoszary z domieszką niebieskiego, wykonany z dobrego jedwabiu. Przemknęło jej przez myśl, że to może być prezent od Candace. Uwolniła dłonie i wstała, omal nie przewracając go na podłogę.

- Co mam ci wybaczyć? Wystawienie mnie do wiatru na wyspie pośrodku Atlantyku? Czy podsuniecie mi myśli, że wciąż jestem dla ciebie najważniejsza? - Podeszła do okna i spojrzała na ulicę w dole. Nie miała odwagi znowu spojrzeć mu w twarz. Nie miała odwagi spojrzeć w te oczy. Nigdy w życiu nie sądziła, że może być tak zmieszana obecnością Stevena i swoją miłością do niego.

Stanął za nią.

- Meg, wiesz, co się stało, prawda?

Parsknęła śmiechem.

- Cały świat wie, Steven. Więc jeśli przychodzisz spytać, czy nie wzięlibyśmy sprawy twojej żony, to moim zdaniem poszukaj lepiej innej kancelarii. Bo widzisz, tu mógłby wystąpić mały konflikt interesów.

- Nie po to przyszedłem. - Położył jej ręce na ramionach Mocne ręce. Opiekuńcze. Dodające otuchy. Strzepnęła je i podeszła do półki z książkami.

- Więc po co? Żeby przekonać się o skutkach tego, co mi zrobiłeś? - Chciała, żeby wyszedł, żałowała, że w ogóle kiedykolwiek przestąpił ten próg. Zwłaszcza w takiej chwili, kiedy postanowiła raz na zawsze zerwać z przeszłością i wreszcie zacząć żyć. Zapewne powinna mu za to podziękować. Mocno zacisnęła powieki. Zdawało jej się, że więcej bólu już nie wytrzyma.

- Meg - powiedział cicho. - Proszę cię, spróbuj zrozumieć. Nie chciałem cię w to mieszać. Nie chciałem zagrozić twojej karierze...

- Czy tylko to ma znaczenie? Kariery? Twoja, teraz moja? Nie, Steven, to nie ma znaczenia. Ważne jest życie. Przeżywanie swojego życia. Aż trudno mi uwierzyć, że tyle lat poświęciłam na dochodzenie do tego wniosku.

Zapatrzyła się w skórzane grzbiety książek, świadoma jego oddechu, ciężaru jego obecności. Świadoma faktu, że niczego bardziej nie pragnie, niż podbiec do niego, zarzucić mu ramiona na szyję i wybaczyć. Powiedzieć, że go kocha.

- Candace dojdzie do siebie - odezwał się w końcu.

Meg zeszywniała.

- W odróżnieniu od człowieka, którego zabiła - wypaliła i natychmiast tego pożałowała. Sarkazm nie leżał w jej stylu, nigdy nie czuła się dobrze w tej tonacji. - Przepraszam - dodała szybko. - Nie chciałam tego powiedzieć.

- Ale powiedziałaś. Candace ma poważny problem z uzależnieniem od alkoholu. Może w końcu dostała swoją lekcję.

- I będziecie mogli żyć dalej długo i szczęśliwie?

Przeszedł przez pokój i stanął obok niej. Tym razem nie próbował jej dotknąć.

- Gdy tylko wyjdzie ze szpitala, powiem jej, że chcę rozwodu. - Głos mu się dziwnie łamał. Meg pomyślała, że gdyby na niego spojrzała, zobaczyłaby łzy w oczach. Pamiętała, jak Steven opowiedział jej kiedyś o swym nieszczęśliwym dzieciństwie, które musiał znosić, był bowiem zdolnym małym chłopcem, od którego ojciec wymagał, żeby zawsze wszędzie był najlepszy. W college'u grał w drużynie futbolowej, oczywiście jako quarterback, potem skończył prawo w Yale i zaczął robić polityczną karierę składającą

się z samych zwycięstw. Do tego ożenił się z córką kogoś „ważnego”. Steven powiedział jej też wtedy, że nigdy nie zastanawiał się na tym, czego pragnie. Ojciec nie dawał mu możliwości wyboru. A więc nie zastanawiał się nad tym, póki się w niej nie zakochał. Meg znowu mocno zacisnęła powieki.

- Rozwód nie zrobi dobrego wrażenia na wyborcach, Steven. Będziesz mężczyzną porzucającym żonę w trudnej chwili.

Zignorował jej uwagę.

- Powinienem był to zrobić wiele lat temu. Jeszcze w Bostonie, kiedy byliśmy ze sobą. Powinienem był po prostu się rozwieść, a potem ci o tym powiedzieć.

Tak, pomyślała Meg, powinienem był. Mogłeś. I zrobiłbyś to, gdybyś wiedział o dziecku. Naszym dziecku. A tymczasem to ja podjęłam decyzję. Błądną. Boże, podjęła tyle błędnych decyzji.

- Nie wiem, co chcesz zrobić, Meg. - Głos miał cichy, posępny. - Decyzją, czy chcesz do mnie wrócić, należy do ciebie. Ja bez względu na to rozwodzę się z Candace.

Meg usłyszała te słowa i próbowała oswoić się z ich znaczeniem. One jednak zdawały się zawieszane gdzieś w przestrzeni pomiędzy nimi i za każdą próbą ulatywały, nim dotarły do jej świadomości.

Steven parsknął śmiechem.

- Najzabawniejsze w tym wszystkim jest to, że Candace zawsze czuła się tak samo zniewolona przeze mnie, jak ja przez nią. Gdybyśmy mieszkali ze sobą przez te wszystkie lata dla dobra dzieci, to co innego. Ale nie. Zostaliśmy ze sobą dla dobra partii. Przecież jej ojciec tak wspaniale tej partii przewodzi. Gdybyśmy nie ciągnęli tego małżeństwa, to prawdopodobnie Candace nie szukałaby pociechy w butelce z ginem. Może ten człowiek żyłby nadal. W pewnym sensie ponoszę więc odpowiedzialność za jego śmierć tak samo jak ona.

- Jestem pewna, że wasze małżeństwo było czymś więcej niż tylko polityczną decyzją - powiedziała Meg zduszonym głosem.

- Mylisz się. W wieczór wypadku Candace nie była sama. Jechała z innym mężczyzną. Nie pierwszy raz.

Więc to tak. Cóż, dziennikarze nie zawsze wszystko wywieszają.

Zbliżyła się do niego.

- A ty, Steven? Czy w ten wieczór, gdy byliśmy razem, zdradziłeś ją pierwszy raz?

Przeczesał palcami jej włosy.

- Pewnie nie uwierzysz, ale tak. Pierwszy. Jeśli nie liczyć tego, że zdradą był właściwie cały czas, który spędzałem razem z Candace. Zawsze miałem wrażenie, że zdradzam ciebie.

Wbrew sobie uwierzyła. Jego oczy, uczciwe i szczere, i takie niebieskie, przekonały ją, że mówi prawdę. Meg skrzyżowała ramiona na piersi i wróciła na miejsce przy oknie.

- Steven, czego ty ode mnie chcesz?

- Chcę się z tobą ożenić.

Spytała, więc powiedziała. Wbiła wzrok w ulicę pod oknem. Park Avenue. Rzeczywistość. Czy to właśnie jest prawda? Żona Stevena oszukiwała go i zdradzała dawniej i teraz. Zginął człowiek, polityczna kariera Stevena prawdopodobnie dobiegła końca. Meg nie wiedziała, czy jest w historii Stanów Zjednoczonych precedens, by senator sprawował swą funkcję, kiedy jego żona siedzi za kratkami.

- Mogę zostać na noc w Nowym Jorku - powiedział. - Miałem nadzieję, że spędzimy ten czas razem.

Dzień roboczy zbliżał się do końca i Meg widziała, że uliczny ruch się nasila, a tłum przechodniów gęstnieje, ludzie śpieszą się do domów. Nigdy nie szła do domu szybko. Nie miała powodu do pośpiechu.

Pomyślała o Zoe, samotnie spędzającej wieczór w hotelowym pokoju, zamartwiającej się o syna. Pomyślała o własnej decyzji, by wziąć urlop z kancelarii i spróbować zrobić porządek ze swoim życiem. Dreszcz przebiegł jej po plecach. Wiedziała, skąd się wziął. Z irytacji. Zirytował ją Steven, który władował się nie proszony, oczekując od niej, że wszystko rzuci, żeby być z nim. Ale czy nie tego właśnie chciała? Pomyślała jeszcze raz o Zoe, o jej bólu. Czy ktokolwiek dostaje w życiu to, czego chce najbardziej?

Nagle wszystko stało się dla niej zupełnie jasne. Steven nie tylko dostarczył jej powodu, dla którego przez ostatnie tygodnie miała ochotę umrzeć. Był też powodem, dla którego przez wiele, wiele lat nie mogła naprawdę żyć. Tak długo winała za to siebie, swoje nie narodzone dziecko, nawet dawno zmarłą matkę. Do matki łatwo było mieć

pretensje, zawsze łatwo jest mieć pretensje do matek. Teraz jednak Meg знаła prawdę. To Steven - przez jej miłość, pamięć, obecność - ponosił winę za jej kalekie życie. Żaden mężczyzna mu nie dorównał prawdopodobnie dlatego, że Meg nigdy nie przestała myśleć o Stevenie... bała się bowiem, że jeśli przestanie, to Steven nigdy nie wróci.

Teraz jednak, jeśli chciała ciągnąć to, co zaczęła, prowadzić satysfakcjonujące życie w rzeczywistym świecie, nie mogła zostawić spraw po staremu. Liczyła się z tym, że nigdy nie znajdzie odwagi, by powiedzieć Stevenowi o przerwanej ciąży, i miała do tego prawo. Wiedziała jednak, że jeśli nie znajdzie odwagi i nie zaufa miłości Stevena dostatecznie, by mu powiedzieć, to nie ma dla nich wspólnej przyszłości. Znała też przyczynę, która ją powstrzymuje - dokładnie z tej samej przyczyny przerwała ciążę. Bała się, że Steven ją porzuci. Tak jak ojciec porzucił jej matkę, bo nie zasługiwała na miłość. Sama odepchnęła więc Stevena, zanim zdążył jej *to zrobić*. *Samotność wydawała jej się* bowiem mniej bolesna niż odrzucenie, a poczucia winy Meg nie umiała dzielić.

Odwróciła się do niego.

- Jutro rano wyjeżdżam - powiedziała. - To nie jest dobra chwila.

Zachował spokój i milczenie. Stojąc wpatrywał się w nią, jego oczy pochmurniały, wokół nich i na czole tworzyły mu się mikroskopijne zmarszczki. Przez chwilę Meg myślała, że senator Steven K. Riley - uwielbiany przez swych wyborców, szanowany przez rywali, jeden z najbardziej wpływowych ludzi w Stanach Zjednoczonych - straci panowanie nad sobą. Zaraz jednak otworzył drzwi i wyszedł. A Meg znowu została sama.

W dziesięć minut później Meg nadal stała przy oknie, gapiła się na ulicę i próbowała pogodzić z tym, co zaszło. Czy naprawdę powiedziała Stevenowi, że to nie jest dobra chwila? Bardzo bała się, że znowu ją zrani, więc zamiast tego sama zadała sobie ranę, tak samo jak przed piętnastoma laty. Jednego tylko była pewna: że kocha Stevena. I że samotność, nawet jeśli oznaczała życie bez niego, nadal wydawała jej się o wiele bezpieczniejsza niż otwarcie się na miłość.

Ale przecież nie musisz już być samotna, przypomniawszy sobie. Odmieniasz swoje życie. Uwolnisz się od poczucia winy i od samotności. Otworzysz serce dla przyjaciół, będziesz zauważać to, co ważne.

Mimo takiej determinacji Meg mocno wątpiła, czy w jej sercu kiedykolwiek znajdzie się miejsce dla wyjątkowego mężczyzny, którego miłość będzie mogła przyjąć i odwzajemnić. Dla kogo innego niż Steven.

- Meg. - Obróciła się raptownie. Do pokoju wszedł bez pukania George Bascomb.

- Uznaliśmy, że sześciomiesięczny urlop lepiej posłuży interesom firmy niż rozstanie - oznajmił bezbarwnym tonem. Splótł ramiona i podszedł do okna.

Posłuży interesom firmy. Te słowa podziały na Meg jak wstrząs elektryczny.

- Naturalnie - ciągnął George - spodziewamy się, że w tym okresie będzie można się z tobą skontaktować, w razie gdyby wynikły jakieś kłopoty związane z twoimi sprawami. Ponadto naszym zdaniem dziennikarzom lepiej będzie powiedzieć, że bierzesz urlop z powodu choroby w rodzinie.

Meg spojrzała na plecy człowieka w granatowym garniturze.

- Nie mam rodziny, George.

Gwałtownie się odwrócił. Twarz mu poczerwieniała.

- No, to sobie wymyśl, do cholery. Nie wygląda na to, żebyś zamierzała się podzielić z nami wiadomością, jaka to „sprawa osobista” ci wypadła, więc możemy sobie tylko wyobrazić, że jest to coś, czym dziennikarze mogliby się posłużyć do rzucenia cienia na firmę. Ale o chorobie w rodzinie nikt nie powie nic złego.

Meg splótła dłonie na podołku.

- Tylko to cię obchodzi, prawda, George? Publiczny wizerunek firmy. - Przed oczy nasunęło jej się wspomnienie Avery'ego.

- Firma płaci ci honorarium, firma jest tym, co w życiu ważne - powiedział George, wpatrując się w Meg.

Pokręciła głową.

- Nie, George. Ludzie są ważni. - Prześlizgnęła wzrokiem po swoim pozbawionym zdjęć gabinecie, świadectwie jej sukcesu. Nagle wydał jej się pusty, jałowy i bardzo niesympatyczny. Wróciła spojrzeniem do George'a.

- Powiedz, proszę, współnikom, że dziękuję im za troskę, ale postanowiłam zrezygnować z pomysłu sześciomiesięcznego urlopu.

Wyraz twarzy George'a był łatwy do odczytania. Oznaczał niewątpliwie: „Kobiety są wyjątkowo uciążliwe”.

- Odchodzę - powiedziała Meg. - Na stałe. Od dzisiaj. - Spojrzała w okrągłą twarz George'a, wciąż naznaczoną tym samym wyrazem. - Dokumenty możesz mi przysłać do domu.

George poprawił krawat. Powiedział tylko:

- Jesteś głupia - i wyszedł z pokoju.

Patrzyła za nim ze świadomością, że niewiele dni będzie potrzeba na wymazanie jej nazwiska z tabliczki na drzwiach i z nagłówek firmowej papeterii.

Dopiero gdy znaleźli się dziewięć tysięcy metrów nad poziomem morza, Meg powiedziała Danny'emu, że opuściła kancelarię. Poprzednią noc przespała zaskakująco dobrze, wyswobodzona od życiowych stresów, z poczuciem wolności w duchu.

Danny przeżuł w zamyśleniu kawałek gumiestego omleta i w końcu stwierdził:

- No cóż, z takimi referencjami możesz iść wszędzie, gdzie chcesz.

- W rzeczywistości powiedziałeś, że George miał rację. Że jestem głupia, jeśli odchodzę. Że po firmie Larson & Bascomb każde inne miejsce oznacza szczebel w dół.

Zamieszał kawę.

- No, owszem.

Meg spojrzała ponad jego ramieniem w iluminator od-rzutowca. Gładko sunęli nad pułapem chmur.

- Prawdę mówiąc, myślę o odejściu od prawa karnego.

- Do czego?

Wzruszyła ramionami.

- Może wezmę się za prawo rodzinne. Za coś bardziej istotnego.

- W rodzinach też są przestępcy, Meg.

- Świetnie. Niech idą do firmy Larson & Bascomb. Ja zajmę się resztą.

Danny gwizdnął.

- Trudno uwierzyć, że odeszłaś. Pismacy będą żałować. Wyobraź sobie: nie ma już polowania na Meg Cooper przed salą sądową.

Wzięła do ręki kukurydzianą bułeczkę
Pismaków guzik to obchodzi. Jestem pewna że resztę
świata również.

Danny wyciągnął się swobodnie na lotniczym fotelu

- To się zaczęło od Holly Davidson, prawda?

- Nie, Danny To się zaczęło dawno temu. Zrobiłam coś
co zawsze chciałam zrobić. Ostatnio pojechałam do tego
kurortu, poznałam Zoe i Alissę, zobaczyłam znowu Steve-
na... to wszystko uświadomiło mi, że w życiu są znacznie
ważniejsze sprawy niż te dyrdymały.

Danny wybuchnął śmiechem.

- Czy to Alissa Page ci wyłożyła, że w życiu są znacznie
ważniejsze sprawy niż te dyrdymały? Zabawne

- Na swój sposób rzeczywiście to zrobiła. Wiem, że ona
sprawia nieco dziwne wrażenie, ale...

- Nieco? Dziecinko, delikatnie to powiedziałaś

- Widziałaś się z nią?

- Owszem. Przekazałam jej informację, której potrzebo-
wała. Sprawa zamknięta.

- Ciekawe, co się stało.

- Kto wie? Kogo to obchodzi?

- Wpadła ci w oko, co?

- Kto?

- Nie udawaj, Danny. Alissa. Zdaje się, że całkiem ją polubiłeś.

- Jest samotną, bogatą mężatką.

- I co poza tym?

- I nic poza tym.

- To znaczy, że pytanie powinno brzmieć: dlaczego nie?

- Nie wiem. Ale nie zmieniaj tematu.

Meg zamknęła oczy i oparła się o zagłówek

- Ty też.

- Masz jakieś wieści od swojego przyjaciela z Waszyng-
tonu?

Nadal miała zamknięte oczy; ogarnęło ją nagłe odrętwie-
nie Zastanawiała się, dlaczego wciąż tak reaguje na samą
myśl o Stevenie. Potem przypomniała sobie o swym nowym
życiu i nowo zdobytej wolności. Odrętwienie zaczęło ustę-
pować.

- Widziałam go wczoraj - powiedziała.
I uśmiechnęła się. Dzisiaj rano wstałam: wzięłam prysznic.

ubrałam się, spotkałam z tobą na lotnisku i wsiedliśmy do tego samolotu.

- A czego nie opowiedziałaś? Zwłaszcza o nocy.
- Raggedy Man grzeje jak trzeba, dziękuję.
- Raggedy Man. Chryste. Znowu on.

Przez chwilę milczeli. Meg pozwoliła monotonnemu pomrukowi silników wprowadzić się w drzemkę i rozmyślała, skąd bierze się w niej tyle zadowolenia i szczęścia. Zaledwie poprzedniego dnia rzuciła fantastyczną pracę, a zapewne i karierę. Odeszła od człowieka, którego kochała. Znowu.

W tej chwili jednak czuła, że jest jej wygodnie w dżinsach i bawełnianej koszulce, z włosami związanymi w koński ogon i bez pozy z sali sądowej, zostawionej na Manhattanie. Leciąca ku nieznanemu, a to było bardziej intrygujące, naglące, podniecające niż jakakolwiek praca, jakakolwiek sprawa w przeszłości. Nikt nie wie, co zdarzy się jutro. Tymczasem zamierzała pomóc w odnalezieniu syna Zoe. W końcu zrobi coś pożytecznego.

Kiedy wylądowali w Minneapolis, padał deszcz. Meg upewniła się telefonicznie, że na lotnisku Chisholm-Hibbing będzie na nich czekał samochód. Potem wsiedli na pokład małej sześciuosobowej maszyny, która miała tam polecieć. Meg ulokowała się za pilotem i przez całą podróż, dygotliwą i koszmarną, nie puściła jego fotela, przeklinając swą decyzję szukania podniecających wrażeń. Zaraz po wylądowaniu odwróciła się do Danny'ego.

- Przypomnij mi, żebym nigdy więcej nie leciąca czymś takim.

Roześmiał się.

- Nigdy więcej nie leć czymś takim.
- Ale śmieszne.
- Nie aż tak, jak twój widok, gdy będziesz piechotą wracać do Minneapolis.

W budynku portu lotniczego Meg wyciągnęła kartkę ze wskazówkami, jakie dała jej Zoe, i dokładnie je przestudowała, a tymczasem Danny znalazł samochód. Knajpka Erica była niedaleko lotniska. Zoe oznaczyła ją po prostu wyrazem „lunch”.

- Czy naprawdę sądzisz, że oni tam są? - spytała Meg, gdy znaleźli się w drodze.

- Jasne. Facet prowadzi własny interes, jest żonaty i wychowuje jeszcze trójkę dzieci. Co miałyby zrobić? Zabrać Scotta do Meksyku? Domyślam się, że nie jest Rockefellerem.

Meg zapatrzyła się w deszcz spłukujący przednią szybę.

- Co powiesz, kiedy dojedziemy?

- Przyglądaj się. Może zrobisz karierę prywatnego detektywa.

- No, to nie jest śmieszne.

Knajpka pasowała do opisu Zoe. Weszli do środka, zamówili u młodej kelnerki sandwicze i kawę. Kiedy skończyli jeść, Danny zapytał dziewczynę, czy może porozmawiać z właścicielem. Meg nie potrafiła odgadnąć, o co mu chodzi.

Z zaplecza wyłonił się wysoki, jasnowłosy mężczyzna. Meg wiedziała, że musi to być Eric. Nie wyglądał na kidnapera, bez względu na to, jak wyglądają kidnaperzy. Meg dziękowała Bogu, że jakoś udało jej się ominąć porywaczy w praktyce adwokackiej.

Danny wstał i uściśnął dłoń Ericowi.

- Dan Gordon - powiedział. - Z Saint Paul.

- Eric Matthews. Czym mogę służyć?

Meg przyjrzała się Ericowi. Usiłowała wyobrazić sobie, jak wyglądał, gdy był młodszy, miał więcej entuzjazmu dla życia, kochał Zoe. W jego twarzy dostrzegła siłę i równowagę. Może to samo widziała kiedyś Zoe.

- Jestem specjalistą od marketingu w sieci Super Saver.

- Super Saver?

- Firma z siedzibą w Saint Paul. Szukamy możliwości rozwoju.

Eric zrobił się podejrzliwy.

- Co to ma wspólnego ze mną?

- Nie z panem, panie Matthews. Z pana restauracją. Ładny ma pan lokalik. Wie pan, przy głównej drodze i w ogóle.

Meg siłą powstrzymała się od śmiechu, podczas gdy Danny przekonywał Erica, że jest zainteresowany kupnem.

- Zbudowałem to z niczego - sprzeciwił się Eric, kręcąc głową. To jest moje życie. Życie mojej rodziny. Nie zamierzam sprzedawać.

- Super Saver jest bardzo hojną firmą - aluzyjnie kusił Danny. - Będzie pan mógł rzucić pracę.

- I co robić? - spytał Eric. - Przenieść się na Florydę? - Podał Danny'emu rękę. - Dziękuję, ale niech pan powie ludziom w Saint Paul, że nie jestem zainteresowany.

Danny potrząsnął jego dłonią.

- Spytać nie zaszkodzi.

Eric skinął głową, potem Danny spytał o telefon. Kiedy znaleźli się z powrotem w samochodzie, Meg parsknęła śmiechem.

- Jest pan bardzo przekonującym kłamcą, panie Gordon.

- Najważniejsze, że wiemy, z kim mamy do czynienia. I wiemy, że facet jest na miejscu. Co oznacza, że jest tu również syn Zoe.

- A co z telefonem? Do kogo dzwoniłeś?

- Do nikogo. Sprawdziłem Erica Matthews w książce telefonicznej. Zapisałem jego domowy adres. Zobacz, czy masz na tym swoim planie Ten Miles Road?

Znalazła ulicę. W kilka minut potem parkowali samochód przed małym drewnianym domem Erica. Obszerne podwórze stanowiło cmentarzysko pługów odśnieżających i starych opon. Na ganku mieniły się jednak jaskrawymi barwami skrzynki kwiatów, a na lśniących czerwonych drzwiach wisiał płócienny transparent z napisem „Witaj”.

- Co teraz? - spytała Meg.

- Teraz czekamy.

- Na co?

- Będziemy wiedzieć, jak się doczekamy.

Nie musieli sterczeć tam długo. Dwaj chłopcy podjechali na rowerach. Nosili obszerne zielone peleryny przeciwdeszczowe, mimo to Meg zauważyła, że jeden z nich jest mały, ma siedem, może osiem lat. Drugi był nastolatkiem i jechał na damce. Danny szybko wysiadł z samochodu.

- Hej, chłopcy! - zawołał podchodząc. Zatrzymali się.

Meg opuściła boczną szybę, żeby słyszeć rozmowę. Zlekceważyła deszcz bombardujący jej ramię.

- Co, proszę pana? - zareagował młodszy.

- Ty nie - powiedział Danny. - Chcę porozmawiać ze Scottem.

Małec spojrzał na starszego chłopca. Ten spojrzał na Danny'ego.

- O czym? - spytał.

- Jesteśmy przyjaciółmi twojej mamy - wyjaśnił Danny.
- Chcemy z tobą minutę porozmawiać, to wszystko.

Scott spojrzął do wnętrza samochodu. Meg wysiadła, żeby ją zobaczyć. Inaczej mógłby pomyśleć, że w samochodzie siedzi Zoe, i uciec.

- Cześć, Scott - powiedziała. - Nazywam się Meg, a to jest Danny. - Wskazała na swego towarzysza, a potem ruszyła w ich kierunku.

Scott odwrócił się do młodszego chłopca.

- Zmykaj - zakomenderował. - Będę w domu za minutę.

- Na pewno?

- Aha.

Po odejściu malca Scott powiedział:

- Napisałem matce, żeby nie próbowała mnie szukać.

- Przecież tego nie robi - powiedział Danny. - To my cię szukamy. Martwimy się o nią, bo ona martwi się o ciebie.

- Jest mi dobrze.

- Mama się ucieszy, kiedy to usłyszy - powiedziała Meg.

- Nie wracam do domu.

Meg cofnęła się i uznała, że lepiej będzie zostawić inicjatywę Danny'emu.

- Wcale nie powiedzieliśmy, że masz wracać - powiedział Danny. - Chcieliśmy się tylko upewnić, że nic ci nie jest.

Scott przesuwiał rower tam i z powrotem w błotnistej mazi.

- Nie powiedziała, że mam wracać do domu?

- Jeśli nie chcesz, to nie musisz.

- Nie chcę. Eric jest moim ojcem.

- Wiemy. Jaki on jest? Równy gość?

Scott szurnał nogami.

- Aha. W porządku.

- Matka tęskni za tobą.

- Moja matka jest w Nowym Jorku. Pracuje. Na pewno nie ma czasu, żeby za mną tęsknić. Poza tym okłamała mnie.

- O twoim ojcu?

- Aha.

- No, matki czasem robią takie rzeczy. Myślą, że chronią swoje dzieci, a tak naprawdę to pieprzą sprawę. Nigdy nie pomyślałeś, że twoja matka może spieprzyć jakąś sprawę, co? Założę się.

Scott nie odpowiedział.

- Kłopot w tym, że ona naprawdę cię kocha, Scott. Chce, żebyś wrócił.

Chłopak wbił wzrok w ziemię.

- Muszę iść do domu - powiedział. - Żona Erica zrobiła zupę rybną. Ona gotuje. Wie pan, takie prawdziwe jedzenie. Nie to, co moja matka.

- Chcesz coś mamie przekazać? - spytał Danny.

Scott wsiadł na rower.

- Nic. - Ruszył po podjeździe. Meg i Danny skierowali się do samochodu. Scott zawrócił i podjechał do nich. - Chyba... - powiedział cicho - chyba możecie jej powiedzieć, że czuję się świetnie. - Głos odrobinę mu się załamał. Meg miała wrażenie, że widzi łzy w jego oczach. Zaraz jednak chłopiec znowu zawrócił i popędził do domu.

Kiedy wsiedli do samochodu, Danny spojrzął na Meg.

- Wróci do Los Angeles - powiedział. - Kiedy tylko uzna, że postawił na swoim.

Rozdział szesnasty

A jeśli z tatą coś się stanie, w czasie gdy cię nie będzie? - roniła łzy Natalie, obserwując, jak matka pakuje w sypialni swoje rzeczy.

- Przestań jęczeć - powiedziała Alissa. - Minęło prawie sześć tygodni od operacji. - Prawdę mówiąc, było to najgorętsze sześć tygodni w jej życiu. Przygotowania do balu stanowiły naturalnie pomieszanie z poplątaniem. Alissa wyrzuciła dwóch dostawców, z których jeden odmówił zwrotu zaliczki. Musiała mu więc przypomnieć, że jedno słowo Alissy Page szepnięte właściwym ludziom wystarczy, by już nigdy nie dostał pracy w tym mieście. Kłóciła się z drukarzami, mniej więcej tuzin razy zmieniła układ miejsc do siedzenia, wdała się w spór ze współorganizatorami, żeby wybrać zespół grający bardziej współczesne kawałki niż z lat czterdziestych, wreszcie przekonała komitet dekoracyjny do rozpoczęcia prac od początku. Twardo stawiała na swoim, tym razem kusząc wszystkich atrakcyjną obietnicą „małej niespodzianki”. Do balu pozostawało tylko półtora miesiąca.

Podczas podróży do Los Angeles Alissa musiała więc wykazać się sprawnością. Należało podejść Zoe i skłonić ją do przyjazdu. Oprócz tego w końcu czekało ją spotkanie z Jayem.

Owinęła w bibułkę jedwabną koszulę. Starannie składając materiał zastanawiała się, dlaczego nici jej życia nigdy nie splatały się tak gładko. Wyglądało na to, że przez całe życie próbuje gonić. Za większym, za lepszym i prawdopodobnie za bardzo. Wsadziła do walizki koszulę, żałując, że nie potrafi spakować swoich negatywnych myśli.

- Nic się ojcu nie stanie - powiedziała do Natalie. - Zresztą masz na wszelki wypadek numer doktora Sterna.

- Mamo, czyżbyś zapomniała, że to ja go znalazłam? Naprawdę chcesz, żebym przechodziła przez to jeszcze raz?

- Powiedziałam ci, że ojciec jest w dobrej formie. W domu będą Dolores i Howard. I Michele.

- Wielki pożytek. Dwoje zręczliwych, niedołączonych starszuchów i siostrzyczka, tak zajęta zabawą w narzeczoną, że nie ma czasu zawracać sobie głowy ojcem.

- Natalie...

- Na jak długo wyjeżdżasz?

Jeśli dopisze mi szczęście, to na zawsze, miała ochotę powiedzieć Alissa. Jeśli dopisze mi szczęście, *to Jay* porwie mnie w ramiona i zabierze w jakieś romantyczne miejsce na koniec świata, i tym razem nie wróce. Chyba że Zoe zgodzi się wziąć udział w balu.

- Nie wiem - odpowiedziała. - Na parę dni.

- Czy zostawisz numer telefonu, pod którym można cię zastać?

- Żebyś mogła mi zawracać głowę za każdym razem, kiedy ojciec kichnie? Nie, moja droga.

- Mamo, bądź poważna. A jeśli *coś* się stanie?

Jeśli *coś* się stanie, to nie chcę o tym wiedzieć, pomyślała. Rzuciła do walizki następną atłasowo-koronkową koszulę nocną. Zastanowiło ją, czy Natalie to zauważyła.

- No, dobrze. Dam ci numer telefonu. Ale tylko w naprawę pilnych sprawach. Dotarło? - Wyciągnęła notesik, zapisała numer Zoe i położyła karteczkę przy łóżku. - Ojciec ucina sobie drzemkę. Pożegnaj go ode mnie i zadzwoń na Howarda, niech odwiezie mnie na lotnisko.

Natalie zerknęła na matkę, potem na jej walizkę.

- Zrób to sama - powiedziała i wyszła z pokoju.

Siedziba World Press International w Los Angeles nie była nawet w połowie tak imponująca, jak można byłoby wnioskować z nazwy. Alissa stała pośrodku obszernej hali

i rozglądała się dookoła. Stoliki ustawione wzdłuż jednej ściany były zavalone fantazyjnymi stertami gazet. Wzdłuż przeciwnej ściany ciągnął się rząd stanowisk komputerowych, przy czym zaledwie na trzech pracowali skupieni, okropnie ubrani młodzi okularnicy. Alissa miała do tej pory tylko jedną okazję, by z bliska przyjrzeć się pracy agencji prasowej, a było to przed laty w siedzibie Stockwell Media Group, ale istotną różnicę stanowiły wyłącznie migające ekrany komputerowe zamiast stukających klawiszy maszyn do pisania i czyste powietrze zamiast nie rozwiewającego się ani na chwilę tytoniowego oparu. Pracownicy nadal mieli wygląd lewicowców, tyle że byli młodszy. Wystarczająco młodzi, by mogła czuć się jak ich matka. Niepokój Alissy związany z pobytem w tym miejscu zaczynał topnieć, gdy nagle przypomniała sobie, że są to. Współpracownicy Jaya. To było jego życie.

Spojrzała na rząd zegarów ściennych, szukając tego, który pokazywałby czas w Los Angeles: było po drugiej. Miała nadzieję, że Jay nie wyszedł na lunch. Bawiąc się łańcuszkiem zabezpieczającym jej złotą bransoletkę rozmyślała, jakie właściwie miała oczekiwania. Czyżby sądziła, że Jay będzie tu siedział i czekał na jej ponowne zjawienie się po dwudziestu czterech latach? Czyżby spodziewała się, że w jakiś sposób przewidział jej przyjazd?

Jeden z młodocianych okularników przestał wreszcie pisać na komputerze i zwrócił uwagę na obecność Alissy. Patrzyła na niego przez chwilę, jakby zapomniała, po co przyszła. Potem powiedziała:

- Chciałabym widzieć się z Jayem Stockwellem. Czy już wrócił z zagranicy? - Z zagranicy? Nie mogła uwierzyć, że użyła tego sformułowania. Czy ktokolwiek jeszcze tak mówi?

- Tak - powiedział młody człowiek. - Wrócił, ale nie ma go tutaj. Będzie jutro.

- Jutro? - Wypytywała, jakby ją okłamywał.

- Tak, jutro. - Młody człowiek odwrócił się z powrotem do komputera i dalej pisał.

- Przepraszam - głośno powiedziała Alissa. - Przerwał pracę i znowu na nią spojrział. - O której godzinie jutro?

Wzruszył ramionami.

- Z Jayem nigdy nie wiadomo. Może o dziewiątej. A może o trzeciej. Chce pani zostawić wiadomość?

Alissa raz jeszcze rozejrzała się po pokoju. Może o dziewiątej. Może o trzeciej. Przypomniano jej o swobodnym duchu Jaya. Kiedyś budził w niej cholerne pożądanie, Potem tylko doprowadzał do szału.

- Nie, dziękuję - powiedziała.

Przed agencją wsiadła znowu do wynajętego Mercedesa i zamyśliła się nad *następnym* posunięciem. Chyba nie mogła czekać do następnego dnia. Wyciągnęła notatki, które dał jej Danny. Był tam domowy adres Jaya: 730 Mesa Linda Drive. Nie wiedziała tylko, czy znajdzie odwagę.

Zapaliła silnik. Tak. Alissa Page zawsze znajduje odwagę, gdy czegoś bardzo chce. A nigdy niczego nie chciała tak bardzo, jak właśnie tego. Przekopała papiery, które agencja wynajmu dała jej wraz z samochodem. Do przewodnika po domach gwiazd był przypięty plan miasta. Odszukała na nim Mesa Linda Drive. Wyjechała z parkingu i ruszyła w odpowiednią stronę.

Po piętnastu minutach zatrzymała Mercedesa pod właściwym adresem. Zaczęła gapić się na dom. Żałosne partetrowe pudełko z wyblakłymi czerwonymi dachówkami i beżowym tynkiem, wymagającym odświeżenia. Niewiele różniło się od sąsiadujących po obu stronach numerów 728 i 732. Na czymś, co właściciel pewnie uważał za reprezentacyjny dziedziniec, rosło kilka palm. Pod garażową wiatą stał stary ciemnozielony Chevrolet.

Oczywiście, po co Jayowi dom w znośnym miejscu? - przypomniała sobie Alissa. Nigdy go tu nie ma. Jest kawalerem i nigdy go tu nie ma.

A jednak było to ordynarne. Miała nadzieję, że z upływem lat Jay nabrał więcej smaku. Ale przecież był mężczyzną, do tego samotnym. Ciekawe, ile smaku okazywałby Robert, gdyby nie starał się dla niej.

Robert? Dlaczego, u diabła, właśnie w tej chwili myśli o swym ciotowatym mężu?

Pokręciła głową i zacisnęła dłonie na kierownicy.

Powinna wysiąść z samochodu.

Powinna podejść po stopniach do frontowych drzwi.

Powinna zadzwonić.

Co ją powstrzymuje?

Serce zaczęło jej się wrywać z piersi. Nie to, żeby się bała. Czego miałyby się bać? Mogła mu powiedzieć, że załatwia w Los Angeles swoje sprawy. Mogła mu powie-

dzieć... właściwie co? Że jakimś szczęśliwym zrządzeniem losu dowiedziała się, gdzie mieszka? Że przypadkiem dowiedziała się, gdzie pracuje?

Cześć, mogłaby powiedzieć. Pamiętasz mnie? Zostawiłam cię dwadzieścia cztery lata temu, ale postanowiłam dać ci jeszcze jedną szansę.

Duże jednoczęściowe okno zasłaniały ciężkie draperie. Prawdopodobnie był tam salon. Czy Jay jest w środku i śpi? Może przyzwyczaja się do zmiany czasu. A może kogoś pieprzy. Boże, pomyślała. Mam nadzieję, że kobietę.

Usiadła w skupieniu i zapatrzyła się w draperie, na wpół oczekując, że drgną. Nie zauważyła ruchu frontowych drzwi, póki nie ściągnęła jej uwagi postać na schodach. Alissa wstrzymała oddech. To musi być on, pomyślała. Boże, to musi być on. Reagując jak złodziej przyłapany na gorącym uczynku, natychmiast wrzuciła bieg i pędem odjechała.

Dom robił spore wrażenie. Całkiem niezłe jak na prowincjonalną dziewczynę z Montany czy Minnesoty, czy skąd tam Zoe pochodzi. Wspinając się po kamienistej dróżce, która zdawała się prowadzić do wejścia, Alissa nagle przypomniała sobie artykuły z gazet. Zadrzała. Była w nich mowa o tym, że mąż Zoe popełnił samobójstwo w domu. Tutaj. W miejscu, do którego zbliżała się z każdym krokiem. Miała nadzieję, że bez względu na różnice dzielące ją z Robertem, jej mąż nigdy nie zrobi czegoś tak godnego pożałowania. A jeśli jednak miałyby coś takiego zrobić, to pozostawała jej nadzieja, że nie w domu. Stanowczo musiała się wyprowadzić.

Podeszła do drzwi i nacisnęła guzik dzwonka. Nie zadała sobie trudu, żeby wcześniej zatelefonować; przecież w takim wielgachnym domiszczu ktoś musi być. Kucharki, pokojówki, ogrodnicy, ktoś na pewno jest. Zastanawiała się, czy Zoe dostała tę pracę w filmie, jeśli udało jej się rzucić wagę. I czy zgodzi się wziąć udział w imprezie dobroczynnej. Była zła na siebie, że za bardzo rzuciła się w wir organizacji balu i przez to nie podtrzymywała kontaktu z Zoe. Ale przynajmniej raz do niej zadzwoniła. Raz zachowała się tak, jakby naprawdę o niej myślała.

Zoe otworzyła drzwi.

- Cześć, piękna nieznajoma.

Zaskoczona Zoe cofnęła się o krok.

- Alissa! Mój Boże, niedawno o tobie rozmawiałam. Co tutaj robisz? Och, wejdź, proszę. Wejdź.

Alissa znalazła się w olbrzymiej kamiennej sieni. Było tu jasno i przestrzennie, wcale nie jak w domu, w którym niedawno ktoś umarł. Niezłe miejsce na pustelnię.

- O, rozmawiałaś o mnie. Nie wątpię, że w samych superlatywach.

Zoe wybuchnęła śmiechem.

- Oczywiście. Dziś rano przed odlotem z Nowego Jorku jadłam śniadanie z Meg.

- Z Meg Cooper? Co robiłaś w Nowym Jorku? I jak, u diabła, radziłyście sobie z Meg beze mnie?

- Chodźmy do pokoju dziennego - zaprosiła Zoe. - Ale zrobiłaś mi niespodziankę. - Poprowadziła Alissę korytarzem. Po drodze minęły kilka walizek.

Wybrawszy sobie jedną z trzech kanap, Alissa potoczyła wzrokiem po pokoju. Ładnie. Kalifornijski luz, ale mimo to ładnie. Nawet stare plakaty z kowbojskich filmów wydawały się tu na miejscu.

- Czyli nie spodziewałaś się, że mnie zobaczysz u swoich drzwi?

- No, nie! - Zoe odgarnęła gęste czarne loki. Promiennie się uśmiechała.

- Fantastycznie wyglądasz - powiedziała Alissa, całkiem szczerze. Jeszcze jeden triumf Golden Key. Zoe będzie na balu gwoździem programu.

- Dzięki, ale muszę ciężko pracować nad utrzymaniem wagi. Ty też świetnie wyglądasz. Co cię sprowadza?

Alissa uśmiechnęła się.

- Pewnie nie uwierzysz, jeśli powiem, że przyjechałam do Los Angeles wyłącznie po to, żeby cię zobaczyć?

- Coś mi się zdaje, że wpadanie do kogoś mieszkającego ponad trzy tysiące kilometrów na zachód nie leży w twoim stylu.

- Masz rację - przyznała Alissa. Miała ochotę na papierosa, ale przypomniała sobie, że Zoe nie pali. Zresztą nikt już nie pali. Zaczęła bawić się frędzlem wielkiej poduchy. Na mówienie o balu było za wcześnie. Nie chciała, żeby Zoe poczuła się wykorzystywana. - Przyjechałam spotkać się z nim.

Zoe szeroko rozwarła oczy.

- Z Jayem Stockwellem? On tutaj jest? W Los Angeles?
- We własnej osobie.
- Mój Boże, czy już go widziałaś?
- Próbowałam. Będzie w pracy dopiero jutro. - Nie było siły, by Alissa powiedziała o wysiadaniu przed domem Jaya i śledzeniu posesji, jakby była kimś w rodzaju Danny'ego Gordona. Nic nie zmusiłoby jej do przyznania się, że chyba już widziała Jaya z oddali.

- Gdzie się zatrzymałaś?
- Jeszcze ó tym nie myślałam. - Nie myślała? Oczywiście, że myślała. Planowała zatrzymać się u Zoe. Jeśli nie u Jaya. - Potem pojedę z powrotem do miasta i wynajmę pokój w „Ambasadorze” albo gdziekolwiek indziej.

- Nic takiego nie zrobisz. Zostaniesz tutaj.
Alissa uśmiechnęła się. Zdziwiła ją, że Zoe zdołała się kiedyś wybić. Była zbyt otwarta i sympatyczna. Nie taka, jak zazwyczaj ludzie sukcesu. Ale przecież Hollywood i przemysł filmowy nie należały do realnego świata. Alissa podejrzewała, że rządzą tam bardzo swoiste reguły.

- Nie chciałabym, żebyś musiała przeze mnie wynosić się z domu... - powiedziała Alissa - ale wiesz, może i byłoby prościej... oczywiście, jeśli masz miejsce...

- Miejsce? W tym domu jest osiem sypialni i sześć łazienek. Moja przyjaciółka Marisol wyjechała na kilka dni na pokaz rzemiosła w Monterey, a mój syn jest... - Urwała i odwróciła wzrok od Alissy - ...poza miastem.

- Znakomicie - stwierdziła Alissa. - Prawdę mówiąc, podałam rodzinie twój numer telefonu na wypadek, gdyby były do mnie jakieś pilne sprawy.

- W porządku. Powiedz mi teraz, jak znalazłaś Jaya?

Alissa skinęła głową, strzepnęła z nóg pantofle na wysokim obcasie i usiadła na kanapie, podwijając nogi pod siebie. Zaczynała czuć się w tym domu dziwnie dobrze.

- Najpierw musisz mi powiedzieć, co robiłaś w Nowym Jorku z Meg.

- No, niezupełnie z Meg. Ale widziałam ją kilka razy. Kręciłam w Nowym Jorku zdjęcia do filmu.

- Do filmu? Dostałaś tę rolę? Wiedziałam, że ci się uda.
- A więc Zoe znowu stawiała się gwiazdą. Alissa była przekonana, że zbierze owoce tego sukcesu. Starła się, by jej uśmiech nie wypadł zbyt szeroko. - Jak ci poszło?

Zoe machnęła ręką.

- W porządku. A teraz powiedz mi, jak znalazłaś Jaya.

Alissa westchnęła rozanielona, czując niemal dziewczęce podniecenie. Nagle zaczęło jej się bardzo śpieszyć do podzielenia się nowiną.

- To nie ja go znalazłam, Zoe. To Danny, przyjaciel Meg.

- A, Danny Gordon. - Zoe znowu odwróciła wzrok.

Alissie wydało się, że oczy Zoe błyszczą. Chryste, pomyślała, czy jej też Danny wpadł w oko? Zobaczyła, jak Zoe wyciąga przed nią bose stopy, i zaczęła przypatrywać się palcom.

- Czy już dojrzałaś do spotkania z Jayem? - spytała Zoe.

- Naturalnie. Od razu, kiedy w kwietniu podjęliśmy wspólną decyzję.

- Spotkanie może iść nie po twojej myśli. Myślę, że powinnaś być na to przygotowana.

Smutek w głosie Zoe powiedział Alissie, że coś się stało, coś poszło bardzo źle. Chciała udać zatroskanie i nagle uświadomiła sobie, że naprawdę jest zatroskana.

- Coś nie tak?

Zoe zaczęła przesuwać stopy tam i z powrotem po alpakowym dywaniku.

- Widziałam Erica. Rozmawiałam z nim.

- I?

- Tylko ci mówię, żebyś była przygotowana. Ludzie się zmieniają. A może po prostu nie są tacy, jak ich pamiętamy.

No tak, pomyślała Alissa, życie potrafi być wyjątkowo wredne. Najpierw mąż Zoe wysłał się do aniołków, potem jedyny facet, który, jak sobie pewnie wyobrażała, nadal ją kocha, wysłał ją do diabła. Najwyraźniej drugi raz. Ale to była Zoe. A Alissa jest Alissą. Splotła dłonie na podołku.

- Przykro mi, że ci się nie udało, Zoe. Ale z Jayem i ze mną tak nie będzie. Wiem to na pewno. Jay Stockwell jest zupełnie niepodobny do Erica.

Zoe zaproponowała, żeby zamówiły na obiad coś na wynos z chińskiej restauracji. Alissa nie cierpiała chińskiej kuchni.

- Trudno mi jeść w publicznym miejscu i cieszyć się posiłkiem - wyjaśniła Zoe. - Za wiele osób mnie poznaje, odkąd straciłam na wadze i znowu wyglądam jak gwiazda.

- Roześmiała się. - Czyli to twoja wina, Alisso. Gdybyś nie

zmusiła mnie do stosowania diety, to mogłybyśmy iść do „Chasena” na wyśmienity obiad.

- Nie szkodzi - ustąpiła Alissa. - Niech będzie chińszczyzna. - Nie mogła wyobrazić sobie siedzenia w restauracji, w której reszta klientów będzie poszeptywać i wskazywać palcem nie ją, lecz jej współtowarzyszkę. To byłoby upokarzające przeżycie, podobnie jak podpieranie ścian na balu kotyliowym, na który ciotka wysłała ją, gdy Alissa miała dwanaście lat. Przez cały wieczór tkwiła tam zażenowana, wlepiając wzrok w starsze, bardziej efektowne debiutantki, które wywoływały dziki zachwyt wszystkich dookoła. No, oczywiście podczas zbliżającego się balu wszystkie oczy będą skierowane na Zoe, ale to co innego. Na swym własnym terenie Alissa pozostanie dobrze znana.

Obiad dostarczono w białych kartonowych pojemnikach, od których wszystko smakowało papierem. Solonym papierem. Siedziały przy stole w kuchni, chociaż w domu była bardzo przyjemna jadalnia, zdaje się, że nigdy nie używana.

Przez cały potworny posiłek Zoe szczebiotała o filmie i Nowym Jorku, i o tym, jak nie mogła zrozumieć, że ktokolwiek, a już najbardziej tak rozsądna osoba jak Meg, może wytrzymać w tym brudnym, hałaśliwym mieście.

- Owszem, Nowy Jork ma dobre strony, szczególnie teatry i niezrównane sale koncertowe - ciągnęła. - Ale Meg chyba z tego nie korzysta.

Alisnę mało to obchodziło. Prawie nie słuchała. Była zbyt zajęta myśleniem o balu, o Jayu. Czy naprawdę będzie jej towarzyszył? Postanowiła nie wspominać o balu tego wieczoru, nie chcąc zmuszać Zoe do pośpiesznych decyzji. Będzie mnóstwo czasu potem. Dźgając widelcem wątpliwej jakości farsz parującego pierożka, znalazła wreszcie okazję, by wtrącić słowo.

- Chciałabym dziś wieczorem skorzystać z telefonu - powiedziała.

- Naturalnie - zgodziła się Zoe. - Masz aparat w pokoju.

- Chcę zatelefonować do Jaya.

Zoe wzięła na widelec coś mokrego i żyłastego z wyglądu, z czego Alissa zrezygnowała.

- Aha - powiedziała i szybko zmieniła temat. - Zrobić herbaty?

Alissa odłożyła widelec.

- Posłuchaj, Zoe. Przykro mi, że nie ułożyły ci się sprawy z Erikiem. Ale długo czekałam i przyjechałam z daleka, żeby zobaczyć się z Jayem. Proszę cię, nie psuj mi tego.

- Przepraszam - powiedziała Zoe. - Ja tylko nie chciałam, żebyś przeżyła rozczarowanie.

Ho, ho, pomyślała Alissa. Ten wiking z Minnesoty musiał naprawdę jej dokuczyć. Co innego ona i Jay. Kiedyś się kochali. Naprawdę się kochali. Alissa wstała od stołu.

- Wiesz, zadzwonię od razu. Herbaty napiję się później.
- Po drodze do swego pokoju uprzytomniła sobie, że Zoe nie życzyła jej powodzenia.

Za progiem Alissa zaczęła jednak się wahać, czy istotnie ma odwagę doprowadzić zamiar do końca. Powiedziała sobie, że Jaya nie ma w domu. Czyż nie widziała na własne oczy, jak wychodził? Tłumaczyła sobie, że lepiej porozmawiać z nim osobiście, pokazać mu się, niech się przekona, że Alissa wygląda jeszcze nie najgorzej. Miałaby zadośćuczynienie za ból i cierpienia, jakie przeszła.

Szczerze mówiąc, bała się jednak, że jeśli pójdzie do agencji, to Jay ją ordynarnie zignoruje, wystawi na pośmiewisko przed tymi wszystkimi lewicowymi młodziakami, potraktuje jak kogoś nic nie znaczącego. Taka była prawda i Alissa o tym wiedziała.

Usiadła przy wbudowanym w ścianę biurku i podniosła słuchawkę. Potem powoli wybrała numer, obiecując sobie, że wszystko skończy się dobrze, bo Jaya i tak nie będzie w domu.

- Słucham - odezwał się męski głos.

Zmartwiała.

- Halo? Jest tam kto?

Poznałaby ten głos zawsze i wszędzie.

- Jay? - Z gardła wydobył jej się zaledwie szept.

- Kto?

Może to nie on. Może dostała zły numer.

-Jay?

- Tak, to ja. Kto mówi?

Jak to możliwe, że poznała jego głos, a on nie poznał jej głosu? Czy czasem o niej myśli? Czy w ogóle ją pamięta? Odchrząknęła.

- Jay, tu Alissa.

Przez chwilę panowało milczenie.

- Alissa?
- Tak, Jay - powiedziała już mocniejszym głosem. - Alissa.
- Cześć - powiedział. - No, no, ale niespodzianka. Alissa parsknęła śmiechem.
- Echo dawnych lat, co?
- Boże, nie chce mi się wierzyć, że to ty. Gdzie jesteś?
- W Los Angeles. Pomyślałam, że moglibyśmy się spotkać.
- Jesteś tutaj? W Los Angeles? Po co?
- No, właśnie. Najważniejsze pytanie. Po co?
- Interesy - skłamała z nadzieją, że Jay nie spyta, jakiego rodzaju. Zawsze mogła mu jednak powiedzieć, że angażuje Zoe na swoją imprezę... - Czy moglibyśmy? Mam na myśli spotkanie.
- Chryste, Alisso, z przyjemnością, ale, prawdę mówiąc, właśnie wróciłem z kilkumiesięcznej podróży...
- Miała ochotę krzyknąć to do słuchawki: Wiem!
- ...i mam zaległości w pracy.
- Myślałam o jakimś małym koktajlu - powiedziała. - Może jutro wieczorem?
- Przestałem pić. Uwierzysz? Jestem całkowitym abstynentem.
- Zdaje się, że w „Ambasadorze” mają wyborną mineralną - powiedziała. - Czy o siódmej nie będzie za wcześnie? - Serce podchodziło jej do gardła. Czy da jej kosza? Nie. To ona dała mu kosza.
- Jay wybuchnął śmiechem.
- Czy nadal zawsze musisz stawiać na swoim?
- Tak. O Boże, chce się umówić.
- Tylko wtedy, kiedy warto.
- W porządku, wygrałaś. O siódmej w „Ambasadorze”.
- Nie spóźnij się - zachichotała i odłożyła słuchawkę.
- Usiadła przy biurku, podminowana, roztrzęsiona, w euforii. Jutro wieczorem idzie na randkę z Jayem. Jedynym człowiekiem na świecie, który kiedykolwiek ją kochał, jedynym, którego ona kochała. Minęły dwadzieścia cztery lata. A teraz zobaczy go znowu.
- Gdzieś w środku poczuła rodzący się ból. Czy przed spotkaniem z nią Jay czuje podniecenie? Przeciwnieństwem miłości nie jest nienawiść. Przeciwnieństwem miłości jest obojętność. Gdzieś to wyczytała. Czy Jay rozmawiał z nią...

obojętnie? „W porządku, wygrałaś” - powiedział. Nie było to zbyt entuzjastyczne.

Wbiła wzrok w plecioną matę na ścianie. To niemożliwe, pomyślała, po prostu zatelefonowałam znienacka. W jego głosie na pewno odbiło się zaskoczenie, nie obojętność.

Wróciła do kuchni, po drodze pracując nad uśmiechem.

- Rozmawiałam z nim - oznajmiła. - Ma piękny głos.

- To dobrze - stwierdziła Zoe, nalewając wrzątku do dwóch kubków.

- Umówiliśmy się na jutro. Był taki podniecony, że chciał się spotkać dzisiaj wieczorem, ale uznałam, że lepiej poczekać. Dać mu trochę czasu, żeby o mnie pomyślał, rozumiesz? - Nie miała pojęcia, dlaczego kłamie.

- Jasne - odrzekła Zoe i postawiła przed nią parujący kubek. - I przykro mi, że wcześniej nie mogłam wykrzesać z siebie zapału. - Położyła dłoń na dłoni Alissy. - Ale jesteś moją przyjaciółką. Nie chcę, żebyś czuła się urażona. Wybaczysz mi?

Alissa uśmiechnęła się. Spotka się z Jayem. A Zoe nazwała ją przyjaciółką. Wyglądało na to, że zaspokoi oba pragnienia, które teraz w jej życiu znacząły najwięcej.

Przyjechała do „Ambasadora” za kwadrans siódma, z wilgotnymi dłońmi i gulą w żołądku. Zaparkowała z dala od miejsca, z którego obsługa hotelowa wprowadza samochody do garażu, ale dostatecznie blisko frontowych drzwi, by widzieć wszystkich wchodzących i wychodzących. Rozejrzała się po parkingu: ciemnozielonego Chevroleta nie było. Wyłączyła silnik. Czekwała. Zapaliła papierosa i opuściła szyby, żeby nie przesiąknąć dymem, potem przypomniała sobie, że czytała gdzieś o planowanym przez bonzów Los Angeles wprowadzeniu zakazu palenia w miejscach publicznych. Czy już to uchwalono? Czy w ogóle można coś takiego uchwalić? Głęboko się zaciągnęła. Pieprzyć takie zakazy.

Zabębniła palcami na kierownicy. Raz po raz sprawdzała makijaż we wstecznym lusterku. Wyciągnęła szminkę, gotowa skorzystać z niej natychmiast, gdy tylko zgasi papierosa. Wiedziała, że w lnianej różowej sukni wygląda fantastycznie, w zasadzie prawie anielsko. Próbowwała sobie wyobrazić, co powie, ale nie wyglądało na to, by mogła zająć myśli czymkolwiek innym niż marki podjeżdżających samocho-

dów i typy ludzi wchodzących frontowymi drzwiami do hotelu. I wtedy zobaczyła ciemnozielonego Chevroleta.

Spojrzała na zegarek. Za pięć siódma. Uśmiechnęła się. Przyjechał na czas. Dobry znak.

Przyjrzała się, jak Jay parkuje samochód, wysiada i idzie chodnikiem. Włosy na czubku głowy mu się przeredziły, czego w telewizji nie zauważyła, do tego były mocno wyblakłe, prawdopodobnie od intensywnego nasłonecznienia w tych beznadziejnych krajach pod równikiem. Ubranie miał luźne: dżinsy i bawełnianą marynarkę w kolorze khaki, z podwiniętymi rękawami. Zaskoczyło ją, że Jay nosi okulary. Nie miał ich w telemigawce kilka tygodni temu. Nie nosił ich też, gdy byli młodzi. No, ale przecież co czterdzieści cztery lata, to nie dwadzieścia, przypomniała sobie.

Jay znikł w budynku. Alissa wzięła głęboki oddech i czekała. Dziesięć po siódmej wysiadła z samochodu i poszła do wejścia wolnym krokiem, nie tyle by stworzyć odpowiednie wrażenie, ile dla pewności, że nogi się pod nią nie ugną. Zatrzymała się przed wejściem do barku. Siedział tam blisko drzwi, na wysokim stołku, i oglądał program w telewizorze wiszącym na linach ponad rzędem butelek. Alissa stanęła za Jayem. Przyjrzała się jego plecom, wyrobionym mięśniom, prężącym się pod cienkim materiałem. Był szerszy w ramionach, niż jej się zdawało we wspomnieniach, potężniejszy. Rozważała przez chwilę problem, czy wyrosło mu owłosienie na piersi. Wreszcie pochyliła się w jego stronę.

- Jay? - spytała.

Odwrocił się i zawahał, ale tylko na drobny ułamek sekundy, na taką chwilę, zanim się kogoś rozpozna. Potem się uśmiechnął.

- Witaj, Alisso - powiedział i stanąwszy obok, pocałował ją w policzek. Poczowała uderzenie gorąca, miała nadzieję, że się rumieni. Lekkie zaróżowienie skóry powinno bajecznie pasować do różowej lnianej sukienki. - Obłądnie wyglądasz.

- Ty też - odpowiedziała z uśmiechem. Wiedziała, że jej głos zabrzmiał lekko, ale nie miała pojęcia, co na to poradzić. I wtedy wpadła w przerażenie. Przed nią siedziała jej przyszłość. Do tej pory była ona jedynie marzeniem. Ale Jay nie był już marzeniem: siedział przed nią człowiek

z krwi i kości. Miała rację. Odnosiła wrażenie, że złagodniał. Może nie złagodniał. Może był zadowolony. Nagle uświadomiła sobie, że jeśli to spotkanie pójdzie po jej myśli, nie pozostanie jej nic więcej, nie będzie miała ani nadziei, ani marzeń. Nawet bal straci znaczenie. Usiłowała wziąć głęboki oddech, ale coś ścisnęło ją za gardło.

Jay zsunął się z barowego stołka.

- Chodźmy do stolika - powiedział.

Posłusznie podażyła za nim przez salę, zbyt zdenerwowana by cokolwiek mówić. Jay był tuż przed nią, na wyciągnięcie ręki. Jay był tutaj i... szedł utykając.

Usiedli. Jay wyciągnął z kieszeni zmięte opakowanie z zapalnikami i zapalił świeczkę na stoliku. Jego zielone oczy były jaśniejsze niż we wspomnieniach Alissy, a *może* wyglądały jaśniej w okularach z szylkretową oprawą. Ale usta pozostały te same. Wciąż pełne, wciąż zachęcające.

- Nadal wyglądasz dziewczęco, Alisso - powiedział. - Nie wiem, jak to robisz.

To drobnostka, tylko chirurgia plastyczna, miała ochotę powiedzieć, ale zamiast tego odpowiedziała uśmiechem. Chciała go spytać, dlaczego utyka. Czy miał wypadek samochodowy? Był na wojnie? Boże, pomyślała. Ostatnio, kiedy go widziałam, w Wietnamie jeszcze kipiła.

- Kulejesz - rąbnęła prosto z mostu.

Jay uśmiechnął się.

- Wcale nie z powodu jakiegoś bohaterskiego wyczynu - wyjaśnił. - Kręciłem migawkę na żywo podczas wojny w zatoce, w nocy. Cofałem się, mówiąc do kamery. Potknąłem się o trójnog i spadłem z dachu. Złamałem nogę.

- Spadłeś z budynku?

Roześmiał się. Śmiech miał ciepły, piękny. Taki sam jak zawsze.

- Parterowego. Na taśmie wyszła czerń. Cały świat myślał, że nas zdmuchnęło.

- Musiało cię boleć. - Nie mogła uwierzyć własnym uszom; Nie mogła uwierzyć, że Alissa Page, mistrzyni w czarowaniu pań z towarzystwa, powiedziała coś tak głupiego. Musiało cię boleć. Boże.

Jay wzruszył ramionami.

- Owszem. Minęło kilka dni, zanim mi złożono to złamanie. Dlatego kuleję.

Wyobraziła sobie Jaya leżącego na ziemi. Pamiętała, jak

kiedyś złamał sobie obojczyk, bo zrzucił go koń. Nie pozwolił wezwać ambulansu, tylko kazał Alissie zawieźć się do szpitala. Nawet kiedy coś go bolało, nie lubił wokół siebie zamieszania.

Zjawił się kelner. Jay zamówił dla siebie wodę sodową, a dla Alissy perriera. Dałaby wiele za kieliszek wina, ale cóż warte jest wino bez papierosa? Tymczasem wyraźnie czuła, że Jay przestał także palić. Przelotne spojrzenie dookoła uświadomiło jej, że nie pali nikt z gości. Z zakazem czy bez.

- Boże - powiedział. - Naprawdę fantastycznie wyglądasz. - I znowu się roześmiał. Ciepło od jego warg promieniowało ponad stołem, Alissa czuła je na piersiach. - Zawsze było ci dobrze w różowym. Pamiętasz tańce w country klubie? Tamtego wieczoru też ubrałaś się na różowo.

Pamiętała. Sukienka była z różowej organdy. Orchidee, które jej kupił do przyozdobienia nadgarstka, były białe, związane różową wstążką. Alissa miała szesnaście lat. Po tańcach kochali się w samochodzie. Wyszedł z niej bardzo szybko, taka była antykoncepcja nastolatków w latach sześćdziesiątych. Zaplamił jej spermą sukienkę. Wyrzuciła ją potem, bo za bardzo się bała, że ciotka Heima zauważy.

- Nie mogę uwierzyć, że pamiętasz tamten wieczór - powiedziała cicho.

- No, pewnie. Tego wieczoru stary pierwszy raz dał mi Rollsa. Niedługo przedtem skończyłem osiemnaście lat, pamiętasz?

Nie. Tego Alissa nie pamiętała.

- Myślałam o czymś innym - zauważyła.

- Wiem - powiedział Jay. - Pamiętam.

Kelner przyniósł im napoje. Jay odchylił się na krześle i uśmiechnął.

- Boże, czy możesz uwierzyć, że kiedyś żyliśmy w taki sposób? Ależ z nas były dzieciaki. Garnitur nosiłem wtedy częściej niż teraz džinsy.

- Zawsze lubiłam cię w garniturze.

- A ja nigdy nie znosiłem garnituru. Pamiętasz Freda Cartera? Miał taką manierkę z pętłą, żeby móc przyczepić ją do paska. - Odsunął do tyłu poły marynarki, naśladując sposób, w jaki manierka wisiała Fredowi Carterowi przy pasku. Ale Alissa widziała tylko pas Jaya, umięśniony, sprężysty i cholernie seksowny. Nie chciała rozmawiać

o przeszłości. Chciała rozmawiać o teraźniejszości. O tym wieczorze. O następnym dniu.

- Fred Carter zginął kilka lat temu - powiedziała Alissa.
- Rozbił się po pijanemu.

Jay wyprostował się ponownie.

- Cholera, nie wiedziałem. No, to chyba nie jest niespodzianka.

- Dla nikogo w Atlancie na pewno nie.

- Ludzie - powiedział Jay, pociągawszy długi łyk wody sodowej. - Atlanta. Lata minęły, od czasu gdy tam byłem. Ostatnio na pogrzebie matki.

Rodzice Jaya byli starsi niż większość rodziców ich rówieśników: ojciec miał dobrze po siedemdziesiątce, kiedy zmarł wkrótce po ich ucieczce do San Francisco. A matka, z tego co wiedziała Alissa, zmarła kilkanaście lat temu. Wspomnienie pośmiertne pisała była przewodnicząca Federacji Kobiet Atlanty.

- Ej - przerwał jej zamyślenie Jay - co się stało z Hankiem Bensonem? Pamiętasz ten wieczór, kiedy przyjechał do miasta na jednym z drogocennych koników do gry w polo, które hodował jego ojciec?

Hank spotykał się z LuAnn Palmer, jedną z dziewcząt, które zdaniem ciotki Helmy były nie dość dobre dla Alissy.

- Hank Benson jest sędzią - powiedziała. - Ożenił się z LuAnn. - Miała ochotę zapytać Jaya, dlaczego on nigdy się nie ożenił.

- Nie żartuj, poczciwy Hank? Sędzią? - Roześmiał się. - Boże, nigdy nie myślałem, że wkupi się do establishmentu.

Alissa roześmiała się, ponieważ miała się roześmiać. Ale pragnęła rozmawiać o Jayu. O niej. O nich. Nie chciała roztrząsać przeszłości, jakoś jednak nie udawało jej się skierować rozmowy na inne tory.

Przez prawie trzy godziny Jay wspominał. Alissa kiwała głową, uśmiechała się, czasem wtrącała kilka słów. Ważne, że Jay dobrze się bawi, pocieszała się w duchu. Przyjemnie mu być znowu ze mną.

W końcu barek zaczął pustoszeć, wieczór zbliżał się do końca. Jay rozejrzał się dookoła, jakby wyrwany z innego czasu i miejsca.

- Wspaniale było znowu się z tobą zobaczyć, Alisso - powiedział. - Zadzwon, jeśli jeszcze kiedyś będziesz w Los Angeles.

Mięśnie jej twarzy stężały. I to tyle? Wspaniale było się z tobą zobaczyć? Czyżby mówił jej, żeby sobie poszła?

- Miałam nadzieję, że będziemy mogli kontynuować tę rozmowę - powiedziała.

Wstał.

- Niestety, jutro mam wcześniej rano samolot. - Uśmiechnął się. - Do San Francisco.

Myśli jej galopowały.

- San Francisco? Jutro nie mam nic pilnego, więc chętnie pojedę z tobą. - Uśmiechnęła się, usiłując zapanować nad szalejącym pulsem. - Myślę zresztą, że San Francisco byłoby dość stosowne.

Roześmiał się.

- Co do tego masz rację.

Wsunął kciuki za pasek dżinsów. Gdyby Alissa wolno pochyliła się z miejsca, na którym siedziała, mogłaby przycisnąć mu usta do rozporoka. Ogrzać materiał swym gorącym oddechem. Serce podskoczyło jej gwałtownie, gdy nagle przypomniała sobie pieprzyk w kształcie truskawki ukryty w owłosieniu tuż powyżej jego jąder, tych wspaniałych wrażliwych kulek, które tak lubiła trzymać, lizać, ssać. Zawsze mówił jej, że nie przypuszczał, by kiedykolwiek mógł pozwolić dziewczynie dotykać się w tym miejscu. Alissa sądziła, że potem też to mówił, ale ona była pierwsza. To się liczyło. - Obawiam się jednak, że nie jest to właściwa chwila - powiedział Jay. - Muszę tam tylko wpaść na jednodniową konferencję.

Zamrugła, wracając do rzeczywistości.

- Wracasz jutro? Wobec tego co byś powiedział na kolację?

Przyjrzał jej się, jakby próbował ustalić, czego Alissa od niego chce. Zastanowiło ją, czy pojał sugestię.

- Jasne - zgodził się. - Czemu nie? O ósmej? Jest świetna włoska knajpka na Sunset Boulevard. Nazywa się „DiNardo”.

- Świetnie. Tam się spotkamy.

- Odprowadzę cię do samochodu.

- Nie - sprzeciwiła się Alissa. - Muszę jeszcze iść do toalety. Wyjdź pierwszy. Zobaczymy się jutro wieczorem.

Pocałował ją w policzek i opuścił barek. Alissa została na swym krześle, sparaliżowana rozczarowaniem. Spotkanie nie poszło tak, jak sobie wyobrażała. Nie była pewna, czy jeszcze wciąż łączy ich jakiś magnetyzm, Boże,

przecież Jay prawie wyłysiał. Ale jego ciało... no, to była zupełnie inna sprawa. Wysączyła roztopione kostki lodu z czwartej szklaneczki perriera. Dlaczego nie rozmawiali o sobie? O latach, które minęły między „wtedy” i „teraz”. Ale co właściwie zamierzała mu powiedzieć? Że ostatnie dwadzieścia cztery lata spędziła na organizowaniu przyjęć, wydawaniu przyjęć, chodzeniu na przyjęcia i fotografowaniu się z właściwymi ludźmi? Ach, jeszcze w przerwach na wychowywaniu dwójki dzieci. I na utrzymywaniu dyscypliny wśród służby. Wiedziała, że na jej życie składa się wszystko, czego Jay nienawidzi, co wykiął dziś wieczorem.

Opadła na oparcie krzesła i dała znak kelnerowi. Potrzebowała kieliszka wina... nie, niech będzie whisky.

Było po drugiej, gdy Alissa wróciła do domu Zoe. Światła jeszcze się paliły. Najwyraźniej Zoe na nią czekała. Przez chwilę Alissa bawiła się myślą, co powiedzieć. To dziwne, ale Zoe była jedną z niewielu znanych jej osób, przed którymi trudno było kłamać, jakoś wiedziało się od razu, że ona o tym wie. Ludzi tego typu Alissa zwykle unikała. Sprawiłoby jej wielką przyjemność, gdyby mogła opowiedzieć Zoe, że poszli z Jayem do łóżka i kochali się jak szaleni, a on powiedział jej, że przez te wszystkie lata czekał na nią i tylko na nią. Z pewnością zmieniłoby to śpiewkę Zoe o pamięci, która odmienia przeszłość. Ale najpierw musiała powiedzieć o balu, o tym, jak stworzy Zoe wielką okazję, przydatną w odbudowaniu kariery.

Weszła do środka, otwierając kluczem, który dostała od Zoe. Ledwie zdążyła wejść do holu, gdy usłyszała głos przyjaciółki.

- Alissa? Jestem w pokoju dziennym.

Przez chwilę się wahała. Cholera. Musiała szybko postanowić, co powiedzieć Zoe o Jayu. Może po prostu zostawić ją sam na sam z domysłami, niech wyciągnie własne wnioski. Tak, to byłoby zabawne. Westchnęła i ruszyła korytarzem. Bal mógł poczekać do następnego dnia.

- Nie musiałaś na mnie czekać, Zoe. Ale cieszę się, że to zrobiłaś. - Weszła do pokoju, gdzie siedziała Zoe, okręcając pukiel włosów na palcu.

- Był do ciebie telefon - powiedziała szybko.

Alissa jęknęła i opadła na kanapę.

- To niewiarygodne, że Natalie zadzwoniła. Oto najważniejszy wieczór mojego życia, a tu córka prześladowuje mnie, jakbym nigdy przedtem nie spędziła nocy poza domem.

- Nie dzwoniła córka, lecz twój mąż - powiedziała Zoe. Alissa wyprostowała się gwałtownie.

- Robert? Po co, u diabła, miałby dzwonić Robert?

- Powiedział, że to pilne.

Chuj z nim, pomyślała. Może poczekać. Zresztą teraz, gdy już postanowiła, z czego zwierzy się Zoe, a z czego nie, pojawił się w jej oczach natchniony błysk, a serce zadygotało niecierpliwością nastolatki, pragnącej podzielić się oszałamiającymi wrażeniami z pierwszej randki, nawet gdyby miało to oznaczać leciutkie naciągnięcie prawdy. Tylko leciutkie, by opowieść stała się bardziej podniecająca od samej randki. Tak, Robert mógł poczekać.

- Nie spytasz mnie, jaki miałam wieczór?

- Myślałam, że ważniejszy dla ciebie jest telefon do domu. Twój mąż naprawdę sprawiał wrażenie zdenerwowanego.

Cholera. Nic gorszego nie mogło się zdarzyć, tylko jakiś idiotyczny kryzys rodzinny, który rozwalił jej cały nastrój.

- Dobra, dobra. Zadzwonię. Ale najpierw muszę ci opowiedzieć o Jayu. Jest absolutnie boski. Lepszy niż we wspomnieniach. Nie potrafię tego wyjaśnić, ale czuję się jak na wielkim zakręcie życia. Mam wrażenie, że odnalezienie Jaya jest najwspanialszym wydarzeniem w moim życiu. - Może dziś nie poszła z nim do łóżka, ale jutro... jutro wieczorem...

- To świetnie. Bardzo się cieszę, że ci się udało.

- Naprawdę? Bo będzie jeszcze lepiej. Jutro wieczorem mam się z nim znowu spotkać. Och, Zoe, to było cudowne.

- Wyciągnęła się na kanapie i oparła nogi na poręczy. - Rozmawialiśmy o wszystkim, co było, o wszystkim, co kiedyś robiliśmy, o naszych drobnych przygodach. - Im więcej mówiła, tym bardziej wierzyła, że naprawdę wspaniale się bawiła.

- Nigdy nie przyszło mi do głowy, że lubisz przygody.

- Och, Zoe, kiedy mieszkałam z Jayem, byłam zupełnie inną osobą. O wiele szczęśliwszą. - Ale gdy tylko wypowiedziała te słowa, zaczęła się zastanawiać, czy są całkiem prawdziwe. Tamten okres zatarł się jej w pamięci; wszystko było tak dawno.

- To dobrze, Alisso. Ale czy nie sądzisz, że powinnaś zadzwonić do męża?

Alissa znowu usiadła.

- Jezu, Zoe, powiedziałam, że do niego zadzwonię. W Atlancie jest teraz piąta rano. - Spokojnie, Alisso, przywołała się do porządku. Nie zrażaj Zoe do siebie. Złagodziła ton. - Boję się, że jeśli zadzwonię od razu, to postawię na nogi cały dom.

- Powiedział, że to pilne - powtórzyła Zoe. - Że godzina nie ma znaczenia.

Nie chciała rozmawiać z Robertem. Chciała rozmawiać o Jayu, słyszeć brzmienie jego imienia, myśleć tylko o nim. Myśleć pozytywnie, wyobrażać sobie, że wszystko jest możliwe. No, na razie nic nie było możliwe. Tymczasem chyba tylko snuła fantazje. Ale co tam, u diabła. Zasługiwała na to, żeby pozwolić sobie na odrobinę fantazjowania. Przecież nikomu to nie szkodziło.

Alissa uśmiechnęła się. Chciała powiedzieć Zoe, że Jay zaproponował jej nazajutrz wspólny wyjazd do San Francisco. Otworzyła usta, ale powstrzymało ją karcące, matczyne spojrzenie przyjaciółki. Było oczywiste, że koniec z rozmową o Jayu, dopóki nie zadzwoni do Roberta. Uśmiech zwiadł jej na ustach i ustąpił miejsca wyrazowi rezygnacji.

- No, już dobrze. Gdzie jest ten cholerny telefon?

- Na przykład tutaj - powiedziała Zoe, wskazując stół w rogu pokoju. - Mogę wyjść, jeśli chcesz.

Alissa wstała i podeszła do aparatu.

- Gdybym potrzebowała intymnej atmosfery do rozmowy z mężem, poszłabym do swojego pokoju. Możesz zostać, słowo daję. To nie zajmie dużo czasu.

Zawahała się prawie niedostrzegalnie, potem podniosła słuchawkę i wybrała kierunkowy do Atlanty. Jej ożywienie i marzenia ulatniały się coraz bardziej z każdą kolejną wciskaną cyfrą. Robert odebrał po pierwszym dzwonku.

- Co za wielkie halo? - spytała, nie wysilając się na powitanie.

- Dzięki Bogu, że dzwonisz. - Alissa zerknęła na Zoe i przewróciła oczami. Zoe uciekła przed nią wzrokiem. - Chodzi o Natalie.

Alissa zdrętwiała i szybko usiadła na krześle z wysokim oparciem, stojącym przy stole.

- Co z nią? Co się stało?

- Jej nic. Ale mamy kłopot.
 - Jakiego rodzaju?
 - Przesłuchują ją - powiedział Robert. - Policja.
- Alissa zerwała się z krzesła.
- Policja? Dlaczego, na miłość boską? - Natalie w końcu z czymś wystrzeżona. Natalie. Natalie. Natalie. Jej buntownicza, wyrodna córka. W końcu zrobiła coś naprawdę głupiego i złapali ją. Przez głowę Alissy zaczęły przesuwać się wizje różnych czynów, takich jak pieprzenie się w miejscu publicznym.
 - Powiedziałem im, że to był wypadek. Że to nie jej wina.
- Głos miał bezbarwny jak robot.
- Co nie było jej winą?
 - No więc... o jej... bo ja... - jąkał się Robert. Potem usłyszała odgłos, który zabrzmiał jak szloch.
 - Robercie! Co ona zrobiła?
- Szloch zelżał, potem ustał.
- Był tutaj Derek.
 - Kto to jest, u diabła, Derek? - O czym on mówi? Czy Derek jest ostatnim kutasem Natalie?
 - Derek jest... no... - Znowu zapadło milczenie. Potem Robert odchrząknął. - Derek jest moim przyjacielem.
- Derek. Ach, tak. Niemiłe harce żołądka wyraźnie dały jej znać, że chodzi nie o Natalie, lecz o Roberta. Derek. Więc tak miał na imię człowiek, który leżał pod Robertem tamtego wieczoru w laboratorium. Człowiek, który pierdolił Roberta w rozum albo którego Robert pierdolił w rozum, czy jak to robią dwaj faceci.
- Co wspólnego ma, u diabła, Natalie z Derekiem? - Ściszyła głos i odwróciła głowę do ściany, jakby Zoe mogła znać prawdę o Robercie, domyślić się, kim jest Derek.
 - Odpoczywałem. W swoim pokoju. Derek był, no, Derek mnie odwiedził.
 - Chryste Panie.
 - Natalie weszła. Bez pukania.
- Przemknęło jej przez myśl koszmarnie wyobrażenie tyłka Roberta unoszącego się i opadającego raz po raz nad podłogą w laboratorium. Powinnam była powiedzieć dziewczynkom, pomyślała. Boże, powinnam była im powiedzieć. Natalie nigdy w życiu nie powinna była dowiedzieć się o tym sama.
- Alisso, czy nic ci nie jest? - spytał z wysiłkiem Robert.

Poczuła, że całą sztywnieje.

- Dlaczego policja przesłuchuje moją córkę?

Milczenie. Jedna sekunda, dwie, trzy... Wreszcie Robert spróbował coś powiedzieć:

- Derek... on... ona...

Alissę ogarnął paniczny lęk.

- Robercie, gdzie jest teraz Derek?

Znowu zapadło milczenie, potem Robert zaczął chlipać i Alissa wiedziała już, że nie chce słyszeć dalszego ciągu. Wreszcie Robert się odezwał.

- To był wypadek - powtórzył.

- Gdzie on jest? Gdzie jest Derek?

- Derek - cicho powiedział Robert - jest w kostnicy.

Ogarnęła ją paralityczna drętwota. W sercu odezwał się ból i zaczął się powoli sączyć, promieniować do głowy, kończyn. Łamigłóвка składała się w całość. Robert i Derek. Rzną się. Natalie. Przerywa im. Derek. W kostnicy.

Alissa z całej siły zacisnęła dłoń na słuchawce. Przez zaciśnięte zęby spytała:

- Co się stało?

Robert znowu próbował jej powiedzieć.

- Natalie... - zaczął i urwał. Łamiącym się głosem przypominał dziecko. Małego chłopca. Znowu odchrząknął. - Ona go zastrzeliła.

- Natalie? - krzyknęła Alissa. Zrobiło jej się ciemno przed oczami, pokój się zachybotał, a ona osunęła się z krzesła na podłogę.

Rozdział siedemnasty

Alissa odleciała pierwszym porannym samolotem do Atlanty. Po jej wyjeździe Zoe zeszła na basen i usiadła na krawędzi, kręcąc dużymi palcami u stóp kółka na powierzchni ciepłej wody. Obserwowała spokojnie rozchodzące się zmarszczki fal, słuchała śpiewu budzących się ptaków. Spojrzała na odbicie słońca w lustrze wody i pomyślała, jak złośliwe może być życie, jak wiele jest w nim samotności. Alissa żyła na powierzchni, ale podobnie jak w basenie, pod spodem kryły się głęboko ukryte wrażenia, całkiem różne od tych widocznych dla świata.

Zoe dowiedziała się od Alissy, że Robert jest gejem i że szesnastoletnia córka Alissy zastrzeliła kochankę ojca. Alissa błagała ją, żeby wieczorem poszła na spotkanie z Jayem Stockwellem i wytłumaczyła mu, że powstała sytuacja bez wyjścia. Potem chciała jeszcze o coś poprosić, zaczęła mówić o czymś innym, „naprawdę ważnym”. Zaważała się, więc Zoe chciała ją ośmielić, zapewniła, że chętnie spełni każdą prośbę. Ale Alissa patrzyła na nią przez chwilę tępym wzrokiem, potem spuściła głowę, wzruszyła ramionami i powiedziała: „Mniejsza o to”.

Kiedy Zoe ścisnęła ją na pożegnanie, łzy w oczach Alissy były całkiem szczere. A agresywna, dumna, energiczna dama z towarzystwa całkiem się załamała.

- Niewiarygodnie spierdoliłam swoje życie - powiedziała.

A kto nie? - zastanawiała się teraz Zoe.

Wsadziła stopy głębiej pod powierzchnię i poczuła, że woda jest tam chłodniejsza, bardziej spokojna. Tak jest z wieloma kobietami, pomyślała. Alissa spędzała całe dnie na przekonywaniu wszystkich dookoła, że jej życie jest ideałem. Co stanie się z Alissą, kiedy wszyscy odkryją, że to nieprawda? Podniosła wzrok i zapatrzyła się w dal, w głąb kanionu. Dlaczego właściwie to, co sądzą inni, miałoby być takie ważne? - myślała.

W ulubionym miejscu Scotta Zoe mimo woli zaczęła myśleć o synu i o Ericu. Uświadomiła sobie, że jej motywacja do znalezienia Erica nie była szczerą. W istocie pragnęła się zemścić. Chciała sprawić mu ból. Zamiast tego, to jej teraz pękało serce. To ona straciła syna.

Wyciągnęła stopy z wody i wsunawszy je pod siebie, poczuła dotyk kamiennego obrzeża basenu. Spędziła w tym miejscu wiele godzin, wiele dni, miesiące, lat. Trwała tu samotnie, odgradzona od świata, przejęta lękiem, że jeśli zechce stać się znowu częścią życia, spotka ją krzywda. Początkowo usprawiedliwiała się przed sobą wylewem, potem nadwagą. W ten sposób zbudowała ścianę, chroniącą ją przed światem zewnętrznym, zabezpieczyła się przed ponownym porzuceniem przez kogoś podobnego do Erica, przed uczuciem miłości.

Nie było to uczciwe wobec Williama. Wprawdzie od samego początku wiedział, że Zoe go nie kocha, ale mimo to nie postąpiła wobec niego uczciwie. Teraz to wiedziała.

Spojrzała na kanion w dole i tak, jak robiła to wiele razy dawno temu, kiedy siadywała tam w samotności, oddała się rozmyślaniu, czy jeśli zacznie krzyczeć, to krzyk odbije się echem. Czy wyraz jej bólu zabrzmiał wśród stromych zboczy? Czy ktokolwiek się o nim dowie?

Przed wieloma laty Zoe nieraz zadawała sobie te pytania, teraz jednak Alissa sprowokowała ją do postawienia jednego, dotyczącego ich obu: czy miałoby to jakiegokolwiek znaczenie, gdyby wszyscy się dowiedzieli?

Czy to prywatne przyjęcie? - Tim Danahy zakasał mankiety spodni i przykucnął obok Zoe na krawędzi basenu.

Ostłoniła oczy przed słońcem.

- O, Tim. Nie spodziewałam się dziś cię zobaczyć.

- Mam dla ciebie niespodziankę - powiedział. Wstał i wyciągnął rękę. - Chodź, czeka na ciebie w domu.

Zoe nie umiała sobie wyobrazić, jaką „niespodziankę” może mieć dla niej Tim, ale chwyciła się jego dłoni i pozwoliła postawić na nogi. Pochyliła się, chcąc strząsnąć wodę ze stóp i wtedy uzmysłowiła sobie, że Tim nadal trzyma ją za rękę. Spojrzała w jego ponure oczy. W jaskrawym słonecznym świetle linie rysujące się dookoła tych oczu tworzyły wyraźną pajęczynę, znak upływających lat.

- Wyglądałaś bardzo samotnie, kiedy siedziałas tutaj bez towarzystwa - powiedział. - Przykro mi myśleć, że mogłaś być smutna.

Zoe delikatnie wysunęła dłoń z jego uścisku.

- Nie smutna - powiedziała. - Raczej zamyślona.

- Myślałaś o Williamie?

Pokręciła głową.

- O życiu.

- Twoje jest na dobrej drodze.

- Musisz wiedzieć coś, czego ja nie wiem.

- Owszem. Niespodzianką jest następny scenariusz.

Zoe uśmiechnęła się. Podniosła z ziemi sandałki.

- Następny scenariusz?

- Znowu Cal Baker.

Zoe upuściła sandałki.

- Cal Baker? - powtórzyła.

- Tym razem fabuła. Nie żaden śmieć dla telewizji.

Zoe spojrzała za siebie, na wodę w basenie. Cal Baker chciał ją wziąć do następnego filmu. Cal Baker? Przecież ledwie wytrzymała ostatnie dwa tygodnie kręcenia *Silnych więzów*. Od czasu incydentu na moło prawie nie rozmawiała z Calem ani on z nią. Starła się pokazać, co umie, starała się przetrwać dzień po dniu i wykrzesać z siebie nadzieję na powrót Scotta po wizycie Meg w Minnesocie. A jednak nie czuła zaangażowania w ten film. Kiedy wreszcie zwinęli manatki, mieli cztery dni spóźnienia. Słyszała, jak Cal mówi do producenta, że z jej winy.

Przykucnęła i rozchlapała dłonią trochę wody.

- Nie sądziłam, że on mnie lubi - powiedziała.

- Widział recenzje w gazetach. Mnie powiedział, że byłaś wspaniała.

Wspaniała? Cal Baker uważał, że jest wspaniała?

- Poza tym - ciągnął Tim - spodobałaś mu się na tyle, że zaproponował ci osiemset tysięcy za fabułę.

Zoe zamknęła oczy. Słońce grzało jej skórę, żar rozgrzewał serce. Nie docierał jednak do wyrwy, która powstała, gdy zabrakło obok niej Scotta.

- Osiemset tysięcy? - spytała. Czy zdoła przejść przez to samo jeszcze raz? Czy potrafi udać chłód, spokój, opanowanie, skoro jej życie wisi w próżni?

Tim wybuchnął śmiechem.

- Nie martw się. Powiedziałem mu, że nie będziemy brali pod uwagę niższych ofert niż milion.

Milion dolarów?

- Wahał się regulaminowe trzy minuty, potem wyraził zgodę.

Milion dolarów? Zoe była pewna, że zabrakło jej tchu.

- A potem powiedział mi coś, co wiem od lat - dodał Tim. Zoe zdrząła, niezdolna wydobyć z siebie głosu.

- Powiedział, że masz zadatki na gwiazdę.

Wchodząc do restauracji „DiNardo” tego wieczoru, Zoe jeszcze nie czuła się oswojona z ostatnimi wydarzeniami. Wiedziała, że zaoferowano jej rolę za milion dolarów w filmie Cala Bakera. Wystarczyło jej przekartkować scenariusz po południu, by zorientować się, że przyjmie tę propozycję. Cedar Bluff zostanie na zawsze w jej rękach, a ona znów będzie miała swą karierę i swoje życie.

Ale co warte było życie bez Scotta? Na szczęście spotkanie z Jayem Stockwellem odwracało jej uwagę. Musiała myśleć o Alissie, a nie o sobie samej, i to sprawiało jej ulgę, nawet jeśli tylko krótkotrwałą.

Stała w holu i wczuwała się w atmosferę miejsca. Była to mała restauracja z wystrojem w kolorach czerwonym, białym i zielonym. Drewnianą posadzkę zasłaniały ciasno rozstawione stoliki. Siedziały przy nich niezliczone rodziny z hałaśliwymi dziećmi. Z drewnianych belek zwisały tu i ówdzie butelki wina w wiklinowych koszykach. Na podłużnej tablicy z białego plastiku wylepiono czarnymi literami nazwy specjalności dnia. Gdyby tu przysza Alissa, czułaby odrazę do tego miejsca, pomyślała Zoe.

Podeszła do niej uśmiechnięta, przysadzista hostessa. Jeśli poznała Zoe, to zachowała się dyskretnie, nie dając tego po sobie poznać. Zoe przypomniała sobie, że w tym

miejscu gwiazdy filmowe nie są niczym niezwykłym. W każdym razie nie dla miejscowych.

Wyjaśniła, że ma się spotkać z kimś, kogo nie zna.

- Około metra osiemdziesięciu wzrostu, jasne włosy, okulary. - Pominęła milczeniem wzmiankę Alissy o seksownym ciele. - Nazywa się Jay Stockwell.

- Jay? Jasne - powiedziała hostessa. - Jest tam, w barze. - Wskazała pomieszczenie łączące się z salą jadalną.

Zoe skinęła głową z podziękowaniem i przeszła do baru. Była tam tylko jedna osoba, mężczyzna. Nie siedział jednak na wysokim stołku, lecz stał w białym fartuchu za kontuarem i mył kieliszki.

Zoe usiadła na stołku.

- Pan chyba nie jest Jayem? - spytała.

- O, jestem - odparł pogodnie. - Czym mogę służyć?

Zoe z trudem powstrzymała się od śmiechu. To miał być Jay Alissy, światowy człowiek? Alissa z pewnością nie domyślała się nawet przez chwilę, że on prowadzi bar. Gdyby przemknęło jej to przez głowę, na pewno za nic nie wysłałaby przyjaciółki na to spotkanie.

- Naprawdę jest pan Jayem Stockwellem? - spytała Zoe. Nie bardzo mogła sobie wyobrazić Alissę zakochaną w mężczyźnie, który nie ma sztywnego od krochmalu kołnierzyka i dostojnej siwizny na skroniach, chociaż według nieformalnych, liberalnych kryteriów Jay prezentował się całkiem dobrze. Żałowała, że nie przyjrzała mu się dokładniej w telewizji.

- Tak, naprawdę - powiedział wsadzając kieliszek pod bieżącą wodę i unosząc go pod światło w poszukiwaniu plamek - to nazywam się James Ellis Stockwell Czwarty. - Zerknął na Zoe. - Można się udławić, nie?

Zoe wybuchnęła śmiechem.

- Czy naprawdę jest pan Jayem Stockwellem, dziennikarzem telewizyjnym?

Odstawił kieliszek i uśmiechnął się.

- Pochlebia mi, że pani mnie poznaje - powiedział. Zoe natychmiast ujęło promieniujące od niego ciepło. - My, wyrobnicy telewizyjni, zwykle nie jesteśmy tak popularni jak gwiazdy filmowe, na przykład Zoe.

Poczuła, że się rumieni.

- I już po moim sekrecie - powiedziała cicho.

- I po moim - roześmiał się, opierając ręce o kontuar. -

Odkryła pani, w jaki sposób zachowuję zdrowie umysłu, przebywając w tym obskurnym mieście, krainie plastikowych ludzi.

Teraz Zoe nie mogła sobie wyobrazić Alissy z tym trzeźwo myślącym facetem jeszcze bardziej niż przedtem. Ani dwadzieścia cztery lata temu, ani w ogóle nigdy. Ale wspomnienie Alissy wzbudziło w niej współczucie, zaczęła snuć domysły, co dzieje się w Atlancie.

- Co sprowadza panią do naszej skromnej jadłodajni? - spytał.

- Warto raczej spytać, co sprowadza pana „skromną jadłodajnię” na Sunset Strip - odparowała, rozglądając się dookoła. Miała nadzieję, że się nie obraził, knajpka bowiem zupełnie nie przypominała eleganckich restauracji z markizami przy wejściu i grubymi dywanami w środku, które mieściły się przy tej światowej sławy alei.

- To żart z turystów - powiedział Jay, porozumiewawczo mrugając okiem. - Może pani nie uwierzy, ale zupełnie nie zwracają uwagi na rynsztunek. I tak sądzą, że skoro mamy siedzibę przy Sunset Strip, to nasza restauracyjka jest pełna gwiazd. Co nie jest prawdą. A w każdym razie nie było do dzisiejszego wieczoru.

- Czy pan powiedział „nasza restauracyjka”? Pan jest właścicielem?

- Współwłaścicielem - odrzekł. - DiNardowie są moimi starymi przyjaciółmi. Takie sosy, jak przyrządza mama DiNardo, można znaleźć tylko w Neapolu. Zachęciłem ją, żeby otworzyła ten interes.

I zapewne pomogłem sfinansować, pomyślała Zoe.

- Czy zje pani u nas dziś kolację? - spytał, wykonując sympatyczny zawijas białą ścierką do naczyń.

Ma uroczy uśmiech, pomyślała Zoe. Może właśnie dzięki temu spodobał się Alissie. Alissa. Zoe uświadomiła sobie, że ujęta wdziękiem Jaya, zapomniała na chwilę, po co tu jest.

- Przyszłam specjalnie do pana - powiedziała. - Mam do przekazania wiadomość.

- Pani ma dla mnie wiadomość? Spróbuję zgadnąć. Wytwórnia Warner Brothers uważa, że będę drugim Tomem Cruise.

Zoe wybuchnęła śmiechem.

- No tak, to znaczy że jestem trochę za stary na drugiego Toma.

Uśmiechnęła się szeroko. Jednocześnie zwróciła uwagę, że oczy Jaya, ukryte za soczewkami okularów, są intrygująco zielone. Alissa o tym nie wspomniała. Alissa. To dlatego tu przyszedłam. Alissa, Atlanta, homoseksualiści i zabójstwo. Mięśnie jej twarzy odprężyły się, uśmiech znikł.

- Rzecz w tym, że jestem przyjaciółką Alissy.

- Pani? Pani jest przyjaciółką Alissy?

Zoe nie mogła domyślić się z jego miny, czy jest zaskoczony.

- Prosiła mnie o przysługę, dlatego tu jestem.

- Teraz naprawdę sam zgadnę - powiedział Jay, unosząc pod światło kolejny kieliszek. - Ona nie przyjdzie.

- Chodzi jej o to, żeby pan nie pomyślał, że nie chciała.

Jay pokręcił głową i odstawił kieliszek na suszarkę. Zoe spostrzegła, że przestał się pięknie uśmiechać.

- Alissa robi co chce. Zawsze tak było. I prawdopodobnie zawsze będzie.

- Alissa chciała przyjść, słowo daję - powiedziała Zoe, czując się w obowiązku stanąć w obronie przyjaciółki. - Ale wynikły jej nagłe kłopoty rodzinne. Musiała dzisiaj pierwszym samolotem lecieć do Atlanty. Nie chciała telefonicznie odwoływać spotkania, więc zaofiarowałam się, że zrobię to osobiście.

Jay odstawił kieliszek na suszarkę.

- Wiadomość dotarła. Dziękuję - mruknął, nie podnosząc głowy.

Zoe wyczuła, że jest zły. A może urażony? Tak czy owak najwyraźniej jej nie wierzył.

- Mówię szczerą prawdę - powiedziała. - Sama słyszałam, jak rozmawiała przez telefon z Atlantą. - Alissa byłaby zrozpaczona, gdyby Zoe nie potrafiła przekonać Jaya. Zupenie jakby Alissie brakowało jeszcze tylko rozpaczy z powodu Jaya Stockwella.

Jay wzruszył ramionami.

- I tak nie sądzę, żeby jej się tu podobało.

- Och, myślę, że mogłoby się spodobać. Tu jest bardzo... - zawiesiła głos, szukając odpowiedniego słowa - ...urokliwie. - W duchu Zoe uznała, że również Jay jest bardzo urokliwy. Nic dziwnego, że Alissa chciała go odnaleźć. Nic dziwnego, że nigdy nie przestała go kochać.

- Urokliwie jest. Lecz Alissa zawsze wolała elegancję. Ostrygi a la Rockefeller, a nie spaghetti i klopsiki.

- Może się zmieniła.
- Może - powiedział Jay i znów się uśmiechnął. - A może nie.

- Nie widzieliście się bardzo długo.

Zakręcił kran i wytarł ręce.

- Ale pewnych rzeczy nigdy się nie zapomina.

To nie była złość, Zoe już to wiedziała. Jay Stockwell był urażony. Prawdopodobnie gryzła go zadawniona uraza. Nieuświadomiona, nie wydobyta na światło dzienne.

Eric. Usiłowała oddalić swój własny ból.

- W każdym razie - powiedział Jay - „DiNardo” jest wyłącznie restauracją dla ludzi, którzy cenią sobie dobre jedzenie podane przez prostych, wesołych Włochów. Czy jest pani zainteresowana?

Zoe nie była pewna, co Jay ma na myśli.

- Człowiek nie wie, że żyje, dopóki nie spróbuje *linguine marinara* z kuchni mamy DiNardo.

- Czy mam to traktować jako zaproszenie? - spytała.

- Zresztą dla dorosłego mężczyzny jest raczej upokarzające, kiedy kobieta wystawi go do wiatru, zwłaszcza jeśli sama występuje z inicjatywą.

Inicjatywa Alissy?

Zoe zastanawiała się, czy powinna zostać. To jest mężczyzna Alissy, miłość jej życia. Ale przecież chodziło tylko o *linguine marinara*, a Zoe była pewna, że Jay Stockwell po prostu chce się sympatycznie zachować.

Odwiesił fartuch na wieszak i wyszedł zza kontuaru.

- I co z kolacją? - spytał znowu.

Wciąż jeszcze próbowała się zdecydować, gdy do niej podszedł. Wtedy zauważyła, że Jay utyka. Zorientowała się, że ten człowiek dużo wycierpiał i prawdopodobnie nie potrzebuje dodatkowych cierpień z powodu Alissy.

Przed *linguine marinara* podano jeszcze trzy dania. Zupę. Sałatkę. Zakąskę. Zoe była zadowolona, że włożyła długą spódnicę z bawełnianej gazy i do tego długą bluzkę. Wokół talii zwisał jej swobodnie złoty łańcuch. Był to wielki plus tego stroju, bo inaczej Zoe stanowczo nie miałyby już miejsca na makaron mamy DiNardo.

- Niech mi pani opowie o Alissie - odezwał się Jay, gdy kelner przyniósł dwie piramidy jedzenia.

Zoe wbiła wzrok w talerz.

- Mogę powiedzieć, że Alissa nie byłaby zadowolona, gdyby widziała, co w tej chwili zamierzam w sobie Władować.

Jay wybuchnął śmiechem.

- Proszę się o to nie martwić. Wygląda pani znakomicie. Zoe poczuła ukłucie w sercu.

- Nie powiedziałyby pan tego cztery miesiące temu.

Jay uniósł widelec i zaatakował danie.

- Niemożliwe.

Zoe niepewnie poszła za jego przykładem i zanurzyła widelec w górze kalorii.

- Prawdę mówiąc, mój obecny wygląd jest zasługą Alissy. Ona jest wybitną specjalistką od renowacji.

- Specjalistka czy nie, straciła dzisiaj wyborny posiłek.

- Przyznaję - stwierdziła Zoe. Uśmiechnęła się, obserwując Jaya owijającego makaron wokół widelca. Intrygowało ją, dlaczego utyka. Coś podpowiedziało jej, że rozbawiłaby go, gdyby mu powiedziała, że sama też kulała przez wiele lat. Zbyt wiele.

- Więc co się stało w Atlancie? - spytał Jay. - Dlaczego Alissa straciła ten posiłek?

Zoe odłożyła widelec i wypita łyk wina.

- Pilna sprawa rodzinna.

- Mam nadzieję, że nic poważnego. - Jay również odłożył widelec. Potem pokręcił głową. - Boże - powiedział. - Tak się zaplątałem we wspomnienia wczoraj wieczorem, że nawet nie spytałem, co ona teraz robi. Czy jest mężatką? Czy ma dzieci?

Zoe zahała się.

- Tak - powiedziała w końcu. - Ma męża i dwie córki.

Jay skinął głową. Skan Anula43, przerobienie pona.

- To dobrze. Alissie potrzeba solidnego życia rodzinnego. Na nic jej włóczenie się po całej kuli ziemskiej. - Ale kiedy sięgnął po kieliszek, Zoe znowu zauważyła na jego twarzy ślad urazy.

- To dziwne - powiedziała - że jest osoba, z którą kiedyś chciało się spędzić resztę życia, i nagle człowiek uświadamia sobie, że byłby to ktoś zupełnie niewłaściwy. - Nie zamierzała powiedzieć czegoś tak bezpośredniego, jedynie poprawić samopoczucie Jayowi. Skrzyżowała nogi pod stołem. Miała nadzieję, że nie palnęła jakiejś głupoty.

- Znamy się z Alissą od lat - powiedział Jay. - Od dzieciństwa. Posiadłości naszych rodziców leżały w pobliżu. Nie będę dodawał, że oboje byliśmy rozpieszczonymi, rozpaskudzonymi bachorami.

- Na ten temat nic nie mogę powiedzieć - stwierdziła Zoe. - Moi rodzice nigdy nie mieli dość dużo, by mnie tym rozpieszczać.

- Miała pani lepszy start. Nadmiar pieniędzy u dziecka oznacza nadmiar problemów.

Przez chwilę jedli w milczeniu. Zoe zastanawiała się, czy powinna wyjawic Jayowi szczegóły tego, co stało się w domu Alissy. Czy opowiedzieć mu o aresztowaniu córki? Z pewnością znajdzie się to we wszystkich gazetach. Wtedy Zoe przypomniała sobie, że ten człowiek jest dziennikarzem. Gdyby był wcześniej w agencji, a nie na konferencji w San Francisco, mógłby zobaczyć wiadomość w serwisie.

- Alissa ma w tej chwili dość poważny kłopot.

Jay znowu odłożył widelec.

- Ach tak. Więc to poważne.

- W zasadzie to jej córka ma problem - wyjaśniła pośpiesznie.

- Co się stało?

Zoe wytarła kraciatą, biało-czerwoną serwetką kąciki ust. Nie była pewna, czy nie opada jej lewa warga.

- Wypadek - powiedziała.

Pochylił się w jej stronę.

- Wypadek?

- Jej córka przypadkowo zabiła człowieka.

- W kraksie?

- Nie, zastrzeliła.

Jay zdjął okulary i położył je na stole. Potem przetarł oczy.

- Jezu - powiedział. - Alissa musi odchodzić od zmysłów.

- Tak. Ale nic więcej nie wiem. - Nie chciała opowiedzieć mu szczegółów, nie chciała nic mówić o Robercie. - Czy wobec tego wybacza jej pan, że nie przyszła?

Jay wyczarował ten przepiękny uśmiech.

- Przykro mi, że Alissa ma kłopoty. Naprawdę mi przykro. Ale jeśli mam być z panią szczerzy, to wybaczyłem jej w chwili, gdy zgodziła się pani zjeść ze mną kolację.

Zoe odwzajemniła uśmiech. Przez chwilę bez słowa

patrzyli sobie w oczy. Nagle Zoe przypomniało się, z jakim błyskiem w oczach Alissa mówiła: "Mam wrażenie, że odnalezienie Jaya jest najwspanialszym wydarzeniem w moim życiu". Odwróciła się. Podniosła widelec, ale ponownie goodłoczyła.

- Czy pani jest mężatką, Zoe? Czy ma pani dzieci?

- Niedawno zostałam wdową - powiedziała - Mam czternastoletniego syna. A pan?

Roześmiał się.

- To nie dla mnie. Po tym, jak Alissa mnie zostawiła, postanowiłem zostać kawalerem do końca życia. Tymczasem zdążyłem się zorientować, że chciałem strzelić straszne głupstwo. Byłem o wiele za bardzo zajęty przemianami świata, żeby się wiązać, a co gorsza wiązać kobietę. Nie to, żeby nie żałował...- Zdanie zawisło w powietrzu.

A więc Jay miał w duszy ranę. Tak samo jak ona. I jak ona. I jak Meg.

- Lepiej porozmawiajmy o pani - powiedział Jay znowu pogodniejąc. Mam wrażenie, że znam panią od lat.

Wbiła wzrok w serwetę, a potem znowu spotkała spojrzenie Jaya.

- Czy to jest komplement?

Zabawnie wzruszył ramionami

- Nie. Po prostu spostrzeżenie. Prawdopodobnie wzięło się stąd, że widziałem wszystkie pani filmy

Uśmiechnęła się.

- No, ja pana też widziałam na ekranie. W wiadomościach. Czyli bilans wychodzi na zero.

- Niezupełnie. Ja widywałem filmy z panią w wielu krajach świata. Nie ma pani pojęcia, jak intrygująco pani wygląda mówiąc po japońsku.

Roześmiała się. Przyjemnie było z człowiekiem, przy którym mogła się śmiać. Siedzieć nad kolacją, rozmawiać i śmiać się.

- Czy ludzie poznają pana wszędzie tam, gdzie pan jeździ?

- Nie, wszędzie, ale, często tak bywa.

zaczął owijać makaron wokół widelca. - Wie pani, od jutra mógłbym być człowiekiem, którego nikt nie zna i też byłoby w porządku.

Zoe upiła następny łyk wina. Podobało jej się, że Jay nic sobie nie robi z tego, kim kiedyś była albo kim może jeszcze być. W każdym razie takie sprawiał wrażenie. Zresztą Jay również musiał się zmagać z zasadzkami popularności. Wspaniale czuła się w towarzystwie mężczyzny, który odnosi się do niej bez kompleksu niższości.

Alissa. To był mężczyzna Alissy.

Wzięła serwetkę z kolan i położyła ją przy talerzu.

- To cudowna kolacja - powiedziała - i bardzo miła niespodzianka. Ale powinnam już zbierać się do domu.

- Naprawdę?

Zanim Zoe zorientowała się w sytuacji, Jay wyciągnął ramię nad stolikiem i przytrzymał jej dłoń. Nie opierając się szczególnie, jeszcze raz spojrzała mu w oczy. Uśmiechał się, ale nie był to posępny, miłośno-cierpiętniczy grymas Tima Danahy'ego, lecz ciepły, szczerzy uśmiech człowieka, którego wyraźnie cieszy jej towarzystwo, mimo iż bardzo dobrze czuje się sam ze sobą.

- Nie może pani mówić, że jadła pani kolację w „DiNardo”, jeśli nie skosztuje pani zabaglione. I nie wypije filiżanki kawy z ekspresu.

Nie odezwała się. Jay skinął na kelnera.

- Peter - zawołał. - Dwie ekspresowe i jedno zabaglione z dwiema łyżeczkami. - Odwrócił się do Zoe. - Widzi pani? Teraz nie można wyjść. Deser jest zamówiony, więc wyjście w tej sytuacji byłoby sprzeczne z włoską etykietą.

Zoe roześmiała się.

- Nie jestem Włoszką, tylko Żydówką.

- I co z tego? Ja też nie jestem Włochem, tylko Anglikiem. Z czosnkiem w kościach.

Chciała, żeby cofnął rękę, którą ją trzymał, ale miała też nadzieję, że tego nie zrobi.

Kiedy kelner przyniósł maleńkie filiżanki kawy, Jay zabrał dłoń. Zoe przyglądała się, jak wyciera skórę cytrynową o krawędź filiżanki. Wzięła z niego przykład. Upiła łyk gęstej, ciemnej cieczy i natychmiast poczuła w ustach gorzki smak. Szybko odstawiła filiżankę.

Jay roześmiał się.

- Nie musi pani pić, jeśli pani nie odpowiada.

Zoe uśmiechnęła się.

- Dawno już nie piłam kawy.

Przyniesiono talerzyk z deserem. Kelner postawił go na środku stolika.

- Musi pani spróbować tego - powiedział Jay i wręczył jej łyżeczkę. - Nie jest gorzkie, słowo daję.

Zoe uniosła łyżeczkę i nabrała odrobinę z talerzyka. To coś było piankowane i delikatne, w jej ustach smakowało jak słodki biszkopt, dopiero co wyjęty z piecyka.

- Uuuu - powiedziała. - Ma pan rację. To jest wspaniałe.

- łyżeczką nabrała następną porcję. Tymczasem talerzyk zaczął służyć im obojgu. Ich łyżeczki zetknęły się i Zoe poczuła dreszczyk podniecenia. Znowu na siebie spojrzeli. Jay się uśmiechnął.

- Cieszę się, że pani smakuje - powiedział. - A teraz niech mi pani powie, co jeszcze pani lubi.

Zoe odpowiedziała uśmiechem i wzięła do ust następną łyżeczkę deseru.

- No, to sam zgadnę - powiedział. - Co pani powie na samochodową wycieczkę wzdłuż wybrzeża?

Deser stopniał jej na języku. Samochodowa wycieczka wzdłuż wybrzeża. Zrobili kiedyś coś takiego z Erikiem, zaraz po przyjeździe do Los Angeles. Z napiwków zarobionych przez Erica w knajpie kupili za gotówkę starego Volkswagena z rozkładanym dachem i obejrzeni zapierające dech w piersiach krajobrazy. Marzyli wtedy, mieli dużo nadziei i niewinne serca. To było piękne wspomnienie. Ale tylko tyle: wspomnienie. Przeszłość.

- Dawno tam nie byłam - odpowiedziała Jayowi.

- Więc może jutro? Mam wolny dzień, a nie wydaje mi się, żeby czekało mnie coś pilniejszego.

Splotła dłonie na podołku. Sprawy toczyły się bardzo szybko. Za szybko. A jednak...

Alissa, pomyślała. Scott. Eric. Scenariusz za milion dolarów, leżący w gabinecie.

- Bardzo chętnie bym pojechała, Jay, ale wie pan...

- Ciekawe, dlaczego przeczuwałem, że będzie jakieś „ale”? - jęknął.

Zoe parsknęła śmiechem.

- Ale mam akurat okropny natłok wydarzeń w życiu.

- Tym bardziej jest to powód, żeby wybrać się na wycieczkę wzdłuż wybrzeża. Odświeżyć się trochę i w ogóle. -

Mrugnął do niej porozumiewawczo, ale nie arogancko, przyjaźnie, nie z naciskiem.

Ale przecież Alissa kochała tego mężczyznę. Kochała kiedyś, może kocha nadal. Czy nie dość już ma kłopotów?

- Jay - powiedziała, skrępowana tym, że restauracyjny gwar nagle ucichł. - Spędziłam dzisiaj z tobą bardzo miły wieczór. Nigdy nie będziesz wiedział, jak bardzo było mi przyjemnie. - Wypiła łyk wody. - Chętnie jeszcze spotkałabym się z tobą, ale czułabym się niełojalna.

Położył serwetkę na stole i wbił w nią wzrok, jakby czytał scenariusz.

- Z powodu Alissy?

Skinęła głową.

Jay złożył serwetkę w trójkąt, potem znowu ją rozłożył.

- Posłuchaj, Zoe. Nie wiem, jak to powiedzieć. Alisse i mnie łączy historia. Uczciwie mówiąc jednak, właśnie historia. W jakiś dziwny sposób czuję się z Alissą związany żywym wspomnieniem lat dorastania.

Żywe wspomnienie lat dorastania. Jak Eric.

- A jeśli uczucia Alissy są inne?

Jay się uśmiechnął.

- Jestem pewien, że będą takie same, jeśli tylko Alissa naprawdę to przemyśli. - Znowu złożył serwetkę w trójkąt.

- Może i masz rację - usłyszała Zoe słowa płynące z jej własnych ust. - Ta wycieczka wzdłuż wybrzeża na pewno będzie wspianała.

Skinął głową i uśmiechnął się. W tej chwili Zoe uzmysłowiła sobie, że *co* do jednego Alissa miała rację: Jay Stockwell był kompletnie niepodobny do Erica Matthews.

Następnego ranka Zoe zbudziła się ze świadomością tego, co ma do zrobienia. Zanim przyjedzie po nią Jay, zanim Marisol wróci z Monterey, zanim ktokolwiek zdąży wyrzucić na nią jakikolwiek wpływ, musi odzyskać władzę nad swoim życiem.

Usiadła na tarasie, popijając herbatę. Coś w związku z Jayem sprawiało, że mogła pogodzić się z sobą. Choć to samo coś mogło sprowadzić na nią kłopot, któremu na imię Alissa. Ale mimo iż w młodości Jay i Alissa byli ze sobą, Zoe sądziła, że dla Jaya ten związek od dawna stanowi zamknięty rozdział. Żywił jeszcze urazę, miał wspomnienia młodzieńczej miłości, to było jasne. Zoe też miała wspo-

mnienia młodzieńczej miłości do Erica. I wcale nie miłosne wspomnienia też.

Wiedziała jednak, że czas przejąć odpowiedzialność za swoje życie. Musiała przestać winić w duszy innych ludzi za to, co mogło się stać, powinno się stać, za to, co się stało albo nie stało. Zanim zdążyła głębiej rozważyć tę sprawę, odstawiła kubek, weszła do wnętrza domu i podniosła słuchawkę telefonu. Rozległy się dwa dzwonki, potem głos Erica.

- Chcę porozmawiać z synem - zażądała. - Zaraz.
- Bawi się na dworze z innymi dziećmi.
- Zawołaj go.

Nastąpiła pauza, potem Zoe usłyszała, jak Eric odkłada słuchawkę gdzieś na bok. Czekając, zdała sobie sprawę, że nie czuje gwałtownego bicia serca ani wyścigowego tętna. Wreszcie panują nad swoim życiem, pomyślała. Naprawdę panuję.

- Mama?
- Scott - powiedziała słysząc, że głos jej drży tylko odrobinę. - Dość już tego. Chcę, żebyś wrócił do domu. Dzisiaj. Zarezerwuję ci miejsce w samolocie, który odlatuje o wpół do siódmej wieczorem z Minneapolis. Bilet odbierzesz na lotnisku.

Nie odezwał się.

- Słyszałeś mnie?
- Tak, mamo. Słyszałem.

Nie mogła wywnioskować z brzmienia jego głosu, czy jest bliski płaczu, ma ochotę na nią wrzasnąć czy zamierza trzasnąć słuchawką o widełki.

- Lot o wpół do siódmej, Scott. Każę Ericowi odwieźć cię na lotnisko. Daj go teraz z powrotem do telefonu.

Znowu nastąpiła pauza, potem odezwał się Scott.

- Mamo?
- Słucham. - Serce zaczęło jej bić nieco mocniej.
- Dzięki.

Usłyszała stuk w słuchawce. Ścisnęło ją za gardło, łzy napłynęły jej do oczu. Dzięki. Powiedział „dzięki”.

- Co tam, Zoe? - To był znowu Eric. Serce znów jej się uspokoiło.

- Odwieszysz dzisiaj Scotta na samolot do Los Angeles o szóstej trzydzieści. Rozumiesz?

- Już ci mówiłem, Zoe, że nie jestem głupi. Ale zapomi-

nasz o jednym. Twój syn napisał ci w liście, że jeśli zmusisz go do powrotu, *to* opowie dziennikarzom o mnie. O nas.

- Jeśli porozmawiasz ze Scottem, to zobaczysz, że po prostu zmienił zdanie. - Spojrzała na taras. Siedziała tam Marisol, odwrócona plecami do szklanych drzwi. Zoe wiedziała jednak, że Marisol słyszy każde słowo. Wiedziała, że przyjaciółka jest z niej dumna.

- On może zmienił zdanie - powiedział Eric. - Ale ja nie. Zaczęła zęby.

- O czym ty mówisz?

- Słyszysz. Może Scott niczego dziennikarzom nie opowie, ale ja to zrobię. Jest moim synem tak samo jak twoim. Zdaje się, że o tym zapominasz.

- Ty sukinsynu. - Podniosła głos. - Odszedłbyś, nawet gdybyś wiedział, że jestem w ciąży.

Eric milczał przez chwilę, potem westchnął.

- Dobrze wiedziałem, Zoe. - Odebrało jej dech. - Wiedziałem, że dziecko zrujnowałoby ci karierę - ciągnął dalej. - Uznałem, że się na sto procent wyskrobiesz. Nawet mi się nie śniło, że się machniesz za Williama albo w ogóle za kogokolwiek. A o dziecku nigdy nie marzyłaś, dobrze to wiem.

Zoe głośno wciągnęła powietrze.

- Myślałeś, że pójde na zabieg? - Nie wierzyła własnym uszom. - Ze zabiję nasze dziecko?

- Wiedziałem, jak bardzo pragniesz zrobić karierę. Wiedziałem, że jesteś dobra. A ja? - Głos mu się załamał. - Ja mogłem być mężem wielkiej Zoe. Byłbym bardzo biedny. I ty też. Postąpiłem tak, jak uważałem, że będzie najlepiej.

Zamknęła oczy i wzięła głęboki oddech, głęboki, uspokajający oddech.

- Skoro nawet nie wiedziałeś o urodzeniu Scotta, to dlaczego zachciałeś chłopca teraz?

Zapadło ciężkie milczenie.

- Bo jest moim synem, Zoe. Naszym synem. I dlatego, że to mi się od ciebie należy.

Wzięła jeszcze jeden oddech, potem pomyślała o Jayu, o jego swobodnym, dodającym otuchy zachowaniu. Wtedy otworzyła oczy i wypowiedziała słowa, które dojrzewały w niej od lat, które niosły ciężar prawdy i odpłaty. Czekwały w jej wnętrzu na jednego, tego właśnie człowieka.

- Więc o to chodzi, prawda? To nie ma nic wspólnego

z dzieckiem... ze Scottem. Chodzi o ciebie i o mnie. Prawda jest taka, że nigdy nie wybaczyłeś mi sukcesu. Nigdy nie wybaczyłeś mi tego, że zostałam gwiazdą.

Napięcie rośnie.

- To dawne dzieje, Zoe. Ale przysięgam - powiedziała Eric ścisząc głos do wściekłego szeptu - że jeśli spróbujesz skłonić Scotta do wyjazdu, to powiadomię prasę.

Przed oczy nasunęła jej się wizja chwili, gdy siedziała na krawędzi basenu, dumając o Alissie i Scotcie. Czy naprawdę liczy się, co ktoś tam sobie wyobraża? Czy nadal miała żyć w strachu przed tym, co wszyscy pomyślą? I kto to, do cholery, są „wszyscy”? I czy ona tych wszystkich choć odrobinę obchodzi?

Eric powiedział, że ich przeszłość to dawne dzieje. Miał rację. A ona była znużona władzą przeszłości nad swym życiem.

- Powiadamiaj, kogo chcesz - powiedziała. - Nic mnie to nie obchodzi. Masz dziś wieczorem wsadzić Scotta do samolotu, bo inaczej będziesz miał w domu tyłu facetów z FBI, co pcheł na twoim psie. O ile wiem, za kidnaperstwo można dostać karę śmierci.

Rozdział osiemnasty

Meg stała pośrodku wielkiej garderoby, sortując ubrania. Jeden stos dla Armii Zbawienia, drugi na śmietnik. Jeszcze nie podjęła decyzji, jak spędzi resztę życia, a przynajmniej następny jego etap, ale sortowanie ubrań stanowiło doraźny sposób na oczyszczenie się z przeszłości. Rozpocząła proces, który mógł, czego się obawiała, potrwać długo. Należało zdystansować się do dóbr materialnych, dotąd gromadzonych przez nią bez umiaru, zajmujących w jej życiu miejsce miłości. Wciąż zdarzało jej się myśleć o Stevenie, nie tak często jak przedtem, ale jednak. Tyle że coś się zmieniło, bo gdy teraz Steven przychodził jej na myśl, wydawało jej się, że był tylko snem, zjawą nadziei, duchem miłości. Nie wiedziała, czy jeszcze spotka w życiu kogoś takiego jak Steven, żywiła jedynie nadzieję, że nie będzie więcej Rogerów Barrettów ani innych przelotnych związków, pustych i nie dających satysfakcji.

Raggedy Man wmaszerował statecznym krokiem do garderoby. Wspiął się po jednym stosie ubrań na drugi, wyciągnął przednie łapy, wygiął grzbiet i ziewnął.

- Co, też uważasz tak jak ja, że to potwornie nudne? - spytała Meg schylając się, by pogłodzić kocie futro. - Przeszkadza ci, że nie wychodzę codziennie do pracy? Zajęłam ci miejsce? - Podrapała go za uszami i czekała na

pomruk, który niechybnie musiał nastąpić. Raggedy Man był zbyt pewny siebie, za bardzo traktował jej miłość jako coś oczywistego, by okazywać, że potrzebuje czy pragnie od niej demonstrowania uczuć. Nagle Meg usłyszała dzwonek. Upłynęła dobra chwila, nim zorientowała się, że ktoś dzwoni do drzwi. Był to rzadki i niezwykajny dźwięk w jej prywatnym królestwie.

Dzwonek odezwał się ponownie. Westchnęła i nogą odsunęła na bok stertę ubrań. Pewnie ktoś chce spytać o jakiegoś człowieka, którego nie znała, albo sprzedający niepotrzebne jej rzeczy.

Był to jednak Danny.

- Witaj - powiedział radośnie i wszedł za próg. - Akurat przechodziłem...

- No, tym razem przynajmniej skorzystałeś z dzwonka. - Meg uśmiechnęła się i zamknęła za nim drzwi. Zastanawiała się, czy kiedykolwiek znajdzie drugiego takiego kumpla jak Danny, bez względu na to, jak się potoczą jej losy.

Danny zainstalował się w gabinecie, wśród gór papierów i kartonów z książkami, które Meg zaczęła selekcjonować, układać, pakować - pozostałości zamkniętego rozdziału w jej życiu musiały ustąpić miejsca temu, co dopiero nadejdzie. Meg wiedziała, że Danny nigdy nie miał melodii do przesiadywania w salonach. Twierdził, że są zbyt oficjalne, niesympatyczne. Za bardzo przypominały mu lata wymuszonego milczenia w domu apodyktycznej babki, gdzie cały czas miano go na oku, ale nikt go nie słuchał. Nigdy więcej Danny nie podał żadnej informacji o swej rodzinie, a Meg nie dopytywała się, woląc zamiast tego utrzymywać nie wytyczone oficjalnie granice, powstrzymujące ich przed wzajemnym ingerowaniem w sfery prywatności.

Siedząc przed Dannym na podłodze, Meg wyrównywała stertę papieru.

- Jeszcze nie mogę uwierzyć, że to zrobiłaś - powiedział.

- Ja tylko odeszłam z kancelarii, Danny. Człowiekowi dochodzącemu czterdziestki trudno uznać zmianę zajęcia za coś nowego. Albo szokującego.

- No, jeśli ktoś ma plany, to nie.

- Na razie wiem tylko tyle, że czymkolwiek się zajmę, będę to robić na moich warunkach i brać te sprawy, na które mam ochotę, a nie te, które mi wpychają starsi

wspólnicy. - Przesunęła stertę na bok. - Chcę mieć teraz spokojne życie, Danny. Ciche.

- No, robiąc w tym miejscu to, co teraz robisz, rzeczywiście masz sporo ciszy.

Zadzwoił telefon.

Meg uśmiechnęła się.

- Do dzisiaj miałam. - Sięgnęła po słuchawkę.

- Meg. - Było to stwierdzenie, nie pytanie. - Boże, Meg. Telefonowałam do twojej kancelarii. Powiedzieli, że już tam nie pracujesz.

Głos był kobiecy, ale Meg nie mogła go skojarzyć.

- Kto mówi?

- To ja, Alissa.

- A. - Spojrzała na Danny'ego i przewróciła oczami. - Jak się miewasz, Alisso?

- Jak się miewam? Naprawdę pytasz, jak się miewam? Nie czytasz gazet?

Meg parsknęła śmiechem.

- Staram się nie czytać.

- No, więc jeśli przeczytasz dzisiejsze poranne gazety, to się dowiesz. Był wypadek. Zginął człowiek.

- Jaki wypadek? - Meg natychmiast przypomniała sobie o Candace Riley. Danny oparł łokcie na kolanach i pochylił się do przodu. - I kto nie żyje?

Słuchała uważnie, jak Alissa wylewa z siebie całą historię. Na szczęście nie miało to nic wspólnego z Candace. Nic wspólnego ze Stevenem. Córka Alissy, Natalie, wróciła do domu z randki. Zaskoczyła włamywacza w bibliotece. Złapała pistolet, który zawsze leżał w szufladzie biurka. Intruz chwycił za pogrzebacz. Natalie przeraziła się i wtedy pistolet przypadkiem wystrzelił.

- Czy ktoś oprócz niej był w tym czasie w domu?

- Mój mąż. Spał na górze. Jeszcze dochodzi do zdrowia po operacji. Mojej drugiej córki nie było, a Dolores i Howard niczego nie słyszeli. Nigdy niczego nie słyszą.

Ostrożnie stawiając następne pytanie, spoglądała na Danny'ego.

- Czy jesteś pewna, że właśnie to się stało?

- A cóż to za pytanie? Oczywiście, że jestem pewna. Różne rzeczy można mojej córce zarzucić, ale nie jest ani kłamczucha, ani morderczynią.

Morderstwo? Meg przygryzła wargę.

- Czy córka ma dobrego adwokata? - spytała. Nauczyła się już dawno, że najlepiej zachowywać obiektywizm, nie radzić niczego w sprawie, o której nie ma się żadnych danych.

- Będzie miała.

- To dobrze - powiedziała Meg, myśląc: „Bardzo jej się przyda”. Nie było świadków. Zostawało słowo Natalie przeciwko oskarżeniu.

- Będzie miała ciebie - powiedziała Alissa.

Meg miała wrażenie, że się przesłuszała.

- Proszę?

- Chcę, żebyś broniła moją córkę.

Meg spojrzała na Danny'ego i zrobiła złą minę. Danny wstał i zaczął przechadzać się po pokoju. Wiedziała, że swędzi go, by dowiedzieć się, co mówi Alissa.

- Posłuchaj, Alisso - odezwała się powoli. - Czy twojej córce postawiono jakieś zarzuty?

- Jeszcze nie. Ale przy nadgorliwości policji nie potrwa to długo.

- Adwokat powinien być obecny przy przesłuchaniu.

- Pamiętam Perry'ego Masona, Meg. Nie jestem taka głupia.

- Więc lepiej postaraj się o prawnika. Szybko.

- O ile sobie przypominam, Atlanta leży tylko o dwie godziny lotu od Nowego Jorku.

- Alisso - Meg zaczęła ostrożnie dobierać słowa. - Wiesz już, że odeszłam z kancelarii. Ale nie wiesz, że przestałam się zajmować prawem karnym.

- Nie mów mi takich rzeczy. Nie mam zamiaru słuchać.

- To prawda, Alisso. Ale jestem pewna, że mogę ci polecić kogoś na twoim terenie...

- Nie chcę nikogo z mojego zasranego terenu! Znam ich wszystkich, co do jednego. Te dupki dbają tylko o własną reputację i o to, jak wiele zdobędą rozgłosu.

Meg uśmiechnęła się słysząc lekceważenie w głosie Alissy. Była zadowolona, że odbywają tę rozmowę przez telefon, a nie twarzą w twarz. Danny przystanął obok niej i usiadł na krawędzi biurka. Meg nie chciała na niego patrzeć, bała się, że wybuchnie głośnym śmiechem.

- Alisso - odparła. - Bardzo chciałabym ci pomóc. Ale jak już powiedziałam, przestałam się zajmować prawem karnym.

- Myślę, że zmienisz zdanie.
- Nie zmienię.
- Nawet gdyby miało to oznaczać, że dziennikarze czegoś się o tobie dowiedzą?

Meg poczuła zimny dreszcz biegnący po kręgosłupie.

- O czym ty mówisz?
- O tobie, Meg. Czy jest ci całkiem obojętne, że dziennikarze dowiedzą się o tobie... i senatorze Stevenie Rileyu?

Meg wyciągnęła rękę i chwyciła Danny'ego za ramię.

- Alisso, nie wiesz...
- Tu się mylisz, Meg. Dobrze wiem. Wiem wszystko o tobie i senatorze. Był żonaty, kiedy mieliście romans, i nadal jest żonaty. - Prychnęła wymuszonym, pogardliwym śmiechem. - Jego żona ma akurat trochę własnych kłopotów, prawda? Zdaje się, że oboje dostarczyliby prasie dużo radości.

- Alisso - powiedziała Meg - to jest szantaż.

Danny zerwał się z biurka i usiłował wyrwać słuchawkę z dłoni Meg. Cofnęła się i mocno zacisnęła rękę.

- Nazwij to jak chcesz, kochana, ale tak wygląda układ. Pomożesz mojej córce, bo inaczej ciebie i twojego drogiego kochanka obsmarują na całym świecie.

Meg potrzebowała dwóch kieliszków wina, żeby przestać się trząść.

- Ona mówi poważnie, Danny - stwierdziła. - Ta dziwka to zrobi.

- Nie mówi poważnie, Meg. Jest przerażona. To był jedyny sposób, jaki umiała wymyślić, żeby osiągnąć cel. Taka już jest Alissa.

- Jezu, Danny. Czyją ty stronę trzymasz?

Pokręcił głową.

- Nie jej. Ale ją rozumiem. Rozumiem, skąd się to bierze, i mówię ci, że Alissa jest przerażona.

Meg potarła kark. Trudno jej było uwierzyć, że zaledwie godzinę wcześniej spokojnie sortowała ubrania, rozważając możliwości, jakie będzie miała w nowym życiu. Teraz, ponieważ córka jej przyjaciółki, która tak naprawdę wcale nie była przyjaciółką, znalazła się w opałach, Meg poczuła nachodzący ją z wolna pesymizm co do własnej przyszłości.

- Powiedziała, że „wypadek” opisano w porannych gazetach. Widziałeś? - spytała.

- Nie, nic takiego nie zwróciło mojej uwagi. Prawdopodobnie do Nowego Jorku wiadomość dotrze dopiero jutro. Zresztą jeśli dziewczyna zabiła w obronie własnej, nie będzie szczególnego poruszenia.

Meg przygryzła wargę, myśląc o tym, co właśnie powiedział Danny.

- Coś mi tutaj nie pasuje. Alissa powiedziała, że jej córka nie jest morderczynią. Dlaczego w ogóle użyła tego słowa, jeśli wszystko jest takie proste?

Danny wzruszył ramionami.

- Stawiam na skłonność twojej przyjaciółki do przesadnych reakcji.

- Hm, nie słyszałeś nacisku w jej głosie, kiedy to mówiła.

- Nalała sobie jeszcze kieliszek wina, z nadzieją, że znieczuli ją tak samo jak dwa poprzednie. - I po co ten szantaż? Trudno uznać, że zabójstwo w obronie własnej jest dostatecznym motywem. - Bez pośpiechu pociągnęła łyk wina. - I dlaczego ja?

- Co zamierzasz?

Meg znowu zaczęła drżeć.

- Muszę zatelefonować do Stevena. Muszę go ostrzec.

- Czy to znaczy, że nie zamierzasz jej pomóc?

- Nawet gdybym zamierzała, to dlaczego sądzisz, że Alissa nie skorzysta kiedy indziej z tego, co wie? To jest szantaż, Danny. Szantażyści zachowują swą wiedzę na chwilę, kiedy będzie im potrzebna.

- A ja ci mówię, że tu wcale nie chodzi o szantaż. Ona jest po prostu cholernie spłoszona.

Obyś miał rację.

Danny znów zaczął przemierzać gabinet.

- Jeśli chcesz jej pomóc, wlicz mnie do zespołu.

- To znaczy?

- Powiedziałem, żebyś wliczyła mnie do zespołu. Może powinniśmy przynajmniej tam jechać. Odgrzebać parę faktów.

Meg wybuchnęła śmiechem.

- Czy mówisz tak dlatego, że chcesz mi pomóc, czy znowu zobaczyć Alisnę?

Danny oparł się o półkę z książkami i założył ramiona na piersi.

- Powiedziałem, że pomogę. I o to mi chodzi.

Meg wzięła głęboki oddech i szybko wypuściła powietrze.

- Muszę zadzwonić do Stevena. - Pokręciła głową. - Zastrzelcie mnie, ale nie mam pojęcia, skąd ona się dowiedziała.

- Ludzie pokroju Alissy umieją się dowiadywać różnych rzeczy. Ale tym razem może nie wyszło aż tak źle.

- Co masz na myśli?

- Przynajmniej dała ci dobry pretekst, żebyś mogła zadzwonić do swojego chłopaka.

- Wiesz co, Danny? Mam wrażenie, że w głębi serca ty naprawdę lubisz Alisnę.

- Powiedzmy, że ją rozumiem.

- To wszystko?

- Aha. Poza tym ona nie jest mną zainteresowana. Ostatnio, kiedy się widzieliśmy, uciekła ode mnie, jakbym ją poszczuł psami. - Ruszył do drzwi, ale po drodze przystanął. - O, cholera - powiedział głośno.

- Cholera?

Odwrócił się z powrotem do Meg.

- Mój pokój w hotelu. W Atlancie. Musiałem zatelefonować. - Wrócił do gabinetu i usiadł. - Cholera. Moja babka...

- Jak to twoja babka?

Danny skinął głową i dłonią przeczesał włosy.

- Złamała sobie kość biodrową.

- Boże, Danny. Nie miałam nawet pojęcia, że ona żyje.

Danny zmarszczył czoło.

- Zaszyła się w swoim domisku na północy stanu, nad Hudson. Ona mnie wychowywała.

Meg poczuła się zbita z tropu.

- Co wspólnego ma twoja babka z Alisną?

Znowu wstał i nerwowo przeszedł kilka kroków.

- Z Alisną nic. Z tobą. I Stevenem. Kiedy widziałem się z Alisną w Atlancie, poszedłem do sypialni zadzwonić do szpitala. Sprawdzić, co z babką. Zostawiłem w drugim pokoju aktówkę. I Alisnę.

- I?

- I w aktówce miałem teczkę z wycinkami dotyczącymi żony senatora. O wypadku samochodowym. W notatkach najwidoczniej było także twoje nazwisko.

Meg odstawiła kieliszek i przyglądała się, jak powierzchnia bladożółtego płynu kołysze się od gwałtownego ruchu.

- A Alissa poczęstowała się teczką i złożyła informacje do kupy.

Danny skinął głową.

- Na to wygląda.

Gapiła się w kieliszek, póki ciecz nie znieruchomiła.

- Czyli to prawda - stwierdziła. - Alissa naprawdę wie.

Danny znowu usiadł.

- Boże, Meg. Bardzo cię przepraszam. Chciałem ci pomóc.

Sekretarka powiedziała, że senator wyszedł na lunch. Meg zostawiła wiadomość, że sprawa jest pilna, odłożyła słuchawkę i powiedziała Danny'emu, że będą w kontakcie. Po wyjściu Danny'ego opadła na sofę w gabinecie i mając kłębowisko myśli w głowie, wlepiła wzrok w aparat telefoniczny. Zadzwońże, do diabła.

Kiedy istotnie zadzwonił w półtorej godziny później, Meg podskoczyła, jakby postrzelił ją snajper. Głos Stevensa brzmiał niepewnie, ostrożnie, jakby rozmawiał ze współniczką i nigdy nie było między nimi żadnej zażyłości. Meg powoli opowiedziała mu całą historię. Kiedy skończyła, nastąpiła chwila milczenia. Potem Steven powiedział:

- Jak ona się dowiedziała?

Meg pomyślała o Danny'm. Jej przyjacielu, który tylko próbował jej pomóc.

- Nie mam zielonego pojęcia - odparła.

- Mniejsza o to. Ona wie i nie ma sensu temu zaprzeczać.

- Ależ Steven, jeśli dziennikarze wywęszą...

- Jeśli wywęszą, to wywęszą. Nie mam nic do ukrycia.

- Co ty mówisz?

- Posłuchaj, Meg. Wiele zrobiłem, odkąd się widzieliśmy. - Na chwilę przerwał. Usłyszała coś jakby śmieszek. - Prawdę mówiąc, więcej zrobiłem, mniej myślałem. Odszedłem od Candace. Wystąpiłem o rozwód.

Meg siedziała absolutnie nieruchomo, usiłując strawić jego słowa. Ale coś z ich znaczenia nie mogło do niej dotrzeć, jakby bała się w nie uwierzyć.

- Sympatia opinii publicznej prawdopodobnie nie będzie po mojej stronie, więc chyba będę musiał skończyć z polityką - ciągnął Steven. - Ale może powrót do praktyki adwokata nie jest najgorszym pomysłem.

Meg przycisnęła dłoń do skroni. Łapała powietrze krótkimi, urywanymi oddechami.

- Jeśli chcesz bronić przyjaciółkę - mówił dalej Steven

- powinnaś ją bronić, bo to znaczy, że chcesz jej pomóc. Ale nie rób tego po to, żeby mnie chronić.

Chronić go? Czy tego właśnie próbowała? Oczywiście, że tak. Pojęła to nagle. Podobnie jak próbowała go chronić, kiedy zdecydowała się przerwać ciążę, jak próbowała go chronić przed nią samą... i przed nieudanym życiem, jakie mógł przez nią mieć. Ochrona. Ale jakim kosztem?

Wzięła głęboki oddech.

- Zdaniem mojego przyjaciela ona nam nie zaszkodzi. Po prostu jest przerażona.

Steven odezwał się po chwili milczenia:

- Miałem zapytać, jak dobrze ją znasz, ale uświadomiłem sobie, że nawet gdy we własnym mniemaniu dobrze kogoś znamy, to w rzeczywistości nigdy tak nie jest.

Wiedziała, że mówi o niej. Usiłował jej powiedzieć, że nie rozumie, dlaczego od niego odeszła - dwa razy. Nie zdawał sobie jednak sprawy z tego, że w rzeczywistości również Meg go nie znała, gdyż w głębi serca nigdy nie wierzyła, że opuści żonę, że odważy się zaryzykować własną karierę. Nigdy nie wierzyła, bo za bardzo obawiała się, że będzie przez to cierpieć. Nie, nie obawiała się, była przerażona. Pomyślała o Alissie. Może Danny miał rację. Może ona naprawdę była tylko przerażona. Cholernie przerażona.

- Muszę to jeszcze przemyśleć - powiedziała Meg. - Wiesz, odeszłam z kancelarii. Postanowiłam skończyć z prawem karnym.

- Nie - powiedział cicho. - Nie wiedziałem. - Nie wyraził tego słowami, ale w jego głosie usłyszała zaskoczenie. - Co zamierzasz zrobić?

Meg uprzytomniła sobie nagle, że głupio jest nie mieć konkretnych planów. Czyżby podjęła niedojrzałą decyzję? Czy nie za bardzo się pośpieszyła? Poczwała, że jest bliska płaczu. Zupełnie jakby zgubiła się w ciemnościach i nie miała żadnego światła, które pomogłoby jej trafić do wyjścia.

- Jeszcze nie wiem tak na pewno - powiedziała. - Może zajmę się prawem rodzinnym. Problematyką kobiet.

Steven milczał przez chwilę.

- To dobrze, Meg. Zawsze uważałem, że lepiej się nadajesz na aktywistkę niż na barrakudę.

Meg powstrzymała się od komentarza. Była za bardzo zdziwiona, że Steven mimo wszystko tak dobrze ją rozumie.

- Dasz mi znać, co będzie dalej? - spytał. - Nie tylko z twoją przyjaciółką, lecz i z tobą? Opowiesz, jak sobie dajesz radę?

Meg przygryzła wargę.

- Tak - powiedziała cicho. - Oczywiście.

Odłożyła słuchawkę i położyła się na sofie. Czuła nadchodzące łzy. Nigdy w życiu nie zaznała takiej samotności. Nie miała nikogo, kto by ją kochał, nie miała pracy, która by zajęła jej uwagę. Przez całe życie bała się odrzucenia. Teraz była wyrzutkiem. Ciekawe, czy zadziałało samospełniające się proroctwo, sprowokowane fatum. Najbardziej na świecie Meg pragnęła w tej chwili polecieć prosto do Waszyngtonu i rzucić się Stevenowi w ramiona. Potrzebna jej była czyjaś troska. Przerazenie. Tak, Alissa była przerażona. I ona też jest. Gnębiły ją zagubienie, pustka i przeraźliwe osamotnienie. Tępy ból, który pulsował jej w skroni, wkrótce rozpełzł się po całym ciele. Pierwszy raz w życiu Meg dopuściła do siebie lęk. Lęk, którego nie mogła zamaskować studiowaniem dokumentów, czytaniem ani pracą nad wszystkimi możliwymi sprawami świata. Wiedziała bowiem, że jeśli wreszcie nie dopuści do siebie lęku, nigdy w życiu nie stawi mu czoła. A powinna była to zrobić już dawno.

Trzy tysiące kilometrów dalej Zoe i Jay stali na tarasie Cedar Bluff, przyglądając się porannemu słońcu. Ostatnią noc spędzili razem, kochali się aż do świtu. Kiedy Zoe zgłosiła sprzeciw, mówiąc, że „są za starzy na takie rzeczy”, Jay wyczarował swój przepiękny uśmiech i powiedział: „Ależ miła pani, mamy mnóstwo lat do nadrobienia”. Teraz Jay otaczał ją ramieniem.

- Jesteś świetna, Zoe. Uratowałaś taki wspianiały dom. Hop, i znowu robisz karierę. Prawdziwa z ciebie kobieta lat dziewięćdziesiątych.

Zoe uśmiechnęła się.

- Nie bardzo. Raczej kobieta lat siedemdziesiątych, która stara się dotrzymać kroku czasom.

Jay objął ją.

- W każdym razie uważam, że to wspianiałe, co robisz. Większość kobiet nawet nie spróbowałyby. Szczególnie tych samotnych. - Oparł podbródek na jej ramieniu. - Ale jedno muszę wiedzieć. Na ile jesteś elastyczna?

Zoe oderwała się od niego i spojrzała za soczewki okularów, w jego zielone oczy, którym ufała bez wahania, choć znała ich posiadacza od zaledwie paru dni. Włosy Jaya powiewały we wszystkie możliwe strony, słońce wtapiało się w jego uśmiech.

- A cóż to za pytanie?

Ujął ją za rękę.

- Muszę wyjechać na parę tygodni. Do Korei Południowej.

- Co to ma wspólnego z moją elastycznością?

Jay wzruszył ramionami, potem spojrzał na kanion.

- Chyba chcę się upewnić, że wciąż tu będziesz, kiedy wrócę.

Przytuliła się mocniej.

- Będę tutaj, Jay. No, może nie tutaj. Mogę akurat kręcić nowy film, ale wrócę.

- I nie znajdziesz sobie tymczasem innego faceta, prawda?

Zoe parsknęła śmiechem. Wtuliła twarz w marynarkę khaki, wdychając cudowny zapach mężczyzny.

- Żarty sobie stroisz? Będę za bardzo zajęta uczeniem się roli.

- Oj, teraz robisz się za łatwo dostępna. Nie wiesz, że w tę grę tak się nie gra?

- W jaką grę?

- Chłopak spotyka dziewczynę. Inaczej mówiąc, w miłość.

Miłość. Pierwszy raz Jay wspomniał to słowo. Zoe cofnęła się o krok, nadal trzymając jego dłoń, i uważnie mu się przyjrzała.

- Czy to *to*? - spytała. - Miłość?

Znowu obdarzył ją tym cudownym, ciepłym uśmiechem małego chłopca.

- Diabli wiedzą. Ale coś tu się dzieje. Wczoraj poszedłem do pracy z uśmiechem na ustach. Boże, ja. Człowiek, który specjalizuje się w chwytaniu widzów za serce, w posępnych minach, wyciąganiu na jaw ciemnych stron życia. I ja się teraz uśmiecham. A co gorsza, zaczynam gwizdać.

Zoe nie mogła powstrzymać śmiechu. Właśnie wtedy z pokoju dziennego dobiegło ich pogwizdywanie. Spojrzeli po sobie i wybuchnęli śmiechem. Na tarasie ukazał się Scott.

- Co jest takie śmieszne?
- Gwiżdżesz - powiedział Jay.
- No pewnie, czemu nie?

Zoe rozpromieniła się na widok syna. Wspaniale było mieć go znowu w domu. Tak powinno być. Podobnie jak ona, Scott polubił Jaya od pierwszej chwili.

- Scott! - rozległ się głos Marisol z kuchni. - Szoruj tutaj i daj matce spokój.

Chłopak przewrócił oczami i z powrotem dał nura do domu. Zoe znów wsparła się na ramieniu Jaya.

- Szczęśliwa? - spytał.

Zamknęła oczy i nasłuchiwała dźwięku rytmicznego oddechu Jaya, mieszającego się z porannym śpiewem ptaków. Zastanawiała się, jak to możliwe, że ma wrażenie, iż zna tego człowieka całe życie, jakby, nie wiedząc o tym, zawsze na niego czekała. Podniosła powieki i znów spojrzała Jayowi w oczy. Czuła się przy nim kobietą pod każdym względem - duchowo, uczuciowo i fizycznie - bardziej niż przy jakimkolwiek innym mężczyźnie do tej pory. Nie wiedziała, czy długo będą razem, postanowiła jednak zatrzymać te chwile, te uczucia w aksamitnym pudełeczku pamięci. I kiedy znowu zacznie się obłęd gwiazdorstwa, a Tim Danahy i Cal Baker zapewniali ją, że zacznie się już wkrótce, na zawsze pozostanie jej wspomnienie tego poranku pełnego spokoju, tego niezwykłego czasu, w którym bardzo kochała i była bardzo kochana. Zamknęła oczy, upajając się dotykiem obejmującego ją ramienia Jaya, poddając się głosowi jego serca.

- Tak - powiedziała. - Bardzo szczęśliwa.

Kiedy samolot położył się na skrzydło, kołując przed lądowaniem w Atlancie, Meg ujęła Danny'ego za rękę.

- Naprawdę jesteś moim aniołem stróżem, wiesz?

Danny parsknął śmiechem

- Już mnie nazywano gorzej. Zdziwiał mnie to, że lecimy na pomoc kobiecie, u której oboje wyraźnie dostrzegamy brak piątej kleпки.

Meg uwolniła dłoń i wsunęła magazyn, który dotąd trzymała na kolanach, do kieszeni fotela przed sobą.

- Powiedziałaś, że ona jest przerażona, Danny. Chyba masz rację. A przerażony człowiek czuje straszne osamotnienie.

- Czy jesteś przerażona, Meg?
- Nie z powodu Alissy. Nie mam nic do stracenia.
- Przecież masz. Stevena, jeśli go chcesz.
- Steven odmienia swoje życie. Ja też. Może któregoś dnia zejdziemy się znowu, kiedy oboje będziemy wiedzieć, czego chcemy, i skończymy z obawami. - Słyszała swoje słowa, ale w nie nie wierzyła.

Danny wsunął się głębiej w fotel.

- Wszyscy mają obawy, Meg.

Roześmiała się.

- Chcesz powiedzieć, że ty też?

Uśmiechnął się i wziął ją za rękę.

- Cieszę się, że mam takiego przyjaciela - powiedział. - Cieszę się, że nigdy nie romansowaliśmy ze sobą.

Meg wyrzała przez iluminator.

- Już byłoby po wszystkim.

Leciutko uściśnął jej dłoń, zaraz jednak ją puścił.

- Wiem.

Meg znowu odwróciła ku niemu głowę.

- Opowiedz mi o swojej rodzinie - poprosiła. Przekroczyła granicę prywatności, po tylu latach obudziła się w niej bowiem ciekawość, jakie życie miał Danny. Może dlatego, że w końcu bez zahamowań dzieliła się własnymi sekretami. W każdym razie niektórymi. - Czy wychowywali cię dziadkowie?

Danny skinął głową.

- Mój dziadek mnóstwo podróżował. Był specjalistą od handlu winem. Kiedy musiał być w domu, cały czas spędzał w szklarniach. Przy orchideach.

- Ach, orchidee. Więc stąd się wzięła twoja pasja.

- Miałem wrażenie, że dziadek poświęca im tyle czasu, bo jest to dla niego jedyny sposób, by znieść małżeństwo z babką. Ja też jej nie mogłem znieść.

- Dlaczego?

Zapaliły się ostrzegawcze światełka, nakazujące zapiąć pasy. Danny przycisnął guzik i jego fotel wrócił do pionu.

- Była piekielnie uciążliwa. Wciąż jest. Chyba zawsze myślała, że pieniądze dają jej prawo do takiego przywileju.

- Jest bogata?

- Bardzo. A po śmierci dziadka kilka lat temu jeszcze się wzbogaciła, chociaż dziadek przekazał też funduszowi po-wierniczemu pokazać sumę dla mnie.

- Dla ciebie? Mój Boże! Czyli jesteś jednym z tych niezależnych, bogatych typów, którzy żyją z procentów? - Ukryła twarz w dłoniach. - No, nie. Strasznie mnie rozczarowałeś!

Danny się roześmiał.

- Zawsze byłem, Meg. Matka też zostawiła mi pieniądze zainwestowane w fundusz powierniczy.

Meg przestała żartować. Oderwała dłonie od twarzy i zajęła je skubaniem zalutowanej na stałe metalowej popielniczki na poręczy między nimi.

- Kim byli twoi rodzice?

Danny przez chwilę milczał.

- Ojciec zginął w Korei. Nigdy go nie znałem. Matka umarła, gdy miałem siedem lat.

Położyła dłoń na jego dłoni.

- To straszne. Pamiętasz ją?

- Jasne. Była piękna i zajęta, zawsze zajęta. Prawdziwa dama z towarzystwa, dokładnie według wymagań babki. Ale za dużo paliła i piła za dużo szampana. Była co prawdą córką swojej matki, ale zdaje mi się, że nigdy nie czuła się swobodnie w tej roli.

Meg opadła na oparcie fotela.

- To dlatego nie masz cierpliwości do bogatych kobiet?

Danny wzruszył ramionami.

- A co z Alisą? Czy sądzisz, że też nie czuje się swobodna w swojej roli?

Danny zastanawiał się przez chwilę.

- Powiedzmy raczej, że moim zdaniem nie widzimy w niej wszystkiego. Poza tym, może rzeczywiście nigdy nie dostała szansy, żeby być osobą, którą mogłaby się stać.

- No, kiedyś wyraźnie nią była. Z Jayem Stockwellem.

- Była za młoda. Za bardzo przerażona.

- Teraz znowu jest przerażona. - Meg wyjrzała przez iluminator, zobaczyła, że ulice i budynki rosną w oczach. - Co się stało z twoją matką, Danny?

Samolot zaczął opadać w kierunku pasa.

- Też była za bardzo przerażona - powiedział cicho. - Dlatego się zabiła.

Myślałam, że nigdy tu nie doleciecie - powiedziała Alisą, otwierając przed nimi frontowe drzwi.

Meg zignorowała gest gospodyni, nakazujący iść za nią.

- Zanim wejdziemy do środka - stwierdziła - musimy o czymś porozmawiać.

Alissa odwróciła się.

- O pieniądzach? Z tym raczej nie będzie kłopotu.

- Nie o pieniądzach. O szantażu. Z racji swego zawodu jestem jednocześnie urzędnikiem sądowym. Mogłabym cię aresztować.

Alissa spojrzała na Danny'ego, potem znowu na Meg.

- Mówisz poważnie, prawda?

- Całkiem poważnie.

Alissa wyduła wargi i skinęła głową.

- Czy chodzi ci o przeprosiny? No, więc dobrze, bardzo przepraszam. - Westchnęła i przyłożyła dłoń do czoła. - Jezu, Meg, jestem w rozpacz. Nie widzisz tego?

- Coś ci jeszcze powiem, Alisso. Porozmawiam z twoją córką. Zobaczę, czy będę mogła pomóc. Czy chcę pomóc. Ale jeśli jeszcze kiedyś się zdarzy, że w mojej obecności choćby wspomnisz o Stevenie Rileyu, to wtedy ty będziesz miała kłopoty.

Alissa wpatrywała się w nią przez chwilę, po czym skinęła głową.

- Rozumiem - powiedziała cicho.

Kiedy przekraczali próg, Danny dotknął łokcia Meg.

- Pyszne wejście, pani mecenas. - Mrugnął powieką.

Natalie nie aresztowano, chociaż groźba wisiała w powietrzu. Meg i Danny siedzieli na osiemnastowiecznych krzesłach w stylu królowej Anny w salonie Alissy - długim, podobnym do sali muzealnej pokoju, wypełnionym meblami z ciemnego wiśniowego drewna, obrazami dziewiętnastowiecznych pejzażystów i niewielkimi rzeźbami z brązu. Robert i Natalie siedzieli naprzeciwko, na wiktoriańskiej sofie. Alissa ustawiła się przy wielkim marmurowym kominku, przybierając pozę niezłomnej matrony. Michele, jak twierdziła Alissa, czuła się zbyt upokorzona całym zajściem, by chciała uczestniczyć w spotkaniu.

- Zanim zgodzę się zająć tą sprawą, Natalie, muszę zadać ci kilka pytań - powiedziała Meg.

- Powiedziałaś mi, co się stało - ostro wtrąciła Alissa. - To był wypadek. Ale nawet jeśli nie, to w najgorszym razie można to nazwać obroną własną.

Meg nie zwróciła uwagi na Alissę.

Natalie wykręcała dłonie, trzymane na podołku. Była piękną dziewczyną, z ciemnymi włosami po ojcu, lecz zarazem jasną cerą i przenikliwymi niebieskimi oczami matki. Jak na potencjalną oskarżoną w sądzie miała jednak o wiele za ostry makijaż oraz zdecydowanie za obcisłą i za krótką spódnicę, by móc zaskarbić sobie sympatię przysięgłych. Meg zapamiętała, że należy to radykalnie zmienić, w razie gdyby miało dojść do procesu.

- Było tak, jak mówi matka - stwierdziła w końcu Natalie cichym, wystraszonym głosem, który bardzo kłócił się z agresywnym wyglądem zewnętrznym. - Złapałam za pistolet, żeby go przestraszyć. Kiedy podniósł pogrzebacz, sama się przestraszyłam. Pistolet wystrzelił. - Opuściła spojrzenie na granatowo-kasztanowy orientalny dywan. - Nigdy przedtem nie strzelałam z żadnej broni. Nawet nie trzymałam pistoletu w ręce.

Robert odchylił głowę na oparcie sofy i gapił się w sufit.

Danny skrzyżował nogi i ścierał sobie z butów ślad jakiegoś draśnięcia.

Alissa zaczęła bębnić paznokciami o pięknie rzeźbiony gzyms kominka.

- Czy ktoś ma pojęcie, w jaki sposób ofiara dostała się do domu? Czy to było włamanie?

- Tak - skwapliwie potwierdził Robert. - Derek wszedł przez ogrodowe drzwi do biblioteki. Stłukł szybę, potem najwyraźniej sięgnął dłonią do środka i otworzył zasuwkę.

- Czy pan słyszał jakiś hałas, doktorze?

- Spałem.

Alissa odezwała się ostrym tonem:

- Dlaczego zadajesz te wszystkie pytania? Brzmi to, jakbyś nam nie wierzyła.

Meg nie zwróciła na nią uwagi, tylko ciągnęła swoje.

- Czy w domu nie ma systemu alarmowego?

- Nie - odparł Robert. - Dom pochodzi z lat pięćdziesiątych. Nigdy nie kazaliśmy instalować zabezpieczeń.

Meg zrobiła jakąś notatkę, ukrywając zaskoczenie. Dom tych rozmiarów? Z tak kosztownym wyposażeniem? Może Atlanta była bezpieczniejsza od Nowego Jorku? Może ludzie tutaj nie są tak paranoidalni.

Danny rozkrzyżował nogi i przesunął się na przód krzesła. Meg uznała, że jego następnym posunięciem będzie

wizyta w bibliotece i sprawdzenie wersji o włamaniu. Spojrzała na Alissę.

- Ciebie nie było w domu?

Alissa utkwiała spojrzenie w Dannym, potem zwróciła się do Meg.

- Nie. Byłam w Los Angeles.

Kącikiem oka Meg bardziej wyczuła, niż dostrzegła, jak Danny krzyżuje wzrok z Alissą. Najwyraźniej wiedział coś na ten temat. Co robiła Alissa w Los Angeles? - zastanawiała się Meg. Czy Danny naprawdę coś o tym wie? Danny, pomyślała Meg. Alissa. Z jej danych wynikało, że jest tylko jedno ogniwo łączące: Jay Stockwell. Danny, zdaje się, wspominał, że znalazł Jaya Stockwella w Los Angeles. Tak musiało być. Alissa spotkała się z Jayem Stockwellem, a w tym czasie jej córka zastrzeliła człowieka.

Rozległ się dzwonek u drzwi. Zebrani popatrzyli po sobie. Z holu dobiegły ciche, stłumione odgłosy, a po chwili gospodyni Alissy wprowadziła do pokoju dwóch mężczyzn. Błyszeli otwartymi płaskimi portfelami i podali się za policjantów.

- Chcielibyśmy trochę się rozejrzeć, jeśli nie mają państwo nic przeciwko temu.

Meg wstała.

- Przepraszam, panowie. Nazywam się Meg Cooper. Jestem adwokatem. Czego panowie szukają?

Jeden z przybyłych westchnął i sięgnął do kieszeni na piersi. Wyciągnął stamtąd dokument.

- Tak, pani mecenas - powiedział znużonym tonem. - Mamy nakaz rewizji. - Drugi policjant omiatał wzrokiem salon.

- Czego znowu szukacie? - warknęła Alissa, zakładając ramiona na piersi. - Mam już was po uszy, szwendacie mi się po całym domu.

- Dowodu, proszę pani - odparł mężczyzna, który zdawał się ważniejszy. - Mamy wstępne wyniki sekcji, są tam pewne niezgodności, które musimy wyjaśnić.

Meg natychmiast zauważyła, że cała trójka Page'ów - Alissa, Robert i Natalie - skamieniała. Ich ramiona i głowy całkiem znieruchomiały. Miało się wrażenie, że żadne z nich nawet nie mruga.

- Jakie niezgodności? - spytała Meg.

- Przede wszystkim, w ciele ofiary jest rana po wylocie

kuli, która przebiła płuca. Nasi ludzie nie znaleźli kuli w bibliotece. Musimy ponownie sprawdzić.

Danny wstał i strzepnął nogawki dżinsów, by zakryły krawędzie butów sięgających mu do kostek. Meg wiedziała, że jeśli został jeszcze jakiś nie odnaleziony dowód, Danny będzie chciał osobiście przyjrzeć się pracy policjantów. Wyszedł za nimi z pokoju, zostawiając Meg sam na sam z trójką skrajnie zaniepokojonych członków rodziny Page'ów, którzy bez wątpienia coś ukrywali.

Alissa przeszła przez pokój i pociągnęła za sznur od dzwonka.

- Nie wiem, jak reszcie, ale mnie dobrze zrobiłoby coś do picia - oznajmiła.

Minęła prawie godzina, nim Danny wrócił z policjantami do salonu. Od razu z progu posłał Meg spojrzenie, z którego zrozumiała, że wyniknął jakiś duży kłopot. Dowodzący policjant podszedł do Natalie i stanął przed dziewczyną.

- Chyba czas na małą wycieczkę do miasta - powiedział.

Alissa odgrodziła policjanta od Natalie.

- To nonsens - zaprotestowała. - Moja córka nigdzie nie idzie.

Policjant sięgnął do kieszeni spodni i wyciągnął pęk kluczy. Podrzucił go i z powrotem chwycił.

- Jeszcze nie wiemy, co dokładnie tutaj się stało - powiedział spokojnie - ale jedno wiemy na pewno. - Znowu podrzucił klucze, niweczając efekt lodowatego spojrzenia Alissy. - Wszyscy państwo kłamią. Czas dokopać się do prawdy.

- Czy panowie aresztują moją córkę? - spytała Alissa, podsuwając twarz niemal pod sam nos policjanta. Meg miała wrażenie, że policjant zaraz się wzdrygnie, Wyczuwszy jej alkoholowy oddech. Ale nie zrobił tego.

- Zabieramy ją tylko na formalne przesłuchanie - wyjaśnił chłodno. - Może pani jechać z nami, proszę bardzo. Oczywiście jej adwokat także - dodał, zwracając twarz ku Meg.

Siedzieli przy podłużnym drewnianym stole w sali przesłuchań - Meg, Danny, Natalie, Alissa i Robert. Czekali, aż dołączą do nich policjanci.

- Musicie powiedzieć mi prawdę - usiłowała przekonywać Meg, chociaż znając trochę Alisnę nie była pewna, czy jest to w ogóle możliwe. Ludzie pokroju Alissy zajmowali szare strefy życia, ich sylwetki rysowały się trochę mgliście, nie zawsze byli tym, za kogo lub co ich uważano. Dla takich ludzi prawda była czasem wygodna, a czasem nie. Toteż bez względu na to, ile współczucia miał Danny dla Alissy i ile zrozumienia dla jej nieszczęsnego stylu życia, Meg miała do siebie duże pretensje, że pozwoliła się wmanewrować w tę historię. Należało liczyć się z tym, że kłamstwo będzie gonić za kłamstwem. A gdyby Natalie aresztowano, z dużego rozgłosu zrobiłby się olbrzymi. W ostatecznym rozrachunku bogatym jednak zawsze jakoś udaje się przeżyć. Przede wszystkim dlatego Meg szukała azylu w Golden Key, dlatego postanowiła rzucić prawo karne. Splotła ręce na stole i spojrzała prosto na Alisnę.

- Prędzej czy później policja wykryje prawdę - powiedziała znużonym głosem. - Wtedy sytuacja Natalie tylko się pogorszy.

Robert i Natalie wymienili szybkie spojrzenia, a potem oboje popatrzyli na Alisnę.

- To był wypadek - powiedziała Alissa. - Taka jest prawda i nic poza tym nie ma znaczenia.

Meg westchnęła i poprawiła się na krześle. Cokolwiek Page'owie ukrywali, musiało to w końcu wyjść na jaw. Zastanawiała się, czy starczy jej cierpliwości, żeby dotrzeć do końca.

Danny wstał.

- Idę sprawdzić, czy pozwolą mi zerknąć na protokół z sekcji.

Meg nie spytała dlaczego. Wiedziała, że Danny musi mieć swoje powody.

Spędziła wyjątkowo irytujące pół godziny, przyglądając się, jak matka z córką w napięciu toczą pojedynek na spojrzenia, a Robert siedzi w milczeniu z załamanyymi rękami i spuszczoną głową. Światowej sławy lekarz naukowiec okazuje się całkiem bezradny we władzy agresywnych kobiet, pomyślała Meg. Może dlatego tak wsławił się swoją pracą, że był to jedyny aspekt życia, nad którym panował.

Drzwi do pokoju otworzyły się i w szparze ukazała się głowa Danny'ego.

- Mogłabyś tu przyjść, Meg?

Z ulgą umknęła od rodziny Page'ów. Kiedy znalazła się na korytarzu, Danny zamknął za nią drzwi. Stali tam również dwaj policjanci i jeszcze jeden starszy mężczyzna, którego Danny przedstawił jako kapitana.

- Mamy kłopoty - powiedział Danny. - Znaleźliśmy kulę, która zabiła ofiarę.

Meg skinęła głową.

- Ale nie w bibliotece. Tkwiła w ścianie sypialni, przy łóżku.

Meg zmarszczyła czoło.

Odezwał się kapitan:

- Najwyraźniej jest to sypialnia doktora Page'a. W szafie leżą jego ubrania i prywatne rzeczy.

Meg znowu spojrzała na Danny'ego. Włamywacz zabity w sypialni Roberta? Chciała spytać Danny'ego, co to jego zdaniem znaczy, wiedziała jednak dobrze, że nie wolno jej o nic pytać ani snuć żadnych domysłów w obecności policji. Nie leżało to w interesie jej klientki. Westchnęła więc tylko, pierwszy raz godząc się z myślą, że Natalie naprawdę jest jej klientką.

- Mamy jeszcze coś - podjął kapitan. - Obecny tu pani kolega, Gordon, spytał, jak ofiara była ubrana. Ten mężczyzna nie miał na sobie dżinsów i bawełnianej koszulki ani stroju, który mógłby sugerować rabunek na głodzie, gdyby na przykład facet był narkomanem czy kimś takim. - Kapitan zmrużył oczy, linie na jego wysokim czole zamieniły się w bruzdy. - Ofiara była ubrana w garnitur. Włoski. Kosztowna przyjemność. Były też zauważalne ślady niedawnego golenia. Wygląda na to, że ten człowiek planował wieczór w mieście, a nie włamanie. Sprawdziliśmy już, co o nim wiadomo. Rodziny nie ma. Pan Gordon nalegał jednak, żebyśmy jeszcze poszperali. Odkryliśmy dzięki temu, że przed dwoma laty denat pracował jako laborant u doktora Page'a.

Meg nie była w stanie dłużej zachować milczenia.

- Rozżalony były pracownik?

Policjanci prychnęli pogardliwym śmieszkiem. Kapitan spojrzał na Danny'ego.

- Niech pan jej powie.

Danny odchrząknął i uniósł kartkę, żeby Meg mogła przeczytać.

- Protokół sekcji. Zgodnie z tym, co tu napisano, ofiara

miała ostatnio... - urwał i przesunął wzrokiem po trzech policjantach, po czym znowu spojrzął na Meg - ...wytrysk. Oboje wiemy, że niekiedy w chwili śmierci dochodzi do wydzielania płynów ustrojowych, testy wykazały jednak, że ofiara miała orgazm przed śmiercią.

Meg wytrzeszczyła na niego oczy.,

- Najwyraźniej było mu dobrze, zanim go zabito.

- Miał seks z Natalie? - spytała Meg.

Danny pokręcił głową.

- Nie z Natalie - powiedziała. - Bardziej prawdopodobne, że z Robertem.

Kapitan pokręcił głową.

- Tyle razy słyszę o pedziach, a i tak zawsze czuję obrzydzenie.

Meg przestąpiła z nogi na nogę.

- Jesteś pewny, Danny?

- Absolutnie. - Spojrzął na dokument. - To daje też odpowiedzi na wiele pytań.

Meg nie musiała pytać. Wiedziała, że Danny nie mówi teraz o zabójstwie. Miał na myśli Alisnę, jej nieszczęście i rozpaczliwe poszukiwanie Jaya Stockwella. Wzięła protokół do ręki, a Danny tymczasem wyjaśnił resztę. Potem oboje wrócili do sali przesłuchań. Cisnęła protokół na stół.

- Dobra, kochani, mówcie prawdę. Robercie, czy Derek był pana kochankiem?

Robertowi opadła szczeka. Natalie wbiła wzrok w podłogę. Alissa zbieleła na twarzy.

- Dwa lata temu - ciągnęła Meg - Derek Lyons przeszedł badania na obecność wirusa HIV. Pan prowadził te badania, Robercie. Wiedział pan, że wynik był pozytywny.

Alissa głośno zaczerpnęła oddech. Robert ukrył twarz w dłoniach.

- Jak oni się tego dowiedzieli? - spytał.

- Strażnik z laboratorium - powiedział Danny.

- Dickson - mruknęła Alissa. - Wiedziałam, że to dupek. Zapadła męcząca cisza. Wreszcie Robert westchnął.

- Wprowadźcie policję - powiedział cicho. - Chcę złożyć zeznanie.

Meg drgnęła.

- Nie doradzam.

Robert lekceważąco machnął ręką.

- Nie potrzebuję rad. Chcę mieć to za sobą.

Meg skinęła głową Danny'emu, który otworzył drzwi i dał znak policjantom, żeby weszli.

Kiedy drzwi ponownie się zamknęły, Robert utkwiał wzrok w Dannym.

- Jak Dickson się dowiedział? - spytał.

Danny spojrzał na jednego z policjantów. Ten spojrzał na kapitana. Kapitan skinął głową. Policjant znów spojrzał na Roberta.

- Poznał zdjęcie Dereka z czasów, kiedy tu pracował. Derek powiedział mu wtedy, że pan prowadzi jego testy. Potem powiedział mu też o wyniku.

Jedynym odgłosem słyszalnym w pokoju był chrapliwy oddech kapitana.

- Ty sukinsynu - syknęła Alissa. - Nie mogę uwierzyć, że rznąłeś faceta chorego na AIDS.

- Byliśmy ostrożni - odparł. - Może się zdziwisz, ale nie jestem całkiem nieodpowiedzialny.

Kapitan podszedł do okna. Reszta stała nieruchomo, nie patrząc na Alissę i Roberta, nie patrząc na siebie. Meg potarła kark zastanawiając się, czy policjanci, skazani na świadczenie temu rodzinnemu kryzysowi, czują się tak samo niezręcznie jak ona. Kapitan kaszlnął.

- Strażnik powiedział nam też, że Derek zwolnił się z pracy wkrótce po otrzymaniu wyników testu, ale przez pewien czas kręcił się jeszcze po laboratorium.

Robert skinął głową.

- Przychodził na leczenie.

- Strażnik powiedział też, że Derek jeździł nowym samochodem. I że przeprowadził się do nowego mieszkania. - Obrócił się tyłem do okna i spojrzał na Roberta. - Czy pan mu to kupił, doktorze Page? Czy pan utrzymywał Dereka Lyonsa?

Robert nie odpowiedział.

- Rany boskie - powiedziała Alissa, zerwała się z krzesła i opuściła salę. Danny wolno wstał i wyszedł za nią.

Kapitan przysunął się do końca stołu. Położył dłonie na krawędzi i pochylił się do przodu. Rękawy miał podwinęte, twarz stanowczą.

- Teraz niech pan nam powie, doktorze Page, co naprawdę zdarzyło się tamtego wieczoru.

Meg słuchała, jak Robert Hamilton Page cicho opowiada całą tę smutną historię. Derek i Robert byli kochankami od

trzech lat. Z pozytywnym wynikiem testu Derek nie miał gdzie się podziąć. Robert był jego jedynym przyjacielem i chciał, żeby Derek dożył do końca bez kłopotów i z poczuciem finansowego bezpieczeństwa. Przecież go kochał.

Meg przyglądała się zeznającemu mężowi Alissy i zastanawiała nad jego spokojem. Doszła do wniosku, że jest to bardzo silny człowiek, który strasznie cierpiał.

Po operacji Robert i Derek nie mogli się spotkać, póki Alissa nie pojechała do Los Angeles. Wtedy Derek przyjechał do domu Page'a. Natalie była gdzieś z chłopakiem. Wróciła do domu wcześniej i poszła sprawdzić, jak się czuje ojciec. Gdy była pod drzwiami jego sypialni - Robert przerwał w tym miejscu, musiał zaczerpnąć oddech - usłyszała dziwne odgłosy.

W tym momencie Meg spojrzała na Natalie. Łzy zabarwione tuszem bezgłośnie płynęły po twarzy dziewczyny.

- Wpadła w panikę - powiedział Robert. - Myślała, że dzieje się coś złego.

Natalie uniosła głowę.

- Usłyszałam czyjś głos. Myślałam, że on robi ci krzywdę, tato.

Robert skinął głową.

- Wiem, kochanie.

Kapitan odwrócił się do Natalie.

- O tym, co stało się potem, chciałbym teraz usłyszeć od pani. Prawdę.

Natalie otarła łzy.

- Zeszłam do biblioteki i znalazłam pistolet. Potem wróciłam do sypialni taty. Wszystko stało się tak szybko. Oni leżeli razem w łóżku. - Natalie urwała i przygryzła paznokcie. - Derek mnie zobaczył. Wskoczył z łóżka i próbował odebrać mi broń. Pistolet wystrzelił.

Meg wpatrywała się w oczy Natalie. Wydawały się nieobecne, jak w transie, jakby słowa, które Natalie wypowiadała, były wyćwiczone.

- Niezła próba - powiedział kapitan.

Natalie gapiła się w podłogę, nie podnosząc wzroku.

- Oni wcale nie leżeli w łóżku, co?

Nie odpowiedziała.

- Gdyby naprawdę leżeli - ciągnął kapitan - Derek Lyons nie byłby całkiem ubrany. We włoski garnitur. Kula przebiła mu ubranie.

Natalie łkała z twarzą ukrytą w dłoniach.

- Kapitanie - odezwał się Robert. - Ja to wyjaśnię. - Wziął głęboki oddech i powoli wypuścił powietrze. - Derek siedział na krawędzi łóżka, a ja... - znowu urwał, tym razem zamknął oczy - ...ja klęczałem przed nim na podłodze.

Kapitan zmarszczył czoło. Wyraźnie nie rozumie, pomyślała Meg. Ona jednak rozumiała. Spojrzała na Natalie. Dziewczyna miała głowę nisko spuszczoną, włosy zasłaniały jej twarz. Mój Boże, pomyślała Meg, jak to dziecko będzie mogło kiedykolwiek być takie samo jak przedtem.

- To się nazywa *fellatio* - powiedział Robert, potem podniósł powieki i z niezwykłą dla siebie ostrością w głosie dodał: - Jeśli pan nie rozumie, co to słowo znaczy, niech pan sprawdzi w słowniku.

Kapitan odwrócił się od zebranych i podszedł do okna.

- Byłem zwrócony plecami do drzwi - podjął Robert. - Natalie zobaczyła Dereka, zanim zobaczyła mnie. Derek trzymał mi ręce na głowie. Moja córka zapewne myślała, że próbuje mnie udusić.

Natalie wybuchnęła głośnym płaczem.

- Wtedy rzuciła się do niego. Wywiązała się walka. I pistolet wystrzelił.

Kapitan obserwował widok z okna.

- A kiedy go zastrzeliła, oboje państwo przenieśliście ciało na dół. Do biblioteki. Żeby wyglądało tak, jakby do domu dostał się włamywacz.

- Głupio postąpiliśmy, wiem - powiedział Robert.

- A mimo to oczekujecie, że wam uwierzymy - ciągnął kapitan. - We wszystko.

Meg spojrzała na Roberta, ujrzała mękę na jego twarzy, gdy przeniósł wzrok z kapitana na córkę. Przez chwilę, która wydawała się nieskończenie długa, nikt nie zabierał głosu. W końcu Natalie wolno uniosła głowę.

- Mam zadrapanie - powiedziała, wyciągając ramię. - Ślad po tym, jak próbował mnie powstrzymać.

Kapitan zawahał się, potem obrócił się i podszedł do miejsca, w którym siedziała Natalie. Uniósł jej ramię i przyjrzał się skaleczeniu.

Wypadek, pomyślała Meg. Zdarzenia z pewnością potoczyły się tak, jak Robert i Natalie opowiedzieli, w ostatniej wersji. Meg wiedziała też, że Natalie będzie musiała podać się testom na obecność wirusa HIV. Należało spraw-

dzić, czy Derek jej nie zaraził, chociaż prawdopodobieństwo było bardzo małe.

Kapitan spojrzał wściekle.

- Po co było tyle kłamać, jeśli to wszystko prawda?

Robert wyprostował się na krześle.

- To był mój pomysł - powiedział. - Chciałem uchronić Alisę. I dziewczęta. Uchronić przed skandalem, przed famą, że ich ojciec jest niczym więcej jak... - urwał - ...pedziem jebaką.

Natalie zerwała się na równe nogi, odpychając krzesło, i podeszła do ojca. Pochyliwszy się, objęła go. Przytuleni do siebie płakali.

A Meg stwierdziła, że próby chronienia kogokolwiek - żon, mężów, dzieci, nawet kochanków - przed problemami lub cierpieniem, kończą się jeszcze większym bólem. Wzięła do ręki teczkę i spojrzała na kapitana.

- Myślę, że czeka nas papierkowa robota - powiedziała.

Rozdział dziewiętnasty

Co wyście mi narobili, ludzie? - Michele stała przed Alissą i Dannym, wsparta pod biodra, z gniewnie błyskającymi oczami. Alissa wiedziała, że Michele dopuszczała myśl o obejrzeniu posterunku policji od środka jedynie w przypadku, gdyby wiązało się to z organizacją balu dobroczynnego.

- My, ludzie... - powiedziała Alissa, obserwując w lustrze odbicie swego własnego ja sprzed dwudziestu czterech lat, bo tak musiała wyglądać, kiedy puściła kantem Jaya - ...nic złego ci nie zrobiliśmy.

- Zrujnowaliście mi życie. Całkowicie zrujnowaliście. Chyba nie sądzicie naprawdę, że David będzie chciał teraz się ze mną ożenić, co? A nawet gdyby, to rodzina nigdy mu nie pozwoli.

- I dobrze. To jest kawał osła.

- Mamo! Jak mogłaś? - wykrzyknęła. - David jest najlepszą partią w tym mieście, dobrze o tym wiesz.

Alissa odwróciła głowę.

- Twój ojciec też był najlepszą partią.

Michele pociągnęła nosem.

- To nieuczciwe, mamo. Nic z tego nie jest uczciwe. Nie wiem nawet, po co mam tam iść. Niczego nie zrobiłam.

- Zwykła rutynowa czynność - wyjaśnił Danny. - Policja

musi przesłuchać wszystkich ludzi, którzy mogli znajdować się w domu.

- Powiedziałam im, że mnie nie było! Czy mi nie wierzą? Boże, to jest takie upokarzające!

Alissa westchnęła.

- Dla nikogo z nas to nie jest piknik.

Michele prychnęła gniewnie i poprawiła kokardę we włosach.

- Ale to oni są w to zamieszani, mamo. Natalie zastrzeliła tego człowieka, ojca... jak go tam nazwać. To oni są zamieszani, nie ja. Boże, jak my będziemy mogli pokazać się na balu?

Zanim Alissa zdążyła odpowiedzieć, ukazał się policjant.

- Michele Page? Proszę bardzo, jesteśmy gotowi.

* Michele strzeliła w matkę piorunującym spojrzeniem, pociągnęła nosem i odmaszerowała z policjantami.

Alissa zwróciła się do Danny'ego:

- Dzieci są kurewsko egoistyczne. Szkoda, że nigdy nie miałeś dzieci.

Danny wybuchnął śmiechem.

- Najgorsze, że Michele jest zupełnie taka sama jak ja kiedyś - dodała Alissa. Siedziała nieruchomo na długiej drewnianej ławie, patrząc śladem córki znikającej w głębi korytarza. - Taka byłam. Lubiłam ją elegancko ubrać i gdzieś się z nią pokazać. Podobało mi się, że uwielbia, kiedy ją podziwiają, ubóstwia chodzić na przyjęcia i potrafi zawsze poznać fałszywkę, czy to sztuczny diament, czy podróbkę francuskich perfum. Że interesuje ją, kto jest najlepszym dostawcą w mieście i że nauczyła się, jakie zakąski pasują na cocktail party, a jakie do obiadu. Podobało mi się to, Danny. Podobało mi się, że mam małego sobowtóra.

Założyła ręce na piersi i zaczęła rozcierać sobie ramiona.

- Ale przez ostatnie kilka tygodni zrozumiałam, jakie to płytkie. Nie dość, że płytkie, to jeszcze bezwzględne. Mam wrażenie, że świetnie się spisałam w tworzeniu sobowtóra.

Danny położył sobie stopę na kolanie drugiej nogi i przesunął dłoń po wysokim bucie.

- Chyba masz za mało wiary w siebie, Alisso. Jesteś silną kobietą. Nie ma w tym nic złego.

Alissa wstała i podeszła do tablicy ogłoszeniowej. Usiłu-

jąc rozpędzie poczucie słabości i bezradności, które miała zawsze, gdy znajdowała się w jednym pokoju z Dannym, oddała się studiowaniu wypisanych drobnym drukiem regulaminów i rozkazów, a także ogłoszeń dotyczących najbardziej poszukiwanych przestępców z całego kraju. Zaraz jednak odwróciła się z powrotem do tego rozczochranego i wrażliwego faceta w niebieskim dżinsie.

- Mylisz się, Danny - powiedziała. - Nie jestem silna. Gdybym była, odeszłabym od Roberta wiele lat temu. I nic by się nie stało. Tamten człowiek żyłby nadal, a moja rodzina nie byłaby w opałach. Co prawda nie wiedziałam, że Robert jest gejem, ale zdawałam sobie sprawę z jego skoków w bok. Wszystko jedno, czy bywał z kobietami, czy mężczyznami, prawda jest taka, że nasze małżeństwo opierało się na pozorach i niewierności, najpierw jego, potem mojej. - Wróciła do ławy i usiadła. - Nie trzeba mieć siły, by pozostać w małżeństwie z mężczyzną mającym górę pieniędzy i duże możliwości. Robi się to ze strachu przed niezależnością.

Danny zrobił domek z palców. Alisę zastanowiło, czy gdyby ją dotknął, poczułaby na skórze twardość jego odcisków.

- Myślałem, że masz swoje pieniądze - powiedział.

- Tylko połowę tego, co mamy razem. - Nie mogła uwierzyć, że głośno mówi coś takiego. Przyznała, że utrzymywała małżeństwo z Robertem tylko dla pieniędzy, dla prestiżu bycia doktorową Page. Taka była jednak prawda, a Alissa przypuszczała, że Danny i tak ją zna.

- Co zamierzasz teraz robić?

Wzruszyła ramionami. Wyciągnęła z torebki paczkę papierosów, wytrząsnęła jednego i zapaliła.

- Wiele zależy od tego, co stanie się z Natalie. - Popatrzyła, gdzie stoi popielniczka. Jej wzrok przykuł znak zabraniający palenia.

- Z Natalie wszystko dobrze się skończy - powiedział Danny. - Moim zdaniem policja uzna to za wypadek i nawet nie dojdzie do procesu. Sprawdzą pod paznokciami ofiary, czy są ślady naskórka. Jeśli byłyby to naskórek Natalie, wskazywałoby to na walkę. Wtedy jej wersja i weryfikacja Roberta znajdą potwierdzenie.

Alissa zadrżała i głęboko zaciągnęła się dymem.

- Mam nadzieję, że się nie mylisz. I że Natalie przejdzie

to jak najłatwiej i najmniej boleśnie. Ale nie możemy być tego pewni, tym bardziej że twoja dziewczyna, Meg, prawdopodobnie wypnie się na mnie.

- Ona nie jest moją dziewczyną, Alisso. Jesteśmy przyjaciółmi, to wszystko. A ty przecież próbowałaś ją szantażować. Jeezu!

Alissa zignorowała sierżanta siedzącego za biurkiem, który raz po raz wędrował spojrzeniem od znaku zabraniającego palenia do obłoczka dymu unoszącego się z koniuszka jej papierosa.* Uśmiechnęła się.

- Tak. Uważałam, że to z mojej strony bardzo zręczne posunięcie. - Zaciągnęła się jeszcze raz, po czym rozdeptała niedopałek na szarej płytce podłogowej.

- Mnie się to zdawało wredne.

Alissa splotła ręce na podołku i wbiła wzrok w podłogę.

- Masz rację - przyznała cicho. - To było wredne.

Danny odchylił się do tyłu i ułożył ramię wzdłuż oparcia ławy.

- Co teraz zamierzasz zrobić? Bez względu na to, co stanie się z Natalie, nie możesz dalej tak żyć.

Zawahała się, ale po chwili bez słowa skinęła głową.

- I co z balem na rzecz bezdomnych? Ciągniesz sprawę do końca?

Alissa parsknęła śmiechem.

- Słyszałeś moją córkę. Jak my będziemy mogli pokazać się na balu?

- To śmieszne. Nie jesteście pierwszą rodziną, która ma kłopoty.

- Myślę, że „skandal” jest w tym przypadku właściwszym określeniem.

Danny pokręcił głową.

- Nie, Alisso. Mylisz się. Zresztą widziałem wielu ludzi spokojnie dających sobie radę z wieloma skandalami i nauczyłem się stąd, że twarz zachowują ci, którzy zachowują odwagę, by sprostać kłopotom.

Meg ujrzała Alissę i Danny'ego, siedzących głowa przy głowie, zatopionych w cichej rozmowie. Danny otaczał Alissę ramieniem. Meg poczuła ukłucie zazdrości, a zaraz potem stopniowo opanowujący ją gniew. Oto Danny, jej przyjaciel, pocieszał kobietę, która jeszcze wczoraj groziła zniszczeniem jej życia. Na jej widok przerwali rozmowę.

- Wiedziałaś wszystko, prawda Alisso? - spytała Meg. Alissa nie odpowiedziała.

- Meg - powiedział Danny - już po wszystkim. Zostaw ją w spokoju.

Zostawić ją w spokoju? Słowa Danny'ego wżarły jej się w mózg. Kto tu właściwie jest twoim przyjacielem? - miała ochotę wrzasnąć. Zostawić ją w spokoju? Kobieta, która usiłowała mnie szantażować? Tę wydrę, która skleciła stek kłamstw, żeby uratować swą drogocenną reputację w świecie sławnych i bogatych? Próbowała jakoś stłumić wściekłość.

- Robert składa zeznania - powiedziała zimno. - Mam nadzieję, że mówi prawdę.

- To jest prawda - potwierdziła Alissa. - Od początku do końca. Na pewno będzie się zgadzać z tym, co właśnie opowiedziałam Danny'emu.

Meg wcisnęła aktówkę pod ramię. Spojrzała na Alisnę, sprawiającą wrażenie kruchej, skrzywdzonej istoty. Zastanawiała się, która kobieta jest prawdziwą Alisną: ta budząca współczucie czy szantażystka.

Alissa położyła swą małą, ozdobioną biżuterią dłoń na ramieniu Meg.

- Zostaniesz? - spytała z wilgotnymi oczami. - Dopóki to się nie skończy?

Meg pomyślała o Holly Davidson, o Arnoldzie Banksie. Bez wątplenia proces córki doktora Roberta Hamiltona Page'a, która przyznała się do zabójstwa geja będącego kochankiem ojca, wywołałby taki sam rozgłos, może nawet większy. Szefowie firmy Larson & Bascomb robiliby w gacie, żeby dostać taką sprawę. Nieszlaną konsekwencją tego przypadku byłoby z pewnością ujawnienie orientacji seksualnej wielu innych żonatych mężczyzn. Tylko w Stanach Zjednoczonych, pomyślała Meg, ludzie mogą być tak prymitywni, by z problemu homoseksualizmu zrobić przede wszystkim skandal. A podpuszczona przez brukowce opinia publiczna najprawdopodobniej udzieliłaby absolutnego i jednostronnego poparcia Natalie. Zabójstwo zostanie uznane za nieumyślne i do procesu nigdy nie dojdzie. Wybacz, Avery. Niech pan wybaczy, Bascomb.

- Współczuję ci, Alisso - powiedziała spokojnie Meg. Zapanowała już nad gniewem, głos miała cichy. - Współczuję Robertowi i przykro mi, że wasza rodzina tyle wycier-

pi. Prawdopodobnie nie jest to w porządku. Ale tak samo nie w porządku jest to, że Robert nie miał możliwości bycia tym, kim przez cały czas był. Rodzina Dereka na pewno zgodziłaby się ze mną.

- Od Roberta wiem, że rodzina wydziedziczyła Dereka, kiedy powiedział im, że jest gejem - odparła Alissa.

- Czyli to jeszcze bardziej ponure. Teraz stracili go na zawsze i Robert tak samo.

Alissa przeczesła dłonią włosy.

- Musisz mi pomóc - błagała. - Nie ma nikogo takiego, komu bym ufała.

- Mam nadzieję, że nie grozisz mi znowu.

Alissa wstała.

- Nie, Meg. Nie grożę, nie stawiam warunków. Ale... - Popatrzyła na podłogę, potem uniosła głowę, mruganiem powstrzymując łzy. - Ale potrzebuję cię, Meg. Nie mam nikogo innego.

Meg przyjrzała się bladej, wymizierowanej twarzy. Alissa była wyraźnie zmęczona. Prawdopodobnie tak zmęczyło ją przerażenie i osamotnienie, że przestała się hamować przed okazywaniem słabości. Meg pomyślała o swoim życiu, o latach spędzonych bez przyjaciół i o wielu sposobach, którymi odgradzała się od miłości. Na ile różniła się w tym od Alissy? Zanim zorientowała się, co robi, odłożyła aktówkę i uściskała przyjaciółkę, drobną, kruchą i bezbronną przyjaciółkę.

- Pomogę ci, Alisso - powiedziała cicho. - A teraz chodźmy z tej nory. Musimy odstawić cię do domu. - Alissa lgnęła do niej jeszcze przez chwilę, a gdy Meg spojrzała jej przez ramię, zobaczyła Danny'ego. Miał na twarzy uśmiech.

Kiedy skręcili na podkowiasty podjazd, Alissa jęknęła.

- Cholera jasna, czyj to samochód? - Wskazała jasnego Cadillaca zaparkowanego przed frontowymi drzwiami.

- Na pewno nie dziennikarzy - powiedziała Meg, gdy Danny zatrzymał samochód i wysiedli. - Nie płacą im tyle, żeby rozbijali się Cadillacami.

- Prawdopodobnie Sue Ellen przyjechała powiedzieć, że moja współpraca przy balu nie jest już potrzebna.

- Bzdura - stwierdził Danny, otaczając Alissę ramieniem, i razem ruszyli po schodach na górę. - One potrzebu-

ją ciebie bardziej niż ty ich. Nie wolno ci o tym zapominać ani na chwilę.

W sieni panował bezruch. Wprowadziwszy Danny'ego i Meg do biblioteki, Alissa wzruszyła ramionami. Nagle przystanęła. Na sofie, tyłem do nich, siedziała kobieta. Miała gęste, bardzo ciemne włosy. Po chwili wstała i odwróciła się w ich stronę.

- Zoe! - wykrzyknęły razem Alissa i Meg.

- Zoe - powtórzyła Alissa. - Co tu, u diabła, robisz?

Zoe podeszła. Uśmiechnęła się i ujęła dłonie Alissy.

- Przyjechałam cię zobaczyć - powiedziała. - Pomyślałam, że może przyda ci się druga przyjaciółka.

Alissa spojrzała na Zoe, potem na Meg, potem znowu na Zoe.

- Nie wierzę własnym oczom.

Danny podszedł do Zoe i wyciągnął rękę na powitanie.

- Nie mogę mówić za dziewczyny, ale ja się cieszę, że pani przyjechała. Danny Gordon - powiedział, ściskając dłoń Zoe.

Zoe przyjrzała mu się.

- O, Danny Gordon. - Miło mi pana poznać. O ile wiem, uratował mi pan życie.

- Długa historia - stwierdził w odpowiedzi, widząc nie rozumiejące spojrzenie Alissy. Odwrócił się z powrotem do Zoe. - Jak się miewa Scott?

- Dobrze. - Zoe skinęła głową. - Jest w domu.

- To wspaniale - stwierdził Danny. - Wspaniale.

Zoe uśmiechnęła się i znowu skinęła głową.

- Mam nadzieję, że się nie gniewasz, Alisso. Wpuściła mnie twoja gospodyni.

- Gniewać się? Jestem zachwycona. Siadajcie wszyscy, proszę. Przygotuję dla nas drinka - powiedziała i ruszyła do drzwi.

- Dlaczego nie zadzwonisz na Dolores? - spytał Danny.

Alissa pokręciła głową.

- Zaraz wracam.

W sieni Alissa na miękkich nogach oparła się o ścianę. Nie mogła uwierzyć, że przyjechała Zoe. Niewiarygodne. Zoe w Atlancie. To prawda, że kilka tygodni wcześniej i że obecna sytuacja raczej nie skłaniała Alissy do wiązania jakichkolwiek nadziei z balem, ale przecież Zoe była na miejscu. Boże, pomyślała Alissa. Jak to się wszystko zmie-

nia. Przyjechał Danny. Przyjechała Meg. A teraz Zoe. Może Alissa Page ma jednak jakichś przyjaciół. Przez moment zastanawiała się, czy ciocia Heima uznałaby, że są dla niej dość dobrzy. Potem głośno się roześmiała i poszła korytarem do kuchni, bardzo chcąc okazać się dobrą gospodynią i przynieść gościom coś do picia.

Powiesz jej o Jayu? - spytała Meg.

Zoe potarła poręcz sofy.

- Nie wiem. W tej chwili Alissa ma chyba dość.

- Poradzi sobie i z tym - powiedział Danny. - Jest silniejsza, niż myślicie. Ona sama nie wie, jak silna.

Zoe nie była jednak przekonana. Rano, kiedy rozmyślała po wyjściu Jaya do pracy, zdawało jej się, że powinna tak zrobić. Jej coraz silniejsze uczucie do Jaya nakładało się bowiem na wyrzuty sumienia, jeszcze pogłębione lekcją na temat unikania prawdy, jaką dostała od życia. Teraz jednak, gdy zobaczyła Alisnę ze zbolaną twarzą, z podkrążonymi oczami, nie chciała dodawać jej bólu. Tyle że Alissa musiała się dowiedzieć. Zoe zaś obawiała się, że jeśli nie powie jej od razu, Alissa jest gotowa wskoczyć w pierwszy samolot do Los Angeles po dojściu do ładunku z tym całym zamieszaniem i odkryć prawdę w znacznie bardziej przykry sposób.

- Czy ktoś chce lemoniady? - zawołała Alissa, wkraczając do biblioteki ze szklaneczkami i dzbankiem na srebrnej tacy. - Jest z owoców południowych, a smakuje jeszcze lepiej, kiedy się do niej kapnie kropelkę wódki. - Ustawiła drinki przed Meg i Dannym, podała też szklaneczkę Zoe. - Jestem pewna, że Meg i Danny przekazali ci najświeższe informacje, co tu się dzieje.

Zoe skinęła głową.

- Jak sobie radzisz?

Alissa wzięła drinka i poszła z nim za biurko. Usiadła, wyrównała stosik korespondencji i splótła dłonie.

- Marnie - powiedziała. - Ale dziękuję, że pytasz.

Zoe poczuła przypływ ogarniającego ją przygnębienia.

Siedzący na krześle Danny wyprostował się.

- Alissa dojdzie do siebie, musi tylko znowu wziąć się do pracy - powiedział.

- Do pracy? - powtórzyła Zoe.

- Przygotowuje bal dobroczynny. Już niedługo, więc musi się sprężyć.

Alissa przewróciła oczami.

- Jestem absolutnie pewna, że bezdomni dadzą sobie radę bez Alissy Page.

Zoe popijała lemoniadę. Nawet z domieszką wódki napój był kwaśny, ostry i podobnie jak Alissa - bardzo południowy.

- Organizujesz bal na rzecz bezdomnych? Moim zdaniem, to jest wspaniałe.

Alissa zabębniła paznokciami o biurko.

- Miało być. - Roześmiała się, wstała i podeszła do okna. - W pewnej chwili marzyło mi się nawet, że pójdę na ten bal z Jayem.

- Z Jayem? - spytała słabym głosem Zoe.

Alissa skinęła głową i odsunęła długie, ciężkie draperie.

- Chciałam i ciebie tu ściągnąć, Zoe. Miałaś być gwóździem programu. To miał być mój sposób na zadziwienie Atlanty. Chciałam pokazać światu, że Alissa Page jeszcze się liczy. Ale teraz... - wzruszyła ramionami i wróciła do biurka - ...nic z tego już nie ma znaczenia.

Danny odchrząknął.

- Meg, co powiedziałaś na to, żebyśmy przyjrzeni się w drugim pokoju zeznaniu Natalie?

Meg wstała.

- To dobry pomysł.

- Chyba zmęczeni się moim jojzeniem - stwierdziła Alissa po ich wyjściu.

Zoe pokręciła głową.

- Raczej chcieli zostawić nas same. - Pociągnęła jeszcze łyk lemoniady, z nadzieją, że wódka ją rozgrzeje i uspokoi. - Alisso - zaczęła ostrożnie. - Opowiedz mi o Jayu. Czy nie masz w planach następnego spotkania?

- Nie sądzę, żeby Jay za mną tęsknił. Prawda jest taka, że mu się narzuciłam. Mogę czasem zachowywać się jak idiotka, ale nie jestem kompletnie głupia. Jay ucieszył się ze spotkania, bo przypomniało mu dawne czasy. Ale nie sądzę, żeby interesowało go coś więcej.

Zoe znowu potarła poręcz sofy.

- Ale co czułaś? I co czujesz? W związku z Jayem.

Alissa wybuchnęła śmiechem.

- Przez ostatnie kilka dni nawet o nim nie pomyślałam. Ot, i prawdziwa miłość. - Pochyliła się do stojaka po czasopismo i zaczęła je kartkować, zatrzymując się nad

zdjęciami. - Ale to jest w porządku. Widziałaś go, Zoe. Zaczyna łąsiec. Na pewno zauważyłaś też, że oprócz przeszłości nic nas nie łączy.

- Przeszłość może znaczyć bardzo dużo.

- Nie dość dużo. Boże, przecież ten człowiek nie cierpi garnituru. Zdaje się, nigdy porządnie nie otworzyłam oczu, bo musiałabym zauważyć, że tak było zawsze.

- Myślisz chyba nie tylko o garniturze, Alisso.

Zamknęła czasopismo.

- Owszem. On nie zniósłby mojego stylu życia. A szczerze mówiąc, jego styl byłby dla mnie jeszcze bardziej irytujący.

Zoe uśmiechnęła się. Alissa wyraźnie miała Jaya za sobą na dobre.

- Nie żałujesz? - spytała.

- Nie mam czasu - odparła Alissa, kręcąc głową. - Z reszty życia zrobił mi się taki pierdolnik, że nie mam czasu żałamywać rąk nad Jayem Stockwellem.

Zoe odstawiła szklaneczkę i nerwowo zatarła dłonie.

- Mnie się on wydał bardzo sympatyczny.

- Sympatyczny? A owszem, Jay to taki dobrotliwy facet.

Dlatego należy mu się ktoś porządniejszy niż ja.

Zoe zamknęła oczy, zaraz jednak znowu je otworzyła.

- No... - Starannie zastanawiała się nad doborem słów.

- Bo, widzisz, spotykamy się od tamtego wieczoru.

Alissa uniosła brwi.

- Spotykacie się?

- Tak.

- Randkujecie sobie?

Zoe skinęła głową.

- Jezu Chryste - jęknęła Alissa i zepchnęła czasopismo z biurka. Twarz jej spurpurowiała. - Jesteś z Jayem?

- Wcale nie chciałam, żeby tak wyszło, Alisso. On też nie.

Po prostu... mamy ze sobą bardzo dużo wspólnego.

Przez kilka sekund Alissa gapiła się na Zoe, potem parsknęła gładkiwym śmiechem.

- Niewiarygodne. Ty. Spotykasz się z moim Jayem. Kurwa, nie do wiary.

- Miałam nadzieję, że to zrozumiesz - powiedziała Zoe cicho.

Alissa śmiała się dalej.

- Zrozumieć? Pewnie, czemu nie? - Podniosła szkla-

neczkę, żeby nalać sobie następnego drinka. Zoe zauważyła, że drży jej dłoń. - Za miłość. Za prawdziwą miłość.

- Nie żartuj, Alisso. Na to jeszcze za wcześnie. Dopiero co się poznaliśmy.

- Do zakochania wystarczy minuta - powiedziała Alissa. - Przynajmniej z tego, co słyszałam.

- Alisso - przerwała jej Zoe. - Wspomniałaś o balu dobroczynnym. Że zamierzałaś mnie poprosić o wzięcie udziału. Kiedy jest ten bal? Chciałabym to dla ciebie zrobić.

- Bo się nade mną litujesz? Bo masz poczucie winy, że ukradłaś mi mężczyznę, którego kiedyś kochałam, a teraz już i tak nie kocham.

- Nie. Bo chciałabym zrobić coś dla ciebie. Bo jesteś moją przyjaciółką.

Alissa wstała i podeszła do półki z książkami. Przebiegła palcami po skórzanych grzbietach.

- Nie wiem nawet, czy uda mi się wrócić do pracy nad tym balem. Danny usiłuje mnie namówić, ale ja mam wrażenie, że to nierealne.

- Nawet gdybym ja tam była?

Alissa wzięła książkę z półki, przesunęła trzy inne tomy w lewo i wsunęła na miejsce książkę trzymaną w ręce.

- Gdybyś tam była, z pewnością nie byłabym ośrodkiem zainteresowania. Ani ja, ani Robert i ten cały koszmarny.

- Wzruszyła ramionami. - Naturalnie nie mówię, że Robert by przyszedł. Nie sądzę, żebym mogła do tego dopuścić.

Zoe wstała i podeszła do Alissy. Położyła jej dłoń na ramieniu.

- Czyli umowa stoi. Przyjeżdżam. Powiedz mi tylko kiedy i gdzie. Na pewno będę, Alisso. Obiecuję.

Alissa odwróciła głowę i spojrzała w twarz Zoe.

- Oczywiście zapraszam cię w towarzystwie. - Uśmiechnęła się. - Jeśli zdołasz na ten wieczór wcisnąć go w smoking.

W salonie Meg i Danny siedzieli na twardej sofce. Meg opierała głowę na ramieniu Danny'ego.

- To było wyczerpujące - powiedziała.

- Alissa potrafi zmęczyć człowieka - roześmiał się Danny i pogłaskał ją po włosach.

- Ale dobry z niej człowiek, prawda?
- Mhm.
- Dobry - potwierdziła Meg, żeby się upewnić. - W głębi serca Alissa Page jest dobrym człowiekiem. Poznałeś się na niej.
- Mówiłem ci, że ona padła ofiarą swojego życia, bogactwa.
- Jak twoja matka.
- Może.
- Meg usiadła wyprostowana.
- Może w pewnym sensie wszyscy jesteśmy ofiarami swojego życia. Może sami robimy z siebie ofiary.
- Zaraz powiesz pewnie, że życie jest za krótkie - stwierdził Danny.
- Bo jest. Zwłaszcza na to, żeby litować się nad sobą z powodu szczęścia, na które rzekomo się nie zasługuje.
- To już nie o Alissie, prawda?
- Nie. - Podniosła z podłogi kartki z zeznaniem Natalie i wsunęła je do teczki. - Z tym będzie za parę dni koniec - stwierdziła. - Zaraz potem wyjeżdżam.
- Wracasz do Nowego Jorku?
- Meg pokręciła głową.
- Nie. Do Waszyngtonu.

Zoe ofiarowała się podwieźć po drodze Meg do hotelu. Sama wracała do Los Angeles, tłumacząc to tęsknotą do syna. Alissa podejrzewała, że Zoe śpieszy się do Jaya. Chciała mu powiedzieć, że Alissa wszystko wie i że jej to nie przeszkadza. Co najdziwniejsze, była to szczerą prawdą. Alissa stała na progu, machając ręką za odjeżdżającymi przyjaciółkami. Obok niej stał Danny.

- Więc Zoe przyjedzie na bal - powiedział.
- Z Jayem - potwierdziła Alissa.
- Otoczył ją ramieniem.
- Nie będzie ci przykro?
- Coś ty - odparła. - Dwie dziesiątki za jednym strzałem. To będzie triumf.
- Wiesz, że nie będziesz musiała robić tego sama, prawda?
- Popatrzyła mu w oczy, a on mocniej objął ją ramieniem.
- Ja też tam będę - powiedział. - Dla ciebie.
- Przytuliła się do jego piersi. Z oczu popłynęły jej łzy.

MIŁOŚĆ, KTÓRA ODESZŁA

- Jestem za stara dla ciebie, Danny. Potrzebujesz kogoś młodego. To już nie ja.

Poczuła delikatny uścisk obejmującego ją ramienia, a potem muśnięcie ustami po włosach.

- Na co mi ktoś młody? W moim wieku? Zresztą - roześmiał się Danny - te młode chciałyby tylko moich pieniędzy.

Pokręciła głową.

- Pożałujesz, że się ze mną zadałeś - powiedziała cicho.

- Nie sądzę. - odparł Danny. - Na pewno nie.

Rozdział dwudziesty

Kwiaty dostarczono za późno. Dostawca nie miał pianki o smaku pralinowym. W czasie transportu pękła litera „A” na trzymetrowej lodowej rzeźbie z napisem Federacja Kobiet Atlanty. A goście mieli zacząć nadchodzić za trzy kwadranse. Jednak zważywszy na okoliczności, impreza i tak jest nieprzeciętna, pomyślała Alissa, badawczo przesuwając wzrokiem po sali balowej. „Jeszcze jeden dzień w raj” przerósł jej najśmielsze marzenia.

Natychmiast po tym, jak Zoe zgodziła się uświetnić bał swą obecnością, Alissa zadzwoniła do drukarza i kazała mu podwyższyć cenę na biletach do tysiąca dolarów od pary. Sprzedaż biletów gwałtownie wzrosła. Zaczęły dobijać się o nie wybitne osobistości. Senatorowie, członkowie Kongresu, ambasadorowie. Miało być aż jedenaście osób, które mogły poszczycić się zdjęciem na okładce magazynów „Newsweek” lub „Time” w ciągu ostatniego półrocza. Początkowo Alissa przewidywała udział tysiąca dwustu osób, w ostatniej chwili wyblażała w hotelu wciśnięcie stolików dla dodatkowych czterystu gości. Chętnie dostawiłaby jeszcze więcej.

Zabrakło czasu na sprostanie niezwykle delikatnemu zadaniu, jakim jest usadzanie gości. Coś jednak podszeptowało Alissie, że tym razem wyjątkowo nie będzie miało

znaczenia, jeśli miejsca obok siebie dostaną się szefom rywalizujących firm, skłóconym politykom czy nawet rozwiedzionym małżonkom. Wszyscy będą bowiem wiedzieli, że wielkim zaszczytem jest sam udział w najwspanialszym przyjęciu dwudziestolecia, pod każdym względem poprawnym politycznie. Niewiarygodne, w jak wielu ludziach kropla Hollywoodu obudziła nagle świadomość wielkiego wydarzenia.

A wydarzenie miało być tego warte. Po odliczeniu wydatków należało się spodziewać grubo ponad miliona dolarów zysku netto do przeznaczenia na potrzeby bezdomnych. Przyjaciele Alissy z podziemi metra wpadną w dziki zachwy.

Przeszła między stolikami, na chybił trafił sprawdzając serwety i srebrne nakrycia. Nie było bakaratowego szkła, nie miało być szampana Cristal ani torebek z podarunkami. Natomiast przy każdym nakryciu stał mały bilecik z tekstem tłoczonym złotymi literami, informujący: „Firma Hobart Pharmaceuticals Inc. ma przyjemność ofiarować zapas antybiotyków dla potrzeb programu opieki zdrowotnej nad bezdomnymi, realizowanego w Atlancie i okolicach. Zakup sfinansowano z pieniędzy przeznaczonych na okolicznościowe podarunki”. Alissa zastanawiała się, czy dziennikarze obdarzą ją mianem towarzyskiej wyroczni, osoby, która pokazała dyletantom, jak to się robi.

Zatrzymała się przy małym drzewku gumowym i poprawiła ułożenie sznura drobnych białych lampek, przeświecających między liśćmi. Są szanse, że dziennikarze nie zauważą nikogo oprócz Zoe, pomyślała. Oprócz Zoe i Jaya. No, i Meg. Boże, Meg będzie potwornie niezadowolona.

- Hej, dziewczyno - usłyszała głos Danny'ego. Spojrzała w drugi koniec sali. Zbliżał się do niej z uśmiechem na twarzy. - Czy często tutaj bywasz? - spytał. Pochylił się i pocałował ją w policzek. - Boże, ależ fantastycznie wyglądasz.

Alissa uśmiechnęła się. Wiedziała, że w obcisłej białej sukni przybranej kryształowymi paciorkami jest jej znakomicie, że tą kreacją zwraca uwagę, i cieszyła się, że Danny to docenił.

- Popatrz na siebie, no, no - powiedziała. - Cóż za elegancki smoking, i do tego czarna mucha!

Danny oparł się o krzesło i przybrał pozę modela.

- Całkiem efektowne, nie sądzisz?

Alissa roześmiała się i spuściła wzrok. Danny miał na nogach wysokie buty. Były czarne i wypastowane, ale z cholewą. No tak, oczywiście. A jednak do niego pasowały idealnie.

- Bardzo efektowne, mój kawalerze - powiedziała. - Miałeś jakieś wieści od Meg?

Danny skinął głową.

- Zjechała tu dziś po południu. Zoe też jest, na górze, w swoim apartamencie.

Alissa skinęła głową.

- A jeśli już mowa o gościach - ciągnął Danny - to przed hotelem tłoczy się z milion osób, by nie wspominać o kamerach, reflektorach i setkach dziennikarzy skrobiających w notesach. Zupełnie jakby w Atlancie wręczano Oskary.

Alissa poczuła, jak ogarnia ją żar emocji. Znajome uczucie, jeszcze jeden sukces, jeszcze jedno wielkie wydarzenie. Tym razem największe ze wszystkich.

- Ludzie chcą zobaczyć, kto jest na przyjęciu - powiedziała. - Obserwują twarze, kreacje, patrzą, kto jest z kim.

- Innymi słowy chcą się pogapić - stwierdził Danny. - No cóż, myślę, że wszyscy, którzy przyjdą, właśnie tego oczekują. Większość z nich kupiła bilety, żeby pokazać się innym. Jutro będą pędzić po gazety i włączać telewizory z nadzieją, że zobaczą swoje ucho.

Alissa popatrzyła na Danny'ego. Właśnie tak będzie, pomyślała. Kiedyś sama bym tak zrobiła. Zanim jeszcze wdrapałam się na świecznik. Znowu pomyślała o Zoe, o Jayu, o Meg. Zoe, która dwa tygodnie temu wyraźnie podniosła współczynnik oglądalności stacji nadającej *Silne wiązy*, poza planem nie znosiła być w świetle reflektorów. Najważniejszy dla niej był czas wolny od pracy, dom. Jay nigdy nie znosił „towarzyskiego zawracania głowy”. Meg mimo sławy nie cierpiała prasy i siły niszczenia, jaką dysponowali dziennikarze. Co więcej, należało brać pod uwagę jej związek z senatorem Rileyem...

- Przepraszam cię na chwilę, Danny - powiedziała.

- Pomóc ci w czymś?

Chciała powiedzieć „nie”, ale w ostatniej chwili zmieniła zdanie. Był czas skończyć z uważaniem się za najważniejszą osobę na świecie, majordomusa i królową roju jednocześnie.

- Owszem, dziękuję. Chciałabym, żebyś był przy tym, co zamierzam zrobić. Potem powiesz mi, czy nie zwariowałam.

Przeszli do przestrzennego holu z wielkimi kryształowymi żyrandolami i lustrami na ścianach. Ochrona balu już odgrodziła to miejsce czerwonymi aksamitnymi linami rozciągniętymi na mosiężnych stojakach.

- Dokąd idziemy? - spytał Danny.

- Na zewnątrz.

- Oszałałaś? Powiedziałem ci, że tam jest z milion ludzi.

Alissa uśmiechnęła się do niego i szła dalej, kierując się ku wysokim rzeźbionym drzwiom.

- Powiedz to później, nie teraz.

Dwaj strażnicy pilnujący wejścia odsunęli się, żeby przepuścić Alissę i Danny'ego. Wydało jej się, że jeden z nich się uklonił. Podszedł portier.

- Czy mogę w czymś pomóc, pani Page?

- Tak. Proszę otworzyć drzwi. Chcę coś ogłosić tym tłumom.

Portier wahał się tylko maleńką chwilę, po czym przekreślił klucz. Kiedy drzwi się otworzyły, Alissa syknęła z wrażenia. Podniosły się okrzyki i wiwaty. Zobaczyła morze twarzy wypełniających schody, ulicę, parking. Morze twarzy. Gdzieś wyczytała takie określenie. Teraz widziała to na własne oczy. Zawczasu rozesłano materiały o balu do prasy, radia i telewizji i wyglądało na to, że zjawili się dosłownie wszyscy.

- A nie mówiłem? - szepnął jej Danny do ucha.

Uśmiechnęła się i uniosła ręce, żeby uciszyć tłum.

- Panie i panowie - powiedziała najgłośniejszym głosem, jak umiała. Ale jej głos tonął pośród innych dźwięków.

Portier pośpieszył na pomoc z bezprzewodowym mikrofonem. Alissa włączyła urządzenie i zaczęła od nowa:

- Panie i panowie. Nazywam się Alissa Page. To dla mnie wielka radość, że tyle osób interesuje się naszym balem.

Znowu podniosły się wiwaty. Zamachała rękami. Ludzie zamilkli.

- Niestety, bilety są już wyprzedane. Jeśli chcą państwo postać na zewnątrz i obejrzeć przyjazd gości, proszę o uprzejme zachowanie.

Rozległo się trochę niechętnych parsknięć, ale zaraz ponownie zapadła cisza.

- Chcę też zwrócić się bezpośrednio do obecnych przedstawicieli prasy, radia i telewizji.

Znowu zabrzmiały odgłosy niechęci.

- Bardzo dziękuję, że państwo przyszli do nas dziś wieczorem. Jako osoba odpowiedzialna za tę imprezę muszę jednak państwa prosić o pozostanie na zewnątrz. Dziś wieczorem hotelowy hol i sala balowa są zamknięte dla dziennikarzy.

Podniosły się gniewne okrzyki.

- Hej, paniusiu, przyjechałem z Waszyngtonu.

- Dajcie nam szansę!

Alissa znowu odezwała się do mikrofonu.

- Przykro mi, ale decyzja jest ostateczna. Prasa będzie miała mnóstwo okazji do robienia zdjęć przed hotelem. Raz jeszcze proszę o uprzejme zachowanie wobec gości.

- A co z wywiadami? - dobiegł okrzyk, gdy Alissa pociągnęła Danny'ego z powrotem. Portier zamknął za nimi drzwi. Danny gwizdnął.

- Nie wpuściłaś dziennikarzy? Myślałem, że zależy ci na rozgłosie.

Alissa wzruszyła ramionami.

- Moi przyjaciele nie czuliby się swobodnie.

- Ale co z tymi, którzy zapłacili po tysiąc dolarów, żeby obejrzeć się na tytułowej stronie w jutrzejszej gazecie?

- Przeżyją. Może przy okazji nauczą się też, że są na świecie ważniejsze sprawy niż to, co myślą inni ludzie. Ja przerobiłam tę lekcję za późno. I Robert też.

Wrócili do sali balowej. Danny pokręcił głową i rozejrzał się dookoła.

- Czy nie wygląda trochę dziwnie, że nie ma tu Roberta?

- Chyba trochę tak - odpowiedziała szczerze.

Danny uśmiechnął się i dotknął jej policzka.

- Jestem z ciebie dumny. Z powodu tego, co przed chwilą zrobiłaś - powiedział. - A teraz pójdę sprawdzić, jak się mają ptaszki.

Alissa wybuchnęła śmiechem, zastanawiając się jednocześnie, czy Danny ma pojęcie, ile razy i na ile sposobów ocalił jej zdrowie psychiczne i życie. Przyglądała mu się, jak idzie w stronę podium dla orkiestry. Było ono przystrojone białą gazą, a po bokach stały dwie pięciometrowej wysokości biało-złote klatki dla ptaków, pełne gruchających gołębi. Te gołębie byłyby wypuszczone w czasie cere-

monii ślubnej Michele, gdyby doszło do ślubu. Tak, pomyślała, dziwnie się tu czuję bez Roberta. Ale przez ostatnie tygodnie miała tyle zajęć, tak bardzo pochłaniały ją ostatnie przygotowania, że właściwie nie miała czasu na refleksje nad swym dotychczasowym życiem. Natalie nie przedstawiono żadnych zarzutów. Zgodnie z zapowiedzią Danny'ego, spod paznokci Dereka wydobyto próbki tkanki Natalie. Uznano więc, że było to nieumyślne zabójstwo. Następnego dnia Robert odleciał do Szwajcarii. Adwokaci uzgadniali wstępne porozumienie rozwodowe. Alissa wiedziała, że od czasu do czasu będą się z Robertem widywać. Więć razem spędzonych dwudziestu lat była zbyt silna, by nie chcieli pozostać przyjaciółmi. Poza tym mieli przecież córki, chociaż Michele niedawno postanowiła o tym zapomnieć. Poleciała do Dallas, bez Dawida, i narobiła sporo hałasu na temat nowego życia. Alissa nie miała wątpliwości, że Michele wystartuje do „nowego życia” bez najmniejszych kłopotów, jako że na dwudzieste pierwsze urodziny miała wejść w posiadanie spadku wartości pięciu milionów dolarów, administrowanego przez fundusz powierniczy. Żywiła się nadzieją, że błędy matki czegoś córkę nauczyły.

Z Natalie była zupełnie inna sprawa. Alissa westchnęła, poprawiając serwetkę na stoliku. Od czasu wypadku młodsza córka zamknęła się w pustelni swego pokoju. Zaciągnęła story, a w dłoni nieustannie trzymała pilota; często oglądała telewizję z wyłączonym dźwiękiem. Po kilku dniach Alissa przekonała Natalie do usług niejakiego Lou Gentile, wybitnego psychologa, specjalizującego się w depresjach, który zgodził się przychodzić do Page'ów cztery razy w tygodniu. O dziwo, nie zdawał się kierować pieniędzmi. A rekomendowano go jako człowieka, który naprawdę przejmuje się tym, co robi.

- Co będzie, jeśli ptaszki nasrają komuś na głowę? - spytał Danny.

Alissa roześmiała się. Pomyślała sobie, że jest parę osób, które chętnie zobaczyłaby w takiej sytuacji. Na przykład Granta Wentwortha. Betty. Sue Ellen Jamison. Uśmiechnęła się i ruszyła do wyjścia z sali balowej.

- Zaraz wrócę - zawołała do Danny'ego. - Muszę zrobić ostatnią poprawkę makijażu. - Odeszła korytarzem ku toalecie dla pań, mając nadzieję, że szef służby hotelowej

pamiętał o przydzieleniu tam trzech osób i usunięciu z wyłożonego marmurami pomieszczenia tych potwornych muszlowatych misek na napiwki.

Co za cholerne przebranie - powiedział Jay, usiłując wyrównać czarny aksamitny krawat. Był porządnie uczesany, miał za mocno wykrochmaloną koszulę i naprawdę wyglądał, jakby nie był w swoim żywiole.

Zoe roześmiała się.

- Wyglądasz cudownie. Nie martw się, głowa do góry. Przecież robimy to dla Alissy.

- Takie rzeczy zdarzało mi się nosić wyłącznie dla Alissy - powiedział. - A myślałem, że skończyłem pokutować lata temu. Nawiasem mówiąc, to dość zabawne: Alissa Page robiąca imprezę na rzecz bezdomnych. Czyżby z wiekiem stała się liberalna?

Zoe uśmiechnęła się i odwróciła do lustra.

- Ludzie się zmieniają, Jay. Na przykład ja. - Przypięła sobie duże kolczyki z diamentami i onyksami, a potem założyła na szyję wisiołek od kompletu. Jay stanął za nią i zatrasnął zameczek. Położył jej ręce na ramionach.

Zoe spojrzała na odbicie ich obojga. Jay wyglądał przy niej tak naturalnie. W tym obrazie była harmonia, każda jego część pasowała do pozostałych. Dotknęła kącika ust i pierwszy raz stwierdziła, że wargę już jej nie opada. Uśmiechnęła się, bo do głowy przyszła jej następna myśl: od tygodni nie męczył jej apetyt na ciasteczka Twin-kie.

- Cudownie wyglądasz - powiedział Jay. - Warto było włożyć to przebranie choćby tylko dlatego, żeby zobaczyć cię taką piękną. - Sięgnął nad ramionami Zoe i położył dłonie na jej piersiach, częściowo widocznych w głębokim dekolcie czarnej sukni. Zoe westchnęła.

- Lepiej zabierz ręce - powiedziała cicho - bo inaczej nigdy nie uda nam się zejść na dół.

- I pewnie byłbym bardzo subtelny, gdybym powiedział, że księżna Alissa wkurzyłaby się o to jak jasna cholera.

Lepiej się ubiorę, bo inaczej Alissa nigdy w życiu już się do mnie nie odezwie - powiedziała Meg, przesuając palcem po wąskiej smudze miękkiego owłosienia na brzuchu Stevena.

- Senatorowie i ich żony mogą sobie pozwolić na luksus spóźnienia - szepnął i wsunął dłoń między nogi Meg.

- Nie jestem twoją żoną - zaprotestowała.

- Będiesz. Jak tylko załatwię do końca formalności rozwodowe. Chcę, żebyśmy razem zamieszkali. Chcę, żebyśmy mieli dzieci.

Meg zamknęła oczy. Czowała jego dotyk, ciepły i pełen miłości. Ten mężczyzna chciał z nią spędzić resztę swojego życia. A jednak...

Po opuszczeniu Atlanty trzy tygodnie temu pojechała prosto do niego. Powiedziała, że nadal go kocha i nigdy nie przestała kochać. Steven wprowadził się na tydzień do jej hotelowego pokoju. W czasie, który spędzał w pracy, Meg rozglądała się po mieście w poszukiwaniu pomieszczeń biurowych, nadających się na kancelarię adwokata zajmującego się prawem rodzinnym. Potem Steven towarzyszył jej do Nowego Jorku, kiedy pojechała sprawdzić, jak się czuje Raggedy Man. Mimo to dotąd mu nie powiedziała.

- Steven - odezwała się cicho. - Jest coś, czego nie wiesz.

- Pokój wypełniła cisza, zakłócały ją tylko ich oddechy. Oddychali w tym samym rytmie, jak jeden człowiek. - Widzisz, kiedy byliśmy w Harvardzie, przerwałam ciążę - powiedziała. - Zabiłam nasze dziecko.

Wreszcie wydobyła z siebie te słowa. Zaskoczyło ją, jak łatwo to poszło. Może dlatego, że w końcu mu zaufałam, pomyślała. Może wreszcie zaczęłam ufać sobie. Zamknęła oczy, zastanawiając się, co ją tak długo powstrzymywało.

Steven spoglądał na nią przez chwilę, długą i bolesną. Potem ujął jej dłoń.

- Musiało być ci bardzo ciężko.

Nie chciała się przekonać, czy w oczach Stevena zobaczy urazę albo ból. Nie chciała mieć poczucia winy. A jednak podniosła powieki. Zmusiła się, by spojrzeć Stevenowi w oczy, w ten czysty kobalt. I tym razem zobaczyła tam miłość.

- Kocham cię, Meg - powiedział. - Chcę, żeby decyzja należała do ciebie. Dzisiaj jest nowy dzień. Przeszłość mamy za sobą.

I wtedy ich wargi się zetknęły. Lekko, delikatnie, czule. I Meg zrozumiała, że w końcu odnalazła w swej przeszłości przyszłość.

Na parkiecie trudno było znaleźć wolne miejsce, co dało Alissie dodatkowy powód do tego, by trzymać Danny'ego tak mocno, jak tylko starczało jej sił. Wiedziała, że tę noc spędzi w jego pokoju. Pierwszy raz będą się kochać. Pierwszy raz, pomyślała. Będzie w tym czar.

Oparła mu głowę na ramieniu i rozejrzała się dookoła. Grant Wentworth tańczył z kobietą, której Alissa nie poznała, prawdopodobnie nową amatorką wtorkowych schadzek. Po drugiej stronie sali Betty, ubrana w niemodną beżową suknię z organdy, przyjmowała zalotników przy barze. Sue Ellen siedziała przy stoliku ze znudzonym mężem. Alissa zastanawiała się, jak długo trwa już to małżeństwo i dlaczego się nie rozpadło. Najprawdopodobniej zaważyły na tym pieniądze. Jej. Jego. Ich. Znała to aż za dobrze.

Znów spojrzała na zatłoczony parkiet. Były pary, które się uśmiechały, szczęśliwe tak jak ona z Dannym. Kobiety w lśniących cekinami szyfonach i jedwabiach, upiękzone klejnotami z rodzinnego sejf, lekko sunące po parkiecie; dobrze zbudowani mężczyźni ze starannie wypielegnowanymi paznokciami, będący tak samo pod wrażeniem tego wieczoru, jak ich partnerki. Byli też Meg i Steven, zakochani po uszy, obracali się wolno, ani na chwilę nie przestając patrzeć sobie w oczy. Niedaleko od nich tańczyła Zoe... z Jayem. Boże, śmieją się, pomyślała Alissa. Jay robi miny, ale bawią się dobrze. Zauważyła, że Jay lekko utyka, i zaczęła się zastanawiać, czy przeszkadza mu źle złożona noga, czy po prostu nie umie tańczyć.

- Cudowny wieczór - szepnął jej Danny do ucha. - Zdaje się, że nikomu nie brakuje dziennikarzy.

Alissa skinęła głową.

- A szczególnie moim przyjaciołom.

Uścisnął ją i przyciągnął bliżej do siebie.

- Zmieniasz się, Alisso. A może po prostu stajesz się tym, kim zawsze byłaś.

- No, przez ostatnie miesiące czegoś się dowiedziałam, to pewne.

- Na przykład? - Danny przerwał taniec i podążył wzrokiem w tym samym kierunku co Alissa, tam, gdzie na parkiecie znajdowali się Zoe z Jayem.

- Na przykład tego, że pierwsze miłości nie zawsze są najwspanialsze - powiedziała Alissa z uśmiechem.

Danny skinął głową ku Meg i Stevenowi.

MIEŁOŚĆ, KTÓRA ODESZŁA

- Czasem bywają.

- Myślę, że rzadko - stwierdziła Alissa.

Danny obrócił ku sobie jej twarz, dotykając podbródka.

- Ja też się czegoś dowiedziałem - powiedział.

- Na przykład?

- Dowiedziałem się, że w Atlancie jest znakomity klimat do uprawy orchidei.

Alissa uśmiechnęła się i znowu zaczęła tańczyć, starając się unikać kontaktu z buciorem Danny'ego.